ALBIN SIWAK

BEZ STRACHU

Tom I

<u>SPIS TREŚCI</u>:

UWAGI AUTORA DO II WYDANIA
ALBIN SIWAK O SOBIE
ROZDZIAŁ 1. OD AUTORA
MOŻE O WOLNOŚCI RELIGIJNEJ?
O ALBINIE SIWAKU I JEGO WALCE Z ŻYDAMI W PZPR

Uwaga: *Niektóre fragmenty zaznaczono grubym drukiem dodając informację dla zbieraczy tekstu z Biuletynu PRP, że ten fragment opuszczono w Biuletynie PRP*

UWAGI AUTORA DO II WYDANIA

Żeby podjąć walkę z zagrożeniami, jakie nas, Polaków, czekają, należy dobrze poznać przyczyny, sposoby i ludzi, którzy za wszelka cenę próbują ujarzmić Polskę i Polaków. A tę walkę o Niepodległą Polskę musi podjąć cały Naród, gdyż już w tej chwili Polska **nie jest niepodległa i nie jest niezależna.**

Międzynarodowe żydostwo przy pomocy otumanionych Polaków już dokonało i cały czas dokonuje ubezwłasnowolnienia nas Polaków.

Walkę o Niepodległą Polskę należy podjąć w trybie pokojowym wykorzystując wszelkie istniejące narzędzia, istniejące w obecnym systemie politycznym.

Takie możliwości i szanse są, ale zależne one są przede wszystkim od poziomu wiedzy, od naszej znajomości faktów historycznych, oraz od naszej wiedzy o tym, kto i dlaczego dzień po dniu uzależnia Ojczyznę Polaków – Polskę, a także polską racje stanu od międzynarodowej mafii żydowskiej, która w celu zdobycia zaufania i okłamywania Polaków przyoblekła się w maskę przyjaźni i pomocy.

Książkę tę napisałem w celu przedstawienia prawdy i niezniekształconych faktów, które obecnie pomijane są w trybie tak zwanej poprawności politycznej, tej prawdy mówiącej o zabiegach żydowskich, jakie robili w XX wieku, żeby zdobyć władzę nad światem ujarzmiając stopniowo poszczególne kraje oszukańczymi hasłami demokracji, Ujarzmiali bezwzględnie i krwawo zwłaszcza kraje chrześcijańskie, takie jak np. Rosję i Polskę.

W XXI wieku żydowskie dążenia zmierzające do opanowania świata nie uległy zmianie ani o jotę, dlatego również ta prawda, którą opisuję, stanie się pomocną do rozszyfrowania ich celów, do których w sposób bezwzględny dążą obecnie, tj. w XXI wieku.

Albin Siwak

ALBIN SIWAK O SOBIE

Urodziłem się 27.01.1933 roku w Wołominie. Ojciec, Józef, był mistrzem budowlanym, matka gospodyni domowa Czesława, z domu Mielczarek.

W 1935 roku rodzice przeprowadzili się na Pragę, gdzie mieszkaliśmy do 1945 r.

W 1944 roku na Pradze, podczas ucieczki ze strefy ostrzeliwanej przez Niemców, granat rozerwał się przed moją głową raniąc mnie ciężko i okaleczając na całe życie. Straciłem jedno oko, trzy palce u prawej ręki, a odłamek tkwiący w oku lewym spowodował, że nie widziałem całkowicie ponad rok. Po operacji w radzieckim szpitalu wojskowym, gdzie osunięto ten odłamek, odzyskałem wzrok w jednym oku.

W 1945 roku, w czasie działań wojennych, nasz dom został zburzony przez Niemców, co zmusiło rodziców do szukania innego mieszkania.

Od 1945 roku mieszkam w Rembertowie.

Sześć klas szkoły podstawowej skończyłem na Grochowie, siódmą, jako już pełnoletni dorosły, w Warszawie.

W 1945 roku ojciec mój, jako członek PPS, otrzymał stanowisko wójta na Ziemiach Odzyskanych w gminie Lutry, w powiecie reszelskim. Wyjechałem razem z ojcem i przebywałem tam do 1950 roku.

W 1959 roku wróciłem do matki i siostry Lucyny do Rembertowa i zacząłem

pracować w budownictwie M.D.M. Tak nazywało się przedsiębiorstwo budowlane, które budowało właśnie centrum Warszawy i „Marszałkowską Dzielnicę Mieszkaniową”.

Miałem wtedy 17 lat i naprawdę kochałem Warszawę i praca przy odbudowie Stolicy była moją pasją. Później pracowałem jako brygadzista przy odbudowie Starówki i wielu innych miejsc w Warszawie i na Pradze. W sumie w budownictwie przepracowałem zawodowo 31 lat i te lata uważam za najszczęśliwsze lata mego życia. Od 1950 roku byłem społecznym działaczem związków zawodowych i poczynając od „męża zaufania” na budowie, przez 31 lat przeszedłem wszystkie stanowiska w Związkach Zawodowych, aż do wiceprzewodniczącego Zarządu Głównego Związku Zawodowego, (ZZ) Budowlanych w 1979 roku. Wszystkie te funkcje pełniłem społecznie, pracując zawodowo na budowach jako brygadzista.

W 1979 roku Kongres Związków Zawodowych wybrał mnie na członka Światowej Federacji Związków Zawodowych.

W 1968 roku wstąpiłem do PZPR, z której po niecałym roku zostałem osunięty za głoszenie prawdy o warunkach życia Polaków w Polsce. W 1969 roku przywrócono mi członkostwo w partii. Pełniłem społecznie funkcje pierwszego sekretarza w Kombinacie Wschód w Zakładzie Montażowym. Przez 11 lat pełniłem również funkcję Przewodniczącego Komisji Mieszkaniowej.

W partii byłem członkiem Plenum Komitetu Warszawskiego, następnie członkiem Egzekutywy Warszawskiej

W 1979 roku zostałem wybrany na zastępcę członka KC PZPR, a w roku 1981 zostałem członkiem Biura Politycznego PZPR.

W latach 1981 – 1986 pełniłem funkcję Przewodniczącego Komisji Skarg i Interwencji w KC PZPR i równolegle funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Głównego ZZ Budowlanych będąc jednocześnie członkiem Światowej Federacji Związków Zawodowych.

O mojej 5-cio letniej pracy w komisji Skarg i Interwencji w KC tak napisano w dokumentach X Zjazdu PZPR (początek cytatu):

„Komisja Skarg i Interwencji w KC, za okres pięciu lat przyjęła i załatwiła sześć i pół miliona spraw z całego kraju. Z tego sam przewodniczący przyjął osobiście siedem tysięcy sześćset osób. Spraw, które były załatwione pozytywnie dla ludzi było 68 %.Większość tych spraw była załatwiona w Komisjach Wojewódzkich, do KC trafiały sprawy, których w województwie nie załatwiono”.

W 1986 roku skierowano mnie na placówkę dyplomatyczną do Libii, gdzie pełniłem funkcję ministra – radcy ambasady PRL w Trypolisie. Tam właśnie w 1987 roku zostałem wybrany przewodniczącym Komitetu ds. trwałego upamiętnienia Polaków poległych w II wojnie światowe w obronie Tobruku i w okolicznych miejscach. Na Cmentarzu Wojennym żołnierzy polskich postawiono 5 tablic odlanych w Polsce, które zawierały nazwiska ponad 100 poległych tam żołnierzy Wojska Polskiego.

W 1990 roku zostałem odwołany z tego stanowiska i wróciłem do Polski.

W 1990 roku miałem pełne 40 lat pracy i zgodnie z ustawą sejmową przeszedłem na emeryturę. Po rozwiązaniu PZPR byłem członkiem SLD, z którego wyrzucono mnie za kadencji L. Millera i z jego inspiracji. Po roku próbowano zwrócić mi legitymację partyjną wraz z przeprosinami, ale odmówiłem.

Za prace w budownictwie warszawskim otrzymałem następujące odznaczenia:

- Brązowy Krzyż Zasługi w 1957 r.
- Srebrny Krzyż Zasługi w 1969 r.
- Złoty Krzyż Zasługi w 1974 r.
- Krzyż Kawalerski w 1980 r.
- Krzyż Oficerski w 1984 r.
- Złota Syrenka za Odbudowę Stolicy w 1971 r.
- Medal za Wychowanie Młodzieży w 1980 r.
- Medale Międzynarodowe Związkowe;
- Tytuł Człowieka Roku w 1979 r. i liczne medale resortowe
- Medal Złoty „Za Obronę Miejsc Pamięci Narodowej" od Rady Ochrony Pomników w 1987 r.

Będąc na emeryturze napisałem i opublikowałem książki:

- Od łopaty do dyplomaty tom I, wyd. Toruń 2000 r.
- Od łopaty do dyplomaty tom II, wyd. Zakład Poligraficzny „Libella", 2003 r.
- Rozdarte życie. Warszawa, wyd. „Projekt", 2000 r.
- Trwałe ślady „Żywe kamienie", wyd. Toruń, 2003 r.
- Bez strachu, tom I, wyd. „Printed by Europa", 2008 r.
- Historie niewiarygodnie prawdziwe, wyd. „Regionalista", Olsztyn, 2009 r.

Książki wydaję z własnych funduszy i emerytury, która odbieram w wysokości 1864 zł z dodatkiem pielęgnacyjnym, który przysługuje osobom po ukończeniu 75 roku życia.

W październiku 2004 roku ówczesny marszałek sejmu RP Marek Borowski (Berman) zaproponował mi wydanie książki „Trwałe ślady" w ilości 50 tysięcy egzemplarzy i 2 złote od sztuki, ale pod warunkiem, że usunę z niej wszystkie niekorzystne opisy o Żydach (o obywatelach polskich pochodzenia żydowskiego). Odmówiłem. Bardziej szczegółowo opisałem tę sprawę w rozdziale pt. „W sejmie i w życiu".

* * *

Wśród setek listów i dedykacji od czytelników moich książek są słowa podziękowania za to, że udało mi się ocalić od zapomnienia liczne fakty, decyzję i zdarzenia, które tworzą historię Polski, dzięki którym prawda, mimo ukrywania jej, ujrzy światło dzienne i dotrze do ludzi, że w każdym polskim domu powinna być moja książka.

Spośród wielu setek listów i dedykacji wybrałem jedną, napisaną przez pana Józefa Wiśniewskiego w książce jego autorstwa pt. „Po różach, ale boso". Jakże trafnie ocenił on, nie wiedząc, że liczni czytelnicy, a wśród nich arcybiskup Ignacy Tokarczuk i ksiądz Józef Kluz, oceniali tak samo to, co ja piszę.

„Czytając książki Albina Siwaka doznaje się przedziwnego uczucia podziwu dla człowieka, który rozumiał potrzebę opisania tego, co robił, w czym uczestniczył i co o tym myślał. Opisać świat, który by schlebiał oczekiwaniom jest łatwiej niż opisać ten, który jest.

Napisać prawdę i to wystarczy, by ci uwierzono. Mamy tego świadomość. Ale czy można inaczej?

Tobie mój przyjacielu, w podziwie za piękną postawę.

Józef Wiśniewski

Wszystkim moim przyjaciołom dziękuję z całego serca za umożliwienie mi dotarcia i skorzystania z zapisów kronik historycznych, encyklopedii i książek oraz wycinków z prasy światowej i polskiej.

Dziękuję również osobom, które rejestrowały wybrane audycje telewizyjne oraz radiowe i przekazywały mi w celu wykorzystania w tej książce.

Albin Siwak

Rozdział I

OD AUTORA

Większość ludzi, otwierając nową książkę, pomija przedmowę. Uważają, że czytanie wstępu to strata czasu, bo i tak z książki dowiedzą się, co autor chciał czytelnikowi przekazać. Myślę jednak, że jeśli idzie o tę właśnie książkę, przedmowa jest w niej najważniejsza i wyjaśnia, dlaczego w ogóle została napisana. Pokazuje, jakie argumenty i zdarzenia, jakie decyzje różnych ludzi i formacji politycznych stały się przyczyną napisania tej książki. A jest tych wydarzeń bardzo dużo i szkodą dla ludzi byłoby, szczególnie dla młodych pokoleń, gdyby nie poznali historii, w dodatku niezbyt odległej. Uważny czytelnik powie, że autor nie powinien zajmować się historią, że są od tego ludzie z tytułami: doktorzy nauk, profesorowie, historycy. Teoretycznie tak. Oni właśnie powinni zająć się historią i obiektywnie, bez naginania faktów dla potrzeb jednego czy drugiego ustroju, pisać tę historię i przekazywać młodzieży. Ale tak nie jest. Każda formacja polityczna ma swoich historyków i oni, na potrzeby tej formacji napiszą taką historię, która danym politykom odpowiada. W dodatku ponad tymi formacjami politycznymi są pracujący dla nich ludzie, którzy pilnują, by tak kształtować historię, żeby ich ideologia, racja stanu, bohaterowie i hasła znalazły się na sztandarach.

W oparciu o moje liczne spotkania z ludźmi, organizowane przez różne kluby, związki i domy kultury, śmiało mogę powiedzieć: całe pokolenia młodych Polaków nie znają historii swego kraju. I nie dlatego, że nie chcieli się jej nauczyć lub nie posiadają odpowiedniego wykształcenia. Chcieli się uczyć, mają wykształcenie, często tytuły naukowe, ale od zakończenia II wojny światowej do tej pory żadne szkoły, ani uczelnie wyższe nie uczyły i nie uczą prawdziwej, rzetelnej historii.

Zdarza się, że w domach dziadkowie mówią o tej historii i przekazują ją wnukom, ale to rzadkość. To wyjątkowi ludzie, którzy zapamiętali fakty i potrafią je przekazać. Zdarza się, że spotykam ludzi, którzy różnymi sposobami i drogami zdobyli dobrą historyczną literaturę, posiadają prawdziwą wiedzę o ostatnim stuleciu, ale jest ich mało i są za tę wiedzę tępieni.

Moje życie było bardzo bogate w wydarzenia i decyzje, gdy znajdowałem się na wysokich szczeblach władzy. Znałem wielu ludzi, do których zwykły człowiek nie miał dostępu. Sposób życia i prostolinijność oraz szczerość potrafiły mi ich zjednać. Pozyskiwałem ich zaufanie i mogłem prowadzić z nimi szczere rozmowy. A był to czas, gdy również najwyżsi rangą działacze bali się mówić prawdę. Dziś mógłbym nie pisać o wielu z nich, gdyż moi przeciwnicy zaraz dorobią do tego historię, że była to zdrada, i że przyznawanie się do tych znajomości to hańba, bo to byli nasi najeźdźcy i ciemiężyciele. Ale i oni właśnie, gdy zaufali mi i gdy szczerze rozmawialiśmy, to mówili:

„Nam, Rosjanom jest przykro, że oceniacie nas tak źle. To nie my nadaliśmy rewolucji te hasła i nie my ustanowiliśmy prawa i represje. Jesteśmy tak jak i wy Słowianami i powinniśmy żyć w zgodzie”.

Ale to nie Słowianie zrobili rewolucję i nie Słowianie milionami mordują Rosjan. W gułagach i na zsyłkach - może niejeden zapytać, to kto? Właśnie - Żydzi nie siedzą. To oni nas wsadzają i wydają wyroki. Gdy im mówiłem, że sam widziałem Rosjan w NKWD i że nie sami Żydzi są odpowiedzialni za te represje, odpowiadali mi:

„Tak, masz rację. Zawsze znajdą się ludzie, którzy dla kariery zdecydują się na współpracę. Ale czy wy, Polacy, w czasie okupacji hitlerowskiej nie mieliście zdrajców na służbie u Niemców? Było ich wiele tysięcy, bo po wojnie dokładnie ich liczono. A jak carska Rosja wami rządziła i okupowała wasz kraj to nie było wiele tysięcy zdrajców, którzy pracowali dla cara? Nawet wasi biskupi, po odzyskaniu niepodległości, byli sądzeni za zdradę, a nawet wykonywano na nich wyroki śmierci. Sami Żydzi dzielili się na tych, co idą na śmierć i tych, co ich dozorowali i bili. Przykładem jest getto łódzkie,

gdzie policja była formacją żydowską.

W każdym narodzie byli zdrajcy i zawsze będą. U nas, Rosjan, też byli w czasie wojny zdrajcy, mimo że w każdej chwili groziła im śmierć z rąk partyzantów. A w czasie, gdy władzę zdobyli Żydzi, to zdrajcy nie tylko, że niczego się nie obawiali, ale to oni ferowali wyroki śmierci i żyli jak władcy niezagrożeni, a odwrotnie: - nagradzani". *„Myślisz, że nie chciałbym żyć w kraju, gdzie sami sobą byśmy rządzili?"* - mówił mi wiele razy Maszerów.

Podobne rozmowy prowadziłem z marszałkiem Kulikowem i Piotrem Kostikowem. Trzeba by robić teraz nową, rosyjską rewolucję i obalić rządy Żydów - mówili, ale zaraz dodawali: *„To obecnie niemożliwe, czuwają nad tym dobrze, mają we wszystkich strukturach władzy swoich ludzi, za samą taką rozmowę stracisz głowę*". *„Przecież* - mówił Maszerow - *w czasie rewolucji państwa zachodnie, a szczególnie USA, posiadały dobrą wiedzę, kto robi u nas rewolucję. Prezydent Woodrow Wilson powiedział w swoim orędziu w 1919 r., że rewolucja w Rosji to czysto żydowska rewolucja. Opanują całą władzę i zemszczą się na cerkwi rosyjskiej oraz inteligencji*". I tak właśnie się stało.

Ja, Albin Siwak, mam ważne powody, żeby nie zabrać do grobu tego, co wiem i co usłyszałem od wielu mądrych ludzi pełniących różne funkcje partyjne i wojskowe. Wiem, że czytelnik może to potraktować za chwalenie się znajomościami i układami, ale ja nie zabiegałem o te znajomości i układy. Wiem, że moi przeciwnicy wykorzystają to, żeby zrobić ze mnie zdrajcę i osobę zhańbioną takimi znajomościami. Przecież mógłbym o tym nie pisać, nie ściągać na swą głowę słów pogardy, ale uważam, że należy dać świadectwo prawdzie. Jeśli tacy ludzie jak ja nie napiszą, to napiszą to inni, pod dyktando Żydów. Ważne powody, które skłaniają mnie, by o tym napisać, to przede wszystkim fakt, że mało jest ludzi lub nie ma ich wcale, którzy by swą wiedzę posiadali od ludzi wiarygodnych. A przecież ojciec mój nie miał powodów, by kłamać, gdy wiele razy opowiadał mi o różnych ważnych wydarzeniach. Jego dwaj rodzeni bracia też nie. Wierzę im, gdyż potwierdziły to inne źródła.

Ojciec mój służył dwadzieścia jeden lat w carskiej armii. Jego bracia też (jeden dziewiętnaście, drugi szesnaście). Służyli przed, w czasie i po rewolucji. Byli świadkami wielu wydarzeń historycznych, które były i są przekręcane na potrzeby różnej maści polityków i formacji politycznych.

Ponadto życie i moja funkcja pozwoliły mi poznać wielu Polaków, których rodziców car zesłał z Polski na Sybir, a ich dzieci później były rozwożone po całym Związku Radzieckim zgodnie z potrzebami gospodarki i wojska. Ludzie ci przeżyli wiele tragedii i byli świadkami wielu zbrodni, a także ludobójstwa. Obok nich likwidowano tzw. wrogów Związku Radzieckiego, podciągając pod ten zarzut inteligencję rosyjską i każdego, kto miał odwagę mówić prawdę.

Piszę to jako Polak i patriota. Nie mogę obojętnie patrzeć jak Żydzi przekręcają historię Polski Ludowej, ustroju, który to sami stworzyli i w którym rządzili, sądzili i skazywali na śmierć. Jak z katów robią ofiary, jak również z katów robią zasłużonych i prawych obywateli, kryształowych i uczciwych. A tak nie było, ani w czasie rewolucji październikowej, ani przez cały czas do śmierci Stalina.

To nie tysiące Rosjan zostało zesłanych na ciężkie roboty, to miliony jak obecnie szacują Rosjanie. W Polsce też nie chodzi o tysiące. Sama wschodnia Polska, czyli Kresy, to setki tysięcy Polaków wywiezionych w głąb Rosji. Okres Polski Ludowej to również czas zbrodni na polskich patriotach. Nawet samego Gomułkę uwięzili i szykowali mu proces o zdradę. A ilu przyjaciół Gomułki siedziało, ilu miało zasądzone wyroki śmierci. Cóż więc mówić o zwykłym akowcu. Dziś nagłaśnia się to, a polscy działacze partii prawicowych naśladują i pochlebiając żydowskim kolegom nie mówią: „To komuna mordowała naszych ludzi". Nie! Nie zająkną się, że sędziowie i kaci to byli Żydzi. MSW było całkowicie w ich rękach.

Teraz odwraca się kota ogonem. Tak samo jest z mordowaniem Żydów w czasie wojny. Ileż to artykułów dotyczyło tego, że to Polacy i polskie obozy, i że to właśnie tam ginęli Żydzi. Tomasz Gros opisał w „Sąsiadach", że to Polacy wymordowali Żydów w

Jedwabnem. A jeszcze przecież żyją świadkowie. Cóż będzie, gdy ich zabraknie? Okaże się, że to Polska wywołała II wojnę światową, że Polacy mordowali Żydów.

Nie można patrzeć i milczeć, jak dobrze rozmieszczeni Żydzi znajdujący się w różnych formacjach politycznych i zajmujący odpowiedzialne stanowiska robią wszystko, żeby skłócić polskie społeczeństwo. I to im się dobrze udaje.

Żadna formacja polityczna, żadna ekipa rządząca, jakie do tej pory znajdowały się u władzy nawet nie próbowała budować zgody narodowej. Cały ich wysiłek idzie na to, by skłócić polskie społeczeństwo, żeby podzielić i poustawiać Polaków po różnych stronach barykady politycznej. Wiedzą dobrze, że takim skłóconym i podzielonym społeczeństwem łatwo jest rządzić. I ten fakt jest bardzo groźny, bo sytuacja w Polsce wymaga już od bardzo dawna zgody narodowej.

Żydzi po mistrzowsku doprowadzili do tego, że w społeczeństwie brak jest instynktu samozachowawczego. Całymi latami wtłaczają do głów Polaków takie filmy i wiadomości, żeby otumanić społeczeństwo. Proszę tylko pomyśleć, jak nagłaśnia się i to wiele razy na wszystkich kanałach, parady gejów i lesbijek. Idą w tych pochodach przywódcy partyjni i popierają manifestacje i żądania „kochających inaczej". Głośno jest na ulicy w sprawie nienarodzonych - a w Sejmie inne ustawy są mniej ważne niż ta, o której wyżej.

Na potwierdzenie tego, co piszę: Polskie Radio Program I, w dniu 5 maja 2007 r. o godzinie 9.00 w wiadomościach nadaje apel do posłów i polityków. „Połączcie swe siły i nie patrzcie na podziały polityczne. Sprawa jest najpilniejsza i najbardziej potrzebna w Polsce".

- O co chodzi? Oto do sądu wpłynęło 170 spraw o odzyskanie majątków. Są to spadkobiercy Niemców, którzy do II wojny światowej byli właścicielami tych gospodarstw, ale nie osiedlają się na nich, tylko je sprzedają i to nie Polakom, za duże pieniądze. Przypominam - mówi dziennikarz, że już ponad tysiąc gospodarstw spadkobiercy ci odzyskali i sprzedali na Warmii i Mazurach, ale naszym posłom, jak wielu ludzi mówi, ta sprawa jest obojętna. Mają oni własne, pilniejsze problemy. Problemy sprowadzające się do tego, jak unurzać przeciwnika w błocie i skompromitować go w oczach ludzi, jak odebrać emerytury komuchom z MSW. Ale komu je odbiorą, jeśli propozycja ich przejdzie w Sejmie? Odbiorą nielicznym Polakom, którzy zostali w Polsce, bo 90% oprawców bierze wysokie emerytury, siedzi w Izraelu i śmieje się z tych zabiegów. Śmieją się, bo nasi przywódcy nie zrobią krzywdy swym braciom rozrzuconym po Zachodzie. - Odebrać oczywiście należy, ale oprawcom i katom Polaków, a nie nielicznym uczciwym ludziom, bo tacy też tam pracowali.

Wolińska, Michnik oraz cała masa funkcjonariuszy SB wiedzą, że mają w Polsce dobrą obronę, a na państwo Izrael nikt ręki nie podniesie. Prasa w Polsce pisała, że Żydzi zażądali 15% wartości tego, co utracili, a nasi przywódcy oświadczyli, że należy im się nie 15% a 50% wartości utraconych majątków.

Trybunał w Brukseli 2 i 3 maja 2007 roku nagłaśnia, że upomina rząd polski, który łamie prawa człowieka, bo nie pozwolił manifestować gejom i lesbijkom. Ale o najważniejszej dla Polaków sprawie cicho. Żaden polityk, żadna grupa społeczna nie wyszła na ulicę, żeby wymusić na Sejmie i rządzie uregulowanie własności na tzw. Ziemiach Odzyskanych.

Telewizja w Polsce pokazała w marcu 2007 r., że tysiąc polskich rodzin na Mazurach zostaje wyrzuconych z gospodarstw rolnych. - Ale, czy tragedia polskich rodzin obchodzi Żydów i ich popleczników? **NIC**.

I tu nasuwa się pytanie, czyżby polskie społeczeństwo całkiem już zgłupiało? Idą na ulice w sprawach, w których porządny człowiek spaliłby się ze wstydu, a w sprawach wagi państwowej nie reagują. Tak właśnie prowadzi się barany na rzeź.

Każdy polski rząd ma obowiązek budować zgodę narodową, a celowo tego nie robi. Taka jest brutalna prawda. I w tym miejscu mam prawo i obowiązek bić na alarm, pisać o tym, że to właśnie Żydzi nie szanują polskiego narodu. Wiedzą, że można nami Polakami manipulować, bo jesteśmy, niestety, naiwnym narodem i robią to po

mistrzowsku. Dowodem na to, co piszę są fakty:

potomkowie Żydów cały czas odzyskują dawne domy, chociaż odbudowali je Polacy. Ile razy będą żądać odszkodowań? A polscy dziennikarze prześcigają się, pisząc jak bardzo pilna to sprawa - trzeba szybko wynagrodzić straty Żydom.

O Polakach, którzy zostawili swoje mienie i domy za Bugiem nie napiszą ani słowa, że może trzeba by wynagrodzić tę stratę. Tu muszę z podziwem odnieść się do kunsztu i pomysłowości Żydów. Oni to potrafią zrobić doskonale. To jest, jak dobrze rozpisana partytura dla orkiestry. Nikt nie gra dla siebie. Wszyscy w tej samej sprawie, chociaż każdy w innej części świata. Wywołają taką presję, żeby załatwić sprawę po swojej myśli. A niby polscy dziennikarze występują w tej haniebnej sprawie po stronie Żydów. Nie bronią Polaków i ojczyzny. To jest tragiczne. **Często w mediach pojawiają się artykuły i filmy dokumentalne o Piłsudskim. Polska prawica lubi posłużyć się osobą Piłsudskiego. Cytują go, jak również papieża Polaka. To uwiarygodnia w oczach społeczeństwa takiego polityka, który szafuje słowami tych osób. Żaden polityk nie zacytował i nie zacytuje słów marszałka Piłsudskiego, gdy przyjechał do Wilna po tym jak zajął je generał Żelichowski. A mówił wtedy:**

„Gdy zajechałem do Wilna, w parę dni po zajęciu go przez generała Żelichowskiego, widziałem ja i moi oficerowie, jak w całym mieście ludzie płakali ze wzruszenia i radości, oddawali żołnierzom cokolwiek mieli do zjedzenia. Pokazano mi kilkaset osób zabitych i nie pochowanych. Były dzieci i kobiety, starcy i żołnierze. To Żydzi strzelali z ukrycia i zabijali Polaków. Żydzi byli tu warstwą rządzącą, skazywali na śmierć i na wywózkę na Wschód Polaków. I to też ludność pamiętała. Teraz z ogromną trudnością polskie wojsko musi bronić Żydów przed samosądem i zemstą Polaków. Musiałem uspokoić ludność i żołnierzy, żeby nie doszło do samosądu”.

Ta notatka znajduje się w książce pt. „Sejm i Senat w 1922 i w 1927 roku”, której autorami są T.W. Rzepeccy i wydano ją w Poznaniu w 1927 roku. To też antysemityzm?

Tak samo jak z cytowaniem papieża Polaka. Powtarza się to, co potrzebne w danej chwili i sytuacji. A papież ostrzegał również przed przystąpieniem do Unii Europejskiej. Był zwolennikiem wejścia, ale mówił o warunkach, na jakich powinniśmy wejść:

„Nie możemy wejść do Unii jako naród w zasadniczą zależność od tych, którzy bezczelnie zgłaszają pretensje do naszych ziem historycznych, do odszkodowań za skutki działań wojennych. Ludzie, którzy tego nie widzą są naiwni albo są zdrajcami (L'Osservatore Romano, styczeń 2005 rok)”.

Ale tego Polakom nie przekazywano i tego się nie cytuje. Ci, którzy powołują się na papieża niech sobie przypomną to, co pisano w polskich gazetach. Papież mówił, że Polska jest w sidłach materializmu i liberalnego ateizmu. Mówił o prawach narodów, o prawie do tożsamości, kultury, suwerenności, o prawie do godności, wolności religijnej i poszanowania tradycji. Co z tego realizują polscy pseudo-politycy? Może prawo do kultury? Spytajcie polskich reżyserów, czy mogą zrobić film o polskiej kulturze? (to było opuszczone w Biuletynie PRP)

MOŻE O WOLNOŚCI RELIGIJNEJ?

Polacy wiedzą, że religia chrześcijańska jest częścią polskiej kultury i to mocno zakorzenionej. Dlatego tak zwalcza się katolicką kulturę, tak kpi się z niej i ośmiesza ją w filmach, sztukach i książkach. Proponuje się rozwiązłość w małżeństwie. W filmach pokazuje się i gloryfikuje modę, że można swobodnie zmieniać „partnerów”. - Może

realizuje się w ten sposób prawo do tożsamości narodowej, o której to nieraz mówił papież? Nie! Przecież to już gołym okiem widać, że na siłę zmierza się do globalizacji. Co to znaczy? Globalizację państw, a później kontynentów. To znaczy, że wszyscy będziemy obywatelami świata, a nie Polakami czy Żydami.

Chodzi o to, żeby zatracić narodowość i nie kłuć w oczy, że się jest Żydem. Może realizuje się prawo do wolności słowa? To pytam się Polaków, czy ktoś przeczytał w polskiej prasie, że Komisja Europejska zleciła badanie opinii społecznej na świecie: kto i co jest największym zagrożeniem pokoju na świecie? I kto przeczytał wyniki tego badania opinii światowej? Równolegle inna instytucja badała ten sam temat. Zadano to samo pytanie w piętnastu państwach Unii Europejskiej.

Z badania opinii światowej, w tym unijnej, wynika, że państwa okrzyknięte zagrożeniem dla świata, czyli tzw. „osi zła" - wcale nie są na czele tej listy. Tak Iran i Korea Północna ze swoimi pociskami atomowymi, jak również Afganistan są na tej liście dalej.

Pierwsze miejsce w obu badaniach zajął Izrael. Szczególnie Holendrzy i Austriacy podkreślali, że Izrael zagraża swoją polityką i sztuczkami pokojowi na świecie. Oba badania miały zbliżony wynik. W badaniu światowym 68% osób uznało, że Izrael stwarza niebezpieczeństwo, a w europejskim także 63% wskazało Izrael.

Oburzyło to ministra Natana Szarońskiego w Izraelu, który publicznie stwierdził, że to czysty antysemityzm. Środowiska żydowskie w USA zareagowały histerycznie na ogłoszone wyniki. Z wielu odpowiedzi prasy światowej jasno wynikało, że Izrael zachowuje się jak rozbestwiony i rozpuszczony bachor, roszczący sobie prawo do chuligaństwa światowego i nie liczący się z konsekwencjami tych czynów, a do tego udający pokrzywdzonego i niewiniątko.

Ja uważam, że antysemita to człowiek, który nie lubi Żydów. A tu nagle jest inaczej. Antysemita to ten, kogo Żydzi nie lubią.

Ale nie jest tak, że jeśli jakiś naród zrobił narodowi żydowskiemu wielką krzywdę np. holocaust w czasie którego miliony ginęły, jest obecnie zgodnie z prawdą historyczną potępiony. Nie przypomina się światu, że zrobiły to Niemcy hitlerowskie. O tym jak najmniej, bo nie można z Niemców robić sobie wroga. Przecież po wojnie kilka razy Żydzi dostali duże odszkodowania. Nie bije się krowy, która daje tyle dobrego mleka.

Ale o Polsce i Polakach mówić można, że to my jesteśmy odpowiedzialni za tę zagładę. Takie żydowskie odwracanie kota ogonem. A kto spróbuje mieć inne zdanie, ten jest antysemitą. Jeśli Żydzi są tak inteligentni i mądrzy, to dlaczego nie wyciągnęli wniosków ze swej historii? Nikt nie wyrzuca ze swego domu przyjaciół, którzy są pracowici, uczciwi i lojalni wobec gospodarza. Czyżby wszystkie państwa, które usunęły ten naród, myliły się w ocenie Żydów? Działo się to na przestrzeni wieków, a nie znienacka i bez uzasadnienia.

Należy pamiętać, że w ciągu wieków wszystkie narody pozbywały się Żydów. W Hiszpanii w 612 r., w Anglii w 1211 oraz ponownie w 1290 r. Francuzi wyrzucili Żydów, konfiskując im całe mienie, gdyż dekret o wyrzuceniu mówił, że dorobili się lichwą i oszustwem, a nie pracą. Hiszpania w 1492 r. edyktem królewskim zmusiła Żydów do opuszczenia całego terytorium kraju. Portugalia w 1496 r. siłą wyrzuciła poza swe granice Żydów. Niemcy kilkakrotnie wyganiali Żydów, którzy jak zaraza rozprzestrzeniali się i mnożyli, jak piszą niemieccy historycy. Czechy dokonały pogromu w Pradze w 1097 r., gdyż, jak piszą historycy, dalej nie można było z Żydami wytrzymać.

W obronie ludności polskiej stanęło najpierw duchowieństwo polskie. W 1267 r. na synodzie pod przewodnictwem kardynała Gwidona i na synodzie we Wrocławiu stwierdzono, że ludność polska jest na wszelkie niecne sposoby niszczona i wykorzystywana przez Żydów, którzy kpią sobie z religii katolickiej i samego Jezusa.

Ale był też taki arcybiskup, który przypomina obecne postacie kilku biskupów w naszym Episkopacie. Był to arcybiskup Kohn, który otoczył się Żydami i cała jego polityka była skierowana przeciw Kościołowi katolickiemu. Narobił tyle zła w Kościele, że Pius X nie mógł już dalej tolerować jego antypolskich i antykościelnych wypowiedzi i decyzji. Został usunięty z Kościoła całkowicie w 1903 r. Historycy to opisali. Arcybiskup ten zgromadził majątek, na który składały się nieruchomości i pieniądze. Przed śmiercią

zapisał to wszystko gminie żydowskiej. Jego nazwisko Żydzi obecnie umieszczają wśród wybitnych postaci zasłużonych dla Żydów. Na nagrobku napisali mu tak:

„Arcybiskup Ołomuniecki Kohn, zasłużony Żyd polski dla swego narodu".

I tu nasuwa mi się pytanie. Jak ocenią kiedyś historycy paru polskich biskupów, którzy rację stanu Polski mają w tzw. „głębokim poważaniu"? W jaki sposób doszli do godności biskupa? Przecież arcybiskup Kohn też do tego urzędu doszedł i ktoś mu w tym pomógł.

Ciekawą treść znalazłem w Statucie Krakowskim z 1420 r. Ówczesne władze napisały w tym statucie, że: „przewrotna perfidia żydowska zawsze była, jest i będzie wrogiem chrześcijaństwa. I nie tylko w stosunku do wiary, ale również do ciała i majętności. Przywłaszczaliby sobie wszystko, co jest własnością Słowian w oszukańczy i sprytny sposób".

W tym statucie czarno na białym stoi, że liczne władze miast w Polsce zwracają się w pilnej potrzebie do króla Polski, by położył kres wyzyskowi Polaków przez Żydów. Król Zygmunt I dekretem wypędził Żydów z przyszłej stolicy Polski - Warszawy. Miało to miejsce jeszcze przed przeniesieniem stolicy z Krakowa. Dekret ten był ważny do czasu rozbiorów Polski.

Niezależnie od petycji ludności do króla ludzie urządzali pogromy, gdy nie dało się już wytrzymać z Żydami, jak pisze kronikarz. Do pierwszego pogromu Żydów w Polsce doszło w 1373 r. w Poznaniu. Dwa lata później w Krakowie. W 1399 r. pogrom w Poznaniu był duży, bo i nagromadziło się dużo niegodziwości, jak pisze kronika. W Głogowie w 1401 r. doszło do krwawego pogromu, gdyż przejmowanie domów i ziemi przez Żydów było tak duże, że obawiano się, iż Żydzi szybko przejmą wszystko, co ma jakąś wartość. Wszystko robiono niezwykle sprytnie, udzielając pożyczek, a następnie przejmując mienie tego, kto był niewypłacalny. To samo podłoże miał pogrom w Wiślicy w 1407 r. Trzy czwarte majątku było już w rękach żydowskich.

Nic dziwnego, że za czasów carów rosyjskich wydawano liczne „ukazy", które to zmuszały Żydów do opuszczenia wielu miast i przesiedlenia na polskie Kresy.

Car rosyjski Mikołaj II co roku wydawał dekret o przymusowym przesiedleniu Żydów z miast rosyjskich. Gdy wybuchła wojna, na Kresach odnotowano największe zagęszczenie ludności żydowskiej w Europie. Mimo pogromów za czasów carskich wielu Żydów przeżyło w Rosji, co miało olbrzymi wpływ na przebieg i charakter rewolucji 1917 roku.

Do końca XV wieku Żydzi zostali wydaleni ze wszystkich krajów zachodnich. Jeszcze w maju 1492 r. z Hiszpanii wyrzucono na siłę 160 000 Żydów. Do czasów Aleksandra II w Rosji nałożono na Żydów obowiązek odbywania 25-cio letniej służby wojskowej. Mimo to Żydzi zabili go w zamachu.

W wielu encyklopediach i rocznikach statystycznych pisze się, że Żydzi w Związku Radzieckim w latach 1916-2004 stanowili połowę żyjących Żydów na świecie. Po zmianie ustroju w Rosji ludność oficjalnie dowiedziała się, kto zrobił rewolucję i dlaczego, a ofiary, jakie naród rosyjski poniósł za czasów radzieckich były i są bolesne.

W telewizji kablowej jest program rosyjski, który często oglądam. U nich na temat Żydów mówi się więcej i śmielej. 17 sierpnia 2002 r. telewizja rosyjska nadała na prośbę ludności pewien program. Był on zapowiadany wiele wcześniej, bo zainteresowanie nim było bardzo duże. Wzięli w nim udział znani politycy oraz publiczność w studio.

Temat audycji był aktualny, a dotyczył tego, czy ci, którzy mają mieszkania, domy, mienie, które przed wojną były własnością Żydów teraz muszą je zwracać? Prowadzący program zwrócił się do obecnego w studio ministra spraw zagranicznych Igora Iwanowa z pytaniem jak to jest w świetle prawa rosyjskiego i światowego? Minister Iwanow odpowiedział:

„Ze wszystkich krajów, do których Żydzi wysuwają żądania zwrotu majątków po rodzicach lub dziadkach, tylko Polska uznaje te żądania i zwraca, ale nie ma to nic wspólnego ani z prawem międzynarodowym, ani polskim. Nie ma też nic wspólnego z przyjętymi zasadami i prawem na świecie. Prawo wszystkich państw stanowi jasno, że rodzice mają prawo przekazać swój majątek swym najbliższym. I nie chodzi tu o Żydów czy inne narodowości. Chodzi o wszystkich ludzi.

Prawo w Rosji - mówił minister - tak, jak prawo na świecie stanowi, że jeśli żyli u nas

przed wojną Żydzi, to w czasie wojny wyemigrowali, bądź zginęli w obozach i nie zostawili spadkobierców. Dopiero po upływie wielu lat ich potomkowie wnoszą skargi i żądania zwrotu i chcą odzyskać majątek. Taki majątek nie jest zwracany ani w Rosji, ani na świecie. Z wyjątkiem Polski. Majątek ten zgodnie z prawem dawno stał się własnością skarbu państwa. Tylko w Polsce - mówił minister Iwanow - od czasu zakończenia II wojny światowej Żydzi będący cały czas przy władzy pilnowali, by te prawa uzyskać i, co gorsza, egzekwować je od państwa, czyli podatnika. U nas, w Rosji, jest takie samo prawo jak w Ameryce i na świecie. Żadnych majątków nie zwracaliśmy i nie będziemy zwracać. Oczywiście, że były liczne próby nacisku na rząd rosyjski, a nawet próby szantażu politycznego, ale myśmy się nie ugięli i zgodnie z prawem, majątek przeszedł na skarb państwa" - zakończył minister.

A u nas? Zwraca się oficjalnie i nieoficjalnie. Podstawia się ludzi żydowskiego pochodzenia, którzy nie byli rodziną akurat tych Żydów, którzy posiadali majątek i zginęli w czasie wojny. A przy tym jakież poparcie uzyskuje taki problem wśród naszych polityków i dziennikarzy!

W stosunku do Polski Żydzi żądają zwrotu majątku nawet, jeśli dawno zmarli jego właściciele i w ogóle nie mieli potomstwa ani krewnych. Uzasadniają te żądania tym, że ten majątek nawet w przypadku całkowitego braku spadkobierców, musi być przekazany państwu żydowskiemu. Takie kuriozum mogli wymyślić tylko oni. Nikt nigdzie na świecie nie wpadł na taki pomysł.

Ja, wstępując do partii w 1968 r. myślałem i wierzyłem, że partię i jej program kształtują jej członkowie i to nie tylko ci na samej górze, ale przede wszystkim szeregowi, którzy na co dzień borykają się z różnymi problemami. Tak bowiem wynikało ze statutu i haseł partii. Szybko przekonałem się, że tak nie jest.

Nieszczęściem i tragedią dla partii lewicowych jest fakt, iż od samego początku tworzenia tych partii, a szczególnie PPR, a później PZPR, weszli do niej Żydzi. Dokonali tego swoim sprytem i chytrością oraz faktem, że mieli w Moskwie mocnego pobratymcę Berię i całe żydostwo. Wysuwali się i mianowali na różne sposoby na przywódców i siłę kierującą, nadającą kierunek polityczny państwu.

To oni mieli patent na wybór ideologii, drogi, na program partii. Nieszczęściem dla partii był fakt, że na plan pierwszy zawsze wprowadzali do programu walkę z Kościołem. Wszystkie formy tej walki objawiały się w różnych stanowiskach partii. To, co Kościół słusznie uważał i uważa za kanon i nie podlega to zmianom, oni nie tylko podważali, ale uznawali, że trzeba z tym walczyć. Obdarzali gejów i lesbijki, „kochających inaczej", prawami i przywilejami.

Cała ta walka z Kościołem nie tylko nie podobała się wielu członkom partii, ale stawiała ich w miejscu zamieszkania bądź pracy w bardzo złym świetle. Bo opinia społeczna, ta szeroko rozumiana, nigdy nie była po stronie tych, którzy podejmowali walkę z Kościołem. Siłą rzeczy partia w okresie PRL traciła w oczach ludzi opinię partii uczciwej i z dobrym programem.

W latach 50-tych prasa i radio głosiły, że AK to zdrajcy i sługusy Zachodu. Natomiast opinia społeczna była inna. W ten sam sposób głosi obecnie prawica, że lewica to wroga organizacja i trzeba połączyć siły i zniszczyć ją, by nigdy nie doszła do władzy. ***Faktem jest, że obecna lewica prezentuje już całkiem inny program, program liberalno-globalny. (To dodano w Biuletynie PRP)***

Ludzie mają jednak inne zdanie. Świadczy o tym program Ewy Drzyzgi na temat Polski Ludowej. To ona w programie mówiła, że 72 % ludzi jest za okresem PRL. Świadczą o tym rozmowy z ludźmi i ich zdanie.

A więc prawie nigdy nie zgadzało się to, co mówią rządy i partie, z tym, co myślą i jak czują ludzie.

Wprowadzenie w statucie partii zapisu, a szczególnie podkreślenie tego przez przywódców partii, że w Boga nie należy wierzyć, gdyż Go nie ma - postawiło partię po drugiej stronie barykady. Szeroko pojęte społeczeństwo myślało i wierzyło inaczej, ba, nawet ogromna część członków partii i kierownictwa po kryjomu jeździła do innych

parafii i tam brała śluby, chrzciła dzieci i modliła się.

Na każdym kroku czuło się nielogiczność i głupotę tej decyzji, ale takich, którzy by oficjalnie powiedzieli, że jest to głupie i niepotrzebne, nie było. Takie rozmowy prowadzone były po cichu. I tu znów jest problem, bo inaczej rozumiały i oceniały to masy partyjne, a inaczej kierownictwo partii.

Ja, mimo upływu czasu i istotnych przemian, czułem się i czuję lewicowcem. Dawałem temu liczne dowody w postaci artykułów w prasie i wywiadów w radio i w telewizji.

Wyrzucono mnie z PZPR, wyrzucono z SLD za przekonania i krytykę, która potwierdziła się w stu procentach. I dziś, z pozycji starego i doświadczonego działacza, chcę podkreślić, że partia lewicowa jest koniecznością życiową! Zawsze było tak i będzie, że będą pracodawcy i pracownicy. Bez względu na to, czy to państwowa firma, czy prywatna (w prywatnej szczególnie jest ważne, że gdy pracodawca nie czuł nad sobą bata, czyli dobrze zorganizowanego związku czy partii, następowało upodlenie pracowników).W interesie ludzi pracy jest to, by istniała dobrze zorganizowana partia lewicowa i związki zawodowe. Powiem więcej. W interesie partii prawicowych jest to, by partia lewicowa istniała z bardzo wielu powodów. Inaczej szybko znajdą się w ślepej uliczce, gdzie wyjściem będzie bunt obywateli. Problem jednak polega na tym, jaka ta lewica ma być. Prawica głosi, żeby lewica pozbyła się tych starych z PRL-u. A ja głoszę, ze lewica powinna otaczać szacunkiem tych, którzy stworzyli historię walki o prawa ludzi pracy, tych, których lewicowość to obrona słabszych, tych, dla których racja stanu to kanon. A pozbywać się nie tylko starych, bo skażeni PRL-em, ale i tych młodych, którzy nic wspólnego z lewicowością nie mają, a głoszą programy, które dzielą naród i wprowadzają zamiast pokoju i zgody wojnę w imię niepolskiej racji stanu.

Znów posłużę się tezą, że inaczej te same problemy widzi rząd i poszczególne partie, a inaczej społeczeństwo. Wszystkie ekipy, jakie były i są uważają, że są najlepszymi z najlepszych do tego, by sprawować władzę. Życie pokazuje, że jest inaczej, ale oni dalej mówią i robią swoje.

Tak sformułowali przepisy, a szczególnie ordynację wyborczą, by ich chroniła po wszystkie czasy. Przecież są Polacy znani i wybitni, którzy mogą stworzyć rząd, mogliby być posłami i tworzyć nie buble prawne, które regularnie odrzuca Trybunał Stanu, lecz niezbędne ustawodawstwo, które zamieniłoby obecne, ochraniające złodziei i gangsterów. Mogliby, ale nie mogą, gdyż ordynacja wyborcza i zmienione przez PiS - ordynacje wyborcze wciąż zapewniają na listach wyborczych miejsca dla tych samych ludzi. A oni dali już dowody, co potrafią, posłując przez kilka kadencji. Na pierwszych miejscach zawsze będą ci sami działacze, a ci młodzi i nowi na końcu listy. I będzie tak, że jeśli nawet bardzo mała liczba ludzi pójdzie głosować, to skreśleni będą ci na końcu listy.

Gdyby ludzie nie głosowali, to i tak wejdą do Sejmu ci sami. To mi przypomina zdarzenie w jednej z rodzin małorolnych chłopów. Ojciec i matka robili wszystko żeby najstarszego syna wykształcić. Oszczędzali na wszystkim, byleby syn miał w mieście gdzie mieszkać i co jeść. Po kilku latach syn wrócił do domu z dyplomem magistra. Matka gotuje obiad i podkłada drewno na ogień, ale drewna zabrakło. „Hej chłopcy – krzyczy do męża i syna – narąbać drewna, bo nie dogotuję obiadu". Ale okazało się, że drewna w domu nie ma, że trzeba jechać do lasu. I tu syn popisał się, pokazał, co znaczy wykształcenie. Mówi do ojca: „Jest przecież demokracja i możemy wybierać, co kto chce, więc albo wy ojciec do boru po drewno, a ja w domu, albo ja w domu, a wy do boru". Ojciec myśli i myśli, ale co by nie wybrał zawsze wypadnie, że to on musi jechać po drewno do boru. (ten fragment opuszczony w Biuletynie PRP)

Ci, którzy byli, już niczego nie zmienią. Ubarwią najwyżej nasze życie aferami rozporkowymi, kabaretem i farsą. Więc gdzie jest zagrożenie dla Polski i Polaków? Otóż - w nas samych! Nie chcemy, czy też nie umiemy, wyjść z tego zaczarowanego kręgu, w którym jak gówna w przeręblu pływają ci sami hochsztaplerzy i cwaniacy. - Wielu wybitnych Polaków w rozmowach na te tematy mówi tak: „Nie mogę i nie chcę kandydować na żadne stanowisko i funkcję. Nie wytrzymam presji walki z gangsterami

politycznymi. Stosują wredne metody zniszczenia każdego potencjalnego kandydata na każde stanowisko". Dobrzy i mądrzy ludzie uciekają od polityki, uciekają kompetentni i wykształceni, którzy słusznie uważają politykę za bagno.

Nam, Polakom nie zagraża żaden sąsiad, żadna Rosja, mimo że ciągle ją irytujemy swoją arcygłupią polityką zagraniczną.

My zagrażamy sami sobie, gdyż niska świadomość polityczna i ucieczka od brania losów kraju w swoje ręce, nie głosowanie w wyborach powoduje, że różni cwaniacy i nawiedzeni wykorzystują tę sytuację i przy minimalnej liczbie oddanych głosów obejmują władzę, twierdząc, że naród ich wybrał.

Słyszę nieraz, że Prawo i Sprawiedliwość to dyktat większości. Nic bardziej błędnego. Proszę wziąć kalkulator i policzyć oficjalne wyniki poprzednich wyborów. Otóż PiS zdobyło 155 mandatów, to jest 33,69 % foteli sejmowych, w wyborach otrzymało 26,99 % oddanych głosów przy frekwencji 40,57 % - co oznacza, że na PiS zagłosowało 10,94 % uprawnionych do głosowania, czyli głosy co dziesiątego wyborcy dały im trzecie miejsce w sejmie. Jeśli dalej będzie tak, że ludzie będą rezygnować z głosowania, to może się zdarzyć, że co piętnasty lub co dwudziesty wyborca da władzę oszołomom, a później będzie biadolił: „Kto to nami rządzi!"

Jest też dużym problemem politycznym fakt ogromnego wpływu części Kościoła na politykę. W starzejącym się polskim społeczeństwie dość duży procent to ludzie starsi, często wierzący bardzo mocno w Boga. Oni nie chcą być w konflikcie z księdzem i robią to, co proboszcz im powie.

Jeszcze większy wpływ na wyborców ma Radio Maryja i telewizja Trwam. A tu już obserwujemy układy i układziki. Wspomniane tu radio i telewizja spełniają też i pozytywną rolę, gdyż ta instytucja nie została jeszcze przejęta przez „międzynarodową sitwę", z tym, że nie jest całkiem niezależna, ale przekazuje obywatelom wiele prawdy.

Reszta prasy i telewizji jest tylko polskojęzyczna, bo żeby dbali o polską rację stanu, to - tak jak powiedział Ryszard Filipski - „trzeba by ich wpierw ewangelizować, ale i to nie dałoby gwarancji, że zatroszczą się o nasze, polskie interesy".

Osobiście uważnie obserwuję działalność ojca Rydzyka. Muszę stwierdzić, że ojcu Rydzykowi brakuje doświadczenia politycznego, a działa właśnie na tym polu. Brakuje mu doświadczenia, gdyż nie był w żadnej partii (nie mógł jako kapłan). Nie miał gdzie i jak zdobyć doświadczenie. Wobec tego powinien mieć obok siebie radę konsultacyjną złożona z doświadczonych ludzi. Ta rada powinna go wspierać swoimi doświadczeniami i wiedzą. **Uważam jednak, że (dodane w Biuletynie PRP)** Media o. Rydzyka dają dużą nadzieję narodowi polskiemu na odrodzenie. Ale nie może być tak, że daje się czas antenowy ludziom, którzy doprowadzają kolejne rządy do upadku i kompromitacji, a naród do braku wiary w odrodzenie. Przecież wszystkie kolejne ekipy rządowe, jakie były do tej pory, poza lewicą - miały poparcie ojca Rydzyka i wiadomo jak kończyły [...].

W**ściekłość przeciwników Kościoła jest najlepszym świadectwem tego, że ojciec Rydzyk ma rację. I ta wściekłość przekłada się na walkę o polską rację stanu. Przeciwnicy ojca Rydzyka wiedzą dobrze, że najpierw trzeba uderzyć w Kościół, żeby całkowicie opanować władzę.**

Mam sporo przyjaciół księży rozrzuconych po całej Polsce. Prowadzę z nimi dialog poprzez korespondencję, czasem się z niektórymi spotykam. Z tej korespondencji i rozmów można wyciągnąć ważny wniosek i ocenę tego, jacy są nasi księża.

Pierwsze spostrzeżenie to fakt, że niemała ilość księży angażujących się w politykę tuż po roku 1989, silnie popierających Solidarność, zawiodła się i doszła do wniosku, że nie powinni włączać się po żadnej stronie. I ci obecnie nie występują w polityce, i to dobrze.

Część księży nie unika jednak polityki i chce mieć wpływ na to, co się dzieje. Tych parafianie niezbyt lubią i powtarzają, że powinni zająć się całkowicie opieką duchową. Ale ksiądz to też człowiek i Polak i ma prawo do dyskusji na temat swej

ojczyzny. „Tak, panie Siwak, ma prawo, ale pogadać z nami poza Kościołem, a nie z ambony" - myślę, że mają rację ci, którzy tak mówią o swych proboszczach. Oceniać jednak nie będę, gdyż są tacy, którzy są bardzo oddani służbie Bogu i ludziom oraz tacy, którzy dla chleba poszli do seminarium. Widzi się i słyszy również o takich, którzy największa wagę przywiązują do finansów.

I ta część księży i biskupów zapomniała o nauce Chrystusa, o tym, że droga do zbawienia nie prowadzi przez złocone świątynie, luksusowe samochody i bogate plebanie.

Chrystus szerzył wśród ludzi i apostołów naukę i przypowieści i mówił o skromności oraz służebnej roli wobec człowieka. Wskrzeszał zmarłych, uzdrawiał chorych, pocieszał zgnębionych, ale nie brał od nich zapłaty, bo jak mówił: „Mój Ojciec nie brał jej ode mnie i wy nie bierzcie". Co do wielu duchownych odnosi się jednak inne wrażenie. Są wyznawcami finansów i luksusów.

Oto polski ksiądz, z zamiłowania amator lekarz, od 43 lat pracuje w Ugandzie. Niesłychanie skromne warunki oraz od lat panujący trąd sprawia, że obok umierają ludzie, których on ratuje fizycznie i wzmacnia duchowo. Przy tym wszystkim bandy zabijają zakonnice i księży. On poszedł całkowicie służyć ludziom i Bogu. 13 grudnia 2005 roku TVP pokazała to w programie pierwszym. To jest kapłan z powołania, ale są przypadki, o których pisała prasa, że ksiądz nie chciał pochować zmarłego, bo rodzina nie miała pieniędzy. Są znane polskiemu społeczeństwu fakty, że wielu znanych duchownych w większej części są biznesmenami i finansistami niż kapłanami. Kościół musi brać od wiernych pieniądze, bo utrzymanie kościoła kosztuje, ale powinno to być w granicach przyzwoitości i możliwości ludzi. Często tak nie jest i takie fakty dają argumenty różnym ludziom i sektom do ataku na Kościół. A w opinii wiernych traci na tym Kościół. (To było opuszczone w Biuletynie PRP i może dobrze, bo Albin jednak pezetperowiec – trudno!)

Dlaczego poruszyłem ten drażliwy temat? Z bardzo prostej przyczyny. W okresie PRL opinia społeczna i ocena tego, co mówiło kierownictwo partii i rząd to były dwa krańcowe bieguny. Rząd i partia swoje, a ludność swoje. Oczywiście nie biorę pod ocenę i uwagę pojedynczych osób z różnymi odchyleniami. I wtedy, i teraz pod uwagę biorę szerokie pojęte społeczeństwo.

Obecnie kolejne rządy głoszą swoją prawdę, a społeczeństwo swoją. Podobnie w paru ważnych sprawach - Kościół mówi swoją prawdę, a ludność swoją. Gdyby wsłuchiwano się w sumienie i głos ludu, to i w PRL-u mogłoby być lepiej i inaczej. I za ostatni okres nowych formacji politycznych, a także inną lepszą opinią cieszyłby się Kościół.

Wracam jednak do źródła zła, bo to już przeżyliśmy w ostatnim stuleciu. Ten okres ma jednak wpływ na obecny rozwój spraw i politykę, gdyż nie znikli ci, którzy bezpośrednio narzucali nam swoje prawa i kierunki rządzenia, ani też nie opuściły Polski ich dzieci i wnuki.

Przeciwnie, ci, co już byli w Polsce i są, ściągają swych krewnych z całego świata (m.in. z Izraela). Władza skrzętnie zataja ilu Żydom przywraca obywatelstwo, żeby nie irytować Polaków.

Przewodniczący Światowego Kongresu Żydów stwierdził, iż władze w Polsce zbyt mało i zbyt wolno dają Żydom chcącym wrócić do Polski zezwolenia i obywatelstwa. Jeśli dalej tak pójdzie to zrobimy Polsce wielki wstyd na świecie. Dla nich są mieszkania i praca, gdyż bracia zadbali o to wcześniej.

Niestety (dodane w Biuletynie PRP) Umacnia się żydostwo we wszystkich strukturach życia i władzy. A Polacy nie tylko przymykają oko na coraz więcej Żydów osiedlających się obok nas, ale chętnie pomagają im z powrotem zapuścić korzenie w słowiańskiej ziemi. Miał rację prezydent USA, gdy w orędziu do narodu w 1919 r. mówił: „*W Rosji była rewolucja, ale to czysto żydowska rewolucja. Szykowali się do niej Żydzi na całym świecie. Jeszcze przed rewolucją dawali duże pieniądze Japonii na wojnę z Rosją, by osłabić ją i*

mieć słabszą władzę i wojsko do pokonania. Szkolili ponad tysiąc zamachowców, którzy zabili ponad tysiąc osób z otoczenia cara i urzędników sprawujących władzę. Najbogatszy bankier w USA Jakub Schiff zjednoczył wszystkich najbogatszych Żydów Ameryki, brał od nich duże pieniądze, które przeznaczał na obalenie władzy w Rosji".

To mówił prezydent USA Woodrow Wilson w 1919 r.

Wspomniany wyżej Jakub Schiff trzykrotnie zwracał się do cara Mikołaja II z żądaniem, żeby Żydom zamieszkującym Rosję dał takie same prawa, jakie mają Rosjanie. Car za każdym razem odmawiał. Wtedy to Jakub Schiff napisał do cara oświadczenie:

„*W takim razie władzę weźmiemy w swoje ręce i to niedługo. Zrobimy w Rosji nowożytną Apokalipsę, a z Rosjan białych negrów. Wprowadzimy taką tyranię, że nie śniło się to największym despotom tego świata. Doprowadzimy rosyjską inteligencję do całkowitego wytępienia. Wychowamy nowe pokolenie w duchu nowoczesnego komunizmu, posłuszne naszej idei. Zniszczymy cerkiew, żeby śladu po niej i po popach nie było*".

Jak się później okazało nie były to słowa puszczone na wiatr.

Wydano specjalną książkę, w której Żyd Wilhelm Marr napisał:

„*Przepowiadam i nakazuję wszystkim Żydom na świecie. Mają bezdyskusyjnie słuchać tego, co przywódcy żydowscy nakażą. Judaizm zwycięży na świecie, ale przedtem cała Rosja ma spłynąć krwią za wielowiekowe pogromy Żydów i ograniczenie swobód. To będzie rewolucja, jakiej świat jeszcze nie widział*".

W dniu Święta Wojska Polskiego 15 sierpnia 2007 r. Telewizja Polska w pierwszym programie nadała specjalny program poświęcony „cudowi nad Wisłą". Następnie całą godzinę [od 8 do 9] nadawano program poświęcony Matce Bożej Fatimskiej i polskiemu papieżowi. W programie udział wzięli liczni kardynałowie i biskupi z całego świata, którzy omawiali proroctwa fatimskie w Rzymie. To duże grono, dostojników Kościoła stwierdziło:

„*Dziś już można stwierdzić niezbicie, że zamordowanie w okrutny sposób Rosjan, poczynając od Rewolucji Październikowej, a kończąc na upadku muru berlińskiego było największym męczeństwem wierzących od śmierci Chrystusa. Cały okres dziewiętnastu wieków, łącznie z ofiarami drugiej wojny światowej, nie pochłonął tylu istnień ludzkich, co rewolucja w Rosji*". - Jeśli tak kompetentne grono ludzi mówi, że można powyższe stwierdzić niezbicie, to warto zastanowić się, kto i dlaczego przyczynił się do tej apokalipsy naszych czasów oraz wyciągnąć z tej tragedii wnioski. Nie ma powodu, żeby temu gronu, na czele z papieżem, nie wierzyć.

Nasuwa się proste pytanie:

Dlaczego oprawcy odpowiedzialni za II wojnę światową (uznaje się, że ofiar wojny było mniej niż ofiar prześladowań w Rosji) zostali osądzeni i skazani w Norymberdze [część z nich skazano na śmierć, a wyroki wykonano], tymczasem osoby odpowiedzialne za kierowanie, nadzorowanie i udział w zbrodniach na terenie ZSRR do dziś nie poniosły z tego tytułu odpowiedzialności?

Czemu od lat za zbrodnie wobec narodu rosyjskiego obwinia się system, a nie konkretne osoby?

We wspomnianej dyskusji prowadzonej w Rzymie padła liczba 60-70 milionów zamordowanych Rosjan.

Na drugim wszechświatowym syjonistycznym kongresie w Bazylei tuż przed rewolucją, przewodniczący tego kongresu mówił:

„*Odrzucamy świadomie i kategorycznie jakąkolwiek asymilację, jaką nam niektóre narody proponują. Żydzi pozostaną wierni swojej historycznej nadziei, że zbudują światowe imperium, którym będą kierować, bez względu na ofiary i środki*".

Nie były to słowa rzucone na wiatr. Przeszkoleni zamachowcy żydowscy, w liczbie ponad tysiąca, przyjechali do Rosji. Pierwsza ofiara to minister szkolnictwa, który to nie przyjmował do szkól i uczelni dzieci żydowskich. Tej egzekucji dokonał Żyd Piotr Karpowicz. Następnie, Żyd Stefan Bałaszew zastrzelił Ministra Spraw Wewnętrznych za realizację dekretów cara o pogromie Żydów. Następny minister tego resortu W. Plewa został zabity również za to samo, co poprzednik - przez Żyda E. Sasanosa. Kolejna ofiara to generał gubernator Wielki Książę Sergiej Aleksandrowicz - gubernator Moskwy. Zabił go Żyd Iwan Katajew, jak głosili Żydzi za

to, że nie zezwala na zamieszkanie Żydów w Moskwie.

W tym czasie Rosja toczyła wojnę z Japonią i osławiony Jakub Schiff dał Japonii 30 milionów dolarów w celu osłabienia potencjału Rosji.

Car Aleksander II był najbardziej zagrożony przez zamachowców za ukazy, dekrety, pogromy. Żydzi rozpoczęli formalne polowanie na cara. Było aż pięć zamachów, z których cudem wychodził cało. Szósty zamach, był już skuteczny. Pierwszy strzelał do cara Żyd Dymitrij Karakuzo, w drugim zamachu było kilkadziesiąt ofiar śmiertelnych. Żyd A. Sołowiow skonstruował potężną bombę, ale pomylił karety. Bomba rozniosła ją na strzępy, ale car jechał w innej karecie. Kolejny zamach przeprowadził Żyd, brat A. Sołowiowa, który przebrał się w mundur oficera ochrony, myląc obstawę i podszedł do cara. Zasalutował mu, a następnie sięgnął po broń i strzelił, ale nie trafił. Strzelał do uciekającego cara parę razy, ale też nie trafił. Ochrona zabiła go na miejscu. Potężną bombę udało się wnieść zamachowcowi do Pałacu Zimowego. Był to Żyd Stiepan Chałturin. Wybuch zniszczył aż dwa piętra i zabił ponad trzydzieści osób z otoczenia cara, ale car spóźnił się na obiad i ocalał.

Setki zamachów przeprowadzono na ludziach pracujących z carem. Zginął szef policji zasztyletowany przez Żyda Siergieja Krawczyńskiego. Ten sam Żyd zasztyletował szefa żandarmerii Miesieńcewa. Złapano go na gorącym uczynku i zabito. Pierwszego marca 1881 roku kolejny zamach na cara Aleksandra II był skuteczny.

Natomiast na cara Mikołaja II (Zmieniony tekst w Biuletynie PRP) Jednym z zamachowców na cara Mikołaja II był młodszy brat W. Lenina, ale zamach się nie udał. Jak widać z tego, Żydzi z determinacją przeprowadzali zamachy i dokładnie realizowali wolę Jakuba Schiffa, swego sponsora i nauczyciela.

Przed rewolucją w carskiej Rosji było niecałe 4 miliony Żydów. To jak na taki kraj niewiele. Gdy rewolucja zwyciężyła i do nowego Związku Radzieckiego przyłączono szereg państw ościennych, w krótkim czasie Żydzi stanowili już 3 procent ludności.

Te 3 % więcej było warte pod względem dyscypliny przy realizacji swoich celów niż reszta ludności.

Szybko dobrali sobie różnej maści kretynów i ludzi oszukanych hasłami. A ich bezwzględność w realizacji celów objawiała się tym, że nikogo nie sądzono, tylko rozstrzeliwano.

Stąd też strach paraliżował tych, którzy się zorientowali, do czego Żydzi dążą i jakimi metodami się posługują. Ustanawiając pierwszą władzę nowego imperium zadbali, żeby Słowian nie dopuszczać do władzy.

W innych rozdziałach opisuję dokładnie skład narodowy różnych szczebli władzy. Gdy już mieli władzę w swych rękach, zaczęli największą grabież skarbów narodowych w historii. Burząc cerkwie zabierali z nich wspaniałe dzieła sztuki, bezcenne przedmioty, które wiele pokoleń Rosjan gromadziło. To samo działo się z muzeami, bogatymi dworami i pałacami. - Grabiono je w celu sprzedaży skarbów na Zachodzie.

Powstały i działały wielkie hurtownie we Włoszech, Anglii, Francji, Niemczech i Szwecji. Formalne giełdy handlowały bezcenną sztuką sakralną. Do dziś w tej sprawie znajdują się w tych krajach dokumenty mówiące o sprzedaży skarbów.

W latach 1920-1925 główny rabin Wielkiej Brytanii modlił się wraz z Żydami we wszystkich synagogach w sprawie umocnienia władzy Żydów w Rosji.

My, Polacy, po 1989 roku zaczęliśmy, korzystając z wolności słowa, obwiniać Rosję za nasz okres powojenny. Niestety, rzadko zdarza się, żeby uczciwie oceniano ten czas. Znam nawet wielu takich, którzy porównują PRL do lat okupacji hitlerowskiej. **Z takimi nawet nie warto dyskutować. (to opuszczono w Biuletynie PRP)**

Rozsądnie myślący człowiek powinien rozróżniać fakty i wydarzenia historyczne i je uczciwie oceniać.

Po pierwsze – to, że w czasie okupacji naziści niemieccy chcieli i realizowali konsekwentnie plan eksterminacji Polaków i innych narodów Słowian.

Po drugie – to, że ZSRR chciał zmienić i zmienił u nas ustrój społeczny.

Oceniając te dwa fakty K. Bielecki mówi, że ten ustrój był gorszy niż okupacja

hitlerowska. Taka ocena nie jest uczciwa, bo gdyby „ten gorszy ustrój niż okupacja hitlerowska" nie przyszedł w porę, to dziś ja bym nie pisał, a K. Bielecki nie opowiadałby w Szwajcarii takich bzdur o Polsce Ludowej, bo by nas nie było. (to opuszczono w Biuletynie PRP)

Nie bronię Rosji i Rosjan bez przyczyny. Otóż Rosjanie byli podobną ofiarą ludobójstwa, jak my Polacy. Tylko, że oni tak w skali ofiar, okrucieństwie, jak i czasie o wiele większą apokalipsę przeżyli, bo trwała ona od początku rewolucji, aż do upadku ustroju. Degradacja cywilizacyjna dokuczała Rosji dłużej i mocniej.

Zemsta Żydów za wieki pogromów była okrutna.

Ja w oparciu o wiedzę ludzi, którzy przeżyli ten okres w ZSRR, opisuję zaledwie ułamek procenta tego, co tam się stało, a i to jest straszne. Przecież ludzie to przeżyli i pamiętają. Uczciwy człowiek powinien ocenić to, co miało miejsce u nich i u nas.

Gdyby polskie żydostwo nie miało oparcia w Żydach z Kremla, na pewno nie byłoby tylu ofiar. Ale żydostwo było związane przykazaniami głównego kahału światowego do takiej realizacji polityki, żeby umacniać władzę Żydów. Lew Bronstein „Trocki" mówił to na posiedzeniach loży masońskiej. Pisał we wspomnieniach oraz wygłaszał na międzynarodowych zamkniętych zjazdach Żydów takie słowa:

„*Żaden Żyd na świecie nie może spocząć, dopóki nie podporządkujemy sobie gojów. Wierzymy, że osiągniemy ten cel nie przebierając w środkach*".

I nie przebierali.

Jaki jest ostateczny cel Żydów, czyli Syjonistów? Żydzi na całym świecie przyjęli jednomyślnie za ten cel, cytuję słowa Dawida Ben Guriona, uznanego za największego w historii Żydów przywódcę Syjonistów:

„*Wszystkie kontynenty zostaną złączone, zjednoczone w jedno światowe przymierze, które będzie miało do dyspozycji jedną międzynarodową władzę polityczną w Jerozolimie. Narody zjednoczone utworzą relikwiarz proroków, żeby lepiej służyć Unii wszystkich kontynentów. Tam będzie siedziba najwyższego sądu, który będzie rozstrzygał wszystkie spory między połączonymi kontynentami*".

Mordowali tak, jak ich sponsor i nauczyciel kazał. Zafundowali Rosji nowożytną apokalipsę, zrobili ze Słowian białych „negrów". Była to taka tyrania, jaka największemu despocie świata się nie śniła. Zniszczyli inteligencję i cerkiew.

U nas, w Polsce, ludobójstwo miało inny wymiar. Myśmy znajdowali się na pograniczu z Zachodem i Polacy mieli z nim kontakty. Oni byli odizolowani całkowicie i zdani na łaskę formacji politycznych, w których nie Rosjanie dowodzili - a Żydzi.

Obecnie nowy porządek budowany jest przy hegemonii USA, ale sterem są Żydzi amerykańscy, których najwyższy sanhedryn i kahał obowiązuje do realizacji interesów Izraela. Ostrze tej polityki skierowane jest przeciwko Rosji - na jej rozpad.

Wszystko, co nie tak dawno się działo w Jugosławii i innych krajach ościennych, obliczone jest na rozszarpanie Rosji na kilka państw. Jeszcze nigdy w historii przeciwnicy Rosji nie byli tak blisko jej granic. Przecież obecnie politycy Zachodu wcale się nie kryją ze swoimi zamiarami. Oficjalnie na posiedzeniu rosyjsko-amerykańskiej rady gospodarczej, jakie odbyło się 2 października 1998 r., Sekretarz Stanu, czeska Żydówka M. Albright powiedziała, *że wśród najważniejszych zadań USA jest kierowanie rozpadem Rosji.*

A na zebraniu „Rady Związków Globalistycznych", czyli Bilderberg Group w Wielkiej Brytanii w dniach 14-17 maja 1998 roku obrady zdominował jeden temat: *Rosję trzeba rozedrzeć na kilka kontrolowanych rejonów, nawet bez zachowania pozorów ich suwerenności.*

Obecny tam Brzeziński zaproponował to i napisał w swojej książce pod tytułem: „*Wielka szansa - o podzieleniu Rosji na 22 rejony*". Pięć lat później tenże Brzeziński zrobił korektę tego projektu i podzielił Rosję na 6 rejonów: 1. Rosja Zachodnia, 2. Ural, 3. Zachodnia Syberia, 4. Wschodnia Syberia, 5. Daleki Wschód, 6. Północne terytorium.

I ten pomysł zmienił parę lat później. Zaproponował, żeby Rosję podzielić na Rosję Europejską, Republikę Syberyjską i Republikę Dalekowschodnią.

Rosjanie po zmianie ustroju dowiedzieli się, komu zawdzięczają, że inne narody mówią

na nich okupanci. Dowiedzieli się, kto i jak mordował Rosjan.

Dlatego Żydzi widząc, że zanosi się na rozliczenie za dokonane zbrodnie, szybko zaczęli uciekać z Rosji.

Samych oficerów KGB, Żydów uciekło ponad 50 tysięcy do Izraela, a do Niemiec 200 tysięcy. Zdążyli jednak przed tym wywieźć duży majątek, gdyż jeszcze mieli częściową władzę.

Nasze polskie lotnisko było bazą przerzutową na Zachód. Trwało to kilka lat i Żydzi zadbali, żeby w Polsce nikt się ich nie czepiał. Odpowiedzialny za całą operację w Polsce był Dziewulski.

W sumie aż 2 miliony Żydów przetoczyło się przez polskie Okęcie, a koszt od jednej osoby wynosił 300 dolarów. Rabin Yechedel Eckstein stworzył na Zachodzie specjalny fundusz, żeby pomóc jak najszybciej uciec od kary swoim ziomkom.

Te dwa miliony to tylko część, gdyż była umowa między Rosją a Izraelem o tzw. moście powietrznym, którym bezpośrednio przerzucano Żydów do Izraela. Nasi Żydzi ściągnęli do siebie ok. 300 tysięcy Żydów radzieckich, których dobrze zabezpieczono emerytalnie i mieszkaniowo.

Obecnie obrzydza się przed światem Rosję, gdyż pozostali Żydzi, którzy wyciągnęli ręce po ropę i gaz, dostali po łapach. Nie dopuszcza się ich do awansów i stanowisk, dlatego robią wszystko na świecie, żeby zemścić się i zrealizować pomysł rozszarpania Rosji na części.

Gdyby te wszystkie zbrodnie zrobił inny naród, to świat teraz i jeszcze długo żyłby pamięcią o tym, ale to zrobili Żydzi, więc: cicho - sza!

A my Polacy słuchamy jak poplecznicy Żydów mówią o zbrodniach komuny. Powielają to kłamstwo nasi dziennikarze, bo awans zależny jest od szefa, a szefem jest Żyd.

Obecnie sami Rosjanie przyznają w rozmowach, że oczywiście Żydzi pozyskali i Rosjan do tej zbrodni. Tak jak pozyskali i Polaków do realizacji kiedyś i obecnie swoich celów. Na świecie nigdy nie brakowało ludzi wykolejonych, bez zasad i sumienia. Sami by tego nie zrealizowali kiedyś, a i obecnie jest ich za mało na świecie, żeby samemu realizować swe dalekosiężne, chore cele.

I tu dochodzimy do najważniejszych problemów.

Czy uda się Żydom pozyskać opinię światową, by zrealizować swoje globalistyczne plany kierowania światem przy pomocy jednego parlamentu i rządu? Bo te krajowe rządy i parlamenty niewiele będą miały do powiedzenia lub w ogóle nic w dalszej przyszłości.

Może jednak zwycięży prawda, której Żydzi najbardziej się boją i narody na świecie dowiedzą się, co już ludzkości uczynili i co zamierzają w przyszłości zrobić.

A jak my, Polacy, rozwiążemy nasz problem?

Czy udamy, że nie ma problemu?

Czy też z tego marszu do rzeźni wyrwiemy się i powiemy im: „Stop! Dość już przelaliście krwi i dosyć waszych rządów".

A może jeszcze za mało boleśnie odczuwamy ich patronat nad sobą? Może Polacy są cierpliwi i zniosą jeszcze wiele upokorzeń, i dopiero, jeśli coś tragicznego i bolesnego się stanie, to zaczniemy na naszą polską rzeczywistość inaczej patrzeć i rozumieć. Tylko, że czas pracuje dla nich, a nie dla nas. I tego szkoda.

Bardzo często w rozmowach z ludźmi słyszę taką opinię, że my, Polacy, jesteśmy uczynni i dobrzy względem siebie nawzajem. W określonych warunkach nawet za cenę własnego życia udzielimy pomocy zagrożonej osobie, ale nie w czasach pokoju. Wojna nas mobilizuje - tak było na przykład w czasie II wojny światowej, którą to przecież wielu Polaków pamięta, podczas której na każdym kroku groziła nam śmierć. Natomiast w czasie pokoju nie podamy ręki człowiekowi, który o to prosi.

Od bardzo dawna, od dziecka słyszę, że Polacy posiadają instynkt, który to w ostatniej chwili ostrzeże ich i uratuje. Coś w rodzaju instynktu chroniącego zwierzęta przed zagładą. Ludzie zostali obdarzeni inteligencją i rozumem, który podobno cały czas rozwijają i wzbogacają wiedzą i doświadczeniem poprzednich pokoleń. Piłsudski dobrze poznał Polaków i pisał o nich:

„W czasie wojny Polacy rzucą na szalę zdrowie i życie, nie zawahają się podjąć

niebezpiecznego zadania i zginąć. Polak nie pożałuje krwi i życia, gotów jest na każdą ofiarę. W czasie pokoju Polacy zagryzą się jak dwa wściekłe psy, a gdy ktoś ich napuści na siebie i podjudzi, to dopiero jest widowisko". - A do podjudzania i podpuszczania zawsze i wszędzie znajdą się chętni.

Świeża sprawa - teraz, w czasie pokoju, we Włoszech stworzono obozy pracy. Znęcano się i mordowano tam ludzi, którzy pojechali za pracą. I któż to robi? Zabito w okrutny sposób ponad stu ludzi. Mogliśmy to oglądać w telewizji. I jaki z tego wniosek? Taki, że w każdym okresie i przy każdym ustroju, gdzie nie sięga prawo znajdą się zbrodniarze i ofiary.

Jeśli „wybrańcy narodu" mają w sobie takie cechy charakteru, że są żądni krwi i zemsty, to błyskawicznie znajdą całe pułki kretynów i kryminalistów, którzy chętni będą im służyć i spełniać ich polecenia.

I tak trzeba patrzeć na każdą rewolucję, a szczególnie na tę październikową, gdyż od dawna przygotowywano ją z myślą, że Rosja spłynie krwią.

Fakt, że prawdą nie można się obronić publicznie, bo cię zniszczą. Przecież, gdy Leszek Miller był szefem partii, to wielokrotnie chodziłem do niego i to nie sam. Mówiliśmy, że otoczył się złodziejami i oszustami, że ci ludzie siedzieliby już za czasów PRL w kryminale, gdyby nie zmiana ustroju, ale on ufał Wiatrom i Piłatom, Wieteskom i całej plejadzie ludzi, których celem nie było dobro Polski, a ich własne interesy. Jaka była reakcja kierownictwa SLD? Wyrzucić z partii Siwaka i będzie spokój. Tak jak dzieci. Pali się! Ale zasłońmy rękami oczy i już nie pali się.

Lewica, która jak powietrze jest niezbędna w Polsce, została na życzenie kierownictwa zniszczona. Popełniła harakiri, ale wyrządziła krzywdę nie tylko sobie. Oni to zrobili całemu społeczeństwu na złość, bo w narodzie jest i będzie zapotrzebowanie na uczciwą, mądrą lewicę z dobrym programem.

Sami obecnie dobrze widzimy jak brakuje lewicy w Sejmie i w rządzie. Moi przyjaciele, którzy są obecnie w lewicy twierdzą, że w lewicy są dwa polityczne nurty.

Jeden to nurt zainteresowany budową ustroju sprawiedliwości społecznej i szacunku dla człowieka wszelkiej pracy, nurt spadkobierców ponadstuletniej tradycji ludzi pracy i walki z wyzyskiem człowieka. Podejmujący walkę z współczesnymi zagrożeniami człowieka.

I drugi nurt - to spadkobiercy żydokomuny. Najważniejszym celem tego nurtu jest ochrona i promocja swoich ludzi, gdzie tylko można. Ich cele to walka z Kościołem i filosemityzm.

Ostatnio wpisali sobie za cel promocję różnej maści mniejszości seksualnych. Smutne to, ale ten drugi nurt zagłusza ten pierwszy. (ta część w Biuletynie PRP opuszczona).

O ALBINIE SIWAKU I JEGO WALCE Z ŻYDAMI W PZPR

Albin Siwak działacz z frakcji narodowców Polaków w PZPR był i jest cynicznie ośmieszany. Żydzi robili z niego idiotę, tylko dlatego, że się zdecydowanie przeciwstawił żydom w PZPR mieszkającym w PRL-u domagającym się o specjalne przywileje tylko dla żydów na wzór tych, jakie wydusili żydzi w USA będący przy korycie władzy, kosztem reszty społeczeństwa amerykańskiego.

Zatem, ten robotnik Albin Siwak, co prawda PZPR-owszczyk wcale nie był aż takim idiotą jak z niego na siłę usiłują robić żydy w Polsce.

Oto jak rozsądnie właśnie pisze ten (ośmieszany) Albin Siwak o żydach w Polsce, w czasach, kiedy miał możliwość przyjrzeć się „im" jak przy korycie władzy w żydokomunie (PRL-u) robili w „balona" Polaków - i właśnie za to unaocznienie, opisanie królestwa żydowskiego w PRL-u – fałszywie ośmieszali Albina Siwaka, aby jego opisy o wstrętnych, panoszących się żydach w PRL-u nikt nie brał pod uwagę.

Oto treść felietonu o Albinie Siwaku:

Mówi Albin Siwak: „Nie mogłem dłużej milczeć!" [2008-01-01]. Lubię czasami poczytać

numery mastodontów PRL-u. Różnych, i tych z samej wierchuszki, i tych pośledniejszego sortu. Sprawiają sporo uciechy, kiedy z perspektywy bankrutów zupełnie serio udowadniają, że ich spółkowanie z komuną było rzeczą wielce chwalebną, a jedynie tzw. obiektywne trudności sprawiły, że ustrój sprawiedliwości społecznej wylądował na śmietniku historii".

Na tym tle interesująco wyglądają wspomnienia Albina Siwaka pt. „***Trwałe ślady***" z roku 2002, wydane przez małą oficynę z Torunia, która już nie istnieje.

Książka Siwaka od początku została totalnie przemilczana. Ba, trafiła na swoisty indeks książek zakazanych, a jej nakład partiami wykupywali ci, którzy z różnych względów nie byli zainteresowani tym, żeby Siwak robił ze swojej wiedzy użytek.

Pojawiły się nawet niewybredne groźby pod adresem autora, o czym dowiedziałem się od wydawcy książki, bo to on właśnie przegadał z Siwakiem wiele godzin, stając się akuszerem powstania „***Trwałych śladów***". Wydał je pomimo licznych przeszkód i dobrych rad. Sama książka nie powala głębokością myśli, bo też i jej autor do tytanów myśli nie należy.

To paradoksalnie, ale jej walor nie ściga się z innymi wspomnieniami na języki, lingwistyczną maestrię czy dialektyczną nowomowę. Bije od niej autentyzm robotniczego-chłopskiego języka, mało finezyjnego, prostego i niewyszukanego. Książka jest chropowata i intelektualnie przysadzista, ociosana i skrojona na miarę zakresu pojęciowego, jaki autor wyniósł z PRL-u. Momentami jest nazbyt rozwlekła, co kładzie się cieniem na jej potoczystości i dynamice. Niemniej jest cennym i oryginalnym świadectwem PRL-u, spisanym robociarską ręką jej budowniczego, żarliwego praktyka i apologety sojuszu robotniczo-chłopskiego. Cytuje:

„Nie mogłem dłużej milczeć i zabrać do grobu tego, o czym Naród powinien wiedzieć" - oznajmia już we wstępie Siwak.

I rzeczywiście, tow. Albin Siwak w niej nie milczy, waląc bez ogródek już od pierwszych stron: „Świadom jestem faktu, że treść tej książki wywoła liczne burze i chęć zemsty. Mimo tych obaw, podjąłem decyzję, by nie zabierać ze sobą do grobu tego wierzchołka góry lodowej. Mam podstawy, by twierdzić, że problemy PRL-u i III Rzeczypospolitej są celowo i starannie zasłonięte przed Narodem, przez wiele formacji politycznych różnych barw i ideologii a szczególnie przez Żydów, licznie ulokowanych na różnych szczeblach władzy. Wierzę, że z czasem i sprawdzeniu wielu tu opisanych spraw, historia i historycy, a także politycy przyznają mi rację."

Racji mu oczywiście nie przyznali, bo to oczywiste, niemniej książka stanowi ciekawy materiał do przemyśleń. Pokazuje punkt widzenia człowieka, którego propaganda PZPR-u, jak i Solidarności, wykreowały na czarnego luda, będącego obiektem niewybrednych dowcipów i anegdot, skądinąd w większości słusznych.

Wylansowany przez żydokomunistów na siermiężnego tępaka i gbura, Albin Siwak nie miał praktycznie politycznych przyjaciół, poza ruchliwą małą frakcją narodowców w PZPR. Jego siłą była robociarskość i wynikająca z niej autentyczna twardość. Wywijał nią niczym maczugą na partyjno-związkowych egzekutywach, siejąc zrozumiały popłoch u co bardziej wrażliwych towarzyszy. Zawsze mógł też liczyć na solidarną z nim robociarską brać, która nie przepadała za inteligenckimi koteriami, wietrząc w niej przyczyny kłopotów i porażek Polski Ludowej.

Siwak to legenda PRL-u par excellence. Robotnik, który w 1950 roku z zapadłej mazurskiej wsi przyjechał odbudowywać Warszawę i już w niej pozostał.

Albin Siwak, to działacz związkowy, Przodownik Pracy, członek PZPR od pamiętnego 1968 roku, a następnie członek jej Komitetu Centralnego. Odbudowywał warszawską Starówkę, stawiał warszawskie osiedla mieszkaniowe, szkoły i budynki tzw. użyteczności publicznej. Jest przykładem autentycznej PRL-owskiej kariery w jej najczystszej postaci.

Dzisiaj wyciąga pikantne szczególiki ludowej alkowy, biorąc się za tematy, na których wielu poległo, jeśli nie potrafiło zachować stosownego umiaru.

Nic dziwnego zatem, że ***Trwałe ślady*** wylądowały na swoistym indeksie, skoro autor pozwala sobie na takie oto dictum:

„(...) 4 stycznia 1972 roku w Warszawie zebrał się Centralny Komitet Żydów w Polsce. Mam wykaz nazwisk i tematy tam omawiane. Chodzi o to, żeby polską gospodarkę uzależnić od firm i finansjery żydowskiej w taki sposób, by po kilku latach Żydzi mieli decydujący wpływ na to, co się dzieje w Polsce. Wtedy, gdy otrzymałem te materiały nie byłem jeszcze politykiem ogarniającym swą wiedzą tę dziedzinę życia i polityki i dlatego nie zwróciłem większej uwagi na te sprawy. Jeśli poruszano temat Żydów, uważałem, że to Polacy przeginają niepotrzebnie temat. Absorbowały mnie sprawy związków zawodowych, problemy budownictwa i praca mojej brygady. Dlatego nie analizowałem informacji otrzymanej od przyjaciela i nie przywiązywałem dużej wagi do tego tematu. Ten jednak dał mi kolejną notatkę, z której wynikało, że 4 marca 1972 roku ponownie zwołano Centralny Komitet Żydów w Polsce. W czasie tego spotkania zajmowano się osobami narodowości polskiej, zajmującymi kluczowe stanowiska w administracji państwowej, partyjnej i wojskowej. Najogólniej rzecz biorąc Żydzi podzielili ludzi sprawujących władzę na swoich i obcych. Postanowiono odsuwać od władzy i z życia społecznego ludzi nieżyczliwych Żydom. Nadal jednak dość chłodno odnosiłem się to tych wiadomości.

Poważnie zainteresowałem się sprawą dopiero po otrzymaniu kolejnej informacji, mówiącej o nadzwyczajnym posiedzeniu prezydium Centralnego Komitetu Żydów, w dniu 11 czerwca 1978 r., w którym zasiadały osoby, które jednocześnie pełniły wysokie funkcje w polskim rządzie i w Biurze Politycznym PZPR. Rozpatrywano tam sprawę podwyżek cen na artykuły żywnościowe, w tym mięsne aż o 80%. W czasie obrad tego żydowskiego prezydium padły tam słowa: „Trzeba potrząsnąć drzewem, żeby spadły zepsute owoce". Tymi zepsutymi owocami, które chciano strząsnąć z drzewa mieli być Gierek i Jaroszewicz.

Wytypowane zostały zakłady, w których dojdzie do rozruchów, a więc będzie to Ursus i radomski Walter oraz Naftoremont.

Oszołomiony tą informacją z początku nie mogłem uwierzyć, że możliwe jest takie manipulowanie załogami robotniczymi.

Jednak po dwóch dniach słyszę w Sejmie jak Premier Jaroszewicz mówi, że mięso i jego przetwory zdrożeją o 69%, a drób o 300%, oraz, że towarzysz Pierwszy Sekretarz Edward Gierek popiera te podwyżki.

Następnego dnia po wystąpieniu Premiera Jaroszewicza, tj. 25 czerwca dochodzi do fali strajków i protestów w Radomiu, Ursusie i Płocku. 26 czerwca odbywa się telekonferencja Edwarda Gierka z Pierwszymi Sekretarzami Komitetów Wojewódzkich PZPR. Gierek mówi: „Uważam, że w ciągu dnia jutrzejszego i w poniedziałek muszą odbyć się we wszystkich miastach wojewódzkich masowe wiece. Nawet po sto tysięcy ludzi, muszą to być ludzie dobrani. W oparciu o dobrany materiał muszą towarzysze powiedzieć, że nie popierają metod chuligańskich i narzuconej woli niewielkich grup. Towarzysze, jest to potrzebne jak słońce, jak woda, jak powietrze. Jeśli tego nie zrobicie to będę musiał się zastanowić".

W książce Albina Siwaka podobnych cymesów jest więcej, ot chociażby cudnej urody dialog towarzysza Albina Siwaka z towarzyszem Wojciechem Jaruzelskim:

„W trakcie pełnienia funkcji szefa Komisji oraz członka Biura Politycznego, generał zaproponował mi przewodniczenie polskiej delegacji na Zjazd Partii w Kampuczy. A to ze względu na zdobycie nowego doświadczenia i poznania tego egzotycznego kraju, chętnie się zgodziłem. Po powrocie poszedłem do niego, by zdać mu relację z tej wizyty, a on przywitał mnie pochwałą: Wiem, że przyjęto wasze wystąpienie bardzo dobrze i dużo rozmawialiście z Pierwszym Sekretarzem i członkami ich Biura Politycznego. Następnie zapytał mnie: co ciekawego zauważyliście w ich życiu i działalności? Zwięźle i konkretnie przedstawiłem generałowi przebieg całego Zjazdu, oraz tematy poruszane w czasie naszych rozmów.

- Czy już wszystko – spytał - innych uwag nie macie?

- Mam, ale wolałbym ich nie przedstawiać, bo nie chcę was towarzyszu zdenerwować.

- Mimo to, proszę powiedzcie mi, o co chodzi, bo nie lubię niedomówień.

- Oni, towarzyszu generale, cieszą się z faktu, że są inną rasą niż my Europejczycy i,

że nikt z Europy nie może wmieszać się w ich władzę.
- A konkretnie, o kogo im chodzi?

- Konkretnie o Żydów. Oni bardzo dokładnie wiedzą, co Żydzi robili w ZSRR będąc w NKWD i kto to był Beria. Znają też nazwiska naszych Żydów w Polsce i tych, co w Ameryce doszli do fortun i władzy. I z tego są szczęśliwi, że ich ten rak - jak sami mówili - nie toczy. Jaruzelski pomyślał chwilę i odrzekł:

- To nieprawda, że nie mają swojego raka. U nich tym rakiem są Wietnamczycy i oni mogą się w ich rasę wmieszać. A w ogóle, rozumując jak wy, towarzyszu Siwak, doszlibyśmy do podważenia przyjaźni między narodami. A przecież chodzi nam o dobre stosunki i przyjaźń między narodami.

- Towarzyszu generale (przerwałem niegrzecznie), dlatego nie chciałem wam o tym mówić, ale skoro już o tym mowa to uważam, że dobre stosunki między narodami to sprawa, o którą warto i trzeba walczyć i umacniać te stosunki. Natomiast sprawa, nazwijmy to mniejszości narodowej, i to takiej, która wcale pięknie się nie zapisała w naszej historii, to jeszcze inny problem. Dlatego proszę was, poprzestańmy na tym, co już zostało powiedziane.

Ta rozmowa umocniła generała w przekonaniu, że jestem źle do Żydów nastawiony, sam tolerował ich, a często nawet głośno mówił, że Żydzi są inteligentniejsi od Polaków. O tym, że tak sądził, świadczyć może sprawa Urbana, któremu powierzył funkcję Rzecznika Prasowego rządu".

I kolejny cymesik w tym samym klimacie:

„Mój kolega z MSW, stwierdził tak: Wielu generałów, którzy chcieli awansować, dało namówić się na żony Żydówki, bo one były gwarancją, że będą lojalni. Mój przyjaciel, generał Wacław Czyżewski, wyjaśnił mi tę sprawę tak: kiedy skończyłem studia i awansowałem, to wezwano mnie do kadr i mówią: „Towarzyszu generale, zapowiadacie się na dobrego dowódcę i jest przed wami duża przyszłość, ale musicie rozwieść się z żoną, a my wam damy inną - nie Polkę. Oczywiście, że odmówiłem, bo po pierwsze, mieliśmy już troje dzieci, a po drugie, sam sobie żonę wybrałem i nie pozwolę, by ktoś mi dyktował w tych sprawach. Oczywiście, że to zaważyło na moich awansach. Byliśmy z Moczarem przyjaciółmi i wszystko o sobie wiedzieliśmy – mówił generał Czyżewski. Przecież całą okupację dowodziliśmy partyzantką na Lubelszczyźnie i tajemnic przed sobą nie mieliśmy. I ten głupi Mietek uległ im i rozszedł się z żoną Polką. Przez całe życie tego gorzko żałował i zmądrzał dopiero przed śmiercią, gdy stwierdził: „Pochowajcie mnie między Polakami na Porytowych Wzgórzach" *(Porytowe Wzgórze - miejsce bitwy partyzanckiej w 1944. Położone na Równinie Biłgorajskiej, nad Branwią, 15 km na południe od Janowa Lubelskiego)*

Książka Albina Siwaka dzięki zbiegowi okoliczności stała się białym krukiem, nieosiągalnym w antykwariatach, ani na słynnym Allegro. Komu uda się do niej dotrzeć, dowie się wielu interesujących rzeczy o Kani, Jaroszewiczu, aferze Żelazo, czy innych ciekawostkach PRL-u. Leży u mnie w skrzyni, wraz z innymi wspomnieniami dawnych towarzyszy, stanowiąc swoisty park jurajski. Kogóż tam nie ma: Jaruzelski, Ochab, Rakowski, Kania, Urban, Moczar, Gierek, Kiszczak, Jaroszewicz i inni.

Razem na sobie i obok siebie. Jak za dawnych dobrych lat w komitywie i egzekutywie. Wprawdzie od czasu do czasu wieko skrzyni zdaje się drżeć i telepać, ale to zrozumiałe - walka o socjalizm przecież wciąż jeszcze trwa. Ze światem jurajskim mastodontów PRL-u łączy jedno: zatrzasnęło się nad nimi wieko historii. Jako skamieliny i eksponaty (w niektórych przypadkach nawet chodzące), wzbudzają mocno umiarkowane zainteresowanie, a czasami wręcz rozbawienie, kiedy po moczarowsku, zaglądają sobie w portki, dokonując przeglądu stanu nienaruszalności przyrodzenia.

Świat, który tworzyli towarzysze PZPR-u już prawie nie istnieje. Nadeszło nowe – stare. Dziadków i ojców zastąpiły dzieci i wnuki, czasami zmieniając nazwiska, ale nadal ta sama rasa „Panów".

Rozdział II

KONIE, LUDZIE I REWOLUCJA

Jeśli chodziło o mojego ojca i jego braci, to uważam, że warto o nich napisać, gdyż mieli niezwykle ciekawe życie. Młodzi ludzie, którzy będą to czytać, mogą nie wierzyć, że kiedyś służyło się w wojsku dwadzieścia lat, a czasem i dłużej.

Często zdarzało się tak, że idąc do wojska młody człowiek pozostawiał żonę w ciąży, a gdy wracał z wojak, to dziecko wyrastało na dorosłą pannę lub kawalera, zakładało rodzinę i miało własne dzieci. Wielu z rówieśników mego ojca doświadczało tego. Każdy był szczęśliwy, jeśli w ogóle wrócił i nie zginął na wojnie prowadzonej przez cara. Ale nikt już nie mógł im oddać najlepszych lat życia, które spędzili z dala od najbliższych. Nikt nie wynagradzał im dwudziestu lat ciężkiej służby.

W tamtych czasach nie było rzecznika praw obywatelskich lub innego urzędu, który by wziął w obronę takiego człowieka. Żołnierz armii carskiej miał wielkie szczęście, jeśli jego jednostka stacjonowała w Guberni Warszawskiej lub blisko dawnych granic Polski. Wtedy mógł prosić o jeden urlop, żeby zobaczyć swoich bliskich. Jeśli jednak ktoś służył w głębokiej Rosji, to nie miał na urlop żadnych szans.

Mój ojciec szedł do wojska tego samego dnia, co i jego bracia. Któregoś dnia do wsio przyjechali Kozacy na koniach i spędzili całą męską młodzież do urzędu gminy. Tu lekarze robili pierwszy przegląd, który decydował o tym, czy młody człowiek nadaje się do wojska. Następnie gmina udostępniała wojsku furmanki o pod konwojem Kozaków wieziono młodzież do stacji kolejowej, a potem pociągiem do Warszawy. Tu już inna komisja lekarska dokładnie badała poborowych i przydzielała do różnych formacji.

Brata ojca, Antoniego, lekarze uznali za bardzo rzadki przypadek. Miał żebra 08zrośnięte na brzuchu i był wyjątkowo mocny. Ta jego siła znana była najpierw rodzinie, a następnie w okolicy. W domu przejawiało się to tym, że worki ze zbożem, ważące po sto kilogramów sam sobie zarzucał na plecy. Kiedy na wiosnę wyrzucano obornik z obory, on za jednym razem ciągnął pół obory tego gnoju na zewnątrz. Jeśli wóz konny z ładunkiem wpadł w głębokie błoto, a kiedyś nie było w gminie dróg innych jak ziemne, więc podczas deszczów wozy lgnęły w błocie razem z osiami, wtedy wołano Antka, a on przenosił wóz w lepsze miejsce.

Więc na tej komisji w Warszawie Antka od razu skierowano do Moskwy, a następnie aż za Bajkał. Tam sformowano jednostkę z ludzi tak samo mocnych jak Antek. Najpierw uczono i przygotowywano do zadań, jakie mieli wypełniać. Następnie wydano im konie ze sprzętem, jaki był potrzebny do tych zadań.

Wtedy na ogromnych obszarach poza Bajkałem żyło dużo dzikich koni. Były to konie niesłychanie odporne na trudy biegu i galopu. Nie męczyły się tak szybko jak konie hodowane przez ludzi. W tym czasie większość armii carskiej stanowiła piechota i jazda.

Kozacy, którzy służyli w wojsku przez całe swoje dorosłe życie, mieli własne konie. Jeśli Kozak był w armii przez dwa lata, to i koń służył razem z nim. Następne dwa lata Kozak spędzał w domu razem ze swym koniem. A car chciał mieć jazdę regularną. I te dzikie konie nadawały się do tego doskonale. Rzecz 27 w tym, że należało je złapać, przyprowadzić do stajni i oswoić, a następnie nauczyć konia, żeby właściwie reagował na rozkazy wydawane przez trębacza.

Każdy z jednostki Antka musiał złapać na lasso dzikiego konia. Podejść do niego i nie dać się zabić. Założyć munsztuk na łeb i pysk i zaprowadzić do stajni. Następnie uczono konie dyscypliny, to znaczy tego, że muszą się słuchać człowieka i wykonywać jego polecenia. Potem czekało go siodło i poznanie tego, co oznacza musztra wojskowa. Konie uczyły się, co mają robić na każdy dźwięk trąbki, chociażby człowiek, którego wiozą, przestał nimi kierować. To o wiele trudniejsze niż uczyć nawet najbardziej tępego człowieka. Człowiek bowiem rozumie mowę drugiego człowieka, a dziki koń początkowo tej mowy nie rozumie w ogóle.

Bardzo lubiłem, jako młody chłopiec, słuchać stryja, który o tym opowiadał. Opowiadał, że służył już ponad dziesięć lat i ze ani razu nie był na urlopie, bo służył zbyt daleko od domu. Ale listy dochodziły i do stryja i od niego do domu w Polsce. Co prawda taki list szedł miesiąc w jedną stronę, ale dochodził.

Któregoś dnia otrzymał list od swojego ojca, w którym ten pisał mu,. Że jego koń nażarł się ziarna żyta i popił wodą. Potem pękł mu żołądek. Takie zjawisko zdarza się na wsi często, jeśli zwierzę dojdzie o ziarna żyta.

Stryj siedział na ławce przed koszarami i czytał ten list, martwiąc się jak teraz ojciec poradzi sobie bez konia. Tak się przejął treścią tego listu, że nie zauważał przechodzącego obok oficera.. Za czasów carskich oddawanie honoru oficerowi było szczególnie ważne i surowo karano żołnierza, który nie dopełnił tego obowiązku.

Trzeba tu też dodać, że nie było to takie proste i łatwe, jak mogliby myśleć współcześni żołnierze. Nie wystarczało stuknąć obcasami i przyłożyć rękę do daszka czapki. Wtedy należało się nauczyć na pamięć cały szereg zasług tego oficera, podkreślić jego szlachetne urodzenie, a im wyższa ranga oficera tym było z tym gorzej. Taki z wysoką rangą oficer miał mnóstwo zasług, medali oraz liczne tytuły. Wszystko to trzeba było znać na pamięć i dobrze wyrecytować przy oddawaniu honoru.

Mój ojciec opowiadał mi, że dwa lata służył jako wartownik w pałacu cara. A służył tam dlatego, że dobierano do tej służby ludzi, którzy płynnie i dobrze mówili. Taki wartownik musiał też być określonej urody – a to znaczyło, że musiał być to blondyn z niebieskimi oczami. Wszyscy musieli być tego samego wzrostu i mieć podobną wagę ciała. Tu dopiero było sztuką oddawanie honorów carowi i jego rodzinie. Parę minut trwało wyliczanie wszystkich zasług, orderów i szlachetnego urodzenia cara.

Bywało, że na klatce schodowej, gdy car przechodził i żołnierz zaczął oddawać honory, to car już dawno był w pokoju lub o piętro wyżej, a żołnierz dalej recytował formułkę.

Wracając jednak do stryja – nie oddał oficerowi honoru, ten zawrócił i podszedł dom stryja. Spytał, dlaczego mu nie zasalutował. Przestraszony stryjek zaczął to robić, ale oficer przerwał mu i znów spytał, co było powodem, że nie oddal mu honoru. „Znam cię od wielu lat – mówił oficer – i wiem, że jesteś bardzo zdyscyplinowany". Bojąc się kary, jaka mogła go spotkać, stryj nie wiedział, co powiedzieć. Oficer zauważył jednak list w ręku stryja i poprosił, żeby mu go oddał. Stanął obok i czytał.

List był pisany po rosyjsku, bo wtedy nawet dzieci w Polsce uczono pisać i czytać po rosyjsku. Po polsku uczono tylko w domach. Gdy oficer przeczytał ten list, to powiedział, żeby stryj nie bał się kary. „Rozumiem, że przejąłeś się tą wiadomością. Ale ja wiem, jak pomoc twemu ojcu – powiedział oficer – podaj mi dokładny adres ojca". Stryj napisał mu adres na kopercie. Oficer wziął kopertę poszedł.

Antek nie wiedział wtedy, jak chce on pomoc jego ojcu, ale wierzył, że coś zrobi. Miał dobrą opinię wśród żołnierzy, którzy mówili, że niejednemu pomagał. Na drugi dzień przyszedł do stryja żołnierz Litwin, który służył w biurze tego oficera i powiedział, że oficer rozkazał mu, żeby zamówił rozmowę z gubernatorem kraju nadwiślańskiego, w Warszawie. Wtedy zamiast nazwy Polska używano terminu „kraj nadwiślański", a okręg warszawski, to była Gubernia Warszawska.

„Po paru godzinach – mówił żołnierz – udało się połączyć z Warszawą i poprosiłem oficera do telefonu. Po wymianie pozdrowień i przedstawienia, kim jest, mój oficer powiedział: „Mam tu żołnierza z waszej guberni. To bardzo dobry żołnierz. Przez dziesięć lat nałapał dużo dzikich koni i nauczył je musztry. To żołnierz zasłużony dla cara – dodał – Jego ojcu na wsi zdechł koń. I żołnierz bardzo się martwi o to, jak ojciec ziemię zaorze. A pieniędzy na kupno nowego konia nie ma. Wiem, że pod Warszawą stacjonują nasi Kozacy. A skoro są Kozacy to są i konie. Proszę was, żebyście dali jego ojcu konia za darmo" i to podkreślił. Mówię ci – mówił stryjowi ten żołnierz - że bardzo ciebie chwalił i na pewno twój ojciec tego konia dostanie".

I rzeczywiście tak było. Pewnego dnia do wsi przyjechał Kozak na koniu, prowadząc

drugiego konia na lince. Rozpytywał się po wsi, gdzie mieszka Franciszek Siwak, który w armii ma trzech synów. Wskazano mu dom, wjechał na podwórko i spytał: „Wyście Franciszek Siwak?”. „Tak, to ja”. „Syna masz Antoniego?”. „Tak, mam”. „No, to bieri łoszad”. I podał linkę, na której był uwiązany koń. Nie zsiadając z konia podał papier i powiedział: „Bumagu padpiszi”.

Tak więc ojciec Antka, a mój dziadek, dostał konia od carskiej armii. Koń z początku nie chciał ciężko pracować. Nigdy nie chodził w uprzęży, zawsze pod siodłem. Ale pomalutku dziadek nauczył konia orki i był z niego zadowolony.

W tamtych czasach, żeby coś kupić do domu, trzeba było najpierw uskładać jajek, narobić serów i śmietany, jechać do Mińska Mazowieckiego, było to najbliższe miasto, sprzedać swoje artykuły i kupić cukier, sól i naftę.

W targowy dzień dziadek i babka pojechali na targ tym koniem. Co mieli to sprzedali, kupili co trzeba i wracali do domu.

Ledwie wyjechali z miasta i już napotkali na polach Kozaków, którzy właśnie stacjonowali w Mińsku Mazowieckim. Kozacy właśnie zaczęli robić ćwiczenia całymi sotniami. Trębacz coś zagrał na trąbce, a koń dziadka zrobił skok przez rów razem z wozem. W ogóle przestał reagować na lejce i popędził galopem przez pole. Zakupione rzeczy pospadały z wozu. Babka była ledwie żywa ze strachu i trzymała się kurczowo, żeby nie wypaść z wozu. Dziadek ściągał lejce, a koń nie reagował. Okazało się, że trębacz grał sygnał „zbiórka w szeregu”. Koń, nie dbając o wóz, ustawił się równo wśród innych koni kozackich jak pod sznurek. Kozacy śmieli się, bo poznali swego konia. Dowódca kazał zagrać sygnał „rozejść się” i dopiero wtedy koń dał się kierować lejcami. Więcej nim do miasta nie jeździli.

Po rewolucji stryjek wrócił do domu, a ten sam koń był jeszcze u dziadka. Stryjek pokazywał na wsi chłopom, co koń może robić. Nauczył go tańczyć w miejscu, skakać przez parkany i przeszkody. Koń przychodził z pastwiska na sygnał od stryjka. Ale i przy stryjku wydarzył się podobny wypadek, jaki miał dziadek w mieście.

Na wsi byli również gospodarze biedni, którym nie opłacało się żywić konia. Tacy chodzili do tych, którzy mieli konie, na odrobek. Trzy dni pracy człowieka za dzień pracy konia – taka była stawka. Stryjek dał konia gospodarzowi pod Pustelnikiem, który chciał zabronować posiane żyto. A w Pustelniku stała polska kawaleria. Stałe miejsce pobytu miała polska kawaleria w Mińsku Mazowieckim w tych samych stajniach i koszarach, co sotnie kozackie za cara. Ale akurat wtedy dowództwo wysłało na parę tygodni parę szwadronów w teren.

Kawalerzyści stacjonowali w Stanisławowie i w Pustelniku łamiąc serce niejednej pannie. Kawaleria była piękna, kolorowa, ułani mieli błyszczące lampasy i szable.

Kiedy gospodarz bronował, obok droga galopem pędziła właśnie ta kawaleria. Koń wyrwał się z rąk gospodarzowi i ruszył w galop za końmi. Ale miał uczepioną bronę, która uwięzła między drzewami i koń musiał stanąć. Do końca życia pamiętał to, co robią konie wojskowe i to bez względu, czy to byli Kozacy rosyjscy, czy polska kawaleria.

Pewnego razu, w czasie żniw, stryj wracał z pola. Niósł kosę na ramieniu i prowadził za uzdę konia. Koń był brudny, bo na polu w czasie żniw kurzy się bardzo. Stryj ubrany był w koszulę lnianą i takie same spodnie – tak wtedy ubierali się chłopi. Szwadron, który stacjonował w Pustelniku, robił wtedy ćwiczenia. Polegały ona na tym, żeby konie z jeźdźcem pokonywały coraz wyższe przeszkody. A przeszkodą był długi drąg drewniany trzymany przez dwóch żołnierzy. Stryjek stanął i przyglądał się, jak dowódca tego szwadronu chce pokonać przeszkodę na wysokości pasa żołnierzy, czyli nieco ponad metr. To dla konia śmiesznie niska przeszkoda.

Co oficer podjedzie do żerdzi, to koń staje i oficer spada z siodła. Śmieją się żołnierze, a oficer bija konia pejczem i bodzie ostrogą. Koń coraz bardziej zdenerwowany w ogóle nie chce skakać przez przeszkodę. Oficer tak zdenerwował konia, że ten aż cały dygotał.

Stryjek uwiązał swego konia do drzewa i położył kosę na ziemi. Podszedł do oficera i

mówi:

- Panie, tak nie wolno postępować z koniem. On już dziś z panem nie skoczy i nie bij pan konia, bo wina jest pańska.

Cały szwadron słuchał stryjka i wszyscy śmiali się, że wreszcie ktoś odważył się powiedzieć ich oficerowi prawdę. Oficer nie mógł tego spokojnie znieść. Takiej obrazy byle cham nie może mówić oficerowi i to nas oczach podwładnych. Zamachnął się pejczem i chciał stryja uderzyć. Ale nie wiedział, na kogo trafił.

Stryjek złapał go za rękę i wyrwał pejcz. Rzucił go obok, ale oficer wyciągnął z pochwy szablę.

- Ty zasrany chamie! - krzyknął – Ty chcesz uczyć polskiego oficera jak ma jeździć na koniu? Ja ci zaraz dam szkolę.

I chciał płazem uderzyć stryja tą szablą. Ale i tym razem szabla poleciała na bok ku zdumieniu całego szwadronu i oficera.

- Kto ty jesteś, że podnosisz rękę na oficera – krzyczał oficer – ja cię chamie każę zamknąć do aresztu i będziesz siedział.

- Panie – mówi stryjek spokojnie – rękę to pan na mnie podniósł, a nie ja na pana i wszyscy to widzieli. Bronić się mam prawo. Dobrze, że nie wyrwałem panu ręki wraz z szablą, bo i tak mogło się zdarzyć.

- Co takiego? Że rękę mogłeś i wyrwać? – pyta.

- Mogłem, ale nie chciałem – odparł stryjek - ja konia położę za uszy na ziemi. Rozumie pan?

- To niemożliwe – zakrzyczał oficer – ja cię chamie zaraz sprawdzę. Masz mego konia i połóż go na ziemi.

Podał stryjkowi lejce.

- No, kładź, kładź, jeśliś taki mocny.

- Panie tego konia szkoda. To dobry i ładny koń. A ja mogę mu wyrwać uszy, jeśli się nie położy. Daj pan każdego innego, to panu pokażę.

Przyprowadzono innego konia i stryjek ujął go za oba uszy. Koń zakwiczał z bólu i przewrócił się na ziemię.

- No widzisz pan, że mogłem wyrwać panu tę rękę – powiedział stryjek.

Oficer zamarł w bezruchu, tak jak i jego żołnierze.

- A teraz daj pan swojego konia i pokażę co on potrafi.

Koń – opowiadał stryjek to bardzo mądre zwierzę. Ale trzeba umieć z nim postępować. Trzeba znać psychikę konia i wiedzieć jak postępować w każdej sytuacji, jaka może się zdarzyć.

Kiedy wziął za lejce konia, to ponad piętnaście minut chodził z koniem idąc obok jego łba i mówił do niego. Poklepywał go i głaskał, aż koń zarżał radośnie. Wtedy boso, w siermiężnych portkach wskoczył na siodło. Zrobił koniem parę kółek i poprosił żołnierzy, żeby wzięli żerdź pod pachy, czyli o pól metra wyżej niż wtedy, gdy koń parę razy nie chciał skoczyć z oficerem. Ale oficer zatrzymał stryjka.

- Jak połamiesz mu nogi, to komornik zlicytuje ci gospodarstwo. To drogi koń - mówił oficer

- Dobrze. A ta gospodarka to moja – pokazywał stryjek i jeździł dalej w koło.

Koń, który boi się przeszkody i nie chce skakać przez nią, nie lubi iść na przeszkodę wprost. Ale z ukosa pójdzie. Tak też zrobiłem - wspomina stryjek.

- Uwaga z żerdzią. Będę skakał - krzyknął stryjek i puścił konia galopem, skosem na drąg.

Koń nawet nie trącił żerdzi. Za przeszkodą, zadowolony z siebie, wesoło zarżał i pomachał łbem. Stryj zeszedł z konia i podał lejce oficerowi.

- Ten koń – powiedział – jest inteligentniejszy niż pan. Pan go nie rozumie. On czuje w panu złego człowieka. Denerwuje go pan i wtedy koń nie robi tego, co trzeba.

Część żołnierzy, którzy to widzieli i słyszeli, zaczęła bić stryjowi brawa. A on zabrał konia i kosę i poszedł do domu. Tydzień po tym wydarzeniu na podwórko wjechali konno major i rotmistrz z Mińska Mazowieckiego.

- Szukamy Antoniego Siwaka – wykrzyknęli.

Dziadek pokazał na pole i powiedział:

- Orze właśnie w polu.

Podjechali – wspominał później stryjek – i zsiedli z koni. Myślał, że chcą go aresztować za to, co powiedział oficerowi w Pustelniku. Ale major spytał się:

- Pan Antoni Siwak?

Jeśli major mówi mi na „pan", to znaczy nie ma zamiaru mnie zamykać – pomyślał stryj.

Wtedy do chłopa na wsi nie mówiło się „pan", a już na pewno nie mówił tak oficer. Major wyciągnął rękę i przywitał się ze stryjem.

- Panie Siwak, po tym zajściu z oficerem, myśmy sprawdzili, kto pan jest i skąd takie kwalifikacje pan posiada, nie mówiąc już nic o sile. No i wyszło nam, ze w województwie warszawskim nie ma takiego drugiego. Pan tu się marnuje, szkoda pana do orania tej ziemi. Może dogadamy się i będzie uczył pan nasze konie, a jak trzeba to i niektórych oficerów – mówił major – proszę oto adres, gdzie będziemy na pana czekać i uzgodnimy warunki zatrudnienia.

Podał papier, na którym to wszystko było zapisane, pożegnał się ze stryjem i odjechał.

W tamtych czasach każda państwowa posada była dobrze płatna. Jeden z synów drugiego ze stryjów pracował na torowiskach kolei jako majster- brygadzista. Jego zarobki były takie, że za miesiąc swej pracy mógł kupić najładniejszą krowę i jeszcze zostałoby mu trochę pieniędzy. „Dobrze byłoby podratować gospodarkę takimi pieniędzmi" - myślał stryjek. Ale i ziemia wymagała gospodarza, gdyż dziadek był coraz słabszy. Uradzono, że na stałe nie pójdzie do pracy w wojsku, ale od czasu do czasu może im pomagać. Tak więc, gdy pojechał do sztabu, to uradzono, że dwa dni w tygodniu będzie spędzał w koszarach i otrzyma sto dziesięć złotych na miesiąc plus ubranie i wyżywienie.

Zaczął naukę od ludzi. Parę dni zajęło mu, by synom chłopów ze wsi wyjaśnić, czym jest koń. Z początku wydawało im się, że oni też znają to zwierzę, bo przecież urodzili się obok stajni. Ale szybko przekonali się, że nie znają konia. To, że pracowali z końmi na polu wcale nie świadczyło, że wiedzą, co koń zrobi w czasie walki. Jak zachowa się w natarciu, gdy żołnierz będzie miał zajęte obie ręce, lub, co zrobi koń, gdy żołnierz będzie ranny.

Tematów było sporo i pułkownik, który przysłuchał się przez kilka dni temu, co stryj mówił, podsumował to tak:

- Ja sam, choć jestem starym kawalerzystą, o tych sprawach nie wiedziałem. Ale to jest, moi drodzy, dopiero część nauki. Teraz będziecie się uczyć, jak traktować konia, żeby, jeżeli spadniecie z niego, nie zostawił was na ziemi, żeby wam pomógł – zakończył pułkownik.

„Uczyłem ludzi i konie – opowiadał stryjek – ludzie są różni i zwierzęta też są różne. Bywa, ze człowieka nie sposób nauczyć, bo jest antytalentem. Ale i zwierzę też ma swój charakter i bywa, ze trzeba takiego konia z wojska zdemobilizować. Co byście zrobili, gdyby wasz koń w pełnym galopie na przeciwnika potknął się o własne przednie nogi i runął łbem na ziemię? Nic. Wasi koledzy, jadący z tyłu stratują was na śmierć. A u koni jest to częsta wada. Lub szarżujecie na linii frontu paroma szwadronami, a gdy przeciwnik jest blisko i wymachuje gołą szablą, a spośród was, w tej właśnie chwili, paru kolegów krzyczy: „Mamo!", bo goła szabla, która za chwilę może was pozbawić głowy jest rzeczywiście straszna. Gorsza od kuli, której nie widzisz. Wiecie jak to działa na kolegów? Łamie się szarża. Dlaczego walka na bagnety jest ostatecznością i wymaga naprawdę

wielkiej odwagi? Dlaczego do takiego ataku dowódca prosi ochotników? Bo nie każdy jest zdolny do wbijania bagnetu w brzuch przeciwnika. Sukcesy w walce na bagnety mają te plutony, w których żołnierze noszą w sercach zemstę. Oni przeżyli śmierć swoich bliskich, lub kolegów, i chcą spłacić tę śmierć. Te plutony, które idą do walki na bagnetu, którym dowódca dał rozkaz, owszem, pójdą i będą się biły, ale procent poległych wśród nich będzie o wiele większy niż w tych, które poszły jako ochotnicy".

„Trzeba było – mówił stryjek – tym młodym chłopakom wszystko to, co niezbędne w czasie walki wbić do głowy, żeby umieli walczyć i, co najważniejsze, przeżyć. Jak zwykle, w każdym środowisku znajdą się ludzie, którzy nie powinni w danym zawodzie pracować. To dotyczy wielu zawodów, a wojska szczególnie. Wśród tych, którzy w czasie tej nauki mi podlegali był młody i przystojny porucznik. Ojciec jego, zasłużony oficer Legionów, w tym czasie służbę swą pełnił przy Piłsudskim. Ale syn ojca w niczym nie przypominał"

„Miałem dwa razy – wspominał stryjek – okazję rozmawiać z jego ojcem, kiedy przyjeżdżał do nas, żeby wizytować jednostkę. Mimo, że był podpułkownikiem rannym parę razy i nosił wiele bojowych odznaczeń, to zachowywał się skromnie i lubił wejść pomiędzy żołnierzy, podać im rękę i wypytać i służbę, dom, rodzinę. Syn lubił, wbrew regulaminowi paradować w reprezentacyjnym mundurze. Z miasta często nie wracał w porę, a jeśli wracał to był pijany i wtedy kolegów wyzywał od chamów. Niejednego już żołnierza uderzył, a przełożeni go nie karali w obawie o reakcję ojca".

„Ja – mówił stryjek – nie odpowiadałem za dyscyplinę tych żołnierzy. Moim zadaniem było nauczyć ludzi i konie tego, co w wojsku jest konieczne. Ale denerwował mnie ten porucznik. Lekceważył sobie to, czego ich uczyłem. Nie chciał odpowiadać na pytania. Gdy prowadziłem ćwiczenie z paroma plutonami, on zawsze wymigiwał się od zajęć. A miał klacz - półkrwi arabkę. Piękne zwierzę i mądre. Ale on do konia w ogóle nie miał talentu. Po pierwsze, jeśli żołnierz karmi konia i czyści go, jest na co dzień przy zwierzęciu, to koń poznaje go z daleka wśród żołnierzy i objawia to radosnym, cichym rżeniem. A młody porucznik wynajął człowieka i ten dbał o konia, a on tylko na nim jeździł. I ta ładna klacz była źrebna. W wojsku są przepisy, czego wolno, a czego nie wolno z taką klaczą robić. Otóż nie wolno, jak już się ożrebi i karmi źrebię, brać jej na ćwiczenia, bo będzie zachowywać się nienormalnie. Ale do porucznika to nie docierało. Wyprowadziłem dwa szwadrony na ćwiczenia i patrzę, że pan porucznik siedzi na klaczy. Ona drepcze i kręci się, bo zostawiła źrebię w stajni. Podchodzę i mówię mu: „Proszę zaprowadzić konia do stajni i wziąć do ćwiczeń innego". Ale on mówi, że musi ją trochę przegonić, gdyż za długo stoi w stajni. „To po ćwiczeniach weź pan ją ze źrebięciem i trochę pojeździj" - mówię mu. Ale on zrobił coś innego. Wyjechał na niej sam za bramę koszar i pogalopował w pole. Ja poprowadziłem ćwiczenia, jakie były w planie, i wróciłem do koszar. Patrzę, a pana porucznika niosą na noszach. Zrzuciła go i złamał rękę. Gdy wyzdrowiał wcale nie zmądrzał. Znów na tej samej klaczy wyjechał na ćwiczenia. Źrebię już było paromiesięczne, ale klacz była niezwykle czułą matką. Widać było, że drepcze i rży. Nie chce ustać w szeregu, s on ją ostrogami bodzie i ściąga lejcami, żeby utrzymać w szeregu. Znów podszedłem do niego jak poprzednio i mówię: „Panie poruczniku, proszę zmienić konia. Na tym pan nie pojedzie". Ale on nie reaguje. Więc powtarzam jeszcze raz, że na tej klaczy za wcześnie jest ćwiczyć. Ale on zwrócił się do kapitana, który zawsze obok mnie był i dowodził w czasie ćwiczeń: „Panie kapitanie – krzyknął - proszę wydać rozkaz rozpoczęcia ćwiczeń, bo ten cham uparł się i zawziął się na mnie. Koń mój jest w porządku i ja decyduję, na jakim będę ćwiczył". Ale kapitan krzyknął: "Poruczniku, proszę zejść z konia. To rozkaz!". Gdy porucznik zszedł i stanął przed kapitanem, ten powiedział mu tak: „Myślisz pan, że jeśli pana ojciec służy przy marszałku, to panu wszystko wolno? Proszę w tej chwili przeprosić instruktora Siwaka publicznie wobec wszystkich żołnierzy. Mój ojciec też jest chamem ze wsi i mnie też pan ubliżył". Porucznik coś cicho powiedział, ale kapitan przerwał mu mówiąc: „Tak samo głośno niech pan przemówi jak poprzednio. Mają to wszyscy dobrze usłyszeć". Tym razem czerwony na twarzy porucznik przeprosił głośno.

„Dziś pan nie pojedzie na ćwiczenia – powiedział kapitan – proszę konia odprowadzić

do stajni”.

„Po paru dniach przyjechał podpułkownik – ojciec porucznika. Był już po rozmowie z kapitanem. Wezwano mnie na rozmowę do niego. Przywitał się ze mną i mówi: „Panie Siwak. Chcę pana za syna przeprosić. Młody i głupi. Usłyszał ode mnie, co o nim myślę. Jeśli coś podobnego się powtórzy, to każę do odesłać do cywila. Pan zrobił, co należy i mogę tylko podziękować panu za pracę, jaką pan tu dla dobra swojska wykonuje”.

„Miesiąc po tej rozmowie wydarzyło się coś takiego, po czym ojciec nie musiał już przenosić syna do cywila. Kończył się już okres opieki nad źrebakiem. Było już samodzielne i należało już je zabrać od matki. Więc kiedy znów parę szwadronów stanęło na placu i mieliśmy wyjechać na pole na ćwiczenia i pan porucznik ustawił się w szeregu na tej klaczy, to ja już nie kazałem odstawiać mu jej do stajni, ale podjechałem na swym koniu do kapitana i powiedziałem: „Niech pan powie porucznikowi, żeby w czasie ćwiczeń na niej nie używał ostróg i bata”. Widziałem, że klacz stoi niespokojnie i przebiera nogami. Kapitan podjechał do porucznika i pewnie mu to powtórzył. Już poza miastem zauważyłem, że klacz nie słucha porucznika. On chcąc ją doprowadzić do porządku, uderzył ją parę razy po zadzie. Ale ona jeszcze gorzej zaczęła się rzucać, tak, że wyjechał na niej przed szwadron i próbował ją uspokoić. Ale robił to tak jak nie trzeba. Zamiast zachowywać się łagodnie uderzył ja parę razy mocno ostrogami. Zaczęła z nim tańczyć w koło i wierzgać zadem. Podjechałem do niego i krzyczę: „Panie poruczniku, Niech pan zejdzie z niej i odda innemu żołnierzowi, żeby ją uspokoił”. Ale, on zaklął siarczyście i krzyknął, że ją sam zaraz uspokoi. Widzieliśmy z kapitanem jak mocno ścisnął ją ostrogami. Klacz zarżała przeraźliwie, spięła się na tylne nogi i runęła na plecy. Nie zdążył wyjąć nóg ze strzemion i uciec. Przygniotła go całym swym ciężarem. Mimo szybkiego odwiezienia go do szpitala porucznik, zmarł.

„Prokurator, który robił później dochodzenie i przesłuchiwał świadków, powiedział: „To jest tak, jak niewłaściwi ludzie biorą się za to, o czym nie mają pojęcia, jednocześnie myślą o sobie, że zjedli wszystkie rozumy. Pan porucznik tak nadawał się do wojska, jak ja do baletu”.

„Już po pogrzebie tego porucznika przyjechał do nas jego ojciec i kazał wyprowadzić klacz. „Ona jest niewinna - powiedział – ale w wojsku już nie zostanie. Który z was, żołnierze, chce tę klacz?”. Wystąpiło wielu żołnierzy i widząc to pułkownik zarządził losowanie. „Ten, który wyciągnie szczęśliwy los dostanie nie tylko klacz, ale i źrebię” - ustalił pułkownik. I taks było. Przypadła żołnierzowi z miasta położonego daleko za Stanisławowem. Dostał parę dni urlopu i zaprowadził ją do swojego ojca”.

Tak w życiu bywa i to dość często, że dana nam przez los, naturę lub Boga wyjątkowa cecha charakteru, zdolność, zdrowie czy siła, jeśli się z niej korzysta nierozważnie, może być przyczyną naszego nieszczęścia.

Kiedy stryjek po rewolucji wrócił do domu, do swego ojca, dom okazał się za mały, żeby wszyscy mogli w nim mieszkać i żyć. Naturalną rzeczą było odchodzenie na swoje. Ale to swoje trzeba było najpierw wybudować. Więc zaczął stryj zwozić kamienie na fundament pod swój dom. Nie były to jednak zwykle kamienie. To były olbrzymie głazy. Takie głazy układa się bez zaprawy pod drewniany dom. Trzeba je było najpierw załadować na polu do wozu. Później przetoczyć pod dom i ułożyć. Robił to wszystko stryjek sam wierząc w swoje siły. Naciągał sobie taki głaz na kolana, a następnie z kolan na wóz. Robił to przez wiele dni i odgniótł sobie ciało do kości powyżej kolan. Skrócił sam sobie życie – jak mówił później lekarz.

Trzeci brat mego ojca był inny. Toteż komisja lekarska w Warszawie dała mu inny przydział do wojska. Dobrze strzelał. Od młodości miał ten talent. Kiedy we wioskach robiono polowania, to on był w nagonce, żeby straszyć zające i sarny. Bywało, że strzelającym, a byli to przeważnie rosyjscy oficerowie i Polacy, właściciele dużych majątków ziemskich, często zwierzyna uciekała, mimo, że kilka razy do niej strzelali. A ponieważ wiedzieli, że stryj strzela celnie, to dawali mu broń i Michał trafiał chociażby zwierzyna była daleko.

„Ot, maładiec" - mówili i klepali go po plecach. Toteż w wojsku zdobył tytuł najlepszego strzelca. Brał udział w zawodach, na których obecny był car Rosji. Otrzymywał zegarki jako nagrody za najlepsze strzelanie w dywizji.

W związku z tym dowództwo przekazało go innej jednostce. Zbudowano pociąg pancerny, w którym było dużo karabinów maszynowych i działek. Pociąg był bardzo mocno opancerzony. Nie straszne mu były pociski z działek, jakie wówczas istniały. Załogą tego pociągu byli elitarni żołnierze i oficerowie. Przeważnie synowie bogatych ziemian i kupców. Stryj Michał trafił tam, ponieważ doskonale strzelał.

Jak wspominał, to jedzenie było tam bardzo dobre. Zapas wódki zawsze był bardzo duży, a czaje żadnych nie było. Pociąg kursował między Moskwą a Petersburgiem. Często stał przez parę dni w jakimś miasteczku. Po prostu żyć i nie umierać. Nie tylko, że załogę stać było na wystawne życie i pijaństwo, ale i na kobiety. Często wożono przez parę dni kilka dziewczyn, którym oczywiście płacono.

Stryj wspominał, że wcześniej odczuwał biedę w wojsku. Ubogie racje żywnościowe i dużo zajęć. Tu było zupełnie inaczej – wszystkiego w bród i żadnych zajęć. Ludzie jednak mówią, że co dobre to krótko trwa i szybko się kończy. Tak też było z tym pociągiem. Zaczęły się w miastach bunty i rewolucja. Pociąg miał załogę złożoną z ludzi bogatych, a ci rewolucji nie popierali. Odwrotnie – walczyli z bolszewikami.

Stryja nikt nie pytał, czy chce walczyć. Siłą rzeczy był po stronie białych. Hasła pisane na ulotkach głosiły, że wszyscy nie-Rosjanie wcieleni do wojska są wolni, bo rewolucja czyni ich kraje wolnymi. Dlatego stryjkowi było bliżej do tych, którzy robili rewolucję, bo dawali oni Polsce i pozostałym zagarniętym krajom wolność. Stryj Michał służył już w wojsku czternaście lat i chciał wrócić do domu. Nie mógł jednak tego mówić, ani cieszyć się z rewolucji. Między białymi i czerwonymi toczyły się krwawe walki. Ale załoga pociągu ciągle miała raj nie służbę.

Jakąś drogą dowiedział się generał, kto jemu podlegał i musiał się dowiedzieć, że w pociągu wożone są dziewczyny. Pociąg otoczyła żandarmeria, a generał z resztą żandarmów zaczął go przeglądać. Żandarmi wyrzucili nieubrane dziewczyny, wyleciały butelki i skrzynki z wódką na pole, obok torowiska. Fruwało pierze z podartych przez żandarmów pierzyn i całe pęta kiełbas wylatywały z okien. Generał zebrał załogę na polu przed pociągiem i krzyczał: „Żołnierze i oficerowie giną w walce z bolszewikami. Najlepsi synowie Rosji. A wy zrobiliście z pociągu burdel. Kurwy sobie wozicie dla przyjemności. Magazyn z wódką macie i ponad normę jedzenia. Dowódca pociągu – krzyczał – wystąp!".

Dowódcą był pułkownik, który akurat był pijany i nawet nie mógł ustać o własnych siłach. Podtrzymywał go kapitan. Gdy chciał oddać generałowi honory, to język całkowicie mu się poplątał. Generał podszedł do niego i zerwał mu oba pagony. „Powinienem cię łajdaku rozstrzelać. Ale niech zrobi to sąd polowy". I pułkownika zabrali żandarmi do taczanki zaprzężonej w trzy konie. A generał dalej krzyczał:

- Z pociągu zrobiliście burdel, hotel dla kurew. Kto dowodzi poszczególnymi wagonami? - zapytał.

Wystąpił tu kapitan, który podtrzymywał pijanego pułkownika i melduje:

- Każdym wagonem dowodzi porucznik i ma zastępcę podporucznika. Ja zastępowałem pułkownika, jeśli go nie było w pociągu.

- To dlaczego żeście tolerowali ten burdel jako zastępca?

- Pociągiem rządził pułkownik i nie pozwalał się wtrącać - mówił kapitan – dostałem naganę, jak raz wyrzuciłem te kurwy z pociągu.

Generał przeszedł się wzdłuż ustawionych żołnierzy, popatrzył i powiedział:

- Degraduję was, kapitanie, do stopnia porucznika. Poruczników do stopnia podporuczników. Nowy dowódca pociągu przyjedzie do was jeszcze dziś.

I tak skończył się raj. Pociąg wysłano pod Petersburg. Tam toczyły się największe bitwy, dużo ludzi ginęło po obu stronach. Ale załoga pociągu nie brała udziału w bitwach,

bo nie wolno było opuszczać pociągu. A wojska rewolucyjne podchodzić do pociągu nie chciały, gdyż miały uzbrojenie, które nie mogło mu szkodzić.

Natomiast siła pociągu pancernego była, jak na tamte czasy, ogromna. Każdy wagon pancerny posiadał cztery działka i cztery karabiny maszynowe. W pociągu były cztery wagony, w których też byli strzelcy z normalnymi karabinami. Parę razy konnica czerwonych chciała z zaskoczenia podjechać do nas i wszyscy zginęli ci, co chcieli zdobyć pociąg. Okazało się jednak, że i u czerwonych są ludzie, którzy potrafią myśleć. Widząc, że załoga nie dopuści do siebie nikogo, to wymyślili skuteczny sposób jak to załatwić. Rozkręcili tory kolejowe przed pociągiem i za pociągiem. Zrobili to na wysokim nasypie, tak żeby pociąg poleciał w dół. Jednocześnie upozorowali walkę obok torów. Wyglądało to tak jakby bili się czerwoni i biali.

Dowódca przez telefon kazał maszyniście podjechać bliżej, tak żeby mieć dobre pole do obstrzału. I wtedy stała się rzecz straszna. Najpierw lokomotywa, a za nią wagony – wszystko razem poleciało w dół. Ponieważ w wagonach znajdował się duży zapas amunicji do działek i karabinów – skrzynki poraniły wielu żołnierzy. Bratu ojca udało się szczęśliwie wyjść z tego cało. Otworzył właz i zobaczył, że pociąg leży na boku. Ci, którzy mogli, zaczęli strzelać do nacierających przeciwników. Stopniowo ogień stawał się coraz silniejszy. W górę poszybowały granaty. Żaden z wagonów nie został zdobyty, mimo paru prób podjętych przez nacierających. W pewnej chwili dał się słyszeć gwizd lokomotywy i nadjechał pociąg z piechotą, która rozpędziła atakujących. Po obejrzeniu przez oficerów leżącego pociągu jego załoga dostała rozkaz, aby wyjąć działka i karabiny maszynowe i przenieść je na stojący obok pociąg towarowy, którym przyjechała piechota.

„Tak więc – opowiadał stryjek – skończyło się moje wojowanie w pociągu i zaczęło w opancerzonym samochodzie".

W jednostce, do której go przydzielono, przerabiano osobowe samochody na tak zwane tankietki. Dzisiaj, gdyby ktoś zobaczył taką tankietkę, to pękłby ze śmiechu. Trzeba wiedzieć jak w tym czasie wyglądały samochody. i te samochody, których zaledwie kilka posiadał carski dwór, postanowiono opancerzyć. Dzień i noc przerabiano je w warsztatach. Ale każdy wychodził po tej przeróbce inny. Zależało to od majstrów i od ich pomysłów. Zrobiono dwuosobowe tankietki, gdzie tylko kierowca i strzelec karabinu maszynowego mieli miejsce i gdzie znajdowało się miejsce na amunicję. Do jednych wchodziło się górą, jak do czołgu, a drzwiczki do innych znajdowały się z boku. A wieżyczkę strzelec obracał, zapierając się nogami o podłogę.

„Dostałem – mówił stryjek - taki właśnie pojazd i traf chciał, że kierowcą był też Polak. Pierwsze próby pojazdów na placu i na drodze przeszły pomyślnie. Ale już w boju tak gładko nie było. Trzech takich tankietek użyto na ulicach w Petersburgu. Narobiły masakry swa bronią i należało się liczyć z tym, że ludność cywilna, która najbardziej ucierpiała od ich ognia, zechce się zemścić na tych, co siedzą w środku tych dziwnych pojazdów".

O ile do tej pory, obsługując pociąg pancerny, stryj spotykał jako przeciwników regularne wojsko, o tyle teraz coraz częściej po drugiej stronie stali cywile.

Rewolucja pociąga za sobą tłumy, wykorzystuje te tłumy i obiecuje im lepsze życie. Wyprowadza te tłumy na ulicę i przy pomocy tych tłumów atakuje i rozbija regularną armię. Tu, w Petersburgu, kolebce radzieckiej rewolucji, tłumy ludzi były groźniejsze od wojska. Zdeterminowane walczyć do końca za hasła, jakie im napisali i jakie im dali. Poza tym w grę wchodził element psychologiczny.

Bardzo często idące w pierwszych szeregach kobiety i dzieci oraz ludzie starsi rozdzierali na sobie odzież i pokazując gołe piesi krzyczeli: „Nie strzelajcie! Idą wasze matki, żony i ojcowie. Chcemy pracy i chleba. Chcemy, żeby was szanowano za pracę. Służycie kapitalistom, a nie narodowi. Opuście bron!".

Wojsko stało w poprzek ulicy z bronią gotową do strzału, a ludzie w tym czasie szli i krzyczeli. Nie pomogły strzały oficerów i groźby ukarania za niewykonanie rozkazu.

Żołnierze nie strzelali, oddawali broń, bądź z bronią przechodzili na stronę tłumów. Oficerowie byli wyprowadzani z tłumów i rozstrzeliwani na miejscu, bez sądu.

Kierowca i towarzysz broni stryja, Janek Kierkuć, patrząc na to, co się dzieje mówił: „Słuchaj Michał, to nie nasza sprawa. Na wojnie mogę walczyć, ale strzelać do kobiet i dzieci nie będę" - zapewniał. „Tak, tylko, że ty nie strzelasz. Ty prowadzisz to pudło, a strzelać, w razie czego, muszę ja" - odpowiadał stryjek. „Ale jak nas dorwą, to nie będą pytać, kto strzelał, tylko nas obu załatwią" - ripostował kierowca. I to była prawda.

Następnego dnia dowódca wyprowadził trzy tankietki na ulicę. Obsługiwali je młodzi ludzie z bogatych rosyjskich rodzin. Im wbito do głowy, że jeśli zwyciężą czerwoni, to wyrżną takich jak oni. Nie były to puste słowa. Parę dni wstecz przejeżdżaliśmy przez małe miasteczko, obok którego był duży dwór. Dowódca nakazał tam zajechać i zrobić obiad. Zajęliśmy duże podwórko i ogród, a oficerowie poszli do budynku. Za parę minut pada rozkaz, żeby wszyscy żołnierze przeszli przez pokoje tego domu.

To, co zobaczyli miało być dla żołnierzy powodem do zemsty. Około trzydzieści osób leżało na podłodze w paru pokojach. Widać, że to nie byli chłopi, a właściciele i kuzyni, jacy do nich przyjechali z miasta bojąc się rewolucji. Kobiety leżały bez odzieży i bielizny. Między nogi miały wepchnięte butelki. Na pewno były gwałcone i to bez względu na wiek. Wszyscy mężczyźni mieli obcięte genitalia. „To straszny widok – mówił stryjek – takie sceny wywołują wściekłość i chęć zemsty. Stryjek z Jankiem słyszeli jak przeklinają ich koledzy Rosjanie i jak pomstują na sprawców i mówią, co zrobią jak dopadną czerwonych. Nie jedli już obiadu tylko kopali groby, by pochować pomordowanych.

Wracając do tych trzech tankietek, które wyjechały z koszar na miasto, to kierował nimi młody porucznik, który miał rodzinę daleko na wsi. Parę dni temu ktoś przyjechał do Petersburga z jego stron i powiedział, że czerwoni spalili dom rodziców i wybili całą rodzinę.

„W normalnych czasach – mówił stryjek – takiego człowieka trzeba na jakiś czas odsunąć od walki".

„Ale kto by tego przestrzegał w czasie rewolucji – ciągnął opowiadanie stryjek - jak opowiadali żołnierze z piechoty, którzy szli za tymi tankietkami, przebieg akcji był następujący: tankietki jechały całą szerokością ulicy obok siebie. Co chwila szła seria z karabinu maszynowego do tłumu, który szykował się by iść ta ulicą. Tankietki stanęły, a tłum ruszył. Ludzie szli całą szerokością ulicy i śpiewali. Ten porucznik jechał środkowa tankietką i obsługiwał karabin maszynowy. Gdy tłum był już blisko dwie tankietki zaczęły się cofać. Ale on otworzył właz, wychylił się do polowy ciała i krzyknął: „Natychmiast wrócić i stanąć obok mnie".

Tankietki podjechały i wyrównały szereg, a tłum był już blisko. Ludzie nie mieli broni tylko transparenty. Gdy już podeszli na piętnaście metrów, to porucznik, stojąc dalej wychylony do polowy ciała z tankietki, zaczął krzyczeć: „Macie natychmiast stanąć!".

Ale tłum dalej szedł i śpiewał.

„Ogień w ziemię" – krzyknął porucznik.

Trzy tankietki strzelały seriami w jezdnię tuż przed tłumem. Kule odbijały się od kamieni i trafiały w ludzi. To wywołało gorszy efekt, bo tłum rzucił się biegiem do tankietek. Dopóki ludzie nie dotarli do tankietek, to karabiny maszynowe cały czas biły w tłum z bliska. Ludzie leżeli gęsto na jezdni. Ranni odczołgiwali się na boki. Gdy tłum ludzi okrążył tankietki, piechota, która szła za tankietkami, stanęła. Teraz tłum rzucił się na piechotę, która nie strzelała tylko wycofywała się. Z odległości czterystu metrów patrzyliśmy jak wielotysięczny tłum znosi drewno i obkłada nim tankietki. Za chwilę pojawił się dym, a później nastąpiły trzy wybuchy. To eksplodowała amunicja i benzyna. Zginało wszystkich sześciu, którzy obsługiwali te samochody. Po tym zdarzeniu dowódcy stwierdzili, że tankietki to zły pomysł".

„Co zrobisz Michał – pyta stryja Janek – jeśli ci każą strzelać w taki tłum".

„Nie wiem, do cholery, nie wiem". A mróz chodził mu po krzyżu przy takiej rozmowie.

Oczyma wyobraźni widział siebie, jak wyciągają go z tankietki i rozdeptują.

„Janek, a może byśmy uciekli od białych do czerwonych?”.

„Coś ty głupi! Oni są tacy sami. Jak się dowiedzą gdzie służyliśmy, to rozwalą nas”.

„No to co zrobić, aby przeżyć?” - stryj pytał Janka.

Ale i on nie znał odpowiedzi.

Następnego dnia na ulicy ludzi nie było, więc kapitan powiedział: „Spróbujcie podjechać pod te samochody. Jeśli się dadzą holować, to ściągnijcie je do koszar”. Rzeczywiście tego dnia teatr dramatyczny przeniósł się z tej ulicy w inną część Petersburga. Dochodziły do nas salwy karabinowe i okrzyki ludzi. Nic nam nie zagrażało, więc dwoma ostatnimi tankietkami podjechaliśmy do tych wraków samochodowych. Umówiliśmy się, że ja z Jankiem będziemy ściągać jedną, a druga tankietka będzie nas asekurować. Szczęśliwie podjechaliśmy pod same wraki. Jeszcze dym i odór spalonych ciał unosił się wokoło. Janek cofnął się do tyłu pod sam wrak, a stryj wyszedł na zewnątrz z liną i uczepił ten wrak do swojego samochodu. I w tym momencie z drugiej tankietki zaczęli strzelać i wycofywać się.

Stryj podniósł głowę i zobaczył, że jezdnią galopuje konnica z szablami w dłoni. Część padła rażona serią z drugiej tankietki, ale kawaleria nie zatrzymuje się mimo straty i jedzie prosto na stryja. Stryj widzi, jak jeden z kawalerzystów skacze z konia na tankietkę kolegów i zatyka otwór, przez który wystawał karabin maszynowy, swoim szynelem, a tankietka ucieka wraz z tym trzymającym się jej żołnierzem. No i kolegom udało się uciec. Nie mogli tylko strzelać. A tankietka stryja była uwiązana holem do wraku. Co Janek szarpnie, to silnik tankietki gaśnie. Stryj wycofał karabin maszynowy z otworu strzelniczego, żeby któryś z kawalerzystów nie uderzył w wystający koniec lufy i skrzywił ją. Dwuosobowa załoga tankietki zamknęła drzwi od środka, żeby nie można ich otworzyć z zewnątrz. Przez małą szparę Janek widzi, że tankietka jest otoczona, a przeciwników jest dużo. Czekali ci z nimi zrobią.

Do tej pory czerwoni podpalali tankietki razem z ludźmi w środku. Janek zaczął odmawiać pacierz. Stryj przez otwór przyglądał się żołnierzom na koniach.

„To nie Kozacy” - powiedział do Janka – inaczej ubrani”.

„Głupiś Michał jak but – mówi Janek – pewnie, że nie Kozacy, bo oni wszyscy są po stronie cara, a nie rewolucji. A jaka to różnica, kto nas spali”.

„No tak, żadna”.

„Oni robią sobie rewolucję, a my się za nią usmażymy”.

Ale jakoś nie podpalali ich. Chodzili tylko i oglądali. Pukali w blachę.

„Ej, wy tam w środku! - zawołał jeden – wychodźcie z tej maszyny, to wam nic nie zrobimy”.

„A jakże, nic nie zrobią - drwił Janek – popatrz ile im nasi natłukli ludzi i koni”.

Ten obok tankietki krzyczy raz i drugi, ale stryj i Janek milczą. Czerwoni przynieśli jakieś narzędzi i zaczęli podważać drzwiczki. Te jednak zrobione były solidnie i nie puściły. Przerwali to otwieranie, bo przyjechał na koniu ktoś wyższy rangą i mówi:

„Nie wolno wam uszkodzić tego samochodu. Oni muszą wyjść sami. Samochód potrzebny jest kamandirowi. Załóżcie konie i przeciągnijcie samochód do sztabu”.

Tak też zrobiono.

Podjechała taczanka z pulimiotem i wyprzęgnięto od niej trzy konie i zaczepiono hak do tankietki.

„Ja nie mam zamiaru – powiedział Janek – ułatwiać im tej jazdy. Tutaj jest szansa, że nas mogą nasi odbić. A jak przeciągną nas do siebie, to koniec”.

Zahamował koła i skręcił kierownicę do oporu. Okazało się, że trzy konie nie mogą pociągnąć tankietki w tym stanie. Czerwoni znowu zaczęli prosić, żeby otworzyć drzwi i wyjść. Przyrzekali, że puszczą żołnierzy wolno.

„Trudno - stwierdził Janek - chyba zginiemy za tę cholerną ich rewolucję. Wiesz Michał, przecież mamy sporo granatów. Może by tak otworzyć drzwiczki i rzucić ich parę w koło”.

„No, dobrze – odpowiedział stryj – ale najpierw zobacz, czy zapali silnik. Jak zapali, to tak robimy i uciekamy. Ale te konie zaczepione to pociągniesz?”.

„Właśnie konie. Chyba nie da rady ich pociągnąć”.

Ale naradę przerwało pojawienie się następnej trójki koni. Teraz mimo zahamowania kół te sześć koni dało radę i ściągnęło tankietkę. Mimo to czerwoni musieli drągami nasuwać samochód na drogę, bo Janek koła skręcił w bok i samochód mimo ciągnięcia go wprost jechał w bok. Klęli przy tym strasznie. Nagle Janek powiedział:

„Wiesz co, Michał? Ja puszczę im te hamulce i wyprostuję koła, bo zetrą opony i nie da się później jeździć na nich”.

„To ty myślisz, że będziesz jeździł jeszcze tym pudłem?”.

„Wiesz Michał, jakby tak nas postawili gdzieś na górce, to z takiej górki można by silnik zapalić. Można też tego spróbować jak ciągną nas końmi. Ale sześć koni nie pociągniemy. Gdyby odczepić te konie i jakbyśmy go zapalili, to można by uciec. Chyba, że dołożyliby nam z dziełka, bo kule nas nie wezmą przecież”.

Czerwoni zdziwili się, kiedy Janek puścił hamulce i wyprostował koła. Teraz konie miały lekko. Zaciągnęli ich na podwórko jakieś fabryki. Pełno było tam koni i wojska. Wyszedł z budynku dowódca w otoczeniu oficerów; byli bez dystynkcji. Obejrzał w koło tankietkę i mówi:

„Teraz będę miał czym jeździć. A kierowcę macie, żeby mnie woził? - spytał otaczających go oficerów.

„Na razie nie, ale znajdziemy”.

„A jakże” - zauważył Janek

W Petersburgu było kilkanaście samochodów. Połowa z nich uciekła z właścicielami jak tylko zaczął się ten bałagan.

„A ten w środku, to kto taki? Może by jeździł ze mną?”.

„On nie może. To junkrzy, oni wolą zginąć, niż przejść na naszą stronę” - zameldował jeden z otoczenia.

„A jak ich wydostaniecie z tego samochodu?”.

„Nie damy jeść i pić i sami wylezą za dwa dni”.

Postawili wartowników i tak minęła noc. Rano znów zaczęli prosić, żeby wyjść z tego samochodu, ale bezskutecznie. Cały dzień czerwoni chodzili i kombinowali jak otworzyć drzwiczki.

„To durnie – mówił Janek – nawet gdyby uszkodzili te drzwiczki, to przecież można je później naprawić. Ale oni pomyślunku nie mają jak widać”.

Minęła pełna doba od czasu jak przyciągnęli tankietkę. Jej załodze zaczął doskwierać głód i pragnienie. A i nieczystości trzeba wyrzucać. Pomalutku i po cichu stryj odkręcił śrubę zamykającą drzwi i wyrzucił odchody. Dwaj żołnierze, chyba pewnie tankietka nie może uciec, usiedli parę metrów dalej i palą machorkę. Leżąc na podłodze stryj opuścił się głową i rękami na ziemię. Ogląda samochód i widzi, że na haku coś było.

„Zdjęli te linki, za które ciągnęły konie. Janek, jakbyś go zapalił to nic nas nie trzyma. Moglibyśmy uciec do swoich”.

„Zamknij Michał te drzwiczki i spróbujemy”.

Otworzył tylko wąską szparę, żeby widzieć trochę przed sobą i nacisnął starter. Silnik prychnął, strzelił z rury parę razy i zapalił. Obaj żołnierze podlecieli i zaczęli krzyczeć:

„Ej, ty tam, stój, bo strzelam!”

„A strzelaj sobie – krzyknął Janek i ruszył pełnym gazem do przodu.

Przez szparę widziałem – dalej opowiadał stryj – jak wybiegali i jak strzelali do nas żołnierze. Kule jak groch bębniły o blachę, a Janek krzyczał: „Żeby tylko nie trafili w otwór, przez który patrzę".

Wyrwali na ulicę i gazu w stronę swoich koszar. Odciągnęli ich około trzech kilometrów od swoich. Poznawali ulice i domy oraz drogę do koszar. Ale było jakoś dziwnie pusto. Nie było warty w bramie, a baraki, w których mieszkali dopalały się. Zakręcili kółko po dziedzińcu i Janek powiedział: „Michał, wyskocz i nabierz wody".

Stryj zobaczył jakiś garnek na ziemi i nabrał do niego wody. Patrzy, a od ocalałej szopy idzie człowiek, który był tu kowalem i pomagał w wielu pracach. Poznał ich i mówi:

„Boże zmiłuj się. Co tu wczoraj się stało. Wybili wszystkich junkrów, jak nazywali tych żołnierzy. Jeszcze dziś wywozili ciała za miasto. A wy gdzie byliście? - spytał.

„Nas wzięli do niewoli bolszewicy, ale uciekliśmy im, jak widzisz".

„O Boże, jak was złapią, to powieszą. Wczoraj też wieszali waszych. Uciekajcie".

„No, ale gdzie uciekać? - spytał stryj.

„Nie wiem, nie wiem, ale uciekajcie".

Na to Janek:

„Wiesz, Michał, co zrobimy?

„Nie, nie wiem".

„Jak służyliśmy białym, to dlaczego by nie czerwonym? Przecież tysiącami przechodzą żołnierze od białych do czerwonych. My nie junkrzy, a zwykłe biedaki. Nie powinni nas zabijać. A tam, gdzie byliśmy, dowódca chce ten samochód i nie mają kierowcy. Sam słyszałeś, co mówili"

Tak też zrobili.

Ku zdziwieniu czerwonych wrócili. Kiedy wjechali na to samo podwórko, to kto żyw trzymał karabin wycelowany do nich. Janek z fantazją zakręcił przed domem, z którego poprzednio wyszedł kamandir. Stryj otworzył drzwi i na karabinie zaczepił kawałek białej szmaty. Wysunął lufę z tą szmatą i zaczął powoli wychodzić. Odebrali mu karabin i postawili pod ścianą. Za chwilę to samo zrobili z Jankiem.

„No to masz rewolucję i przyjaciół" - powiedział stryj po polsku do Janka.

Nagle jeden z otaczających dowódcę ludzi zwrócił się do dowódcy mówiąc: „To Polacy towarzyszu komendancie. To nie junkrzy. Oni mówią po polsku" - dodał.

„Każ im opuścić ręce i zaprowadź, żeby się umyli. Przyprowadź ich do mnie" - powiedział dowódca.

„Za parę minut byliśmy u dowódcy – opowiadał stryj – który już bez tłumacza, bo przecież znaliśmy rosyjski dobrze, spytał nas:

„To co, Polaki, wy do nas przyłączacie się, czy nie? Chyba wy nie jesteście naszymi wrogami?

„Jakbyśmy byli waszymi wrogami, to po pierwsze mogłem was wystrzelać na tym dziedzińcu z karabinu maszynowego. Wasze kule nas nie brały. A jak wiecie, ani razu nie strzeliłem do was" - przekonywał stryj.

„Tak, to prawda" - przytaknął dowódca.

„Ty – pokazał na Janka – od jutra będziesz moim kierowca, bo to ty szofer".

„Tak. Ale dla was byłoby lepiej, gdyby i mój towarzysz z nami jeździł. On jest najlepszym strzelcem w dywizji".

„Jutro sprawdzimy, czy to prawda".

Wydano nam nowe mundury i czapki z czerwoną gwiazdą. Nazajutrz rzeczywiście komendant zarządził strzelanie do celu. Ustawiono w odległości pięćset metrów postać człowieka z dykty, a do strzelania stawiło się prawie dwudziestu żołnierzy. Stryjek zwrócił się do komendanta, aby pozwolił mu przestrzelić broń i ustawić szczerbinkę na karabinie.

Komendant zgodził się. Pierwsze strzały były próbne. Następnie stryjek powiedział, że nie na pięćset metrów będzie strzelał, ale na pełny kilometr.

W okopie, tuż przy sylwetce, był żołnierz, który sygnalizował znakami, czy strzał był celny. Losowano kolejność i stryjowi wypadło strzelać jako ostatniemu. Wszyscy już strzelali i żaden nie trafił w sylwetkę. Stryj oddał dziesięć strzałów i sygnalizator pokazywał, ze dziewięć strzałów trafionych, a dziesiąty rykoszet. Dowódca podszedł do stryja i powiedział: „Dziesiąty też trafiłeś. To, że był rykoszet nic nie szkodzi. Takiego strzelca widzę pierwszy raz w życiu. Będziesz jeździł ze mną jako ochrona”. Tak więc teraz obaj z Jankiem służyli po stronie rewolucji jako ochrona i transport komendanta. Napatrzyli się na straszne sceny likwidowania ludzi, którzy nie tylko, że nie poparli czynnie rewolucji, ale walczyli po stronie cara do ostatka. Ginęła inteligencja rosyjska i uczeni. Szczególnie mszczono się na korpusach oficerskich i kadetach. Ale i Kozacy wierni byli w większości carowi.

Pojechali raz z komendantem na wieś, do dużego majątku ziemskiego. Właściciele już wcześniej zostali zamordowani przez miejscową ludność. Teraz dzielono między siebie, co jeszcze zostało z tego majątku. Zostały duże łany pięknej pszenicy. Zebrała się cała wielka wieś i okoliczni mieszkańcy. Mężczyźni oczywiście z bronią, bo byli przecież uczestnikami rewolucji.

Najważniejszy z nich kazał krokami odmierzyć ile pszenicy przypada kolejnej rodzinie. Następnie szło paru chłopów i deptało dróżkę w tej pszenicy, która miała być granicą pola tej pszenicy dla którejś tam rodziny. Ale zgody na taką działkę nie było, bo ojciec tej rodziny walczy z caratem i należy im się większa działka.

Więc chłopi depczą nową granicę. Ale wychodzą następni i krzyczą, że to nieuczciwe. Bo na przykład w innej rodzinie ojciec i jego dwaj synowie walczą terasz za rewolucje i przeciwko carowi. Im należy dać najwięcej, bo największe mają zasługi. I znów chłopi depczą nową granicę w pszenicy. Jak zajechali z komendantem, to pole było w połowie zadeptane tymi granicami i ta pszenica była już zmarnowana. Stryjek Michał mówił, że dla niego była to straszna sprawa. Bo u nas w czasie żniw zbierało się pojedyncze kłosy, które upadły. Nie mogło się nic zmarnować, bo to bieda była i grzech, żeby zostawić gdzieś parę kłosów. A tu dorodna pszenica deptana przez głupotę biednych ludzi. Trzeba było postawić wartę przy pszenicy. Skosili ją żołnierze i dopiero po wymłóceniu rozdano ziarno w ilościach zależnych od liczby ludzi w rodzinie.

Rewolucja zwyciężała. Zadecydowały o tym zwycięstwie milionowe masy robotników i chłopów. Zadecydowali umęczeni ciągłymi wojnami, poniżani i poniewierani przez swoich oficerów, którzy traktowali ich jak bydło. Oficer w carskiej armii był nadczłowiekiem, dobrze wynagradzanym i mającym wiele przywilejów i praw. Żołnierz nawet nie wiedział, czy ma jakieś prawa, gdyż jego przełożeni z reguły tylko go karcili i karali.

Jedynie Kozacy nie popierali rewolucji, gdyż oni mieli swoje prawa i liczne przywileje. Kozak, można to śmiało powiedzieć, był przez całe swoje życie żołnierzem. Dwa lata służył i dwa lata odpoczywał. W gospodarstwie Kozak dbał tylko o swojego konia. Reszta była obowiązkiem kobiety. Musiała ona orać, siać i kosić. Dlatego też Kozacy byli wybijani przez żołnierzy rewolucjonistów i mało ich ocalało z czasów rewolucji.

Stryj z Jankiem jeździli z dowódca pół roku. Cieszyli się obaj z Jankiem, że nie musieli strzelać do nikogo. No i myśleli jakby tu uciec i wrócić do Polski. Ale wtedy były takie czasy, jak o nich mówił kawał opowiadany przez żołnierzy:

Jednemu z żołnierzy tak było tęskno do żony i do dzieci, których nie widział ponad dziesięć lat, że słowa Lenina wziął za prawdę. Lenin mówił - „Ziemia chłopom”. Więc rzucił karabin i poszedł pieszo do domu. Rosja jest wielka, więc szedł parę tygodni. Oczywiście w ubraniu wojskowym, bo innego nie miał. Łapią go po drodze żołnierze i pytają:

„Kto ty jesteś?”.

„Ja – mówi żołnierz - jestem rewolucjonistą i idę do domu.

A wojsko, które go złapało, było po stronie cara. Więc najpierw chcą go powiesić, ale litują się i darowują mu życie, ale za karę biją kolbami karabinów. Wlecze się ten żołnierz do domu i po drodze znów spotyka oddział żołnierzy. Teraz żołnierz pamięta, za co dostał lanie. Więc mówi, że jest po stronie białych i cara.

„To my walczymy z carem, a ty go popierasz?"

I dostał nowe lanie od czerwonoarmistów.

A w czasie rewolucji było w Rosji oficjalnie dwanaście ugrupowań o różnej barwie politycznej chcących przejąć władzę. Te duże formacje, bo liczące po parę dywizji wojska, nawzajem się zwalczały i głosiły różne hasła. Więc ten żołnierz nim doszedł do domu był bity tyle razy ile było tych formacji walczących o władzę. Więc jak tu uciekać, kiedy pierwszy lepszy oddział może rozstrzelać za dezercję?

Ponieważ Lenin głosił, że rewolucja czyni wolnymi te państwa, które carska Rosja okupowała, nakazał wycofanie z tych krajów wojsk rosyjskich. Ogłosił też dekretem, że ci obcokrajowcy, którzy służą w Czerwonej Armii, mogą oficjalnie uzyskać zgodę swych dowódców na zwolnienie ze służby z wydaniem zaświadczenia, że są z wojska oficjalnie zwolnieni. Napisali obaj z Jankiem takie pisma i dowódca niechętnie, ale je podpisał. Powrót do Polski nie był prosty, bo pociągi wcale nie kursowały. Jeśli jeździły, to wyłącznie wojskowe transporty, ale pomału udało się im do ojczyzny powrócić. Ojciec mój skorzystał z tego dekretu i w tym samym czasie wrócił do Polski.

Służba mego ojca była również bardzo ciekawa i obfitowała w różne wydarzenia. Dwadzieścia lat wysłużył w carskim wojsku, z tego rok w pałacu cara jako wartownik. Ponieważ mój ojciec, gdy był brany do wojska, to miał już papiery mistrza budowlanego, wobec czego wcielili go do tak zwanych baonów mostowych, czyli mówiąc prostym językiem – do wojsk inżynieryjnych, które budowały przeprawy i mosty przez rzeki.

Pragnę zatrzymać się wyłącznie nad tym jednym rokiem służby ojca jako wartownika w pałacu carskim. Jak już wcześniej pisałem wzięli go z racji jego urody. Wszyscy wartownicy byli blondynami z niebieskimi oczami. No i płynnie musieli posługiwać się językiem. Napatrzył się ojciec na rozwiązłość magnaterii, która uczestniczyła w przyjęciach u cara, na ich pijaństwo i jak to się dziś określa - wolną miłość.

Często żołnierze byli wołani, by roznosić po pokojach kompletnie pijane panie i panny z hrabiowskich domów. Zdarzało się i tak, że żołnierze z tej warty byli wzywani do pokoi pijanych kobiet i musieli je zadowalać seksualnie. Do cara podobno dochodziły wieści, że z pałacu robią burdel. Od czasu do czasu upominał takich ludzi. Trochę to na jakiś czas przycichało, ale stopniowo znów robiono to samo.

„Miałem – wspomina ojciec – kolegę, który stawiany był przez oficera rozprowadzającego wartowników na tej samej klatce schodowej na dużym podeście. Był to dobry człowiek, ale wybuchowy. Niejeden od niego dostał po twarzy. Zawsze potem szedł i przepraszał uderzonego mówiąc: „Wal mnie dziesięć razy za ten raz coś dostał ode mnie". Koledzy oczywiście nie oddawali, wiedzieli, jaki on jest i unikali powiedzenie przy nim czegoś, co by go sprowokowało".

„Staliśmy – mówił ojciec – na warcie wieczorem. Pałac jak zwykle oświetlony dobrze. Zaczęli się jak zwykle zjeżdżać zaproszeni goście całymi rodzinami. Dorosłe dzieci też były zapraszane. Przeszło już do góry na piętro sporo gości, bo tam znajdowała się sala balowa. Patrzę jak naprzeciw mego kolegi zatrzymuje się młoda panna i coś mówi. Trzyma go za guzek od munduru i z bliska rozmawia z nim. Wartownikom nie wolno było rozmawiać, więc kolega milczy. Ona, trzymając go za guzik, pyta skąd on jest.

Słyszę jak kolega głośno mówi: „Z warszawskiej guberni, wasze błagarodie". „Aha, to ty Polak, tak?". Kolega nie odpowiada, więc ona mówi, że Polacy to same buntowniki i skurwysyny. Gdy tylko to powiedziała, może kolega by wytrzymał. Ale ona napluła na niego. A staliśmy bez karabinów, tylko z obnażoną szablą, którą należało prezentować jak ktoś obok na przechodził. Widziałem jak przyjaciel cofnął się o krok i w świetle żyrandoli błysnęła jego szabla. Ciął ją z góry przy głowie w dół. Odciął głowę, ramię i rękę. Osobno

leżał korpus, a osobno głowa z jedna ręką i ramieniem. Natychmiast zdjęto nas z warty i zastąpiono innymi żołnierzami. Obu nas zamknięto w celi w piwnicy i zaraz zaczął nas przesłuchiwać prokurator wojskowy".

„Ja – mówił ojciec – powiedziałem, co widziałem i usłyszałem. A mój przyjaciel w ogóle nie chciał mówić. „Tak, jestem winien, zrobiłem i koniec" - tyle tylko powiedział prokuratorowi.

„Rodzina zabitej domagała się oczywiście kaźni, jak oni nazywali karę śmierci nie przez rozstrzelanie czy powieszenie, ale zadawanie śmierci z łamaniem kości. Zebrał się sąd wojenny. Byłem świadkiem, więc nie trzymano mnie w więzieniu, jak mego przyjaciela. Ale nie pełniłem już żadnej warty. W dniu sądu zawieziono mnie na salę sądową. Na sali byli wyżsi oficerowie i generałowie. Była tez płacząca rodzina zabitej i padały okrzyki domagające się surowej kary. A mój przyjaciel między dwoma żandarmami na ławie oskarżonych jakoś dziwnie spokojny na twarzy, jakby już się pogodził z tym, co się ma z nim stać. Raptem rumor się zrobił na sali, a następnie cisza. Na salę wszedł car Rosji we własnej osobie. Nie było wątpliwości. Obaj z przyjacielem dziesiątki razy staliśmy na warcie, kiedy on obok nas przychodził.

Najpierw usiadł car, a potem wszyscy na sali. Sąd odczytał akt oskarżenia i wezwano mnie na świadka. Obrońcy podnieśli krzyk, że to nie może być świadek wiarygodny, gdyż też jest Polakiem jak oskarżony. Sędzia popatrzył na cara i nie wiedział, jaką decyzję podjąć. Ale car kiwnął głową i wskazał na mnie. Powiedziałem wszystko tak, jak było i co ona robiła. Sad zapytał oskarżonego, co ma do powiedzenia w tej sprawie. Ale on nic nie mówił. Na ponowne pytanie sędziego powiedział, że przecież się przyznał, że zabił i więcej nie będzie mówił, a prosi tylko sąd by wyrok wykonano przez rozstrzelanie. „A dlaczego? - spytał sędzia. „Bo broniłem honoru munduru jego carskiej mości".

„Wszyscy spojrzeli na cara, który wstał i powiedział: „Prawidłowo zareagował na to, co ona robiła. Jest niewinny.". Ale rodzina zabitej podniosła wielki krzyk słysząc słowa cara. „Nie słuchaliście mnie, gdy upominałem was, że tak zachowywać się nie można, lekceważyliście moje uwagi. Jednej ladacznicy mniej" - skwitował car, po czym wstał, a wraz z nim jego oficerowie. Sędzia kazał uwolnić mego przyjaciela. Od tej pory bale skończyły się. Nas wysłano do innych jednostek. Za rok rewolucja jak miotła wymiatała i śmieci i wartościowych ludzi".

„Tuż przed rewolucją budowaliśmy most na rzece. Po ukończeniu generał kazał jego rozkaz przybić na tabliczkach przed mostem. Rozkaz zabraniał iść po moście krokiem marszowym kolumnom wojska, zabraniał jazdy konno po moście. Należało zejść z konia i prowadzić go za uzdę. Przyjechał na koniu żołnierz. Stanął przed mostem i prosił żołnierza, żeby przeprowadził jego konia, bo on jest ranny i trudno mu zejść z konia. Wysłałem żołnierza – mówił ojciec – który przeprowadził go przez cały most. Jak zrównał się ze mną, patrzę, a to ten sam, którego car uwolnił. Został u nas cały dzień, aby się wygadać. Za rok spotkałem go w Legionach Piłsudskiego, gdyż i ja się tam znalazłem. Po tych dwudziestu latach służby u cara służył jeszcze w wojsku polskim i walczył pod Warszawą, za co dostał medale"

Ja Albin, syn Józefa, gdy pełniłem funkcję przewodniczącego Komisji do Spraw Skarg i Interwencji, miałem dużo takich ojców i matek, którzy przychodzili do mnie do KC z prośbą, żeby syna ochronić od wojska. Mówię, że to tylko dwa lata, bo za PRL-u tyle się służyło. „Ale to za długo" - płacze matka i ojciec. Teraz, już w latach 2006 i 2007, przyjeżdżają kuzyni mówią: „Ty masz znajomości, zrób tak, żeby syna nie wzięli do wojska". Pytam: „Czy wiecie ile się teraz służy?". „No, chyba rok – mówią. „I nie chcecie żeby syna nauczyli i zrobili z niego mężczyznę?" "Nie, nie chcemy!"

To jest już inny świat niż świat mego ojca i jego braci. Jaki ten świat będzie, gdy nasi wnukowie dorosną? Czy w ogóle będzie? Czy ludzie będą wiedzieli jak żyć i nie szkodzić sobie i sąsiadom? Nie straszyć ich rakietami i bombą atomową? „Taki cud jest niezbędny, żebyśmy mogli żyć obok siebie.

Rozdział III

JAK TO NA WOJENCE ŁADNIE

Pisałem już wcześniej, że gdyby nie inwalidztwo, prawdopodobnie wybrałbym zawód żołnierza. Od dziecka fascynowało mnie wojsko i lubiłem na nie patrzeć bez względu, jaka to była formacja. Toteż w życiu dorosłym, gdy byłem członkiem Biura Politycznego, jak tylko nadążyła się okazja obejrzenia ćwiczeń, nigdy jej nie straciłem. A okazji było sporo.

Były ćwiczenia naszych sił zbrojnych, kiedy współdziałały wszystkie rodzaje wojsk. Ale też były ćwiczenia Układu Warszawskiego, w których udział brały wojska krajów socjalistycznych. Podział był na swoich i na obcych, a oddziały były odpowiednio oznakowane, bo przecież nikt nie zakładał obcych mundurów na swoich żołnierzy.

Jeden z takich ćwiczeń odbywały się na terenie Czechosłowacji i na zakończenie dowodzący tym ćwiczeniami zaprosił paru członków Biura i kilku generałów. Wśród zaproszonych był attaché wojskowy Czechosłowacji, który pracował w Warszawie w czechosłowackiej ambasadzie. Z tej to okazji ubrał się w galowy mundur generalski i z nami, Polakami, poleciał na finał tych ćwiczeń. Samolot był polski, wchodziło się do niego po dość stromych schodkach. Generałowie pamiętali, żeby wziąć na wszelki wypadek trochę alkoholu, bo może – mówili – bujać w górze. No i po drodze do kraju trochę wypili. Wylądowaliśmy na polowym lotnisku gruntowym. Pas startowy nie był zbyt równy. Samolot podskakiwał na wybojach tak, że trzeba było mocno się trzymać, żeby nie spaść z fotela. Butelki z napojami, ku rozpaczy generałów, pospadały na podłogę, a ponieważ byliśmy przypięci pasami, to zanim ktoś uwolnił się z pasów, alkohol się powylewał.

„Ja wam mówię, że to jest zły omen!" - przekrzykiwał huk silników generał Obiedziński. Wreszcie samolot zatrzymał się i jeden z pilotów otworzył drzwi. „O kurwa! – krzyknął głośno – nie zabraliśmy schodów". No, to jest problem. Żołnierze na ćwiczeniach skaczą z takiej wysokości, ale generałowie i członkowie Biura to ludzie w sile wieku, często z brzuszkiem. Ja na budowie musiałam nieraz przymusowo skakać z takiej wysokości i to na beton. A tu ziemia miękka, więc mówię, że ja skoczę. No i skoczyłem i nawet się nie przewróciłem. Wtedy w drzwiach stanął czeski generał i czując się gospodarzem, mówi do mnie abym poszedł trzysta metrów dalej i zawołał tu do samolotu grupę żołnierzy, którzy coś tam robili na lotnisku. Tak też zrobiłem i przyprowadziłem ośmiu żołnierzy pod samolot. Wtedy ten czeski generał mówi do nich: „Widzicie te skrzynie po amunicji ustawione na kupę?". Mówią, że widzą. „To natychmiast przynieście tu cztery takie skrzynie". Żołnierze szybko je przynieśli, a generał mówi tak: „Teraz po dwóch żołnierzy weźmie za uchwyty po jednaj skrzyni i trzymając mocno utworzy takie schody, żebyśmy mogli zejść". Tak się też i stało. Najgorzej mieli ci żołnierze, którzy trzymali najwyższe skrzynie. Musieli trzymać je na wysokości swej głowy.

Stałem obok tych dziwnych schodów i widzę, że pierwszy schodzi czeski generał. Tuż za nim nasz, polski. Gdy czeski generał był w połowie drogi do ziemi, żołnierze czescy zauważyli, że nie byle kto schodzi, bo na spodniach tak Czech, jak i Polak mieli generalskie lampasy. Wtedy wszyscy puścili skrzynie i wyprężyli się na baczność i zasalutowali generałom. Czeski generał złamał obie nogi, a polski dwa żebra. Pozostali czekali w samolocie aż przywieziono schody i wtedy dopiero zeszli. Na zakończenie tych ćwiczeń można było się pochwalić, że było dwóch rannych i to generałów. Ale karać żołnierzy za to, że puścili wszyscy naraz skrzynie, nie było można, bo zgodnie z regulaminem przełożonym obowiązkowo należy oddawać honory.

Kolejny problem, związany z ćwiczeniami, zdarzył mi się jako przewodniczącemu Komisji do Skarg i Interwencji. Przyjmowałem, jak zwykle od rana ludzi, którzy zapisali się na wizytę do mnie dwa lub trzy miesiące wcześniej. W poczekalni w gmachu KC pilnowano, by nikt spoza listy zapisanych nie mógł wejść poza kolejką. Raptem wielki krzyk. Krzyczy rozpaczliwie kobieta usuwana na zewnątrz przez

ochronę. Ale tak głośno i rozpaczliwie krzyczy, że pracujący w gmachu ludzie przybiegli na parter zobaczyć do się stało.

Wyszedłem ze swego pokoju, by zobaczyć, dlaczego krzyczy. Kobieta objęła rękami poręcz przed drzwiami i nie daje się oderwać. W poczekalni ponad sto osób, które krzyczą na nią, żeby się puściła tej poręczy i dała wyrzucić, gdyż nie ma jej na liście. Tacy, moi drodzy, niestety jesteśmy.

Nie wiedząc, o co chodzi stajemy po swojej stronie, bo my jesteśmy zapisani, no i przecież tyle czekaliśmy. „Jak ta baba śmie pchać się do pana bez kolejki?". Myśleli zapewne, że dla mnie najważniejsze jest to, że jest lista i że ja ją każę wyrzucić. Podszedłem do niej i mówię: „Pani puści się tej poręczy, nikt już pani nie wyrzuci". Kobieta poznała mnie i pyta: „Na pewno pan nie każe mnie wyrzucić?". Mówię jej, że to zależy od tego, jaki ma problem. Jeśli nie może poczekać z tą sprawą, to oczywiście, że ją przyjmę. Odstąpili od niej ochroniarze, a ona mówi tak:

- Panie, jak mi pan nie pomoże, to męża mogą rozstrzelać. Grozi mu sąd polowy.

- A co zrobił pani mąż, że aż taka kara mu grozi?

- Podobno strzelał do generałów i oficerów z karabinu maszynowego".

- A zabił kogo?

- Nie, zabić, to nie zabił, ale oni sami się potłukli i połamali ze strachu.

Widzę, że temat jest poważny, więc mówię do oficera ochrony, żeby ją wpuścił do mnie.

W pokoju, w obecności paru osób, jakie zwykle mi towarzyszyły, zrozpaczona kobieta mówi, że mąż co roku brany jest jako rezerwista na ćwiczenia:

- Zawsze brali go, już przez parę lat, na ćwiczenia do piechoty. Obsługiwał karabin maszynowy. Nawet lubił te ćwiczenia. A teraz, niech pan sobie wyobrazi, wezwali go do jednostki o nazwie Obrona Powietrzna Kraju, czyli jakieś lotnictwo. Pojechał i chciał wyjaśnić, że nigdy nie służył w lotnictwie, a tylko w piechocie. Ale oni mu powiedzieli, że wiedzą lepiej niż on sam gdzie służył i gdzie go teraz kierują. Jak zaczął się upierać, że ma rację, to zagrozili mu, że postawią go przed sądem za wymigiwanie się od służby. „I co ja mam robić" - pytał mnie w domu, bo na drugi dzień miał się stawić w jednostce. „Nie ma rady, pojadę – mówił – bo z wojskiem nie ma żartów". Pojechał trzy dni temu. A wczoraj jakiś jego kolega żołnierz zadzwonił do mnie i mówi: „Pani ratuje chłopa, bo grozi mu sąd polowy i może dostać karę śmierci. Strzelał do trybuny honorowej, na której byli bardzo ważni ludzie. Trafił w dwa samochody radarowe, które się spaliły".

Z tego, co opowiadała ta kobieta, wynikało, że albo „dostał kota" jak mówili żołnierze, albo należał do jakiejś organizacji i zaplanowali zabicie tych, co będą na trybunie obserwować ćwiczenia.

Tego samego dnia do zakładu, gdzie ten rezerwista pracował, pojechali nasi dwaj inspektorzy. Po dokładnym sprawdzeniu dokumentów i przesłuchaniu ludzi, z którymi pracował, okazało się, że służbę czynną odbył wzorowo i był awansowany na plutonowego. Jako rezerwista odbywał już ćwiczenia cztery razy. Zawsze otrzymywał pochwały, które figurowały w jego dokumentach. Tu, w zakładzie, gdzie pracował, był sekretarzem podstawowej organizacji partyjnej. Czyli nic z wywiadu nie wyglądało, że to jakiś wróg Polski Ludowej. Na drugi dzień kobieta przyszła z dwójką małych dzieci, żeby dowiedzieć się, co w tej sprawie zrobiłem. Mówię jej, żeby nie rozpaczała:

- Tak zaraz nie skażą i nie zabiją!

Skąd jej przyszło do głowy, żeby wierzyć temu, co dzwonił?

- Może w ogóle tak nie było – mówię jej – dziś wszystko wyjaśnimy i jutro powiem pani jak naprawdę jest z pani mężem".

W tych latach znałem obu braci Hermaszewskich. Z obu rozmawiałem. A starszy Władysław był w randze generała i odpowiadał za obronę powietrzną Polski. Parę razy byłem, na różnych pokazach lotniczych w podległych mu jednostkach. Zadzwoniłem do

niego, pytając czy przyjmie mnie na rozmowę, a on od ręki mówi, że tak, że mogę zaraz do niego przyjechać. Przedstawiłem mu sprawę z tego wydarzenia.

- Towarzyszu Albinie, nie ma wątpliwości – strzelał, żeby pozabijać stojących na trybunie. Zniszczył dwa drogie samochody. Ktoś go musiał wciągnąć z jakąś organizację i wykonał ich polecenia.

Ja od początku nie wierzyłem w taką wersję. Czułem, że coś jest nie tak, ale nie wiedziałem, co. Mówię więc do generała Hermaszewskiego, że z racji swej funkcji, jaką powierzył mi Komitet Centralny, jak również z racji tego, że żona aresztowanego formalnie złożyła skargę u mnie, muszę przeprowadzić dochodzenie w tej sprawie.

- Wasza wojskowa prokuratura niech robi, co do niej należy, a ja mam osobistą do was, generale, prośbę w tej sprawie.

- Jaką ? – spytał mnie.

- Czy moglibyście aresztowanego przywieźć do Warszawy?

- Oczywiście, że możemy.

Następnego dnia pojechaliśmy w trzech. Dwaj to doświadczeni inspektorzy z mojej komisji, wykształceni prawnicy. Generał Hermaszewski przyjął nas u siebie w sztabie. Podano kawę i ciastka i generał powiedział tak:

- Kazałem aresztowanego przywieźć do mnie. Nie wypada, żeby członek Biura chodził po aresztach wojskowych.

Rzeczywiście, dwaj żołnierze wprowadzili niesamowicie przestraszonego człowieka. Widać było po nim, że przeżywa ten areszt i to, co mu grozi, okropnie. Był w kajdankach, które generał kazał zdjąć.

- Stójcie za drzwiami – zwrócił się do żandarmów – w oknach są kraty, to nie wyskoczy – dodał.

Patrzę w twarz tego człowieka i pytam:

- Panie, dlaczego to strzelał pan do ludzi na trybunie? I do tych samochodów?

- Ja do nikogo nie strzelałem – mówi żołnierz.

- Jak to nie, kiedy trafiłeś pan w samochody, a trybuna została zniszczona. Dobrze, że ci, co na niej stali, skoczyli na ziemię i położyli się, bo zabiłbyś ich człowieku.

- Panie – zwrócił się do mnie żołnierz – ja nigdy w życiu nie strzelałem z ciężkiego karabinu maszynowego, który jest na samochodzie i służy do strzelania do samolotów. Ten karabin maszynowy, to nie karabin, czterolufowe ciężkie karabiny. A ja obsługiwałem zwykły karabin maszynowy w piechocie. Poszedłem, żeby to wyjaśnić, kiedy dostałem kartę do wojska, ale oficer zagroził mi sądem i aresztem. A w jednostce, na ćwiczeniach, zameldowałem oficerowi już pierwszego dnia, że to nie taki karabin. Ale on mi powiedział, że zna się na takich symulantach jak ja. I na drugi dzień, wtedy też przed ćwiczeniami, też mówiłem do kapitana, że nie potrafię z tego strzelać, co słyszało wielu żołnierzy. Ale on zaczął się drzeć, że ujebie takich jak ja i krzyknął: „Strzelec, zająć stanowisko do strzelania". Więc usiadłem na siodełko i patrzę w celownik. Kierowca tego wozu mówi: „Nie bój się stary. Naciskaj pedał i karabiny same będą strzelać". No i jak padła komenda ognia, to ja nacisnąłem ten pedał. A miałem strzelać do rękawa ciągnionego przez samolot. Ale ta cała maszyneria wyrwała mi się z rąk i zaczęła nie do rękawa mi strzelać, ale dokoła po ziemi. Dopiero kierowca widząc, co się dzieje, wskoczył do góry i mnie zrzucił z siodełka. Bo cały czas, bojąc się, że zlecę, wciskałem nogi w podłogę, czyli jedną nogą naciskałem pedał, który jak cyngiel uruchamiał strzelanie. Jeszcze raz panu mówię, że nie chciałem nikogo zabić – przysięgał żołnierz.

Patrzyłem na generała i na swoich inspektorów. Cała trójka kiwała głowami słuchając żołnierza. Powinienem teraz ja zabrać głos i powiedzieć, co myślę o takim oskarżeniu i w ogóle o tak prowadzonym śledztwie. Ale generał Hermaszewski głośno powiedział do swojego adiutanta: „Połącz mnie z prokuratorem, który tę sprawę prowadzi". Za chwilę rozmowa puszczona na głośnik wyglądała tak:

- Towarzysz prokurator zna dobrze protokół przesłuchania tego żołnierza, który teraz jest u mnie.

- No znam, czytałem go. O co chodzi?

- Chodzi o to, że żadnego protokółu na ten temat nie ma. Jest tylko raport do mnie w tej sprawie. Więc nie mogliście go czytać. Skoro tak, to na jakiej podstawie aresztowaliście tego żołnierza?

Prokurator zaczął się męczyć i słowa więzły mu w gardle.

- Przecież on przyznał się, że strzelał.

- A co miał zrobić, gdy dostał rozkaz ognia?

- Ale nie do ludzi miał strzelać, ale do rękawa – mówi prokurator – a strzelał nawet do samochodów.

- Bo on w życiu nie widział nawet takiej broni, na jaką go wsadzono, rozumiecie? Wezwijcie na przesłuchanie tego oficera z komisji poborowej. Bo żołnierz już tam mówił, że to nie jego specjalność. I tego oficera, który go wsadził na ten samochód, bo jemu też żołnierz mówił, że nie umie z tej broni strzelać. Żołnierza zwolnić z aresztu i przenieść zgodnie z jego służbą, jaką już tyle razy odbywał do jego właściwej jednostki.

Można by tu powiedzieć, że szczęśliwie się to skończyło, gdyby nie to, że po kilku dniach generał Hermaszewski napisał pismo do mojej komisji wyjaśniające całe to zajście. Otóż takie samo nazwisko i imię miał żołnierz z obrony powietrznej kraju. Wysyłający kartę powołania nie sprawdził ani daty urodzenia żołnierza, ani imion rodziców. Zwykła biurokracja i lenistwo. Ukarane zostały osoby z komisji poborowej oraz kapitan, który uznał tłumaczenie żołnierza, że nie umie strzelać, za symulanctwo.

Parę tygodni później spotkałem generała Hermaszewskiego i zażartowałem:

- Czy nie zdarzyło się u was, że do lotnictwa przysłali czołgistę, którego wsadziliście do samolotu?

- Nie, tak się nie zdarzyło. Ale miał miejsce inny wypadek. Przysłali nam człowieka z poboru o nazwisku Stanisław Wyrwa-Kucharz. I wsadzili go do kuchni, bo w ogóle nie chcieli słuchać, że on rzeczywiście się tak nazywa. Zapisali go, że Stanisław Wyrwa – zawód kucharz.

- No i co? Jedli to, co on im, nagotował?

- Oczywiście, że jedli. A ten Wyrwa, wychodząc z wojska, dostał od nas papier, że był kucharzem.

Byłem raz na pokazach lotniczych, podczas których pokazywano nam nowe typy samolotów otrzymanych od Związku Radzieckiego. Najpierw obejrzeliśmy je na płycie lotniska wojskowego, a następnie zademonstrowano je w powietrzu. „To najnowsze samoloty" - tłumaczył nam generał Sawicki. Huk silników i fala gorąca dochodziła do nas mimo sporej odległości od pasa startowego. Samoloty leciały prawie pionowo w górę i za chwile zginęły nam z pola widzenia. Stało nas około dwudziestu, w tym połowa to byli generałowie i gdy huk ucichł generał Sawicki zapytał dowódcę lotniska: „To jak to było naprawdę z tym samolotem, co zgasł wam w powietrzu?".

Może i żołnierze stojący za nami znali tę sprawę, ale my cywile nie. Dlatego naraz parę osób spytało: „Jak to możliwe, że samolot zgasł w powietrzu?". „I jak wylądował?". „A jaki to był samolot?".

Widać było po twarzach żołnierzy, że musiało to być dla nich niezbyt przyjemne, bo wielu odwróciło się, udając zainteresowanie czymś innym. Ale dowódca nie mógł tego zrobić. Pytał się go o to przecież minister obrony. Zameldował więc, że był to najnowszy typ Miga, który nie był jeszcze oblatywany i dopiero tu dwaj polscy oblatywacze chcieli, zgodnie z przepisami, nim maszyna rozpocznie służbę, oblatać go.

- Uruchomili go i wystartowali – opowiadał dowódca – Zrobili parę figur w powietrzu, cały czas była z nimi łączność radiowa i widać ich było na radarze, bo

fizycznie znikli nam z oczu. I nagle słyszymy w radio, że zgasły im oba silniki, a następnie zapadła cisza. Z radaru też znikli. Wywołujemy ich przez radio, ale bezskutecznie. Lotnisko znajduje się koło Świdwina, między jeziorami, więc jeśli spadli do wody, to nie będzie samolotu widać. Zarządzono poszukiwania w terenie, wysłaliśmy kilka samochodów z żołnierzami, ale nic nie znaleźli. Zrobiło się ciemno, więc następnego dnia mieliśmy szukać ich na większym obszarze i z większą ilością ludzi. Ale stało się inaczej. Rano, skoro świt, mieliśmy już jechać, ale ci z nasłuchu i radarów dzwonią, że chyba lecie ten zaginiony samolot. Rzeczywiście, za chwilę widzimy jak samolot schodzi do lądowania. Wypuścił podwozie i za chwilę dymek spod kół świadczył o tym, że są już na płycie. Podprowadzili samolot na swoje stanowisko i przyszli zameldować o tym, co się stało. Zaznaczam – mówił dowódca, że to wieloletni doświadczeni oblatywacze zawodowi. Meldują mi, że na pułapie dwadzieścia tysięcy metrów zgasły im nagle oba silniki. Najpierw była myśl, żeby się katapultować. „Ale żal nam było nowiutkiej maszyny" – mówią. Więc ten z nich starszy rangą mówi: „Skacz, a ja spróbuje wylądować". Krzyknął, że to rozkaz, więc ten drugi nacisnął guzik i bach – wystrzeliło go z kabiny.

„Lecąc na spadochronie widziałem – relacjonował pilot – jak maszyna pikowała pionowo w dół i minęła mnie. Zauważyłem jezdnię w lesie i pomyślałem, że kolega pewnie zechce na tej jezdni wylądować. Ale to niemożliwe, taką maszyną się nie da. Na spadochronie leci się wolniej, niż spadający samolot, więc patrzyłem gdzie on spadnie – opowiadał drugi oblatywacz – ale w lesie zginął mi z oczu i huku nie słyszałem. Cholera, czyżby udało mu się wylądować? Spadłem w lesie i zajęło mi trochę czasu, żeby uwolnić się od spadochronu i zejść na ziemię. Orientowałem się mniej więcej, gdzie kolega spadł i zacząłem go szukać. Straciłem ze dwie godziny i dopiero wtedy zatrzymał się przy mnie przejeżdżający obok samochód.

- Panie, pan może z tego samolotu, który stoi na szosie? Bo ubiór ma pan lotnika i hełm, w ręku" - spytał kierowca.

Mówię, że tak, że szukam tego samolotu. Kierowca zaczął się dziwić:

- Jak to możliwe, że samolot wylądował tam, a pan tu jest, taki kawał drogi od maszyny. W środku nie było nikogo jak do niego zaglądałem? Czy to samolot zdanie kierowany?

- Panie, zawróć pan tym samochodem i zawieź mnie do tego samolotu, zapłacę panu ile pan zechce.

„Podwiózł mnie pod samolot – relacjonował dalej oblatywacz – który nieuszkodzony stał na jezdni. Wszedłem do kabiny, żeby zobaczyć, co się stało. Kolegi nie ma. Obszukałem teren – nigdzie go nie było. Pomyślałem, że podam informację przez radio o naszej sytuacji. Ale radio nie działało. W powietrzu działało poprawnie, więc chyba przy lądowaniu doszło do uszkodzenia. Zastanawiałem się, jak on w ogóle wylądował. To wbrew logice i fizyce. Znalazłem na jezdni miejsce, w które uderzył kołami w asfalt. Musiał nieźle nacisnąć, bo pozostawił w asfalcie ślady gumy. Gdy wróciłem do samolotu zauważyłem, że użył spadochronu do wyhamowania samolotu. Ale już ktoś zdążył odciąć ten spadochron i uciec, tylko linki zostały na zaczepie. Zrobiło się ciemno, więc postanowiłem zostać przy samolocie, ponieważ bałem się, że przejeżdżający coś ukradną. Zajrzałem jeszcze raz do kabiny kolegi i widzę, ze jego hełm leży na podłodze. Czyli żył i zdjął go z siebie. Moje rozmyślania przerwało nadejście kolegi.

- Jak tyś to zrobił, że wylądowałeś?

- Normalnie – odpowiedział mi – leciałem jak rakieta w dół. I dopiero nad ziemią, wykorzystując siłę kinetyczną, ustawiłem samolot poziomo do lądowania.

- To czemuś mnie rozkazał skakać skoro wiedziałeś, że wylądujesz?

- Właśnie, że nie wiedziałem. Nie chciałem cię narażać.

- A gdzie byłeś po wylądowaniu?

- Poszedłem poszukać telefonu, bo nasze radio nie działa. Ale nie znalazłem w okolicy żadnych budynków, więc wróciłem. Teraz chodź, wejdziemy do kabiny i prześpimy tę noc. A rano jakoś zawiadomimy lotnisko.

„Rano obudziły nas przejeżdżające samochody. Mój kolega, siedząc w kabinie, zapytał mnie:

- Naciskałeś ten czerwony guzik, który zapala silniki, kiedy jest awaria?

- Nie, bo myślałem, że jak zgasły, to ty go u siebie nacisnąłeś.

- Cholera! Zamknij kabinę i spróbujemy go zapalić.

Za chwilę silniki ryknęły. Kolega zgasił je i mówi:

- Idź kawałek jezdną i zobacz, czy nie ma blisko asfaltu słupów lub drogowskazów, bo możemy o nie zawadzić.

Ale nic takiego nie było. Wszedłem do swojej kabiny i kolega wyjechał na jezdnię. Wystartować jednak nie mogliśmy, bo co parę minut przejeżdżał obok samochód. Poprosiłem dwóch kierowców, żeby postawili swoje samochody w poprzek jezdni i nie puszczali na nią nikogo. Dopiero wtedy udało się nam wystartować".

To cała historia – zameldował dowódca generałowi Siwickiemu.

- I co myślisz teraz zrobić ze swymi oblatywaczami?

- Nie wiem, towarzyszu generale – mówił dowódca - jedni mówią, żebym wystąpił do was o odznaczenie za uratowanie bardzo drogiej maszyny i mistrzowskie wylądowanie. A drudzy, żeby ich zdegradować i ukarać, bo obaj zapomnieli o podstawowej rzeczy. Obaj nie próbowali samolotu uruchomić, a to podstawowy błąd w sztuce.

- No, więc co zrobicie jako ich przełożony?

- Ja? Oddam ich do dyspozycji towarzysza generała.

- Aha. Czyli chowacie głowę w piasek. Dobrze. Przyślijcie mi raport w tej sprawie.

Za dwa tygodnie na posiedzeniu Biura Siwicki opowiedział o tym zdarzeniu.

- I jak zdecydowałeś Florian? - spytał Jaruzelski.

Ponieważ nie raz zajeżdżałem do koszar i robiono wtedy alarm, to i sam widziałem pułkowników i generałów, którzy zapominali założyć spodni. Więc ci oblatywacze w nagrodę dostali po jednej gwiazdce i krzyże zasługi. Każdemu może zdarzyć się chwila, w której straci głowę.

Głowę oczywiście można stracić z różnych powodów i na różny sposób. Jedni tracą głowę na kilka sekund, a inni na całe lata. Ale można stracić życie, jeśli głowa nie myśli racjonalnie. W roku 1950 miałem siedemnaście lat i mieszkałem u matki i ojczyma w pobliżu Akademii Obrony Narodowej, obok licznych strzelnic, terenu, gdzie noc i dzień ćwiczyli żołnierze. Pociski artyleryjskie niejednego zabiły na terenie poligonu, gdzie ludzie chodzili na grzyby, a wędkarze na ryby, gdyż olbrzymi obszar leśny od Rembertowa przez Okuniew, aż do Pustelnika ma liczne sadzawki, rozlewiska i jeziorka, w których zawsze były ryby. Teren Akademii jest porządnie ogrodzony betonowym parkanem. Liczne są tu duże garaże i magazyny. I w tych budynkach magazynowano broń i amunicję wszelkiego typu i rodzaju. Były wtedy nadzwyczaj dobrze pilnowane. Co kilkadziesiąt metrów znajdowała się budka dla wartowników, w której całą dobę byli żołnierze. Było też kilka dużych wartowni, z których rozprowadzano żołnierzy na warty. Często zdarzały się niespodziewane kontrole wyższych oficerów sprawdzających, jak żołnierze pełnią służbę. W tych latach co roku brano do tej służby rezerwistów i to po kilka roczników naraz. A rezerwiści z Warszawy i jej okolic to nieprzeciętne cwaniaki i stare wygi. Pełniąc służbę od kilku lat, co roku mieli liczne znajomości wśród pań przeważnie lekkich obyczajów. Życie, mówili, jest krótkie i pić się chce. Problem jednak w tym, że to picie kosztuje. A wojsku nie płacili za służbę. Z domu taki rezerwista nie wziął nic, bo żona i dzieci na to nie

pozwalały. Należało więc zdobyć pieniądze, żeby nie iść w gości do pani z pustymi rękoma. Znałem wielu tych rezerwistów, gdyż na podwórku, gdzie mieszkałem, żyła staruszka, która handlowała wódką.

Wtedy mówiło się, że to jest meta. A mety egzystowały dobrze, gdyż alkoholu po godzinach urzędowania, czyli po ośmiu godzinach, nikt nigdzie legalnie nie kupił. Tysiące ludzi w tych latach całkiem dobrze żyło, mając taką metę. O mecie wiedział nawet dzielnicowy. Ale on też chciał wypić. A poza tym metę prowadziła najstarsza osoba w rodzinie. Taka, której nie mogli zamknąć. Młodzi dostarczali alkohol i trzymali kasę.

I u nas była taka właśnie babcia. Ojczym też lubił wypić i swój swojego zawsze znalazł. Więc kiedy sobie tacy rezerwiści po służbie popili, to omawiali u nas, u babci, co zrobić, żeby zdobyć pieniądze. Najpierw włamywano się do magazynów, których sami przecież pilnowali. Gołym okiem widać było na ulicach, że ludzie chodzą w wojskowych butach i kurtkach. Na bazarach można było je kupić, mimo że tajniacy wyłapywali handlarzy. Zrobił się raban, że mimo obecności wartowników są kradzieże. Więc zarządzono kontrolę tych wartowników.

No i znalazł się, jak zawsze wśród ludzi, jeden z oficerów, który powiedział, że złapie tych, którzy kradną. Ale on twierdził, że wina leży po stronie wartowników. „Oni – mówił oficer - po prostu śpią w nocy na warcie i złodzieje wtedy kradną". Więc nocami próbował ich podejść parę razy, ale żołnierze się umawiali, że jak obok jeden śpi, to drugi czuwa i w budkę zapuka, jeśli ktoś podchodzi. Mimo wielu nocy spędzonych na tych podchodach oficer nie złapał ani jednego śpiącego żołnierza. Zmienił więc sposób podejścia do takiego, co śpi na warcie. A spać się oczywiście chciało, bo libacje na mecie i wizyty u pań były wyczerpujące.

Jednej nocy ten zawzięty oficer owinął się grochowinami, czyli słomą z grochu i położył się na trawniku. Co wiatr zawiał, to on podtaczał się bliżej budki wartownika. Rzeczywiście, wartownik w budce spał, a kolega, w budce obok, na tę wiązkę grochowin nie zwrócił uwagi. Takim to sposobem oficer podtoczył się pod samą budkę. Wartownik okręcił sobie pasek od karabinu wokół rąk, żeby nikt nie mógł wyrwać mu go z ręki. Oficer widząc, że wartownik śpi, wylazł z tej słomy i wyjął zamek z karabinu śpiącego żołnierza. Karabinu nie ruszył. Żołnierz obok zauważył tego oficera, kiedy ten już odchodził od śpiącego kolegi. Nie mógł nic zrobić w tej sytuacji. Gdy oficer z zamkiem w kieszeni odszedł i zginął w ciemnej uliczce, żołnierz podbiegł do śpiącego i obudził go. Żołnierz zrozumiał, że czeka go kara za to spanie i mówi do kolegi:

- Trudno, wpadłem, nie twoja wina.

Ale ten, co stał na warcie w pobliżu, i miał obudzić kolegę, był honorowy.

- Nie, to moja wina i ja muszę to wyprostować – mówi do kolegi – Idź do mojej budki i stój. Uważaj dobrze, co się stanie.

Tak też zrobili. Zamienili się miejscami.

A oficer wpadł na wartownię jak szalony i krzyczy:

- Rozprowadzający wartę, bierz żołnierza na zmianę i chodź ze mną

Przed rozprowadzającym, prawie biegiem, pędził oficer. Za nim rozprowadzający z żołnierzem na zamianę. Gdy oficer zbliżył się do budki, będąc pewnym, że żołnierz śpi, to wartownik wyszedł z budki i krzyknął: „Stój! Kto idzie?". A oficer szedł zdecydowanie, a w odległości piętnastu metrów od niego szedł rozprowadzający z żołnierzem. Ten pod budka krzyknął: „Stój! Będę strzelał!".

Ale oficer głośno do niego: „Jak masz czym, to strzelaj". Huknął strzał i oficer padł na ziemię. Drugi strzał. Gdy rozprowadzający wartowników dobiegł do leżącego, już pochylał się nad nim ten żołnierz, który strzelał. Zdążył mu wyjąć zamek z kieszeni i wrócił do swej budki. Rozprowadzający biegiem zawrócił na wartownię, a żołnierz, który zastrzelił oficera, rzucił zamek koledze, który teraz był w jego budce. Ten rozprowadzający żołnierzy na warty też był rezerwistą i kolegą tych na warcie. Widział jak kolega odrzuca zamek do drugiego wartownika. Widział, że pierwszym strzałem zabił oficera, a drugi był po to, żeby

udowodnić, że pierwszy strzał był ostrzegawczy, a drugi do człowieka, gdyż nie zatrzymał się na wezwanie wartownika.

Za parę minut na miejscu było pogotowie i żandarmeria. Na gorąca pytano tego żołnierza, który był prowadzony na zmianę: „Jak to było?". A ten: „Krzyczał - stój, ale oficer się nie zatrzymał. Strzelił w górę i krzyknął znów – stój, ale oficer dalej szedł, więc strzelił do niego. I słysząc tę wersję rozprowadzający zrozumiał, że lepiej nie wychodzić przed orkiestrę i potwierdził, że tak właśnie było. Miał do czynienia z doświadczonymi żołnierzami, zdecydowanymi bronić kolegi. Żandarmeria i prokurator zrobili dochodzenie i na tym cała spraw się zakończyła.

Ale jak popili sobie na mecie, to między sobą mówili:

– Myślał gudłaj, że zielonych ma przed sobą i oszukał się. Oficer rzeczywiście był Żydem, bo pogrzeb i ceremoniał odbył się z rabinem. Ojciec mój zawsze mówił, że do wojska, w czasie wojny, najlepsi są chłopcy z przedmieść. Ich trudno w czasie pokoju utrzymać w dyscyplinie z powodu cech ich charakteru. Ale w czasie walki, to najlepsi żołnierze. No, ale ojciec miał za sobą dwadzieścia lat w carskiej armii i trzy lata u Piłsudskiego. Wiedział, co mówi.

W tych latach nagrywano kilka filmów dotyczących drugiej wojny światowej, ale i takich o roku 1939. Na terenie poligonu, gdzie są górki, wąwozy i piaski jak na pustyni, kręcono sceny do filmu „Westerplatte". Filmowcy wypożyczyli z muzeum stare armaty, takie na drewnianych kołach z drewniana lawetą i oczywiście okute mocno obręczami, żeby były mocne.

Z filmem, a raczej z jego kręceniem w plenerze to jest tak, że jak jest pogoda to się kręci, a jak jest pochmurno – to już nie. No i filmowcy na tym poligonie, nie mając pogody, przerwali kręcenie. Teren przecież wojskowy, dobrze ogrodzony i pilnowany, więc armatom nic nie grozi. Aktorzy i statyści pojechali do domów, a armaty i sporu jeszcze innego sprzętu i dekoracji zostały na poligonie. Za dwa dni słoneczko zaczęło świecić, więc zjechali się wszyscy. Ale armat już nie było. Śladów, gdzie by je ciągnięto, też nie. Dwa tygodnie żandarmeria, wojsko i milicja szukali armat. Przetrząsnęli w okolicy chłopom stodoły i nic nie znaleźli. Ogłoszono, że jest duża nagroda, jeśli ktoś wskaże złodziei. A armaty były ubezpieczone na wypadek, gdyby im się coś stało. Muzeum nie chciało inaczej ich wypożyczyć.

Więc filmowcy za parę dni wysokość nagrody jeszcze podnieśli, ale i tym razem nikt się nie zgłosił, że wie coś o armatach. A lato było piękne, ciepłe. Rezerwiści wzięli dwie panienki i pojechali na poligon, żeby w ustronnym miejscu pobaraszkować z nimi. Jak trochę wypili, to wpadli na pomysł, żeby się wykąpać. Jeziorko było obok, więc zaczęli się pluskać w wodzie. Jeden z żołnierzy, chcąc zaimponować paniom, zanurkował parę razy. Jak dał nura to wyrżnął głową o coś żelaznego. Nabił sobie guza, wypłynął i mówi: „Co tam do cholery jest w tej wodzie?". I znów dał nura. Jak wypłynął to zawołał na bok kolegę i mówi: „Wiesz, co tam stoi na dnie? Tam stoją te cholerne armaty".

Wywarło to na nich takie wrażenie, że zwinęli całą zabawę i wrócili do koszar. Tu naradzali się z kolegami w sprawie - co robić? Były różne pomysły. Jedni chcieli je potłuc i wywieźć na złom. Inni oddać filmowcom, „bo jeszcze nas posądzą, że to my je tam potopiliśmy". Wreszcie ustalono, że pójdzie dwóch do komendanta akademii i spytają go o to, czy dostaną coś z tej dużej nagrody, jeśli powiedzą, gdzie są armaty. No i poszli i zameldowali, że wiedzą, ale nie powiedzą. Najpierw muszą dostać choć dziesięć procent tej nagrody. Najpierw to komendant się wściekł i kazali ich zamknąć. Trzymał ich tydzień w areszcie, ale oni nie zmiękli. A po Akademii zaczęło być głośno, że wojsko wie gdzie są te armaty. Dotarło to do filmowców i przyjechali, żeby się dowiedzieć, jak jest naprawdę. Komendant nie wiedział, więc nie mógł powiedzieć. Dotarli do ministra obrony i ten zarządził rewizję na całym terenie należącym do Akademii. Ale i to nic nie dało. A ci dwaj siedzą i nie chcą mówić. Przyjechał minister kultury z reżyserem i mówią do komendanta:

- Podobno trzyma pan w areszcie tych żołnierzy, którzy wiedzą, gdzie są armaty. Jeśli

pan nam ich nie pokaże, to jedziemy znów do ministra obrony i on nakaże wypuszczenie tych ludzi i umożliwi nam rozmowę z nimi. A komendant już i tak miał nieprzyjemności, że w ogóle te armaty z jego terenu znikły. Teraz wyjdzie na to, że coś kręci i że chce zdobyć tę nagrodę. Zmuszony sytuacją zwolnił z aresztu żołnierzy i minister kultury z reżyserem mogli z nimi porozmawiać.

- Panowie – zaczął minister kultury – to dobro narodowe, służy wszystkim Polakom. Bądźcie patriotami. Jak tak można, że wiecie gdzie one są i nie chcecie powiedzieć.

Żołnierze zaś między sobą rozważają: „A o nagrodzie nic nie mówią. Owszem mówią, ale ile możemy posiedzieć, że ukrywamy ten fakt. Że prokurator znajdzie taki paragraf na nas. No i masz nagrody".

Był akurat obiad w stołówce, więc goście poszli zjeść i czekali dalej, aż coś z żołnierzy wyciągną.

Żołnierze naradzali się z kolegami i ci im radzili: „Jak oni wycofają się z tej nagrody, to wy powiecie, że nie wiecie nic o tych armatach. Że chcieliście tylko zażartować i wyszło tak jak wyszło".

No i poszli w zaparte. Ale ten od filmu odwołał na bok jednego z żołnierzy i mówi:

- Panie, my mamy forsę, my filmowcy. Tylko jak panom ją dać. Nie patrz pan na ministra, on nie da. On myśli, że w wojsku zmuszą was do powiedzenia. Ale ja widzę, że nie powiecie.

No i umówili się z tym od filmu, że w niedzielę będą na przepustce i że wtedy można się spotkać. Bali się tylko czy komendant ponownie ich nie zamknie.

W niedzielę spotkali się z tym reżyserem i on już nic nie mówiąc dał im grubą kopertę. Zajrzeli – są pieniądze. Teraz tylko pytanie, czy on nie przyprowadził z sobą ogona.

- Panie – mówi mu rezerwista – masz pan tu numer telefonu. Jak będzie cicho, to jutro powiem panu, gdzie są te armaty.

Dał mu numer budki telefonicznej i czekał w niej o omówionej godzinie. Reżyser zadzwonił i wtedy mu wyjaśnił, gdzie są te armaty. Zaraz sprowadzili dźwig i wydobyli je z wody. A film kręcili dalej w Wołominie i mieli swoją ochronę przez pełną dobę. To były lata pięćdziesiąte, początek dekady.

Problemów związanych z wojskiem w tym czasie było dużo i były one bardzo barwne i ciekawe. Uważny obserwator mógłby niejedną książkę na ten temat napisać. Ja przejdę jeszcze do okresu 1980 – 1986, kiedy byłem w Biurze Politycznym. Zdarzyło mi się obserwować ćwiczenia pancerniaków. Jechaliśmy mikrobusem, który mieścił dwadzieścia osób, ale było nas tylko pięciu. Droga żwirowa – z jednej strony pola, z drugiej daleko ciągnące się lasy. I gdzieś tam, za lasem, poligon, gdzie będą zawody czołgowe. Jechał z nami generał Jaruzelski i po drodze mówił, że z pobliskiego, ale innego poligonu, przyjadą czołgi, by wziąć odział w zawodach.

- Wyobraźcie sobie, że ci, co przyjadą, to rezerwiści, oni z reguły wygrywają z żołnierzami z poboru. Po prostu doświadczenie mają większe. Jest zażarta rywalizacja i trzeba uspokajać ich, kiedy się rozgrzeją, bo są gotowi nie tylko się powyzywać i ubliżać sobie, ale i pobić. Jak do tej pory, to od wielu lat ci z poboru nie wygrali ani razu i dowódcy są źli na tych z rezerwy, że im robią afront i wstyd. Dlatego - mówił generał – nie ćwiczyli razem, gdyż trudno było ich upilnować, żeby jedni drugim czegoś nie zrobili. O właśnie, chyba stoją tu dwa czołgi, którymi jadą rezerwiści.

Generał kazał kierowcy zatrzymać się i wysiadł, by spytać ich, dlaczego tu stoją. O tej porze powinni być już na poligonie gotowi do rozgrywek. Generał Jaruzelski tego dnia nie miał na sobie munduru, który zawsze nosił. Założył tego dnia mundur polowy, oczywiście z dystynkcjami na pagonach. My odsunęliśmy szyby, żeby słyszeć, co będzie mówił do żołnierzy. Okazało się, że obie załogi czołgów leżą pod czołgami i coś tam robią. Obok leżały liczne klucze i narzędzia. Widać było tylko ich nogi i słychać jak strasznie przeklinają. Ja w tym gronie byłem jedynym budowlańcem i taką łacinę znalem dobrze. Ale ich repertuar był bogatszy od mojego. Z tych przekleństw można było wywnioskować,

co oni zrobią szefowi warsztatów. Mogę powiedzieć, że tylko kilka procent tego, to już byłoby coś okropnego.

Stoi generał Jaruzelski przy czołgu i pyta ich, co się stało. Pewnie pomyśleli, że wysłano jakiegoś oficera, żeby dowiedział się, dlaczego nie dojechali. Spodnie ten pytający miał czyste, nie tak jak oni umazane smarem. No i potraktowali generała swoim repertuarem:

- Odejdź, ty palancie, bo jak wyjdę, to zrozumiesz, o co chodzi.

Ale pytający ponownie zapytał o to, co się stało, że tu stoją i coś robią. Najbliżej leżący żołnierz, nie wychodząc spod czołgu, powiedział:

- A co mogło się stać? Ten skurwysyn szef warsztatów założył się z nami, że tego roku nie wygramy na ćwiczeniach. A miał zmienić silniki w dwóch czołgach na nowe. No i zmienił, ale nic nie dokręcił jak trzeba i rozlatuje się po drodze.

Generał spytał żołnierza:

- Zrobicie to sami i dojedziecie na poligon?

- Panie - krzyknął drugi żołnierz – Odpieprz się pan, bo jak wyjdę, to nie ręczę za siebie.

Generał wsiadł do nas i pojechaliśmy.

Na poligonie duża trybuna umajona zielonymi gałęziami. Czołgi stoją w szeregach, a czołgiści obok nich. Czekają, żeby generał Jaruzelski dał znak na rozpoczęcie zawodów. Ale on się do tego nie kwapi. Dowodzący ćwiczeniami co chwila patrzy na zegarek i na generała, ale generał jakby zapomniał, że to on ma dać sygnał do rozpoczęcia. Wreszcie zdenerwowany dowódca mówi do Jaruzelskiego, że należy rozpocząć, bo już jest pół godziny opóźnienia.

- No, a macie już wszystkie czołgi gotowe do ćwiczeń? - spytał generał dowódcę.

- Nie, towarzyszu generale. Brakuje dwóch maszyn. Pewnie mają awarię po drodze. Proponuję zacząć bez nich – dodał dowódca.

Ale generał Jaruzelski zdecydował inaczej.

- Żołnierze ćwiczyli tyle czasu, wylali tyle potu, a my im nie dajemy szansy. Poczekajcie jeszcze trochę, może przyjadą.

Za chwile zobaczyliśmy na drodze dwa czołgi T34 o numerach taktycznych 133 i 134. Szły na maksymalnym biegu. Wjechały na plac i stanęły tam, gdzie było ich miejsce. Wyskoczył dowódca czołgu umorusany na czarno tak, że tylko oczy mu świeciły i zameldował:

- Towarzyszu dowódco ćwiczeń. Melduję przybycie czołgów T34 o numerach taktycznych 133 i 134. Po drodze mieliśmy awarię.

No i rozpoczęły się zawody. Polegały na tym, że każdy z czołgów strzelał do makiety wystającej zza górki. Makietą była wieżyczka czołgu. Odległość 500 metrów. Czołgi, jadąc po kolei, zatrzymywały się na chwilkę i oddawały strzał. Następna makieta to działo przeciwczołgowe ukryte w krzakach. Tak samo po kolei każdy czołg strzelał. Ale na czas. Jeśli ta makieta mignęła światłem to oznaczało, że działo przeciwnika oddało pierwsze strzał i rozbiło czołg. Kolejna próba to czołg na minie, któremu pękła gąsienica. Czyli załoga musiała rozpiąć gąsienicę, zdjąć ją i następnie założyć, spiąć i odjechać. Najgorsze było forsowanie rzeki. Dół z wodą głębokości metra i długości trzydziestu metrów. Tu też czas odgrywał rolę. Można było szybko przejechać tę wodę, ale wtedy kierowca musiał zamknąć swój wizjer, bo nalałaby mu się fala wody. A jak zamknie, to jedzie na pamięć. Jeśli nie trafi na miejsce, gdzie się wyjeżdża, to przepadł. A komisja i sędziowie na wieżyczkach obserwują i punktują każdy czołg. Kolejne ćwiczenie polega na tym, że kaemista strzela do dziesięciu postaci biegnących żołnierzy. Te dziesięć postaci, z dykty oczywiście, biegło ciągnięte linką po prowadnicy, a czołg musiał strzelać w czasie jazdy. Odległość to sto metrów od postaci. Liczyło się, ile tych postaci otrzyma kule i ile tych kul trafi. Za każdym przejazdem czołgu sędzia otrzymywał dane o trafieniach od żołnierzy

schowanych w bunkrach. Gdy skończyły się wszystkie konkurencje, czołgi znów stanęły na swoich stanowiskach.

Te, które się spóźniły, według nieoficjalnych informacji sędziów miały największe szanse na zwycięstwo. Ja nie umiałem się połapać w tym punktowaniu, ale kibicowałem spóźnialskim. Czekaliśmy na oficjalne wyniki stojąc na trybunie, a czołgi naprzeciw nas. Z jednego czołgu cały czas coś ciekło i był to jeden z tej spóźnionej dwójki. Dowódca ćwiczeń zawołał szefa warsztatów i powiedział:

- Idźcie i zobaczcie, co tak cieknie. Jeśli paliwo, to czołg niech natychmiast odjedzie dalej od nas.

Kilku generałów przezornie odeszło z tej części trybuny na drugą stronę, bo jeśli wybuchnie pożar, to może i tu sięgnąć. Wysłany kapitan, szef warsztatów, nachylił się i sprawdził, co to jest. Wstał i chciał powiedzieć, ale nie zdążył. Z czołgu wyszedł żołnierz i rąbnął kapitana w twarz, aż ten się przewrócił.

- Dlaczego on taki mokry – pytali na trybunie.

Żołnierza zabrała żandarmeria, a nam ogłoszono, że zwycięzcami są czołgi 133 i 134. Że one zwyciężą, to na trybunie w czasie ćwiczeń już generałowie mówili. Mieli najlepsze czasy w każdej konkurencji i to było widać. Teraz miało nastąpić uroczyste wręczenie dyplomów i nagród. Nagrody to zegarki dobrych marek z wygrawerowanym napisem. Trzy pierwsze załogi ustawiono na placu i generał szedł wręczając dyplomy i zegarki. Stanął naprzeciw załogi tego czołgu, z którego mu powiedziano: „Odejdź ty palancie” i zapytał:

- Dlaczego tak długo ciekła woda z waszego czołgu? Przecież zamknęliście wszystko, gdzie by woda mogła się ulać do środka.

Wtedy ten, co był cały mokry, zameldował:

- Obywatelu generale, we włazie ewakuacyjnym ten skur... zaspawał dwucentymetrowy taki strup, który nie pozwolił dokręcić szczelnie włazu. Woda biła pod ciśnieniem i ja się na to położyłem, bo by nas zatopiło. I za to kapitan dostał w mordę.

- A który to powiedział do mnie: ”Odejdź ty palancie, bo jak wyjdę, to zrozumiesz o co chodzi”? - spytał generał.

Wyszedł inny żołnierz i zameldował:

- To ja, obywatelu generale. Ale byłem tak wkurzony, to znaczy, zdenerwowany, ale poza tym nie wiedziałem, że to obywatel generał. Przepraszam.

- Brakuje jednego członka załogi - zauważył generał.

- To ten, co uderzył oficera – zameldował dowódca ćwiczeń – Jest w areszcie.

- Trzeba go przyprowadzić – powiedział generał.

Szybko przyprowadzono żołnierza i on też dostał zegarek. Stałem kilka metrów od generała i widziałem jak ściskał mu rękę. Nie trzeba słów, żeby zrozumieć, co przekazał żołnierzowi tym uściskiem. Gdy odjeżdżaliśmy z poligonu, to Jaruzelski powiedział do dowódcy ćwiczeń:

- Towarzysz generał dobrze każe sprawdzić swoim służbom, jaką wartość, jako szef warsztatów, posiada kapitan, którego żołnierz uderzył. Musiało być wiele przyczyn, żeby tak zdenerwować żołnierza. Żołnierza oczywiście należy ukarać za to uderzenie. Ale wyważyć za i przeciw rzetelnie i dać mi o tym notatkę.

Samo życie – myślałem jadąc mikrobusem do Warszawy.

Nadchodziła rocznica bitwy pod Lenino. Wojskowi w taką rocznicę otrzymują awanse i nagrody.

- Kto ze mną pojedzie na uroczystość rocznicową - spytał nas w biurze generał Jaruzelski.

Ja, jak zwykle, pierwszy podniosłem rękę. Więcej chętnych nie było. Ale gdzie pojedziemy, tego generał nie powiedział. Dopiero w samolocie mówi, że jedziemy blisko, bo do Janowa pod Mińsk Mazowiecki. Tam było lotnisko wojskowe.

Podchodzimy do lądowania i słyszę jak meldują generałowi, że wszystko odbywa się zgodnie z procedurą wojskową i możemy lądować. Witają nas uroczyście i idziemy do budynków na skraju lotniska. Meldują generałowi o stanie lotniska. To znaczy kto i gdzie pełni służbę. Następnie przechodzimy do dużej sali, gdzie generał dekoruje kilku oficerów medalami. Są też awanse na wyższe stopnie dla części oficerów. No i oczywiście kasyno oficerskie i pełne stoły.

Generał Jaruzelski nigdy nie pił. Nie widziałem, żeby na licznych uroczystościach w ambasadach, gdzie bywał z urzędu, wypił choć kropelkę alkoholu. Brał kieliszek do rąk, podnosił do ust, ale nie pił. Nie palił też. Czasem brał do ust papierosa, ale nie zapalał go. Wielu usłużnych musiało się nauczyć nie lecieć do generała z ogniem, bo nigdy nie zapalał. I tu też nie skorzystał z okazji, żeby wypić. Uprzedził wszystkich, żeby nie pili z tej okazji, bo nie wypada z tej okazji pić.

- Teraz lecimy do Szczecina Dąbie na ich lotnisko – powiedział jakoś bardzo głośno – tam jest podobna uroczystość – dodał.

Wsiedliśmy do samolotu i lecimy w stronę morza. Ale przed lądowaniem generał kazał wracać i lecieć z powrotem do Janowa pod Mińsk Mazowiecki. Widziałem zaskoczenie na twarzach osób towarzyszących, ale nikt nie spytał, dlaczego, będąc nad lotniskiem w Szczecinie Dąbiu, zawracamy do Warszawy.

Za kilka godzin znów znaleźliśmy się nad Janowem pod Mińskiem. Gdy schodzimy do lądowania widzę, że oficer asystujący generałowi biega do kabiny pilotów i z powrotem do generała i coś mu mówi. Robi to kilka razy i słyszymy jak generał Jaruzelski mówi do oficera: „Lądować". Odwraca się do nas i mówi:

- Nic nie działa na lotnisku. W ogóle nie wiedzą, że ląduję, a to przecież duży samolot. Radio jest nieczynne i nie odzywa się wieża kontrolna. Ja czułem, że tak tu będzie i dlatego zawróciliśmy ze Szczecina – dodał generał.

Lądujemy na końcu pasa startowego. Generał mówi, żeby tu zostawić samolot, a my pójdziemy pieszo do budynków lotniska. Idzie pierwszy wzdłuż gęstego i wysokiego żywopłotu, a my sznurkiem za nim. Zatrzymuje się generał i patrzy przez ten żywopłot, a tam dwaj żołnierze wartownicy leżą pijani w trupa. Nawet słowa nie można od nich wydobyć. Broń leży na trawie, obok butelki po winach i piwach. Jeden z towarzyszących nam oficerów zabrał broń i idziemy dalej. Już z daleka słychać głośną muzykę, a szczególnie perkusję. Weszliśmy już na schody przed kasynem i nikt nas nie rozpoznał, mimo, że co chwila wychodził jakiś oficer na powietrze. Na sali zabawa na całego. Tańczą dwie pary, ale nie na podłodze, tylko na stole. Dalej nikt nie zwraca uwagi na nas w tym zgiełku i pijaństwie.

Generał mówi do oficera, który zabrał te dwa leżące karabiny.

- Zobaczcie, czy w magazynku jest amunicja.

Oficer sprawdza i mówi, że jest.

- To strzelajcie w górę na zewnątrz budynku.

Padło kilka strzałów i umilkła orkiestra, a z sali wybiegali pijani oficerowie. Teraz już poznali, kto przed nimi stoi. Wielu z nich było bez mundurów, w koszulach i to rozpiętych. Nie mogli ustać pionowo i bełkotali coś po pijanemu.

- Zróbcie alarm – powiedział generał do swoich oficerów.

Za parę minut mieliśmy oficerów i żołnierzy, którzy stali na baczność.

Generał spytał:

- Kto z was dziś nie pił alkoholu?

Wystąpiło kilku do przodu i mówią, że nie pili.

- Weźmiecie żołnierzy i zamknijcie w areszcie wszystkich wojskowych, którzy są na tym balu. Bez względu na stopień. Zrozumieliście?

- Tak jest, obywatelu generale.

Wojsko i jego problemy nie należały do moich kompetencji, więc cała ta sprawa byłą prowadzona przez wojskowe służby, które już na drugi dzień po zajściu wzięły się do pracy. Generał nie udzielił nam informacji, jakie reperkusje wynikły z tego balu. Ale generałowie zasiadający w KC i Biurze Politycznym mówili, że były degradacje i surowe kary. I nie tylko dla kadry oficerskiej. Nawet wartownicy ponieśli karę za pijaństwo.

No cóż. Wojsko to duzi chłopcy. Lubią się pobawić. Tylko, że były to czasy dwóch obozów politycznych i militarnych. I nie były to obozy przyjazne, a zwalczające się na różne sposoby. Porządek w armii musiał być i jak trzeba to ten porządek i dyscyplinę przywracano z bólem i łamaniem kariery tych, co nazbyt dużo sobie pozwolili. I dlatego też ja wojsko lubię, bo wśród cywilów mogli się nasi przełożeni schlać jak świnie i rozchodziło się to po kościach.

Rozdział IV

Z BOGIEM CZY BEZ BOGA

Często zastanawiałem się nad problemem ludzi, którzy oficjalnie mówili, że są niewierzący. Argumentowałem ten fakt na różne sposoby. A ponad trzydzieści lat pracy z ludźmi dało mi różne możliwości poznania przyczyn i powodów odejścia od wiary. Czy naprawdę tak było jak mówili mi w rozmowach, że odchodzili od Kościoła z powodu złego przykładu swego proboszcza? Proboszcz, który prowadził życie pijaka i kobieciarza lub geja? Czy też z powodu jego zachłanności na pieniądze, jakie ściągał od swoich parafian? A może to były tylko preteksty i szukanie powodów jak odejść od wiary, a winę za to zwalić na kapłana?

Fakt, że na prawie sto osób, z jakimi pracowałem przez kilkadziesiąt lat znalazło się czterech, którzy mówili, że odeszli od Boga, bo skoro ich pasterz jest stokroć gorszy od nich samych, to znaczy, że niczego się nie boi, skoro tak postępuje i żyje. Więc nie może być tak, żeby była kara za takie złe życie, a więc Boga nie ma. Być może, że moi koledzy mówili prawdę, bo życie niesie nam przykłady takich księży, którzy zasługują na wyrzucenie z Kościoła. Przecież to tacy sami ludzie jak my i może się trafić człowiek o słabej woli i złym charakterze, może mieć w sobie słabość do alkoholu i innych rzeczy zakazanych dla księży.

Dochodziło często między nami do kłótni, gdyż ja twierdziłem, że jeśli wierzę w Boga, to żadne, nawet najgorsze przykłady księży nie spowodują, ze odejdę od Boga. - No, ale to wasza sprawa – kończyłem zawsze taki spór z nimi. Bywało, że z upływem czasu i zdarzeniami w rodzinie ci ludzie wracali do Kościoła i później głupio się czuli w rozmowie, gdy im przypominałem to, co mówili dwadzieścia lat temu. Ja jednak pragnę opisać nie wyżej opisane zdarzenia i ludzi, ale takich kolegów, którzy urodzili się w rodzinach ateistów. Miałem dwóch takich kolegów, którzy nie byli ochrzczeni i wybierzmowani, nie byli u spowiedzi i Komunii. Nie chodzili nigdy do kościoła. Ich rodzice już przed wojną byli ludźmi niewierzącymi i tak te z wychowali swoje dzieci. Z początku myślałem, że obaj należą do Jehowych, jak wtedy mówiono. Bo mimo, że byli niewierzący, to żyli tak, że nie można im było nic zarzucić. O wiele lepiej przestrzegali dziesięciu przykazań niż wszyscy wierzący. Na porządku dziennym było to, że wierzący bili żony i chwalili się tym, że przepijali całe wypłaty, że przyprowadzali prostytutki na budowę i że nie można było im wierzyć na słowo honoru, bo po prostu kłamali.

Przez wiele lat nigdy nie zauważyłem tych rzeczy u tych dwóch niewierzących. Zdarzało się tak, że jeden z tej dwójki powiedział mi:

- Ty podobno robisz ładne i dobre kominki, bo koledzy mi mówili".

- Owszem robię, bo ojciec mnie nauczył zduństwa, a nasi prominenci lubią mieć kominki.

- No właśnie. Ja - mówi kolega – mam kuzyna zakonnika i oni chcą mieć duży, klasyczny kominek z cegły, a nie z żelaza. Mają też duży kłopot, bo w kaplicy, nad ołtarzem, pękło główne nadproże, czyli ta rama, co podtrzymuje sufit. Może byś pojechał ze mną i obejrzał to – nalegał kolega.

On sam dojeżdżał do Warszawy z Mińska Mazowieckiego jak wielu innych. Nazywał się Franciszek Skrajka i był dobrym cieślą. A klasztor stał obok pięknego barokowego kościoła z 1626 roku w Siemiatyczach. Miałem już wtedy pierwszy samochód na talon, więc wybraliśmy się raniutko w niedzielę, gdyż do przejechania mieliśmy kawał drogi. Po drodze było sporo czasu, więc pytam Franka, jaką ma rodzinę, ile ma dzieci, itd. Ale on nie chce ze mną na ten temat mówić. Po przyjechaniu na miejsce obejrzałem to pękniecie i mówię, że jedyny ratunek to zbudować nowy łuk opierając go o filary z boku, bo przecież nie można budować filara pośrodku przed ołtarzem, a ładny łuk nie zasłoni, a całkowicie

zabezpieczy to sklepienie. Braciszkowie zgodzili się z tą koncepcją. Ustaliliśmy cenę za pracę i teraz pozostała tylko kwestia, kiedy to zrobić. Ja w normalne dni robocze nie mogłem, a oni nie zgadzali się na pracę w niedzielę.

Trzeba by ze trzy soboty i niedziele, czyli sześć dni na ten łuk, bo kominek przez dwie niedziele zrobię. Wreszcie zakonnicy zgodzili się na pracę w niedzielę i zaczęliśmy z Frankiem robotę. Przeor dał nam do pomocy dwóch zakonników i praca szła dość szybko. Jeździliśmy tam w piątek po pracy po to, żeby rano w sobotę już pracować. Dwie noce spędzaliśmy u zakonników. I te noce przegadane z przeorem są powodem, że o tym wszystkim piszę.

Okazało się, że przeor dobrze zna całą historię życia mego kolegi Franka. Kuzyn Franka, zakonnik, dokładnie przeorowi opowiedział, co gnębi mego kolegę i dlaczego Franek jest taki zamknięty w sobie. Franek był w związku małżeńskim po cywilnym ślubie już czternaście lat, ale dzieci, jak przychodziły na świat, umierały w pierwszych miesiącach życia. Umarło im sześcioro dzieci. Robili liczne badania oboje i lekarze twierdzili, że wszystko jest w porządku, a dzieci umierały. Zauważyłem, że przeor przychodził i nawiązywał rozmowy z Frankiem kilka razy, ale Franek prosił, żeby nie poruszać tego tematu. Raz tak się zdenerwował, że powiedział do przeora: „Jak ojciec jeszcze raz poruszy te sprawę, to rzucę robotę i więcej tu nie przyjadę".

Wtedy przeor zaczął z mną rozmawiać, ale nie przy Franku, lecz po kolacji, w nocy:

- Panie Siwak, Bóg ma jakiś cel, że tak się dzieje. On ma wierzącą żonę, ale nie daje jej chodzić do kościoła, a i w domu nie ma modlitwy, bo on się wtedy złości. Ja chcę – mówi przeor – nie tylko z nim porozmawiać, ale dać mu wiarę i pewność, że urodzone dziecko będzie żyć.

Byłem tym zdziwiony i nie kryłem przed przeorem, ze nie wierzę w takie zapewnienie, więc tym bardziej Franek nie uwierzy.

- Nie dziwię się panu - mówił przeor - Zwykły śmiertelnik nic nie wie o wielu rzeczach związanych z wiarą. Wiecie tyle, ile wasi księża wam powiedzą, a to nie cała wiara, to czubek góry, a nie góra - mówił przeor.

- O co to, to nie – zaprzeczyłem – Ja na przykład wiele razy przeczytałem tak Stary jak i Nowy Testament i ciągle do niego zaglądam. Dużo też czytałem książek – zacząłem się chwalić.

- A jakie na przykład książki pan przeczytał? - spytał przeor.

Wymieniłem cztery tytuły, a przeor mówi tak:

- Wie pan, znam ludzi, którzy przeczytali większą część Biblioteki Narodowej, ale nic z tego nie pamiętają i nie stosują w życiu. Wystarczy ten Nowy Testament dobrze znać i żyć w zgodzie z naukami Jezusa.

W znajomości Nowego Testamentu byłem mocny, aż się przeor zdziwił:

- Pierwszy raz widzę i słyszę jak osoba świecka tak dobrze zna Pismo.

- No właśnie, proszę ojca, dlaczego księża czytają te urywki Ewangelii, które uważają za słuszne i te, które im dają przewagę nad wiernymi, a nie te, o których najczęściej mówi Jezus, nauczając ludzi.

- Co pan ma na myśli? - spytał przeor.

- Ano to, że jak gospodarz winnicy kazał zawołać do pracy robotników, to tym, co od rana pracowali dał zapłatę, i tym, co od południa zatrudnił dał taką samą sumę, i tym, co przed zachodem słońca przyszli też taką samą. A księża mówią, że otrzymasz zbawienie, jeśli będziesz regularnie brał udział w mszy świętej.

Przeor się zamyślił i po cichu mówi:

- Panie Siwak, ja przed wojną kończyłem seminarium, bo miałem być księdzem. Uczyłem się w Krakowie i uczono nas też na przykładach z życia. Zdarzyło się, że dwoje ludzi szło po moście przez Wisłę. Stanęli na chwilę, by popatrzeć na rzekę. Po drugiej stronie, też na moście stał człowiek. Między nimi była tylko jezdnia. Podnosi ręce do góry

i woła: „Boże, jeśli możesz, to przebacz mi moje grzechy!”. Wszedł na barierkę i nim ci dwoje ludzie zdążyli dobiec do niego, on skoczył do wody. Ciało wydobyto, ale ksiądz z jego parafii nie chciał go pochować zgodnie z obrządkiem Kościoła. Bo po pierwsze był to znany w Krakowie bandzior, a po drugie samobójca. Przez dwa tygodnie ciało leżało i rodzina nie wiedziała, jak pochować zmarłego, gdyż kolejni księża odmawiali. Aż zgłosił się ksiądz z jednej podkrakowskiej parafii. Powiada: „Przywieźcie ciało jutro do mnie i pochowamy go, jak należy”. Tak się też i stało. Była msza. A po pogrzebie zrobiło się głośno, że ksiądz złamał kanony wiary, czego nie powinien robić. Wezwał księdza biskup i pyta: „I co ja mam z tobą zrobić? Chyba cię zawieszę w czynnościach, a następnie będzie tak, że każą ci zdjąć sutannę”. I wtedy ten ksiądz tak mówi do biskupa: „Chrystus umierając na krzyżu miał u swego boku dwóch łotrów. Jeden naigrawał się z Chrystusa mówiąc: „Jeśli jesteś synem Bożym to zejdź z tego krzyża i ulżyj nam. A drugi powiedział: „My obaj zasłużyliśmy na taką śmierć, ale on nie. Panie – zwrócił się do Chrystusa – jak będziesz tam już, to wspomnij o mnie”. I wtedy Chrystus powiedział: „Zaprawdę powiadam ci, że dziś jeszcze będziesz tam ze mną”. „Czyli – powiada ksiądz do biskupa – Chrystus w jednej chwili odpuścił mu jego grzechy i wziął ze sobą. Chyba, że nie będziemy wierzyć w to, co mówił Chrystus do łotra. Jeżeli Chrystus przebaczył łotrowi, a Bogu Ojcu mówił, że jest miłosierny i wybacza, to skąd ksiądz biskup wie, że gdy ten człowiek na moście przed skoczeniem do wody podniósł rękę i błagał Boga o przebaczenie, to Bóg mu nie przebaczył? Zaprzeczylibyśmy kanonowi wiary i miłosierdzia. Więc ja z głęboką wiarą w to miłosierdzie zrobiłem to, co należało do kapłana. A sędzią będzie Bóg, a nie my, księża”.

No i biskup nie wiedział, co robić. Pisał do Rzymu i dostał odpowiedź dyplomatyczną. Ojcowie w Rzymie napisali, że rzeczywiście Bóg jest nieskończenie miłosierny i wybacza, ale dalej już nic nie było o tym, czy ksiądz zrobił dobrze, czy źle, chowając samobójcę zgodnie z obrządkiem Kościoła.

Widzi pan, można tak i tak. Zależy od ludzi i znajomości wiary. Przecież mamy przykład Świętego Pawła, który pokazuje, jak wiara może zmienić człowieka. Paweł prześladował uczniów Chrystusa i samego Jezusa. A że pełnił wysoką funkcję we władzach, to miał możliwość robienia krzywdy ludziom wierzącym w Chrystusa. Nastąpiła jednak zmiana w nim samym. Stał się nie tylko gorącym orędownikiem i uczniem, ale sam nauczał wiary chrystusowej”.

- Chce ojciec powiedzieć mi, że Franek też się zmieni?

- Jestem tego całkowicie pewien - powiedział przeor.

- Co musi się stać z Frankiem, żeby się zmienił?

- Tego nie wiem – odpowiedział przeor – ale musi się coś stać. On może nie zdaje sobie z tego jeszcze sprawy, że uniemożliwia swojej żonie wiarę w Boga. I teraz zastanów się pan - mówił przeor – przecież dzieci wychowałby tak samo, jak jego wychowali rodzice. To nawet gorsze jest od tego, że członkowie partii mówią, że nie wierzą w Boga. Oni wierzą, tylko boją się utracić stanowiska. Przyjeżdżają tu do nas, zakonników, i spowiadają się, chrzczę dzieci. Żyjemy, panie Siwak, w czasach po strasznej wojnie i po rosyjskiej rewolucji. Niech pan mi uwierzy, że wojna i obecne czasy i ustrój, doprowadziły do tego, że bardzo wielu ludzi żyje w bardzo ciężkim kryzysie swego sumienia. Człowiek czy chciał, czy nie, znalazł się w sytuacji, w której mógł wybrać. Mógł odmówić służenia złej sprawie i całe życie cierpieć, a nawet zginąć, albo przyjąć pracę, stanowisko i związane z nim obowiązki, przeważnie łamiące jego wiarę i sumienie. I tacy ludzie, jeśli nie mają siły, żeby się wyrwać sami z tego kręgu zła, do końca życia będą żyć w ciężkim kryzysie sumienia. Chyba, że zmieni się ustrój i nowa sytuacja da możliwości tym ludziom, by oczyścić swoje sumienie i zbliżyć się do Boga”.

Rozmawialiśmy o tym w 1970 roku, kiedy nikt by nie uwierzył w to, że przyjdzie taki czas, kiedy padnie wielki Związek Radziecki, a wraz z nim kryzys ludzkich sumień.

Wiele lat po tej rozmowie Piotr Kostikow opowiadał mi o tym, jak stary działacz, który brał udział w rewolucji październikowej, a potem robił to, co Beria i jego pobratymcy mu

kazali, mówił mu: „Może myślisz, że żyje mi się dobrze z tym, co musiałem robić? Że może zapomniałem o tym. Otóż nie. Męczy mnie to dzień i co noc. Chciałbym umrzeć, a żyję i meczę się strasznie".

Kulikow opowiadając mi tę scenę komentował: „Ten stary człowiek stał metr ode mnie, a łzy mu ciekły i spadały do morza. I wtedy pomyślałem: Boże, jakże Ci dziękuję, że ja nie musiałem dokonywać takich wyborów, jak on, i przeżywać teraz tego, co on nie muszę".

Zbyt długo milczałem, więc przeor mnie spytał:

- O czym pan myśli?

- Myślę, że dużo ludzi odejdzie z tego świata, dźwigając ciężar swej przeszłości.

- Ja jednak myślę – mówił przeor - że Bóg i jego Opatrzność pozwoli narodom uciemiężonym wyjść z tego przeklętego kręgu zła.

- Czyżby przeor chciał powiedzieć, że runie cała konstrukcja socjalizmu? – spytałem.

- Za mego życia może nie – odpowiedział – ale pan będzie świadkiem zmiany, po której ludzie będę w stanie pozbyć się ciężaru grzechu. Będą mogli swe sumienia uspokoić i umierać bez obaw. Dotyczy to ogromnej masy ludzi w wielu krajach, gdzie ludzie znaleźli się w tym ciężkim kryzysie sumienia. No, ale wróćmy do sprawy Franka. Proszę pana, jako jego przełożonego, a on ma o panu dobre zdanie, wpłyń pan na jego decyzję i niech on zacznie mnie słuchać. To do niczego go nie zobowiązuje. Ja wierzę, że dziecko, które ma się niedługo urodzić, może żyć.

Franek oczywiście złościł się i rzucał. Groził, że nie przyjdzie tu do pracy, jak będziemy na niego naciskać. Znalazłem jednak jego słaby punkt. Franek kochał żonę i nie ukrywał tego. Parę razy, wracając z Siemiatycz, wstępowałem do domu Franka. Teraz żona jego była w ciąży i Franek nieba by uchylił, żeby tylko Zosi było dobrze i była zdrowa.

- Pójdę na miasto zrobić zakupy – powiedział Franek – posiedzisz jak wrócę, czy pojedziesz?

- Posiedzę, idź spokojnie.

Chciałem porozmawiać z Zosią i powiedzieć jej, co przeor mówił. Opowiedziałem jej o tej rozmowie i niechęci Franka.

- Musi pani popracować nad Frankiem. Trzeba go przekonać do tego, co mówił przeor.

- A pan wierzy, że tak może być, jak mówił przeor – spytała.

- Pani Zosiu, świat jest pełen zdarzeń i rzeczy niemożliwych, które stają się możliwe. Gdyby to, co przeor proponuje było złe, to ja bym się nie wtrącał, ale on Franka nie namawia do złego, ale do dobrego.

- Ale panie Albinie, Franek to naprawdę dobry człowiek, on nie przeklina, nie pali, nie pije, nie kłamie. Daj Boże, żeby inni choć w połowie tacy byli jak on.

- To prawda, pani Zosiu, ja Franka znam od dawna.

Następnej soboty Franek spytał mnie:

- Coś ty nagadał Zosi, że ona mówi, że przeor ma rację?

- Nic ponadto, co sam od niego usłyszałeś. A Zosia uczepi się wszystkiego, co może dać jej wiarę, że dziecko, które urodzi, będzie żyło. I ty się nie dziw temu. Przysłowie mówi, że tonący brzytwy się chwyta.

- Tak, to prawda – odpowiedział Franek – tylko, że przeor i ty chcecie mnie nawrócić na drogę wiary, a ja żyję, mimo że nie wierzę w Boga, tak jak przeora wierni tak nie żyją. Znam ich i wiem, jak oszukują, jak piją i jak łajdaczą się. W moim życiu tego nie było i nie będzie i nie dlatego, że boję się piekła, bo nie wierzę, że istnieje, ale że oboje moi rodzice tacy byli i ludzie ich szanowali. Byłem dumny z nich, patrząc jak się szanują i jaki mają stosunek do ludzi. Do dwudziestego piątego roku życia, mieszkając z rodzicami, nie słyszałem ani razu przekleństwa. Widziałem, jacy oboje byli uczciwi, wtedy, kiedy wszyscy koło nas kłamali i oszukiwali. A w brygadzie nie masz przykładów, że nasi

koledzy kradną, gdzie tylko mogą i piją za te pieniądze? Że przyprowadzają prostytutki do pakamery, a mają żony i dzieci? W niedzielę idą z żonami do kościoła i oni są, według ciebie, lepsi ode mnie, co?

Nie, Franek, ja nigdy nie powiedziałem, że są lepsi. Ja tylko widzę, jak ty i twoja żona cierpicie z powodu śmierci waszych dzieci. Ja mimo sporego oczytania w lekturze religijnej nie posiadam tej wiedzy i takiej wiary jak ten stary przeor. Instynktownie czuję, że on ma rację i dlatego namawiam ciebie, żebyś go wysłuchał. Ja ci Franek opowiem przykład z życia wzięty i to nie jakiś dawny, który trudno sprawdzić, ale dzieje się to teraz i możesz u moich sąsiadów, bądź u kolegów w brygadzie, którzy mieszkają w Rembertowie, sam to sprawdzić. W Rembertowie, gdy Karolówka była jeszcze wioską, do 1945 roku i po wojnie mieszkało małżeństwo Łapińskich. On Piotr, ona Michalina. Oboje przyjaźnili się z moimi rodzicami. Uprawiali ziemię i dorabiali, gdzie mogli, bo ziemi było mało. Tak moi rodzice jak i Łapińscy w czasie okupacji jeździli do Rzeszy na handel. Narażali się często przechodząc granicę, odbierano im to, co kupili. I ci Łapińscy mieli problem z dziećmi, taki jak ty. Im też umarło sześcioro dzieci, co możesz sprawdzić na cmentarzu. Ksiądz Ryszard Łapiński wybudował dla swych rodziców pomnik. Leżą w tym grobie jego rodzice i sześcioro rodzeństwa. To, co ci mówię działo się przed wojną. Ja znam tę historię od swych rodziców i od ich syna, który żyje do dziś i jest księdzem. Kiedy Michalina była siódmy raz w ciąży, to pojechali do Częstochowy i przysięgli, że jeśli to będzie syn, to zostanie księdzem. No i w 1918 roku urodził się im chłopiec. Dali mu imię Ryszard Józef. Kilkanaście lat później został księdzem. Mimo trudności z uzyskaniem pozwolenia na budowę kościoła po wojnie, młody ksiądz Łapiński na ziemi rodziców w Karolówce zbudował prowizoryczną kaplicę. I co ty powiesz Franek na tę historię?

- Jeśli to prawda, co mi mówisz, to albo zbieg okoliczności, albo los się do nich uśmiechnął.

- Franek, a znasz kawał, jak Żyd prosił Boga o pomoc?

- Nie, nie znam, ale co to ma do mojego problemu?

- A no to, że przez wiele dziesięcioleci biedny Żyd modlił się, by Bóg pomógł mu w biedzie. Modlił się długo i gorąco. Aż dobry Bóg postanowił mu pomoc. No i gdy tak raz się modlił, to Bóg się odezwał i mówi mu: „A jak mam ci pomóc? Nasypać ci worek złota? Pomóż i ty mnie, żebym mógł pomóc tobie.

- Ale jak? - pyta biedny Żyd.

- Zagraj choć raz w totolotka, to ci pomogę.

Więc zagrał i wygrał najwyższą wygraną.

- Jaki wniosek z tego dla ciebie? – spytałem.

- Chyba taki, że trzeba wyjść naprzeciw i pomoc losowi – stwierdził Franek.

- Otóż to, masz rację. Losowi trzeba pomóc, więc zrób ten krok i wysłuchaj przeora.

- Dobrze, zgadzam się, ale niczego nie oczekujcie ode mnie.

Jak zwykle zajechaliśmy do Siemiatycz w piątkową noc. Po kolacji przeor, który ucieszył z się z decyzji Franka, powiedział:

- Zapraszam was obu na rozmowę, nie mam żadnych tajemnic, a sprawa jest tak prosta, że każdy może jej wysłuchać.

Przyszliśmy z Frankiem do refektarza, gdzie mnisi modlili się. Przeor zostawił kilku zakonników i mówi do Franka:

- Boisz się tej rozmowy jak dziecko zastrzyku, który może uratować mu życie. A ja chcę tobie zaproponować jeden układ. Ja ciebie i twoją żonę zapewniam, że dziecko, które ona urodzi, będzie żyć. Opieram swą wiarę w to, co mówię na miłości Boga do ludzi, których stworzył. Mam liczne przykłady z mego życia w zakonie i służbie Bogu, że Bóg może wysłuchać naszych próśb i modlitw i zachowa przy życiu wasze dziecko.

- A co ojciec chce w zamian? Żebym może się ochrzcił?

- Nie, widząc jak jesteś uparty mam inną propozycję. Wiem, że jesteś słowny i nie kłamiesz. Ty teraz przy świadkach daj mi słowo, że za kilka lat przyjedziesz i wspólnie podziękujemy Bogu, że wysłuchał nas zakonników w twojej sprawie. Bo to my będziemy gorąco prosić Boga, gdyż ty nie chcesz tego zrobić.

Franek siedział i milczał. W końcu spytał:

- Wy zakonnicy będziecie w mojej sprawie prosić Boga?

- Tak – odparł przeor

- I nic więcej ode mnie nie chcecie, tylko żebym za parę lat przyjechał tu do was i podziękował Bogu?

- Nie, nic więcej.

- To znaczy, że ojciec jest pewien, że za kilka lat dziecko nasze będzie żyło?

- Tak, jestem tego pewien. Moja głęboka wiara w Boga i liczne przykłady z mego długiego życia w służbie Bogu dają mi pewność.

- Jeśli to tylko tyle, to daję tu uroczyste słowo honoru – to mówiąc Franek wstał i podniósł prawą rękę do góry – że przyjadę podziękować za życie dziecka.

- No to idźcie spać -powiedział przeor.

Skończyliśmy ten łuk w kaplicy i kominek w domu, gdzie mieszkali zakonnicy i wróciliśmy do domu. Po trzech miesiącach żona Franka urodziła syna. Franek co dzień leciał do domu jak na skrzydłach. Ani chwili nie bałamucił w pracy.

Czas minął szybko i rok minął, a dziecko miało się dobrze. Ja w nawale pracy i obowiązków nie miałem czasu interesować się tą sprawą. W partii jeszcze nie byłem, ale w związkach zawodowych awansowałem wysoko. A brygada była największą w Polsce i braliśmy po dwa lub trzy duże bloki do budowy, a z materiałami do budowy były ciągle kłopoty. Dnia nie starczało, żeby to wszystko pozałatwiać. Upłynęły od czasu naszej pracy u zakonników ponad cztery lata. Jednego dnia Franek powiedział mi:

- Byłeś nie tylko świadkiem mego przyrzeczenia, ale i inspiratorem w tej sprawie, to teraz pójdź ze mną do nich, bo słowo to słowo i trzeba go dotrzymać.

Okazało się, że zakonników już nie ma. Mały klasztor został przekształcony w dom opieki społecznej. Pytamy proboszcza, co się stało z zakonnikami. Okazało się, że państwo oddało im duży budynek na klasztor, ale są teraz w województwie jeleniogórskim.

– Wszyscy zakonnicy tam wyjechali – mówi proboszcz.

Ustaliłem dokładnie adres tego nowego klasztoru i pojechaliśmy do nich. Przeor żył jeszcze. Ucieszył się z naszej wizyty.

- Ja wierzyłem, że on przyjedzie – pokazał na Franka – Czy dziecko żyje?

- Tak, żyje. Chcę podziękować za skuteczną pomoc.

- Odpocznijcie po podroży i za godzinę razem to zrobimy.

Gdy weszliśmy za godzinę do kaplicy byli tam wszyscy zakonnicy. Było ich dużo więcej niż w Siemiatyczach. Przeor najpierw powiedział, że chcemy tu najpierw podziękować za cud, po czym zwrócił się do Franka:

- Ci zakonnicy z Siemiatycz modlili się razem ze mną o łaskę dla twojego dziecka, gdyż nie umiałeś tego zrobić, ale teraz myślę, że przyłączysz się do nas i podziękujemy razem Bogu za to, że wysłuchał naszej prośby.

Klęczałem obok Franka, a on głośno powtarzał słowa: „Dziękujemy ci, Panie”.

Wszyscy już wstaliśmy, a Franek jeszcze klęczał i coś po cichu mówił. Gdy wstał to podszedł do przeora i poprosił:

- Niech mnie zaraz tu ojciec ochrzci.

Ale przeor zadecydował inaczej.

- Musisz mieć chrzestnych rodziców. Twój przyjaciel może być chrzestnym ojcem, ale

nie mamy tu kobiet. Jutro znajdziemy ci matkę chrzestną i ochrzcimy.

Tak też zrobili.

Franek, mając prawie czterdzieści lat, przyjął dobrowolnie chrzest. Gdy wróciłem z Libii i poszedłem na emeryturę, a nasza firma budowlana się rozleciała, to Frankowi załatwiłem pracę u znajomego. W 2006-tym roku Franek przyjechał z synem do mnie. Syn miał trzydzieści cztery lata i miał już dwoje dzieci: dziewięcioletniego syna i ośmioletnią córkę. Siedzieliśmy przy herbacie i przypomniałem Frankowi, jak opowiadałem mu historię Łapińskich, których syn został księdzem.

Patrz Franek, ten nowy murowany kościół to dzieło księdza Łapińskiego, który jeszcze żyje i ma tytuł honorowego kapelana Jego Świątobliwości Jana Pawła II. Ma sporo ponad osiemdziesiąt lat, bo urodził się w 1918 roku i wiesz, co mówi o Bogu? Że Bóg przewidział, że napadną na niego bandyci i dał mu zachorować na krtań. Lekarze wsadzili mu w gardło aparat do oddychania. Kiedy dwaj bandyci zaczęli go bić, krzycząc, żeby oddał pieniądze, to on mocno ugryzł jednego w palec. I wtedy bandzior, zdenerwowany z bólu, zaczął go dusić poduszką. Trzymał ją przez parę minut i stwierdził w końcu, że ksiądz już nie żyje. Opuścili szybko plebanię zostawiając dużo krwi wokoło. Ale ksiądz żył, bo oddychał tym aparatem w krtani, którego bandyta nie zakrył. Szybko znaleziono tego z uszkodzonym palcem, bo zgłosił się do lekarza, a lekarze już wiedzieli o tej napaści. On twierdzi, że to Opatrzność Boska czuwa nad ludźmi. Chyba, że z tobą Franek też tak było, że ten łuk w kaplicy i kominek wypadł akurat wtedy, kiedy i ciąża twojej żony. Nic nie dzieje się bez przyczyny, a więc i wasz rodzinny przypadek musiał być przez Opatrzność zauważony.

Na pytanie „Z Bogiem czy bez Boga?" życie dało mi konkretną odpowiedź. W książce „Trwałe ślady" opisałem wywiad dwóch polskich dziennikarzy z księdzem, który całe swe życie spędził u boku prymasa Wyszyńskiego. Towarzyszył mu na dobre i na złe, nie opuszczając go ani na chwilę. Gdy prymas Wyszyński zmarł, towarzyszący mu ksiądz był już stary i chory, to papież Polak zabrał go do Rzymu. Poczyniono kroki wyniesienia na ołtarze prymasa Wyszyńskiego i w związku z tym faktem pokazywano tak w Polsce, jak i na świecie, całą trudną drogę życiową polskiego prymasa. Słusznie ktoś wpadł na pomysł, że najwięcej o prymasie powinien powiedzieć jego osobisty sekretarz.

Nasi dwaj dziennikarze, zajmujący się przedstawieniem społeczeństwu relacji z różnych religijnych uroczystości z Rzymu, wybrali się do niego, by udokumentować życie prymasa Wyszyńskiego, póki jego sekretarz jeszcze żyje. Ale okazało się, że staruszek odmówił udzielenie wywiadu. Kilkakrotne próby nie odniosły skutku, więc obaj dziennikarze napisali prośbę do Jana Pawła II, by skłonił księdza do wywiadu. „On – pisali do papieża – da wiarygodne świadectwo nieomal całego życia prymasa. A polskiemu społeczeństwo trzeba sylwetkę prymasa przedstawić przez takiego właśnie człowieka. Papieżowi zależało również na tym, by napisano dobrą i rzetelną biografię prymasa Wyszyńskiego. Poprosił więc na rozmowę starego księdza i pyta: „Dlaczego nie chcesz wystąpić przed kamerą i dać świadectwo prawdzie?". „Bo nie wiem, czy tę właśnie prawdę przyjmą dobrze nasi biskupi i kapłani" - odpowiedział ksiądz.

Papież, którego z prymasem łączyły mocne związki, zainteresował się tym bardzo.

- Cóż takiego prymas czynił, że może to źle przyjąć duchowieństwo?

I wtedy ten stary kapłan Ojcu Świętemu powiedział:

– Prymas wszystkie swoje obowiązki spełniał z pełnym poświęceniem i wiarą w Boga, ale jak chciał się pomodlić, tak sam do siebie mówił: „Chodź w pole. Usiądź tu na miedzy i gdyby ktoś chciał iść tą miedzą to przeproś i powiedz, żeby szedł inną. Ja pójdę trochę dalej i będę się modlił. Klękał na tej miedzy i podnosząc ręce do nieba modlił się gorąco. Gdy wracał po tej modlitwie był rozpromieniony, uśmiechnięty. A ja – mówił zdenerwowany staruszek - mówiłem mu: „Ma ksiądz prymas kościół, ołtarz, pokój z klęcznikiem, a modli się w polu między zbożem. A on uśmiechnął się i powiedział: „Bo

wszystko co w kościele jest, stworzyli ludzie, a świat i przyrodę stworzył Bóg. On mnie tu usłyszy i ja Jego. Jest to ten sam Stwórca Bóg, ale w polu jestem bliżej Niego, jestem po prostu z Bogiem".

Rozdział V

MŁYN CZASU PRACUJE BEZUSTANNIE

Jestem przekonany, że ta część społeczeństwa polskiego, która była w latach 1965 – 1980 w wieku produkcyjnym i interesowała się rozwojem kraju wie, że województwo katowickie gospodarczo stało najlepiej ze wszystkich w Polsce. Po części było to spowodowane tym, że było to serce przemysłowe Polski, ale też województwo to zawdzięcza swoje największe inwestycje przede wszystkim decyzji Ziętka, kiedy był wojewodą i Gierka, kiedy pełnił funkcję pierwszego sekretarza komitetu wojewódzkiego. Obaj wpadli na pomysł nie wypuszczania pieniędzy zakładowych poza województwo. Ta decyzja zaowocowała budową obiektów sportowych, rekreacyjnych, szpitali i przychodni zdrowia, a przede wszystkim drogą szybkiego ruchu Katowice – Częstochowa – Warszawa.

Ziętka poznałem, kiedy był jeszcze członkiem egzekutywy warszawskiej. W ramach wymiany doświadczeń spotykaliśmy się z egzekutywami krakowską i katowicką w Krakowie i zawsze tym spotkaniom przewodniczył Ziętek. Cieszył się prawdziwym szacunkiem ludzi w województwie, gdyż rzeczywiście kierował województwem kompetentnie i uczciwie. Poza opinią dobrego gospodarza miał też opinię człowieka, który uratował Katowice w czasie wojny od zniszczenia. Szedł z pierwszą polską armią i wyprosił od dowódcy frontu radzieckiego, żeby wygnać Niemców, ale nie używać artylerii i samolotów. „Polska bez przemysłu, to jak gospodarz bez maszyn i konia na roli – podkreślał – przemysł musi być uratowany, bo będzie miał wpływ na odbudowę Polski".

Ten manewr był znany Ziętkowi. Zastosował go już w Polsce zakochany w Sandomierzu radziecki pułkownik Skopienko. Katowice były zdobywane pepeszami i rzadko granatami. Rzecz jasna, że taki szturm pochłonął o wiele więcej ofiar, niż gdyby użyto ciężkiej broni.

Im ten fakt ludzie Ziętkowi pamiętali. Górnictwo cały czas zachęcało młodych mężczyzn do pracy w kopalni. Górnicy na Śląsku otrzymywali mieszkania o wiele szybciej niż ludzie zamieszkujący inne części kraju.

Ziętek był znany z tego, że nagradzał za ciężką pracę i za wiedzę, ale znany był również tego, że powyrzucał wielu dyrektorów kopalni i zakładów za złą gospodarkę i nie stwarzanie bezpiecznych warunków pracy. W czasie, gdy Gierek został pierwszym sekretarzem w KC w Warszawie, Ziętek nie pytając go o zdanie napisał pismo, że należy natychmiast wyrzucić Wrońskiego z funkcji ministra oświaty, gdyż przyjechał na naradę do Katowic z kochanką i uruchomił w nocy lodowisko, bo pannie zachciało się poślizgać na łyżwach. Rano stawił się na naradę pijany i nieprzytomny. Gierek natychmiast zdymisjonował Wrońskiego.

Pamiętam jak bardzo przeżył Ziętek przyjazd Bermana do Katowic i jego żądanie, żeby Katowice przemianować na Stalinogród.

Egzekutywa wojewódzka i rada wojewódzka odmówiły, a wtedy Berman wściekł się i krzyczał, żeby wszyscy podali się do dymisji. W innym rozdziale opisałem ten problem, tu chcę zwrócić uwagę tylko na jeden fakt. Czytam obecnie gazety i widzę, jaką ludzie mają krótką pamięć.

Miasto ocalało dzięki radzieckim żołnierzom. Zginęło ich dwukrotnie więcej przez to, że nie użyli ciężkiej broni. Teraz wszystko, co przypomina ofiarę radzieckiego żołnierza trzeba zniszczyć, nazwy ulic, pomniki. A na tym miejscu proponują pomnik niemieckiego bohatera, dla nas, Polaków, wroga i oprawcy.

Prawica zaproponowała, by w miejscu, gdzie upamiętniono walkę i ofiary żołnierzy radzieckich, postawić pomnik Wilhelma von Redena, germańskiego bohatera i oprawcę

Słowian lub Ronalda Reagana za to, że pomógł zmienić w Polsce ustrój. Polska paranoja – od ściany do ściany.

Tam na Śląsku po raz pierwszy poznałem Gierka. Opowiadał, że kiedy był kierownikiem wydziału KC, to w kopalni Kazimierz wybuchł strajk. Jeśli pojechał tam ktoś z Warszawy na rozmowy z górnikami, to szybko uciekał, gdyż górnicy używali takich słów, jakich nie da się powtórzyć. A przy tym jeszcze obrzucali przedstawicieli władz zgniłymi jajami.

„Zdenerwowany Bierut – opowiadał Gierek – wezwał mnie i mówi: „Jesteście górnikiem, więc jedźcie do nich i uciszcie ten strajk". Pojechałem, a tam jeszcze mnie nie znali, bo młodość moja to praca w kopalniach Francji i Belgii. Więc zaczęli od ch... i sq...nów. Jak się wykrzyczeli, to ja mówię: „Nie jestem pierwszy lepszy urzędnik z KC. Jestem tak jak wy górnikiem, od trzynastego roku życia pracowałem w kopalniach i mam to w papierach. A tu, w tej kopalni, pracował i zginął mój dziadek. I ojciec mój też w Kazimierzu pracował i też zginął. Urodziłem się obok w Porąbce, a nie gdzieś w Warszawie. Przeklinać i bluzgać też potrafię. Pogadajmy, jak dobrze sprawę załatwić, bo ja was rozumiem i zrobię wszystko, co można, żeby było lepiej". Wysłuchałem ich żali i pretensji, jakie mieli, i mówię: „Ja sam nie podejmę decyzji, żeby was zadowolić, ale szczerze wyjaśnię i powiem, że macie rację, albo przeczytacie, że mnie wyrzucili". No i zmienili się od ręki. Zaufali mi, a ja przyrzekłem, że ich nie zawiodę. Następnego dnia wezwał mnie Bierut i pyta: „To co, towarzyszu, ustaliliście z górnikami, jakie są ich żądania?". Mówię, że dopóki pracować będą w kopalni kryminaliści, czyli więźniowie, i synowie kułaków, to nie będzie dobrego wydobycia. Bo co krok, to wypadek i górnicy boją się z nimi pracować. Jeśli nie podniesie się im płacy, też roboty nie podejmą. Trzeba płacić więcej, gdyż to praca jest ciężka i niebezpieczna. Wtedy Bierut dostał wprost szału: „Tak mówicie! To pokażcie, komu zabrać, żeby im dołożyć! Taki mądry to i ja jestem, tylko skąd wziąć pieniądze na podwyżki". Mówię mu, że jak ruszy dobrze wydobycie, to sprzedamy za granicę i będą pieniądze. „To gówno prawda, że wydobędą tyle, żeby było więcej pieniędzy" - słyszę. Wtedy odważyłem się i mówię Bierutowi: „Może by negocjować cenę z radzieckimi za węgiel. Przecież płacą śmiesznie małą cenę za tonę". No i wtedy zaczęło się: „Wynoście się sprzed moich oczu. Nie chcę was słuchać i widzieć!". Więc musiałem wyjść i nic nie załatwiłem dla górników. Następnego dnia, na posiedzeniu Biura Politycznego, zaprosili mnie jako gościa i eksperta. Bierut oczywiście był obecny na tym posiedzeniu. Ja powtórzyłem to, co wczoraj mu powiedziałem. No i większość członków była za moją propozycją. Więźniom należy zaliczyć podwójnie czas pracy, tak samo synom kułaków za służbę w wojsku, bo oni pracowali będąc w wojsku. I należy płacić więcej za tonę. Gdy zajechałem do kopalni Kazimierz i powiedziałem im o przebiegu rozmowy z Bierutem i później na Biurze Politycznym, to oni wzięli mnie na ręce i zaczęli skandować: „Niech żyje Gierek". Gdy po Bierucie pierwszym sekretarzem został Gomułka, do czego mogło dojść, bo w Związku Radzieckim XX zjazd ujawnił łamanie prawa i kult jednostki, zrobił się częściowo inny klimat polityczny. Wtedy Gomułka wezwał mnie na rozmowę i mówi: „Nie chcę tu z wami w KC pracować". Mówię mu, że trudno, jestem górnikiem i pójdę do pracy w kopalni. Ale on na to, że źle go zrozumiałem. „W Katowicach będziecie pierwszym sekretarzem wojewódzkim. Z Ziętkiem się znacie i lubicie go, to gospodarzcie tam dobrze" - mówi. I myślę, że dużo zrobiliśmy dobrego dla ludzi w naszym województwie. Czas przecież nie stał w miejscu, dużo się działo tak w Polsce, jak

i na świecie. W Związku Radzieckim na XX zjeździe wybrano Chruszczowa i z nim już można było śmielej mówić o wielu bolących problemach. My z Ziętkiem i aktywem w całym województwie mieliśmy wielkie plany. A więc roboty było dużo i tak doszliśmy do tragicznych wydarzeń na Wybrzeżu. Zginęli ludzie. Tego nie można było wytłumaczyć społeczeństwu i światu. Nie było rady, należało Gomułkę odsunąć od władzy. Lekarz na posiedzeniu Biura Politycznego oświadczył, że Gomułka był chory. On rzeczywiście po wypadkach na Wybrzeżu zmienił się nie do poznania. Na pewno przeżywał szok. Przecież niezliczone tłumy ludzi, po jego wyjściu z więzienia, dały mu dowód sympatii i zaufania. Wyniosły go ponownie do władzy, a teraz wyszło na to, że kazał strzelać do tych ludzi".

„Wezwali mnie – wspominał Gierek – do Warszawy. Odbywało się ciągłe posiedzenie Biura Politycznego. Radzono, jak wyjść z tego kryzysu. Kogo wybrać na pierwszego sekretarza? Była propozycja, żeby wybrać tymczasowo kogoś i jak Gomułka wyzdrowieje, to obejmie ponownie swoją funkcję. Ale Gomułka nie dawał nadziei na to, że wyjdzie szybko z tej choroby. Lekarze też zaświadczyli, że nie należy go obarczać żadnymi obowiązkami. Tak więc zaczęto szukać kandydata na pierwszego sekretarza. Propozycji było kilka, ale żadna nie uzyskała większości Biura. Poproszono mnie do Warszawy na Biuro i mówią, że proponują mi objęcie funkcji pierwszego sekretarza KC. Ja nie chciałem tej funkcji i nie wyraziłem zgody. Zaczęto na mnie naciskać i prosić tłumacząc, że najbardziej pasuję, że dobrze prowadzone województwo to dowód, że jestem dobrym gospodarzem. Wreszcie wyraziłem zgodę, ale postawiłem warunki: „Pół Biura Politycznego musi odejść, a to już nie było takie proste i liczyłem, że nie wyrażą zgody. Ta klika trzymała się kurczowo władzy, więc byłem pewien, że poszukają nowego kandydata na pierwszego. Pewnie nie mieli wyjścia, wiedzieli, że jak nie uspokoi się, to wszyscy stracą swoje funkcje i wyrazili zgodę na zmiany. Odejść mieli Kliszko, Jaszczuk, Spychalski i inni. Zostałem pierwszym sekretarzem i zacząłem po swojemu rządzić".

Do tego miejsca znam tę historię, gdyż sam Gierek opowiadał mi to na spotkaniu dwóch egzekutyw katowickiej i warszawskiej. Ja pracowałem na budowie jako brygadzista. Awansowałem w związkach zawodowych i w partii coraz wyżej. Na jednej z konferencji w salach Nowotki był sam Gierek jako gość, a Karkoszka prowadził warszawską konferencję. Doszło do incydentu między mną a ochroną Gierka. Jako delegat siedziałem na sali i byłem wyznaczony do dyskusji. Jako pomoc w tej dyskusji miałem w dużej teczce spisane argumenty na przekonanie władz. Gdy wywołany szedłem na scenę, bo tam była mównica i prezydium, to oczywiście niosłem tę teczkę, a ta nie podobała się ochronie Gierka. Dwóch ochroniarzy zaczęło mi ją wyrywać, a ja zacząłem się bronić. No i nie oddałem im jej. Już z mównicy zwróciłem się do Gierka i mówię: „Należy mieć zaufanie do ludzi. Ja nie jestem samobójcą i bomby tu nie mam. Są tu rzeczy, które musicie sami zobaczyć". Chodziło mi o pas bezpieczeństwa, jaki musieliśmy nosić na budowach. Rzecz w tym, że ten gruby i okuty litym żelastwem pas należało zapinać między nogami. Po godzinie każdy, kto go nosił miał do krwi obtarte ciało. Ludzie tych pasów nie chcieli nosić, a inspektorzy karali nas za nieprzestrzeganie przepisów BHP. Wiedziałem, że będzie dyrektor tego zakładu, który produkuje pasy i postanowiłem iść na całość, bo ani telefony, ani pisma do niego nie odnosiły skutku. Poprosiłem go, żeby podszedł do mównicy i ubrałem go w ten pas. „Teraz przejdzie towarzysz tę dużą salę i zobaczymy, jak się mają atrybuty męskości towarzysza – poprosiłem – a robotnicy muszą w tym chodzić po 8 -12 godzin dziennie". To samo zrobiłem z rękawicami. Poprosiłem Gierka, żeby spróbował je założyć. Ale on popatrzył i powiedział: „To raczej na ginekologa ręce pasują, a nie robotnika". Następnie miałem dobrze opracowane inne bolesne dla ludzi pracy

tematy i wszystko to przez dwadzieścia minut wyłożyłem, łącznie ze sposobami wyjścia z tej sytuacji. Ludzie na sali zrobili mi gorącą owację za odwagę, a sam Gierek w podsumowaniu dyskusji nawiązał aż trzykrotnie do tego, co mówiłem. Zrobił to w sposób niezwykle ciepły i pochlebny dla mnie.

Później była następna konferencja warszawska opisana przez mnie w *Trwałych śladach,* na której Gierek niezwykle ciepło i dobrze nawiązał do mego wystąpienia. Później było coraz więcej możliwości porozmawiania z nim, dzięki pełnionym przeze mnie funkcjom związkowym i partyjnym.

I tu muszę znów nawiązać do jego wypowiedzi w gronie członków KC i członków Biura. Było nas kilku, może ośmiu, w wilii w Konstancinie. To była końcowa faza dekady Gierka. Zaczynały się rysować coraz większe kłopoty. Powstawały frakcje, które nawzajem się zwalczały. Według niektórych Gierek rządził już za długo. I należało dopuścić świeżą krew do władzy. Ale ta świeża krew to starzy Żydzi, usunięci przez Gierka wcześniej.

Teraz wszędzie ich było pełno. Parę razy dziennie mówiło się o konieczności zmian i pytali mnie, co ja na to. Być może Gierek nie chciał rozmawiać w większym gronie w Konstancinie, a może obawiał się niektórych. Dość, że zaprosił nas ośmiu.

W tym okresie w Związku Radzieckim pierwszym sekretarzem był Breżniew. Miałem okazję w Teatrze Wielkim na jednej z uroczystości przez parę minut być blisko Breżniewa. Zauważyłem, że jest głuchy, ale aparatu nie nosi. Mówił już bardzo niewyraźnie. Musiał również źle widzieć, gdyż wystąpienie, jakie czytał z kartki, było napisane bardzo dużymi literami. Z tego powodu na jednej kartce mieściło się tylko kilka zdań. Teraz tu, w Konstancinie, Gierek właśnie nam o nim mówił.

„Myślę – mówił Gierek – że niewielu ludzi w Polsce wie, iż Breżniew miał matkę Polkę. Znał parę słów po polsku i czasem usiłował mówić w tym języku. Ale on tak po rosyjsku, jak i po polsku, był niezrozumiały. Miał raka dziąseł i choroba nie pozwalała mu wyraźnie mówić. Wcześniej, gdy pierwszym sekretarzem był Chruszczow, to dogadałem się z nim w sprawie ceny za węgiel. To ta sama sprawa, o której mówiłem Bierutowi. Chruszczow przyznał mi rację, i rzeczywiście, strona radziecka wyraziła zgodę na inną, wyższą cenę węgla. Kiedy funkcję pierwszego objął Breżniew, to ktoś w Moskwie przywrócił starą cenę za węgiel. Więc raz mówię do Breżniewa, że jak będzie bunt lub strajk w kopalni w Polsce, to będziecie winni wy, bo bierzecie za pół ceny nasz węgiel. Breżniew zadzwonił do Moskwy i przywrócono dobrą cenę za węgiel.

„Czuł do mnie - mówił Gierek – sympatię. Mogłem mu mówić, co nas, Polaków, denerwuje. Na przykład zapytał mnie, co Polacy myślą o wojnie w Afganistanie. Odpowiedziałem mu szczerze, że nie pochwalają tej wojny".

„A czy ty myślisz, że Rosjanie to pochwalają? - spytał Gierka Breżniew – też nie, ale taka jest sytuacja na świecie".

„Wiedziałem - mówił Gierek – że Gomułka rozmawiał na temat Katynia już z Chruszczowem. Zapytałem Breżniewa, co myśli o tym, że należałoby wyjawić tę sprawę i powiedzieć światu, a szczególnie Polakom, prawdę. Wtedy Breżniew powiedział:

„Ja już tyle powiedziałem na Berię i Żydów, że więcej nie mogę. Oni na świecie mają duże wpływy, szczególnie w Stanach Zjednoczonych. Mimo, że od nas już wyjechało ponad dwa miliony Żydów, to oni jednak ciągle u nas są i mają bardzo mocne powiązania z ludźmi władzy. Nam zależy na dobrych stosunkach z Zachodem, a oni tam są i mają duże możliwości wpływania na różne decyzje rządów. Na razie nie możemy o tym głośno mówić, bo jak zacznie się ciągnąć za tę nić, to okaże się, kto zrobił i dlaczego. Na razie nie" - zakończył Breżniew.

„Ale udało mi się – ciągnął Gierek – uzyskać zgodę na repatriację Polaków. Nie unikniemy kompromitujących zdarzeń związanych z Breżniewem. Na naszym polskim zjeździe był honorowym gościem, inaczej być nie mogło. Choroba czyniła u niego postępy,

cały czas lekarz dawał mu różne narkotyki i leki. I Breżniew wstał, zaczął dyrygować całą salą kongresową jak dyrygent orkiestrą. Nie mogliśmy go zganić. Uważał, że dobrze wypalił i był zadowolony. Musieliśmy ten fragment zjazdu wyciąć. Widzieli go tylko delegaci będący na sali".

„Miałem też – mówił Gierek – duże kłopoty z tego powodu. Byliśmy na zjeździe partyjnym w NRD. Siedziałem w prezydium obok Breżniewa. Honecker, jako pierwszy sekretarz swojej partii, prowadził zjazd. No i po oficjalnym przemówieniu Honeckera, jako najważniejsza postać, wywołany został Breżniew. Wszystkie kamery skierowane na Breżniewa. Czas leci, a on nie może wstać. Próbuje raz i drugi, ale nie może. Spojrzał na mnie i ja wstałem, wziąłem go pod rękę i podniosłem. Szedł do mównicy jak pijany. Bełkotał niezrozumiale, ale tłumacz i tak go zagłuszył, bo tłumaczył jego słowa na niemiecki. Narobili mi z ich biura wymówek i mieli pretensje, ze ośmieszyłem Breżniewa pomagając mu wstać. „On by dał radę sam" - mówili.

„Myślę – mówił Gierek - że z powodu tej sympatii do mnie wykorzystał mnie, bym polskimi siłami zorganizował konferencję helsińską, która przecież odegrała wielką rolę w międzynarodowej polityce. Szukał kogoś, kto by mu zorganizował spotkanie z prezydentem Francji. „Ty przecież – mówił Breżniew – znasz francuski, pracowałeś tam". Więc zorganizowałem takie spotkanie w pół drogi, w Warszawie. Giscard d`Estaing też był mi wdzięczny, bo wiele problemów załatwili obaj w Warszawie. Breżniew zwracał się do mnie, by zorganizować spotkanie i rozmowy z przywódcami Pakistanu, ale Pakistan odrzucił jego propozycje. Myślę, że dzięki temu zyskaliśmy na moich dobrych układach i stosunkach z Breżniewem. Był czas w Polsce, że zapaliliśmy się do budowy elektrowni atomowej. A z Breżniewem przyjechał wtedy minister Lisieczko. On odpowiadał za budowy elektrowni atomowych w Związku Radzieckim. I ten minister, po tym jak mu Breżniew pozwolił, opowiedział mi, jakie szkody wyrządzili sobie Rosjanie budując i już zbudowanymi elektrowniami atomowymi. Za Uralem skazili na setki lat wielkie obszary ziemi. „Opierajcie swoją energię elektryczną na węglu, który przecież macie. Jak, nie daj Bóg, elektrownia atomowa wam się popsuje, to skazicie cały swój kraj" - mówił mi.

Nie działo się u nich dobrze i z tego powodu, że nie dopuszczali do władzy młodszych. Sam Breżniew dobrze oceniał swoją sytuację i stan zdrowia. Wprawdzie wiele razy mówił mi, że chciałby już odpocząć, ale skostniały system, jaki mieli, na to nie pozwalał. Robił więc tylko to, co musiał.

„Ja myślę – mówił Gierek – że nie powinienem być pierwszym sekretarzem. Chciałem dać ludziom więcej swobody. Przecież przy mnie mogli jeździć na Zachód po raz pierwszy. Chciałem żeby Polska była suwerenna i otwarta na świat. Ale teraz wiem, ze Polsce, że Polakom potrzebny jest przywódca, który weźmie za mordę, a ja tego nie potrafiłem zrobić z wielu powodów" - przyznawał.

„Inwestycje, jakie w mojej dekadzie zostały zrealizowane, dobrze służą Polsce. To Port Północny, rafineria w Gdańsku i ropociąg do Płocka. Wszyscy Polacy mieli pracę, a za mojego okresu wybudowano i przydzielono ludziom najwięcej mieszkań" -wyliczał Gierek.

Prawdą jest to, co sam o sobie mówił, że jest za miękki. Byłem świadkiem jak kobieta podała mu kwiaty, a w nich list w sprawie jej syna. Był skazany i siedział, najkrócej mówiąc, za politykę. Gierek kwiaty oddał ochronie. Ale list zostawił sobie. Przeczytał i polecił zwolnić chłopaka z więzienia, za co usłyszał cierpkie uwagi od członków Biura.

Ja obserwowałem Gierka w końcowej fazie jego władzy. Uważam, że na miarę tamtych czasów i możliwości zrobił dużo dobrego dla Polski. Trzeba pamiętać, że on również miał wrogów, a ci robili wszystko, żeby go ośmieszyć, osłabić jego pozycję i pomniejszyć jego dokonania w budowie Polski. Po prostu żyjemy w takim kraju, że nad racją stanu państwa dominują racje stanu mniejszości narodowej.

My, Polacy, nie nauczyliśmy się kultury wobec osób schodzących ze szczebla władzy i z reguły nasi przywódcy odchodzą zniesławieni i potępiani. Tyle, że wynosimy do władzy inną formację i innego człowieka, których też gnoimy za winy ich otoczenia. To taki polski magiel. Krotki okres władzy Kani tylko pogorszył stan Polski po Gierku. Słoneczko, jak go

nazywano, więcej chodził „na gazie" niż trzeźwy. Jego nieudaczne przywództwo musiało się szybko zakończyć.

W wielu książkach opisujących tamte lata spotkałem się z twierdzeniami różnych autorów, że to ja byłem inicjatorem wyniesienia na funkcję pierwszego sekretarza W. Jaruzelskiego. Z wielu powodów mógłbym temu nie zaprzeczać tyle, że w rzeczywistości tak nie było. Popierałem go, podobnie jak znaczna część członków KC. W tym czasie wielu odmawiało przyjęcia tego stanowiska, inni nie byli akceptowani przez Kreml, a jeszcze inni byliby gorsi od Kani.

Jaruzelski miał wtedy dobrą opinię, bo w ogóle wojsko cieszyło się w społeczeństwie poważaniem. Wtedy uważałem, i do dziś podtrzymuję tę opinię, że był najlepszym kandydatem na pierwszego sekretarza. Mimo, że nie czuł robotniczej partii i nie umiał z nią nawiązać wspólnego języka, to inni kandydaci byli jeszcze gorsi. Jestem zdania, że nie umiał dobrać sobie współpracowników, a eliminując cywilów z funkcji kierowników wydziałów w KC i zastępując ich oficerami, wyrządził krzywdę nie tylko tym oficerom, ale i partii. W dodatku odbywało się to w bardzo trudnym czasie, kiedy swoje racje należało przełożyć na zrozumiały język klasy robotniczej, a on i jego oficerowie tego nie potrafili. Do rzesz docierali więc ludzie, którzy nie mówili prawdy, ale umieli wykorzystywać błędy partii i jej działaczy.

Dziś, kiedy patrzę jak ludzie nie mający w ogóle pojęcia o tamtym okresie PRL chcą go zniszczyć, to – mimo, że obaj raczej nie przepadaliśmy za sobą – jest mi go żal. Choćby Jarosław Kaczyński, który 23.X.1992 r. w czasie konferencji prasowej w sejmie, oświadczył (cytuję za gazetą „Nowy Świat" z 24-25.X.1992r.): „Generał Jaruzelski i jego towarzysze, którzy wprowadzili stan wojenny są zdrajcami narodu i jako tacy powinni stanąć przed sądem. W świetle prawa karnego jako przestępcy winni być skazani na najwyższy wymiar kary, a wyrok powinien być wykonany". Przypomnę, że w tym czasie w Polsce obowiązywała kara śmierci. Ja, będąc wtedy członkiem Biura, skrupulatnie notowałem sobie to, czego nie można było wynieść z biura na papierze. I do dziś mam notatkę z posiedzenia mówiącą, że 28 listopada, przed stanem wojennym, generał mówił: „Obecnego stanu nie da się utrzymać. Proces rozkładowy musi być zatrzymany. Inaczej nieuchronnie doprowadzi do konfrontacji, do stanu typu wojennego".

A więc padły deklaracje, co nastąpi, jeśli nie będzie zmian w Polsce. Na łamach gazety *Izwiestia* z 19 czerwca 1994 roku przewodniczący Rady Najwyższej Federacji Rosyjskiej napisał: „Interwencja w Polsce była u nas dobrze przygotowana. Tylko Jaruzelski prosił o to, żeby mógł to zrobić własnymi siłami i we własnym zakresie". Ten dokument jest w archiwach KGB i KPZR.

Dlaczego zatem nasi historycy nie idą tym śladem? Polacy wierzą temu, co politycy na Zachodzie powiedzą lub napiszą, ale i tak wybierają to, co jest im na rękę. Jeśli coś kłuje w oczy prawdą – odrzucają to. Profesor Brzeziński napisał książkę pod tytułem „Jedność i konflikty" wydaną w 1964 roku, a której napisał między innymi: „Wrodzy wobec komunizmu Polacy nie powinni zapominać, co znaczyłaby Polska w ramach przymierza zachodniego. Zajmowałaby, w skali świata, miejsce po Ameryce, Niemczech, Francji, Italii i jeszcze wielu innych państw. Z uwagi na podstawowe znaczenie Niemców dla Ameryki byłaby przegrana w jakimkolwiek konflikcie polsko-niemieckim. A w obozie socjalistycznym proporcje są odwrotne. Polska jest największą demokracją ludową, trzecią po Związku Radzieckim i Chinach, a drugą w Europie".

Choć profesor Brzeziński jest cytowana w Polsce na klęczkach, to tego cytatu nikt nie przypomina. Profesor Brzeziński pisał też, że żadne państwo bloku wschodniego nie stało wobec kluczowej kwestii „coś za coś". Chodzi tu o nasze ziemie zachodnie i północne. Brzmi to gorzko, ale prawdziwie. Jeśli Polska w 1944 roku i 1945 rok nie stałaby się zależną, nie w pełni suwerenną, to byłaby nieodwracalnie państwem karłowym, kadłubowym.

Rządzący Polską Kaczyńscy mówili o sukcesie gospodarczym, o trzech milionach mieszkań, które budują, a przecież pomimo spadku demograficznego, kryzys mieszkaniowy jest widoczny. Wystarczy sięgnąć do roczników statystycznych by stwierdzić, że spis ludności w 1946 roku wykazał, iż w Polsce żyło 24 miliony ludzi, spis z roku 1988 wykazał 38 milionów obywateli, a zatem nasz naród powiększył się w ciągu 42 lat o 14 milionów obywateli. To tyle, co cała NRD i więcej, niż Czechosłowacja. Średnio w każdej dekadzie przybywało ponad trzy miliony Polaków.

Po zmianie ustroju minęło siedemnaście lat i ile mamy teraz ludności? Mamy 38 milionów, czyli tyle co w 1988 roku. A gdyby przyrost był taki jak za Gierka, to ile mieszkań by brakowało? W ten sam sposób należy spojrzeć i na kwestię bezrobocia. Nie było zasługą rządu, że bezrobocie zmalało i to znacznie, ale spadek ten wynikał z faktu, że Polacy wyjechali za pracą za granicę.

Wracając do sytuacji przed stanem wojennym, warto tu przypomnieć zapis relacji arcybiskupa Dąbrowskiego pod tytułem „Rozmowy watykańskie”, który wydał w 2001 roku Instytut Wydawniczy PAX. Sekretarz episkopatu Polski, wtedy biskup Dąbrowski, złożył wizytę papieżowi Janowi Pawłowi II i powiedział: „Solidarność, wbrew ostrzeżeniom Kościoła, odmówiła wejścia do Rady Porozumienia Narodowego, mimo zgody Wałęsy” (por. dalej).

Kościół w Polsce optował za tym porozumieniem i zachęcał Solidarność do przyłączenia się do niego, ale doradcy w osobach Kuronia, Michnika, Mazowieckiego, a szczególnie Geremka storpedowali tę inicjatywę w obawie, że ich rola będzie zbyt mała w porównaniu do Kościoła. Przecież po to pojechali na Wybrzeże i dlatego kierowali Solidarnością, żeby nie dopuścić Kościoła do formowania nowej władzy. W tej sprawie polscy historycy jednak milczą bojąc się poruszyć środowiska żydowskie.

Wspomnienia z tamtych lat mogę tylko zakończyć apelem: Jeśli kto nie zna faktów, decyzji władz i Solidarności, niech się nie bierze za ocenę tego okresu. Najpierw trzeba solidnie poznać wszystkie wydarzenia, złożyć je w całość i wtedy dopiero można zrozumieć przyczynę upadku Polski Ludowej. Młodzi ludzie niech poznają całe zło, jakie było i dobre strony tego okresu, bo one też były. Skoro wierzymy całkowicie słowom papieża Polaka, to przypomnę tu, że Jan Paweł II, wypowiadając się publicznie o Polsce, powiedział:

„W Polsce Ludowej obok zła były liczne ziarna prawdy. Była opieka zdrowotna za darmo, oświata też, mieszkania również. Zwalczano gruźlicę, która przed wojną robiła spustoszenie wśród biednej ludności. A najważniejsze, że była dla każdego praca, czego przy obecnych rządach nie ma”.

A co dzisiejsza młodzież wie o Polsce Ludowej? W jednym z rozdziałów napisałem, jaki jest poziom wiedzy wśród Polaków. Opierałem swoją opinię na osobistych spotkaniach z młodzieżą i byłem zszokowany, że młodzi ludzie po studiach nie znają historii swej ojczyzny. Jakby na potwierdzenie tego, co napisałem, polska prasa podała wyniki badań młodzieży. Przeprowadzili je dziennikarze Bożena Dunat, Andrzej Sikorski i Halina Błańska w następujących szkołach: Liceum Kopernika w Opolu, Zespół Szkół Licealnych w Chojnicach, Zespół Szkół Nr 5 w Suwałkach, CIX Liceum Ogólnokształcące w Warszawie, LXIX Liceum Ogólnokształcące w Warszawie, Liceum Stefana Batorego w Warszawie, Liceum im. Mikołaja Reja w Warszawie. Wśród biorących udział w teście licealistów najwięcej uczniów z Podlaskiego, bo aż 83 % było przekonanych, że w PRL zakazywano picia coca-coli w miejscu publicznym, a uczniowie Liceum Mikołaja Reja w Warszawie utrzymywali, że z tą coca-colą trzeba było uciekać w krzaki przed milicjantem. Nie winiłbym za ten stan szkoły, choć owszem, podręczniki i programy w odniesieniu do PRL nie grzeszą obiektywizmem i lansują obraz daleki od rzeczywistości.

Większą siłę oddziaływania na młodzież mają media, szczególnie elektroniczne, a te operują stereotypami i krzewią je wśród młodych.

Większość pytań w przytoczonych badaniach dotyczyła życia codziennego i obyczaju. Istotną rolę w kształtowaniu pamięci narodowej i społecznej powinien odegrać przekaz rodzinny, ale jak się okazuje, to stanowi on zaledwie 3 % tego, co młody człowiek wie o Polsce.

Tymczasem, propaganda medialna po transformacji ustrojowej w roku 1989 z reguły zmierzała do zohydzenia młodym Polakom poprzedniej epoki, w szczególności obraz rządzącej partii PZPR jest sprowadzony do karykatury. Badani młodzi ludzie wierzą, że członkowie partii musieli obowiązkowo jeździć pociągami przyjaźni do Związku Radzieckiego, a to przecież była nagroda i nieliczni mogli nimi jeździć. Twierdza też, że bezpieka najliczniej werbowała do współpracy członków partii i że to oni stanowili źródło wiedzy. Tymczasem były w tej sprawie nawet konkretne uchwały Biura Politycznego, które zabraniały bezpiece werbowania do tych celów członków partii.

Prawda była taka, i to dziś potwierdzają listy i teczki, że werbowano właśnie bezpartyjnych, a szczególnie duchowieństwo. Wśród młodzieży rośnie też legenda martyrologii kościelnej. Aż 80% odpowiada, że procesje Bożego Ciała były zakazane, a w dniach tego święta zawsze wychodziło zarządzenie by milicja ułatwiała przejście procesji, wstrzymywała całkowicie ruch komunikacyjny, żeby tłumy mogły bezpiecznie chodzić po ulicach. Wystarczy, żeby młody człowiek spytał się starszych ludzi, którzy to potwierdzą.

Na pytanie ile było ofiar śmiertelnych przewrotu majowego w 1926 roku, tylko co trzeci pytany poprawnie odpowiedział, że było 379 ofiar, reszta przypisała je stanowi wojennemu i wypadkom w kopalni „Wujek".

W LXIX Liceum Ogólnokształcącym w Warszawie ani jeden licealista nie udzielił na to pytanie poprawnej odpowiedzi. Gdy dziennikarze mówili im, że w kopalni „Wujek" zginęło 9 górników, to młodzi ludzie twierdzili, że to niemożliwe, bo przecież strzelało ZOMO i milicja, i czołgi, więc na pewno zginęło bardzo dużo ludzi.

Fakt, że TV transmitowała rozprawy sądowe z zajść w „Wujku", prasa obszernie o tym pisała, nie wpłynął na myślenie młodzieży. W związku z tym badaniem nasuwa się refleksja natury ogólniejszej: wcześniej czy później przyjdzie kres krzewienia czarnej legendy o PRL-u, przekręcania faktów znudzi się odbiorcom, a i historycy muszą się opamiętać i opisać prawdę w oparciu o wydarzenia. Przypomnę to, że w PRL po 1956 roku z nauczania i propagandy musiano usunąć twierdzenie, że sanacja była odmianą faszyzmu, a obszarnicy i kapitaliści zmuszali chłopów i robotników do dzielenia zapałki na czworo. Na długotrwałe wciskanie celowej nieprawdy młodzież odpowiada konsternacją i ustanawianiem przekornego kultu. Jestem pewien, że będzie śmiesznie, kiedy dzisiejsze pranie mózgów przez kolejne ekipy rządzące doprowadzi do kultu PRL-u.

To badanie poziomu wiedzy młodzieży ujawnia, że silny i wręcz ogłupiający wpływ na pamięć o niedawnej przeszłości wywiera tzw. poprawność polityczna, od kilkunastu lat propagowana przez media i wszelkich polityków solidarnościowych, którzy choć miedzy sobą są najczęściej głęboko poróżnieni, to w totalnej negacji PRL-u zawsze się jednoczą.

Zarówno w warszawskim liceum im. Stefana Batorego jak i w suwalskim Zespole Szkół nr 5 około 70% respondentów wierzy w to, że takie filmy, jak „Indiana Jones" czy „Gwiezdne wojny" były przez partię zakazane, a w rzeczywistości od Gomułki produkcja Hollywood skutecznie konkurowała z radziecką i europejską.

Młodzi ludzie nie wyobrażają sobie społeczeństwa, w którym nie byłoby bezrobocia, więc na pytanie, czy za Gierka było bezrobocie odpowiadają, że było i to większe niż obecnie. Zapytani, czy dzieła jak „Dziady" Mickiewicza były dozwolone, młodzi odpowiadają, że nie. Stąd wniosek, że 88% młodych ludzi nie wiedziało, że „Dziady" wydawano w masowych wydaniach, gdyż utrzymywały się w spisie lektur szkolnych. Na pytanie dziennikarzy, czy w czasach PRL-u można było nosić krzyżyk lub medalik z Matką Boską, 55% ankietowanych odpowiada, że tego nie wolno było nosić. Zdecydowana większość odpowiada też, że nie można było zakładać spódnic mini. Na pytanie o przesiedlania ludzi na tereny Warmii i Mazur oraz nad Odrę aż 88% młodych ludzi odpowiada, że odbyło się ono przymusowo. Prawda jest taką, że wyłącznie po akcji

„Wisła" w Bieszczadach przesiedlono ludność ukraińską mieszkającą na terenach Polski i stanowiącą zaplecze dla band UPA, a 98,5% przesiedleńców pojechała na Ziemie Zachodnie dobrowolnie.

Pytanie dotyczące studentów w czasach PRL-u brzmiało: „Kto był zwolniony od opłat za mieszkanie w domach studenckich?". Tu 49% ankietowanych głosi, że zwolnieni z tych opłat byli aktywiści organizacji socjalistycznych i młodzieżowych, 27% odpowiedziało, że studenci pochodzący z rodzin ubogich, a tylko 24% odpowiedziało zgodnie z prawdą, że wszyscy studenci byli zwolnieni w tych opłat. Młodych ludzi zapytano się także o znany gest Kozakiewicza w Moskwie. Tylko 3% odpowiedziało zgodnie z prawdą, że w ogóle żadnej kary i represji wobec niego nie było, nadal reprezentował Polskę na całym świecie. Duża część młodzieży była przekonana, że odpowiadał przed radzieckim sądem, jeszcze więcej było zdania, że został zdyskwalifikowany aż na trzy sezony sportowe.

Nie dziwię się, że dziennikarze napisali, że „mózg wysycha po takim praniu" i młodzi ludzie uwierzą, że „po ulicach w czasie PRL-u chodziły niedźwiedzie, nad którymi panował zbrodniczy reżim komunistyczno-totalitarny, a oddziały ZOMO zaganiały ludzi do sklepów, zmuszając ludzi do wypicia octu wprost z pustych półek".

Gdy dziennikarze zapytali, co młodzi wiedzą o Kościele w okresie PRL-u, to niemal wszyscy zgodnie uznali, że Kościół był prześladowany, księża zabijani i więzieni, a kościoły zamieniane przez władze na magazyny.

Już pisałem w innych rozdziałach o tym, kto i dlaczego wpisał w partyjną ideologię walkę z Kościołem, teraz, kończąc ten temat, powiem w oparciu o dane statystyczne z lat PRL, że w Polsce w tym okresie wybudowano więcej kościołów, niż we wszystkich krajach Europy razem wziętych i że w naszym kraju było więcej powołań do stanu kapłańskiego od wszystkich krajów zachodnich, a Kościół, jego uczelnie i zakony, mieli w Polsce za PRL-u i nadal mają najwięcej ulg i zwolnień podatkowych. Jeśli chodzi o morderstwa księży, to myślę, że młodzi ludzie dożyją czasu, gdy dowiedzą się jak, robiono politykę i wzbudzano nienawiść do PRL-u, a szczególnie do członków partii i różnych służb, że znajdą się ludzie, którzy ujawnią, kto i dlaczego zamordował np. księdza Popiełuszkę. Trzeba sobie odpowiedzieć na pytanie, czy dziś polityka jest czyściejsza i czy uprawiają ją ludzie uczciwi i czyści moralnie.

Chcę wrócić do kwestii związanych z Jaruzelskim. Napisałem, że żal mi go, gdyż był pod wpływem moich wrogów i im wierzył, a nie mnie. Mimo, że zaakceptował gangsterskie poczynania Rakowskiego, który za wszelką cenę chciał usunąć mnie z Biura, i mimo innych nieprzychylnych dla mnie zdarzeń oraz opinii o mnie, ja wciąż darzę go szacunkiem i wysoko cenią z pracowitość i wiedzę. Mam jednak żal o to, że zgadzał się na współpracę z ludźmi pochodzenia żydowskiego i akceptował ich na bardzo wielu funkcjach, które miały wpływ na losy Polski. Szczególnie, że to oni kształtowali główny nurt polityki i ideologii, to oni zwalczali w partii ludzi, którzy krytykowali wysuwanie na plan pierwszy walki z Kościołem. Teraz ta pobłażliwość i obawa, by nie przylgnęło do niego oskarżenie o antysemityzm, zemściły się na nim. Bo wszyscy ci, którzy wówczas przebierali nogami i zachęcali i wręcz naciskali na niego, żeby zrobił porządek z Solidarnością, dziś udają., że nic nie wiedzą na ten temat i winien jest wyłącznie Jaruzelski. Cała masa generałów odwróciła się od niego i nie stać ich nawet na odwagę, że my przyłożyliśmy rękę do tego, czego dziś się wypieramy. A Jaruzelski, jak mało kto z ludzi pełniących na świecie takie funkcje, wziął wszystko na siebie. Zwracając „Krzyż Zesłańców Syberii" napisał w liście do Kaczyńskiego: „Jako porucznik na przedpolach Berlina w 1945 roku i jako generał armii na najwyższych urzędach czuję się w stosownym zakresie odpowiedzialny za wszystko, co działo się w Polsce takiej, jaka w warunkach podzielonego świata była". Wiele razy, odnosząc się do ludzkiej krzywdy i bólu, pisał i mówił: „żałuję, ubolewam, przepraszam".

Czy można było uniknąć stanu wojennego? O jego wprowadzeni przesądziła zapowiedź wielotysięcznych demonstracji w Warszawie i innych miastach. Komisja Krajowa Solidarności postanowiła, że 17 grudnia w Warszawie setki tysięcy ludzi pokaże swój gniew

komunistom. KPN stanowiły niekontrolowane grupy niezrównoważonych przywódców, którzy głośno krzyczeli, że zajmą siedzibę radia i telewizji oraz inne obiekty. Dudniła już fanfaronada radykałów. Andrzej Rozpłochowski, znany działacz Solidarności Górnośląskiej, krzyczał: „Trzeba tak przyspieszyć, żeby kremlowskie kuranty zagrały Mazurka Dąbrowskiego" lub „Czapkami was nakryjemy", czy też „Zamiast liści będą wisieć komuniści". Bogdan Borusewicz ocenił to, mówiąc: „Nastąpił amok, czyli obłędna furia". Nie skutkowały żadne ostrzeżenia i przestrogi, a manifestacja 17 grudnia wisiała nad nami jak miecz.

13 grudnia Jaruzelski powiedział: „Nie wolno nam, nie mamy prawa dopuścić, aby zapowiedziane demonstracje stały się iskrą, od której zapłonie cały kraj". Katastrofalny stan gospodarki niósł równie dramatyczne skutki społeczne. Do dzisiaj zachowały się protokóły, sprawozdania i meldunki, które wstrząsają swoją treścią; zwłaszcza codzienne informacje dyżurnej służby informacyjnej rządu, tzw. DYSOR, z listopada i grudnia 1981 roku.

Minister handlu zagranicznego oraz wiceminister przemysłu chemicznego i lekkiego alarmują, że od trzeciej dekady listopada i w grudniu nastąpi załamanie dostaw ropy i nie będzie benzyny. Na to nałożyła się oficjalna zapowiedz władz radzieckich, że od 1 stycznia 1982 roku wstrzymane będą dostawy ropy i gazu, ponieważ z naszej strony nie ma dostaw artykułów i surowców, które oni od nas kupowali.

W jakiś sposób do tych decyzji przyczyniły się antyradzieckie ekscesy. W Polsce zaś w tym czasie wysuwane był żądania spełnienia 21 postulatów, które najkrócej mówiąc oznaczały: krócej pracować – więcej zarabiać. Nastąpił bardzo głęboki spadek produkcji połączony z rewindykacją roszczeniową i lawiną pustego pieniądza, co doprowadzało do horroru pustych półek, kilometrowych kolejek po benzynę i handlu nielegalnie wykupionymi towarami, były też liczne przypadki atakowania samochodów dostawczych, uniemożliwianie dostaw i legalnej sprzedaży. Drastycznie obniżył się eksport, szczególnie węgla. Miasto nie dostarczało środków produkcji i towarów na wieś, a ta nie dostarczała artykułów rolnych do miast. W pracy nie było żadnej dyscypliny, a nieobecność była czymś godnym naśladowania. Popularne też było wymuszanie wypłat. Także w więzieniach dochodziło do buntów. Stąd wzięły się żądania o podjęcie środków nadzwyczajnych, bo dochodziło już do anarchii i katastrofy.

A trzeba wiedzieć, że na Kremlu uważano Polskę za „*heretyckie odgałęzienie*", bo Polska ze swymi prywatnymi warsztatami, rzemiosłem, ogrodnictwem i Kościołem była po prostu całkiem inna, niż cały blok socjalistyczny.

My, członkowie Biura Politycznego odnotowywaliśmy codziennie tragiczne wiadomości i zdawaliśmy sobie sprawę, ze musi dojść do zwarcia. Solidarność, pierwsza na drodze aspiracji politycznych, nie potrafiła już i nie chciała zahamować żywiołowego buntu i roszczeń. Z kolei my, jako władza, nie mogliśmy się cofnąć poza rubież częściowo zmodyfikowanych przepisów ustrojowych oraz bezpieczeństwa zewnętrznego.

Powstał więc klincz i jego dramatyczne przecięcie – stan wojenny. Tym wszystkim, którzy twierdzą, że strona radziecka nie interweniowałaby wcale w Polsce powiem, że wracając z Andreapola przez Mińsk Białoruski od pracujących tam Polaków, na drodze do Polski wraz z kierowcą i ochroną (którzy przecież byli pracownikami MSW), osobiście widzieliśmy tysiące żołnierzy radzieckich w polskich mundurach i polskich środkach transportu i uzbrojenia, którzy nawet umieli mówić po polsku.

Jeszcze raz wrócę do *Izwiestii* z 19 czerwca 1994 roku, gdzie przewodniczący Rady Najwyższej Federacji Rosyjskiej stwierdził, że interwencja była dobrze przygotowana, tylko Jaruzelski prosił, byśmy my, Polacy, sami zrobili porządek u siebie. W prokuraturze i w IPN jest dokument sporządzony przez pułkownika Hartmuta Digutscha, attaché w Moskwie, opisujący, że NRD skoncentrowała swoje wojska na granicy z Polską w celu rozwinięcia wejścia na tereny polskie, jeśli stabilizacja w Polsce nie uda się. Potwierdził to kanclerz RFN Helmut Schmidt w wywiadzie udzielonym Adamowi Krzemińskiemu dla tygodnika *Polityka* z 29 września 1995 roku dodając, że ubolewa, ale to stało się konieczne.

Jacek Kuroń na łamach *Robotnika* pisał: „Zaczynam myśleć, że grozi nam wojna domowa". A Geremek pisze, że Polsce grozi nie tylko interwencja, ale i upadek z przyczyn wewnętrznych. Katastrofa jest faktem oczywistym – kończy swój wywód. A obaj przecież, i Kuroń i Geremek, byli doradcami Solidarności. Przypomnę tu, iż przez cały okres PRL-u trwał spór w sprawie zatoki pomorskiej i toru wodnego Szczecin-Świnoujście, do dziś zresztą nierozstrzygnięty i niezałatwiony. Polska Komisja Odpowiedzialności Konstytucyjnej uzyskała materiały archiwalne byłego NRD, a w nich schemat zajęcia terytorium Polski, czyli wkroczenia na naszą ziemię i dokonania przyłączenia sporej części morza i terenu. Jaruzelski wybrał, jak sam mówi, rzeczywiście mniejsze zło, bo im bardzo na rękę byłaby awantura w Polsce i pretekst do wejścia na naszą ziemię, także Czesi palili się do pomocy.

Musiał więc wprowadzić stan wojenny i chwała mu za to, że to zrobił. Gdyby wkroczyli sąsiedzi, dziś na wielu krzykaczach rosłaby trawa. Wstyd tylko za tych generałów, których przecież Jaruzelski awansował, mało tego, to oni go naciskali i zawstydzali, że tchórzy przed Solidarnością. Wielu z nich docierało do mnie i mówili: „Może wy, towarzyszu Siwak, wiecie jak nacisnąć Jaruzelskiego, żeby wprowadził stan wojenny. Dlaczego on tak się boi?". Przypomnę tu niesłychanie ważny problem. Wojskowi chcieli odsunąć Jaruzelskiego od władzy za tchórzostwo, opisałem te przygotowania wojskowych w „Trwałych Śladach", także to, jak Jaruzelski się bronił, nie robiąc posiedzenia KC, gdyż wiedział, że wojskowi, i to znaczna ich część, zaproponują wotum nieufności dla niego. Historia was, panowie, osądzi za dwulicowość i służenie po kolei wszystkim, bez względu na kolor polityki i stan zdrowia psychicznego przywódców.

Ja, Albin Siwak, czuje się odpowiedzialny za stan wojenny obok Jaruzelskiego i byłoby mi zaszczytem stanąć obok niego i odpowiadać za ten stan. Trzeba jednak na tamtą sytuację spojrzeć z dystansu. Jedni mówią, że interwencja nie wchodziła w grę, inni, że była ona nieuchronna. Za tą pierwszą wersją stoją ci, którzy chorobliwie piętnują okres PRL i stan wojenny, za wszelką cenę chcą zgnoić wszystkich popierających stan wojenny. Mam liczne zachowane wycinki gazet, w których ludzie piętnujący stan wojenny krzyczeli na cały świat, że Układ Warszawski i Związek Radziecki ma zamiar, ale i wystarczający potencjał militarny, by podbić Zachodnią Europę. Jednocześnie twierdzą, że Związek Radziecki nie może interweniować, gdyż uwikłany jest w wojnę z Afganistanem i nie ma tyle sił by podjąć interwencję w Polsce.

Czy takie wersje nie wykluczają się nawzajem? Czy można gdybać, że Związek Radziecki rzuci się na suwerenne państwa, a kraj, który jest w jego sferze wpływów i gdzie ma silną grupę północną wojsk odpuści, bo nie starczy mu sił? Mam nadzieję, że Instytutowi Pamięci Narodowej wróci się pamięć i zacznie obiektywnie oceniać stan wojenny. Jeśli pierwszy prezes Sądu Najwyższego w uzasadnieniu rewizji nadzwyczajnej w sprawie Ryszarda Kuklińskiego (*Rzeczpospolita* z 7 kwietnia 1995 roku) aż trzykrotnie stwierdza, że dezercja Kuklińskiego wynikała z sytuacji zagrożenia interwencją ze strony Związku Radzieckiego i innych państw Układu Warszawskiego, o której chciał ostrzec przywódców państw mających wpływ na losy świata, to trudno założyć, iż prezes Sądu Najwyższego mógł bez pokrycia wypowiadać się tak stanowczo w materii tak ważnej historycznie, politycznie, a w konsekwencji i prawnie.

Jak rozumieć list skierowany do Jaruzelskiego od Breżniewa? Czytamy w nim: „Teraz jest absolutnie jasne, że bez zdecydowanej walki z przeciwnikiem klasowym niemożliwe jest uratowanie socjalizmu w Polsce". List nosi datę 21 listopada 1981 roku, czyli jeszcze przed stanem wojennym i dodam, że był zatwierdzony przez Biuro Polityczne KC KPZR, a więc był dokumentem wielkiej wagi i znaczenia.

W Helsinkach, gdzie zaprosiły mnie oba komitety partii komunistycznej, liczne wywiady i spotkania były związane z sytuacją w Polsce. Fińscy i szwedzcy dziennikarze różnili się od polskich, byli napastliwi i agresywni, chcieli wyprowadzić mnie z równowagi, żebym się zdenerwował, a transmisja była na żywo, więc już nic poprawić by się nie dało. Dziennikarz zadał mi, jako członkowi KC, pytanie: „Czy wpuścicie radzieckie wojska, jak wybuchnie bunt?". Mówię, że nie musimy, bo już są od dawna. Oni: „Co

takiego, już są u was?". Ja odpowiadam: „Czyżbyś pan nie wiedział, że jest Układ Warszawski i na mocy tego układu stacjonują w Polsce i w NRD?". „A czy wystarczy ich, by zrobić w Polsce porządek?". Na to mówię, żeby spytał marszałka Kulikowa i dodaję, że jeśli bunt nastąpi, to my, Polacy, sami uporamy się z tą sprawą.

Ma generał Jaruzelski rację twierdząc, że na przykład rozterki generała Bora-Komorowskiego rozproszyła wiadomość, że na Pradze już są radzieckie czołgi i na tej podstawie dał rozkaz powstania w Warszawie. Polacy wiedzą, jakie były efekty. Tymczasem północna grupa wojsk radzieckich w Polsce puchła od codziennych dostaw sprzętu i ludzi, a czwarta armia lotnicza uruchomiła most powietrzny do Polski. Nasze polskie służby radiolokacyjne zarejestrowały, że na dobę odbywało się 250 lotów z lotnisk Związku Radzieckiego na lotniska w Polsce. Stworzono awaryjne sztaby operacyjne w Legnicy i w Rembertowie, rozwinięto sieć łączności radiowej i najnowszej troposferycznej.

Nie skutkowały już żadne ostrzeżenia. Przez Episkopat Polski złożono na ręce papieża Polaka komunikat, że kraj nasz znajduje się w obliczu katastrofy i że my, jako władza, mamy obowiązek nie dopuścić do tej katastrofy. A Bratkowski w *Wyborczej* pisał: „Jak dwa razy dwa jest cztery, to młodzież ruszy na broń nawet z gołymi rękami". Wałęsa zaś mówił: „Ja gaszę jeden strajk, a doradcy wywołują dziesięć". Arcybiskup Dąbrowski powiedział wtedy do papieża: „Wbrew ostrzeżeniom Kościoła doradcy Solidarności eskalowali strajki i bunty".

4 listopada 1981 roku Wałęsa zgodził się z Prymasem Polski i chciał, by Solidarność weszła do Rady Porozumienia Narodowego. Krajowa Komisja, w której prym wiedli doradcy – Żydzi, nie zgodziła się na wejście do tej komisji ostatniej szansy i zdyskwalifikowała Wałęsę. Doradcy bardzo wyraźnie, bez żadnego kamuflażu, dążyli do tego, by Kościół nie miał wpływu na dalszy rozwój wypadków.

Ta sama żydowska polityka trwa od dziesiątków lat. Gdy mieli wpływ na decyzje w czasie PRL, to wrogiem numer jeden był Kościół, teraz oficjalnie niby są przyjaciółmi Kościoła, nawet chodzą na msze święte, ale konsekwentnie realizują swoją politykę. Czas robi jednak swoje, a jak pisał mi ksiądz Józef Kluz, to młyn czasu nieubłaganie zgarnia ludzi do grobu i przychodzą nowi. Tylko, jak wykazują badania, to ci młodzi nie znają prawdy, a przecież nie może być tak, jak mówi mój przyjaciel, że z tą prawdą to jest tak jak z dupą, każdy ma swoją i nie chce wierzyć w prawdę innych.

W polskim kotle musi się ten wrzątek wygotować, a piana zlecieć lub być zebrana i wyrzucona. Mam przed sobą postać i twarz Michała, który w naszej obecności skoczył z 32 piętra Pałacu Kultury i Nauki. Ciągle pamiętam jego słowa skierowane do Żyda Mojżesza Ajzejma – kadrowca: „Przeklinam ciebie i cały ten ustrój, który stworzyliście wy, Żydzi, w Rosji, i próbujecie na świecie". A przyjaciel Michała, który z nim pracował, stwierdził krótko: „My w Związku Radzieckim mamy taka chorobę, to nowotwór – rak. Opanował nasz organizm i niszczy go konsekwentnie. Musi być dobry lekarz i skuteczne lekarstwa i zabiegi, żeby wyleczyć się z tego nowotworu". Ten sam rak od drugiej wojny światowej opanował też organizm Polski. Najsmutniejsze i najtragiczniejsze jest to, ze ten rak znajduje się w ciele polskich sprzymierzeńców, którzy pomagają mu niszczyć organizm i za judaszowe pieniądze i awanse pomagają mu się obronić w polskim organizmie. Ale młyn czasu działa.

Rozdział VI

PRZYBILIŚMY WAS JAK WASZEGO CHRYSTUSA

Często chodzę na warszawską Starówkę. Z wielu powodów. Zdarza się, że znajomi, którzy mieszkają daleko od Warszawy, gdy chcą swoim dzieciom lub bliskim pokazać stolicę, a szczególnie Starówkę, dzwonią do mnie i proszą, bym ich oprowadził. Wędrując po uliczkach Starego Miasta opowiadam wtedy, jak po wojnie odbudowywaliśmy, a przecież nie ocalał tam ani jeden dom. Można to sprawdzić, odwiedzając znajdujące się przy rynku Muzeum Starej Warszawy, w którym co godzinę wyświetlany jest film dokumentalny z okresu wojny i tuż po wojnie.

Warszawę chciałem odbudować tak bardzo, że porzuciłem Mazury, które mnie urzekły. Zostawiłem starego ojca, na którym wymusiłem zgodę na powrót do Warszawy. Nigdy nie zapomniałem, jak w święta i niedziele mój ojciec brał mnie za rękę i spacerował ulicami Warszawy, pokazywał mi budynki, które sam budował. Jeszcze nie chodziłem wtedy do szkoły, nie wybuchła wojna, a już pokochałem to miasto i moja chłopięca wyobraźnia i dziecięce marzenia umacniały mnie w przekonaniu, że to jest najpiękniejsze miasto na świecie, a ci, którzy je budowali to ludzie wielcy i zasłużeni przez swą pracę i piękną architekturę, którą stworzyli. Nic też dziwnego, że jako siedemnastolatek porzuciłem piękne gospodarstwo, jakie objęliśmy po wojnie. Ubłagałem ojca i przekonałem go, że nie potrafię żyć bez Warszawy, że też jak on - chce wznosić to kochane miasto.

Więc gdy z MDM służbowo przerzucono nas na Starówkę, moje szczęście było pełne. Dano mojej brygadzie do odbudowy Dziekanię, Kanonię, bramę Gnojną i całą ulicę Brzozową aż do Mostowej. Zadanie było trudne, należało wpierw aż do fundamentów oczyścić z gruzu miejsca pod nowe kamieniczki, na dodatek można to było zrobić jedynie ręcznie, przerzucając ten gruz do góry łopatami i kilofami po dwa lub trzy razy zanim osiągnęło się poziom ulicy. Na kolejnych etapach też nie było żadnej techniki, która by nam pomagała, żadnych dźwigów i wind, które to weszły do użytku parę lat później, a poza tym nie było miejsca, gdzie można by ustawić taki dźwig.

Wszystko nosiliśmy do góry na naszych plecach: cegłę, wapno, belki, pustaki i beton na strop. Ale wtedy byliśmy wszyscy młodzi. Nieprawdopodobne, ile młody człowiek może wytrzymać wysiłku. Ludzie pracowali chętnie, jako brygadzista rzadko musiałem sięgać po atrybuty dyscypliny, zresztą część brygady otrzymała właśnie na Starówce mieszkania i to była najlepsza zachęta do dobrej pracy. Kierownikiem budowy był były pilot wojskowy, któremu zdrowie nie pozwoliło już latać, a ponieważ przed wojną ukończył technikum budowlane, więc jak wielu pełnił tę funkcję, będąc tylko technikiem, a nie inżynierem.

Jednego dnia przyszedł na budowę i zaczął mi się uważnie przyglądać, a następnie zaprosił mnie do swego biura na rozmowę. Zaraz na początku powiedział mi, iż dobrze wie, że parę lat pracowałem z brygadą na MDM i że mamy jako brygada bardzo dobrą opinię. - Jak mi powiedziano, pan jest podobno najmłodszym brygadzistą w Polsce - rzekł. - Już nie, panie kierowniku. Przybyło mi lat i myślę, że nie jestem najmłodszy - odpowiedziałem. Ciekaw byłem, do czego zmierza i dlaczego zaprosił mnie aż do biura. Postanowiłem sam zapytać. - Panie kierowniku, proszę powiedzieć mi, po co pan mnie zaprosił do siebie? Ale zamiast odpowiedzi usłyszałem pytanie:

- Czy bardzo trudno panu pracować tą ręką, w której brakuje palców? Tego się nie spodziewałem. Pomyślałem, że może chce odesłać mnie na jakąś komisję i zrobi ze mnie inwalidę. Kierownik chyba się zorientował, w jakim kierunku pobiegły moje myśli, bo szybko dodał:

- Widzi pan, mam brata rodzonego, który dosłownie identycznie stracił palce i chciałbym, żeby podjął pracę fizyczną na budowie.

- Czy trudno mi pracować fizycznie? Na pewno, trudniej niż tym, co mają wszystkie palce, ale można się przyzwyczaić i nauczyć.

- A czy przyjąłby pan do swojej brygady mego brata z taką samą ręką jak pana? Czy też miałby pan kłopoty z ludźmi, którzy by robili panu wymówki? - usłyszałem.

- Panie kierowniku, po wojnie jest tak dużo ludzi, którzy noszą na sobie jej ślady, że prawie w każdej brygadzie jest ktoś, kto ucierpiał i musi z tym żyć.

- Więc przyjmie go pan do brygady czy nie? - zapytał.

- Jestem zdziwiony, panie kierowniku, że pan pyta i prosi. Mógłby pan załatwić tę sprawę, nie pytając mnie, tylko mi polecić i koniec.

- Tak mógłbym, ale brat nie pcha się na siłę. On chce, żeby mu nikt nie robił przykrości, więc wolę pana poprosić.

- Niech pan przywozi brata i nie pyta. Przykrości na pewno nie będzie miał - odrzekłem.

Zapytałem jeszcze, czy brat zna pracę w budownictwie, ale okazało się, że nie, był organistą i kawalerzystą w wojsku.

- No dobrze, dawaj pan tego organistę-kawalerzystę, zobaczymy, co da się z niego zrobić - powiedziałem.

Za trzy dni kierownik przedstawił mi swojego brata. W ogóle nie był podobny do niego, kierownik był raczej szczupły, a brat to chłop postawny i przystojny, miał trzydzieści lat i rzeczywiście brak mu było palców identycznie jak u mnie. Zaprowadziłem go do szatni, wskazałem szafkę i umywalnie.

- Jak pan ma na imię - spytałem - bo nazwisko to jak brat, Ślaski.

- No właśnie, panie Albinie, mów pan mi po imieniu, czyli Henryk - odparował.

Od pierwszego dnia spodobał mi się, pracował normalnie i żadnych uwag od ludzi nie miałem, mówili, że chłop do rzeczy, sympatyczny i uczynny. Zacząłem go brać na prywatki, w tym czasie na przedmieściach sporo ludzi budowało sobie domki, więc kto chciał, mógł w niedzielę zarobić. Praca zaczęła nas zbliżać, nabieraliśmy do siebie zaufania. Upłynęło parę miesięcy i zapytałem go:

- Heniu jak ty straciłeś te palce? Podobno byłeś w kawalerii, więc może coś z szablą?

- Nie, z wojny wyszedłem na szczęście cało, chociaż prawie cały szwadron Niemcy wybili. Wiesz Albin, ja nawet nie mogę opowiadać jak moi koledzy ginęli. Szarżujesz szwadronem, masz obok kolegów i za chwilę już ich nie ma. Leci obok ciebie jego koń z pustym siodłem. Ginęliśmy, bo Niemcy mieli lepszą broń i o wiele jej więcej, ale próbowaliśmy nadrabiać odwagą i brawurą. Wielką sztuką było ich zaskoczyć, nie pozwolić użyć broni palnej. Jak się nam udawało to nie ocalał żaden szkop. Ale jeśli oni pierwsi otworzyli ogień do nas, to ginęło wielu kolegów. Przeżyłem dzięki Bogu wojnę i zdrowy wróciłem do domu. Oczywiście, że miałem dużo i to tragicznych przeżyć na wojnie, wróciłem raczej rozbity i zgnębiony duchowo **- wspominał Henryk**.**(to zostawiono opuszczając fragment jak poniżej). Na taką wojnę i takie uzbrojenie jak mieli Niemcy, napadając na Polskę, nie należy wybierać się końmi. Nie można tego było wyrównać ani bohaterstwem, ani szaleństwem, bo i takie szarże mieliśmy. Najkrócej mówiąc, trzy czwarte kawalerii, w której służyłem, zginęło nie od walki wręcz na szable, ale od kul nim do Niemców dojechaliśmy.**

Po każdym ataku i stratach kolegów miotała nami rozpacz, dlatego robiliśmy nocne wypady na Niemców bez koni. Nawet szabli nie braliśmy, żeby nie brzęknęła o kamień jak się czołgaliśmy, jedynie kawalerski mały karabinek, a na nim bagnet pomazany na czarno, żeby nie błyszczał w nocy i żeby Niemcy nie zauważyli. Często dość głęboko wchodziliśmy za linię frontu.

Najtrudniej było niepostrzeżenie przejść pierwszą linię, tak żeby nas nie

zauważyli. Wybieraliśmy do tego bagna i trzęsawiska, gdzie Niemcy bali się, bo nie mogli się okopać i ukryć. Bywało, że kilometr od linii frontu zachodziliśmy Niemców, którzy w ogóle nie spodziewali się ataku. Broni palnej używaliśmy w ostateczności, gdy Niemcy już do nas strzelali. Taki atak musiał przebiegać jak błyskawica. Myślę, że pomściliśmy śmierć kolegów i to wielokrotnie więcej niż liczba naszych zabitych – wspominał Henryk.

Lubiłem go słuchać, gdyż były to autentyczne wydarzenia wojenne, jakie przeżył, służąc w kawalerii. Nie wiedziałem jednak, że ten człowiek przeżył i nosi w sobie wiele tragicznych wydarzeń, że był świadkiem mordów, które trudno opisać ze względu na sposób, w jaki mordowano Polaków na Kresach.

Pracował już prawie rok i mieszkał u swego brata. W jego wieku mężczyźni mają już żony i dzieci, natomiast Henryk był sam i nie zdradzał zainteresowania kobietami. Nie chciałem go pytać o jego życie osobiste, gdyż jak koledzy go pytali, to unikał takich rozmów i odpowiedzi. Ponieważ ja w tym czasie miałem już plac pod budowę domu w Rembertowie i każdego dnia po pracy wydobywałem z gruzów Starówki każdą ocalałą całą cegłę, on się tym zainteresował i zaproponował mi pomoc. Często wieczorem po parę godzin obaj czyściliśmy tą starą cegłę i rozmawialiśmy. Opowiedział mi, że urodził się w małym miasteczku na Kresach o nazwie Rohatyń, urodził się tam też jego brat. Niedaleko mieli do Tarnopola i do Lwowa, ale najczęściej jeździli do kolegów, którzy mieszkali w Zborowie, w Złoczowie i Brzeżanach.

Wtedy, przed wojną - w tych miasteczkach większość mieszkańców to byli Żydzi. W czasach rozbiorów Polski, car przymusowo kierował na te tereny Żydów z całej Rosji. Nasz ojciec - mówił Henryk, był dobrym kowalem, roboty miał dużo, więc rodzice postanowili, że wykształcą najstarszego syna na inżyniera, a ja młodszy, obejmę po ojcu kuźnię, gdyż sama natura uczyniła tak, że brat był słaby fizycznie a ja bardzo zdrowy i mocno zbudowany. Brat zdążył skończyć studia jeszcze przed wojną, ale celem jego życia było lotnictwo. Mimo że jako technik mógł mieć dobrą pracę, to jej nie podjął, a poszedł do szkoły lotniczej w Dęblinie. Moje życie potoczyło się jednak inaczej niż rodzice chcieli i zaplanowali.

Od dziecka zachwycała mnie muzyka organowa. Tak się składało, że mogłem uczestniczyć w niedziele na wszystkich mszach świętych. Takie przebywanie w kościele musiało zwrócić uwagę proboszcza. On jednak myślał, że ja mam powołanie do kapłaństwa. Gdy mu wyjaśniłem był rozczarowany, ale zainteresował się mną. Mogłem teraz wchodzić na chór i przyglądać się jak organista gra na organach. Nadszedł wreszcie taki dzień, kiedy organista dopuścił mnie do organów. Z początku ciężko mi szło, ale z czasem zacząłem zastępować starego organistę. Proboszcz jednak zmusił mnie, żebym we Lwowie nauczył się nut, no, więc musiałem kupić sobie rower i jeździć na lekcje. I w taki oto sposób zamiast być kowalem, jak chcieli rodzice, zostałem organistą.

Na wiosnę 1939 roku powołano mnie do wojska, mimo że proboszcz jeździł i prosił, żeby mnie nie brali. A we wrześniu była już wojna. Nim jednak powołano mnie do wojska, chciałem się żenić. Ale w tamtych czasach nie było to takie proste, w grę wchodziło, co posiada młody, a co młoda. Ileż to tragedii było na tych terenach spowodowanych faktem, że albo jedni, albo drudzy rodzice nie pozwalali na taki związek, gdzie chłopak lub dziewczyna byli zbyt biedni. Moja pozycja jako organisty była raczej średnia. Ale serce, jak mówią, nie sługa i nie patrzy, kto ma ile hektarów tylko kocha. Tak właśnie było i ze mną - mówił Henryk.

Tymczasem ja zacząłem sam jeden z tej rozbiórkowej cegły budować mały domek. Mogłem to robić wieczorami lub w niedzielę. Niespodziewanie Henryk mówi: - Chcę ci pomóc. Mogę spać u ciebie w komórce, zapłaty nie chcę. Zaczęliśmy więc obaj tę budowę. On ręcznie rozrabiał zaprawę i podawał mi. Ja, jako że już od paru ładnych lat pracowałem w budownictwie, uważałem, że jestem majstrem, a on - pomocnikiem. Przez kilka dni opowiadał mi jeszcze swoją historię, właściwie przegadaliśmy parę nocy, bo,

mimo że to on mówił, to ja też zadawałem pytania.

- Właśnie to przysłowie - zaczął mówić Henryk - że serce nie sługa to i do mnie pasuje, i do dziewczyny, którą pokochałem - ciągnął dalej Henryk. Ja wśród kawalerów z okolicy wyróżniałem się postacią i urodą. Lubiłem śpiewać i głos miałem ładny, ale serce moje już od kilku lat biło dla Krysi, córki młynarza. Wysoka i zgrabna o długich jasnych warkoczach. Ona też darzyła mnie uczuciem i okazywała mi to. Mimo, że odprowadzać ją do domu z zabawy było wielu chętnych, nigdy nie pozwalała nikomu poza mną się odprowadzić. Nic dziwnego, że zazdrośni konkurenci parę razy robili na mnie zasadzkę, żeby mnie pobić, tyle, że ja się bić potrafiłem i poszkodowanym nigdy nie byłem. Postanowili szukać rady u rodziców Krysi, w wyniku czego Krysia dostała zakaz spotykania się ze mną. Kiedyś, ojciec Krysi spotkał mnie na drodze i surowo zakazał spotykania się z córką. „Nie dla psa kiełbasa!" - krzyczał do mnie. - Ona ma dwa domy w mieście i młyn po mnie, a ty, co masz? Robić ci się nie chce jako kowal, tylko byś grał i śpiewał.

To nie mąż dla mojej córki - krzyczał, zaciskając pięść. Ale Krysia sprytnie oszukiwała ojca. Wymyśliła, że w Zborowie jest kurs szycia na maszynie i zaczęła tam jeździć. Zaczęliśmy się spotykać co dwa dni, tak jak ten kurs się odbywał. Taka zakazana miłość zawsze jest na złość tym, co jej zakazują. Prawdopodobnie w innych warunkach Krysia chciałaby w wianku iść do ślubu, ale że zabraniają, trzeba było spróbować tej miłości, tak więc przez parę miesięcy kochaliśmy się jakby na złość ojcu. Planowaliśmy, że jak wyjadę i znajdę pracę jako organista gdzieś w Polsce, to ona przyjedzie i weźmiemy ślub. Wojna jednak wszystko pokrzyżowała. Prawie rok byłem poza domem w wojsku. Tęskniliśmy za sobą, pisaliśmy listy.

Gdy wojna się kończyła, major, który dowodził naszym oddziałem powiedział: „Chłopcy, wasze życie będzie potrzebne jeszcze Polsce. Teraz trzeba zdobyć cywilne ubrania i wrócić do domu. Przyjdzie czas to was odnajdziemy". Rzeczywiście, nie było sensu walczyć, bo nawet nie mieliśmy czym. Wróciłem do domu, a tu Armia Czerwona zajmuje nasze tereny. Zaraz na drugi dzień Żydzi poszli do milicji i do NKWD. Zaczęły się aresztowania i wywózki na Wschód. Ci nasi koledzy Żydzi, którzy chodzili z nami do polskiej szkoły, teraz nas Polaków nie znają, nie można już im mówić po imieniu, teraz oni są tu władzą. Każdej nocy podjeżdżali pod domy i zabierali ludzi, i to całymi rodzinami, z dziećmi i starcami.

Ja spałem na plebanii, więc na razie omijali proboszcza, ale zakazali odprawiania mszy w kościele. „Musicie mieć pozwolenie na piśmie, żeby zbierać tych ludzi w kościele" - mówili. Mimo to ksiądz w niedzielę mówi do mnie, że idziemy i msza się odbędzie normalnie. Tak też było, ale na wieczór przyjechali i pobili księdza dotkliwie, a mnie zabrali z sobą na wieś.

W czasie wiezienia mnie furmanką widzę, że wszyscy milicjanci to moi koledzy Żydzi ze szkoły. Zaczynam więc prosić jednego i mówić: „Czego wy chcecie ode mnie? Żadna polityka mnie nie interesuje. Nie należę też do żadnej grupy czy partyzantki". „Tak, to prawda - odpowiada mi jeden - ale grasz w kościele - i to twoja wina. Więcej grać już nie będziesz". Wiozą mnie, żeby zabić - pomyślałem. Ale stało się inaczej.

Wjechali na podwórko do znajomego rolnika i pytają się: „Masz siekierę?" Chłop, przerażony, oczywiście daje im siekierę, a ja już jestem przekonany, że zabiją mnie właśnie tą siekierą. Tym bardziej, że po wioskach było tak zamordowanych dużo Polaków. „A gdzie masz pień do rąbania drewna?" - pytał chłopa milicjant. „O, stoi na środku drewutni" - pokazywał przestraszony chłop. Zwalili mnie z wozu i kazali iść do tej drewutni. No to już moje ostatnie chwile - myślałem i modlę się po cichu.

Przy pieńku kazali mi położyć prawą rękę na pniu. „Co do cholery, chcecie mnie po kawałku rąbać" - spytałem Jakuba, tego, co chodził ze mną do szkoły. „Kładź" krzyknął, bo przybiję gwoździami jak nie położysz. Dwóch złapało za moją rękę w okolicy łokcia i położyli na pieńku. Jakub rąbnął siekierą i poczułem straszliwy ból. Puścili moją rękę, z której przez parę sekund krew nawet nie leciała. Patrzę, a na pieńku leżą moje trzy palce.

Ale pozostali Żydzi zaczęli krzyczeć na Jakuba: „Miałeś urąbać mu wszystkie palce, a nie tylko trzy". „Miałem, miałem" - powtarzał Jakub. „Weź i utnij ty, skoro ja nic nie umiem" - bronił się Jakub. Zaczęła obficie płynąć krew więc zacząłem ściskać tę rękę. „Teraz to pobrudzimy się tą krwią - zaczęli mówić. Niech tak zostanie, już nie będzie mógł grać więcej".

Zostawili mnie u tego chłopa i sami odjechali. „Panie, u nas jest niedaleko weterynarz, to może pomoże panu" - krzyknął chłop i nie pytając się czy chcę, pobiegł po niego. Zdyszany weterynarz zadecydował, że na razie zatamuje mi krew, ale do szpitala muszę jechać, bo trzeba to zaszyć. „Najszybciej będzie do Zbrzeżan. Tam nie ma szpitala, ale jest taki ośrodek i jest tam chirurg, który zszywa takie rany" - powiedział. Zaprzężono więc konia i wozem - jak szybko tylko to zwierzę mogło - chłop zawiózł mnie do tego lekarza i uciekł. Przeleżałem noc na korytarzu i rano lekarz mówi: „Idź pan do domu. Na szczęście równo ucięli panu i nie musiałem nic robić poza szyciem".

Wróciłem więc do rodziców i matka zaczęła przykładać mi na tą ranę lniane szmatki. Wygoiło się szybko, za dwa miesiące chodziłem już bez tych szmatek, ale grać rzeczywiście już nie mogłem. Organistą już nie będę i wyjeżdżać nie ma już po co - pomyślałem. Zacząłem unikać Krysi, która przysyłała mi kartki przez koleżanki, żebym przyszedł i się z nią spotkał.

Rozpoczęły się straszne represje. Cała władza to prawie nieomal Żydzi, Polacy nie mieli nic do powiedzenia. W dzień oficjalnie konfiskowali Polakom mienie, w nocy ci sami dokonywali grabieży z użyciem broni, a opornych zabijali i nie było nawet gdzie iść na skargę, bo w większych miastach całe komendy milicji to Żydzi.

Sąsiad poszedł do Tarnopolu, bo zabrali mu wszystko, co posiadał, a przy tym zgwałcili córkę i pobili żonę; poszedł i nie wrócił więcej. Wiedzieliśmy, że Polska jest cała zajęta przez Niemców. Czasem zdarzało się, że udało się z Polski uciec dawnym komunistom. Wierzyli oni, że towarzysze radzieccy ich przygarną i zaopiekują się nimi, tymczasem takich właśnie zabijano, bo jak głosiła plotka zdradzili komunistów w Moskwie.

Wielu moich kolegów ukrywało się po lasach, żeby ocalić życie. Zbrodnie, były teraz na porządku dziennym. Co parę dni dowiadywaliśmy się, że w lesie leży dużo trupów. Ludzie chodzili rozpoznawać, bo przecież prawie z każdego domu kogoś zabrali i nie wrócił. Najgorzej było zimą. Trudno było ukryć się w lesie, gdyż zostawiało się ślady, poza tym w milicji i w NKWD byli miejscowi Żydzi. Oni doskonale wiedzieli, ile w każdym domu powinno być ludzi, jeśli więc brakowało kogoś, kogo oni szukali, to brali zakładników i trzymali dotąd, aż poszukiwany sam przyszedł, żeby tylko matkę i ojca wypuścić. Już nie odprawiano mszy prawie we wszystkich kościołach, bo zakaz zgromadzeń rozszerzono na Kościół.

Jednego dnia zabrali mnie na komendę milicji. „Gdzie jest twój brat Stanisław Ślaski?" - Pytali. Mówię, że nie wiem. Jak zaczęła się wojna to był pilotem i walczył z Niemcami, potem nie było od niego żadnej wiadomości, może zginął. Zamknęli mnie w piwnicy, w której siedziało już dwóch naszych księży i ojciec mojej Krysi. Cała trójka pobita i pokrwawiona. Mnie do tej pory nie bili. Przesiedzieliśmy cały dzień i noc. Nawet wody do picia nam nie dali, nie mówiąc o jedzeniu. Następnego dnia wyprowadzili nas na podwórko, i za parę minut wjechał ciężarowy samochód, a na nim jeszcze dwóch księży i dwóch rolników spod Złoczowa, których znałem. Teraz było czterech księży, ojciec Krysi i tych dwóch chłopów oraz ja. Władowali nas na samochód i trzy rowery, w tym mój, który mi zabrali.

Jakub kierował tą akcją i wydawał rozkazy. Zauważyłem, że jeszcze czekają na kogoś, bo Jakub parę razy spojrzał na zegarek. Wreszcie krzyknął na jednego i kazał mu wziąć rower i pojechać zobaczyć, dlaczego tak długo kogoś nie ma. Młody Żydek mieszkał z rodzicami obok mojego ojca. Znałem go dobrze, grywaliśmy razem w piłkę na podwórku. Wziął mój rower i pojechał kogoś tam pośpieszyć.

Za chwilę widzę, że wraca, ale nie sam. Drugi Żydek, milicjant, prowadzi zapłakaną Krysię i jeszcze jedną dziewczynę. Wsadzili je do nas na samochód. Krysia zaraz przytuliła się do mnie i mówi, że wiozą nas zabić gdzieś za wieś, bo słyszała jak między sobą mówili ci milicjanci. Ruszyliśmy znaną mi drogą na Tarnopol, a ja myślę, czy uda mi się uciec. Ale z nami na samochodzie jest czterech z pepeszami, a w szoferce kierowca i Jakub.

Moje rozważania jak uciekać przerwał Jakub. Samochód się zatrzymał i on wychylając się, spytał jednego ze swoich, gdzie ta droga do olejarni. Ten, którego wysłał rowerem, odpowiedział mu, że jeszcze kilometr i trzeba skręcić w prawo. Znałem to miejsce i wiedziałem, że tam już nie ma nikogo, gdyż dwa miesiące temu właśnie Jakub ze swoimi ludźmi zabił całą rodzinę olejarza, który nie chciał mu oddać pieniędzy.

Rzeczywiście, zajechaliśmy na podwórko tej olejarni w lesie. Okna wybite, drzwi wyrwane, ale kot, miaucząc, wyszedł z pustego domu. Jakub wycelował i strzelił, zwierze skoczyło do góry i opadło, poruszając nogami. „No to, panowie Polaczki - powiedział Jakub - jeśli się nie dogadamy, to też będziecie tak wierzgać nogami".

Ustawili nas pod domem i Jakub mówi: „Pan młynarz ma pieniądze, ale schował i nie chce nam oddać. Panowie rolnicy też mają kosztowności pochowane, bo przecież wiemy, kto i ile kupował złota. A panowie księża również zaoszczędzili i pochowali. Ale wszyscy się uparli i mówią, że nie dadzą nam. No to zaraz zobaczymy, czy nie dacie".

„Daniel - krzyknął Jakub - dawaj gwoździe i młotek". Daniel to również do tej pory znajomy i kolega, ale nie teraz. Wywołany przyniósł w torbie gwoździe i młotek, a dwóch milicjantów złapało pierwszego księdza i przycisnęło do ściany. Uderzenie - gwóźdź przebił dłoń i został wbity w drewnianą ścianę domu. Za chwilę z drugą ręką dzieje się tak samo.

Całej czwórce księży przybito ręce do ściany, a nogami stali na ziemi. Przybici księża jęczeli z bólu, a krew płynęła po ścianie aż do ziemi. Jakub podszedł do nich i powiedział:

<u>„No i czego jęczycie, przybiliśmy was tak samo jak waszego Chrystusa. Powinniście być nam wdzięczni za to, bo zaraz do nieba pójdziecie"</u>**.**

Zwracając się do młynarza, powiedział: „Teraz, panie młynarz, pana kolej. Albo pan da to, co pochował, albo pan Polak zaraz będzie przybity do ściany, a córeczkę też tak przybijemy, ale najpierw na nią ma chęć kierowca i jeszcze jeden". - Wiedziałem, że to zrobią, bo już w okolicy to robili nie raz. Więc mówię do młynarza: „Oddaj im pan, co masz, bo widzisz, że nie żartują". Jakby na potwierdzenie mych słów Jakub kazał tych dwóch rolników wyprowadzić w las i zastrzelić, mówiąc: „Oni zapłacą za swoje pyski. Źle mówili o Żydach i więcej gadać już nie będą". Dwóch milicjantów wyprowadziło, popychając lufami, obu chłopów za budynki i rozległy się strzały.

Wrócili i powiedzieli, że zrobili, co trzeba. Młynarz, widząc, że za chwilę może być przybity jak księża, zdecydował, że odda to, co ma schowane. „Puśćcie córkę to ona pokaże, gdzie schowałem złoto, co chcecie" - mówi. Ale Jakub zdecydował, że inaczej to trzeba zrobić. „Po to właśnie wzięliśmy Śląskiego. On pojedzie z dwoma milicjantami i przywiozą to złoto. Dopiero ciebie i córkę puścimy wolno. Mów, gdzie ono jest" - rozkazał Jakub. Ale młynarz teraz nabrał odwagi i zaparł się, że nie powie na głos, ale tylko na ucho mnie, a nie milicjantom. Byłem tym zaskoczony i dopiero jak mi powiedział, o co chodzi to zrozumiałem, jaki ma plan. Jakub długo nie chciał się zgodzić na propozycję młynarza, ale widząc, że ten się zawziął i jakby nie bał się przybicia do ściany, zgodził się.

„Macie Śląskiego nie spuścić z oka. Nie odstąpić na krok od niego. W razie gdyby coś kombinował - zabić" – zakończył Jakub. „Niech ci mówi, gdzie ukrył to złoto" - rozkazał.

Podszedłem więc do młynarza i podstawiłem ucho. Wyjaśnił mi gdzie jest skrytka i powiedział: „Leży tam nabity rewolwer. Strzelaj do nich, jeśli ci się uda przyjedź i zabij ich. Oni i tak, by się nas pozbyli, bo świadków nie zostawiają". Sprytnie to sobie Jakub wymyślił. Pewnie myśli, że ja i strzelać nie mogę z powodu braku tych palców. Więc po to brał te rowery na samochód, bo z góry zakładał, jaki będzie przebieg sprawy. Zostawiłem

zapłakaną Krysię i jej ojca, który dopiero teraz popatrzył mi głęboko w oczy. „On cały czas ma jechać pierwszy, a wy za nim. Rozumiecie?" - przykazał Jakub.

Trzeba było wejść do piwnicy, znaleźć to miejsce i usunąć kamień. Następnie sięgnąć ręką głęboko i dopiero namaca się złoto. Ale w piwnicy było ciemno. Gdy dochodziłem do tego miejsca to zauważyłem, że od strony drzwi w ogóle go nie widać bez oświetlenia. Odwracając się w kierunku drzwi, widać natomiast na tle otworu drzwiowego postacie obu Żydów. Gdy powiedziałem, żeby jeden z nich poszukał czegoś do oświetlenia, to obaj głośno zaprotestowali: „Jeden z tobą nie zostanie. Szukaj, trochę widać". Zauważyłem, że na końcu korytarza jest wnęka i dobrze, będzie się gdzie schować - pomyślałem. Kamień rzeczywiście dał się usunąć, położyłem go w tej wnęce.

Wsadziłem rękę i wyczułem rękojeść rewolweru. Ostrożnie obmacałem go i sprawdziłem. Młynarz, mówiąc mi, że jest nabity, miał na myśli, że jest w nim magazynek z nabojami, ale trzeba przecież wprowadzić nabój i odbezpieczyć. Nie mogę tego robić jak wyjmę rewolwer, muszę strzelać od razu, bo oni mogą strzelić pierwsi. Ostrożnie oparłem rękojeść o coś stałego i naciągnąłem, wprowadzając do komory pierwszy nabój. Teraz jeszcze bezpiecznik. „No, co ty tam tak długo nie wyjmujesz?" - spytał mnie jeden.

„Właśnie wyjmuję" - odpowiedziałem i strzeliłem kilka razy do postaci na tle otwartych drzwi. Obaj padli bez życia. Zabrałem obie pepesze, sprawdziłem, czy mają pełne magazynki i zatkałem kamieniem otwór, gdzie była broń. Nawet nie sprawdzałem, czy jest tam jakieś złoto czy nie. Obu zabitych zaniosłem i wrzuciłem pod turbinę wodną. Rowery utopiłem w wodzie obok turbiny i z dwoma pepeszami i rewolwerem wracałem do olejarni. Pół kilometra przed olejarnią po cichutku, czołgając się w krzakach, zbliżyłem się do olejarni.

Księża już nie żyli, ale nie zmarli z powodu przybicia do ściany, widać znęcali się nad nimi, bo ich twarze były zmasakrowane. Ale młynarza i dziewczyn nie widzę, czterech milicjantów też nie. Co się stało, przecież mieli czekać i uwolnić młynarza i dziewczyny. Taka była umowa. Ale czy z Żydem można robić umowę? Usłyszałem jakieś głosy w stodole, więc cichutko podczołguję się i patrzę.

Młynarz wisi na lince bez spodni, krew mu cieknie z miejsca jego genitaliów, widać, że mu je ucięli. Przyglądam się lepiej i spostrzegam obie dziewczyny - rozebrane do naga, z rozszerzonymi nogami i butelkami wepchniętymi w pochwy. Widać też, że i one nie żyją. Czyli byli pewni swego, nie czekali na swoich towarzyszy, tylko zrobili to, co zaplanowali. Moja Krysia leży martwa, i zgwałcona, sponiewierana przez ludzi, z którymi przed wojną chodziłem do szkoły i przyjaźniłem się. Przez jakiś czas z tych nerwów nic nie widziałem. Migały mi przed oczami tylko czerwone latarnie.

Oprawcy stali nad dziewczyną i sikali na jej martwe ciało. Nie mieli w ręku żadnej broni, po prostu niczego się nie obawiali. Broń stała oparta o sąsiednią ścianę. Wstałem i dopiero mnie zauważyli, ale do pepesz mieli kilka metrów, a ja gotową do strzelania. Jakub miał przy pasie nagan i chciał po niego sięgnąć, ale za późno. Płacę ci za moje palce, pobicia i za wszystkich tych, co zamordowałeś - pomyślałem. Już wyciągał z kabury nagan, gdy skosiła go moja seria z paru metrów. Pozostałych trzech też zabiłem.

Wróciłem rowerem do miasteczka i powiedziałem ludziom, że trzeba pochować tych, co leżą w lesie przy olejarni. Ale, niektórzy widzieli, że i ja tam byłem wieziony, a wśród zabitych mnie nie ma. Prosiłem rodziców, żeby uciekali do Rohatynia. Żydzi dojdą do tego, że to ja ich pozabijałem i zemszczą się. Tylko, że każde przemieszczanie się z miasteczka do miasteczka, wymagało zgody milicji, z wioski do wioski można było chodzić, ale też jak złapali to pobili. Jak więc uciec? Ojciec miał pod Równem w miasteczku Zdołbunów brata, który też był kowalem. Nie było na co czekać, więc uciekając dotarłem do stryja, który od razu powiedział: Jeśli brat z żoną nie uciekną to zginą. Za mniejsze winy oni zabijają, cóż dopiero za swoich sześciu ludzi".

Ukrył mnie dobrze w ziemiance, na którą wyrzucił obornik od krowy hodowanej dla własnych potrzeb, przez wsuniętą rurę dochodziło powietrze i mogliśmy przez nią rozmawiać. Dwa tygodnie było spokojnie, ale jednego dnia usłyszałem krzyki i strzały. Siedziałem jeszcze dwa dni w tej ziemiance, a nikt mi nie dawał jeść ani pić. Pewnie ich zabili - pomyślałem i w nocy wygrzebałem się z tego gnoju. Stryjek z żoną od dwóch dni leżeli zabici na podwórku. W ogródku wykopałem dół i zakopałem oba ciała. Zadawałem

sobie pytanie, co teraz robić.

Widać Żydzi doszli do tego, że to brat ojca i przypuszczali, że ja mogę się u niego ukrywać. Tuż pod Równem, na wsi miałem kolegę z wojska. Przeczekałem dzień schowany, a wieczorem lasami poszedłem do kolegi. Zapukałem nad ranem do okna, ale nikt się nie odzywał. Czyżby ich nie było w domu? Zacząłem mocniej walić w okno i ktoś, nie zapalając światła, zbliżył się do okna. „Kto tam?" - spytał i zrozumiałem, że to chyba ojciec mego kolegi Stacha. „Panie jestem kolegą pana syna z wojska, Heniek Ślaski, a pan to chyba Krynio, ojciec Stacha" - mówię. Teraz dopiero człowiek zbliżył się do okna i powiedział: „Stacha nie ma w domu, ale pan chodź to pogadamy". Otworzył drzwi i podał mi rękę na przywitanie, mówiąc: „Nie będę zapalał światła, bo zaraz zauważą, że ktoś obcy i przyjdą".

Mówię mu, że musiałem uciekać od rodziców z Rohatynia, ale i od stryja z Zdołbunowa, bo przyszli i zabili oboje, stryja i jego żonę. Okazuje się, że tu jest też bardzo niebezpiecznie.

„Wyciągają w nocy tak Polaków, jak i Ukraińców. Całe posterunki milicji i NKWD to prawie sami Żydzi. Rzadko się zdarza, żeby wśród nich był Rosjanin.

Jak pędzili przez Równe polskich jeńców, to Żydzi wyciągali polskich żołnierzy z kolumny i bili. A co przy tym krzyczeli, żebyś słyszał" - opowiadał.

„Panie Krynio! - mówię. - U nas wszystkich bogatszych ludzi obrabowali i pozabijali. Tak samo robią to i Ukraińcom". „Posiedź trochę sam, to ja zrobię coś do zjedzenia, bo pewnie jesteś głodny" - rzekł i za chwilę wrócił z bochenkiem chleba i kiełbasą. Byłem bardzo głodny i pochłonąłem wszystko, co on przyniósł. Gdy zauważył, że tyle zjadłem, spytał: „Od kiedy nie jadłeś?" - „Dwa dni tylko wodę piłem, bo od stryja wszystko zabrali, co było do zjedzenia, a po drodze bałem się wejść do ludzi". „Słusznie, bo jedni na drugich donoszą. Wystarczy, żebyś powiedział im, że ktoś obcy u ciebie był, to zaraz przyjdą i zabiorą takiego gospodarza. Boże, co za czasy" - westchnął człowiek.

„A pana syn, Stacho gdzie jest?" - pytam. „Tego to ci nie powiem. On mnie nie mówi, co robi i gdzie jest. Powiedział mi tylko, że lepiej żebym nie wiedział". „A jak ja mogę się z nim spotkać?" - dociekam. „Tego też ci nie powiem. Najlepiej będzie jak będziesz czekał na niego u nas. Jest tu dobra kryjówka Stacha. Mądrze zrobiona, tak, że trudno ją znaleźć i w niej cię umieszczę, tam czekaj na niego" - mówi. Zaprowadził mnie do piwnicy i szuflą odrzucał kartofle na inną kupę. Odsunął właz i powiedział: „Wchodź, nie bój się. Tam jest powietrze i woda do picia. Będę ci raz dziennie podawał jedzenie, a ty mi wiadro z odchodami" - zarządził.

Kryjówka była dobrze urządzona: niskie łóżko, ale z siennikiem pełnym słomy, latarka naftowa, i szkopek z wodą, był też mały niski stolik, a na nim trochę papierów. Zacząłem je czytać przy latarce i widzę, że to spisy milicji i funkcjonariuszy NKWD. Spisy dotyczą okolicznych miejscowości, na liście zaznaczono, kto Rosjanin, a kto Żyd. Domyśliłem się, że Stacho chyba jest w jakiejś partyzantce lub grupie obrony ludności, słyszałem, że takie istnieją na tym terenie.

Przesiedziałem w kryjówce cały tydzień i jednej nocy słyszę, że ktoś odwala kartofle szuflą. Otwiera się klapa i słyszę głos Stacha, który mówi: „Wyłaź, stary koniu. Ty tu siedzisz, a roboty mamy pełne ręce i brakuje ludzi zaufanych i doświadczonych". Ale jak wyszedłem i się przywitał, to krzyknął: „O Boże, co zrobiłeś z ręką?" Opowiedziałem Stachowi całą historię z milicją Jakuba i mordzie w olejarni. „No to nie muszę cię przekonywać, jakie to są kanalie" - odparł. Przegadaliśmy cały dzień. Ojciec i matka Stacha czuwali, czy nikt nie idzie albo nie jedzie.

Wieczorem Stacho wręczył mi porządny rewolwer. „Ja żywy nie dam się wziąć. Radzę i tobie, w razie czego lepiej samemu sobie strzelić w łeb niż wpaść w ich ręce. Może mało widziałeś, co oni robią tym, co złapią. Myśmy widzieli takich poprzybijanych do ścian i drzew gwoździami, z obciętymi genitaliami i językami, z wydłubanymi oczami. To nie ludzie, to dzikie bestie. Będziesz miał okazję to zobaczyć" - podkreślał Stacho.

Szliśmy całą noc. Minęliśmy z daleka miasto Kostopol i nad ranem w lesie niedaleko miasteczka Sarny zatrzymał nas pierwszy patrol. Szybko poznali Stacha i tylko się spytali, kim ja jestem, po czym puścili nas dalej. Za pół godziny byliśmy w ziemiance u dowódcy tej grupy. Stacho za mnie poręczył i znalazłem się w oddziale, który bronił ludność przed milicją i przed NKWD, a także ludźmi, którzy zdobyli broń i teraz chodzą, rabują i zabijają. W oddziale byli sami Polacy, ale broniliśmy przed rabunkami i śmiercią też Ukraińców.

Jednej nocy zrobiono alarm i cały oddział biegiem ruszył w stronę Łucka. Podobno z paru wiosek prowadzą Polaków na stację kolejową do Łucka, żeby wywieść na Wschód. Poganiano nas, bo zachodziła obawa, że jeżeli dojdą do Łucka to nie odbijemy ich, bo tam stacjonuje Armia Czerwona, a milicja zawsze może wezwać ją na pomoc. Dobiegliśmy do bitej drogi, tak nazywano szosę z kamieni, czyli kocich łbów. Wywiadowcy powiedzieli, że jeszcze nie przeszli tędy, a więc należy się dobrze ukryć i zamaskować.

Wybraliśmy miejsce, gdzie szosa szła wykopem, z obu stron drogi były wysokie burty ziemi i las. Gdyby chcieli nas zaatakować, musieliby wspinać się po zboczach do góry, ale wtedy każdy z nas miałby doskonały cel na tego, który by chciał tu wejść. Czekaliśmy ponad godzinę zanim na szosie pojawiła się długa kolumna ludzi i idący z boku konwojenci. Za kolumną jechało kilka furmanek, na których konwojenci zabawiali się z pannami wyciąganymi z kolumny.

Często na wozie jechała staruszka lub chory człowiek i furman, ale ich obecność nie przeszkadzała konwojentom gwałcić kobiet. Gdy kolumna weszła w wąwóz, dostaliśmy rozkaz strzelania do konwojentów. Dla nich było to całkowite zaskoczenie. Ponad połowa konwojentów padła od pierwszych strzałów, ale pozostali, gdy się zorientowali, co się dzieje, zaczęli wchodzić w kolumnę i strzelać do nas spośród ludzi. Z wozu, bez spodni wyskoczył chyba ich dowódca i zaczął krzyczeć do swoich:

„Zasłaniać się Polakami!" po czym sam złapał dziewczynę i szedł koło konia. Zwierzę zasłaniało go z jednej strony, a dziewczynę trzymał tak, żeby kule z drugiej trafiły w nią. Leżałem obok Stacha, a on wstał i stanął za drzewem obok mnie.

„Ej, ty, Rohacki! Ja ciebie znam, cholerny Żydzie! - zaczął krzyczeć. - Puść tą dziewczynę, tchórzu, bo nie masz szansy na ucieczkę". Ale on zamiast puścić ją, zaczął odkrzykiwać do Stacha: „To ty za drzewem, a ja mam się odkryć? Jak jesteś taki bohater to wyjdź zza tego drzewa i zobaczymy, kto jest lepszy". Stacho zwrócił się do mnie:

„Powinieneś, Heniu, znać tego łotra. Służył w wojsku z nami i zdezerterował. To Żyd Rohacki, przypomnij sobie, Heniu".

Rzeczywiście to ten, który zaraz jak tylko wojna wybuchła uciekł z wojska - przypominam sobie. - Stacho krzyknął ponownie do Rohackiego: „ja wyjdę zza drzewa, ale ty puść dziewczynę i też wyjdź". Stacho wyszedł zza drzewa, a Rohacki zaczął strzelać zza dziewczyny. Z pnia, za którym wcześniej stał Stacho, odskakiwała kora. Nagle ten padł na ziemię, a ja za nogi wciągnąłem go za nasyp. „Dostałeś Stachu?" - spytałem. „Nie, nawet mnie nie zranił. Ja go zaraz urządzę. Powiedzcie - krzyknął do ludzi - żeby Wypych przyszedł do mnie. Podajcie to po linii" - komenderował.

Za chwilę obok nas położył się młody chłopak z karabinem, na którym była lunetka. „Mam go sprzątnąć panie Stachu?" - spytał. „Nie, masz mi dać na chwilę swój karabin" - odrzekł Stach. Ułożył się lepiej i zaczął celować. Nagle padł strzał i zza dziewczyny - osunął się na ziemię Rohacki. Strzelaliśmy jeszcze parę minut i kolumna była już bez konwojentów. W tym czasie padł strzał. Okazało się, że jeden z wozów miał plandekę na pałąkach i z niego właśnie strzelono. W pobliżu jęknął chłopak i wypuścił z rąk karabin. Stacho, wskazując wóz chłopakowi z lunetką, zapytał: „czy widzisz, gdzie on lufę wysadził z plandeki?" „Widzę panie Stachu" - odpowiada, „to przyłóż mu dobrze!" - rozkazuje Stacho. Chłopak przez chwilę celował i strzelił. Ktoś upadł na plandekę, która w tym miejscu się wybrzuszyła. „Dostał, panie Stachu" - powiedział chłopak. Zatrzymaliśmy wszystkie wozy, a ludzi puściliśmy, by uciekali. Wszystkich zabitych konwojentów

władowaliśmy na wozy, a właścicielom koni powiedzieliśmy, że wozy z końmi będą na nich czekać jutro w lesie przy szosie Łuckiej. Musieliśmy bowiem sprzątnąć zabitych, tak by nie posądzili o to ludności z pobliskich wiosek i nie zemścili się. Później jednak, gdy pędzili ludzi do pociągu, wystawiono silną grupę konwojentów. Nie było sensu już napadać i odbijać, bo przeciwnik dysponował dużą siłą. Ale za to bali się bardzo rabować i zabijać na wioskach lub pędzić do Łucka. Już niejedna grupa zginęła im bez wieści, więc robili to rzadziej, ale większą siłą.

W 1941 r. 22 czerwca radio podało, że Niemcy napadli na Związek Radziecki. Okazało się, że ta wielka Armia Czerwona w ogóle nie była przygotowana do wojny z Niemcami. Ich cofanie się można określić ucieczką w panice. Tysiące żołnierzy codziennie się poddawało. Żal było patrzeć jak Niemcy pędzą na zachód bosych i oberwanych żołnierzy. Dowódca nam kazał rozejść się do domów, dobrze schować broń i czekać.

Gdy po paru dniach dotarłem do rodzinnego Rohatynia, ujrzałem obraz rozpaczy: nasz dom po mojej ucieczce był spalony, a rodziców Żydzi powiesili na rynku, dla przykładu jak mówili. Nawet nie odnalazłem miejsca, gdzie ich pochowano, może ocalały budynki mego stryja w Zdołbunowie - pomyślałem. Poszedłem tam i o dziwo budynki były całe. Miałem więc dach nad głową. Dostałem też na kolei pracę przy łączeniu wagonów i papiery, że pracuję dla Niemców, co ułatwiło mi życie i zabezpieczało przed wywózką do Niemiec na roboty. Ale teraz zaczęło się nowe ludobójstwo! Nie ze strony Niemców, Ukraińcy dostali od nich przyzwolenie na mordowanie Polaków i Rosjan. Żydzi byli bezwzględni i stosowali okrutne metody zabijania, ale Ukraińcy pokazali, że też potrafią bestialsko mordować. Całe dobrze uzbrojone oddziały paliły polskie gospodarstwa i wybijały polskie rodziny. Powstała UPA i nacjonaliści ukraińscy oficjalnie urządzali rzezie na ludności polskiej, a także ruskiej, jaka znajdowała się na tych terenach (chociaż, o wiele mniej było Rosjan jak Polaków).

Po głośnej rzezi Wołyńskiej, gdzie Ukraińcy wymordowali 60 000 ludności polskiej zaczęły powstawać oddziały samoobrony przed bandami UPA. Miały one wyjątkowo ciężką sytuację, gdyż zwalczały je dobrze uzbrojone przez Niemców i działające oficjalnie oddziały ukraińskie. No i Niemcy ścigali zawzięcie - jak mówili - polskich bandytów.

W 1943 r. Stacho, z którym służyłem w kawalerii, a później byłem w oddziale, żeby bronić ludność przed żydowską milicją, odnalazł mnie teraz w Zdołbunowie i powiedział: - „Organizujemy oddziały samoobrony, bo jak nie będziemy się bronić to wybiją Polaków". Odkopaliśmy więc broń, zdobyliśmy też trochę na Ukraińcach i zaczęliśmy przeszkadzać im mordować. Powierzono mi oddział liczący czterdziestu ludzi. Byli zdeterminowani i odważni, prawie każdy z nich stracił kogoś bliskiego. Byłem najstarszy i chyba najbardziej doświadczony. Podhajce, Trembowla, Kopyczyńce, Czortków, Horodeńka i Zaleszczyki, teren, na którym zaczęliśmy działać. Często zastawaliśmy tam zgliszcza całych wiosek, gdzie wszystkich bez litości wymordowano. Ukraińcy lubili posługiwać się toporami i nimi mordować ludność. Złapaliśmy raz dwóch młodych Ukraińców, którzy brali udział w takim mordzie. Pytam się ich:

„Dlaczego mordujecie toporami?" „Bo baciuszka pop poświęcił je nam i powiedział, na chwałę Bożą zabijajcie Polaków. Tak więc nawet nie ma grzechu" - tłumaczyli obaj bandyci. „A który to pop tak mówił?" - pytam ich. „No, pop z Podhajec święcił nasze topory i błogosławił" - odpowiedzieli.

Kazałem dobrze pilnować obu zbójów, żeby nie uciekli, bo miałem pewien plan. W nocy, dzięki tym dwóm Ukraińcom, weszliśmy do domu popa. Oni prosili, by otworzył, a że ich znał to zrobił to. Nie spodziewał się, że za nimi są Polacy. Gdy się zorientował, chciał wyskoczyć oknem, ale tam czekał na niego jeden z naszych z kolbą karabinu. Cofnął się więc z powrotem do domu.

„To ten pop święcił wam topory i błogosławił?" - pytam. „Tak, panoczku, to ten" - potwierdzili obaj Ukraińcy. „Ty każesz zabijać Polaków i mówisz, że to nie grzech?" - zwracam się do popa. „Jak ktoś zabiera ci dom to należy go zabić" - powiedział pop. „A

dziesięć przykazań to ty znasz czy nie?” „Znam, ale one w tej sytuacji nie zobowiązują” - powiedział pop. „To Pan Bóg, według ciebie, tak napisał na tabliczkach, które dał Mojżeszowi?” - drążę. No, tak nie napisał, ale to się rozumie, że tak należy postąpić z wrogiem. My chcemy być samoistni i niezależni, a wy Polacy nie pozwalacie nam swoją ojczyznę wolną”. „A Niemcy wam dadzą?” - pytam. „Tak, Niemcy przyrzekli nam wolną Ukrainę” - mówi pop.

„To ten topór, który poświęciłeś im?” „Może i ten, bo było dużo i nie sposób zapamiętać czy ten”. „To tym poświęconym toporem zostanie obcięta twoja głupia głowa. Kładź ją na ławie” - rozkazuję. Ale nie chciał, więc przywiązaliśmy go do ławy i mówię do Ukraińców: „To który obetnie mu łeb? Tego, co to zrobi, puszczę wolno. Ten, który odmówi, zostanie zaraz rozstrzelany”. Obaj mówią, że to zrobią. „No, obaj to nie, ale losujcie”. Podałem dwie zapałki i mówię: „Ten, który wyciągnie z łebkiem, ścina popa. Bez łebka idzie pod ścianę”. Pop zaczął przeklinać obu Ukraińców, ale ten, któremu przypadło zabicie go, już się zamachnął i widać miał doświadczenie, bo nie poprawiał drugi raz.

„Panoczku, nie zabijaj mnie - prosił ten, co wylosował zapałkę bez łebka. - Ja tobie powiem, gdzie przebywa nasz oddział i co jeszcze mają zrobić”. Zaciekawiło mnie to, więc kazałem obu związać i pilnować. Później ich przesłuchałem, rzeczywiście dużo wiedzieli. Pomogło to zastawić pułapkę na Ukraińców w najmniej spodziewanym przez nich miejscu.

Jednego razu staliśmy w lesie pod Horodeńko, kiedy usłyszeliśmy strzelaninę w wiosce i za chwilę ujrzeliśmy jak Ukraińcy gonią na koniach uciekających po polach ludzi. Doganiali ich szybko i zabijali szablą. Tak się zacietrzewili tą gonitwą i ścinaniem ludzi, że zapędzili się pod sam las. My wtedy otoczyliśmy ośmiu konnych i zmusiliśmy do zejścia z koni, zabraliśmy im wszystką broń i powinniśmy teraz ukarać. Ci, którzy buszowali po wsi, kiedy się zorientowali, że stracili kompanów, szybko pogonili konie batem i uciekli. Okazało się, że mało kto ocalał we wsi.

Na każdym podwórku leżeli zabici całymi rodzinami. Moi ludzie naliczyli ponad pięćdziesiąt osób zabitych we wsi i dziewiętnaście na polach zadźganych szablą.

Moja dusza i serce kawalerzysty podpowiadały, że jest szansa sprawdzić, czy lewa ręka jest tak samo sprawna jak prawa. Bez palców w prawej dłoni nie mogłem bowiem przerzucać w czasie boju szabli z ręki do ręki - i zdany byłem tylko na jedną. „Chłopcy dajcie tu tych chojraków, co pozabijali ludzi szablą” - mówię. Ośmiu młodych chłopaków ubranych było pół po niemiecku i częściowo po cywilnemu. Ustawili ich pod lasem, trzymając na muszce, a ja wygłosiłem im mowę: „Daję wam szansę na życie. Będziecie po kolei walczyć ze mną konno na szable. Jeśli mnie któryś zabije, to moi puszczą was wolno. Jeśli odmówicie walki, każę was rozstrzelać”. Zauważyli moją rękę bez palców i szybko zgodzili się.

Przyniesiono ich szable i przyprowadzono konie. My, Polacy mieliśmy inne szable, ale co zrobić, wybrałem jedną i mówię, że czekam na pierwszego. Wcześniej wysłałem paru chłopaków do pobliskich krzaków, mówiąc im, że jeśli któryś z Ukraińców nie zakręci koniem do mnie i zacznie uciekać, mają do niego strzelać. Jeden, dosiadł konia i wziął szablę do ręki. „Ja będę jechał od tego lasu, a ty od tych tam krzaków” - pokazałem mu ręką. Jak już ruszył, wiedziałem, że będzie uciekał. W pełnym galopie dojechał do krzaków i chciał przez nie przeskoczyć. Kule dosięgły go, gdy koń był już w powietrzu nad krzakami.

Przyprowadzono znów konia i dosiadł go kolejny jeździec. W stronę krzaków jechał stępa. Nawrócił konia i pełnym galopem ruszył na mnie. Brałem go po swojej lewej stronie, co dla praworęcznego było utrudnione. Dojeżdżał do mnie, wymachując szablą i krzycząc. Zrobiłem szablą młynka i za chwilę jeździec leżał na ziemi. Konia dosiadł kolejny jeździec. Zakręcił przy krzakach i co koń wyskoczy jechał na mnie i krzyczał. Gdy się zrównaliśmy, wybiłem mu szablę z ręki i został bez oręża. Kazałem zabrać jego szablę i konia. Zdziwiony zaczął krzyczeć, że to nie honorowo. „A ci ludzie, coś ich pozabijał,

mieli szable i konie?" - mówię. Rozkazałem go odprowadzić w pole, rozpędziłem konia a on obiema rękami zakrył głowę. Ciąłem tak, że spadła ręka i głowa, po czym zszedłem z konia i mówię: - „To podobne do waszej mściwości, co ja robię". Oświadczam, że nie będę dalej walczył. To był czas, że wszyscy żyliśmy zemstą - mówi Henryk. Nienawiść rodzi nienawiść, jedna śmierć inną śmierć. Wtedy trudno było myśleć racjonalnie i w kategoriach na przykład religii, że to zbrodnia i grzech. Zabraliśmy z sobą sześciu Ukraińców i tych dwóch, co ścinali popa, trzymaliśmy ich na wymianę. Często wcześniej tak robiliśmy, żeby uwolnić Polaków z ich niewoli. Ale popełniliśmy błąd, wsadziliśmy całą ósemkę do jednej ziemianki na noc, nie podejrzewając, że wszyscy się znają. Rano oświadczyli nam, że ci dwaj - mowa o tych od popa - mieli chyba atak serca, bo nie żyją.

Walczyliśmy aż do przyjścia ponownie Armii Czerwonej. Rosjanie, którzy ocaleli na tych terenach, i my Polacy zwróciliśmy się do władz radzieckich, żeby pozwolili nam utworzyć oddziały w celu obrony ludzi na wsiach, gdyż Ukraińcy dalej mordowali ludzi.

Armia Czerwona parła na zachód i nie zajmowała się bandami, a Rosjanie pałali wielką nienawiścią do Ukraińców, bo część z nich zdradziła Rosję i poszła z Niemcami. Dlatego Rosjanie chętnie pozwolili na zorganizowanie legalnej formacji zbrojnej w celu obrony ludności, ale postawili jeden warunek - do formacji mogą należeć tylko młodzi do siedemnastego roku życia i starzy po sześćdziesiątce, wszystkich innych powołano do Armii Czerwonej albo do pierwszej dywizji Wojska Polskiego, jeśli to byli Polacy. Mnie - mówił Henryk - armia odrzuciła ze względu na brak tych trzech palców. Zaczęły się jednak inne nieszczęścia na naszym terenie. Teraz już nie było rabunków i gwałtów, ale były polityczne aresztowania i wywózki Polaków w głąb Rosji. Albin, nie wyobrażasz sobie, ile krwi i łez spłynęło na tę ziemię, jakimi metodami Żydzi mordowali ludność, której jedyną winą było to, że byli Polakami - mówił. - Bezpowrotnie wyginęły całe rody, bo mordowano tak niemowlęta, jak i starców.

A co pamiętają ci, którzy przeżyli? Jak Żydzi witali Armię Czerwoną w 1939 roku, jakie bramy triumfalne budowali na ich wejście, jak później witali znów hitlerowców z kwiatami i pozdrowieniami 'Heil Hitler'. I znów, gdy wracała Armia Czerwona to ci, co ocaleli i nie uciekli, wyłazili z ukrycia i zaraz wstępowali do milicji i formacji sił bezpieczeństwa. A mieli w Moskwie swoich ważnych ludzi, to Beria i Kaganowicz zalecali przyjmowanie Żydów do milicji.

Brali więc Żydzi władzę w swoje ręce, a Rosjan uważali za głupich gojów, tak jak nas Polaków. Kiedy nadarzyła się okazja, przyłączyłem się do repatriantów i przyjechałem do Polski. Odnalazłem brata, ale muszę żyć z pamięcią, kogo i jak utraciłem na Wschodzie i z pamięcią ludobójstwa i zdrady Polski przez Żydów.

Z początku myślałem, że to Związek Radziecki zgotował nam ten los. Szybko zrozumiałem, że i oni są ofiarami tych samych ludzi i tej samej polityki. Najgorsze, że prawie wszyscy podoficerowie i oficerowie różnych stopni to byli Żydzi. Często też zdarzało się, że Rosjanin ulitował się i nie bił, że puścił i kazał uciekać. Ale byli też tacy, którzy chcieli zasłużyć na awans lub medal. Ci, wykonywali polecenia przełożonych z nawiązką.

Po kilku latach kończyliśmy Starówkę. Paru kolegów z brygady otrzymało przy Brzozowej ładne nowe mieszkania, z pięknym widokiem na Wisłę i Pragę. Kierownik budowy, brat Henia, też otrzymał mieszkanie i to na pięknej Kanonii. Mam z nią związanych wiele wspomnień, ale najważniejsze dotyczy Henia.

Dzwon, który stoi na placu Kanonii, tablicę upamiętniającą bitwę pod Grunwaldem i gołębicę, która była nad chrzcielnicą wydobyliśmy z gruzów w tym miejscu. Miałem wtedy dobre stosunki z księżmi na Kanonii, którzy cały czas coś remontowali u siebie, a my dawaliśmy im po cichu cement i wapno. Kanonia to również powołanie do kapłaństwa jednego z członków brygady, który w czasie przerwy na posiłek spędzał czas w środku katedry. Starówka i Barbakan to wystawa i sprzedaż wszelkiej sztuki, w tym obrazów. W brygadzie był taki młody chłopak z gór, co godzinami mógł przyglądać się pracy malarzy. I szczęśliwy zbieg okoliczności, że profesor Rudzki, który mieszkał na Kanonii zwrócił na

chłopaka uwagę i pomógł mu dostać się do akademii sztuk pięknych. Dlaczego piszę, że to najważniejsze wspomnienie dotyczy Henia? Wszystkie te wydarzenia, opisane szczegółowo w książce „Trwałe ślady”, są ważne. Uważam, że to z Heniem ma szczególne znaczenie.

Po pierwsze, Henio stał mi się bliski nie tylko przez pracę, ale przez te wszystkie przeżycia, jakie opowiedział, i przez pomoc, jakiej mi bezinteresownie udzielił. Byłem już wtedy żonaty, a Henio - mimo że był starszy ode mnie - nawet nie chciał rozmawiać na temat dziewcząt.

Jednego dnia, w czasie gdy jedliśmy posiłek, przyszedł do pakamery ksiądz i mówi: „Panowie, tyle pomagacie nam, że wstydzę się prosić o jeszcze, ale jest taki mały problem. Ułożone rok temu płyty granitowe obluzowały się i jak się na nie wchodzi to klawiszują pod nogami. A tu jutro Boże Ciało i procesja, w której będzie brał udział ksiądz biskup i nieładnie, by szedł po ruszających się płytach. Dajcie tylko trochę cementu to my księża sami to zalejemy”. „A robił już ksiądz coś takiego?” - pytamy. „Nie robiłem, ale widziałem jak to się robi i myślę, że potrafię to zrobić”. Mówię księdzu, że zaraz po posiłku przyjdzie ktoś, obejrzy co trzeba i zrobi to jeszcze dziś.

Henio zgodził się pierwszy, więc poszedł z księdzem i gdy wrócił tłumaczył, że ksiądz ma rację. „To nie wypada, żeby pod nogami coś się ruszało. Wezmę po pracy worek cementu i zrobię to jak należy” - powiedział. Na trzeci dzień pytam się Henia, czy zrobił. „Zrobiłem i byłem wczoraj na uroczystościach i w procesji na mieście” - opowiada. Za parę dni mówi, że znów był w katedrze na mszy świętej. „A coś ty się zrobił taki religijny raptem?” - dociekam. „Przecież jestem wierzący i praktykujący, więc co cię tak dziwi?” - spytał mnie. „No, bo do tej pory tu do katedry nigdy nie przyjeżdżałeś w niedzielę” - odpowiadam. Henio nie chciał więcej mówić na ten temat. Ale od tej pory jak usłyszał śpiew dzieci to znikał. Myślę sobie, muszę zobaczyć gdzie i po co on chodzi.

W katedrze, jeśli nie palą się światła, panuje półmrok, więc gdy Henio wszedł do katedry to długo nie mogłem go znaleźć. A nie będę chodził i zaglądał po kątach, bo to nie wypada. Przy ołtarzu wysoka kobieta dyrygowała dziećmi i uczyła je śpiewać. Stała tyłem do mnie, więc nie widziałem, czy to osoba młoda czy starsza. Już miałem wyjść, w tym półmroku zauważyłem Henia jak stał za filarem i obserwował tę panią. Wyszedłem nie zauważony i nie zdradzałem się przed Heniem, że go tam widziałem. Ale to jego znikanie dalej miało miejsce, ilekroć rozlegał się śpiew dzieci w katedrze. Nawet koledzy zauważyli, że Henio chodzi do katedry i raz w czasie posiłku stary Borowski mówi:

„Coś mi się zdaje, że będziemy mieli jeszcze jednego księdza w brygadzie. Chodzi się modlić po cichu w ciągu dnia. Ale czy nie przystary do seminarium?” - zapytał się Borowski. „Co ty wiesz o powołaniu, zakrzyczeli go koledzy. Jak kogo takie powołanie złapie to jak miłość do dziewczyny”. Henio zaczerwienił się i wyszedł z pakamery.

Minęło parę tygodni, w dzień roboczy wypadało zlikwidowane święto kościelne, które Kościół dalej celebrował i święcił. Z katedry na miasto, szła procesja i duży orszak ubranych na biało dziewczynek rzucających płatki kwiatów. Dyrygowała nimi, tak mi się wydawało, ta sama wysoka jasna blondynka. Ale teraz mogłem zobaczyć ją w całej postaci, a szczególnie przyjrzeć się jej twarzy. Od razu skojarzyłem ją ze zdjęciem Krysi, jakie mi pokazywał Henio. Taka sama postać i takie same długie jasne warkocze. Czyżby Heniem targały wspomnienia? Miał tylko jedno zdjęcie swojej Krysi, które nosił przy sobie. „Chodź Albin, trochę bliżej to obejrzymy tą uroczystość” - namawiał mnie.

Ale my obaj byliśmy w roboczych drelichach i brudni. Mimo to podeszliśmy blisko i wtedy poznałem tę dziewczynę. Była to córka naszego naczelnego inżyniera, magistra Papaja. Poznałem ją rok temu, gdy jej ojciec otrzymał krzyż kawalerski i była duża uroczystość w święto budowlanych. Miała wśród kawalerów w naszym kombinacie opinię osoby nieosiągalnej i trzymającej dystans do mężczyzn.

Oboje z ojcem w ostatniej chwili uciekli z Wilna. W ostatniej, bo milicja i NKWD przyszli aresztować obu synów Papaja. Wydał ich lokator - Żyd, który wynajmował u nich

mieszkanie. Ponieważ w domu nie było ojca i córki, to z synami zabrali matkę. „Nie wracaliśmy z córką do domu, tylko tak jak staliśmy uciekliśmy. A wtedy pełniłem - mówił Papaj - funkcję dyrektora dużej budowlanej firmy i miałem służbowy samochód i kierowcę. Mogłem jeździć po całej Litwie. Przy granicy dojechaliśmy do znajomego leśnika. On nas przeprowadził w nocy przez granicę - opowiadał. - Córka chciała tu w Polsce iść do zakonu i poświęcić się Bogu. Stąd taka oziębła, jeśli idzie o mężczyzn" - tłumaczył.

Synowie i żona Papaja nigdy już nie wrócili i smutek wyraźnie malował się na twarzy tej dziewczyny. Ja już dawno wiedziałem, że jest bardzo ładna, ale jak mówili w kombinacie, to góra lodu. Teraz właśnie ona prowadziła te dziewczynki, które sypały płatki kwiatów. Przechodzili właśnie obok nas, na wyciągnięcie ręki. Spojrzała na nas i poznała mnie, pomachała ręką i głośno powiedziała „dzień dobry". Henio, który stał przede mną, ucieszony zaczął też pozdrawiać dziewczynę, nie wiedząc, że to pozdrowienie było nie do niego, a do mnie.

„Widziałeś, widziałeś? - pytał się mnie. - Pozdrowiła mnie i powiedziała dzień dobry". „Heniu, muszę cię rozczarować i powiedzieć prawdę. Ona nie ciebie pozdrawiała tylko mnie". Stał i patrzył na mnie. „Co ty mówisz, że ciebie?" „Tak, mnie, bo to córka naszego naczelnego inżyniera, i nie tak dawno miałem okazję z nią rozmawiać. Poznała mnie i pozdrowiła". Widziałem, że wyraźnie się zmartwił. Ja zaś zaczynałem składać teraz wszystkie fakty i zrozumiałem, że Henio jest pod jej urokiem.

Pracowałem przecież z młodymi ludźmi, którzy przeżywali różne przygody, zakochiwali się i widziałem jak to ich zmienia. Mogłem nawet na podstawie tego co opowiadali powiedzieć, dlaczego właśnie tą, a nie inną dziewczynę pokochali. Henio swoją Krysię musiał bardzo kochać, tyle lat minęło, a on nosi jej zdjęcie i żadna go nie pociąga. Teraz można powiedzieć - spotkał kopię swojej Krysi - pomyślałem. I mówię mu: „ale ty się nie martw. Ona wie, że ja żonaty i nie dlatego mnie pozdrowiła, że jej się podobam, a dlatego, że z jej ojcem mam wiele wspólnych spraw i znamy się. Powinieneś się cieszyć, że sama mnie pozdrowiła. Jak będzie okazja to cię zapoznam z nią, a teraz głowa do góry" – powiedziałem do Henia.

Okazja nadarzyła się niebawem, bo kombinat robił wycieczkę autokarową i magister Papaj zapisał się z córką, więc i ja Henia też zapisałem. Przed tym jednak odbyłem rozmowę z jej ojcem i powiedziałem kim jest Henio i prosiłem magistra, żeby zapoznał się z nim i porozmawiał. Jak się później okazało, obaj panowie od pierwszej chwili przypadli sobie do serca.

Henio zaś trzy dni nie spuszczał oka z dziewczyny, a ta, towarzysząc ojcu, siłą rzeczy była w jego towarzystwie. Henio wrócił odmieniony i rozpromieniony, mówi, że ojciec zaprosił go na obiad w niedzielę. A za jakiś czas, że pan Papaj załatwia mu wieczorówkę dla techników budowlanych. Rzeczywiście, zaczął się pilnie uczyć i już mało czasu miał po pracy, żeby ze mną się spotkać i pogadać. Tak upłynęło ponad pół roku, gdy Henio mi oświadczył:

„Wiesz, odbyłem z jej ojcem szczerą rozmowę. On od początku zauważył, że córka mi się podoba. Więc uprzedził mnie i powiedział: «Ania to wrażliwa dziewczyna i - jak widzisz - unika mężczyzn. Ja bym bardzo chciał, żeby wyszła za mąż. Ale ona ciągle mówi o czym innym, niż o założeniu rodziny. Musisz bardzo cierpliwie i delikatnie z nią postępować, żeby jej nie zrazić do siebie. Wiem, bo mi to mówi, że interesuje się tobą. Ale to za mało. Musisz zdobyć jej serce, a o to będzie trudno». Dobrze, że mam jej ojca po swojej stronie" - mówił Henio.

Jak cierpliwie i jak delikatnie to Henio robił nie powiedział, ale nastąpił taki dzień, kiedy oświadczył się i został przyjęty. Poprosił mnie, żebym poszedł z nim do księdza na Kanonii, bo chce tu właśnie wziąć ślub. „Może się zgodzi ze względu na znajomość, jaką od paru lat z nim utrzymujemy, zwracamy tyle znalezionych rzeczy" - mówił Henio. Ksiądz oczywiście się zgodził, podkreślił, że ślubu z wielką satysfakcją udzieli, widząc, że

młody jest tak głęboko wierzący w Boga, że nawet w powszednie dni przychodził do katedry i modlił się. Nie chciałem wyprowadzać księdza z błędu. On przecież dla Ani tu przychodził.

Rozdział VIII

JAK DŁUGO SIĘ LECI DO ZIEMI

Pracowałem tego lata, wraz z brygadą, w kwadracie ulic Świętokrzyska, Warecka, Plac Powstańców do Kubusia Puchatka. Budowaliśmy tam duży kompleks bankowy z potężnym skarbcem w podziemiach, którego ściany odlewano z mielonego bazaltu, a używany cement „pięćsetka" jeszcze w ogóle nie był używany w Polsce. Sam skarbiec, wielkości dużej sali kinowej, wygląda jakby ktoś jedno pudło postawił dnem do góry i nakrył je jeszcze większym, także odwróconym, zaś między ścianami tych pudeł i na górze była pusta przestrzeń. Jego ściany są tak mocne, że prędzej byłoby można zrobić dziurę w żelazie niż w tym bazalcie. Do skarbca prowadziło tylko jedno wejście – tunel od strony ulicy Kubusia Puchatka.

Oczywiście budowaliśmy nie tylko skarbiec, ale i cały wieloskrzydłowy bank, co trwało kilka dobrych lat. Czas naszej budowy zbiegł się z budową Pałacu Kultury i Nauki. Tyle, że Rosjanie budowali wysoko, a my do dziesięciu kondygnacji na ziemi i trzy kondygnacje pod ziemią. W1953 roku przy budowie Pałacu Kultury zaczęto korzystać z polskich budowlańców, a ponieważ moja budowa była blisko, więc mogliśmy u siebie, na Świętokrzyskiej, przebierać się i chodzić do pracy do pałacu. Dla dyrekcji było to wygodnie, bo nie musiała budować przy pałacu zaplecza socjalnego, zresztą nie dałoby się tam wcisnąć żadnego baraku. Otrzymaliśmy umowę, w której płaca została ustalona jako średnia z naszych akordowych zarobków. Zaczęliśmy od robot porządkowych, to znaczy usuwania gruzu, następnie pomagaliśmy Rosjanom w zbrojeniu konstrukcji żelbetowych, wykonywaliśmy prace betoniarskie i murarskie.

My, Polacy, byliśmy ciekawi jak oni pracują, jak żyją i o czym rozmawiają, oni zaś bardzo chcieli poznać nasze życie, jego poziom i nasze spojrzenie na świat, a szczególnie interesowały ich nasze poglądy polityczne. Co istotne, to my mogliśmy rozmawiać, jak kto chciał i z kim chciał, im zaś zakazano zawierać z nami przyjaźnie i z nami dyskutować. Jakby tego było mało, mieli tak zwanych kadrowców, których zadaniem było czuwanie, żeby ludzie nie tylko nie rozmawiali, ale jeszcze więcej, żeby nie spotykali się po pracy i nie zawierali mocniejszych przyjaźni. Młodzi ludzie lubią z reguły pogadać i zaprzyjaźniać się, stąd, gdy usiedliśmy razem zjeść posiłek, to obie strony miały wiele pytań i tematów do rozmowy. Ale wtedy często, jak spod ziemi, wyrastał kadrowiec. Mimo, że przed chwilą było gwarno, to raptem robiła się cisza. Milkli oczywiście Rosjanie, a my, Polacy, robiliśmy wszystko, żeby takiego kadrowca spławić jak najszybciej.

Z tego powodu dochodziło do nieprzyjemnych zgrzytów, bo jak tylko dowiedzieliśmy się, jak nazywa się ten kadrowiec, to zwracaliśmy się do niego w stylu: „Ty, Mojżesz Ajzejm, idź zobacz, czy ciebie nie ma piętro niżej", albo „Mojżesz, daj mu zjeść, jak jesteś tu to śmierdzi cebulą w powietrzu".

Niektórzy pozwalali sobie na bardzo ostre dowcipy i mieliśmy z tego powodu liczne uwagi ze strony sekretarza partii w naszym przedsiębiorstwie, ale puszczaliśmy to mimo uszu. Z czasem nawiązaliśmy ściślejsze przyjaźnie, zaczęliśmy się umawiać po pracy do kina lub do parku.

Miałem wtedy dwadzieścia jeden lat, moi koledzy, Polacy, też byli w tym wieku. Nasi koledzy Rosjanie to byli Polacy z Omska, synowie polskich zesłańców,

których car rosyjski za bunty w Polsce porozsyłał po Dalekim Wschodzie. Czwórka młodych ludzi, na których trafiliśmy, miała rodziców Polaków i sami też czuli się Polakami, byli ciekawi swojej ojczyzny i historii naszych przodków. Rodzice za-dbali o to, by nauczyć ich mówić po polsku, co im i nam się teraz przydało.

Tak jak wszyscy Rosjanie mieszkali oni na specjalnym osiedlu domków jednorodzinnych na Jelonkach. Przy zakwaterowywaniu nasi znajomi dobrali się pod względem języka i pochodzenia i mimo prób kadrowego ich rozdzielenia trzymali się razem. Zamieszkali we czterech w jednym pokoju. Zaprosili nas, Polaków, do siebie na niedzielę. Pojechaliśmy w pięciu, wszyscy tak samo młodzi jak oni, wzięliśmy parę butelek wina i zaczęliśmy ucztować. Zachowywaliśmy się chyba zbyt głośno, bo przyszedł ich naczelnik i zażądał od nas opuszczenie ich domku. Od tej pory umawialiśmy się z nimi na mieście albo zapraszaliśmy ich do siebie. Choć właściwie to były lata, że nie każdy miał mieszkanie i warunki żeby zapraszać gości. Jedynie mój przyjaciel Tadzio Przybysz, który mieszkał w Ząbkach, i którego rodzice mieli domek i ogródek, mógł nas zapraszać do siebie.

Przyjechaliśmy więc kiedyś do Tadzia my, Polacy i czterej Rosjanie. Okazało się, że Tadzio ma ładną siostrę, pannę jeszcze, a ta ma koleżanki. Wybraliśmy się więc razem do straży na tańce. Pochodzący z Omska Adam Ślazki, który był spawaczem, i Michał Korc, operator dźwigu, byli wyraźnie pod urokiem panien i nie przepuszczali ani jednego tańca. Wtedy nikt z nas nie przypuszczał, jakie konsekwencje będzie miała ta znajomość. Oni byli młodzi, my też, a młodość ma przecież swoje prawa. I Adam i Michał od tego dnia zaczęli się spotykać z Tadzia siostrą i jej koleżanką.

Ja przyjaźniłem się z Olgierdem Kubackim, który był zbrojarzem i montażystą konstrukcji, i jego współlokatorem Kazimierzem Jagodą. Ze względu na kadrowca unikaliśmy rozmów w pracy. Mojżesz Ajzejm okazał się pamiętliwy i pisał raporty, nie na nas Polaków, bo nie mógł, ale na tych z Omska. Kilkakrotnie wzywano ich na rozmowy i ostrzegano, że będą odesłani do Związku Radzieckiego, jeśli nadal będą się z nami spotykać i dyskutować. Staraliśmy się więc nie dawać Mojżeszowi powodów do pisania tych raportów. Tymczasem Tadzio Przybysz kilkakrotnie już zadawał mi pytanie, jak by to było, gdyby jego siostra chciała wyjść za mąż za tego Adama z Omska. Mówię mu, że nie wiem, ale za to wiem, kogo się o to spytać i za kilka dni dam mu odpowiedź.

Nadchodziło święto 22 lipca. Dwa dni wolne od pracy, więc zaprosiłem Olgierda Kubackiego i Kazimierza Jagodę na wycieczkę. Nasze przedsiębiorstwo przygotowało dla pracowników darmową wycieczkę i wyraziło zgodę, żebym ich obu zaprosił. Byli bardzo ucieszeni tą propozycją, nawet zrobili zakupy z tej okazji i wieczorem 21 lipca pojechaliśmy do ośrodka wczasowego na Mazury. W autokarze panowała radosna atmosfera, wszyscy śpiewali, moi koledzy też. Po krótkiej nocy wybraliśmy się we trzech łódką po jeziorze. Zauważyłem, że Olgierd był cały czas smutny i zapytałem, co mu jest, ale nie chciał powiedzieć. Dopiero Kazimierz wyjaśnił mi, że Olgierd może zjechać z tej roboty, bo opieprzył Mojżesza i ten na pewno napisze, żeby go odesłano do domu.

- Słuchaj, my w Rosji mamy taki nowotwór, gorszy od raka. I ten nowotwór stale jeździ za nami. Czy ty wiesz, Albin, że za cara to nam Polakom, w Omsku żyło się dobrze. Polacy byli szanowani za swoją wiedzę, kierowali fabrykami, uczyli na uczelniach, leczyli ludzi i byli znani z tego, że solidnie wszystko robią.

Zarabiali dobrze i budowali sobie domy. Mimo że tęskniliśmy za ojczyzną nie wracaliśmy, bo byliśmy tam czymś ważnym i potrzebnym. Nasi ojcowie rządzili miastem i zakładami. Nie czuliśmy się jak niewolnicy, car rosyjski dał dobre warunki naszym ojcom. Ale jak przyszła rewolucja, to prawie wszystkich Polaków wymordowali. Każdej nocy zabierali ich z domów i wywozili bezpowrotnie. Zniszczyli fabryki i zakłady, bo oni nie mieli swoich wykształconych ludzi, znających się na tym, jak kierować fabrykami. Tylko dlatego, że nasi rodzice zostali zaliczeni do inteligencji, zostali wymordowani. Myśmy ocaleli, bo byliśmy dziećmi. Za to, gdy dorastaliśmy, to wszyscy poszliśmy do pracy fizycznej, do zawodu. Ty sobie nie wyobrażasz ilu ONI Polaków, ale i Rosjan zamordowali. Jakby tego było mało, to taka nędza żydowska jak nasz Mojżesz musi czuwać nad nami i nie da nawet z wami Polakami porozmawiać. To, co on napisze do sekretarza jest świętą prawdą, nie do podważenia, choćby on nie miał racji – usłyszałem.

Przez dwa dni obaj mi opowiadali o ofiarach, jakie ponieśli Polacy w Omsku.

- Wy tu w Polsce jesteście dla nas jak Amerykanie. Tu każdy może wsiąść do pociągu i jechać, dokąd chce. U nas trzeba najpierw napisać podanie i jeśli dostaniesz zgodę, to dopiero wtedy kasa ci sprzeda bilet na kolej. A później jeszcze cię dobrze sprawdzą w pociągu. A tu w was Ameryka. I kupić jest co w sklepach, nie tak jak u nas.

- Przyjechali do nas, do domu, z bezpieki w nocy – mówił Olgierd – Po twarzach już widać było, że to nie Rosjanie, a Żydzi. Zabrali oboje rodziców, a nas dzieci odwieźli do domu dziecka. To, co umiem po polsku, to matka mnie nauczyła i zapamiętałem – kiedy to mówił, łzy płynęły mu po policzkach.

- A Kazimierz jeszcze gorsze miał przeżycia. Zabrali go razem z rodzicami, bo miał więcej lat niż ja. Jego siostrę dali do tego samego domu dziecka, w którym ja byłem – mówił dalej Olgierd – a samego oddali do fabryki, do pracy i umieścili w domu młodzieżowym, gdzie wychowywano ich w duchu Komsomołu. Ocalały wyłącznie dzieci do piętnastego roku życia. Starsze, bez względu na płeć, zostały wywiezione i nigdy o nich nic nie usłyszeliśmy. Czy wiesz, co się czuje, gdy ci wszystkich najbliższych i kochanych zabierają? - pytał z pewnym wyrzutem Olgierd.

Myśmy też w Polsce przeżywali coś podobnego. Niemcy w czasie wojny też zabierali z domu, czy z ulicy, i wywozili. Pół biedy, jeśli wywieźli do przymusowej pracy do Niemiec, ale wywozili też do obozów, skąd już rzadko ktoś po wojnie wrócił. Obaj, i Kazimierz i Olgierd, byli starsi ode mnie o cztery lata. Ale taka różnica wieku nie ma znaczenia, gdy wszyscy jesteśmy młodzi. Żal mi było ich obu, przecież już od wielu lat nie mają rodziców, podobnie jak Adam i Michał. Wychowano ich w domach dziecka lub domach młodzieżowych, gdzie nie znali ciepła rodzinnego domu.

- Jakim cudem udało się wam z Omska dostać do pracy w Warszawie? – pytam.

- Żaden cud - mówi Olgierd – myśmy po zawodówce zgłosili się do pracy w budownictwie moskiewskim, a tam robiono nabór do pracy przy pałacu u was. Zgłosiliśmy się całą czwórką i zostaliśmy przyjęci. Do takiego budownictwa jak Pałac Kultury trzeba było mieć specjalną kategorię zdrowia, bo to duża wysokość, a my się nadaliśmy i wyrażono zgodę na nasz wyjazd – wyjaśnił.

Mimo zabaw i muzyki w ośrodku, Olgierd całe dwa dni był przygnębiony i mało

co mówił. On jeden, gdy wracaliśmy, myślał i nie włączał się do śpiewów w autokarze.

W pracy Tadzio, brat tej dziewczyny, do której chodził Adam Ślazki, przypomniał mi, że miałem dowiedzieć się, czy jego siostra będzie mogła wyjść za mąż za Adama. Sprawa jest istotna, bo i koleżanka siostry ma ten sam problem, to znaczy, że Michał Korc też się poważnie zaangażował. Zadzwoniłem do znajomego, który pracował w konsulacie polskim w Moskwie i akurat był na urlopie w Warszawie.

Usłyszałem jednak: „Oni wpierw się zestarzeją, nim dostaną pozwolenie na ślub. Nasze władze nie robią przeszkód, trudności są wyłącznie po stronie radzieckiej. Oni dadzą wprawdzie zezwolenie, ale wymaga to dłuższego załatwiania, na dodatek wiele razy odmówią, nim je wydadzą".

Taką wiadomość przekazałem Tadziowi, a on siostrze i jej koleżance. Że odpowiedz doszła miałem dowód na budowie pałacu, bo zarówno Adam, jak i Michał, podeszli do mnie mimo zakazu rozmowy i chcieli dowiedzieć się więcej. Usiedliśmy, by zjeść śniadanie i zaczęliśmy rozmawiać po polsku. Obaj byli bardzo przygnębieni i powtarzali: „Co za świat. Co za ludzie. Żeby nie można ożenić się z dziewczyną, którą się kocha". „W takim świecie żyjemy, że stworzyliśmy sobie przepisy i zakazy. Ale na świecie, w innych krajach takich głupich przepisów nie ma - mówił Michał – to w naszej kochanej ojczyźnie, kraju rządzonym podobno przez ludzi pracy są takie nieludzkie przepisy".

W chwili, gdy Michał to mówił, wszedł Mojżesz Ajzejm. Po rosyjsku powiedział ostro do Michała: „Możesz już swoje rzeczy pakować. Za taką krytykę poniesiesz odpowiedzialność". Michał zbladł jak ściana i odpowiedział Mojżeszowi po polsku: „Nigdzie stąd nie wyjadę. **Przeklinam ciebie i cały ten ustrój, jaki wy, Żydzi, stworzyliście w Rosji i próbujecie stworzyć na świecie!**". Ta rozmowa miała miejsca na 32 piętrze, frontowa ściana była otwarta, bo dopiero co zaczęliśmy ją zamurowywać.

- Powiedźcie Ani, że nie umiałem żyć bez niej, że ją tak bardzo kocham - krzyknął Michał. Przeżegnał się i skoczył w dół.

Wszystko stało się tak nagle i tak niespodziewanie. Jedynie Adam, który był najbliżej Michała, bo siedział i nie jadł z nami śniadania, próbował złapać go jedną rękę za ubranie, ale został mu tylko kawałek drelichu od kieszeni. Ilu nas było, Polaków i Rosjan, wszyscy wychyliliśmy się za Adamem, patrząc jak w dół leciał jego przyjaciel Michał.

- Jezu – krzyczał Adam – jak długo się leci do ziemi.

Trzymaliśmy w kilku Adama, bo baliśmy się, że i on może skoczyć. Mojżesz uciekł słusznie obawiając się, że ktoś w rozpaczy wypchnie go i zrzuci. Opowiadał mi Tadzio Przybysz, że dwaj Polacy istotnie chcieli Mojżesza złapać. Gonili go po schodach, ale skakał po trzy metry w dół.

Rosjanie nie pozwolili pochować tego, co zebrano z Michała na dole. Żegnaliśmy go na Jelonkach, gdy był już w trumnie. Ania, dziewczyna, z którą Michał chciał się żenić, i siostra Tadzia, do której chodził Adam, obie płakały tak bardzo, że trudno je było uspokoić. Samochód z trumną odjechał już na lotnisko, a Adam wciąż trzymał się za głowę i powtarzał: „Jak długo się leci do ziemi".

Przez parę dni wzywano nas do prokuratora, który zadawał wiele pytań, między innymi o to, co samobójca krzyczał przed skokiem w dół. Powiedzieliśmy, że

przeklął Mojżesza i ustrój, jaki Żydzi stworzyli i narzucili Rosjanom oraz, że nigdzie stąd nie wyjedzie.

Wszyscy podawaliśmy tę samą wersję, ale na protokóle i tak było całkiem inaczej. Prokurator napisał, że Michał Korc zakochał się w dziewczynie, która go odrzuciła i popełnił samobójstwo, bo nie umiał znieść porażki. Ani słowa o tym, co Michał powiedział tuż przed śmiercią.

Z tego powodu zrobiła się duża afera, bo my, wszyscy świadkowie tego zdarzenia, stanowczo odmówiliśmy podpisania takiej wersji zeznań. Następstwem tego zdjęto nas z pracy na Pałacu Kultury i wróciliśmy na swoją budowę zespołu banków przy Świętokrzyskiej. Na dodatek zaczęto nas wzywać do dyrekcji i sekretarz partii zaczął nas prosić, żebyśmy te protokoły podpisali, ale prosił na próżno. Było w nas tyle złości i żalu, że sekretarz chyba zrozumiał nasz ból, bo powiedział: „Ja musiałem z wami odbyć tę rozmowę, a wy róbcie, co chcecie".

Kiedy byłem raz w domu Tadzia Przybysza, spotkałem tam Adama Ślazkiego. Traktowano go jak członka rodziny, miał tu nawet swoją bieliznę. Adam powiedział mi wtedy, że napisał do władz w Moskwie prośbę o zgodę na zawarcie związku małżeńskiego i czeka na odpowiedź.

- Jeśli myślisz, że Michał był pierwszym, który wybrał śmierć, to się mylisz - mówił Adam – z różnych powodów, ale przeważnie dlatego, że muszą wrócić do Związku Radzieckiego, samobójstwo już popełniło sporo ludzi. Według nas, to od początku budowy Pałacu jest to więcej niż dziesięć osób. A ilu jeszcze zdecyduje się na taki krok?" - zastanawiał się Adam.

- Powiedz mi Albin, czy u was, w Polsce, można się gdzieś dobrze ukryć głęboko na wsi? - pytał Adam.

- Myślę, że na jakiś czas można. Ale tak na zawsze, to nie – odpowiadam – Milicjanci znają swoje służbowe rewiry i wiedzą, kto i dlaczego tu mieszka. Przecież wielu faszystowskich morderców po wojnie ukrywało się i to przez parę lat. To się nie opłaci, Adamie. Zdecydowanie musicie zrobić wszystko, żeby otrzymać pozwolenie legalnie i wziąć ślub zgodnie z prawem - przekonuję go.

Przysłuchujący się rozmowie ojciec dziewczyny nie wytrzymał i krzyczy:

- To za Arabów mogą wyjść za mąż, za każdego murzyna mogą, ale za swojego Polaka już nie. Co za kurewskie prawa stworzyli Rosjanie.

- Nie Rosjanie panie Przybysz - mówi Adam – Rosjanie nie tworzyli żadnego prawa, ani złego, ani dobrego. To Żydzi, którzy zrobili rewolucję, stworzyli dla siebie wszystkie prawa, które obowiązują u nas, żeby łatwiej im było rządzić całym narodem rosyjskim. Tego, co tu mówię, nikt w Związku Radzieckim głośno nie powie, bo to grozi wywózką do gułagu, ale tu mogę mówić, bo wiem, że nikt z was nie pójdzie i nie doniesie do naszych władz.

Parę dni po tej rozmowie Tadzio powiedział nam w czasie pracy, że Adama w trybie nagłym wezwano do Związku Radzieckiego.

- Co my teraz mamy w domu – mówił Tadzio – siostra i matka płaczą, a ojciec mówi, że odszuka tego Mojżesza i zabije, bo to jego sprawka.

- Powiedz mu – mówię do Tadzia - żeby tak nie mówił, bo jak jakiś Rosjanin załatwi Mojżesza, to przypiszą to twemu ojcu.

Miałem rację, kilka dni później sztukatorzy polscy opowiedzieli mi, co się stało z Mojżeszem.

Od początku do końca budowy Pałacu Kultury pracował tam mój dobry przyjaciel Sylwester Kaczmarek. Znany to człowiek w Polsce Ludowej, który posiadał wszystkie możliwe państwowe odznaczenia i wiele razy był przewodniczącym komitetu obchodów święta 1 maja. On dobrze znał sytuację i atmosferę pracy Rosjan na Pałacu Kultury, także kłopoty moich przyjaciół z Omska. Sylwek przeklinał Mojżesza, a nawet mu ubliżał, ale był poza zasięgiem możliwości Mojżesza i mógł sobie na to pozwolić.

Jednego dnia patrzę, a Sylwek, w czasie godzin pracy, idzie do nas na budowę.

- Jakiś ucieszony, jakby wygrał w totolotka – mówią koledzy

Sylwek przywitał się z nami i mówi:

- No, to sami Rosjanie załatwili tę żydowska kurwę.

I opowiada, co się stało. Po tym, jak wyskoczył Michał, wielu Rosjan odgrażało się Mojżeszowi. Kiedy pojawiał się na piętrach, a szczególnie na najwyższych kondygnacjach i węszył, to z pięter jeszcze wyższych leciały na niego różne narzędzia i materiały. Mimo to Mojżesz chodził i nasłuchiwał, bo to była jego praca. Koledzy Michała spawali wysoko konstrukcje, a Mojżesz przez otwór windowy podglądał i podsłuchiwał tych, co pracowali piętro niżej. Żeby dobrze słyszeć wsadził nawet głowę w ten szyb. W tym czasie, w górze nad nim, dwaj spawacze mocowali dalszą część szybu windowego. Albo puścili, albo wypadł im ciężki młot, który lecąc pionowo w dół, trafił w głowę Mojżesza.

- Teraz jest przerwa w pracy – oznajmił Sylwek – bo zabrali tych spawaczy z góry na przesłuchanie.

Rzeczywiście nie było rozbłysków, widocznych zawsze, gdy spawa elektroda. Z naszej budowy dobrze widać było ludzi na konstrukcjach i wytwarzany łuk spawu, na który patrzy się przez specjalną maskę. To nieprawdopodobne, by na Pałacu przerwano budowę. Przecież przez noc i dzień, na trzy zmiany, bez względu na pogodę, szły roboty.

Pójdę po lornetkę do biura, bo nie mogę uwierzyć, że nikt nic nie robi – myślę. Ale i przez lornetkę nie zauważyliśmy nikogo na konstrukcji. Dopiero na drugi dzień ruszyły roboty. Spawaczy, kolegów Michała, jednak nie było. Jak powiedział nam później Sylwek Kaczmarek, odesłali do domu wszystkich spawaczy z tej grupy, w której pracował Michał.

- Na razie zmiany zrobili po dwanaście godzin i mówią, że czekają na spawaczy z Moskwy, bo długo tak pracować nie można. Ale zastępca Mojżesza już jest – mówił Kaczmarek – widać jednak, że boi się chodzić po stanowiskach pracy, bo nawiązuje rozmowę tylko w pakamerze, gdzie się przebierają i myją. Ale na próżno, bo odwracają się od niego i wychodzą.

Upłynęło parę tygodnie od tego wydarzenia i Tadzio Przybysz mówi, że jego siostra jest w ciąży, a rodzice nie robią jej awantury gdyż widzą, jak rozpacza za Adamem. Na ogół w takich sytuacjach dziewczyna, zgodnie z tradycją, była upokarzana za swój stan. Religia i tak zwana przyzwoitość nakazywały dziewczynie nie dopuścić do tego, żeby przynieść rodzinie wstyd. Ileż nasłuchałem się od kolegów jak to ojcowie wyganiali córkę z domu, gdy zaszła w ciążę, a ile dziewczyn było pobitych, bo przynosiły rodzinie wstyd.

Dziś młodzi ludzie ze zdziwieniem mogą czytać, że tak było w wielu polskich domach. Tadzio mówił, że nie spodziewał się po ojcu, człowieku z zasadami i religijnemu, że przytuli zapłakaną córkę i pocieszy. A on właśnie tuląc ją,

powiedział: „Trzeba wierzyć, że los będzie ci życzliwy i sprawy ułożą się dobrze”.

Tylko, że sprawy nie układały się pomyślnie.

Odpowiedzi z Moskwy były niedobre. Odpisywano, że zezwolenia na ślub nie mogą dać, bo zaraz zgłosi się dużo więcej chętnych do zawarcia związku małżeńskiego. Czas nie stał na miejscu. Jesienią 1953 roku siostra Tadzia urodziła chłopca. Pojechaliśmy do nich w pięciu z Kaczmarkiem, który cały czas pracował na pałacu. On był wielkim fachowcem i miał cały zespół ludzi i kierował pracami kamieniarskimi. Do dziś są w pałacu jego podłogi i schody w marmurze. Sylwek wykończył ze swoimi ludźmi wiele sal. Znał też na pałacu każdego, a jego znali Rosjanie, więc jednego razu zaproponował siostrze Tadzia:

- Napisz list i daj swoje zdjęcie z dzieckiem. Na nowy rok paru Rosjan jedzie do Moskwy. Może odnajdą Adama i przekażą twój list.

Sylwek wziął kopertę z listem, ale nie mówił, komu dał. Grunt, że przyszedł na budowę pod koniec stycznia i oznajmił:

- Należy mi się pół litra. Mam list Adama do twojej siostry.

Tadzio złapał ten list i poleciał do pakamery. Patrzę, a on się przebiera i biegiem do tramwaju. Na drugi dzień opowiadał ile radości przyniósł ten list i ile łez rozpaczy. Adam pisze, że chodzi, gdzie tylko może i prosi o zgodę na ślub z Polką, zapewnia, że będzie robił wszystko, żeby ją otrzymać. Podał też adres kolegi, na który można wysyłać pocztą listy.

Minął rok 1954, a Adam zgody nie otrzymał. W 1955 roku zakończono budowę pałacu i szykowało się uroczyste otwarcie, na które przyjadą ważni ludzie z Moskwy, będą też najwyższe władze ze strony polskiej. Sylwek, z racji wielu funkcji, które sprawował w partii oraz w związkach oraz dlatego, że wykonał w pałacu wielką pracę od samego początku aż do końca, był honorowym gościem i miał przemawiać. Rosjanie mają dla niego jakiś medal, który otrzyma na tej uroczystości. Tylko, że Sylwek był na bakier z mówieniem, o czym doskonale wiedział i dlatego nie pchał się do głosu, unikał mówienia na zebraniach, chociaż często musiał. Przyszedł więc do mnie i mówi:

- Napisz mi dobrą mowę, ale taką, jak ty mówisz, a nie jak profesor czy dyrektor.

No, zacząłem tę mowę pisać, ale co napiszę, to nie podoba mi się. A Sylwek naciska i prosi. Wreszcie udało mi się połączyć wątki współpracy i przyjaźni i wyglądało to nieźle.

Pytam Sylwka, czy powie to, co ja napiszę o prawdziwej przyjaźni.

- No, o to właśnie chodzi - mówi Sylwek.

Ale ja mówię mu:

- Jaka to przyjaźń, skoro zakochanym młodym ludziom, na dodatek mającym dowód tej miłości i przyjaźni międzynarodowej, czyli syna, władze w Moskwie nie dają formalnej zgody na ślub. To nie jest przyjaźń, tylko ludzka tragedia. Ktoś w Moskwie nie rozumie, że chcemy żyć nie tylko w pokoju, ale umacniać tę przyjaźń związkami małżeńskimi. To najpiękniejsza i najmocniejsza więź między narodami”.

Sylwek zapalił się do tej mowy i mówi:

- Napisz dokładnie tak jak mówiłeś przed chwilą. Nic nie zmień, ani słowa. Rozumiesz? - spytał.

Potwierdziłem, że napiszę dokładnie tak, jak mówiłem, ale zaznaczam:

- Żebyś czasami ty nie nawalił i nie pomylił się, albo nie wycofał się z tego, co ci napiszę.

Ale Sylwek przysięgał, że nie uroni ani słowa.

Nadszedł ten uroczysty dzień. Zaproszeni otrzymali specjalne przepustki i miejsca w Sali Kongresowej, a na scenie całe polskie Biuro Polityczne, na czele z pierwszym sekretarzem, ambasada radziecka i ambasady krajów socjalistycznych oraz delegacja z Moskwy na czele z Chruszczowem. Zaczęły się przemówienia z okazji oddania do użytku Pałacu Kultury. Żeby podkreślić rolę ludzi pracy, wyznaczono Sylwka jako czwartego mówcę. Miało to oznaczać, ze władza szanuje ludzi pracy i docenia choćby przez to, że tu za najwyższymi występuje człowiek, który budował ten pałac. Sylwek został wywołany na mównicę. Godzinę wcześniej był dekorowany radzieckim odznaczeniem i teraz złoto odbijało światło od jego piersi, a on powoli rozkładał moje pismo i zakładał okulary.

- Szanowni towarzysze – zaczął Sylwek – tu, na tej budowie, powstały i umacniały się przyjaźnie polsko-radzieckie. W trudzie pracy rodziły się przyjaźnie człowieka z człowiekiem, brygady z brygadą, narodu z narodem. Ta budowla na zawsze będzie świadczyć o naszej polsko-radzieckiej przyjaźni. Ale oprócz tego, że razem spawaliśmy stal, wspólnie układaliśmy beton i cegłę, powstały piękne i mocne przyjaźnie między ludźmi. Rodziła się miłość młodych ludzi, bo przecież Polki to piękne dziewczyny. Obserwowałem tę piękną więź między ludźmi, jaką jest miłość do siebie nawzajem. Ubolewam nad tym, ze tam w Moskwie, jakiś durny urzędnik nie rozumie, co to przyjaźń, braterstwo i miłość. Nie wierzę, żeby to władza radziecka nie chciała takiej najmocniejszej z przyjaźni. A taki tu mieliśmy przypadek. Przecież wszyscy znają filmy o miłości w czasie wojny. Z tego okresu mamy w Polsce wiele małżeństw, choćby historia „Czterech pancernych i psa". To więcej niż przyjaźń. Ale wtedy ktoś mądry akceptował te związki. Dziś z wielkim zdziwieniem i niedowierzaniem widzimy tu, na tej budowie, że ktoś nie chce dać tym zakochanym papieru na ślub. Myślę, że to jakieś nieporozumienie, które władze szybko usuną ku umacnianiu przyjaźni polsko-radzieckiej – zakończył.

Sylwek otrzymał długą burzę oklasków, gdyż siedzącym na sali znane były te przypadki, większość widowni stanowili bowiem ludzie, którzy zrobili coś dla Pałacu Kultury. Zaraz też ambasador radziecki zaprosił Sylwka na rozmowę. Musiał szczegółowo powiedzieć, o co chodzi i o kogo, dał też ambasadorowi, który o to prosił, adres Adama w Moskwie.

Za dwa tygodnie Adam zjawił się w Ząbkach u swojej dziewczyny z papierami w ręku, które pozwalały na ślub. Kończy się to jak piękna bajka, bo i na weselu byłem. Trzeba jednak pamiętać, ile przed tym przypadkiem było ofiar, ile ludzi musiało się na zawsze rozstać i zrezygnować być może z najpiękniejszej miłości swego życia. To bardzo rzadki przypadek, że taką uroczystość udało się wykorzystać do załatwienia ludzkiej tragedii. Stało się tak, bo znalazł się człowiek z taką pozycją społeczną i partyjną – myślę tu o Sylwku – który miał odwagę tak mówić. W tej sytuacji władzom radzieckim nie wypadało odmówić, ale nasi sekretarze mieli później pretensję do Sylwka, że na tak ważnej uroczystości i przy takich gościach, wplótł ten temat.

Sylwek jednak odpowiadał:

- Socjalizm jest po to, żeby ludziom pomagać, a nie utrudniać. A przyjaźń

między narodami zaczyna się od paru osób i rośnie, jeśli ma ku temu warunki.

Adam Ślazki do dziś żyje ze swoją żoną w Ząbkach, mają kilkoro wnuków i są ze sobą szczęśliwi. Warto było zaryzykować i powiedzieć, że źle się dzieje, jeśli broni się młodym ludziom kochać się i być szczęśliwymi. Czasami, gdy Adam opowiada mi o Omsku i o rodzicach, to pyta mnie:

- Czemu Bóg dopuszcza, że jedni drugich mordują i to bez powodu?

- Adamie – mówię mu – Powód to mieli. Właśnie bali się inteligencji jako ludzi wykształconych. Wiedzieli, że z ludźmi prostymi sobie poradzą, a wykształceni nie uwierzą w ich hasła i ustrój. A poza tym jest jeszcze dużo powodów, których nie znasz i dlatego się pytasz. Kiedyś prawda ujrzy światło dzienne i ludzie na świecie zrozumieją, dla kogo Bóg jest pieniądzem, a dla kogo władzą. Ale żeby to zrozumieć, potrzeba czasu i nowych bolesnych doświadczeń. Tak kiedyś, jak i dziś, drogi Adamie, najskuteczniejszą bronią w walce z ludźmi, którzy stworzyli rewolucję, napisali prawa i nadal trzymają władzę w swych rękach, jest ujawnienie całej prawdy o nich. Tej prawdy znanej nie od wczoraj, a od setek lat do dziś i planów, jakie wcielają w nasze życie i w nasze prawa. Żebyś znał liczne zjazdy międzynarodowe, kongresy Żydów na świecie, wypowiedzi tych, którzy wcześniej przygotowywali rewolucję, jak mówili, jaką zrobią carskiej Rosji krwawą łaźnię, jakie ustanowili na początku rewolucji, czy później, władze. I wiele, wiele faktów historycznych, bez których człowiek wie, że jest źle, ale nie zna przyczyny i ludzi oraz ich motywacji.

Rozdział VIII

POD BALIGRODEM

Mamy i my, Polacy, niejedną historię, niejeden fakt historyczny tak zapętlony, że prawdopodobnie nikt się nie pokusi dojść do sedna sprawy. Tym bardziej, że i nasze polskie przypadki mają ten sam rodowód, co kiedyś radzieckie, a teraz rosyjskie.

Choćby więc rządy i formacje polityczne przy władzy zmieniały się dwa razy do roku, to wszyscy będą przestrzegać głównej zasady, którą jest służebność wszystkich formacji i bojaźliwa choroba prawdy.

My, Polacy pozwalamy na to, by brać się za łby i kopać poniżej pasa, tylko nie wolno tknąć Polaka żydowskiego pochodzenia, bo w jego obronie staną nie tylko pobratymcy, ale na łasce tych ludzi będą też usłużni Polacy. Kiedy trzeba, to naginamy historię do problemu i, żeby to było wiarygodne, tworzą je Polacy, polscy historycy.

Ileż się naczytałem o generale Karolu Świerczewskim, chciałem nawet być taki jak on. Taka odwaga, która kulom się nie kłania, imponowała mi jako chłopcu, który też miał swoje marzenia. Co mogą zrobić z młodym człowiekiem lektura czy film, pokazujące fakty jednostronnie i w określonym celu. Żeby tylko wspomnieć nieżyciowe, nierealistyczne filmy o Rambo. Jeden człowiek niszczy czołgi, odbija swoich z dobrze strzeżonych więzień i przy okazji niszczy pół armii.

Dopiero na prawdziwej wojnie w Wietnamie amerykańscy chłopcy jako żołnierze przekonują się, że wróg nie strzela kartoflami, ale kulami, od których się ginie, że to, co widzieli w filmach, nijak się ma do prawdziwej i krwawej wojny, a wróg to wcale nie tępy Azjata, ale chytry i wyszkolony żołnierz, który nie ustępuje w walce z osławionymi marines.

W trakcie imienin u moich znajomych rodzice, chcąc zająć czymś dzieci, żeby im nie przeszkadzały, puścili film wideo w innym pokoju. Trzech chłopców, w tym ośmioletni syn znajomych, i dwie dziewczynki oglądali film o walecznych kowbojach, którzy strzelają, biją w zęby i wyrzucają oknem przeciwnika, a potem sami rzucają się w szybę i lecą za przeciwnikiem.

Chłopcom się to podobało, wybrali jednego na tego złego, który będzie uciekać oknem, a dwóch odważnych skoczy za owym tchórzem, żeby go załatwić. Pomyśleli, ze skoro bohaterowie filmu tak robią, to oni też mogą. Mieszkanie było na drugim piętrze, okna z prawdziwego szkła, nie trudno więc wyobrazić sobie efekt – troje martwych dzieci na chodniku! To makabryczny wpływ filmów i lektury.

Przyznaję, że historia Świerczewskiego mi imponowała. Ale dorosłem, poznałem wiele ciekawych osób, w tym i generałów. Z niektórymi z nich połączyła mnie prawdziwa, męska przyjaźń, obdarzaliśmy się zaufaniem. Takim wzorem uczciwości i prawdziwej odwagi był i nadal jest dla mnie między innymi generał Wacław Czyżewski. Wieloletnia przyjaźń i trudne problemy zbliżyły nas, umocniły wzajemnie zaufanie. Od generała Czyżewskiego nauczyłem się wiele, on z kolei mówił, że uczył się ode mnie, ale myślę, że najważniejsze jest to, że wierzyliśmy sobie. To człowiek, do którego zaufanie miał też Gomułka.

Kiedy Żydzi spreparowali Gomułce oskarżenie odchylenia prawicowego i uwięzili go, to pozamykali też i przyjaciół Gomułki, w tym i generała.

Osławiony oficer informacji robi fałszywe protokoły. Przesłuchuje polskiego generała, nie daje spać i pić, każe robić przysiady i żabki. „Tylko podpisz – mówi do generała – że Gomułka to zdrajca, a wyjdziesz na wolność i zachowasz stopień generała". Ale Czyżewski nie chce podpisać, więc oskarża się go o zdradę stanu i sąd wymierza mu karę śmierci.

Ratuje go śmierć Stalina i przyznanie przez Chruszczowa, że dopuszczano się aktów zbrodni. Wychodzi na wolność i powraca do wojska. Teraz osławiony oficer informacji – Kohan i jego pobratymcy są sądzeni i otrzymują wyroki wieloletniego więzienia.

Ktoś w tym miejscu zapyta może, jak to możliwe, że te służby miały większą władzę niż pierwszy sekretarz rządzącej partii. Ale tak właśnie było. W 2003 roku pułkownik Tadeusz Szadkowski wydał książkę, która daje pełną odpowiedź na te wątpliwości. Są to wspomnienia oficera polskiego wywiadu pod tytułem „Kim pan jest, panie pułkowniku". Pisze tam:

„W polskim wywiadzie i kontrwywiadzie wszystkich stanowisk naczelników wydziałów, dyrektorów było 70". I stawia pułkownik pytanie czytelnikowi: „Ile w tej grupie wysokich stanowisk było Polaków?". Żeby nie było pomyłki piszę słownie „tylko trzy funkcje pełnili Polacy, reszta to Żydzi" (strona 114). A więc wtedy wszystko było możliwe. Na pewno wielu Polaków pamięta z filmu lub lektury, jak zginął generał Karol Świerczewski. W dużym skrócie historia tej śmierci opisana jest tak: pod Baligrodem, w Jabłonkach, gdy gazik z generałem przejeżdżał przez mały mostek, z ukrycia na wzgórzu padły strzały i kule dosięgły generała. Jadący za gazikiem pluton ochrony wyskoczył z ciężarówki i zaczął ostrzeliwać wzgórze. Żołnierze ułożyli generała na płaszczu i przenieśli do samochodu, ale z okrzyków polskich żołnierzy bandyci zorientowali się, czego zresztą byli niemal pewni, że ci niosą zabitego generała. Część plutonu odjechała, eskortując ciało generała, a część podjęła pościg za bandytami.

Generała miał konwojować jeszcze drugi pluton, ale popsuł się sztudebaker, czyli wóz ciężarowy, i ten pluton został w koszarach. Po naprawie wozu ruszył, ale gry dojechał do Jabłonek było po wszystkim. Trzeba tu wspomnieć bardzo ważny szczegół, mianowicie, że radiostacja była na tym drugim wozie. A więc drugi pluton ruszył w pościg z bandą, informując przez radio, gdzie się dokładnie znajduje.

W tym czasie generał Czyżewski stacjonował z połową dywizji w Przemyślu, druga część dywizji była w Krośnie. Gdy dostał sygnał, że Polacy ścigają bandę i zorientował się, w jakim kierunku ta zmierza, rozkazał swoim żołnierzom nie przyłączać się do pościgu, ale zastawić pułapkę przy granicy ze Związkiem Radzieckim.

Przypominam tu czytelnikom, że tym czasie nie było jeszcze podpisane porozumienie między ZSRR, Czechosłowacją i Polską o wspólnym ściganiu band, więc bandyci mogli przekraczać granice, co często robili. Natomiast wojsko polskie nie miało prawa przekraczać granic. I tu była przewaga bandytów nad regularną polską armią, jak i wojskiem sąsiednich krajów. Polacy zastawiający pułapkę przy granicy dobrze wiedzieli, jak posuwa się banda, gdyż szedł za nią ten opóźniony pluton z radiostacją.

Gdy bandyci zostali otoczeni, posłusznie złożyli broń na ziemi, wyjęli też granaty i wszystko, co mogło stanowić zagrożenie, po czym podnieśli ręce do góry. Było ich dziewiętnastu, nie wiadomo było jednak, kto dowodzi grupą. Wszyscy

zostali przewiezieni do Przemyśla i zamknięci w piwnicy, a ponieważ nie znano dystynkcji, to wzmocniono ochronę.

Po godzinie wszedł do generała Czyżewskiego oficer dyżurny i zameldował: „Ujawnił się dowódca tej bandy i chce pilnie z wami, towarzyszu generale, rozmawiać. Powiada, że sprawa jest wyjątkowo ważna". Przyprowadzono więc mężczyznę, mającego około 30 lat, który powiedział: „Jestem majorem Armii Czerwonej. Grupa, którą zatrzymaliście, to jednostka do specjalnych zadań. O szczegółach mogę rozmawiać tylko sam na sam z wami, generale". I na tym zakończył.

Żołnierze najpierw rozebrali go do naga i sprawdzili ubranie, obejrzeli buty i czapkę, ale nic nie znaleźli. Ponownie ubranego wprowadzono go na rozmowę, a przypomniał, że poprosi o rozmowę w cztery oczy. Było to co prawda wbrew przepisom, ale wyjątkowo generał mógł to zmienić.

„Ustalono, że ten major stanie przy przeciwległej ścianie w odległości prawie pięciu metrów ode mnie – opowiadał generał Czyżewski – załadowałem swój rewolwer i odbezpieczyłem trzymając gotowy do strzału".

Major mówi, że ma dowód na to, że mówi prawdę – ukrytą legitymację i specjalne pismo na wypadek, gdyby został z pozostałymi członkami grupy złapany i rozbrojony.

„Zdenerwowałem się – mówi generał Czyżewski – bo przecież przed chwilą go rozebrali i dokonali przeglądu odzieży". Ale major wyjawia, ze ma dokumenty w bucie. „Proszę wezwać żołnierza, żeby rozpruł but – mówi – żeby je wyjąć trzeba oderwać zelówkę". Rzeczywiście z buta wyjęto zabezpieczoną legitymację, z której wynikało, że jest to major jednostki specjalnej, i dodatkowo kawałek papieru. Na pisemku zawarta była prośba do tych, którzy ewentualnie mogą rozbroić ten oddział, o powiadomienie w ambasadzie radzieckiej tam pracującego człowieka – podane było jego nazwisko i funkcja.

„Majora wyprowadzono do piwnicy, a ja – mówi generał Czyżewski – zamiast do ambasady radzieckiej, zadzwoniłem do swojego przełożonego, którym był marszałek Rola-Żymierski. „Dobrze zrobiłeś – powiada marszałek – że zadzwoniłeś do mnie. Teraz czekaj na mój telefon". Całą noc cisza. Dopiero nad ranem zadzwonił marszałek i mówi tak: „Wsadź ich do samochodu, oddaj broń, dowieź do granicy i wypuść". Ale ja mimo, że w czasie okupacji hitlerowskiej sypiałem w jednej ziemiance wtedy jeszcze z generałem, a nie marszałkiem, i te same wszy nas gryzły, bo pod jednym kocem spaliśmy – mówię, że tego bez rozkazu na piśmie nie zrobię. Najpierw usłyszałem, co on myśli o mnie, ale po chwili przystał na moją prośbę. „Przyleci kukuruźnik i zrzuci puszkę z rozkazem, który później mi oddasz. Tylko dajcie znać rakietnicą, gdzie ma pilot zrzucić tę puszkę". Dwupłatowiec nadleciał i oficer dyżurny przyniósł tę puszkę do mnie. Wtedy nie było ksero, a ja chciałem powielić ten rozkaz oraz legitymację majora i te prośbę do polskich władz. Na szczęście mieliśmy aparat fotograficzny i dla pewności zrobiliśmy parę razy zdjęcia tych dokumentów" – mówił generał.

Zdziwieni żołnierze ładowali zatrzymanych na samochód i oddawali im broń, dowieźli do granicy, odkąd poszli już sami i zginęli w zaroślach.

Od tego wypadku minęło wiele lat, nim dalszy ciąg sprawy się wyjaśnił. Gdy byłem członkiem Biura i przewodniczącym komisji skarg i interwencji, miałem okazję często rozmawiać z generałem Jaruzelskim, gdyż załatwiane w mojej komisji sprawy często dotyczyły wysokich rangą oficerów. W czasie jednej z

konsultacji generał Jaruzelski poprosił mnie o załatwienie pewnej sprawy. „Mógłbym zlecić prokuratorowi generalnemu lub MSW, by zbadało tę sprawę, ale chce uniknąć rozgłosu, bo sprawa dotyczy członka KC, członka Rady Państwa, wcześniej ministra" - mówi. Za chwilę wyjaśnił, że dotyczy to Stanisława Wrońskiego.

„U nas nie ma dokumentu poświadczającego, że był majorem w partyzantce. Radzieckie archiwa mają tylko, że był u nich starszyną, czyli sierżantem po polsku. Skąd wziął się major nie wiemy, a jest w moim ręku – mówił generał Jaruzelski – ogromna ilość skarg i anonimów tego człowieka. Można by obdzielić sporą ilość ludzi tymi zarzutami. Ja wiem, że wy, towarzyszu Albinie, macie dobry układ z marszałkiem Kulikowem. Wiem, że przyjaźnicie się z Karolem Hofmanem, członkiem Biura Politycznego Czechosłowacji, a Hofman był w partyzantce, gdzie jego przyjaciel Raszla był odpowiedzialny w czasie okupacji za wywiad. Jestem pewien, że wy prędzej wyjaśnicie tę sprawę niż urzędowe pismo". „Ale dokumenty – podkreślił generał Jaruzelski – sporządzicie tylko w jednym egzemplarzu".

Nie będę rozpisywał się szeroko o tej sprawie. W dużym skrócie wygląda to tak: Wroński w czasie okupacji był kierownikiem robót dla Niemców (w skrócie T.O.D.). Partyzanci wysadzali na południu Polski mosty i torowiska, a on je odbudowywał.

Wroński dostał parę ostrzeżeń, ale nie posłuchał, więc otrzymał wyrok śmierci. Wtedy uciekł do Związku Radzieckiego, a za rok został zrzucony z grupą radziecką na tereny Czechosłowacji. Była to grupa Aleksandra Newskiego, Wroński został jego zastępcą. Ich zadaniem była likwidacja tych osób, które mogły przeszkadzać przyszłemu rządowi czeskiemu, a nie partyzantka do walki z Niemcami.

Sam Wroński zastrzelił Czecha i chodził w jego skromnym płaszczu. Jeszcze za czasów Związku Radzieckiego sprawa była ujawniona i generał Pawłow dostał za to dziesięć lat katorgi, z czego połowę odrobił, zanim puszczono go na wolność. Pawłow napisał książkę, w której szczegółowo opisał rolę tego oddziału i ludzi, w tym o Wrońskim, że był starszyną, a drugi Polak, a nazwisku Halik, wykonywał wyroki śmierci.

Czeski generał Raszla, gdy wręczał mi dokumenty o działalności Wrońskiego, nie mógł wyjść z podziwu, że taki człowiek jest u nas członkiem KC, członkiem rady Państwa i ministrem. Niestety tak było.

Jak czytelnicy zapewne zauważyli między zabiciem generała Świerczewskiego a badaniem sprawy Wrońskiego i otrzymaniem w tej sprawie dokumentów upłynęło niecałe czterdzieści lat. W czasie, gdy prowadziłem to śledztwo Wroński kandydował na szefa ZBoWiD-u, czyli bardzo ważną funkcję u weteranów wojny i żołnierzy. W czasie tych wyborów generał Czyżewski zabrał głos i powiedział, że Wroński ma bardzo złą przeszłość, że są ludzie, którzy bardzo dobrze wiedzą, co robił w czasie wojny. No i kandydatura nie przeszła. Wroński miał jednak takich samych jak on kolegów i wspólnie podjęli wojnę z generałem, podając go do sądu o zniesławienie.

Wtedy ja, znając z opowiadania generała Czyżewskiego sprawę śmierci Świerczewskiego, zaproponowałem: „Pan mi da skserować te dokumenty majora radzieckiego, a ja pójdę na świadka ze swoimi papierami". I tak się stało. Przed rozprawą sądową usiadłem na ławce w sądowym korytarzu razem z generałem Czyżewskim. Na drugiej usiedli Wroński i jego adwokat. I Wroński i Czyżewski źle słyszeli, ale nie nosili aparatów, które pomogłyby im słyszeć, więc nasza rozmowa

była za głośna, ale ich również.

Słyszę jak adwokat pyta Wrońskiego: „A ten Siwak, to kto taki?". Wroński głośno odpowiada, niemal krzyczy, że to ten z KC, a później z Biura. „A co on może wnieść do sprawy?" - pyta adwokat. „Nie wiem – odpowiada Wroński. „To ja pójdę i zapytam go" – mówi adwokat i podchodzi do nas.

„Panie, co pan wie w sprawie, która się toczy" - pyta mnie adwokat. Spokojnie otwieram teczkę i pokazuję pierwszy arkusz oskarżenia, a na nim pieczątki nie byle jakie, bo Komitetu Centralnego Czechosłowacji." Jeśli odczytam to, co robił pana klient w czasie wojny, to sąd przekaże dalej sprawę za morderstwa ludności czeskiej. Tu są dokumenty czeskiego kontrwywiadu i podpis generał Raszli".

Adwokat popatrzył na te papiery i szybko wszedł na salę sądową. Za parę minut wyszła sekretarka i zdjęła z drzwi ogłoszenie o naszej sprawie, a adwokat machał rękami i odganiał się od Wrońskiego, który nie mógł zrozumieć, dlaczego jego sprawę zdjęto z wokandy.

Gdy asystowałem marszałkowi Kulikowowi przy składaniu kwiatów na cmentarzu żołnierzy radzieckich i nocowałem z nim w Gdańsku w ich domu marynarki wojennej, to przy kolacji spytałem, czy czasami nie wie, dlaczego Stalin kazał zlikwidować Świerczewskiego. Celowo pytanie zadałem w taki sposób, aby zrozumiał, że wiem na ten temat dużo. I nie pomyliłem się. Kulikow mówił:

„Przecież to proste. Świerczewski był członkiem Związku Patriotów Polskich. Założyła go Wanda Wasilewska. Na trzydzieści trzy osoby w ścisłym kierownictwie tego związku było tylko trzech Polaków. Wasi Żydzi, którzy uciekli przed Hitlerem z Polski do nas, utworzyli już w czasie wojny rząd polski w Moskwie. Swojego człowieka, czyli Świerczewskiego, zrobili ministrem obrony. A Stalin miał inne plany, chciał mieć u was swojego człowieka na tej funkcji. To prawda, że Gomułka mu je pomieszał, bo postawił Stalina przed faktami dokonanymi – na wyzwolonych terenach Polski już powołał rząd lubelski i swój Komitet Centralny".

A więc Gomułka utworzył rząd w Polsce, chociaż w Moskwie był też rząd polski. Niemniej, formując swój rząd Gomułka, składając wizytę na Kremlu, przyrzekł Stalinowi, że powoła do niego częściowo ludzi ze składu rządu, jaki utworzył Związek Patriotów Polskich w Moskwie. Ta decyzja była niejako wymuszona przez Wandę Wasilewską, która u Stalina miała duże wpływy.

W tym miejscu trzeba zaznaczyć, że murowanym kandydatem na pierwszą osobę w Polsce po śmierci Nowotki nie był ani Gomułka, ani Bierut. Moskwa szkoliła wówczas bardzo inteligentnego i mądrego człowieka, który w czasie okupacji hitlerowskiej nie tylko walczył z Niemcami, ale naprawdę dowodził. Znała go ludność na południu Polski i mówiła o nim bardzo dobrze. Był czas, że znano go bardziej niż Moczara, Czyżewskiego czy Wyderkowskiego.

Mowa o polskim Żydzie Robercie Satanowskim, który w PRL-u był dyrektorem Teatru Wielkiego i Opery. Gomułka miał za żonę córkę rabina z Tarnowa i przez nią dobrze znał Satanowskiego. Był on bardzo zdolny i zasłużony na świecie, stąd Gomułka zgadzał się, żeby wrócił do Polski i objął jedną z najwyższych funkcji.

Wciskano mu jednak ludzi ze Związku Patriotów Polskich. I tu Gomułka, nijak nie mogąc pozbyć się tych z Moskwy, zastosował fortel. Owszem, wyraził zgodę, żeby przylecieli do Polski, ale w trosce o ich bezpieczeństwo, polecił im skierować się nie do Lublina czy Warszawy, a do Białegostoku. Tam oczekiwał na ich generał Korczyński, który bawił ich i zajmował się nimi przez dwa tygodnie. W tym czasie założył Gomułka swój rząd w Lublinie, a gdy ogłoszono jego skład,

wówczas Grzegorz Korczyński przywiózł ich do Warszawy.

Dla wielu z nich było już za późno, choć co prawda później powciągali się nawzajem do kierownictwa partii i na stanowiska rządowe. Natomiast kandydat Moskwy, którego akceptował Gomułka, musiał zrezygnować, gdyż wywiad niemiecki za wcześnie opublikował o nim, w jakim celu był szkolony i przez kogo. Polska miała jednak człowieka, który rozsławił po świecie muzykę – o Robercie Satanowskim naprawdę było głośno, mówiło się o nim pozytywnie.

Gomułka zaufał też Żymierskiemu, którego uczynił ministrem obrony w Polsce. „Stalin czekał tylko na okazję, żeby Żymierskiego zdjąć z tej funkcji, ale jak zapewniał - pokojowo i z szacunkiem, za ludowo-chłopską partyzantkę, a tu mu Żydzi wsadzają kij w szprychy swoim pijakiem, Świerczewskim - mówi Kulikow - on się nie kłaniał kulom, bo nie zdawał sobie sprawy z tego, co robi, w ogóle nie trzeźwiał. A co do Rokossowskiego, do którego Stalin miał zaufanie, to taki człowiek był mu niezbędny."

„Wiesz, co ci powiem – zauważył Kulikow – ten Rokossowski to dopiero nieszczęśliwy człowiek. Bo wy, Polacy, święcie wierzyliście, że on jest Rosjaninem. U nas mówili, że on Polak i też miał z tym kłopoty. A tak naprawdę jego rodzice i dziadowie byli Polakami, kiedyś skazani przez cara na wygnanie z Polski, ale takich pradziadów jest dużo więcej" – zakończył ten temat Kulikow.

Warto choćby zauważyć fakt, że Stalin po rozmowie z Gomułką doszedł do decyzji, z którą nosił się od dawna, mianowicie, że wyśle Związek Patriotów Polskich na Wyspy Sołowieckie, żeby raz na zawsze mieć z nimi spokój.

Ale to Berling pierwszy, a później Gomułka, wyperswadowali Stalinowi taką decyzję, a parę lat później okazało się, że przywieźli żmiję na swojej piersi – jak napisał Gomułka w swoich pamiętnikach, dodając, że ta żmija pokąsała go boleśnie.

Stalin był podejrzliwy, wszędzie widział przeciwników, którzy chcą go pozbawić najwyższej funkcji w partii i w państwie, a na dodatek był bardzo chytrym Gruzinem. Nic też dziwnego, że NKWD i KGB wykorzystywało tę cechę charakteru generalissimusa i sekretarza. Preparowano fałszywe protokóły i co dnia tysiącami posyłano do gułagów ludzi niewygodnych i zagrażających Żydom.

Stalin czuł instynktownie, że jak tylko przestanie spełniać ich wolę, sam może paść ich ofiarą. I nie mylił się. Wśród różnych wersji śmierci Stalina najbardziej wiarygodna przecież jest ta, że Żydzi, widząc zachodzące zmiany Stalina w stosunku do nich, to znaczy wolne, ale systematyczne ograniczanie ich władzy, podjęli decyzję inteligentnego, jak się o tym mówiło, wykończenia go.

Minęło wiele lat po śmierci Stalina, za czasów Gorbaczowa można było śmielej już rozmawiać na te tematy, ludzie już nie uciekali na dźwięk rozmowy o Żydach, ale złorzeczyli i klęli. Bo tak jak u nas w Polsce prawie każda rodzina straciła bliską osobę w czasie okupacji hitlerowskiej, tak i u nich większość rodzin już po wojnie opłakiwała kogoś bliskiego, który naraził się NKWD lub KGB. Dziś wiele osób nie uwierzy może, za co można było zginąć bez wieści lub otrzymać zsyłkę do ciężkich robót na Syberii lub kopalni, bo nie zawsze były to poważne tematy.

W czasie władzy radzieckiej jeździłem do nich kilka razy pociągiem przyjaźni. Poproszono nas, Polaków, żebyśmy wieczorem wystąpili przed publicznością. Opisałem to w „Trwałych śladach", dlatego tu tylko przypomnę. Nie byliśmy artystami, nawet nawzajem nie znaliśmy się, bo byli to ludzie z różnych zakładów pracy z całej Polski. Ale nie mieliśmy wyboru, należało dać ten koncert, bo i oni

dla nas też wystąpili.

Co może jednak zaśpiewać męska zbieranina? Oczywiście przedwojenne piosenki, przeważnie wojskowe, bo te umieliśmy w większości. Zauważyłem, że na widowni niektórzy płaczą. Po występie ludzie podchodzili do nas ze łzami w oczach i mówili: „Ja to też śpiewałem. Ale żyłem na terenach, które Związek Radziecki zajął, wcielili mnie do wojska o zgodę nie pytając. Do Armii Czerwonej, a przed wojną odbyłem służbę w Wojsku Polskim". Błagali, żeby iść z nimi do ich domów, w końcu wielu z nas dało się zaprosić.

Będąc u takiej zrusyfikowanej rodziny, usłyszałem taką historię:

„Jestem kierowcą i jeżdżę wywrotką na budowie. ZIS, to gruchot i ciągle się psuł. Raz popsuł mi się na drodze, więc próbuję go naprawić. Zatrzymał się samochód osobowy i człowiek, cywil, pyta, co się stało. Mówię, że cholerny gruchot się popsuł. I zażartowałem sobie mówiąc, że ten radziecki ZIS-piać, to z góry jechać, pod górę pchać. Na drodze mnie, przy tym ZIS-ie, aresztowali i za krytykę radzieckiej technologii dostałem trzy lata robót na torowiskach kolejowych – usłyszałem – ale jeszcze gorzej podpadł mój sąsiad. Jego dzieci dostały pieska, jamnika, od przyjaciół. Szczeniak dorósł i zrobił się bardzo ostrym psem, nie tylko szczekał, ale znienacka podbiegał do człowieka i gryzł. Sąsiedzi, ze względu na to gryzienie, nazywali go Beria.

Starsi oczywiście unikali wołania tak na psa, ale dzieci nie. Kiedyś przyjechali od prawdziwego Berii w jakiejś sprawie do sąsiadów. A nasz Beria cichcem podleciał i ugryzł funkcjonariusza za nogę. Wszystko byłoby dobrze, bo funkcjonariusz nogę sobie opatrzył i machnął ręką na to zdarzenie, ale na nieszczęście z domu wybiegła mała dziewczynka i zaczęła przywoływać psa imieniem Beria. Funkcjonariusz zapytał małą, kto tak nazwał psa. Mała z dumą odpowiedziała, że tata. No i tata w kajdankach pojechał z nimi i pięć lat za karę pracował w kopalni".

Takich przypadków znam dużo więcej. Szczególnie enkawudziści żydowskiego pochodzenia byli uwrażliwieni na tego typu aluzje. Rosjanin opowiedział mi, jak jego brat zażartował sobie z Żyda i co z tego wynikło. „Pojechaliśmy z kołchozu paroma traktorami do miasteczka na przegląd techniczny tych ciągników. Trzeba było czekać na swoją kolejkę, więc tu i ówdzie powyciągano bimber i grupa około trzydziestu traktorzystów wypiła sobie trochę. U nas to normalne z tym piciem. Nikt nie obawiał się konsekwencji tego, że będzie wracał wstawiony. No i jak to chłopi zaczęli o babach i seksie. Kawały i humor przyciągnęły słuchaczy. Do naszej grupy doszło paru mężczyzn i też śmiali się z dowcipów i pieprznych kawałów.

Jeden z opowiadających te kawały mówi: „Mrozy u nas jak wiecie, tęgie w zimie, a jedna Żydówka poszła zrobić siusiu za chałupę. Ukucnęła i sika. Gdy chciała wstać, to nie mogła, bo jej zarost przymarzł zmoczony do ziemi. No i woła męża, żeby jej pomógł. Ten położył się na ziemi i mocno chucha na te włosy, co przymarzły jego żonie. Ale gdy chciał wstać, to też nie mógł, bo jego broda tez przymarzła, więc krzyczy Żyd najgłośniej jak tylko może – Dobrzy ludzie chodźcie z gorącą wodą, bo przymarzła piczka z brodą! Wszyscy, jak stali, gruchnęli salwą miechu, ale jeden nie. „Obrażasz mniejszość narodową!" - krzyczał i poleciał do telefonu. Za parę minut nadjechał gazik i funkcjonariusze zabrali mówiącego dowcip. Nawet interwencja przewodniczącego kołchozu, że to niezbędny mechanik, nic nie pomogła. Obraza honoru Żyda była ważniejsza. Kary w zawieszeni u nas się nie stosuje – mówił mi Rosjanin – więc żartowniś dostał trzy

lata pracy w lesie".

Kiedy już za czasów Gorbaczowa rozmawiałem z wieloma politykami, to oni twierdzili, że owszem, nie wolno było piórkiem urazić Żyda i za to karano, ale tym ludziom wyszła naprzeciw ich własna koncepcja, przekształcona w prawo karne. Bo to oni podsunęli Stalinowi pomysł, jak wykonać wszystkie wielkie budowle zapór, kolei i kamieniołomów, by nie płacić ludziom za pracę. Skazywanie za byle co napędzało dziesiątki tysięcy darmowych robotników, dodajmy też, pozbawionych wszelkich praw i godności ludzkiej.

Sam słyszałem w czasach Gorbaczowa, jak rosyjscy oficerowie żartowali, że Beria chodził każdego ranka do Stalina i składał mu raport. Z tych codziennych raportów wynikało, że: „Na obszarze Związku Radzieckiego aresztowano poprzedniego dnia pięć tysięcy wrogów ustroju radzieckiego". Jeśli Beria dostawał raporty z całego obszaru i wynikało, że wczoraj zamknięto, na przykład, trzy tysiące wrogów, to krzyczał na podwładnych, że źle pracują. Przekonywał, że przecież średnia dobowa wynosi pięć tysięcy, więc towarzysz Stalin pomyśli, że tego dnia, gdy zamknięto o dwa tysiące mniej, ich resort po prostu nie pracował.

Gdy radzieccy oficerowie kończyli tę opowieść, to stwierdzali: „Funkcjonariusze naszej bezpieki szukali takich, którzy by im dali motyw aresztowania. Każdy powód był dobry. Od liczby tych zamkniętych zależały awanse i przywileje. No i publiczna pochwała od Stalina, że mamy dobrze pracujące służby, wierne partii i ojczyźnie".

Oczywiście dziś wskazywanie wyłącznie na radzieckie służby bezpieczeństwa jako narzędzie ludobójstwa byłoby nieuczciwe. Obecnie ludzie codziennie dowiadują się, jakich kłamstw, jakich mordów i aresztowań dokonują służby na całym świecie i to w krajach demokratycznych lub przynajmniej mówiących o sobie, że są demokratyczne.

Wracając jednak do wersji opisanej przez mnie śmierci generała Świerczewskiego podkreślę, że potwierdzali ją wcześniej nie tylko moi znajomi Polacy, ale i Rosjanie. Ja sam jednak wywiadom i ich wersjom nie bardzo wierzę. Do tej pory nikt, ani strona polska, ani rosyjska, oficjalnie nie wypowiedziały się w tej sprawie.

Z doświadczenia wiem, że gdy rozpowszechnia się różne wersje na ten sam temat, to próbuje się w ten sposób zataić prawdę. Myślę jednak, że przyjdzie taki czas, kiedy historycy tak rosyjscy, jak i polscy potwierdzą właśnie tę wersję, którą nakreśliłem.

Rozdział IX

MATKA

Na początku swej drogi partyjnej zastanawiałem się, dlaczego wielu moich towarzyszy partyjnych jest spolegliwych i akceptuje kandydatury ludzi, których nie zna. Ze wszystkich dostępnych dokumentów partyjnych wynikało, że każdy człowiek partii, jeśli ma wątpliwości co do kandydata, ma prawo, a wręcz obowiązek pytać się i wyjaśniać. Poczynając od komitetu dzielnicowego, poprzez komitet wojewódzki, często rozpatrywaliśmy kandydatury ludzi na różne stanowiska.

Już w ramach egzekutywy warszawskiej rozpatrywaliśmy zwłaszcza te wysokie rangą, tj. wszystkie nominacje na dyrektorów kombinatów, fabryk, zjednoczeń prezesów banków itd. Zdarzało się, i to nie raz, że w zestawieniu nazwisk na nominacje znane było wyłącznie imię i nazwisko, a dokumentów o pracy tegoż kandydata nie było, brakowało więc podstawowych informacji o tym, jaką miał przeszłość, co i gdzie robił.

Rozpatrywaniu kandydatur zawsze przewodniczył pierwszy sekretarz wojewódzki, to on wyczytywał kolejne nazwiska - i była przy każdym podejmowana decyzja.

Przeważnie kandydaci byli nam znani, bo wcześniej pracowali już na kierowniczych stanowiskach, więc akceptowaliśmy ich po kolei aż do nazwiska, przy którym kandydat nie był znany (brakowało opisu, kim on jest).

Wówczas ja pytałem się o jego personalia, kim jest, skąd pochodzi i co robił do tej pory. Otóż byłem mocno zdziwiony, kiedy okazało się, że nie powinienem pytać. W warszawskiej egzekutywie byłem pierwszym w jej historii robotnikiem, i nie wiedziałem, że nie należy się o to pytać, że to sprawa tabu. Sekretarz KW miał ciągle ze mną kłopoty z tego powodu, bo z litery prawa ja miałem rację i prawo się pytać tyle, że on biedny nie wiedział, jak z tego wybrnąć. Wzywano mnie wtedy do sekretarza, a ten mówił:

„To kandydat proponowany przez Biuro Polityczne i należy go zatwierdzić, a nie dociekać". Żaden z moich towarzyszy nie otworzył ust, żeby wyjaśnić, kto to taki, później jednak, gdy ten zaakceptowany człowiek pełnił już swą funkcję, to od robotników usłyszałem parę choler pod adresem egzekutywy, w której byłem: „Kolejnego Żyda daliście nam na dyrektora. Co wy oczu nie macie? Nie mieliście kogo wybrać z naszej fabryki, z kadry inżynierów? - zarzucali". Kiedy potem pytałem się o to kolegów z egzekutywy, to uciekali od tematu, mówiąc: „Chcesz być w egzekutywie, to nie pytaj o tych ludzi. Lepiej na tym wyjdziesz". Zastanawiałem się, dlaczego się tak boją.

Gdy byłem już członkiem Biura Politycznego, wówczas ranga kandydatów była najwyższa: każdy proponowany na ministra i wiceministra, na ambasadora i radcę ambasady, szefa Biura Handlowego przy ambasadzie, konsulowie i generalicja, czyli wszyscy ci, co tworzyli władzę i ją wykonywali. Tyle, że tu również praktyka była podobna.

Można było mieć uwagi do kandydata Polaka i nie zaakceptować go, ale jeśli nie był to Polak, nie należało mieć żadnych uwag i pytać się, kim jest i co do tej pory robił. Kiedy przy kandydaturze padały słowa: „Towarzysze, jest propozycja, żeby wyrazić zgodę na tego towarzysza i tu nazwisko" - starzy członkowie Biura

dobrze wiedzieli, o co tu chodzi.

My, czterej robotnicy, nie zawsze. Jeśli ja się pytałem, to moi trzej koledzy robotnicy też, kiedy ja nie popierałem takiego kandydata, oni z reguły też nie - no i propozycja nie przechodzi.

Generał Jaruzelski był za mądry i za inteligentny, żeby wywierać na nas nacisk. Chciał, żeby kandydaci byli akceptowani jednogłośnie. Oczywiście ci, którzy nie przeszli z tego właśnie powodu, dość szybko dowiadywali się, kto im się przysłużył. Jednoczyli swe siły, żeby zniszczyć takiego człowieka, który nie pozwolił im być na przykład ambasadorem. A mieli przecież możliwości, to nie byli jacyś robotnicy z budowy czy fabryki, ale ludzie przygotowywani do objęcia różnych wysokich stanowisk.

Jeśli więc w 2006 roku urzędniczka ministerstwa spraw zagranicznych potrafiła wyeliminować murowanego kandydata na prezydenta - mówię tu o Cimoszewiczu - bo nie wyraził zgody na wyjazd jej męża na placówkę, to proszę sobie wyobrazić, co mogą zrobić „wściekli" ludzie, jak jest ich wielu i to na różnych wysokich stanowiskach. Za każdym razem, jeśli było nowe rozpatrywanie, to znów przybywa na tym froncie ludzi, i to ludzi, którzy za wszelką cenę chcą usunąć przeszkody ze swej drogi do kariery.

Zdarzało się czasami, że proponowani na różne stanowiska Polacy się nie nadawali, ale zdecydowana większość to byli ludzie wykształceni i kompetentni. A najgorsze było przepychanie kogoś na siłę, to wzbudzało podejrzenia i niechęć do poparcia w głosowaniu. Ciągle myślałem o tym, będąc w egzekutywie warszawskiej, jaką siłę przebicia mają ci proponowani ludzie, że inni boją się powiedzieć o nich coś nietaktownego. To samo często widziałem jednak i potem w Biurze Politycznym.

Jeśli była propozycja nominacji na generała jakiegoś Polaka, to był zawarty opis jego drogi życiowej tak w wojsku, jak i na uczelni. Ale jeśli była to propozycja awansu nie Polaka, nic nie było już jasne i czytelne. Mówiło się, że należy akceptować kandydata, bo to leży w interesie partii i wojska. „A więc kto tu decyduje?" - zadawałem sobie wtedy pytanie.

Nie jestem wrogiem Żydów, mimo że na siłę dorabiają mi „brodę". Tyle, że ja złodzieja nazywam złodziejem, a o bandycie mówię, że jest bandytą.

Byłem we wsi Mikody i pokazywano mi budynki, w których polska rodzina młynarza w czasie okupacji przechowywała Żyda Hirszeka. Po wkroczeniu wojsk radzieckich tenże Żyd Hirszek przyjechał jako ubowiec i osobiście wystrzelał całą ośmioosobową rodzinę, która go karmiła i ukrywała przed Niemcami. - I tenże Hirszek po tylu latach od tej zapomnianej już zbrodni jest proponowany na dyrektora departamentu w MSW.

Nie mogłem wówczas zaprotestować, mówiąc, że jest zabójcą polskiej rodziny, bo dokumentów na to nie miałem, a i skazany za ten mord nie był. Nie było prawomocnego wyroku, pomimo że cała wioska go znała z czasu okupacji hitlerowskiej jak i zaraz po wojnie, kiedy dokonał tego mordu, ale nikt nie zebrał tych ludzi i nie przesłuchał. Nie mogłem więc podnieść tego wątku.

Trzeba wiedzieć, że w tym okresie nawet taka tropicielka antysemityzmu jak Alina Grabowska z Wolnej Europy, napisała w grudniu 1968 roku na łamach paryskiej „Kultury": „Zdecydowana większość kadry kierowniczej w UB stanowili i stanowią Żydzi". Stanisław Krajewski (Abel Keiner) na międzynarodowej konferencji w 1994 roku powiedział:

„Czuję się zawstydzony z powodu przestępstw popełnionych przez żydowskich komunistów pracujących w MBP”. Przecież i ja stykałem się, bo musiałem, z takimi działaczami w KC jak: *Jędrychowski, Jagielski, Werblan, Żółkiewski, Rybicki, Sznajder, Szyszko i Kisiel.* Wcale się nie kryli z tym, że są Żydami, w dodatku nas, legalnie wybranych, uważali za nie warte kopnięcia śmieci.

To właśnie oni awansowali, przechodzili coraz wyżej, nie podlegając tak szczegółowym ocenom jak Polacy.

Korpus Bezpieczeństwa Publicznego był całkowicie opanowany przez Żydów, ale do dziś nikt tego nie przyzna. Dowódcą był generał brygady *Konrad Świetlik,* zastępcami - *Juliusz Hibner, Wacław Komar, Zdzisław Zbirowski,* pułkownicy należący do korpusu to: *Puteczny, Koniński, Kocuber, Oskar Weiss, Niewiadomski, Leon Helfer, Dimitri Pliskin, Stanisław Konar, Karol Slaicher, Hański, Wasilkowski, Dąbrowski, Resiur.*

W Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego wszystkie stanowiska były obsadzone Żydami za czasów Jakuba Bermana, członka Biura Politycznego, który patronował okrutnym metodom śledczym. Mało kto uchodził z przesłuchań żywy. Pomagali mu (*zagadnienie zmian w obsadzie personalnej {ruchów kadrowych} ważniejszych stanowisk w MBP znajdzie czytelnik w książce oficera polskiego wywiadu, płk w stanie spoczynku Tadeusza Szadkowskiego pt. „Czas konsula” w rozdziale „Circusus vitriosus”*) generał *Romkowski (Grinspan), Alstor* i generał *Bukojemski* oraz dyrektorzy departamentów: *Różański, Czaplicki, Galczewski* i inni, a było ich około sto osób razem, wszyscy Żydzi. Jak ja się czułem, mając wiedzę, co oni zrobili Polakom i co dalej robią.

Więc nie przepuszczałem niektórych kandydatur. Moi koledzy robotnicy w Biurze mieli zaufanie do mnie, a nie do tego, kto referował kandydatury, więc głosowaliśmy podobnie. W zasadzie w ogóle nie mieli rozeznania, kto jest proponowany, podnosili rękę wtedy, gdy widzieli, że i ja podniosłem.

Wściekłość tych nieakceptowanych skupiała się jednak wyłącznie na mnie, bo mieli dowody, że jak byłem nieobecny na posiedzeniu Biura, to takie kandydatury przechodziły. I dlatego podejmowali liczne próby wyrzucenia mnie z Biura. Jednocześnie, mając wpływ na środki przekazu, urabiali opinię społeczną, próbując przekonywać o mojej głupocie, ciemnocie, kalectwie *(Bratkowski),* prostactwie i prymitywie.

Część Polaków oczywiście uwierzyła, a nawet do dziś wierzy, że byłem największym betonem i twardogłowym w partii. Polacy również w latach osiemdziesiątych śmiali się ze mnie, kiedy pisałem i mówiłem, gdy KOR zjechał do Gdańska na czele z *Michnikiem, Kuroniem, Modzelewskim, Geremkiem i Mazowieckim*, że to są ludzie, którzy na waszych plecach wejdą do władzy, zapuszczą korzenie i nie ruszycie ich od tej władzy.

Dziś pytam więc, jak was poprowadzili? A należało wybrać wtedy swoich, tych, z którymi się pracowało. W czasie drugiej wojny światowej, gdy Hitler uderzył na Związek Radziecki i zajął całą Ukrainę, to obiecywał Ukraińcom złote góry, aby tylko wstąpili do niemieckiego wojska. Znaleźli się tacy, którzy poparli Hitlera i stanęli po jego stronie, ale Ukraińcy jako kraj i naród stanęli po stronie Stalina. A trzeba dopowiedzieć, iż cała Ukraina nienawidziła Stalina, bo pamiętali, że zagłodził dziesiątki tysięcy tutejszych ludzi, odbierając im żywność. Powiedzieli jednak: „Zły to człowiek, ten Stalin, ale swój i po rusku mówi, to mniejsze zło niż Hitler”.

W gdańskiej stoczni nie wybrano swoich, ale Żydów, którzy dziś słuchać nie chcą o Solidarności i jej ludziach. Wybili się na stanowiska tak w Polsce, jak i Brukseli. Teraz próbują wbić do głów Słowianom, że wszyscy jesteśmy obywatelami, po to, żeby już nie można było mówić, kto jest jakiej narodowości. Ich tezy brzmią: „Wszyscy jesteśmy obywatelami świata. Ale tymi obywatelami rządzić będziemy my, którzy mamy w swym ręku kapitał, radio, prasę i telewizję".

Tym rodakom, którzy jeszcze nie wierzą, jaki był Komitet Samoobrony Robotników w Gdańsku, może otworzą oczy nazwiska założycieli i później kierownictwa KOR w 1978 r.: *Michnik, Kuroń, Maria Hirsowicz, Zofia i Zygmunt Hertz, Zygmunt Bauman, Aniela Steiberg, Seweryn Blumstein, Adam Bromberg, Jerzy Andrzejewski, Mikołajska.*

Pokażcie mi tu chociaż jednego Polaka! A czy w Knesecie w Izraelu lub w rządzie Izraela jest chociażby dla pozorów jeden Polak?

U nas w MBP na wysokich stanowiskach byli ludzie, którzy służyli też Niemcom i byli policjantami w gettach żydowskich. Kto i jak awansował *majora Fegmana, mjr Trichomowicza, kpt. Branda, kpt. Dąbrowskiego, kpt. Grinblatta, por. Trona, por. Madalińską?* Czyż nie przechodzili coraz wyżej, bo nie należało oglądać i oceniać ich dokumentów?

Z kolei Władysław Bartoszewski, Polak, który w organizacji Żegota ratował i pomagał Żydom, ale był też w AK i za to przetrzymywali go Żydzi siedem lat w więzieniu, po wyjściu zrozumiał, że tylko jako zwolennik Żydów może coś znaczyć. Wszystko więc co mówi o Żydach jest nacechowane życzliwością, to i zapraszają go do Izraela, mówią, to nasz przyjaciel.

Była w Warszawie tak samo znana adwokatka jak adwokat Maślanko, Żydówka, która śmiało mówiła o zbrodniach swoich rodaków. Nazywała się Aniela Steinberg. Ona opisała, jak Różański przesłuchiwał też Żyda, w dodatku rabina, który był w AK, jak przypiekał go papierosami i wymuszał zeznania. I ten przesłuchiwany przez Żyda Różańskiego Żyd powiedział tak:

„Przez takich Żydów jak ty, Polacy nas nienawidzą i będą w Polsce pogromy".

Były członek Biura Politycznego opowiadał mi, w jaki sposób dobierano i awansowano dowództwo Ochrony Pogranicza - WOP. Pierwszy sekretarz KC, otwierając posiedzenie powiedział: *„Jest towarzysze propozycja, żeby na ścisłe dowództwo awansować następujących towarzyszy".* I tu przeczytał:

Roman Grabowski, Stefan Sobczak, Adam Broda, August Bernard, Aleksander Grylak, Oberhard, Fuks, Tubak, Jakub Margules, Michał Rajewski, Marek Tempel, Tadeusz Korobkow, Stanisław Bański i Roman Wasilkowski.

Wszyscy byli Żydami, niedawno otrzymali stopnie pułkowników, a teraz część otrzymuje stopnie generałów. Czy odważył się wtedy ktoś spytać sekretarza, dlaczego oni, a nie Polacy? Nie, nie było takich, którzy by się spytali. „A ty?" - Spytałem przyjaciela. Ja też nie pytałem" - powiedział. Pomyślałem - „i dlatego nie dorobili ci opinii betonu, twardogłowego i ciemniaka."

Mamy przecież przykład obecnie z Wałęsą. Nie był jeszcze prezydentem tylko przewodniczącym Solidarności, kiedy zaprosili go Amerykanie. Jako prosty człowiek nim nauczył się, czym jest dyplomacja, popełnił wiele gaf. Ale zdarzyło się, że powiedział:

„Polska powinna być dla Polaków, mniejszości i tak mają prawa i mogą w niej żyć, ale rządzić powinni Polacy". Niedługo po tej wypowiedzi Wałęsa pojechał razem z doradcami do Ameryki. Był zaproszony do Rockefellerów i paru rodzin żydowskich, ale ci od razu odmówili przyjęcia go. Prezydent USA, jak się okazało też nie miał czasu na przyjęcie Wałęsy.

Dopiero doradcy postanowili to zmienić i przy okazji wbili mu do głowy, że bez nich nigdy nie będzie prezydentem. Natychmiast zrobili awanturę, że dziennikarze wyrwali te słowa z kontekstu - i od tej pory Wałęsa był już wszędzie przyjmowany.

Dziś także wielu Polaków w Sejmie i w rządzie inaczej myśli o Żydach a inaczej o nich mówi, bo wiedzą, że jeśli przylepi się do nich łatka antysemity, to nie mają szans na awanse czy wręcz utrzymanie przy władzy.

Za Polski Ludowej Żydzi czuli się w Polsce niezagrożeni i mocni, dlatego że było ich tak wielu i znaczna część zasiadała na stanowiskach. Ale główny powód ich siły był taki, że w wielkim Związku Radzieckim - światowym mocarstwie, z którym bardzo się liczył cały Zachód i nie drażnił Stalina, a później jego następców - właściwą władzę trzymał w ręku nie Stalin, a Beria i jego liczne, dobrze opłacane uzbrojone i wyszkolone dywizje. Nie było tam dowódcy w wojsku, przy którym nie byłoby żydowskiego komisarza czy dyrektora lub sekretarza Żyda. Nasi Żydzi mieli oparcie właśnie w nich, z tego czerpali siłę i pewność siebie.

Czy dziś się coś zmieniło? Tylko to, że czerpią swą siłę z innej części świata, ale tak jak wtedy nic bez nich nie może być stanowione. Kiedy Andrzej Lepper dostał *honoris causa*, podnieśli larum, że oni się nie zgadzają, a też i na całym świecie protestują - według nich - tak robić nie wolno. Należało wpierw spytać się ich o zgodę. Byliśmy w Polsce świadkami tego, jak w podobny sposób Żydzi brali władzę w swoje ręce tuż po wojnie. Zrobili to samo, co w czasie rewolucji październikowej w Rosji w 1917 roku.

Tak się ułożyło moje życie - czego się bynajmniej nie wstydzę - że miałem wielu przyjaciół Rosjan na bardzo wysokich stanowiskach. Mógłbym przecież nie przyznawać się do tych znajomości, ale nie widzę powodu, żeby się tego wstydzić. Byli to uczciwi i kompetentni ludzie, którzy też boleli nad faktem, że nie mogą sami sobą rządzić.

Oni też bali się o tym mówić, unikali tego tematu jak ognia. Najwięcej dowiedziałem się od Maszerowa - sekretarza Białorusi i od trzech wówczas kadencji członka Biura Politycznego w Moskwie. Wiele materiałów związanych z tym tematem miałem od niego. Ale najważniejsze, on miał przyjaciół w Moskwie, ludzi sprawujących władzę i mających wielką wiedzę, którzy - jak się okazało - też bali się mówić szczerze. Ale czas zrobił swoje. Zmieniali się przywódcy na Kremlu i zmieniał się klimat polityczny w Związku Radzieckim, pękały okowy milczenia i wzrastała odwaga dyskusji na te tematy. Czasami np. Dobrynin - największy dyplomata tamtych czasów - zdenerwowany wystąpieniem pewnego ambasadora, który nagadał politycznych głupstw za granicą, mówił podenerwowany: „Po jaką cholerę oni są ambasadorami. Załatwiają swoje interesy, a nie kraju. Kto to wymyślił, by Żydzi reprezentowali nasz kraj".

Był on przeciwny nominacjom Żydów na służbę w dyplomacji. Podobnie marszałek Kulików. Jeśli dotarło do niego, że któryś dowódca lub komisarz zrobił jakieś głupstwo, a był tego świadkiem, to nie zwracał uwagi, że jestem obok, ale krzyczał:

„Z Żyda dowódca to jak z koziej dupy trąba. Oni mają talent do handlu, a nie

do wojska". Wielu polityków i dyplomatów bardzo źle oceniało pracę tych ludzi i robili wszystko, by wyeliminować ich ze swojego otoczenia.

Kiedy przebywałem w Libii, przyjaźniłem się z tamtejszym ambasadorem Związku Radzieckiego, z pochodzenia Gruzinem, co zawsze podkreślał. Gdy mu przysłali radcę Żyda, narobił takiego szumu, że o mało i jego nie odwołali z Trypolisu. „To durnie - mówił o tych w Moskwie. - Wiedzą, że Arabowie żywią wprost zoologiczną nienawiść do Żydów a przysyłają mi tu Żyda. Po to chyba, żeby go szybko zabili, a ja żebym miał kłopoty". W końcu dopiął swego i zabrali tego Żyda do Moskwy. Dopóki tam byłem, zawsze wyrażał się bardzo źle o Żydach. „Może i Rosjanie się ich boją - mówił. Ale ja nie".

Będąc kiedyś cały miesiąc na urlopie na Krymie spotkałem tam Dobrynina. Lubiłem go słuchać, bo to wielki dyplomata i wielki człowiek. Potem spędziliśmy pięć razy wspólne miesięczne urlopy na Krymie, na dodatek zawsze jak byłem w Moskwie to Dobrynin zapraszał mnie do siebie. Pewnego razu mówi mi: "Jeszcze przed wybuchem wojny Anglicy prowadzili liczne rozmowy z Niemcami, a konkretnie z Ribbentropem w sprawie Polski. Angielski Żyd, profesor, przekonał premiera Anglii, by zaproponował Hitlerowi podział Polski taki sam jak Niemcy zrobili z nami pod nazwą Ribbentrop – Mołotow. Naciskali Niemców tak mocno, aż ostatecznie sam Hitler powiedział do Ribbentropa: „Po co mamy się dzielić Polską, za dwa miesiące sami całą zajmiemy. A ty – tu zwrócił się do Ribbentropa – nie mów o tym Anglikom".

„No i widzisz – mówił Dobrynin - Stalinowi udało się zawrzeć układ z Niemcami, a Anglikom już nie. Ale, pomysł nie był ani radziecki, ani niemiecki".

Minister Sorokin, człowiek osiemdziesięcioletni, ale można śmiało powiedzieć unikat. Mimo swoich lat miał wyśmienitą pamięć, mówił bez kartki, z głowy o gazie i ropie, np. przytaczał miliony metrów sześciennych, a znał, co do kilometra wszystkie położone rury, zaskakiwał liczbami siedzących na sali ministrów krajów układu warszawskiego. A był ministrem nie jakiegoś księstwa Monako czy innego małego państwa, wtedy Związek Radziecki był kontynentem - jeszcze jest, mimo że rozszarpują Rosję z każdej możliwej strony. Obejmował on swoim umysłem, ten cały kontynent, który w innych warunkach rozłożyłby się na kilka krajów i kilku ministrów.

Jego charyzma porywała nas, gdy mówił. Dlaczego to przytaczam? Dlatego, że ten wybitny człowiek często powtarzał takie oto zdanie, zupełnie wtedy nie pasujące do ideologii radzieckiej:

„Niech Rosjanie Bogu dziękują, że ropa i gaz są dobrem całego narodu. W warunkach kapitalizmu to nie Rosjanie mieliby to w swych rękach".

I nie mylił się. Jak teraz trudno jest Putinowi poodkręcać to wszystko, co przed nim zdążyli zawłaszczyć Żydzi. Takich jak Chodorkowski, który siedzi w więzieniu za przywłaszczenie ujęć ropy i gazu w Rosji, jest obecnie sporo. A jaki krzyk podnosi się na świecie w obronie tego Żyda, wszystkie możliwe instrumenty są uruchomione, byleby wyrwać tego człowieka i odzyskać to, co on zdążył zgromadzić kosztem ludzi i państwa.

Oczywiście robi się to głosząc prawa człowieka i demokrację, choć

prawdziwym celem jest możliwość przejęcia w swoje ręce bogactw narodowych.

Pytałem się kilka razy ministra Sorokina, dlaczego tak nienawidzi Żydów. „Czy oni tobie albo twojej rodzinie zrobili coś złego?" - pytałem. Odpowiadał mi zawsze tak samo: „Nie nada, eto apasno" *(Nie trzeba, to niebezpieczne).* Wtedy ja mówiłem mu, że Beria i Kaganowicz dawno nie żyją, ale on odpowiadał: inni żyją i mają się dobrze, dlatego nie chciał o tym mówić.

W latach 1980-1987 Związek Radziecki zawarł umowę z Izraelem w sprawie wyjazdu Żydów radzieckich do Izraela. Zainteresowane były tym oba rządy, tak Rosjanie, jak i Żydzi. Rosjanie, ponieważ pierestrojka Gorbaczowa ujawniła wiele faktów z historii Rosji Radzieckiej, chociażby to, kto stworzył i kierował słynnym KGB i NKWD oraz jakie ofiary poniósł naród w ramach represji tych organizacji.

Można było już przeczytać w prasie o gułagach i obozach przymusowej pracy, tym jak Żydzi awansowali we wszystkich strukturach życia i pracy oraz w wojsku, a także, dlaczego Rosjanie w tym czasie nie mogli awansować.

Wszystko to wytworzyło jeszcze większą nienawiść do Żydów i ludzie, już nie tak bojaźliwi, coraz głośniej mówili o roli, jaką sprawowali w ich ojczyźnie.

Zaczęło się głośne przypominanie, kto kogo mordował, napisy na ścianach domów, i w miejscach pracy zaczęło się wycofywanie Żydów z kierowniczych stanowisk. Także dzieci z rodzin żydowskich miały kłopoty w szkołach.

W sumie Rosjanom była na rękę propozycja Izraela, żeby spowodować emigrację do Izraela Żydów rosyjskich. Z kolei Żydzi w Izraelu potrzebowali na miejscu ludzi, bo minęło dopiero parę lat jak stworzyli swoje nowe państwo, które na dodatek od początku - po dziś dzień - weszło w stan ciągłej wojny z Palestyńczykami oraz krajami takimi jak Liban czy Syria. Tak więc Izrael naciskałby Związek Radziecki jak najszybciej i w jak największej liczbie wysyłał Żydów do Izraela. Został nawet utworzony tzw. most powietrzny, specjalnie do przewiezienia dużej liczby Żydów. I tu „mała" ciekawostka. Z Moskwy samoloty zabierały określoną ilość osób, powiedzmy dwieście osób w samolocie. Tyle, że często nawet połowa wysiadała po drodze. Ruscy Żydzi nie palili się do swej ojczyzny, gdzie od zaraz trzeba było zakładać buty żołnierskie - służyć w wojsku i walczyć, wybierali Amerykę i inne kraje. Doszło do tego, że Kongres Stanów Zjednoczonych musiał szybko uchwalić ustawę określającą, komu wolno, a komu nie wolno przyjeżdżać do Ameryki. Ale tenże Kongres działał więcej w interesie Izraela niż Ameryki, bo cały czas chodziło o to, że w Izraelu brakowało ludzi i należało zrobić szlaban dla tych, którzy powinni wrócić do ojczyzny, by jej „bronić".

Muszę w tym miejscu przytoczyć zdarzenie, jakie miał mój przyjaciel z żoną w Jerozolimie. Wyszli sobie w sobotę razem na spacer na miasto, patrzą, a tu starozakonni Żydzi, ubrani na czarno, z pejsami na twarzy, wzięli się za ręce i zamknęli ulice na całej szerokości. Parę rzędów takich Żydów całkowicie zablokowało ruch kołowy. Zrobił się duży korek, więc kierowcy wychodzą z samochodów i przeklinają po rosyjsku i po polsku.

Na to starozakonni mówią, że nie wolno jeździć w sabat, bo prawo mojżeszowe jasno mówi, że to grzech. Żydzi z Polski i Rosji mówią jednak, że to gówno prawda. Dochodzi do wielkiej bijatyki i przyjeżdża policja. Oficer policji mówi przez głośnik: „Musicie się wszyscy rozejść". Mówi po

żydowsku, drugi po rosyjsku i trzeci... po polsku. „Nie będziemy przecież was bić pałkami, bo wszyscy jesteśmy przecież Żydzi. Arabowie będą się z nas śmiać" - mówi oficer.

Miał racje, że wszyscy oni byli Żydami, i ci starozakonni, i ci z samochodów. Tyle, że ci z Rosji, wychowani za czasów Związku Radzieckiego, w ogóle nie mieli pojęcia o swojej religii, a tu chcieli po prostu lepiej żyć i coś posiadać, a nie słuchać jakichś praw Mojżesza. Nie lepsi byli ci z Polski, bo wtedy tam oszukiwać i uprawiać lichwę mogli, ale swoich oszukiwać nie wolno.

Dlatego interesy nie szły już tak dobrze jak z naiwnymi gojami, stąd i nerwowość na ulicy.

Wracając jednak do Rosji, konkretnie do czasów Związku Radzieckiego. Ten, kto zna atmosferę z lat pięćdziesiątych i później jeszcze z lat siedemdziesiątych to może powiedzieć, że już wtedy następowały zmiany, można było więcej mówić. Za czasów Gorbaczowa hamulce pękły już ostatecznie, bo nie było już takiej armii, a w niej komisarzy żydowskich. Z roku na rok rozbrajano się i redukowano armię, wyjazdy do Izraela też zrobiły swoje, i zaczęło się odważniej już żyć i mówić. Nic też dziwnego, że moi rosyjscy przyjaciele stali się rozmowniejsi i mniej się bali, chociaż wciąż jeszcze się bali.

Dość często jeździłem w tym czasie do Polaków pracujących na terenie Związku Radzieckiego, jedną z takich dużych baz, gdzie mieszkali Polacy, był Nowopołock nad rzeką Dźwiną. W miasteczku, które na własne potrzeby wybudowali Polacy mieszkało dwa i pól tysiąca ludzi. Polacy brali często za żony rosyjskie dziewczęta i zdarzyło się raz, że był wyznaczony dzień, kiedy w związek małżeński wstąpiło trzydziestu pięciu Polaków. Firma brała na siebie koszty uczty weselnej, co bardzo było na rękę nowożeńcom.

Piotr Kostikow dowiedział się od Kociołka w Moskwie o tej uroczystości i że ja tam będę. Jak już pisałem, z Kostikowem rozmawiałem wiele razy, ale szczególnie ważna była dla mnie rozmowa w domu Maszerowa na Białorusi. I teraz, gdy się dowiedziałem, że na to wesele i on przyjedzie, liczyłem, że będzie okazja do szczerej rozmowy. I nie myliłem się, po oficjalnej uroczystości w urzędzie stanu cywilnego i kilku godzinach naprawdę cudownego wesela Kostikow zaproponował mi spacer nad Dźwiną.

Na dużej sali co parę minut nowa grupa młodzieży rosyjskiej występowała z tańcami i śpiewaniem ludowych przyśpiewek, to koleżanki tych młodych panien, które wyszły za Polaków, tak żegnały swoje przyjaciółki.

Gdy z Kostikowem wyruszyliśmy na spacer - ja miałem dwóch oficerów ochrony, a on aż ośmiu. Cały czas taka wataha szła przed nami i za nami, nie wolno im było spuścić nas z oka. Kostikow co jakiś czas tylko zwracał im uwagę, że nie muszą tak blisko nas się trzymać.

Wtedy dowiedziałem się od niego tego, co od wielu radzieckich dostojników słyszałem we fragmentach, w plotkach i żartach. Tylko, że oni zaczynali mówić w nerwach, opamiętywali się i milkli.

Kostikow zaczął mi opowiadać o swej matce. „Matkę mam staruszkę i żyje w kołchozie - mówi - Wiele razy już prosiłem ją, żeby przyjechała na stałe do mnie do Moskwy. Tłumaczyłem jej, że wszystko za nią zrobią, że nie musi palić ognia w piecu, żeby się ogrzać, że zakupy ją ominą i nie będzie chodzić po sklepach. Żyję,

mówię do matki, w domu rządowym, gdzie jest porządek, a ludzie zrobią wszystko, co trzeba. Ale ona ciągle mówiła nie i nie. Wreszcie raz zdenerwowana moim natręctwem mówi mi: „A po co ty mnie chcesz do tej Moskwy zabrać? Chyba widzisz, że jestem stara i tylko patrzeć jak umrę. I co, jak mnie tam w tej Moskwie pochowasz. Jak bydlaka czy jak człowieka?" Mówię jej, że jak człowieka i daję na to słowo. Ale ona mówi: „Przecież ja chcę, żeby pogrzeb był w cerkwi i żeby śpiewali pieśni religijne, żeby pop odprawiał, a nie wasz partyjny urzędnik po swojemu. Czy ty wiesz, synu, że jak u nas ktoś umrze i chowają go urzędowo, po waszemu, to ludzie w nocy popa przywożą na cmentarz i po kryjomu odprawiają to, co powinno być oficjalne. Przecież ty nawet na taki pogrzeb do mnie nie będziesz mógł przyjechać". I miała rację. Wtedy, gdy to mówiła na pewno bym nie mógł. „Widzisz synu - mówiła dalej matka - ja tu żyję od urodzenia. Pamiętam jak ludzie mieli tylko jedną izbę z glinianą podłogą i piec, na którym spała cała rodzina. A na siole naszym tylko pop umiał czytać i pisać. Nawet wójt był niegramotny, tylko sekretarz w gminie. Tu chodziło się w łapciach i samodziałach. Bieda była ogromna i ciemnota jeszcze większa. Dziś każdy ci tu powie, że jest lepiej. Że jest prawie dobrze. A ludzie mają w blokach paropokojowe mieszkania z centralnym ogrzewaniem i światłem. Albo domki paropokojowe. Dzieci uczą się za darmo i opieka lekarska też jest. Ale boli wszystkich ludzi taka sprawa.

Dlaczego awansuje się ludzi, którzy mówią, że nie ma Boga? Dlaczego tych, co wierzą w Boga, spycha się na bok, chociaż są mądrzy i wykształceni? Dlaczego zburzyliście wszystkie cerkwie i wymordowaliście popów? Czy wiara w Boga osłabi nasze państwo? Ja uważam - mówiła matka - że umocni. Może wy tam, w miastach inaczej widzicie te problemy. Ale dla nas, tu na wsi są one bardzo ważne.

Komu to zależało, by tak napisać nasze radzieckie prawa, żeby za wiarę w Boga karać ludzi, a bezbożników pokazywać jako bohaterów i najmądrzejszych w narodzie? I ja mam jechać do takiego miasta i do takich ludzi, gdzie nie będę się mogła nawet oficjalnie przeżegnać i pomodlić? Czy ty, mój synu, mówisz chociaż pacierz?"

Patrzyła mi w oczy i czekała na odpowiedź. Mówię, że nie modlę się. „Widzisz, to tym bardziej muszę tu zostać - mówiła mi - Bo tu to ja mogę i za ciebie się pomodlić. Ty mi powiedz synu, chcę wiedzieć prawdę, kto to taki był, że zabronił wierzyć w Boga. Chyba ty wiesz? Bo tu w kołchozie, to tylko plotki są na ten temat. Nawet rozmawiać ludzie się boją, tak żeście wychowali młodzież, że na rodziców donoszą. Ile razy już zwracał mi uwagę i groził sekretarz kołchozu za to, że na ścianach wiszą ikony. „Wasz syn jest premierem i członkiem Biura Politycznego, a wy robicie mu wstyd tymi ikonami" - krzyczał".

„Mam to zdjąć?" - pytała się mnie, patrząc w oczy. „Nic nie zdejmuj. Nie zwracaj też uwagi na to, co on ci mówi. Dziś ci nie odpowiem, kto i dlaczego, nasze prawa radzieckie tak napisał, żeby nie pozwalać wierzyć w Boga". Ale matka mi przerwała: „ty mnie nie rozumiesz! Wierzyć w Boga to mi nikt nie może zabronić. I ludzie wierzą w Boga. Chodzi o to, że są represje wobec ludzi, którzy chcą wierzyć i modlić się oficjalnie w cerkwi. Na to mi odpowiedz". Ale to i dla mnie nie było takie proste.

Gdy wybuchła rewolucja miałem kilka lat. Po rewolucji jeszcze parę lat był nieprzeciętny bałagan u nas. Raz rządzili biali, to znów czerwoni. Było też i tak, że Denikin ze swoimi żołnierzami przeganiał tutejszą władzę i rządził, a następnie najeżdżał Kołczak, rozbrajał i łupił. Przewinęło się kilka różnych władz nim Armia Czerwona oczyściła te tereny i na stałe ustanowiła swoją władzę. Nie docierały tu

żadne wiadomości, kto i jak rządzi i jakie są prawa. Gdy już się wszystko unormowało, ja wyjechałem do szkoły, bo u nas jej nie było i już nie wróciłem do domu. Wpływ na moje wychowanie miały organizacje pionierskie, a później komsomolskie. One od początku uczyły, że nowy człowiek radziecki nie może wierzyć w coś, czego nie widzi i nie dotyka, wyrabiały w nas pogląd i wiarę naukową, czyli w marksizm i leninizm.

Żyłem tak tyle lat, mimo że matka, co jakiś czas dawała mi do zrozumienia, że świat bez Boga jest bardzo zły. „Właśnie wy, synu – mówiła – taki świat budujecie, ale Pan Bóg wam tę budowę rozwali jak Wieżę Babel". Po rozmowach z matką postanowiłem dowiedzieć się tego, co ją interesowało, tym bardziej, że ja sam chciałem wiedzieć, jak to naprawdę z tym było. Zadanie to nie było łatwe, takiej rozmowy nie można było przeprowadzić, bo to groziło dużymi problemami.

U nas ludzie przez swój język i gadanie codziennie znikali bez śladu lub cierpieli w gułagach. Długo szukałem takiej osoby, która znałaby tamte czasy z autopsji, a po drugie nie donosiła tam gdzie trzeba, że interesuję się tym zagadnieniem. Pomógł mi szczęśliwy zbieg okoliczności. W domu rządowym, gdzie mieszkałem, żył jeszcze człowiek, który był członkiem pierwszego Biura Politycznego za życia Lenina. Miał dziewięćdziesiąt dwa lata i jak na taki wiek czuł się dobrze i pamięć miał jeszcze dobrą. Przez ostatnie dwa lata parę razy z nim rozmawiałem, a nawet dekorowałem go orderem z okazji rocznicy rewolucji. On sam pewnego razu zaczepił mnie na podwórku mówiąc: „Dostawałem co roku skierowanie na Krym, żeby tam odpocząć. W tym roku mi nie dali. Oni chyba myślą, że ja już nie żyję. Niech im towarzysz przypomni, że ja żyję i chcę jechać". Ponieważ miałem kilka dni zaległego urlopu postanowiłem wziąć parę dni wolnego i też pojechać na Krym. Załatwiłem wszystko tak, żebyśmy byli razem w tym samym czasie w jednym ośrodku. Był trochę zaskoczony i zdziwiony, gdy usiadłem przy jego stoliku w jadalni. Poprosiłem go, żeby poszedł ze mną na spacer i tam dopiero zapytałem go o wszystko to, co moja matka chciała usłyszeć ode mnie. Przyglądał mi się i uśmiechał, aż spytał wreszcie: „Wy naprawdę nie wiecie jak to się stało, że wszystkie dokumenty, które wtedy były tworzone, statut naszej partii, podstawy ideologii i cała masa innych dokumentów, były pisane tak, a nie inaczej i kto je pisał?". Mówię mu, że naprawdę nie wiem, bo to, co znam, nie jest prawdą. Popatrzył na mnie uważnie i powiedział: „To niewiarygodne, że wy, na takim stanowisku, nie znacie tego dobrze. To wasza wina. Bo jakbyście chcieli, to można było dowiedzieć się prawdy. Nawet teraz u nas, w Związku Radzieckim, można zdobyć materiały na ten temat. Ludzie co prawda nie dadzą ich pierwszemu lepszemu, bo to strach, ale można je zdobyć".

„Ja – mówi mi staruszek – nie potrzebuję tych materiałów, bo znam to osobiście, byłem świadkiem, jak rodziła się nasza władza. Ale wziąłem od wnuka papiery i przeczytałem, żeby sprawdzić, czy piszą o nas prawdę"

„Ale powiesz mi tę prawdę, czy nie?" - pytam go lekko zniecierpliwiony.

„Powiem, ale po obiedzie. Przyjdź w to miejsce w samych kąpielówkach" - zarządził.

Rzeczywiście, czekał na mnie już nad morzem.

Gdy podszedłem, przeprosił mnie i obmacał dokładnie.

„Ja jestem stary czekista – powiedział- już niejeden zginął bez śladu albo znalazł się na Syberii za gadanie. A tak, jeśli nawet coś powiecie, to ja się wyprę. Dowodów nie będzie".

Staliśmy w wodzie po kostki i on spytał mnie, czy może mi mówić na ty.

„To ułatwi mi to, co chcę powiedzieć" - dodał.

Zgodziłem się, a on zaczął wyjaśniać:

„Żebyś dobrze zrozumiał, kto i dlaczego tak sprawy te pokierował i dopilnował, że tak, a nie inaczej były zapisane, muszę ci wpierw powiedzieć o historii carskiej Rosji. O stu, albo lepiej o ostatnich dwustu latach panowania carów. A to będzie długo i nie wiem, czy chcesz tyle słuchać".

Mówię mu, że chcę i proszę o to. Ciągnął więc:

„U nas, w Rosji, od dawna mamy mniejszości narodowe. Nie będę ci wymieniał ile i jakie, bo myślę, że to sam wiesz. O ile udaje się nam, a raczej udawało, dobrze żyć z tymi mniejszościami, o tyle z jedną ciągle carowie mieli kłopoty. Chodzi tu o Żydów. Prawdą było, że wszystkie warstwy społeczne w Rosji nie tylko ich nie lubiły, ale wręcz nienawidziły. Były z nimi ciągle zatargi i problemy. Carowie nie represjonowali innych mniejszości. Ale na Żydów co roku car wydawał ukaz, czyli dekret, który nakazywał robić Żydom pogromy, to znaczy tak uprzykrzać im życie, żeby się sami wynieśli. Ale oni nie chcieli odejść, nauczyli się żyć z tymi represjami.

Jak zajeżdżali Kozacy i żandarmi, żeby potłuc Żydom sklepiki i stragany, żeby ich pobić i poobcinać im brody, to Żydzi nauczyli się dawać łapówki i upijać Kozaków, żeby ten pogrom przeżyć mniej boleśnie. Weszły w życie przepisy, które zobowiązywały władze na uczelni, by dzieci żydowskie nie mogły studiować, potem mówiące, że Żydom nie wolno mieszkać w większych miastach, car nakazał wreszcie zmienić im nazwiska, które były trudne do zapisania, na nazwiska od miasta, góry, rzeki, miejscowości, w której mieszkają. Wyobraź sobie, że mimo takich represji oni nie chcieli opuszczać Rosji. Wiedzieli bowiem dobrze, że są takie kraje, które całkowicie wyrzuciły ze swego terytorium Żydów, nie dając im nawet zabrać majątku. Pisali więc Żydzi skargi do cara, dawali duże łapówki na dworze, żeby urzędnicy wyprosili u cara łaskę, ale urzędnicy łapówki brali, a sprawy nie załatwiali, bo ta nie była do załatwienia. Te pogromy, o których ci mówię, były do wytrzymania. Ale były też inne sprawy, których Żydzi nie mogli przeżyć i szukali wyjścia z tej sytuacji. To były pogromy wychodzące z naszej prawosławnej cerkwi.

Zawsze po dekrecie carskim wychodził też dekret głowy Kościoła prawosławnego. Muszę ci powiedzieć, że sam jako młody chłopak słuchałem, co pop mówił w cerkwi na ten temat. Dziś pewnie to nie trafiłoby tak do ludzi jak wtedy, to były inne czasy, ludzie nie umieli czytać i pisać, ich wiedza ograniczała się do paru wiosek po sąsiedzku, ludzie przeżywali swe życie i nie byli ani razu w mieście, nie widzieli lokomotywy i pociągu.

Pop był osobą reprezentującą Boga i wierzyli mu, gdy gadał, że Żydzi zamordowali Chrystusa, że są krwiopijcami i czekają jak Słowianina oszukać, że całe zło na świecie pochodzi od Żydów.

Tak działo się do czasu rewolucji, kiedy ta wybuchła, Żydzi zorientowali się, że to dobra okazja, by raz na zawsze ukarać popów i cerkiew. Przypilnowali, żeby prawo było ich narzędziem do obrony i do niszczenia wszystkich, którzy mogą im zagrażać. Kiedy więc nadarzyła się okazja, że można było odpłacić za wieki tzw. pogromów, nadto samemu przejąć władzę i stanowić prawa, w których społeczeństwo będzie bezklasowe, Żydzi chcieli ją wykorzystać. „Już nikt nie będzie mógł mówić na Żyda, że jest Żydem - bo będziemy towarzyszami" - mówili.

Ponieważ inteligencja w Rosji, czyli pany, stanowiła bazę, z której przyszła już władza mogłaby brać ludzi - bo ani chłopi, ani robotnicy nie mieli pojęcia jak by tę władzę sprawować - to poszła na pierwszy ogień na wyniszczenie. Te właśnie pany zagrażały Żydom, bo była to część narodu, która miała kwalifikacje, by sprawować urzędy w państwie. Chcę ci powiedzieć - mówi staruszek - że w tym czasie nasze chłopstwo w ogóle nie myślało o przejęciu władzy. Chłopi byli religijni, ale i nie wykształceni, ich świadomość była bardzo niska. Trochę lepiej wyglądało to w miastach, wśród robotników, ale też nie najlepiej. Robotnicy pracowali wtedy po dwanaście godzin dziennie, nie istniały żadne przepisy mówiące o ochronie życia i zdrowia, o urlopie czy odszkodowaniu za życie. Ginął człowiek w fabryce, przychodził następny na jego miejsce. Trzeba ci jeszcze wiedzieć, że przez całe dziesięciolecia Rosja prowadziła wojny, tak na lądzie, jak i na morzu. Bez przerwy potrzebni byli więc mężczyźni do wojska.

Więc jak rewolucja rzuciła sprytne hasła „ziemia chłopom" i „fabryki robotnikom," oraz, że cała władza trafi w ręce ludzi pracy, że Litwini, Łotysze, Estończycy i Polacy to są nasi towarzysze, którym oddamy ich kraje, by sami sobą rządzili, to wszystko trafiało do wyobraźni tych ludzi. Chłopi byli zainteresowani, żeby nie służyć w wojsku całe życie; przecież jak brano do wojska młodego chłopaka to wracał po dwudziestu latach jako zniszczony, chory, stary człowiek, jeśli w ogóle wrócił. Chłopaki z miast też służyli długo, chociaż zabierano ich do wojska mniej, bo rozwijały się fabryki, kopalnie i cały przemysł, więc trzeba było ludzi do tej pracy. Ale jak na wsi, tak i w miastach ludzie mieli niski poziom wiedzy o świecie i swoim kraju.

Powiem ci prawdziwe zdarzenie, które sam widziałem i przeżyłem. Ono mówi samo za siebie, jacy w tym czasie byliśmy. Otóż partia skierowała mnie do Magnitogorska. Nie muszę ci mówić jak bardzo krajowi potrzebna była stal na budownictwo i przemysł zbrojeniowy. Robotników zachęcano, czym się dało, by większe wyrabiali normy, były ordery i nagrody, zdjęcia w gazetach i na filmach. Chcąc lepiej zachęcić ludzi w kraju, żeby przyjeżdżali dobrowolnie, to dawano mieszkania, a nawet i meble.

Wreszcie ktoś z otoczenia Stalina wpadł na pomysł, żeby zasłużonym robotnikom z fabryk, ale też z kołchozów, dać wczasy za darmo i to w kurortach nad Czarnym Morzem. Stały tam zamki hrabiego Woroncowa, więc w nich urządzono kurorty. W teren poszły instrukcje z komitetów partyjnych, że to mają być zasłużeni przodownicy pracy. Pojawił się jednak problem - kto tam pojedzie.

Bo wtedy po pierwsze nikt o wczasach nie słyszał, a po drugie nie wierzono żadnej władzy, że ludzie pojadą wypoczywać. Ten, kto mówił wtedy o wypoczynku, był wrogiem narodu, bo osłabiał gospodarkę kraju. W fabrykach i kołchozach robotnicy, mimo że nie porozumiewali się między sobą, wpadli na ten sam pomysł. Myśleli, że władza chce sprytnie wyciągnąć od nich kolejnych ludzi do wielkich budów, jakie rozpoczęto w całym kraju, więc żeby nie osłabić swoich fabryk i kołchozów to wymyślili, że skoro już muszą, to wyślą starych, co już ledwie żyją. Będą mniejsze straty - myśleli.

Kiedy zwieziono już tych starych, urodzonych sporo przed rewolucją na Krym i zakwaterowano w pałacu - dziadkowie nie wierzyli, że mają tu wypoczywać. Czekali, kiedy podjadą po nich samochody i wywiozą do pracy. Nie umieli spać w łóżkach i założyć pidżam, jakie im tam dano, nie chcieli w ogóle wejść do wanny się kąpać. Po paru dniach widzą, że jeść im dają i do roboty nie gonią, więc zaczęli być spokojniejsi. Na jadalnię przyszedł szef kuchni i mówi do nich:

„Co wy byście chcieli jeść? My w kuchni umiemy dużo dobrych potraw ugotować”. I zaczął im wymieniać nazwy, o których oni nigdy nie słyszeli i nie mieli pojęcia. Wśród tych potraw wymienił mrożone. „Co to takiego?” - pytali kuchmistrza. „Ano, najlepiej jak jutro wam to zrobię i dam” - mówi. Następnego dnia podano staruszkom tace, a na nich lody. Cmokają i próbują. Pytają jeden drugiego, czy jego też jest zimne. Wreszcie wołają kuchmistrza, wstaje jeden ze staruszków i mówi:

„Ty sobie myślisz, że jeśli my stare, to i głupie. Chcesz zrobić z nas pośmiewisko i żarty - co? Masz to zaraz włożyć do garnka i zagotować”. Tak też w kuchni zrobiono. Podano im w garnuszkach gorące. Podziękowali kucharzowi za to i powiedzieli, że nie dali się oszukać.

Po co ci to mówię - spytał mnie. - Po to, żebyś wiedział, jacy byliśmy. Jak łatwo było takimi masami manipulować i kierować. A przy tym ludzie byli ciemni i jeszcze bogobojni, to i nie umieli oszukiwać, bo bali się Boga. A spotkało ich samo kłamstwo, a ci, co nimi manipulowali, grzechu się nie bali.

Zatrzymał się w wodzie i spytał mnie: „Jak myślisz - ilu było Rosjan w pierwszym Biurze Politycznym za życia Lenina?” „Nie wiem - odpowiadam. - Nigdzie nie widziałem takich dokumentów z tamtego okresu. Liczę na to, że wy, jako pierwszy członek Biura, mi powiecie”.

„Wyobraź sobie, że tylko Bucharin, Kalinin i ja byliśmy Rosjanami - mówi. - Na piętnastu członków Biura tylko my trzej.

Jak myślisz można było przegłosować sprawę dla nas, Rosjan? Nie, nigdy, bo Żydów było dwunastu. Oni mieli własne interesy i jak tylko chcieli, to je zapisywali jako uchwałę Biura.

A pierwszy komitet centralny składał się ze 144 członków i dziesięciu zastępców, czy wiesz, jakie tam siły mieli Rosjanie? Tylko dziewięciu, i też nie mieli nic do powiedzenia. Twoja matka pyta się, kto zapisał takie prawa? Statut i całą ideologię pisali właśnie oni, Żydzi, a nie Rosjanie. Komisja statutowa licząca sto osób, a w niej tylko dwóch Rosjan. Myślisz, że słuchali, czego chcieli Rosjanie, a czego nie chcieli? Pisali i uchwalali to, co im było potrzebne.

Owszem, była jeszcze jedna bardzo ważna komisja KC. To komisja rewizyjna, do której pisało się o łamaniu prawa i nieprawidłowościach, mógł do niej napisać każdy.

Tylko, że liczyła sześćdziesiąt osób i była w stu procentach żydowska, tak więc lepiej było do niej nie pisać, bo zamiast sprawę rozpatrzyć - zamykali piszącego skargę. Szybko się przekonano, że ta komisja służy do tego, żeby zniszczyć tych, którzy mogą im zagrażać swoją wiedzą lub odwagą. A co, za twoich rządów to można było śmiało mówić? - spytał mnie.

„Od czasu jak załatwiono Berię i Kaganowicz dużo się zmieniło, może zaprzeczycie?” - odpowiadam pytaniem. „Trochę się zmieniło, ale nie na tyle, żeby swobodnie mówić o polityce. „No a teraz za Gorbaczowa też się nie zmieniło?” - ciągnę. „Tak, teraz się zmieniło i to tak, że tylko patrzeć jak do góry nogami wywróci się nasz ustrój” - dodał staruszek. „To co wy byście chcieli? - spytałem go - żeby były zmiany, czy nie?”. „Ja mam już dziewięćdziesiąt dwa lata. Chodzi o młodych ludzi, żeby mieli lepsze życie niż my. Bez bagażu zbrodni, Syberii i gułagów - odpowiedział.

- Żeby Rosjanie rządzili swoim krajem. Czy myślisz, że mi się lekko żyje z tym, co widziałem i przeżyłem. Uważasz, że nie mam sumienia? Robiłem wiele rzeczy

źle, bo musiałem. A chciałbym, żeby mój wnuk nie musiał tego robić. Takich jak ja było dużo, którzy musieli robić, co im kazano. Oni już odeszli, a ja żyję ze swoją pamięcią, która mnie męczy. Teraz odejdź" - poprosił mnie cicho i zauważyłem, że ma łzy w oczach. Zostawiłem go stojącego w wodzie i pomyślałem, że mam szczęście, że urodziłem się później niż on. Kto wie, co ja musiałbym robić i kogo słuchać, żyjąc w jego czasie.

Kiedy ponownie odwiedziłem matkę i wyjaśniłem jej, kto to zrobił, że religia jest u nas usunięta, a ludzie wierzący mają kłopoty, popatrzyła na mnie i rzekła:

„No to, kto tak naprawdę rządzi naszą Rosją? To my Rosjanie, taki duży naród i nie możemy tego jarzma zrzucić? Jak ONI to zrobili, że zajęli wszystkie najważniejsze stanowiska w państwie?"

„Nie wszystkie, bo Stalin to nie Żyd i wielu innych też nie są Żydzi, a nasi Rosjanie" - starałem się wyjaśnić matce. „Synu, ale oni zamknęli ludzi w gułagach i kopalniach, od nas z kołchozu to nie Stalin zamykał, tylko przyjeżdżali Żydzi w mundurach i ludzie o tym wiedzą i to mówią. Stalin to pewnie nawet nie wie, co oni wyrabiają z ludźmi" - wyjaśniała mi matka. I tak właśnie, jak moja matka myślała większość Rosjan.

„Mamo - mówię jej - rewolucja to gwałt jednej klasy narodu nad inną. Rewolucja zrównała wszystkich ludzi. Oni byli więcej aktywni niż my Rosjanie, angażowali się odważnie do władzy, a przede wszystkim między sobą byli solidarni i jeden drugiego popierał i wciągał. A nasi kłócili się nim coś uzgodnili. W czasie rewolucji i po niej niezbędny jest silny aparat represji, wiąże się to z użyciem siły i zabijania.

Nasi żołnierze, ale i ludzie, którzy poparli rewolucję, byli religijni, uważali to za grzech i do zabijania się nie pchali. ONI takich skrupułów nie mieli i dlatego masowo zgłosili się do NKWD. Później, rozbudowując służbę bezpieczeństwa, przyjmowali tylko swoich.

Jeśli brali Rosjan to na szeregowych, którzy nie mieli nic do powiedzenia, tylko wykonywali rozkazy przełożonych. Jak już rozbudowali ten aparat represji, to okazało się, że są siłą, która jak zechce to oskarży - i skarży każdego, chociażby był bardzo ważną osobistością. Mieli swoich ludzi wszędzie, nie było dziedziny życia, gdzie by nie umieścili swoich. A zawsze mieli argumenty, że ci ludzie, których zamykają, to wrogowie ojczyzny i osobiście Stalina".

To był koniec opowieści Kostikowa. Szliśmy razem brzegiem Dźwiny, dochodziły nas dźwięki muzyki i śpiewy z tego masowego wesela. „Wracamy" - zaproponował i ruszyliśmy tą samą ścieżką z powrotem.

Podziękowałem mu za szczerość i zaufanie. Mówię, że sporo wiedziałem wcześniej, gdyż mój ojciec służył w carskiej armii jak wybuchła rewolucja, stąd dużo widział i słyszał.

„Ale od was dowiedziałem się konkretów i faktów – mówię, dodając: - Ja wam towarzyszu Kostikow też coś z waszej historii powiem. W ubiegłym roku byłem na urlopie z rodziną, jak co roku u was na Krymie, w waszym rządowym ośrodku. Nas, Polaków było sporo i dużo waszych ludzi z kierownictwa partii i wojska. Położyliśmy się na plaży razem z waszymi ludźmi i zaczęliśmy rozmowę. A między waszymi było dwóch generałów. Jeden z nich mówi: „Jak skończyłem akademię wojskową, to jako młody oficer dostałem właśnie tu skierowanie do służby. Było to jeszcze przed napaścią Hitlera na nasz kraj. Tu, gdzie są obecnie te piękne olbrzymie bloki i ośrodki wypoczynku, były cztery stare drewniane, ale ładne

wille. W tych willach mieszkali sekretarze rejonowi (obłast).

Taki sekretarz rządził terenem jak średnim państwem. Byli też dygnitarze z Moskwy i Beria ze swoją świtą, a z Odessy był sekretarz z żoną, za którą się wszyscy oglądali. Jak poszła na plażę w kostiumie kąpielowym - to wokoło było gęsto od mężczyzn. Ja dowodziłem ochroną całego tego ośrodka. I z takich osobistości jak Beria, mimo że miał liczną ochronę, nie mogłem spuścić oka. Takie były ostre przepisy. Jednego dnia patrzę, a Beria ze swoim jednym ochroniarzem i sekretarz z Odessy z żoną wypływają łódką w morze. Przepisy mówiły, że powinniśmy inną łódką za nimi płynąć, ale on zabronił nam płynąć. Więc przez lornetkę uważnie patrzę, żeby w razie czego wysłać ratunek.

Najpierw Beria kazał wyskoczyć z łódki do wody swojemu ochroniarzowi i on to zrobił. Widzę, bo nie słyszę, gdyż są daleko od brzegu, że każe też skakać do wody temu sekretarzowi. Ale ten nie chce. Beria wyciąga rewolwer ze skrytki w łódce i mierzy do niego. Człowiek skacze i płynie do brzegu. Wysyłam żołnierzy i wyciągnęli ochroniarza i sekretarza z wody.

Patrzę dalej, że każe kobiecie ściągać kostium i ona to robi. Następnie pokazuje jej, że ma się położyć na spodzie łódki. Obserwuję jak Beria dość długo co chwilę podnosi swój biały tyłek powyżej krawędzi łódki. Następnie siada na ławce, jaka była na łódce, i ręką czerpie wodę i podmywa się. Kobieta ubiera się i siada na końcu łódki.

Gdy dopłynęli do brzegu, każde poszło w swoją stronę. Myślałem, że będzie z tego skandal - opowiadał generał. - Ale nic nie było. Zaraz też sekretarz z żoną odjechali. Tu byłem świadkiem gwałtu, a myślę, że i moi żołnierze też to obserwowali. Beria jak dzikie bydlę, nie bojąc się nikogo, zrobił to w biały dzień. Jego bydlęcy sposób życia był właśnie taki. On się nie bał, to jego wszyscy się bali" - opowiedział generał.

Stalin podobno wiedział, że Beria robi takie rzeczy, ale nie chciał z nim wojny, obawiał się go, więc unikał spięć. Stopniowo Stalin zaczął odsuwać od siebie tych ludzi, nie mógł jednak robić widocznej czystki. By się powoli ich pozbywać, awansował ich na ambasadorów, wysyłał na studia i różne służby, ale czynił to stopniowo i ostrożnie. Jak opowiadał mi Dobrynin i Maszerow, takim gwoździem do trumny Stalina było ogłoszenie w prasie światowej, że nowo powstałe państwo Izrael podpisało umowę z Ameryką w sprawie wywiadów. Izraelski Mossad i amerykańskie CIA miało odtąd ściśle współpracować ze sobą. A był to czas tak zwanej zimnej wojny. Napięcia były widoczne już gołym okiem. Starsi ludzie pamiętają, jakie były kary i więzienia za fotografowanie czegoś, co tylko miało związek z wojskiem. Ilu ludzi złapanych na grzybach w lasach, gdzie stacjonowało wojsko siedziało w więzieniach.

I tu nagle, na Kremlu, Żydzi otaczający Stalina mogą swoim krewniakom w Izraelu przekazywać to, co interesuje Amerykę, bo przecież ich wywiady współpracują. Stalin - jak mówiło wiele bliskich osób - wystraszył się tego. Od dawna czuł, że to nie on na Kremlu jest najsilniejszy, ale Beria na Łubiance. Przecież w tym samym czasie u nas w Polsce Żydzi z MSW aresztowali Gomułkę i wielu jego zwolenników. Zaczął więc Stalin przyspieszać oczyszczanie swego otoczenia i to popchnęło Berię i jego ludzi do działania. Zaczęli zamykać pod pozorem zdrady coraz więcej osób z otoczenia Stalina. Oczywiście wszyscy się przyznawali i własnoręcznie podpisywali te protokoły, bo kto by ich nie podpisał przy tamtych metodach przesłuchań.

Wiele osób z Kremla mówiło o bardzo chytrym sposobie, w jaki załatwili Stalina. Bo ordynarnie zabić, mimo że byli tak silni, to jednak się bali. Żukow, którego Armia Czerwona bardzo ceniła, mógłby zareagować, i dlatego nie chcieli.

W styczniu 1953 r. Beria na posiedzeniu Biura Politycznego wniósł propozycję większej ochrony Stalina. Opierając się o rzekome materiały kontrwywiadu, przekonywał, że Stalinowi groziło niebezpieczeństwo, ale nie na Kremlu, tylko na daczy, gdzie Stalin spędzał soboty i niedziele.

„Trzeba - mówił Beria - wzmocnić ochronę i wprowadzić inne przepisy". A te nowe przepisy, jakie zatwierdziło Biuro, mówiły, że na daczę nie może wejść lub wjechać nikt bez przepustki podpisanej przez samego Berię.

Stalin był wówczas chory, brał leki, wystarczyło więc mu ich nie podać, by umarł. Tak też było. Stalin już w sobotę poprosił o leki, które podawał mu jego lekarz. Zadzwoniono po niego, żeby przyjechał, ale wartownicy - zgodnie z nowym rozkazem - nie mogli go wpuścić na daczę, bo nie miał przepustki z podpisem i pieczęcią samego Berii. O to właśnie chodziło. Nie mogli znaleźć Berii w Moskwie, więc i przepustki nie było komu podpisać.

Podpatrywali więc przez szparę jak Stalin rzucał się na łóżku, jak spadł na podłogę i męczył się nim umarł. A że zawsze musi być ktoś winien, wtedy przyjechali i za nieudzielenie pomocy rozstrzelano lekarza. „Podobno naród bardzo domagał się ukarania tego lekarza" - wyjaśniam.

Zatrzymaliśmy się z Kostikowem tuż przed budynkami, gdzie huczało od tańca i śpiewów. „To, co mi powiedziałeś, co Beria wyprawiał - zwrócił się do mnie - to od dawna wiedzieliśmy na Kremlu. Widzisz Albin, gdyby nie zmiany, to nie moglibyśmy o tym rozmawiać. Obawiam się jednak, że to nie skończy się na tym, co już się dzieje. Ale popatrz w okna, młodzi ludzie tańczą i śpiewają na tym weselu. Dla nich to, co mówiliśmy to już historia. Tę historię tworzyli i pisali ludzie.

A moja matka, wierząca w Boga, powiedziała mi kiedyś tak „Historię pisze pan Bóg i jego historia będzie prawdziwa. Bo wy na pewno nie napiszecie prawdy" - mówił Kostikow. I miała stuprocentową rację. Dziś, w 2007 roku, gdy piszę te wspomnienia, w Polsce aktualna jest sprawa siedmiu polskich żołnierzy. Na wszystkich falach radia, na wszystkich kanałach telewizji prokuratorzy, robiąc poważne miny, stwierdzają: „To było morderstwo cywilnych niewinnych ludzi". Jeszcze inni usłużni dziennikarze mówią i piszą: „To było ludobójstwo ze strony naszych żołnierzy. Okryli Polskę hańbą".

Tyle, że jak wszystkie dzienniki telewizyjne pokazują codziennie, że lotnictwo izraelskie zbombardowało obozy dla uchodźców i wioski arabskie, że zginęły kobiety, dzieci i starcy, że żołnierze izraelscy strzelają i zabijają cywilną ludność arabską, to już nie jest morderstwo i ludobójstwo!

To jest - według Żydów - walka z terroryzmem. Naszym żołnierzom zdarzyło się to raz, w warunkach, o których polscy krzykacze nawet nie mają pojęcia, bo tam nie byli. Nie wyjaśniono, kto dał rozkaz i w oparciu o czyj wywiad. A w strefach Gazy, Libanu i Syrii codziennie giną cywilni ludzie, a świat, w którym Żydzi mają w swym ręku radio, prasę i telewizję, nie poinformuje opinii społecznej, że oto codziennie mordujemy kobiety i dzieci i że jest to ludobójstwo, za które winni powinni ponieść karę. O nie!

Dowiedzieć się - to nie takie proste. W październiku 2007 roku znajomi zadzwonili do mnie i mówią: „Musi być coś bardzo ważnego, co nie podoba się

polskim Żydom, bo jeżdżą i wykupują gazetę „*Tylko Polska*". Może tobie uda się gdzieś ją kupić". Zacząłem szukać i kupiłem. Gazeta „*Tylko Polska*" przedrukowała artykuł z brytyjskiej prasy. Informowano w nim, że przed wyborami we Francji, gdy Nikolas Sarkozy kandydował na prezydenta, Żydzi ze Światowego Związku Żydów poprosili panią Cecillię Sarkozy na rozmowę. Wiedzieli, że od trzech miesięcy nie jest już żoną Nikolasa. Francuski Sanhedryn zaproponował trzy miliony euro za to tylko, żeby do wyborów prezydenta była u boku męża i dała się z nim fotografować.

Pani Cecillia zainkasowała te pieniądze i dopiero po wyborach oświadczyli, że nie są małżeństwem już od trzech miesięcy. Pierwsza dama nabiła w butelkę wyborców francuskich, a węgierski Żyd - tak jak pragnęli Żydzi - został prezydentem Francji. Czy Polacy daliby takie pieniądze, żeby Polak mógł być wybrany w innym kraju? Polacy, jak mówi kawał o nas, widząc, że ktoś w piekle próbuje wydostać się z kotła ze smołą, ściągną go za nogi z powrotem.

I tym się właśnie różnimy. Nam nie chciałoby się jeździć i szukać tej gazety, żeby ją zniszczyć. O płaceniu za nią nie wspominając. A oni to robią.

Rozdział X

MORZE CZARNE

Często zastawiałem się, kto i dlaczego nazwał Morze Czarne właśnie w ten sposób. Bo z perspektywy pobliskich gór i wzniesień, jakie otaczają morze na Krymie, wcale nie wyglądało ono jak czarne. O każdej porze dnia, bez względu na pogodę i miejsce obserwacji, wszyscy mówili, że jest ciemnoniebieskie. Ja też byłem tego zdania, aż do chwili, gdy usłyszałem następującą historię z nim związaną,

Będąc na Krymie w ramach tak zwanego pociągu przyjaźni poznałem wiele Polek i Polaków, których los, jeszcze za czasów carskich, zaniósł na Daleki Wschód. Byli to zesłańcy, którzy odważyli się nie zgadzać z carską niewolą i próbowali różnej formy walki z uciskiem cara. Ich ojcowie w Polsce podjęli tę walkę, często nie zdając sobie sprawy, że wierne carowi służby, żeby wybrać z tłumu przywódców i patriotów, same wprowadzały w ich szeregi swoich ludzi.

Ci mieli za zadanie robić wszystko, żeby doprowadzić do wyjścia na ulicę i do wybuchu powstania, bo tylko wtedy można było rozpoznać, kto kim kieruje. Wcześniej osoby, które stały na czele grup i związków patriotów, były dobrze zakonspirowane i tylko wąska grupa najbliższych współpracowników znała nazwiska przywódców. Ale gdy dochodziło do powstania, wówczas przywódcy stawali na czele i wtedy właśnie byli rozpoznawani. Metodę wywoływania powstań i rozszyfrowywania w ten sposób, kto jest inspiratorem buntów w Polsce, przekazał polski Żyd, który w tym czasie miał w Łodzi największe fabryki tekstylne. Jego zakłady dostarczały na potrzeby armii carskiej duże ilości sukna i materiałów na mundury i szynele. Ale zakłady te, jako nieliczne w tym czasie w Europie, produkowały piękny jedwab i aksamit oraz cała gamę kolorowych wstążek. Dwór carski od dawna kupował te towary. Z racji dużych sum pieniędzy, jakie przekazywano za te materiały, właściciel często bywał w Rosji i było o nim głośno z racji jego bogactwa i przepychu, jakim się otaczał. Żydzi w tym czasie byli jako naród prześladowani tak w całej Rosji, jak i w krajach zajętych przez Rosję, ale nie dotyczyło to osób pokroju tego polskiego Żyda. Doradcy carscy donieśli carowi, że to wyjątkowo mądry Żyd i dobrze by było z nim porozmawiać o Polsce, bo przecież on tam żyje i produkuje, a że Polaków nie lubi, to pewnie podpowie, jak walczyć z buntownikami w Polsce. Zaproszono więc Żyda do cara i w trakcie rozmowy zapytano, co on by zrobił, żeby trzymać za mordę tych polskich buntowników.

Ku zdumieniu cara i jego otoczenia Żyd powiedział, że na miejscu cara sam wywołałby te powstania: „Normalnie nie możecie wyłapać przywódców, którzy buntują ludzi, gdyż są zakonspirowani i chronieni. Ale gdy już wybuchnie powstanie, to przywódcy stają na czele tego buntu i widać ich, gdy zagrzewają i kierują tymi walkami" - przekonywał. Wielu znających tę historię ludzi mówiło, że carowi ten pomysł bardzo się podobał, nakazał więc dobrze płacić tym, którzy wejdą w szeregi zbuntowanych i doprowadzać będą do częstych powstań, czyli jak wtedy mówili zaborcy – buntów.

Patrząc z perspektywy historycznej, to tylko powstania na Śląsku możemy liczyć do udanych. Wszystkie inne kończyły się klęską i ofiarami. Po każdym takim powstaniu pędzono pieszo, bez względu na pogodę, wielkie kolumny polskich zesłańców na Sybir. Wielu padało z zimna i głodu po drodze, ale jakaś

część doszła, a dziś znamy z licznych opisanych historii jak tam żyli i co robili.

Wiemy, że sporo uciekło, ale nie do Polski, tylko do Ameryki i wielu innych krajów. Mało natomiast wiemy o tych, którym w ramach carskiej łaski udało się wydostać z Syberii i żyli rozrzuceni w różnych republikach radzieckich. Jasno trzeba powiedzieć, że z reguły nie była to „łaska carska", a wynikało to z potrzeb gospodarki, nauki lub techniki.

Wielu spośród zesłańców przecież było ludźmi wykształconymi, bo na przykład ci, którzy uciekli do Ameryki zasłynęli tam jako naukowcy rozwiązujący różne problemy w gospodarce i technice. Rosja zaś w tym czasie różniła się bardzo od Europy i świata, a i za czasów Związku Radzieckiego mieliśmy liczne dowody tego, jak bardzo są zacofani w wielu dziedzinach. Doradcy zaproponowali carowi tak zwane ułaskawienia, ale bez powrotu do Polski, przez co wielu zesłańców po tym dekrecie żyło w rozrzuceniu po całym kontynencie rosyjskim. Byli wykładowcami na uczelniach, kierowali zespołami ludzi w fabrykach i na budowlach. Byli też na Krymie.

Poznałem tam rodzinę polską, z którą nie tylko, że się zaprzyjaźniłem, ale pomogłem im wrócić do Polski. Pierwszy raz zetknąłem się z nimi w Jałcie na koncercie, jaki my, Polacy, daliśmy dla miejscowej ludności.

Gdy zeszliśmy ze sceny, podszedł do mnie człowiek ze łzami w oczach i powiedział po polsku: „Panie, mój ojciec to śpiewa. My jesteśmy Polacy. Żona też i dzieci". Tak prosił, żeby zobaczyć jego ojca, że uległem i pojechałem z nimi do ich domu. Ojciec już nie chodził, jeździł na wózku inwalidzkim, który syn mu sam zrobił z roweru. „Panie – mówił do mnie starzec – Nogi mi połamało w morzu. Byłem nurkiem. Ja i mój brat. Brat zginął przy mnie w morzu".

Zaczął mówić chaotycznie, nerwowo, jakby chciał, żebym usłyszał jak najwięcej z tego, co nosi w sobie. Ale tego dnia nie mogłem być u nich długo, raz z tego powodu, że przywieźli mnie samochodem radzieccy ludzie i byli świadkami tej rozmowy, mogłem więc narazić na kłopoty i siebie, i ich rodzinę, a po drugie dlatego, że mieliśmy jeszcze tego samego wieczoru jechać dalej na Krym. Widząc, że starzec płacze, obiecałem, ze przyjadę do nich w drodze powrotnej, czyli za dwa tygodnie. I tak było. Gdy ponownie mieszkaliśmy w Jałcie i mieliśmy wolne popołudnie od zorganizowanego zwiedzania i wycieczek, wsiadłem w trolejbus i pojechałem do nich. Nie ukrywali przede mną, że nie wierzyli, iż ponownie do nich przyjadę. Tym bardziej cieszyli się, a szczególnie ojciec tego, który był na koncercie. Musiałem z nimi zjeść obiad i wysłuchać najstarszego w rodzinie.

- Pewnie pan się dziwi, skąd my znaleźliśmy się na Krymie – zagadnął.

- Na roboty nikogo nie zsyłano za bunty w Polsce. Przecie tu są lepsze warunki życia niż na Syberii, jest ciepło, są tanie owoce i warzywa – powiedziałem.

Ale nie dał mi mówić dalej.

- Panie, to tak nie było, jak pan myśli. Nie było tak za cara, jak jest tu teraz. A nas przywieziono tu nie za cara, żeby pan pamiętał. Jeszcze przed rewolucją, tą w 1917 roku. Przyjeżdżali do nas na Syberię carscy urzędnicy z policją i szukali ludzi bardzo zdrowych. Ja wtedy miałem dwadzieścia pięć lat. Byłem bardzo zdrowy. Brat, o rok młodszy, też był wyjątkowo zdrowym. Ojciec i matka mieli około pięćdziesiątki, ale trzymali się dość dobrze. Nie mówili, po co szukają takich młodych, zdrowych mężczyzn. Zabrali nas obu, a rodzice zostali na Syberii. Żadne płacze i protesty nie pomogły. Przewieziono nas i paru innych do bazy marynarki wojennej w Kronsztadzie. Lekarze przez parę dni robili nam badania. Wreszcie

zrozumieliśmy, o co im chodzi - tu uczono nurków morskich. Zaczęto nas ubierać w skafandry i spuszczać pod wodę, coraz głębiej i dłużej. Nie wszyscy tę naukę wytrzymali, wielu zmarło po tych eksperymentach. My z bratem szczęśliwie przeszliśmy wszelkie próby i egzaminy. Byliśmy skoszarowani jako żołnierze, ale z ograniczoną wolnością. Nie wolno nam było wychodzić na miasto i brać udziału w uroczystościach, jakie tam się odbywały. To był czas tuż przed wybuchem rewolucji, która tu przecież miała swoją kolebkę, tu właśnie strzelała Aurora rozpoczynając rewolucję. Tu też powstała pierwsza władza radziecka, co prawda nie kierował ją Lenin, a Trocki, ale niedługo, gdyż go obalono i Lenin ze swą radą zaczęli stąd rządzić. Po tej rewolucji byliśmy już wolnymi ludźmi, ale nie na tyle, żeby na przykład wsiąść do pociągu i pojechać do rodziców, bądź ich ściągnąć do nas. Takiej wolności nie było. Mimo, że obaj z bratem pisaliśmy prośby i podania, żeby zabrać rodziców z Syberii do siebie, to władza ciągle odpowiadała odmownie. Ja poznałem tu Polkę i ożeniłem się, a brat był kawalerem. Żyliśmy bardzo skromnie, bo cały czas nie wypuszczano nas z wojska. Ratowało nas to, że pracowaliśmy w porcie lub na morzu i mieliśmy kolegów rybaków, którym uwalnialiśmy sieci rybackie zaczepione podczas połowu o wraki leżących na dnie okrętów, a oni odwdzięczali się nam rybami. Tak było kilka lat i my tu, w Leningradzie, bo tak nazwano miasto, nie mieliśmy pojęcia, że nie cały Związek Radziecki jest pod władzą radziecką. Tego nikt nie pisał i nie mówiło o tym radio. Po siedmiu latach od wybuchu rewolucji październikowej kazano nam z bratem i z moją rodziną pakować się, gdyż przenoszą nas na Krym. Okazało się, czego nie wiedziałem, że dopiero teraz wojska Armii Czerwonej wyzwoliły Krym i że są bardzo potrzebni nurkowie w Jałcie. Obaj z bratem otrzymaliśmy domki jednorodzinne, stare, bo mieszkali w nich miejscowi Tatarzy, których na krótko przed naszym przywiezieniem tu rozwieziono rodzinami po całym terytorium Związku Radzieckiego. Stalin kazał rozproszyć ludność, która tu zamieszkiwała od dawna, jak najdalej od Krymu. Jeśli ktoś teraz patrzy na stare pałace hrabiego Woroncowa lub innych rosyjskich bogaczy, czy na nowe, budujące się sanatoria i myśli, że tu tak pięknie i dobrze, to się bardzo myli. Na Krym, w danych czasach, zwożono do pracy skazańców, a i dziś, dalej od morza, gdzie są tereny bardzo mokre, gdzie panuje malaria i różne inne choroby, tam też pracują więźniowie. Ja musiałem przejść na rentę, a później na emeryturę. To dla mnie straszna tragedia, do dziś śni mi się często to, co widziałem na dnie morza. Budzę się wtedy i modlę za tych, których tam widziałem i za brata. Proszę Boga, żeby mi więcej nie przypominał, tego, co przeżyłem w morzu. Boję się tego bardzo, ale nie chcę mówić - nie mogę, nie mogę tego jeszcze.

I te ostatnie słowa powtarzał wielokrotnie.

Więcej na ten temat nie chciał mówić. Zaczął mnie bardzo prosić, żebym pomógł jego synowi powrócić do Polski.

– Ja stary jestem i chory, mogę tu zostać i umrzeć, bo tu leży na cmentarzu mój brat. Zostanę, żeby mu było raźniej. Ale, jeśli pan może, to błagam pana na Boga. Pomóż pan staremu człowiekowi.

Głos zamarł mu w gardle i łzy popłynęły z oczu. Nie mogłem spokojnie patrzeć, bo i mnie dusiło coś w gardle. Wziąłem od nich wszystkie dane dotyczące całej rodziny, włącznie z danymi ojca inwalidy, choć on się od tego wzbraniał.

Był rok 1971, ja wówczas byłem mało znaczącym działaczem w partii. Przypomnę, że wstąpiłem do partii w 1968 roku, zaraz mnie z niej wywalili, następnie przyjęli i wtedy dopiero zaczyna się moja droga z partią. W związkach

zawodowych byłem już jednak znanym działaczem i zdążyłem już pełnić szereg społecznych, ale wysokich funkcji.

W tym czasie za Gomułki, było już podpisane porozumienie ze stroną radziecką o tak zwanej repatriacji ludzi narodowości polskiej. Gomułka wymógł to najpierw u Chruszczowa, a później Breżniew akceptował te powroty do ojczyzny. Tyle, że cały czas było to obwarowane konkretnymi przepisami. Jeśli na przykład zawód tego, który chce wrócić do Polski, był dla gospodarki kraju niezbędny, to nie dostawał pozwolenia na powrót do Polski. Nie mieli trudności ludzie pracujący w kołchozach, ci mogli wracać.

W sprawie, którą wspierałem, syn inwalidy był też nurkiem, a to zawód deficytowy, więc ludzie o takim fachu nie dostawali pozwolenia na opuszczenie Związku Radzieckiego. Dopiero w drugiej połowie dekady lat siedemdziesiątych, gdy najpierw zostałem zastępcą członka KC, a później już członkiem, otworzyły się większe możliwości, żeby pomoc tym na Krymie. W ich imieniu złożyłem prośbę do władz radzieckich. Parę miesięcy nie odpowiadali, myślałem, że wyrzucili tę sprawę do kosza, ale kiedy byłem w Moskwie z delegacją Komitetu Centralnego, zostałem poproszony na rozmowę.

Do hotelu, w którym byliśmy zakwaterowani, przyjechało specjalnie dwóch urzędników, przedstawili się, że są z urzędu, który rozpatruje wnioski i pozwolenia na opuszczenie Związku Radzieckiego. W bardzo uprzejmej rozmowie dopytywali się, co mnie łączy z tymi ludźmi, dlaczego osobiście napisałem prośbę o zgodę na ich wyjazd, od kiedy ich znam i zadawali jeszcze szereg innych, według mnie, całkowicie głupich pytań. Odpowiedziałem tak: „Ujęli mnie wielką miłością do ojczyzny, to raz. A po drugie należę do tych ludzi, których można ująć za serce – wbrew temu, co się o mnie mówi, że podobno jestem twardy. Każdy ma czułą strunę w sobie, trzeba tylko wiedzieć, jak ją poruszyć. To cała moja odpowiedź i jeśli to od was zależy, to proszę napiszcie tak, żeby ci ludzie mogli do Polski wrócić. Bardzo was o to proszę."

I to podkreślałem kilka razy.

Myślałem, że trzeba będzie czekać znów parę miesięcy, ale stało się inaczej. Trzy tygodnie po tym przesłuchaniu w Moskwie otrzymałem na adres członka KC zawiadomienie, że pociągiem turystycznym Symferopol – Berlin, w dniu takim i takim, przyjadą do Warszawy ci Polacy.

Wtedy pociągi, które przewoziły turystów z Niemiec i Polski na Krym, nie kursowały regularnie, ale pod potrzeby. A zatem w tym przypadku nie czekano na transport zbiorowy, jakim co jakiś czas wracali Polacy do ojczyzny, tylko specjalnie załatwiono szybkie i dobre warunki tym ludziom. O to ja już nie prosiłem, to wyszło od nich z Moskwy. Gdy przyjechali z dwojgiem dzieci w wieku szkolnym, no i z tym inwalidą na wózku, było dużo radości i łez. Załatwiłem im hotel, bo tak się praktykowało, że zanim się znajdzie ludziom pracę i mieszkanie, to tymczasem oczekiwali w hotelu na koszt państwa.

Wiedziałem, że szybko znajdę pracę dla nurka, zawsze ich przecież brakowało. Martwiłem się bardzo o to, czy dzieci podołają w szkole. Tam uczyły się po rosyjsku, a chociaż język polski znały dobrze, to jednak mowa to nie to samo, co pisownia. W ciągu tygodnia syn inwalidy otrzymał pracę na Wybrzeżu i zaraz też otrzymali z odzysku mieszkanie. Odwiedziłem ich w miesiąc od ich przyjazdu.

- Jakie macie kłopoty – spytałem, gdy tylko przekroczyłem próg mieszkania.

Ale nie usłyszałem odpowiedzi. Zrobili natomiast coś, co mnie osłupiało i

zatkało - cała czwórka, rodzice i dzieci, uklękła przede mną.

Nie wiedziałem, co robić, a oni dalej klęczą i dziękują.

- Jeśli natychmiast nie wstaniecie, to ja też uklęknę przed wami – mówię i zaczynam to robić.

Wstali, choć nadal i dziękują.

- Ludzie, dajcie spokój z tym dziękowaniem. Cieszę się, że wróciliście do Polski. A jak pan się czuje – spytałem starszego pana na wózku – Ten wózek wyrzućcie na śmieci, takim nie można jeździć po ulicy, ja spróbuję załatwić coś lepszego – zapewniłem ich.

Na koniec dorzucam:

- Dziś jestem tu przejazdem, ale za parę dni wpadnę do was na parę godzin, jeśli pozwolicie.

Mimo, że nie chcieli mnie puścić, musiałem jechać dalej.

Ponownie zajechałem do nich za miesiąc. Jechałem do nich w konkretnym celu. Cały czas pamiętałem, co mówił mi na Krymie ten inwalida, że boi się spać, bo śni mu się to, co przeżył w morzu, kiedy zginął przy nim w wodzie jego brat. Tam, na Krymie, w Jałcie, mówił mi ten stary człowiek, że jego ojciec, który został z matką na Syberii, wywodzi się ze znanego rodu z czasów Polski pod zaborem carskim. Nazwisko Wyszomirski było znane tym, którzy brali udział w powstaniach.

- Nawet nie wiedziałem, kiedy zmarli – opowiadał - Z Jałty napisałem do rodziców i otrzymałem z urzędu odpowiedź, że już od paru lat oboje nie żyją. Mam takie samo imię, jak mój ojciec, bo u nas była taka tradycja, z najstarszy syn nosił imię po ojcu. No i też swojemu synowi dałem takie samo imię. Czyli, że mój ojciec był Stanisław, ja też Stanisław i syn mój tak samo – mówił z dumą.

Męczyła mnie jedna myśl. W dzieciństwie usłyszałem opowieść, którą teraz sobie przypomniałem.

Mój ojciec, Józef Siwak, służył w carskiej armii dwadzieścia jeden lat. Jego dwaj bracia też służyli, jeden do dwunastu lat, drugi do dziewiętnastu. Michał, jeden z braci mego ojca, był kilka lat kierownikiem pociągów wojskowych. Jeździł po całej Rosji od granicy do granicy, a także do Chin i wielu innych krajów. Opowiadał, co zdarzyło się na Krymie, kiedy zajęła go Armia Czerwona.

Mój ojciec z kolei powtarzał opowieści, których nasłuchał się od kolegi, który tam był, a później służył z nim wojsku. Wtedy to, co mówili stryjek i ojciec, traktowałem jak bajkę o żelaznym wilku. Teraz pomyślałem, że mówili o tym, co starszy Stanisław Wyszomirski przeżył i dlatego boi się spać, bo mu się to śni. Czy możliwe, żeby to była ta sama historia?

- Tu w Polsce już nic panu nie grozi – zapewniłem go, gdyż widziałem, że ciągle się obawia szczerze mówić o tym, co przeżył.

– Ja domyślam się, co zdarzyło się na morzu, gdyż będąc dzieckiem, słyszałem od swego ojca i jego rodzonego brata, ze zatopiono bardzo dużo ludzi, że wywożono ich okrętami i zrzucano do morza. Czy to prawda? - zapytałem wprost.

Siedzieliśmy naprzeciw siebie blisko, patrząc sobie w oczy.

- Panie Albinie widzę, że jednak ludzie wiedzą o tej tragedii, że mimo tajemnicy, w jakiej ją trzymano, prawda się wydostała do ludzi i jest wśród nich. Ja tak też myślałem – dodał Stanisław - że nie da się tego ukryć na zawsze. Że ktoś, gdzieś, coś o tym powie i rozejdzie się, jak każda prawda, której nie da się ukryć. Otóż,

panie Albinie, jak nas z bratem przywieźli do Jałty i zatrudnili w porcie, to wtedy władza radziecka stacjonowała tam już od trzech miesięcy. Pracowaliśmy z bratem dla marynarki wojennej. Było wtedy tam sporo zatopionych barek i okrętów oraz różnego sprzętu, jak pływające dźwigi i holowniki. To wszystko utrudniało dostęp do nadbrzeży portowych, okręty i statki nie mogły dobić do przystani. Zaczęliśmy więc wydobywać to wszystko, co uciekający z Krymu biali, jak wtedy nazywano przeciwników rewolucji, potopili. Kim oni byli? Ludzie, którzy uciekali przed Armią Czerwoną na Krym, a później drogą morską na Zachód, byli bogaci, z reguły stanowili arystokrację carskiej Rosji. Krym bardzo długo nie był radziecki, bo państwa zachodnie przekazywały tu bardzo dużą pomoc. Uciekało tu bardzo dużo wojska, a szczególnie dużo oficerów i kadetów, synów bogatych ludzi. Otrzymywali broń i wszystko, co było im niezbędne do obrony. Dość długo nowa władza radziecka miała wokół swych granic wrogów i ciągle toczyła wojny, nawet przecież z Polską walczyli i doszli aż pod Warszawę. Krymowi dali więc spokój, gdyż była tu mocna obrona, a armie radzieckie były zaangażowane w innych miejscach. Ale przyszedł czas, że wzięto się i za Krym, a nie byle jakie wojsko go zdobywało, tylko dywizje NKWD. Jakie to było wojsko i z kogo się składało, to chyba pan wie? - spytał mnie Stanisław.

- Więc zaczęła się zemsta – kontynuował Stanisław – za te lata, kiedy ginęli tu ludzie chcący ustanowić tu władzę radziecką. Myślę, że widział pan na Krymie jak dużo jest tam pomników na cześć tych, którzy zginęli z rąk białogwardzistów – zwraca się do mnie starzec.

- Tak, to prawda, co pan mówi. Zwiedzając Krym widzieliśmy w każdym mieście i miasteczku te pomniki – przytakuję.

- Więc kiedy zdobywali Krym, nacierające wojsko nie miało litości dla tych, którzy nie zdążyli uciec - ciągnął opowieść Stanisław – a uciec można było tylko jedną droga – morzem. Rozgrywały się podobno niesamowite sceny w czasie, kiedy ludzie starali się za wszelką cenę dostać się na okręt. Ludzie oddawali duże kosztowności i pieniądze, żeby wejść na pokład, ale mimo przepełnionych okrętów, nie wszyscy zdołali uciec przed Armią Czerwoną. Wielu spośród ludzi, którzy z całej Rosji szukali tu ucieczki, wpadło w ręce radzieckiej bezpieki. Dla złapanych zrobiono dwa obozy, jeden dla mężczyzn, a drugi dla kobiet i dzieci. Mężczyzn zaczęto wywozić okrętami i mówiono, że do Turcji, ale te statki zbyt szybko wracały. Wywożono tych ludzi nocą, a rano statki wracały puste. Ludzie wiedzieli, że nie mogły zdążyć dopłynąć do Turcji i nawrócić z powrotem. Tak pozbyto się mężczyzn. Kobiety i dziewczęta dość długo służyły żołnierzom za rozrywkę. Wreszcie uzgodniono, że będą przewożone na Zachód, a tam już muszą same sobie dać radę. I tak rzeczywiście się stało. Pół roku później te kobiety zaczęły jednak wracać, ale już z papierami naszej władzy, że poszukują swoich mężów i braci. Były to bogate panie, miały na Zachodzie rodziny, u których wcześniej już ulokowały swoje pieniądze w obawie, że ta rewolucja może im je odebrać. Nowa władza radziecka była teraz jednak biedna, sprzedawała więc wszystko, co tylko Zachód chciał kupić, nie tylko złoto i olbrzymie ilości drewna, ale na przykład jeden amerykański bogacz kupił ogrodzenie Pałacu Zimowego w Leningradzie, które było dziełem sztuki metaloplastycznej. Była zatem zgoda władz radzieckich, by za duże pieniądze pozwalać odszukać bliskich, którzy zginęli w czasie ewakuacji z Krymu. Płacono duże pieniądze nurkom, żeby odnaleźć zatopionych, jak przypuszczano, ale szybko się okazało, że brak chętnych do poszukiwań. Pierwsi dwaj nurkowie, jakich spuszczono do wody w

rejon, gdzie byli zatopienie ludzie, doznali takiego szoku, że po wypłynięciu na powierzchnię wpadli w obłęd. Komisje lekarskie stwierdziły, że to na skutek przerażenia doznanego w wodzie. To, że na dnie są trupy, nurkowie wiedzieli, po to ich przecież wynajęto, żeby szukali zmarłych. Ale nikt im nie powiedział, ze mogą zobaczyć coś takiego. Rzeczywiście, w morzu były zatopione barki z ludźmi, co mogło wskazywać na katastrofę w morzu, jednak zdecydowana większość mężczyzn była zrzucana w otchłań z ciężarem uwiązanym do nóg. Do tej pory władza wymagała zezwolenia na poszukiwania, brała też dobrą zapłatę za nurków, a ci swoją drogą brali pieniądze od rodzin poszukujących zwłok swoich bliskich. Teraz, od paru dni, żaden nurek nie chciał zejść pod wodę, a tu już były wzięte pieniądze od rodzin potopionych. Wezwano więc wszystkich nurków do kapitanatu portu, tam czekała nas krótka rozmowa: „Sami wyznaczamy pary nurków, które zaraz dziś rozpoczną poszukiwania. To jest rozkaz i nie ma od niego odwołania" - zakończył dowódca. Mnie razem z bratem wyznaczyli jako pierwszą parę tego dnia i od zaraz wypłynęliśmy w morze. Sam już parę razy poszukiwałem w zatopionych okrętach marynarzy i domyślałem się, co spotkali na dnie morza ci, którzy wpadli w obłęd. Jeśli ciało było na przykład uwięzione za nogi, to taki nieboszczyk stał w wodzie, a nawet się ruszał, bo poruszała go woda. Zatopienie mogą nie mieć twarzy, bo ryby mogły zjeść ciało. Podzieliłem się z bratem moimi doświadczeniami, przekonując go, żeby się nie bał. „Bądź blisko mnie" - prosiłem go, gdy już opuszczano nas w wodę. Rzeczywiście, było tak, jak myślałem. Potopieni stali na swoich nogach i ruszali się raz w lewo, to znów w prawo. Naszym zadaniem było odcięcie ich od ciężarów, po czym powinni sami wypłynąć na powierzchnię morza. Odcięliśmy z bratem kilkadziesiąt zwłok i musieliśmy wypłynąć, gdyż kończył się już czas zanurzenia. Będąc na powierzchni widzieliśmy, że ciała są wydobywane i wciągane na pokład. Po odpoczynku znów zeszliśmy na dno i uwalnialiśmy ciała jak poprzednio. Wyłowione ciała zwożono do chronionych magazynów marynarki wojennej i tam rodziny po uzębieniu, ubraniu i sobie znanych znaków szczególnych rozpoznawały swoich bliskich. Tych, których nie rozpoznano, chowano nocą na cmentarzu. Następnego dnia dowódca, widząc, że obaj z bratem nie panikujemy, że zachowujemy się normalnie, powiedział: „Nie będziemy opuszczać nowych nurków. Może się różnie z nimi zdarzyć, wy już macie doświadczenie, więc będziecie i dziś nurkować. Dostaniecie za to duże pieniądze i urlop". Tak więc nurkowaliśmy i następnego dnia. Tym razem opuszczono nas trochę dalej od miejsca, gdzie wczoraj byliśmy. Na dnie tam leżała na boku duża barka, a obok niej kuter rybacki tak, że barka opierała się bokiem o ten kuter. Barka przygniotła kilka ciał, które nie dawały się spod niej wyciągnąć, więc brat podpłynął w to miejsce, gdzie kuter opierał się o nią i znalezioną na dnie rurą podważył tak, żeby ruszyć barkę. Rzeczywiście barka zaczęła się ruszać i uwolnione spod niej ciała zaczęły wstawać. Zauważyłem jednak, że chyli się ona na naszą stronę. Zacząłem bratu pokazywać, żeby uciekał, bo może go przygnieść, ale on dalej ruszał tą rurą i chybotał barką. Ze skafandra, jakie wtedy mieliśmy, widok był ograniczony i brat prawdopodobnie nie widział, co mu pokazywałem. Zacząłem więc podpływać do niego, kiedy nagle barka przewróciła się, przygniatając go. Ja poczułem ostry ból w nogach i na parę minut ogarnął mnie piasek i mętna, nieprzejrzysta woda. Gdy wzniecony upadkiem barki tuman brudów zaczął stopniowo opadać, zobaczyłem, że mam przygniecione obie nogi. Nożem, jaki miałem przy sobie, zacząłem kopać w ziemi, by uwolnić nogi. Bałem się o brata, mimo że był blisko, to nie widziałem go. Udało mi się uwolnić nogi, ale

zrozumiałem, że obie muszą być połamane. Ciągnąc się rękoma i wlokąc nogi za sobą dopłynąłem do miejsca, gdzie powinien być brat. Leżał przygnieciony bokiem barki, a jego skafander był zgnieciony, po czym wnioskowałem, ze woda wdarła się do środka i on na pewno już nie żyje. Ale nie chciałem go tak zostawić łudząc się, że może jakimś cudem żyje. Leżąc obok kopałem nożem w dnie, żeby go spod tej barki wyciągnąć. Wreszcie udało się zrobić trochę luzu i stopniowo wydostałem brata. Jednak nie żył. Obwiązałem go linką asekuracyjną i trzymając się jej, zacząłem ja szarpać, co było umówionym sygnałem, żeby nas wyciągać. Tak skończyło się moje nurkowanie i życie mego brata. Nogi, jak pan widzi, do tej pory są nieczynne. Oto cała historia, która mnie męczyła i nie daje spać. To piękne morze, to rozpacz i tragedia potopionych tam ludzi. To mój czarny los jaki w nim znalazłem.

Skończył opowieść. Usta mu drżały i głos się łamał, gdy to opowiadał. Musiał naprawdę mocno przeżyć to nurkowanie, gdyż tyle lat po tym wypadku, głęboko przeżywał te scenę i śmierć brata. Stary inwalida na wózku patrząc mi w oczy powiedział:

- Myśli pan, że na Krymie, w Morzu Czarnym, nie topiono dzieci?

- Myślę panie Stanisławie, że jeśli topiono całe rodziny, to i dzieci będące z nimi również.

- Nie, nie to miałem na myśli, że z rodzicami razem topiono, ale to, że zatapiano statki, na których były wyłącznie małe dzieci do dziesiątego roku życia. Ja brałem udział z grupą nurków w akcji – mówił pan Stanisław – gdy otwieraliśmy pozamykane celowo drzwi na statku, żeby żadne dziecko nie wypłynęło na powierzchnię wody. Opowiadali mi żołnierze, którzy byli tu wcześniej przede mną, a konkretnie jak dywizje NKWD, wchodzące w skład Armii Czerwonej, zdobywały cały Krym. Szacowano wtedy na oko, że było tu 50 – 70 tysięcy ludzi, którzy nie zdążyli uciec. Jak panu mówiłem, rozdzielano mężczyzn od kobiet, ale rozdzielano też kobiety i dzieci. Do dziś jest w Jałcie teren marynarki wojennej ogrodzony i dobrze pilnowany. Stoją tam duże magazyny portowe i w nich trzymano tych ludzi. Dzieci były osobno i władza sprytnie oszukała rodziców mówiąc, że te dzieci nie mają toalet, ani właściwego wyżywienia czy spania, i że dlatego podejmuje się decyzję przewiezienia dzieci do jednego z pałaców Woroncowa i tam dzieci będą miały, to, co im potrzeba. Użyto do tego celu spory statek pasażerski, który nie nadawał się już do eksploatacji, nawet nie miał silnika.

- Żołnierze opowiadali mi – mówił dalej pan Stanisław – że umieszczono na tym statku 1500 dzieci. Holownik zaczepił linę i pociągnął ten statek rzekomo do tego pałacu, ale holownik wrócił, a statek nie. Ludzie domyślali się, co się stało, ale głośno nikt o tym nie mówił. Jak już było to zezwolenie na poszukiwania bliskich i krewnych, to również wiele osób miało papiery, że wolno im szukać i dzieci. Głosiło się tedy, że statek zatonął, gdyż zaczepił o wrak zatopionego okrętu. Mnie z bratem oraz innymi nurkami spuszczono do tego zatopionego statku. Drzwi nie tylko były zamknięte na klucz, czy kłódkę. One były zespawane i musieliśmy je przecinać, żeby je otworzyć. Widok był nie do opisania. Pomieszczenia na tym statku były zapchane dziećmi. Trzeba było każde dziecko wyciągać na zewnątrz i dopiero wtedy ono wypływało na powierzchnię wody. Nie wszyscy nurkowie mogli to robić. Wielu odmówiło mimo rozkazu dowódcy. Niech pan sobie wyobrazi, panie Albinie, co tam się działo, jak one tonęły? Jaka rozpacz i wołanie o pomoc? Jakie przerażenie? Jakim człowiekiem trzeba być, żeby postąpić tak z dziećmi i to nie z

wrogiem na wojnie?

- Ja słyszałem już tu w Polsce, od Polaków – mówił pan Stanisław – że radziecka łódź podwodna storpedowała przepełniony cywilami okręt (Wilhelm Gustloff). Było na nim 10.6124 osób i wszyscy poszli na dno. To jest też morderstwo. Ale biorąc pod uwagę, co hitlerowcy robili na terenie Związku Radzieckiego z ludnością cywilną, jak i ile wymordowali ludzi, można postawić tezę, że ci, co storpedowali ten okręt nosili w sobie żal i zemstę za wszystko, co wyszło od narodu niemieckiego. Natomiast te 1500 dzieci było niewinne. Jaką nienawiść musieli nosić w sobie ci ludzie, którzy podjęli decyzję ich zamordowania? Ja myślę, panie Albinie, że ludzie powinni modlić się do Boga o to, żeby więcej na świat nie przychodzili tacy ludzie jak Hitler czy Stalin, a szczególnie tacy jak Beria i Kaganowicz.

- Tu już wkraczamy w kompetencje Pana Boga, który dopuszcza, by tacy ludzie, jakich pan wymienił, co jakiś czas zjawiali się na świecie.

- Panie – powtarzał pan Stanisław – ja do tej pory nikomu o tym nie mówiłem. Pan jest pierwszą osobą, której to opowiedziałem. Tam w Związku Radzieckim za takie gadanie można było zniknąć bez śladu. Ja po wyjściu ze szpitala cały czas czekałem, kiedy oni przyjdą po mnie. Nie wierzyłem, że zostawią mnie przy życiu - wyjawił starzec.

- Bo widzi pan, panie Stanisławie, wcześniej były w prasie artykuły, w których pisano, że podczas ewakuacji z Jałty zatonęły przeciążone ludźmi statki – odrzekłem.

- No, dobre – odpowiedział pan Stanisław – na pewno takie barki też zatonęły. Ale ludzie na tych barkach w czasie podróży nie mieli przecież u nóg ciężarów. Takie ciała wypływają same i morze wyrzuca je na brzeg. A te stały tam i czekały, żeby je uwolnić.

- Moim zdaniem, panie Stanisławie, było i tak i tak – stwierdziłem – to znaczy, że jednych celowo zatopiono, a drudzy zatonęli z przeciążenia barek, albo też je ktoś uszkodził, żeby poszły z ludźmi na dno. To są te ciemne strony rewolucji i nienawiści do rosyjskiej arystokracji oraz do ludzi wykształconych. Ktoś postanowił ich wykończyć, żeby już nigdy nie stwarzali władzy kłopotu. Przecież za Trockim pojechali za granicę specjalni ludzie i rąbnęli go siekierą w głowę. A Pol Pot, wie pan, panie Stanisławie, co zrobił w Kampuczy? – pytam.

- Nie, nie wiem – odparł inwalida.

- Wymordował pięćdziesiąt trzy procent swego narodu, tych, którzy umieli czytać, lekarzy, całą inteligencję. Zniszczył pieniądze, sklepy, koleje i prasę. Mogli żyć tylko ci, którzy uprawiali ziemię. A jak mordował, to NKWD mogłoby się od niego uczyć. Ja byłem w Kampuczy dwa tygodnie i pokazano nam tam wszystko. Zahartowani mężczyźni nie mogli patrzeć na filmy, które kręcono dla Pol Pota. Metody mordowania w obozie Phnom-Penh przechodzą ludzkie pojęcie. Żywymi ludźmi, popychanymi bagnetami do wody, karmiono głodne aligatory i krokodyle. - opowiedziałem starcowi – tak się dzieje, gdy jedna klasa narodu obala władzę drugiej klasy i nie uznaje żadnych praw. Ani ludzkich, ani boskich.

Rok po tej rozmowie pan Stanisław zmarł. Pojechałem na jego pogrzeb. Zadziwiająco było na nim dużo Polaków, tych, którzy wrócili do Polski. Odszedł człowiek, który widział na własne oczy, do czego zdolni są ludzie chcący rządzić światem.

Rozdział XI

GENERAŁ ZYGMUNT BERLING

Jako siedemnastoletni chłopak wróciłem z Mazur do Warszawy z marzeniami odbudowy stolicy. Moim drugim pragnieniem było zostać wojskowym. Ale inwalidztwo całkowicie wykluczało wojsko, o którym mogłem rzeczywiście tylko marzyć. Godzinami patrzyłem na równo maszerujących żołnierzy i oficerów. Rembertów, gdzie do dziś mieszkam, to nie tylko poligony i strzelnice, ale przede wszystkim uczelnie wojskowe, czyli kuźnia kadry oficerskiej. I chociaż co jakiś czas, z powodów politycznych, zmieniano nazwy tych uczelni, to najważniejsza zasada była i jest ta sama: wojsko, owszem, musi dobrze strzelać, prowadzić pojazdy itd., nieustannie się uczyć, bo przecież co jakiś czas wychodzą nowe technologie, nowe uzbrojenia, ale wojsko to przede wszystkim ludzie, których nauczono pięknie chodzić krokiem marszowym. To naprawdę było coś pięknego, gdy pluton, czy kompania, a czasem cały pułk, dokonywał zwrotów w marszu i przed komendą „stój" przybijał w ziemię butami, aż ptactwo z pobliskich drzew uciekało spłoszone hukiem uderzeń zelówek o beton. Przyglądając się wówczas żołnierzom, którzy żeby tak chodzić z całą pewnością wylali morze potu, myślałem o tym, żeby wczasach pokoju nauczyć mężczyzn porządnie chodzić. Przykro nieraz patrzeć, jak mężczyzna dwudziestoletni, czy trzydziestoletni nie umie chodzić jak należy ulicą; powinno się każdego brać na takie przeszkolenie. Ale to były marzenia zupełnie nie przystające do rzeczywistości.

Nigdy jednak nie pomyślałem o tym, że w swoim życiu poznam tylu wojskowych i to tak wysokiej rangi. A to, że będą przede mną stawać na baczność i salutować absolutnie nie przychodziło mi do głowy. Tymczasem każdy służbowy lot samolotem czy helikopterem, w kraju czy za granicę, miał to do siebie, że nim weszło się na pokład to dowódca, przeważnie generał, ale niekiedy pułkownik, składali członkowi Biura meldunek sprawności maszyny i celu lotu. Gdy zostałem członkiem Komitetu Centralnego to zdarzało się, i to dość często, że zapraszano nas na różne ćwiczenia i pokazy naszego wojska. Właśnie w takich okolicznościach poznałem generał Berlinga.

Rano pojechałem na lotnisko wojskowe, skąd mieliśmy lecieć do Szczecina-Dąbia na zakończenie ćwiczeń. Obok mnie stała grupa generałów, z którymi się już przywitałem, za chwilę doszedł generał Władysław Hermaszewski, rodzony brat polskiego kosmonauty i zameldował generałowi Siwickiemu, że samolot jest gotów do startu.

W czasie lotu generał Berling, siedzący parę foteli przede mną, zaczął się rozglądać, aż po chwili wstał i podszedł do miejsca, gdzie siedziałem z generałem Czyżewskim. Podał nam rękę na przywitanie i spytał, czy może obok usiąść. „Tak, siadaj" - odpowiedział Czyżewski. „To towarzysz Siwak" - przedstawił mnie Berlingowi. „A tak, to wiem" - powiedział Berling. „Podziwiam was, że nie boicie się tej sfory wrednych ludzi. Uważnie czytam, wasze wystąpienia" - dodał Berling.

„Czemuś od nich odszedł?" - spytał Czyżewski Berlinga. Na co tamten odpowiedział: „Za dużo tam cebuli".

„Co ty gadasz? Cebuli nie jadają, perfumują się i co ty tam czujesz?" - drąży Czyżewski.

„Wacek, ja ci powiem tak. Żeby trzy razy dziennie brali prysznic i oblali się

butelką francuskich perfum, to i tak Żyd z nich wyjdzie. Dlatego nie mogę z nimi siedzieć. Rozumiesz?" - dodał Berling.

„Czy nie boisz się tak mówić?" - zastanawiał się Czyżewski.

„A co oni mogę mi jeszcze zrobić. Co chcieli to już zrobili. Zabić mnie chyba się boją" - dodał.

Na platformie, z której oglądaliśmy wystawione pułki i przemarsz wojska, generał Berling trzymał się z nami. Tak samo w kasynie i w drodze powrotnej do Warszawy. Gdy po odejściu Berlinga żegnałem się z Czyżewskim, ten stwierdził:

„Traf chciał, że rzeczywiście w tej grupie generałów, gdzie usiadł Berling, byli generałowie w większości pochodzenia żydowskiego".

Później widywałem Berlina wiele razy, czy to w loży honorowej w Sali Kongresowej na różnych uroczystościach państwowych, czy w pochodach na 1-go maja, czy na trybunie. Zawsze zamieniałem z nim kilka zdań i miałem wrażenie, że nie wstydzi się mnie, robotnika, że chętnie ze mną rozmawia. Raz byliśmy obaj wśród zaproszonych gości podczas wręczania awansów na wyższe stopnie generalskie i wtedy Berling spytał mnie, czy ja zdaję sobie sprawę z tego, że jak na razie to ludzie, którzy mają odwagę źle mówić o Żydach, nie wygrają tej batalii. Mówię mu, że tak. „Ale ja, krytykując często Żyda, wcale nie wiedziałem, że on jest Żydem – tłumaczę – po prostu denerwował mnie sposób, w jaki ten człowiek podchodził do racji stanu. Później dopiero od przyjaciół dowiedziałem się, że ten krytykowany przez mnie człowiek, to Żyd. Ale moim celem wcale nie było krytykowanie Żyda, tylko towarzysza partyjnego, który swoimi decyzjami działał na szkodę Polski. Przecież nie mają na gębie gwiazdy Dawida i ja nie rozróżniam, kto Żyd, a kto Polak" - odpowiedziałem Berlingowi.

„To źle – stwierdził generał – Poruszacie się po omacku, a wtedy łatwo samemu sobie nabić guza". Wyjął wizytówkę i powiedział: „Tu jest mój telefon i adres. Zadzwońcie kiedyś i wpadnijcie do mnie do domu". Po paru dniach zadzwoniłem i zgodził się tego samego dnia mnie przyjąć. W domu generała olbrzymi pokój pełen był książek i pamiątek z wojny, cały stół i biurko zajęte przez arkusze papieru zapisane ręcznie. „Kończę i przerabiam to, co napisałem" - powiedział, gdy zauważył, że ciekawie oglądam te zapisane arkusze.

Usiedliśmy przy stole i żona generała, pani Maria, przyniosła herbatę. Berling trzymał filiżankę w ręku i długo mi się uważnie przyglądał. Gdy odezwał się, nie mówił mi „towarzyszu, jak do tej pory.

„Panie Albinie, zaprzestań pan wojny z Żydami, bo oni tak to odczytują – powiedział – pan, strzelając, jak mi sam pan o tym powiedział, nie wie nawet, że trafia w Żyda. Ale oni są święcie przekonani, że pan doskonale wie, kim oni są i robi to celowo. Tej wojny nikt z Polaków z nimi nie wygra, a ten problem musi dojrzeć jak owoc, nim sam spadnie z drzewa. Oni sami bardzo pospiesznie pracują przez swoją chytrość i pewność na nowy holokaust, który wcale nie w Polsce wybuchnie. Szkoda pana, bo jeśli zechcą, a widać już, że chcą – to zniszczą pana. Pół Polski uwierzy w wersję, którą o panu puszczą, a panu nie starczy życia, żeby się z tego szamba wygrzebać. Po to prosiłem pana na tę rozmowę. Ja swoje już przeszedłem i znam ich metody i sposoby niszczenia ludzi" - powiedział Berling.

Siedzieliśmy jeszcze z pół godziny, ale generał już mało mówił. Byłem przekonany, że on ma rację, że toczę walkę bez perspektywy, bez cienia szansy, że ktoś publicznie przyzna mi rację, nie mówiąc już o zwycięstwie.

Kolejna uroczystość, jak miała miejsce w Sali Kongresowej, odbywała się już bez generała Berlinga. Na jego pogrzebie tych najważniejszych osób, dzierżących władzę, oczywiście nie było, bo uważali go za swego wroga.

Wszak do wrogów na pogrzeby się nie chodzi, tylko wysyła sobie wiernych, żeby zobaczyli, czy rzeczywiście zakopali go porządnie i że już nie wstanie. Upłynęło trochę czasu i gdy byłem już członkiem Biura Politycznego i przewodniczącym Komisji Skarg i Interwencji, przyszła do mnie pani Maria, wdowa po generale Berlingu z synem Januszem. „Panie Albinie – zaczęła swoją sprawę – jak pan wie, mieszkamy w budynku dla wojskowych. Przysłali pismo, że mamy z synem opuścić ten lokal, ale dają nam nowe mieszkanie. Tyle, że syn ma żonę i dwoje dzieci, a ja chciałabym mieć osobne malutkie mieszkanie. Pomóż nam pan, prosimy" - błagała wdowa.

Zawsze, kiedy sprawa dotyczy generałów, zasięgałem rady czy tylko informowałem o sprawie generała Jaruzelskiego, który z reguły kazał taką sprawę załatwiać pozytywnie. I tym razem tak zrobiłem. Generał Jaruzelski obarczył mnie przy tym zadaniu dodatkowym zadaniem. „Sprawę trzeba oczywiście załatwić tak, jak oni sobie życzą, ale można by od razu załatwić i drugi problem. Berling od paru lat pisał pamiętnik, możemy się tylko domyślać, co tam było. Dobrze, że ten pamiętnik nie dostał się w niepowołane ręce. Spróbujcie tak załatwić, żebyście pożyczyli ten pamiętnik" - polecił mi generał.

Szczerze mówiąc, to ja sam miałem od dawna chęć dowiedzieć się, co generał napisał. Sprawę mieszkaniową oczywiście załatwiłem tak, jak chciała tego rodzina, ale na temat pamiętnika nie miałem odwagi napomknąć. Czułem, że jak tylko pożyczą mi ten pamiętnik, to od ręki będę musiał oddać ten pamiętnik Jaruzelskiemu. Nie mogłem tego zataić, bo przecież generał mógłby się o tym dowiedzieć, że pożyczyłem pamiętnik i nie przekazałam go w jego ręce. Myśl o tym, żeby przejrzeć notatki Berlinga nie opuszczała mnie jednak i cały czas myślałem o tym, jak by je pozyskać do przeczytania. Sprawę ułatwiły mi pewne zdarzenia.

Jednego dnia, gdy odjeżdżaliśmy samochodem spod Komitetu Centralnego, bo miałem jechać do Lublina na konferencję wojewódzką, w tym momencie przyszła pani Maria z kwiatami, by mi podziękować. Mówię, że nie zabiorę tych kwiatów ze sobą, bo zwiędną i szkoda ich tylko. „Ale odwiedzę panią w tym nowym mieszkaniu" - powiedziałem. Kazałem później oficerowi umówić się na tę wizytę, ale zaznaczyłem, żeby i syn był z nią wtedy w mieszkaniu. Gdy zajechałem z kierowcą i oficerem na miejsce, oboje już na mnie czekali. Zależało mi, by być podczas rozmowy bez świadków, więc wcześniej przeprosiłem kierowcę i oficera. Nigdy nie stosowałem takiej metody żeby tych, co ze mną pracują wypraszać, gdy się spotykam prywatnie, chyba, że druga strona sobie tego nie życzyła, wtedy tak. Zostaliśmy więc sami i zaczęliśmy rozmawiać, jak im się żyje osobno.

Zaczęli oboje mi dziękować i dawali do zrozumienia, że chcieliby jakoś mi wynagrodzić za tak dobrze załatwioną sprawę. „Pani Mario – mówię – pani mąż zapracował nawet na lepsze. Szedł na ratunek Warszawie, a właściwie ludności Warszawy, przekroczył Wisłę. Dał z siebie wszystko, narażając się Moskwie". W tym momencie pani Maria powiedziała:

„Gdyby pan wiedział, jakie mąż miał plany, co chciał zrobić, przekraczając Wisłę. Ale to, co planował nie pasowało Berii i Stalinowi do ich koncepcji politycznych. On chciał za wszelką cenę uratować te trzysta tysięcy młodych ludzi, którzy walczyli czy przebywali wtedy w Warszawie".

„Pani Mario – przerwałem, przepraszając za to – Pani Mario, największą dla mnie nagrodą byłoby przeczytanie pamiętników pani męża. Czy moglibyście państwo pożyczyć mi te pamiętniki na tydzień?”- zapytałem. Ale nie odpowiedzieli mi ani tak, ani nie. „Niech pan zadzwoni do nas za tydzień” - zaproponowali. Nie zdawałem sobie sprawy, w jak poważne kłopoty wchodzę przez te pamiętniki. Za tydzień, na posiedzeniu Biura, Jaruzelski mówi:

„Myślałem, że uda się przy okazji towarzyszowi Siwakowi zdobyć te pamiętniki Berlinga. Trzeba je koniecznie od nich uzyskać, zaproponować za nie dużą cenę i kupić. Jeśli nie uda się ich wykupić innym sposobem, to trzeba je od nich zabrać”.

„On – mówił Jaruzelski o Berlingu – mógł w nich nieprzychylnie napisać o Związku Radzieckim za to, że go zdjęto z funkcji dowodzenia frontem nad Wisłą. Prawdopodobnie o wielu polskich generałach napisał źle, bo nie krył się z tym w rozmowach. Gdyby to ukazało się na Zachodzie, mielibyśmy duże nieprzyjemności z tego powodu. W tej sytuacji zadanie to powierzam Kiszczakowi i on musi znaleźć sposób, by je od nich dostać”. Zostało to zaakceptowane przez Biuro Polityczne. W tej sytuacji doszedłem do wniosku, że nie uda mi się przeczytać tych pamiętników. Ale mądre przysłowie mówi, że co ma wisieć, to nie utonie. Tak też było i z tą sprawą.

Mój oficer ochrony zameldował mi, że pani Maria dzwoniła już kilka razy, gdy nie było mnie w Biurze. Rzeczywiście wtedy ciężko było mnie złapać w Warszawie. Jeden dzień w tygodniu poświęcałem w gmachu KC na przyjęcia ludzi, z reguły było to wtedy od ósmej rano do 23 w nocy. Kolejny dzień poświęcałem na sprawy związków zawodowych w biurze na Mokotowskiej, też do późna w nocy. Trzeci dzień, to z reguły zaplanowane konferencje wojewódzkie w kraju, gdzie być musiałem, a pozostałe trzy dni upływały na spotkaniach z załogami różnych zakładów pracy. Ale na wizycie u pani Marii bardzo mi zależało, więc od ręki poprosiłem sekretarkę o połączenie.

„Panie Albinie – mówiła pani Maria – mąż wynajmował mały, letni domek na Mazurach od przyjaciela. My z synem i dziećmi jedziemy tam na sobotę i niedzielę. Zapraszamy pana w ten cudowny zakątek nad jezioro. Podała mi adres i wyjaśniła jak tam dojechać. Zakątek okazał się dobrze ukryty w kompleksie pojezierza iławskiego. W miejscowości Sarnówek kończyła się droga i dalej dojechałem już gruntową chłopską drogą do kilku drewnianych domków nad jeziorem. Ludzie wskazali mi, do którego z nich przyjeżdża czasami pani Maria z synem i wnukami. Po przywitaniu generałowa mówi do mnie:

„Ja widziałem jak bardzo pan nabrał chęci przeczytać pamiętniki męża. Pożyczyć ich panu nie możemy, ale proszę bardzo, niech pan sobie czyta. Mieliśmy wizytę od ministra Kiszczaka i chciano je kupić, ale syn się nie zgodził. Pomyślałam, że to znaczy, iż MSW podjęło, zgodnie z decyzją Biura próbę pozyskania i zabezpieczenia tych pamiętników. Jak się to nie udało teraz, to wymyślą co innego, żeby je posiąść. Panie Albinie, na stryszku miał mąż swój pokoik. Tam spokojnie może pan sobie czytać pamiętniki, ale proszę nie wynosić ich z domu” - zapowiedziała.

Czytałem już parę godzin i pani Maria przynosiła kanapki i herbatę. „Wie pan - zaczęła mówić – mąż ukochał to miejsce, ale nie mógł tu kupić działki, bo tereny te są włączone w park narodowy. Te kilka domków to ziemia chłopska, oni tu mieli stodoły na siano, bo wkoło tu piękne łąki. No, ale gdy na miejscu tych stodół pobudowali te domki, zrobił się wielki krzyk. Tyle, że pobudowali je ludzie

wpływowi i dali sobie radę, żeby nie rozebrano ich domków. To piękne jezioro z licznymi zatoczkami i wysepkami ciągnie się od Iławy daleko na północ i nazywa się Jeziorak. Jutro syn przewiezie pana motorówką i sam pan się przekona, jak tu cudownie".

Ale nie popłynąłem, bo zależało mi na przeczytaniu całości pamiętników Berlinga. Następny dzień czytałem do wieczora. Odpisałem sobie sporo ważniejszych wspomnień z życia generała, a było ono tyleż ciekawe, co i trudne.

Berling znalazł się w Moskwie w Zarządzie Głównym Związku Patriotów Polskich, w którym tylko on był Polakiem, oraz Aleksander Zawadzki i Bogdan Sokorski. Reszta to byli Żydzi, którzy już utworzyli nowy polski rząd, chociaż Polska była wciąż jeszcze pod okupacją Niemców.

Aresztowano Berlingowi żonę, która w jednym z gułagów na Wschodzie zmarła z głodu i zimna.

Znałem przecież własnoręcznie napisane pamiętniki W. Gomułki. One porażają faktami, które potem Werblan wyczyścił, żeby nie kompromitować Żydów. Ale tu wyzierała tragedia ludzi i kraju. Berling nie mógł otwartym tekstem mówić ani do oficerów z Katynia, Kozielska, Starobielska, Ostaszkowa, Kosowa, ani do swych żołnierzy nad Oką, gdzie tworzył pierwszą dywizję WP. W sercu i głowie nosił plan jak pomoc ojczyźnie.

W tym czasie wśród Polaków, którzy znaleźli się w Związku Radzieckim, był najwyższym rangą wojskowym. Gdy miał te rozmowy pod Moskwą, to wówczas nie znał prawdy, że już część oficerów polskich nie żyje. Rosjanie nie pałali miłością do polskich oficerów, a już tym bardziej do generałów, ale dobrze wiedzieli, jaką przeszłość miał Berling, jakie ma poglądy polityczne, a w tej chwili potrzebny był im człowiek, który po opuszczeniu armii Andersa mógłby tworzyć polską armię na terenie Związku Radzieckiego. Berling opisuje, jakie miał kłopoty, gdy już został członkiem Związku Patriotów Polskich w Moskwie. Z obrzydzeniem opisuje ludzi, którzy tworzyli ten związek. Wanda Wasilewska oraz Berman też nie mieli do niego zaufania, wyrabiali u Stalina złą opinią o Berlingu.

Stalin – jak pisał w swych pamiętnikach Berling – zdawał sobie sprawę, że nie ma żadnego wyboru, jeśli idzie o postawienie na czele Wojska Polskiego Polaka, któremu by ufali Polacy zgłaszający się do wojska. Owszem byli w Związku Patriotów Polskich Polacy, ale tylko dwóch plus Berling, pozostali ludzie w związku to Żydzi.

Bogdan Sokorski nie nadawał się na dowódcę armii, a Aleksander Zawadzki stawiał dopiero pierwsze kroki w wojsku i też do roli szefa pierwszej armii nie miał kwalifikacji. Stalin z dwojga złego wybrał mniejsze zło, to jest Polaków.

Jak mocno podkreśla to we wspomnieniach generał Berling, to Związek Patriotów Polskich nie widział w swych planach w ogóle Polski jako państwa, ale jako siedemnastą republikę.

Na naradach padały tam często znane Polakom określania typu „Na chuj nam Polska". Stalin, z tylko jemu znanych powodów, takich propozycji nie przyjmował, a nawet irytowały go te wnioski.

Sokorski i Zawadzki zgadzali się z pomysłami Berlinga, by tworzyć polską armię, ale tylko wtedy, gdy byli sami, ale już na naradach w Związku nie pisnęli ani słowa, żeby poprzeć koncepcje Berlinga. „I tak było - pisał Berling - z każdą sprawą. Przyznawali mi obaj rację, gdy byliśmy sami. Wiele trudnych rozmów odbyłem ze Stalinem, nim go przekonałem o konieczności powołania do życia

Pierwszej Dywizji Polskiej. I tu doczytałem się czegoś, w co nie mogłem wierzyć, że miało to miejsce" - zanotował generał.

Wiele lat później, jak przeczytałem pamiętniki Berlinga, byłem na Krymie na urlopie. Przebywali tam również na urlopach radzieccy dygnitarze, w rozmowach z którymi usłyszałem taką oto wersję związaną dokładnie z sytuacją opisaną przez Berlinga. W rozmowie uczestniczyłem nie tylko ja, ale i Marian Woźniak oraz generał Dziekan.

Otóż generał Berling po wielu rozmowach ze Stalinem przekonał go, że można by wcielić do polskiej armii polskich oficerów będących w radzieckiej niewoli – mowa tu o tych, którzy już zostali zamordowani w Katyniu i w Miednoje. Wtedy kadry oficerskiej tworzona armia polska w ogóle nie miała. Nieliczni byli ci, co mieli jakąś wiedzę i praktykę wojskową, ba, wielu nie umiało czytać i pisać. Strona radziecka też nie dysponowała aż tyloma oficerami, żeby ich nam przekazać, poza tym chodziło o to, by nową polską armią dowodzili Polacy.

Tak więc na Krymie w rozmowie, w której brali też udział Dobrynin i Kulikow, Berling dostał od Stalina zgodę na spotkanie z polskimi oficerami i żołnierzami, którzy byli przetrzymywani w obozie pod Moskwą. Stalin obwarował to jednak swoimi warunkami, mianowicie wszyscy, którzy by zechcieli wstąpić do nowej armii polskiej, musieliby, każdy indywidualnie, złożyć przysięgę słowną i na piśmie, jako dokument lojalności wobec władzy radzieckiej. Berling, ucieszony, zaraz pojechał na spotkanie do Polaków, a nie był sam, bo Stalin kazał mu zabrać Wasilewską i opiekę radzieckiej bezpieki. W pamiętnikach Berling w tragicznych słowach opisuje, jak przebiegało to spotkanie.

Gdy polscy oficerowie dowiedzieli się, kto do nich przyjechał, to w ogóle nie chcieli wyjść z baraków na plac, nie milkły gwizdy i okrzyki „zdrajca". Kilka razy Wanda Wasilewska kazała Berlingowi wycofać się i odjechać. Sama poszła do baraku dowództwa radzieckiego i nie wychodziła więcej, bo jej też naubliżali i to nie przebierając w słowach.

„Długo nie dawali mi – pisze w Berling – bym mógł coś powiedzieć. Gdy się stopniowo uciszyło, zacząłem mówić, że najważniejsza rzeczą jest ocalić życie. Czas ma to do siebie, że goi bolesne sprawy. Nie mogłem przecież krzyknąć – Chodźcie do polskiego wojska, a w Polsce zobaczymy, co zrobić, jak będzie już po wojnie!. Byłem otoczony kilkudziesięcioma funkcjonariuszami bezpieki i wiedziałem, po co oni tu przyjechali. Więc musiałem mówić, że teraz najważniejsze jest pokonać wojska hitlerowskie i wyzwolić Polskę, że możemy to zrobić, ale razem z Armią Czerwoną. Liczyłem, że zrozumieją moje intencje, że domyślą się, o co mi chodzi. Niestety nie stało się tak. Zaczęli śpiewać coraz głośniej „Powstań Polsko, skrusz kajdany, dziś twój triumf albo zgon". Znów zaczęli krzyczeć „zdrajca!". Tylko siedmiu oficerów wyraziło zgodę na warunki, jakie postawiłem. Musieliśmy dostać większą ochronę, żeby nas nie ukamienowali, bo zaczęli rzucać kamieniami. Wściekła Wasilewska krzyczała na mnie: „Widzisz, jakie masz pomysły! Daj im broń, to ci pokażą, do kogo będą strzelać!". Było mi ciężko na sercu. Nie mogłem się pogodzić z myślą, że oto być może sami na siebie wydali wyrok, bo nie miałem wątpliwości, jak sprawę tę przedstawi Stalinowi Wasilewska".

„Ona, które nie tylko nie popierała inicjatywy stworzenie tu w Rosji polskiej armii, ale w ogóle ze swoim Związkiem Patriotów Polskich nie chciała, żeby po wojnie powstało państwo polskie" - zanotował Berling.

Dodam w tym miejscu od siebie, że to stryjek późniejszego marszałka polskiego sejmu, będący wówczas w Związku Patriotów Polskich, mówił „na chuj nam Polska". Jego syn nosi oczywiście polskie nazwisko i też jest patriotą.

Wracając do pamiętnika, Berling bardzo się obawiał reakcji Stalina na to, co zaszło w obozie. Przecież nie sam sprawował władzę, ale z ludźmi, którzy Polskę nazywali „bękartem", z ludźmi żyjącymi nienawiścią do Polaków. Owszem, ci ludzie chcą Polski, ale jako republiki, gdzie porządek i spokój zapewniałaby Armia Czerwona, a oni sprawowali by władzę i realizowali polecenia płynące z Moskwy. Ktoś, kto czytając to powie: „Człowieku, a czy nie było tak, że właśnie w Polsce realizowano polecenia z Moskwy?" będzie miał tylko częściowo rację.

Bo rzeczywiście trzeba było realizować główne kierunki polityki, dotyczące wszystkiego, co było związane z obronnością, czyli polska armią. Ukierunkowywano politykę zagraniczną, trzeba było trzymać się podziału zadań, co który kraj ma produkować dla uzupełniania zapotrzebowań innych krajów socjalistycznych. Ale reszta, i to wcale niemało, była w polskich rękach.

Przypomnę tu czytelnikom, że właśnie w tym czasie w Polsce Ludowej wybudowano najwięcej kościołów, w seminariach duchownych kształciło się najwięcej kleryków, że rzemiosło prywatne i ogrodnictwo kwitło. Niedowiarkom proponuję przeczytać roczniki statystyczne, żeby się przekonali o prawdzie.

W tym okresie jedynie Polska nie skolektywizowała rolnictwa. Wszyscy pierwsi sekretarze KC mówili, że polskie rolnictwo będzie rodzinne, dziedziczone po rodzicach. Jeśli jednak w radzieckiej Rosji NKWD i GRU grają pierwsze skrzypce i usuwają kogo chcą, i są władni ferować wyroki śmierci, jeśli w Polsce aresztuje się pierwszego sekretarza Gomułkę i fałszuje akta oskarżenia, a równolegle zamyka polskich generałów, polityków i działaczy związkowych, to chyba każdy zdrowo myślący człowiek zada sobie pytanie: „Kto tu rządzi? Jakie to siły i jacy to ludzie mają taką moc, że truchleje przed nimi każda władza?".

Siedziałem na tym poddaszu i plan Berlinga wyłaniał mi się bardzo jasno. On myślał, że przekona polskich oficerów, że między wierszami odczytają jakieś jego intencje – chciał nie tylko ich uratować, ale liczył, że dyskretnie będą mieli wpływ na swoich podwładnych. Nie chodziło mu o to – jak oskarżała go Wasilewska - żeby obrócić broń na ruskich. „Tylko głupi robi sobie wroga na granicach swego państwa" - podkreślał.

Liczył na to, że w powojennej Polsce nie musi być tak, jak planował Związek Patriotów Polskich w Moskwie, że trzeba będzie wypracować formę współżycia z sąsiadami, nie tracąc nic z tego, co narodowe i polskie. Liczył, że uratowani oficerowie spuszczą z tonu i zrozumieją, że nie należy rzucać życia na stos, jak śpiewali, ale chronić je, bo jest to dobro narodowe. Jeśli polec za ojczyznę, to nie bezmyślnie, z fantazją, po polsku, ale w ostateczności. Berling pisał o tym, że ten śpiew głęboko go raził, bo nie wolno nikomu ryzykować i rzucać na szalę bytu Polski. Minęło dziesiątki lat i w prasie z dnia 6-7 stycznia 2007 roku wyczytałem, jak polski profesor, doktor habilitowany Andrzej Romanowski pisze: „Powstań Polsko, skrusz kajdany, dziś twój triumf albo zgon. Te słowa obrażają mnie. Obrażają najgłębsze moje uczucia, mój zmysł moralny. Sama myśl o tym, że Polska może skonać jest zbrodnią. Wolno – pisze dalej profesor – oddać każdemu majątek, ponieść życie w ofierze, ale bytu Polski ryzykować nie wolno. Jej przyszłości ryzykować nie wolno ani jednostce, ani zbiorowości, czy organizacji jakiejkolwiek, ani nawet całemu pokoleniu. Bo Polska nie jest własnością tego czy innego Polaka, tego czy innego obozu politycznego. Człowiek, który ryzykuje byt

narodu jest jak gracz, który siada do zielonego stołu z cudzymi pieniędzmi".

Słowa te pisze nie jak jakiś komuch – jak nazywają ludzi PRL-u – ale jak człowiek, który miał odwagę PRL krytykować i wskazywać na tragiczne jej błędy. Dziś, między innymi tematami, słusznie zwraca uwagę na szaleństwo rządzących, którzy, jak widać, zasiadają do gry nie tylko z cudzymi pieniędzmi, ale w ogóle bez pieniędzy, mając pełną gębę frazesów, że czynią to dla dobra Polski.

Pisze dalej Berling, że Stalin po tym fakcie nie chciał już rozmawiać na ten temat.

„Myślę – pisze Berling - że Wasilewska jednak go przekonała co do przyszłości losów polskich oficerów. My obecnie wiemy, że ich wymordowano. Jestem pewien, że szale na wymordowanie oficerów przychyliła Wasilewska".

Ona, jak pisało wielu autorów, była jakiś czas kochanką Stalina, ale i Beria przyjmował ją wielokrotnie na swej daczy, co nawet Sokorski napisał w swej książce. Jeśli tak rzeczywiście było, to bardzo prawdopodobne, że ona tę kroplę przelała.

W pamiętnikach generał Berling nawiązuje do Piotra Jaroszewicza, do jego relacji, jak Polaków przewożono w głąb Rosji, gdy ZSRR z racji układu Ribbentrop-Mołotow zajął polskie tereny. Jest to relacja wstrząsająca. Jaroszewicz był nauczycielem języka polskiego na terenie zajętym właśnie przez ZSRR.

„Zimą, w wagonach bydlęcych, bez ogrzewania i posiłku wieźli nas wiele dni na wschód, ludzie załatwiali się w słomę tam, gdzie leżeli. Pierwsze mrozu nie wytrzymywały dzieci. Nawet pochować ich nie dawano, zabierali martwe dzieci i na naszych oczach rzucali obok toru kolejowego w śnieg. Widać, że nie były pierwsze, ze śniegu sterczały rączki lub część ciała już tam leżących od dawna. Umieszczono nas w barakach, trzeba było je jakoś ocieplić i ogrzać. Jeść dawali raz na dobę. Piotrowi zmarła żona i tam ją pochował. Umierało dużo ludzi, bo nikt się nie troszczył, że ktoś choruje, że umiera czy też nie" - wspominał Jaroszewicz.

Jako, że znał rosyjski bardzo dobrze, to Rosjanie zabrali go z tych robót i przewieźli do Moskwy.

„Gdy tworzyliśmy pierwszą dywizję – pisze Berling – Jaroszewicza przywieźli Rosjanie. Podobał mi się, był skromny i uczciwy, bardzo pracowity. Nie szczędził czasu, żeby nauczyć żołnierzy pisać i czytać. Z tej racji, że górował nad innymi swym wykształceniem, został oficerem i tak zaczęła się jego wojskowa kariera".

W tym dla mnie przygnębiającym pamiętniku były też iskierki żartu i humoru. Pisze Berling, że otrzymuje raport od żołnierza, który skarży się i domaga przywrócenia jego nazwiska w całości. Czytam i śmieję się z ludzkiej głupoty. Bo oto żołnierz, który spisywał stojących w kolejce młodych ludzi, spytał się: „Kakaja twaja familia?" - kandydatów na żołnierzy spisywał radziecki starszyna (sierżant), stąd pytał się po rusku. Polak zrozumiał, bo przecież był tu już od roku, więc się nauczył i odpowiada starszynie, że nazywa się Jan Pankracy. Starszyna wstał od stolika i obchodzi wkoło tego Pankracego i mówi: „Jaki ty tam pan, słoma z łapci ci wychodzi, kolana i łokcie gołe, i nawet koszuli nie masz, tylko samą bluzę". Polak upiera się i powtarza, że on jest Pankracy, a ruski mówi, że nie i zapisuje „Jan Kracy" zamiast „Pankracy". „U nas panów dawno już nie ma" - mówi Polakowi. No, więc żołnierz napisał raport i oczywiście przywrócono mu pełne nazwisko. Ale od tej pory koledzy nazywali go „Pan".

Jeszcze inną historię z tego okresu przytacza Berling. Żołnierze zamiast z prawdziwymi karabinami ćwiczyli z takimi wystruganymi z drewna, a Rosjanie,

dowożący nam żywność i umundurowanie, przyjeżdżali uzbrojeni w normalną broń. Jeden z Polaków ćwiczył z tym drewnianym karabinem, kiedy nadjechał transport z żywnością i butami dla nas. Nasz Polak mówi do ruskiego kierowcy: „Widzisz tego wróbla na linii telefonicznej?". „Widzę" - mówi Rosjanin. „Ja trafię w niego z twojej gwintówki" - mówi wtedy Polak. Zebrała się duża grupa Polaków i Rosjan, jedni obstają za swoim., a drudzy za swoim. Z ruskimi był ich pułkownik, a z naszymi polski kapitan. Robią zakład, kto zestrzeli tego wróbla - zwycięzca zabierze tę gwintówkę. Strzela Rosjanin i trafia, za co otrzymuje od swoich oklaski. Czekają, żeby następny wróbel chciał usiąść na tym drucie. Wreszcie jest. Polak ląduje i mierzy, ale na chwilę przerywa i mówi; „Jak ja trafię to remis, a remis nic nie daje, więc ja wróbla trafię w łepek i wtedy będzie moje zwycięstwo". Zgadzają się i Polak strzela. Spada wróbel i oglądają go. Trafiony w łepek, więc gwintówka jest polska. Ale Rosjanin się nie zgadza. „Ja też trafię w łepek" - mówi – żąda rewanżu. Polak zgadza się i znów czekają na ofiarę. Siada kilka wróbli. Rosjanin mierzy i strzela. Zamiast wróbla spada jednak linia telefoniczna i robi się krzyk, że zerwany został telefon ruskiego naczelnika. Ten daje się przeprosić i śmieje się z nami: No, Palaki mają pierwsze oręże".

Rzeczywiście był to pierwszy prawdziwy karabin i Rosjanie nie śmieli go zabrać. Żołnierz chodził z nim dumny i za papierosa pożyczał innym, żeby go mogli ponosić. Karabin ten doszedł z żołnierzami do Polski i po wojnie, jako eksponat, stał w gablocie w Muzeum Wojska Polskiego.

Generał opisuje też zjawisko nieznane wcześniej w wojsku polskim, a mianowicie komisarzy przy dowódcach wojskowych. Przyznaje, że to utrudniało dowodzenie i podejmowanie szybkich decyzji na froncie.

Z reguły komisarzami byli Żydzi, co jeszcze bardziej zaogniało sytuację. No, ale w Moskwie Beria musiał być pewien, co dzieje się wśród wojska i od tego nie było ratunku.

„Nieraz – pisze Berling – dochodziły do mnie różne rozmowy lub informacje o zachowaniu żołnierzy w czasie ataku lub natarcia wojsk niemieckich. Często było tak, że Polacy będący na pierwszej linii frontu, gdy zaczynał się szturm czy niemieckie natarcie, żegnali się znakiem krzyża".

Mieliśmy przecież kapelanów w wojsku, regularnie były odprawiane msze polowe, a niedowiarków, którzy mieli wątpliwości w tym względzie, odsyłam do kronik i filmów z tego okresu i ludzi, którzy jeszcze żyją.

„Rosyjscy żołnierze podpatrywali to i też ukradkiem się żegnali. Zadawałem sobie pytanie – pisze generał Berling – komu to potrzebne, by żołnierz bał się przeżegnać".

Wiele stron napisał w pamiętniku generał Berling o awansach ludzi pochodzenia żydowskiego, odnotowywał jak szybko i wysoko awansowali na wyższe stopnie, nie mając ani wykształcenia, ani praktyki. Czytając te fragmenty zrozumiałem, dlaczego tak bardzo chcieli pozyskać jego pamiętnik, ale szczególnie zaciekawiła mnie końcowa część jego wspomnień. Otóż Berling, po nieudanej próbie uratowania polskich oficerów, podjął drugą jeszcze bardziej ryzykowną, za którą zapłacił utratą funkcji dowodzenia polską armią nad Wisłą.

On wyraźnie pisał, że w Warszawie jest tych, co walczą w powstaniu i tych, którzy nie walczą, około trzysta tysięcy, a dodajmy młodych zdecydowanych. Jego planem było uratowanie tych ludzi. Wiedział, że w Związku Patriotów Polskich w Moskwie mówiło się o tym, jak namówią Stalina, Berii nie musieli, bo to był ich

człowiek, żeby tych Polaków usunąć z drogi do władzy w Polsce.

Berling pisze, że nie ma na to dowodów, ale ma pewność, że właśnie ONI byli sprężyną do decyzji zatrzymania frontu na Wiśle i pozwolenie Hitlerowi na całkowite wymordowanie tej tak cennej części narodu polskiego.

Żywi psuli cały plan koncepcji rządzenia Polską. Berling nie ukrywa w swoich pamiętnikach, że spodziewał się, że jego wykończą. Plany tych patriotów pokrzyżował Gomułka, tworząc rząd, partię i Komitet Centralny w Lublinie, ale zgodził się przyjąć ich część do swego rządu, zresztą sami się powciągali do Polski. I Berling i Gomułka pisali, że bardzo żałują, że odwiedli Stalina od jego decyzji by wysłać wszystkich Żydów przebywających w Związku Radzieckim na Wyspy Sołowieckie. Stalin również czuł z ich strony zagrożenie i nie pomylił się w tych przeczuciach. Dziś można z perspektywy czasu postawić pytanie: czy gdyby udało się Berlingowi przekonać pozostałych oficerów i żołnierzy polskich i ocalić od wymordowania trzysta tysięcy młodych ludzi w Warszawie, to czy Stalin po wojnie zdecydowałby się ich pozbyć się lub zamknąć, czy też oni mieliby wpływ na losy Polski.

Wracając do pamiętnika generała Berlinga, to po przeczytaniu go chciałem się upewnić, co na ten temat znajduje się w archiwach w Komitecie Centralnym. Członkom Biura Politycznego wolno było czytać te dokumenty, ale musiałem pisać oświadczenie, w jakim celu chcę poznać ich treść i podpisywać w tym oświadczeniu, że zachowam tajemnicę. Znalazłem zapis, który pokrywał się z tym, co opisał w pamiętniku Berling. Różnica polegała na tym, że zapisy w archiwach sporządzali pracownicy Jakuba Bermana, a konkretnie Luna Bristygierowa, więc oni te sprawy zanotowali nieco inaczej. Jedynie treść depeszy Berlinga do Stalina jest zapisana wiernie.

Otóż Berling, gdy front doszedł do Wisły i zatrzymał się tam na parę miesięcy, widział sam, a i miał notatki od oficerów Wojska Polskiego, że na wyzwolonych terenach Urząd Bezpieczeństwa, który prawie w całości był obsadzony Żydami, masowo aresztuje, torturuje i bez wyroków sądowych masowo rozstrzeliwuje ludzi. Aresztowanymi byli przeważnie ludzie wykształceni i ci, którzy oficjalnie źle mówili o nowej władzy. Berling pisał, że to są duże ilości ludzi i jak tak dalej pójdzie, to wymordują większą część polskiego narodu. Nie mógł patrzeć na to obojętnie, a na jego uwagi nie reagowali, więc zdecydował się wysłać depeszę do Stalina:

„Błagam Was, towarzyszu Stalin, pomóżcie Polsce. Trzeba wyrwać z rąk międzynarodowych bandytów trockistów w Urzędzie Bezpieczeństwa władzę. Jeśli dalej będą mieć władzę taką jak mają, to wymordują Polaków"

O tej depeszy wiedział tylko Drobner, ale niezwłocznie powiedział o niej Bermanowi. Wtedy Żydzi naradzili się i Radkiewicz zaproponował deportację Berlinga na wschód lub wydanie zgody na jego likwidację. Berman i Radkiewicz depeszowali w tej sprawie nie do Stalina, ale do Berii, a ten mimo swej ogromnej władzy uznał, że należy przekonsultować tę sprawę ze Stalinem.

Stalin nie wyraził jednak zgody ani na deportację, ani na likwidację Berlinga. I takie dokumenty znalazły się w Polskich archiwach, które osobiście czytałem. Stalin kazał wezwać Berlinga do Moskwy, nie przyjął go już osobiście, a zlecił załatwienie tej sprawy Bułganinowi. Ten prosto z mostu powiedział: „Wrócić do Polski na razie nie możecie, i to nie jest w waszym interesie. Będziecie studiować na Akademii Woroszyłowa. Był czas i okazja, żeby do tego nie doszło, ale wy sami

i Gomułka odwiedliście Stalina od jego decyzji”.

4 października 1944 roku Berling został oficjalnie zdjęty ze stanowiska dowódcy Wojska Polskiego. Jak odnotowano w dokumentach decyzję tę podjęto pod naciskiem Komitetu Organizacyjnego Żydów Polskich, bo utworzony wcześniej w Moskwie Związek Patriotów Polskich przekształcili właśnie w Polsce na ten Komitet.

Współcześni historycy powinni przeczytać te dokumenty znajdujące się w kraju, a na pewno są takie same w Moskwie, i odpowiedzieć na pytania:

Czy generała Berlinga zdjęto z dowódcy I Armii Wojska Polskiego z powodu przekroczenia Wisły i pomocy Powstaniu Warszawskiemu?

Czy za depeszę do Stalina? Bo polskojęzyczne, a nie polskie, środki przekazu wyrabiały pogląd, że to Stalin zarządził zatrzymanie frontu, żeby Niemcy zdążyli wymordować w Warszawie polską inteligencję. A może to Żydom bardziej zależało na tym, żeby zginęli oni z rąk Niemców, a wtedy oni będą mieć czyste konto i mniej pracy?

Wspomnę jeszcze, że Żydzi w archiwach KC i MSW mieli dokument, w którym Stalin wydaje rozkaz generałowi Żukowowi (nie marszałkowi), żeby powołać zespół w Ministerstwie Obrony Narodowej i Ministerstwie Spraw Zagranicznych i sporządzić razem listę Żydów polskich i deportować ich na Wyspy Sołowieckie.

Taki sam był w archiwach w Moskwie, gdyż dokładną jego treść przekazał mi Maszerow, członek Biura Politycznego KC KPZR. Na tej liście znaleźli się między innymi: *A. Lampe, J. Berman, H. Minc, I i W. Groszowie, E. Sammerstein, R. Zambrowski, E. Ochab, B. Drobner, J. Borejsza, L. Brystigierowa, E. Szyr, L. Szenwald, M. Waszkowski, M. Węgrowski, M. Mietkowski, E. Werfel, Z. Modzelewski*. W sumie ponad sześćdziesiąt osób.

Jakże boleśnie i gorzko zapłacili za swoje ocalenia Berlingowi, a później Gomułce. Obaj w swoich pamiętnikach napisali, że przywieźli do Polski jadowitą żmiję, która pokąsała ich boleśnie, a chciała śmiertelnie.

W dokumentach archiwalnych wyczytałem jeszcze coś ciekawego. Oto w roku 1943, po śmierci Lampego, Jakub Berman przejął po nim wszystkie sprawy, łącznie z tym, że potajemnie z Berią utworzyli w łonie Związku Patriotów Polskich tajny komitet i już w Polsce nazwali go Komitetem Organizacyjnym Żydów Polskich.

Ukrywając to przed Stalinem, nawiązali ścisły kontakt i umowę z Federacją Żydów Polskich w USA. Na czele tej organizacji stał Josek Tennenbaum, zaciekły wróg Związku Radzieckiego i komunizmu.

Radziecki wywiad twierdził, że odsuwanie Żydów na Kremlu od władzy spowodowane było nie tylko tym, że izraelski Mossad podpisał umowę z CIA, ale i te ponoć fakty były znane Stalinowi.

Na koniec generał Berling pisał, że działacze ZPP w Moskwie podjęli bardzo silne działania, żeby nie dopuścić do utworzenia I Armii Wojska Polskiego w Związku Radzieckim. W tej sprawie Wanda Wasilewska i Alfred Lampe oraz Jakub Berman i kilku innych członków tego związku odbyli rozmowę z Berią, a następnie z Mokotowem i Malenkowem. Pisali też do Kaganowicza, zastępcy Berii. Jakub Berman napisał z kolei specjalne pismo do Stalina uzasadniając, że nie należy tworzyć polskiego wojska. Z dokumentów wynika jednak, że Stalin odpisał Bermanowi:

„Dowódcą polskiej armii będzie Berling. Wodzem musi być Polak i to rdzenny i

to taki, co zna wojsko i wojsko jego. Człowiek znany w Polsce, oficer myślący po polsku, bo inaczej z tego nic nie będzie. Ja Polaków znam i wiem, na co ich stać. To decyzja nieodwołalna".

Myślę, że Stalin znał Polaków, przecież to można wyczytać w jego życiorysie, ale i on sam nie ukrywał tego faktu – jego dziadek ze strony ojca był Polakiem.

Gdyby Berii udało się przechwycić władzę po śmierci Stalina, sprawy potoczyłyby się jeszcze inaczej. Ale Rosjanie czuwali nad tym dobrze, bo Beria zaraz po śmierci Stalina został aresztowany i stracony, zlikwidowano całkowicie oficerów politycznych w wojsku, ograniczono awanse Żydom i szczególnie znanych oprawców pociągnięto do odpowiedzialności karnej.

„Zaraz po tym – pisał Berling – polscy Żydzi przestraszyli się i zaczęli wyjeżdżać. Dalekosiężne plany Żydów upadły i teraz trzeba z uporem pracować, żeby zdobyć całkowicie władzę. I to się im udaje dzięki zaślepieniu Słowian fałszem i obłudą".

Tak pisał generał Berling, odważny Polak i patriota, którego Żydzi przy pomocy Polaków chcieli wdeptać w ziemię.

A gdyby nie jego upór i zezwolenie Stalina, to tysiące Polaków wywiezionych do ZSRR zginęłoby w kopalniach, lasach i budowach.

W 1986 roku zapoznałem się z notatkami z archiwum akt tajnych dotyczących generała Berlinga. Przypadek sprawił, że po powrocie z Libii w lutym 1990 roku poszedłem do gmachu KC po swoje dokumenty potrzebne mi do emerytury. W archiwum leżał na podłodze stos ścisłe tajnych dokumentów, które ładowano do worków i wywożono do zakładów papierniczych do Konstancina - Jeziornej w celu ich zmielenia.

Zobaczyłem, że to są skargi oficerów Wojska Polskiego skierowane do Komisji Zjazdowej z datą 1960 roku i późniejsze. A do mnie, do Komisji Skarg, przychodzili także wojskowi skarżąc się, że Komisja Zjazdowa w ogóle im nie odpowiedziała. Pamiętam, jak osobiście wnosiłem ten problem na posiedzeniu Biura Politycznego, ale odpowiadano mi, że na skargi skierowane do Komisji Zjazdowej minionego Zjazdu odpowiedzieć może wyłącznie Komisja Zjazdowa przyszłego Zjazdu.

Z tych skarg wyzierała rozpacz i tragedia ludzi, którzy podjęli walkę ze złem w wojsku. Pisali, jak awansuje się ludzi bez kwalifikacji i wykształcenia, jak niszczy się zdolnych oficerów tylko za to, że podejmowali tę walkę. Podawali setki przykładów zdrady i korupcji, wywożenia tajemnic techniki wojskowej na Zachód. Zamiast odpowiedzi uczciwi wojskowi byli usuwani z wojska lub nie awansowani.

I wtedy przypomniało mi się, co mówił do Kostikowa członek pierwszego, bo jeszcze przy Leninie, Biura Politycznego Rosji Radzieckiej, że u nich też była Komisja Kontroli, ale lepiej nie było do niej pisać, bo piszący skargę ginęli bez śladu.

Przypomniały mi się słowa generała Z. Berlinga, jak to Lampe głosił w ZPP: „Na ch... nam Polska i polska armia".

A dziś ich potomkowie, różnej maści działacze i funkcjonariusze tych ludzi uznają, że owszem Polska im potrzebna. Tak, potrzebna, bo w niej dorwali się do koryta i do władzy przy pomocy ogłupiałych Polaków. A oto jak mówią o tej armii Berlinga:

17.01.2008 roku TVP w I programie o godzinie 22.00 pokazała magazyn „Misja

specjalna" poświęcony wyzwoleniu Warszawy. Dziennikarze zrobili staranną selekcję takich, co z nieukrywanym szyderstwem mówili o wyzwoleniu Warszawy. Że tak polscy, jak i radzieccy żołnierze nosili karabiny na sznurkach, że dowódcy to prostacy i prymitywni, że umundurowanie dziadowskie itp. A wypowiadali się byli AK-owcy z powstania. Z racji wieku i doświadczeń powinien ich cechować rozsądek i uczciwość.

Żołnierz żołnierza nie powinien obrażać i szydzić z niego.

Tak, to prawda. Tak wyglądali w dużej części ci, co nas wyzwalali. A czy wy panowie idąc do powstania, do walki, mieliście broń? Za walkę i serce do walki chwała wam i szacunek.

Za to, że dajecie się manipulować, wstyd.

Ci żołnierze z karabinami na sznurkach pokonali doborową hitlerowską armię. A ci prości dowódcy zwyciężyli oficerów i generałów, którzy pokończyli elitarne uczelnie niemieckie. I to się liczy!

Rozdział XII

ZJAZD MŁODYCH CZŁONKÓW PARTII

Parę miesięcy po wielkim krajowym zjeździe Solidarności w Hali Oliwii w Gdańsku ktoś w Biurze Politycznym wpadł na pomysł i podsunął go generałowi Jaruzelskiemu, żeby w tym samym miejscu zrobić teraz zjazd naszych młodych członków partii. Pomysł spodobał się wielu członkom Biura Politycznego. Teraz należało ustalić górną granicę lat tych młodych ludzi. Stanęło na tym, że młodzież to osoby do trzydziestu lat i oni powinni przyjechać do Gdańska z całej Polski. Oczywiście, temu zjazdowi powinien przewodniczyć również młody członek Biura Politycznego. Najmłodszym w Biurze był wtedy pierwszy sekretarz wojewódzki z Łodzi – Czechowicz. Ustalono, że to on osobiście pokieruje parodniowymi obradami, a dla powagi i podkreślania robotniczego charakteru partii pojadą czterej członkowie Biura – robotnicy, no i oczywiście paru ministrów i generałów, gdyż młodzi członkowie partii w parodniowej dyskusji mogą poruszać problemy związane z ich resortami. Wszystko, do pewnego momentu, przebiegało zgodnie ze scenariuszem.

Pierwszego dnia odbyła się dyskusja. Młodzi ludzie poruszali sprawy ze swoich zakładów pracy, tak jak potrafili mówili o tym, co im utrudnia pracę, podpowiadali, co sami zrobiliby lepiej, ale nie mogą, bo krepują ich głupie administracyjne przepisy. Poruszyli też problem ludzi zasiedziałych od szeregu kadencji na różnych funkcjach z wyboru, wskazywali, że ci dawno oderwali się od życia i pracy, nie czują już tego, co powinno zwracać ich uwagę.

Wynik wyborów – mówili ludzie – jest już wcześniej przez krąg ludzi ustalony i ci starzy działacze nie pozwalają, by młody odważny człowiek wszedł w ten krąg i krytykował ich. Jednym słowem, były to te same problemy, które ja sygnowałem wcześniej jako członek KC, a później również jako członek Biura. Różnica tylko w tym, że ci młodzi członkowie partii z reguły mieli tremę, gubili się w tym, co mówili.

Wielu, występując pierwszy raz w życiu przed tak dużym audytorium, zapominało często tematu i trzeba było im podpowiadać. Ale mówili z wielką pasją, z wiarą, że najwyższe czynniki w partii ich słuchają i będzie z tego jakiś pożytek. Widać było, że bardzo przeżywają swoje wystąpienia, a ci, którzy już zabrali głos, byli dumni, że powiedzieli to, co w ich terenie i miejscu pracy było dla nich ważne.

My, czterej członkowie Biura Politycznego, siedzieliśmy w pierwszym rzędzie, gdzie również siedzieli generałowie i ministrowie. Trzy metry przed nami stała mównica i prezydium z przewodniczącym Czechowiczem. To on udzielał głosu i prowadził zjazd.

Wśród nas siedział Mieczysław Rakowski, pełniący wówczas funkcje ministra do spraw związków zawodowych, który według planów miał wysłuchać dyskusji i na koniec zabrać głos. Ale młodzi ludzie siedzący na tej wielkiej sali zaczęli mnie wywoływać, bym zabrał głos. Już wcześniej zabierający głos zwracali się do Czechowicza, by udzielił mi głosu. Widząc to, wstałem i podałem zgłoszenie do dyskusji, co sala przyjęła oklaskami, a Czechowicz przez mikrofon powiedział, że zaraz po tym mówcy, który jest na mównicy, zabierze głos towarzysz Siwak.

Stało się jednak inaczej. Rakowski podszedł do prezydium i na ucho tłumaczył

coś długo Czechowiczowi. Z mównicy zszedł przemawiający, a Czechowicz wcale mnie nie wywołuje, ale mówi, że teraz zabierze głos towarzysz Rakowski. Sala zaszumiała, ale Czechowicz uciszył te pomruki i Rakowski zaczął mówić.

Znałem go od lat i wiedziałem przecież, na co go stać. I dziś mogę powiedzieć, że Rakowski to dobry dziennikarz, jeśli nie przegnie politycznie tematu, to często są to ciekawe artykuły i ważne wystąpienia. Toczyłem z nim wojenki, które kończyły się dla nas obu reprymendami od generała, ale i bardzo poważne wojny, jak chociażby opisana przeze mnie w książce „Trwałe ślady". On, hołubiony przez generała, niezbędny mu do jego celów politycznych i ja, który byłem w Biurze, bo gorąca sytuacja w kraju zmusiła tych na górze, by uspokoić rozgrzane masy i pokazać, że przecież mają one swych przedstawicieli na najważniejszych funkcjach w partii.

Rakowski, który prawem kaduka brał udział w posiedzeniach Biura Politycznego i był przeze mnie z nich wypraszany, cały czas szukał sposobu, żeby znaleźć coś, co generał uzna za zdradę stanu i wyrzuci mnie z tego Biura. Przypomnę tu czytelnikom, że nawet taki temat, jak audycje Wolnej Europy, były powodem poważnej wojny. Kiedyś generał Jaruzelski, gdy zakończyły się obrady Biura Politycznego, mówi: „Zastanawiam się, kto z naszego otoczenia ma kontakt ze służbami wywiadu na Zachodzie. Bo gdy zajadę po obradach Biura do domu, to już za dwie godziny Radio Wolna Europa nadaje to, co było omawiane na posiedzeniu Biura".

Siedział wtedy właśnie na tym posiedzeniu Rakowski. Odezwałem się i mówię: „To wielki sukces Radia Wolna Europa. Gomułka mówił kiedyś, że oni za dwa dni wiedzą, co się mówiło na posiedzeniu Biura. Gierek mówił z kolei, że jak się dziś u nas mówi, to oni już jutro wiedzą i nadają. Jak widać ze słów towarzysza sekretarza, obecnie znają wszystko niemal od ręki. Wobec tego spytam, czy wszyscy tu obecni mają prawo być na posiedzeniu Biura? I jeśli takiej odpowiedzi nie otrzymamy, to postawię to samo pytanie na plenum KC".

Oczywiście tym stwierdzeniem wywołałem wojnę, w dodatku nie miałem po swojej stronie generała. Ale za mną stał statut partii i uchwały zjazdu, czyli najważniejsze prawo w partii. Raz na zawsze zostało napisane, że w posiedzeniu Biura Politycznego biorą udział wyłącznie członkowie tego Biura, natomiast wszyscy inni mogą być zapraszani, jeśli omawia się temat ich resortu i zaraz po omówieniu wypraszani. Nic dziwnego, że Rakowski, gdzie tylko mógł, przedstawiał mnie później jako najgłupszego z ludzi w Polsce. I teraz, w tej sali, wykombinował coś, a Czechowicz mu uległ.

Wywołany do głosu, Rakowski, wszedł na mównicę i zrobił rzecz, której nie wolno było z tymi młodymi ludźmi robić. Przecież ja znałem jego wystąpienia, często słuszne i odpowiedzialne. Jak się całe trzy lata patrzy na człowieka i słucha się go, to wyrabia się o nim pogląd. Moim, zdaniem, jak i wielu innych polityków, Rakowski miał dobre i złe okresy, to znaczy, że miał dni, kiedy nie powinien zabierać głosu. Dużo było takich jego wystąpień, po których dochodziło do międzynarodowych zgrzytów, ale i w samej partii był wytupywany z mównicy.

Do dziś jest taki sam, raz pisze artykuły bardzo dobre, raz bardzo złe i to ubliżające narodowi polskiemu i mijające się z prawdą. To nie są gafy, które zresztą każdy z nas popełnia, ale poważne w skutkach błędy. I teraz, w tej Oliwii, miał chyba najgorszy dzień w życiu. Nie stał normalnie, stojąc zakładał nogę na nogę, wiele razy drapał się za kołnierzem na plecach. Robił przy tym jakieś pozy i

miny, które rozbawiłyby zebranych, gdyby nie to, co mówił. A on zwrócił się do tych młodych ludzi w ten sposób:

„Czy wy wiecie, że na przykład Charles de Gaulle po parę godzin stał przed lustrem i uczył się wystąpień, że Indira Gandhi godzinami trenowała, by dobrze wystąpić – i wymienił jeszcze kilka przykładów – Wy tu wypadacie bardzo źle. Blasku takimi wystąpieniami nie dodajecie partii. To, co mówicie, jest może i słuszne, ale trudno was zrozumieć, mówicie chaotycznie i bez związku z ideą tego spotkania – ciągnął.

Nic też dziwnego, że ta wielka publiczność z minuty na minutę okazywała swoje niezadowolenie i Rakowski musiał skończyć, bo tumult był za duży, żeby mógł mówić.

Siedzący obok mnie generałowie przecierali oczy ze zdumienia i patrzyli po sobie. Czechowicz wobec tego zarządził przerwę. Ja sam mogłem się tylko domyślać, co się stało, że nie mogłem wystąpić.

„Przecież widziałeś, że już ogłosiłem - mówił Czechowicz – ale Rakowski powiedział mi, że w imieniu partii i Biura Politycznego jutro zabierze głos generał Jaruzelski. Ja o tym nie wiedziałem – dodał Czechowicz.

„Ja też nie" - mówię – w takiej sytuacji Rakowski ma rację. Nie powinno dwóch z Biura mówić".

Ale zebrani w tej hali nie odpuścili mi tego wystąpienia. Kiedy w czasie przerwy wyszedłem od Czechowicza na tę wielką salę, od razu otoczyło mnie bardzo wielu uczestników zjazdu. Zapytali o powód zabrania mi głosu i o to, co chciałem im powiedzieć. Na pewno byłem trochę poirytowany całym tym zajściem, a to, co powiedziałem, mogło też Rakowskiego zdenerwować. Tu, gdzie mnie otoczyli, stało zaledwie kilkanaście osób, ktoś wpadł więc na pomysł i wyjął mikrofon z kablem z mównicy i włączył na całą salę.

„Chciałem powiedzieć – zacząłem mówić do tego mikrofonu – że wy, młodzi ludzie od pługa czy z kopalni, z fabryki czy z warsztatu, nie musicie się tak uczyć, jak ci, o których mówił Rakowski. To, co tej pory tutaj mówiliście, jest niesłychanie ważne dla partii, a szczególnie dla jej kierownictwa. Ja doskonale rozumiem to, o czym wy mówicie, i wiem, dlaczego tak uważacie. Ja też nie urodziłem się mówcą, nie od razu umiałem mówić tak, jak teraz, to przychodzi z czasem. Najważniejsze, by dziś wypowiedzieć to, co czujecie wy i wasze otoczenie, jak byście z tej sytuacji wyszli, co my tam na górze powinniśmy zrobić, żeby wyjść wam naprzeciw w tych problemach. A poza tym, jeśli ktoś chce innych uczyć jak mają się zachowywać i jak mówić, to sam musi dać na to dobre przykłady. A jak stał przy mównicy Rakowski i co robił podczas mówienia, to sami widzieliście. Generał Jaruzelski jest najwyższy stopniem w wojsku i w partii, ale czy ktoś z was kiedyś widział, żeby przemawiając zachowywał się w ten sposób?" - pytam młodych.

I tu ktoś rozłączył mikrofon, nie mogłem więc już mówić. Pomyślałem, że może to i dobrze, bo licho wie, co jeszcze bym o Rakowskim powiedział. No, ale faktem jest, że rozpętałem nową wojnę. Następnego dnia Stanisław Bejger, który był wtedy w Gdańsku pierwszym sekretarzem i zastępcą członka Biura, pojechał na lotnisko po Jaruzelskiego.

Już w samochodzie Jaruzelski zdenerwowany mówił, że trzeba przeciąć tę wojnę między mną a Rakowskim, oczywiście jego oszczędzając i broniąc. Bejger, który nie był przy tym wszystkim, nie umiał powiedzieć, kto miał rację. Ale na

dowód, że to Rakowski zadzwonił do generała i po swojemu przedstawił tę sprawę, wystarczyło, że spojrzałem na twarz generała. Był zimny, zimno przywitał się ze mną i od razu poprosił mnie na rozmowę na zaplecze. Były to dwa duże pomieszczenia, w których ministrowie i generałowie oraz my, członkowie Biura, mogliśmy coś zjeść i wypić herbatę.

Jaruzelski chyba chciał dać satysfakcję Rakowskiemu, który też tam był, a mnie publicznie, przy wszystkich tam obecnych, skarcić. Zaczął mówić, że źle się stało, iż sam zgłosiłem się do dyskusji, a po drugie, że nieoficjalnie, na przerwie, zabrałem głos i próbowałem skompromitować Rakowskiego. „Co wy, towarzyszu Siwak, powiecie w tej sprawie?" - spytał. Już wstałem i chciałem bliżej podejść do generała, bo siedziałem na końcu sali,. Ale uprzedził mnie generał Obiedziński. Stanął naprzeciw Jaruzelskiego, zasalutował i powiedział:

„Towarzysz generał pozwoli, że ja jako postronny świadek obiektywnie wyjaśnię, co się tu wydarzyło. Otóż towarzysz Siwak mówił o was, towarzyszu Jaruzelski, że wy, ten najwyższy w partii i w wojsku, zawsze na mównicach stoicie przyzwolicie. O Rakowskim powiedział do młodych, że sami widzieli, jak się zachowywał mówiąc do nich. W tym, co mówił towarzysz Siwak, nie było nic, co mogłoby kompromitować Rakowskiego. Ja, towarzyszu generale, gdybym przemawiał na miejscu towarzysza Siwaka, stwierdziłbym, że zachowywał się Rakowski jak małpa na palmie. Po drugie należało Siwaka dopuścić do głosu, gdyż prosiła o to sala, a nie Siwak. Poza tym nie należało tych młodych ludzi publicznie poniżać mówiąc, że nie są głowami państwa, nie są Gaullami czy Indirą Gandhi. Są przecież ludźmi pracy i nie dziwne, że nie mają gładkiego języka. Takie jest moje zdanie i obecnych tu generałów i ministrów" - skończył i usiadł.

Przyznam się, że nie spodziewałem się takiej obrony, chociaż znałem się z generałem Obiedziński dobrze. Rakowski wstał i wyszedł. Na ten temat nie było już więcej rozmowy. Mnie generał Jaruzelski na drugi dzień kazał zabrać głos. Oczywiście o tym incydencie nic nie mówiłem. Gdyby nie stanowisko generałów i ministrów, mogłoby się to dla mnie źle skończyć, gdyż cały czas polowano na mnie i szukano sposobu usunięcia mnie z Biura.

Rozdział XIII

PARADOKSY HISTORII

Kiedy raz wracałem z Andreapola przez Nowopołock i Wielkie Łuki, zatrzymałem się w Mińsku na Białorusi. Gdyby Maszerow dowiedział się, że wracałem tą trasą i do niego nie zajechałem, byłby niezadowolony, a bardzo mi zależało na jego życzliwości i wiedzy. Nie wiedziałem, że akurat tego dnia jego żona obchodziła urodziny i są u niego goście. Według radzieckiego zwyczaju, który starano się wprowadzać w całym Związku Radzieckim, świętuje się urodziny, a nie imieniny. Także ambasada radziecka w Warszawie stosowała tę zasadę i życzenia przesyłano z okazji urodzin, a nie imienin. Mój oficer ochrony z daleka już się zorientował, że musi być u Maszerowa jakieś święto, bo przed jego domem stało sporo samochodów. O wycofaniu się nie było mowy, bo wartownik w bramie już przez telefon powiadomił, kto wjeżdża i zaraz na schodach ukazał się ucieszony Maszerow, a za chwilę i jego żona. Skoro już się znalazłem w ich towarzystwie, musiałem przeprosić gospodynię za gafę, wszak nie wiedziałem, że są jej urodziny i za najazd nieproszonego gościa. Ale jubilatka szybko pociągnęła mnie za rękę mówiąc:

- Jak dobrze, że jesteś, bo są moi krewni z Polski i chcieliby poznać cię i pogadać.

- To nie mogli w Polsce do mnie zadzwonić, albo powołując się na was spotkać się ze mną – zapytałem.

- Chyba nie mogli - odpowiedziała

W dużym pokoju było ciasno i gwarno. Alkohol zrobił już swoje i teraz już każdy chciał drugiego przekonać do swoich racji. Nie mogliśmy się z Maszerowem nawzajem usłyszeć, więc wyszliśmy do następnego pokoju. Ale tu też siedziało dwóch generałów radzieckich i głośno dyskutowali o wojnie. Maszerow przedstawił mnie wojskowym, wyjaśniając przy okazji, że ja nie piję i żeby nie próbowali wciskać mi wódki. Członek Biura i w dodatku budowlaniec i nie pije – nie mogli tego zrozumieć. Rozmowa z nimi była trudna, bo wyglądało na to, że sporo już wypili, więc rozglądałem się za kuzynami gospodyni, żeby tylko uciec od tych wojskowych. Gdy zbliżyli się, przeprosiłem obu generałów i zacząłem rozmawiać po polsku z rodziną gospodyni. Okazało się, że mają sprawę do mojej komisji, ale przestraszyła ich kolejka oczekujących na spotkanie ze mną. Mówię im, że przecież wystarczyło powołać się na żonę Maszerowa, a nie czekaliby. „Nie chcemy nadużywać ich pomocy" - wyjaśnili. Umówiłem się z nimi, że przyjadą do mnie i oficer ochrony przeprowadzi ich tak, żeby nie czekali w poczekalni. Ponieważ byłem zmęczony to przeprosiłem ich i poprosiłem gospodynię, żeby pozwoliła mi położyć się spać. Przejechaliśmy samochodem kawał drogi z Andreapola do Mińska, a przed nami jeszcze droga do Warszawy, więc trzeba wypocząć.

Następnego dnia, gdy zszedłem na parter, obaj generałowie i Maszerow siedzieli już i pili kawę. Przyniesiono dla mnie herbatę i zaczęliśmy rozmawiać.

- Towarzyszu – pytali mnie – jesteście robotnikiem i członkiem Biura?".

Mówię, że tak, co Maszerow potwierdza.

- I Żydów podobno krytykujecie? - ciągnął.

Zdenerwowałem się. Wstaję i mówię:

- Cholera jasna, czy za mną całe życie i wszędzie będzie się wlokło to gówno? Owszem, mam taki charakter, że krytykuję tych, którzy decydują źle dla Polski. Nawet zazwyczaj nie wiem, że to Żydzi. Tyle, że Polscy, jak ich skrytykuję, gniewają się krótko, a oni nie mogą zapomnieć.

Pomyślałem, że u Maszerowa, znając jego przekonania, nie powinno być Żydów, więc już śmielej mówię:

- Jeżeli moje towarzystwo wam nie odpowiada, to nie musimy dalej rozmawiać. Zresztą ja muszę już jechać, bo do Warszawy kawał drogi.

Obaj generałowie zerwali się z krzeseł i zagrodzili mi drogę do drzwi. Maszerow się uśmiechał, co mnie uspakajało, że wszystko jest w porządku i nie muszę się ich obawiać.

- My o tobie trochę wiemy, ty maładiec.

Klepali mnie po plecach, prosili żeby usiąść i dokończyć herbatę. Gdy usiadłem Maszerow mówi:

- Ja poproszę Aloszę, żeby ci opowiedział jedną bardzo ważną historię z okresu drugiej wojny. To niesłychanie ważne i nikt tego nie publikował. Nie znajdziesz tego w żadnej książce i w żadnej gazecie. Obaj są moimi przyjaciółmi i obaj myślą tak, jak ja. Więc nie obawiaj się ich i jak masz okazję to posłuchaj. Tę historię zna część partyjnych działaczy wysokiego szczebla, ludzie Berii również znali ją dobrze. Stalin też zapoznał się z tą sprawą, gdyż musiał wyrazić zgodę na uwolnienie z gułagów dużą ilość oficerów i generałów, których tam więziono jeszcze nim Hitler napadł na Związek Radziecki.

- Oni obaj po śmieci Berii i Kaganowicza przesłuchiwali tych ludzi, którzy byli wysłani do Ameryki, żeby wyprosić szybką pomoc, kiedy Hitler napadł na Związek Radziecki. To już dziś nie jest ani tajne, ani chronione. Jest raczej niewygodne dla wielu ludzi i oni powodują, że nikt tego tematu nie podejmuje się upublicznić – mówił Maszerow.

Ja w tym czasie mogłem swobodnie rozmówić się po rosyjsku, ale bywało, że jakieś słowo było mi jeszcze nieznane. Maszerow dobrze wiedział, jaki jest mój poziom znajomości języka rosyjskiego, więc uprzedził:

- Jeśli nie będziesz czegoś rozumiał, pytaj się mnie.

Generał, zwany Aloszą, zaczął opowiadać:

- Nasz wywiad dobrze wiedział, co Niemcy wyrabiają w zajętej już Polsce. Dużo waszych komunistów uciekało za Bug, gdzie stała Armia Czerwona, w życie wszedł bowiem układ Ribbentrop-Mołotow. I ci komuniści oraz Żydzi, których też dużo uciekło z Polski, mówili nam, co się dzieje w okupowanej Polsce. Paradoks historii polega na tym, że spośród ich wszystkich Polacy zostali uznani za niebezpiecznych zdrajców i wymordowani, bo międzynarodówka partii z siedzibą w Moskwie, której szefem był Dymitrow, uznała polskich komunistów ze element bardzo niebezpieczny. Ocaleli tylko Żydzi i byli od razu wcielani do NKWD. Polscy komuniści, uciekając do Związku Radzieckiego, liczyli, że uciekają do braci partyjnych. Po wojnie okazało się, że przeżyli ci komuniści, którzy pozostali w Polsce pod okupacją Hitlera, z reguły wszyscy oni poszli do partyzantki. Na przykład wzięci do niewoli polscy żołnierze byli ustawiani na placu i niemiecki oficer chodził z tłumaczem przed żołnierzami i mówił: „Żydzi mają wystąpić z szeregu, a jeśli polski żołnierz stoi obok Żyda i nie powie, a my się dowiemy, to

taki żołnierz będzie rozstrzelany".

Chociaż znane było w Polsce zjawisko, że bogaci Żydzi wykupywali od służby w wojsku swoich synów, zatem w wojsku służyli ci z biednych rodzin.

Trzeba uznać fakt, ze niekiedy Żydzi walczyli bohatersko, ginęli razem z Polakami i byli chowani we wspólnych mogiłach. Często było tak, że gdy niemiecki oficer wywoływał żołnierzy żydowskiego pochodzenia, to krzyczał: „Żydzi i komuniści wystąp!". Okazywało się, że w jednej osobie był niejednokrotnie Żyd i komunista. Bo mimo, że u was przed wojną zdelegalizowano partię komunistyczną, to ona działała nielegalnie i większość jej członków stanowili właśnie Żydzi.

Wiedzieliśmy, że komunistów i Żydów Niemcy szybko likwidowali. Takie raporty otrzymywało kierownictwo na Kremlu. U nas, w Związku Radzieckim w latach przedwojennych, do napaści Niemiec na Związek, zamykano w gułagach, zsyłkach i kopalniach masę ludzi.

Można by powiedzieć, że jeśli chodzi o kadry oficerskie, to jest tych, którzy ukończyli szkoły i akademie wojskowe, nierzadko 80 % tego stanu, było aresztowane i siedziało w gułagach lub pracowało w lasach na Syberii. Najmocniej przerzedzona była kadra generalska, często na stanowisku generalskim był oficer pełniący funkcję dowódcy. Jednym słowem w 1939 roku, w oparciu o swój wywiad, który mu o tym donosił, Hitler przyspieszył decyzję napaści na nasz kraj – mówił generał.

W archiwach KC PZPR faktycznie znajdował się dokument zatytułowany „Memoriał Hitler-Stalin". Opracował go w Krakowie zespół profesorów, pod kierownictwem prawnika mgr Waldemara Ostrowskiego. Zespól ten, w oparciu na dokumenty radzieckie, pisał:

W latach 1937 – 1938 likwidowano dowództwo Armii Czerwonej zarzucając szpiegostwo na rzecz państw zachodnich. Oto dane statystyczne operacji:

na 5 marszałków zlikwidowano 3;

na 15 dowódców armii zlikwidowano 14;

na 8 admirałów zlikwidowano 8;

na 67 dowódców korpusu zlikwidowano 60;

na 199 dowódców dywizji zlikwidowano 136;

na 397 dowódców brygady zlikwidowano 221;

na 80 członków najwyższej rady wojennej zlikwidowano 75;

35.000 oficerów rozstrzelano za rzekoma zdradę

Dane te są niepełne, gdyż do wielu okręgów wojskowych nie dotarła komisja powołana przez Chruszczowa, pierwszego sekretarza KC KPZR po śmierci Stalina i Berii. Przytoczone statystyki mówią o likwidacji, natomiast ogromna ilość wojskowych siedziała w gułagach, pracowała w kopalniach, lasach i kamieniołomach.

- Gdy już zaatakowali Związek Radziecki – kontynuował swą opowieść radziecki generał – parli do przodu często nawet osiemdziesiąt kilometrów dziennie. Zdarzało się, że całe nasze dywizje znajdowały się w okrążeniu lub były atakowane nie od zachodu, a od wschodu, gdyż Niemcy orientując się, że zostawili nierozbrojone dywizje, zawracali i atakowali od wschodu. Panował nieprzeciętny chaos, ponieważ pozbawione łączności i właściwego dowodzenia

armie w panice się poddawały. Znane są liczne przypadki, że całe dywizje składały broń i szły do niewoli. Sam Stalin był w szoku, zamknął się swojej daczy na wiele dni i nikt do niego nie miał dostępu. Dopiero, gdy ochłonął, wrócił na Kreml. Meldunki, jakie spływały do niego, nadal były tragiczne, Niemcy brali do niewoli już nie tysiące, a dziesiątki tysięcy wojska. I wtedy Stalin wydał rozkaz, który okazał się tragiczny dla wielu tysięcy żołnierzy i oficerów, a także dla całej armii, dla kraju i poszczególnych ludzi.

„Walczyć należy do końca" - twierdził i żądał tego od całej armii: ten, kto się podda Niemcom, miał być uznany za zdrajcę.

Sukcesy niemieckich wojsk przeraziły kierownictwo rządu i partii w Moskwie, ale paniczny strach padł przede wszystkim na Żydów. Wiedziano, że hasłem Hitlera było zniszczenie komunistów i Żydów, bo to już miało miejsce w Polsce i na zajętych terenach w Związku Radzieckim. Zaczęto więc zastanawiać się, jak tę nawałę hitlerowską zatrzymać, a następnie wyrzucić z kraju. Na Kremlu szybko doszli do wniosku, że sami sobie w tej sytuacji nie poradzą, że trzeba zwrócić się o pomoc do Ameryki. „Najlepiej – mówił Beria – jak pojedziemy z naszą delegacją i przestawimy naszą sytuację. Mamy jeszcze duże zasoby ludzkie, można sformować wiele dywizji, ale wszystkiego nam brakuje. Jesteśmy na etapie przewożenia całych fabryk za Ural, nie będziemy mogli szybko uruchomić produkcji zbrojeniowej. Trzeba przekonać prezydenta Roosevelta, żeby dał nam wszystko, co niezbędne dla potrzeb obrony".

Pojechało czterech ludzi, których wybrał sam Beria. Jak było do przewidzenia, wysłał swoich ludzi, czyli Żydów. W Ameryce nie poszli oni do Białego Domu sami – prezydent Roosevelt przyjął ich w towarzystwie naczelnego rabina Stanów Zjednoczonych oraz Dawida Rockefellera i dwóch jego doradców.

Myśmy obaj ich przesłuchiwali w wiele lat po tym zdarzeniu, bo, mimo że upłynęło tyle lat, Chruszczow zażądał po śmierci Stalina dokładnego sprawozdania z pobytu tej delegacji.

Kiedy ta delegacja zjawiła się na spotkaniu u prezydenta USA i zaczęła prosić o pomoc, mówiącemu przerwał naczelny rabin, pytając: „Czy na pewno jesteś Żydem?".

Ten zapewnił, że oczywiście jest Żydem, podobnie jak jego towarzysze. Zapytał nawet rabina, czy ma spuścić spodnie, żeby go przekonać, ale ten zaprzeczył. „Ja wiem, że jesteście Żydami, ale zapytałem się dlatego, że postępujecie tak jak Żydzi nie powinni robić" - powiedział naczelny rabin i zrobił radzieckiej delegacji wykład:

„Hitler, to chytra sztuka – mówił rabin – on dobrze zna sytuację u was, wiedział, że zamknęliście w gułagach dowódców armii i oficerów. Ja wam przypomnę, co Napoleon mówił o zdarzeniu takim jak to, które ma miejsce u was. Napoleon przekonywał, że jeśli postawić tygrysa na czele stada baranów, to mimo, że stado stanowią barany, przywódca tygrys poprowadzi je i wygrają bitwę. Ale jeśli by odwrócić sytuację – dać władzę baranowi i podporządkować mu stado tygrysów, to ten nie poprowadzi ich do zwycięstwa. Choć cała armia składa się z tygrysów, to baran spowoduje, że poniosą one klęskę z powodu tego, który nimi dowodził. A wy Żydzi zdjęliście rosyjskich tygrysów i zastąpiliście żydowskimi baranami – tłumaczył rabin – wasi komisarze nie mają zielonego pojęcia o taktyce wojennej, dlatego cofacie się i cofacie. A Hitler zaciera ręce z radości, że zrobiliście mu traki prezent. Więc spytałem, czy jesteście Żydami, bo mądrzy Żydzi najpierw

wygraliby wojnę z Hitlerem, a później dopiero zrobili to, co wy już teraz zrobiliście. Wy zaczęliście swą politykę ze złej strony, a to ośmiesza i poniża Żyda. Rozumiecie? Oczywiście, macie racje, że macie ogromne zaplecze ludzkie, że możecie powołać pod broń miliony żołnierzy. My to rozumiemy, po co mieliby ginąć amerykańscy żołnierze, lepiej dać wam to, czego potrzebujecie niż ryzykować życie naszych chłopców. Ale problem tkwi w tym, że bez tygrysów te wasze barany nie będą umiały użyć broni, którą przekazalibyśmy wam. My widzimy tę sprawę tak: „Należy szybko – mówił rabin – jak najszybciej wypuścić wszystkich dowódców i generałów, dać im lekarzy, potem medale, a jak trzeba to przeprosić i powiedzieć, że to była pomyłka i do końca wojny nikogo z dowódców nie zamykać. Pomoc oczywiście dostaniecie, ale w dobre i doświadczone ręce, a nie po to żeby Hitler to zdobył".

Tak więc – zakończył generał, przyjaciel Maszerowa – paradoks polega na tym, że naszych generałów i oficerów zamknęli Żydzi i ich uwolnienie także spowodowali Żydzi. Pomoc, i to niemała, oczywiście płynęła do Murmańska. Mimo strat i ofiar Amerykanie dotrzymali słowa i nie żałowali sprzętu, żywności i odzieży dla Armii Czerwonej. I tak się im to opłacało, bo na froncie ginęli Rosjanie, a nie Amerykanie.

Po tym fakcie Stalin, mimo że nie zdjął komisarzy politycznych przy oficerach i generałach to spowodował, że nie mieli już oni takiego wpływu na dowódców.

Natomiast dywizje NKWD – mówił generał – były dobrze uzbrojone, lepiej zaopatrzone w żywność i transport. W okresie wojny podlegały one wyłącznie Berii, do czasu, gdy za Chruszczowa rozprawiono się z Berią i Ganowiczem. Te dywizje były na specjalnych prawach, szły tuż za frontem i trzymały dyscyplinę. Bywały przecież sytuację, że w czasie wojny dochodziło do samowoli i rozboju. Zdarzało się, że w dywizji ktoś, idąc z tyłu, zmuszał drugiego do przejścia do przodu grożąc, że jeśli tego nie zrobi to dostanie kulkę z tyłu. Ale - zaznaczył generał – to w porównaniu z bohaterstwem i poświęceniem naszych żołnierzy są sprawy drobne. W każdej armii, na całym świecie, znajdą się ludzie, którzy nadużyją swej siły i broni dla własnych korzyści, stąd potrzebna jest taka formacja, która będzie temu przeciwdziałać. Tylko, że u nas ta formacja rozrosła się wręcz astronomicznie i nie było dziedziny, gdzie by nie mieli swoich ludzi.

Na świecie służące w armii siły porządkowe i dyscyplinujące miały przewagę nad regularnym wojskiem, ale nie wolno im było złapanego na przestępstwie żołnierza zastrzelić na miejscu. U nas było na porządku dziennym, że szeregowy enkawudzista sam wymierzał karę i bez sądu zabijał oficera. Doprowadziło to do absurdu i jeszcze za życia Stalina wydany był dekret, który określał rolę i zakres działań tej formacji. Mimo tego dokumentu, który nie eliminował całkowicie złych praktyk, a tylko trochę je ograniczał, NKWD i tak robiła, co chciała.

Tragiczne w skutkach dyspozycje Stalina, według których ten, kto się podda na froncie Niemcom uznany będzie za zdrajcę, NKWD realizowało przez całe lata i nie tylko w czasie wojny, gdy nasza armia odbijała coraz więcej obozów z naszymi jeńcami, ale też długo po wojnie, robiąc śledztwa wyłuskiwała byłych żołnierzy, którzy w jakiś sposób po wojnie ukryli się i żyli wśród ludzi. Zdarzały się i takie sytuacje, że radzieccy żołnierze wzięci do niewoli przez Niemców uciekali z transportu lub obozu, a na terenach Polski tworzyli oddziały partyzanckie, bądź wchodzili w skład oddziałów polskich, czy też rosyjskich. Niektórzy zginęli w walce, inni, mimo, że mieli na swoim koncie liczne bohaterskie czyny, po wojnie

musieli odpowiadać za to, że poddali się Niemcom. Co prawda, to z myślą o nich wyszła ustawa, która łagodziła pierwszy dekret Stalina o rozstrzeliwaniu, ale byli skazywani na ciężką pracę w kopalniach uranu.

- Wielu, mimo strasznych warunków, jednak przeżyło – powiedział generał.

- Tak, to prawda – przerwałem mu opowiadanie – sam kilkakrotnie słyszałem od generałów polskich, Wacława Czyżewskiego i Jana Derkowskiego, że w czasie wojny w ich polskich oddziałach, w ludowej polskiej partyzantce służyli radzieccy żołnierze, którym udało się uciec od Niemców, że byli wyjątkowo waleczni i odważni. Ale po wojnie, zamiast otrzymać odznaczenie za swoje bohaterstwo, byli aresztowani i mimo, że my, Polacy, składaliśmy raporty o ich czynach i zasługach, to zabierano ich pod konwojem. Sam generał Czyżewski mówił, że to straszne, żeby żołnierza karać za to, że jego dowództwo albo uciekło i pozostawiło wojsko bez dowodzenia, albo w ogóle nie wiedziało, co robić, gdy Niemcy nacierali lub po prostu, gdy żołnierze nie mieli czym walczyć, bo wojsko nie było w ogóle przygotowane do napaści Niemców na Związek Radziecki. Stalin przecież wielokrotnie mówił do swych generałów, żeby na granicy z Polską nie drażnili Niemców przygotowaniem wojska do obrony, bo chciał jak najdłużej zachować pokój. Hitler dobrze o tym wiedział i nie czekał, aż Rosjanie zrozumieją swój błąd. Napadł tak samo zdradziecko jak na Polskę, a za to wszystko, co było winą Stalina, zapłaciło wojsko, zapłacili dobrzy rosyjscy patrioci, którzy w innych warunkach, którzy innych warunkach, przy innym kierownictwie armiami, postawiliby Hitlerowi zacięty opór – powiedziałem.

- Masz rację - przerwał mi Alosza – ale do wydania takiego dekretu skłonił Stalina Beria. To on na posiedzeniu Biura Politycznego powiedział, że nie ma czasu na wychowanie żołnierza i oficera w obecnej chwili, a ten bardak, jak określił cofanie się radzieckich wojsk, musi być zatrzymany. Twierdził, że można zadziałać tylko w ten sposób, że za defetyzm i za cofanie się będzie grozić kula w łeb i tylko jego dywizje mogą to zrobić. Stalin zgodził się na tę propozycję.

Drugim rozkazem, który pozwalał każdemu radzieckiemu żołnierzowi zabić przeciwnika oddającego się do niewoli, był rozkaz dotyczący żołnierzy ukraińskiej armii Własowa. Głosił on, że jeśli żołnierz podnosił ręce i szedł się poddać należało go zabić, a nie brać do niewoli. To, że czekała ich śmierć, gdy przeszli na stronę Niemców i walczyli po ich stronie, można jeszcze zrozumieć – tłumaczył Alosza – była to dla nas straszna zdrada, bo Ukraina to duży kraj i ma sporo ludzi, z których można było stworzyć liczną armię. Mało się mówi i pisze na ten temat, ale gdy wojna miała się ku końcowi i Koniew oskrzydlał Berlin z jednej strony, a Żukow z drugiej, to wszystkie te formacje liczyły, że uratują swe głowy – zarówno te, które przeszły na stronę Niemiec, jak i te, które ogarniali Amerykanie, to jest ci żołnierze, którzy uciekli z terenów Niemiec zajmowanych przez Rosjan na tereny zajmowane przez Amerykanów. Stało się jednak inaczej. Żukow w imieniu Związku Radzieckiego zażądał od strony amerykańskiej, żeby co do jednego żołnierza zwróciła całą armię Własowa. Zagroził niewzięciem udziału radzieckiej delegacji w akcie kapitulacji Niemiec, no i Amerykanie przystali na te żądania.

- Mój przyjaciel, który był przy zwracaniu tych wojsk w nasze ręce, opowiadał mi – mówił Alosza - że oni szli i płakali, gdyż dobrze wiedzieli, co ich u nas czeka.

- Co się z nimi stało? - spytałem.

- Nie wiem. Jak tylko Amerykanie ich nam oddali, przejęły ich od razu jednostki NKWD. Później już nie słyszałem o nich – dodał – Wojna i już po wojnie,

póki żył Stalin, to były straszne czasy. Dobrze, że ten koszmar odszedł od nas. Teraz stopniowo zaczynamy żyć inaczej – zakończył.

- Czy lepiej? - spytałem.

- Pewnie, że lepiej. Przecież w tamtym okresie bym ci tego nie opowiadał. A dziś widzisz, że bez obawy rozmawiamy o tych problemach.

- Ale nie powiesz mi wszystkiego? - dopytywałem.

- Wszystkiego? - spytał – A co chcesz wiedzieć?

- W tej chwili nie mam konkretnego tematu, jest trochę niejasności i trochę wątpliwości, wiele znaków zapytania, ale nie umiem od ręki sprecyzować, co jest najważniejsze – dodałem.

- No, wątpię, czy będziesz miał okazję spotkać ich kolejny raz. Oni na co dzień pracują w Moskwie – włączył się Maszerow – Ja ich oczywiście widuję z tej racji, że jestem członkiem Biura Politycznego i co tydzień jeżdżę do Moskwy. Teraz przyjechali na urodziny mojej żony. Ale o tobie wiedzą sporo – dodał Maszerow – Bardzo się właśnie wczoraj uśmialiśmy, jak opowiadali, że czytali raport na twój temat. Ty rzeczywiście mówisz to, co myślisz. Dowodem tego jest właśnie ta notatka, którą oni nazywają raportem, z twojej służbowej wizyty w Moskwie sprzed paru miesięcy. Brałeś odział w akademii, a nawet zabrałeś głos. Przed tobą przemawiał nasz znany człowiek, sekretarz miejski Moskwy, który mówiąc dość dużo o kulturze i sztuce, powiedział „nasz narodowy radziecki poeta Mickiewicz bywał na Krymie. Przyjaźnił się z Puszkinem i na Krymie napisał Sonety Krymskie”. Ty zabierając głos tuż po nim, odniosłeś się do jego wypowiedzi. Ku ogromnemu zaskoczeniu zgromadzonych na sali działaczy partyjnych, obecnych tu ze swoimi rodzinami, powiedziałeś, że „nie jest Mickiewicz waszym narodowym poetą, bo przecież pisał – Litwo, ojczyzno moja. Pisał to po polsku, a nie po rosyjsku, więc nie może być waszym narodowym poetą. Chyba, że uznamy, że wszystko jest nasze, to wtedy – tak”.

Ale najbardziej rozbawiłeś zebranych na sali czy innym. Nawiązałeś do tych sonetów krymskich, które Mickiewicz na Krymie napisał. Powiedziałeś, że obaj z Puszkinem poszli się kąpać w morzu, a widząc, że nikogo nie ma w pobliżu, zdjęli z siebie wszystko i poszli się kąpać na nagusa. Z tej kąpieli pierwszy wyszedł Puszkin i zrobił Mickiewiczowi żart, bo schował w krzakach jego ubranie i siedział czekając, aż ten wyjdzie z wody. Gdy Mickiewicz wyszedł i było mu chłodno, zaczął szukać swego ubrania. Zorientował się, co się stało i poprosił o oddanie mu ubrania. Ale Puszkin powiedział: „Chcę teraz sprawdzić, jak ty tworzysz swoje wiersze. Nie oddam ci ubrania dotąd, aż powiesz mi nowy wiersz na temat tej sytuacji”. Na to Mickiewicz zareagował rzekomo tak : „Wyszedłem z wody, jest mi zimno, trzęsę się jak nać, oddaj mi ubranie, kurwa twoja mać”.

- Po tym, co powiedziałeś, na sali zapadła długa cisza, ale gdy w pierwszym rzędzie zaczęli klaskać, to sala zrobiła ci wtedy wielką owację – mówił Maszerow.

- No tak, to prawda – powiedziałem – to miał być dowód, że murarz, czy cieśla, nie powinien brać się za poezję. Mickiewicz tego oficjalnie nigdzie nie napisał, ale krążyła taka anegdotka, a że przedmówca trochę mnie zdenerwował, to posłużyłem się nią jako poezją Mickiewicza. Ale swoją drogą, to ciekawi mnie, że wasze służby zajmują się takimi duperelami – powiedziałem.

- To wcale nie są, jak powiadasz, duperele – stwierdził Alosza – Mógł z tego powstać bardzo poważny konflikt polityczny. Ale ci, którzy o tym decydowali,

uznali, że żartowałeś.

- To prawda – potwierdziłem słowa Aloszy – Kiedyś poprosił mnie radziecki ambasador na rozmowę do ambasady. Aristow był człowiekiem, który lubił mnie za moją prostolinijność, wiele razy mi to mówił, ale też zaznaczał, że są granice, że muszę uważać, co i do kogo mówię. Poprosił mnie na tę rozmowę, bo chciałbym zrozumiał, że chyba przekraczam te granice prostolinijności.

Otóż zdarzyło się tak, że na uroczystości rocznicy rewolucji październikowej zaczęliśmy po oficjalnych przemówieniach opowiadać sobie nawzajem przeróżne kawały. Gdy przyszła na mnie kolej to powiedziałem kawał o ich bohaterze z czasów rewolucji: „Czapajew został mianowany dowódcą, jego sława rosła, mówiono i pisano o nim jako o wzorze do naśladowania. Ale walki się skończyły i nie było do kogo strzelać, więc w Moskwie podjęto decyzję, że ów bohater narodowy powinien być awansowany wyżej. Ale na przeszkodzie stał fakt, że Czapajew w ogóle nie chodził do szkoły. Mimo to wezwano go do Moskwy na egzaminy. Po paru dniach wrócił bardzo przygnębiony i nie odzywał się do podwładnych, aż wreszcie po paru kieliszkach wypitych wśród kolegów żołnierzy mówi: „Czego oni chcą ode mnie w tej Moskwie. Bardzo dobrze zdałem mocz, kał i krew, a oni mówią, że nie nadaję się do akademii, bo nie zdałem egzaminu z pisania i czytania. Ale trzy zdałem dobrze, jak mówili lekarze, mimo to nie przyjęli mnie". Ten żart nie uszedł ich uwadze, uznali, że trzeba ze mną porozmawiać i zlecili to ambasadorowi Aristowowi.

- Myślę, że wojsko było najbardziej hermetyczne. Nieraz byłem świadkiem, jak wojskowi opowiadali kawały, za które wcześniej zamykano ludzi. Od nich nie przedostawało się do służb tyle, co ze środowisk cywilnych. Można to wyjaśnić tym, że wojskowi byli w stanie ciągłej wojny ze służbami specjalnymi i gdy tylko w ich środowisku znalazł się taki funkcjonariusz, był od razu izolowany. Jednym z przykładów był sam marszałek Kulikow i jego otoczenie – mówiłem.

- A to ciekawe! - słyszę.

Obydwaj generałowie i Maszerow zainteresowali się tak bardzo, że przestali jeść.

- Nie, nie ma w tym nic, co by was mogło służbowo zainteresować. Po prostu to, o czym powiedział marszałek Kulikow, każdy człowiek, który przeżył wojnę, widział na własne oczy. Może nie w takiej skali jak on, ale niemniej ludzie tego doświadczyli.

Otóż, kiedy nocowałem w domu marynarki wojennej w Gdańsku, to nim poszło się spać, uczestniczyło się w kolacji, oczywiście mocno zakrapianej wódką. Siedziałem obok marszałka i obserwowałem, jak telewizja transmitowała mistrzostwa świata w lekkoatletyce. W tych latach Niemiecka Republika Demokratyczna miała dużo dobrych sportowców w wielu dziedzinach sportu i wiele krajów chciałoby mieć tyle sukcesów, ile mieli niemieccy sportowcy. Wprawdzie później przyłapano sportowców z Niemiec na koksie, czyli jak mówiono na dopingu, niemniej wcześniej tych sukcesów mieli sporo.

Kulikowowi zawsze towarzyszyli generałowie i adiutanci, więc i tym razem było około dwudziestu osób. W pewnym momencie jeden z generałów głośno zwrócił uwagę, ze Niemcy mają dużo dobrych sportowców. Marszałek Kulikow przestał jeść i począł przyglądać się audycji w telewizorze. Rzeczywiście, Niemcy wygrywali i to akurat z Rosjanami, co szczególnie wszystkich obecnych zainteresowało. Niemiecka ekipa zwyciężyła i nie było nawet powodu do toastu dla swoich. Wtedy

marszałek, mimo że sam oglądał transmisję, spytał obecnych:

- Mówicie, że to niemieccy sportowcy zwyciężyli?.

Odpowiedziano mu, że tak.

- To wcale nie są Niemcy - stwierdził marszałek ku osłupieniu swoich podkomendnych.

- Jak to, nie są to Niemcy? - spytał jeden z generałów – Przecież wszyscy widzieliśmy, towarzyszy marszałku, że to są Niemcy.

- I tu się mylicie wszyscy. Jeszcze raz wam to mówię, że nie są to Niemcy.

Sam byłem zdumiony takie obrotem tej sprawy, a jednocześnie ciekawy jak marszałek to wyjaśni. On jednak spytał się swego adiutanta:

- Ile ci sportowcy maja teraz lat?

- No, po dwadzieścia kilka – stwierdził adiutant.

- Po trzydzieści też. No to moi drodzy zacznijmy liczyć – powiedział marszałek – Musimy tu przywołać fakty historyczne z czasu wojny i po jej zakończeniu. Bez tego nie zrozumiecie tego, że ci sportowcy nie są Niemcami.

- Formalnie i prawnie nimi są – dodał marszałek – ale fizycznie, czy jak wolicie biologicznie, oni wcale nie są pełnowartościowymi Niemcami. Kiedy nasza zwycięska Armia czerwona zdobyła Berlin i tereny, które dziś nazywamy Demokratyczną Republiką Niemiec, to Niemców, którzy nadawaliby się na ojców tam nie było. Hitler bowiem kazał wcielić do wojska wszystkich od piętnastego do sześćdziesiąt piątego roku życia. W ostatnich miesiącach wojny do Folk-szturmu wcielano nawet trzynastoletnich chłopców, co możecie obejrzeć na filmach dokumentalnych z tego okresu. My wszystkich, którzy dostali się do naszej niewoli, umieściliśmy na Dalekim Wschodzie i niewielu z nich przeżyło. Przykładem jest armia von Paulusa spod Stalingradu, z której przeżyło tylko sześć tysięcy ludzi. Nie było więc w Berlinie, ani pod Berlinem, mężczyzn.

- Kiedy dotarli tu nasi i Polacy, spragnieni kobiet, nie pytali się, czy można. Z czasem gwałtów już nie było, bo karano za to surowo, ale warunki życia po wojnie sprawiły, że kobiety same nawiązywały takie znajomości i żyły z naszymi żołnierzami, żeby mieć za co żyć. Zwłaszcza do Polaków to szły jak muchy do miodu, bo Polak to Niemkę i w rękę pocałował i obronił przed ruskim i z kuchni jedzenia przyniósł – mówił marszałek, zwracając się w tym momencie do mnie – i tak było przez wiele lat po wojnie.

- Trzeba było dziesięciu lat, żeby niemieccy chłopcy stali się mężczyznami i mogli być ojcami. Tak, że wy mi nie mówcie, że to są Niemcy. A w ogóle – ciągnął marszałek – myślę, że naukowcy kiedyś napiszą, że nowe pokolenie Niemców wcale nie ma za ojców Niemców, bo po stronie aliantów działo się tak samo, tylko może nie na siłę. Niemki za żywność i alkohol, za kawę i papierosy, czy za non iron współżyły z Francuzami w ich strefie okupowanej, podobnie z Anglikami Amerykanami. Wystarczy przejrzeć roczniki statystyczne, zobaczyć ile dzieci i w jakich latach przyszło na świat w całych Niemczech i będziecie mieli prawdziwą odpowiedź – zakończył.

- Rzeczywiście, przy takich argumentach trudno byłoby twierdzić, że jest inaczej, niż mówił o tym marszałek – powiedziałem.

Tak na marginesie, myślę, że my, Polacy, po drugiej wojnie doświadczaliśmy niebywałych zjawisk, przecież w związku z zajęciem wschodnich terenów Polski

trzeba było przenieść na odległość od 300 do 500 km cztery miliony ludzi i to z dobytkiem, co prawda ubogim, ale jednak. Sam wiem, jakie antagonizmy dzieliły ludzi na Warmii i Mazurach. Ludzi różniło wszystko – zwyczaje, folklor, język, obchodzenie świąt, ba, nawet z tego powodu matki i ojcowie pilnowali swoje dorosłe dzieci, aby tylko nie chciały żenić się między sobą. Ale czas zrobi swoje, dziś na Mazurach, czy nad Odrą, nikt nie mówi swoją gwarą, nie wytyka innym skąd pochodzą, nie zabrania młodzieży żenić się między sobą. To już inny świat, inni ludzie.

Tak samo i Niemcy, nie dochodzą jak Lepper DNA, czują się Niemcami, mimo że wojna wprowadziła rzeczywiście w ich naród obcą krew. Współcześnie można powiedzieć, ze wielu Niemców ma ojców i dziadków, którzy w czasie wojny byli w koalicji przeciwko Niemcom.

Skutek tych opowieści u Maszerowa był taki, ze zamiast odjechać rano, to do południa przegadałem z jego gośćmi. To rzeczywiście rzadka okazja, żeby ludzie tej rangi i z taką wiedzą tak szczerze z sobą rozmawiali. Gospodyni, ze względu na mnie, zrobiła wczesny obiad i zaraz musieliśmy ruszać do Warszawy. Wtedy jednak w bramie pojawił się samochód i z góry można było powiedzieć, że to ktoś ważny, bo poprzedzał go radiowóz, a kolejny jechał za nim. Na podwórze zajechała długa, czarna limuzyna, a takie woziły ludzi z Kremla i były przeznaczone wyłącznie dla ludzi najwyższego szczebla partyjnego. Samochód stanął tuż przy schodach i szybko wysiadło z niego dwóch ochroniarzy, którzy otworzyli drzwi. Najpierw zobaczyłem kędzierzawą czuprynę, a za chwilę całą postać Piotra Kostikowa.

Maszerow zszedł na podjazd, by go powitać. Widać było, że to nie służbowe, a gorące powitanie przyjaciół, którzy darzą się szczerą sympatią.

- Gdzież jest ta solenizantka – spytał Kostikow.

Za chwilę oficerowie ochrony wyjęli olbrzymi kosz kwiatów z samochodu i postawili go na podeście. Gospodyni już z daleka rozkładała ręce i rzuciła się w objęcia Kostikowa.

- No, tak - pomyślałem sobie – oni muszą być dobrymi przyjaciółmi.

Kostikowa znałem od dwóch lat, parę razy miałem okazję z nim rozmawiać. Uchodził na Kremlu za osobę, która ma najlepsze rozeznanie w polityce światowej. Bardzo dokładnie umiał scharakteryzować osobę, o której się mówiło, zawsze miał bardzo dokładne dane osoby, którą z różnych powodów zajmowali się politycy. Dotyczyło to tak radzieckich polityków, jak i tych w krajów Układu Warszawskiego.

Okazało się, że obaj generałowie, goście Maszerowa, to jego pracownicy. Mnie równie z przywitał ciepło i wskazując na żonę gospodarza powiedział:

- Nie mogło być inaczej, ona tęskni za Polską i Polakami.

Przerwałem mu, żeby sprostować:

- Mylicie się, towarzyszu Kostikow. Ja nie byłem proszony na tę uroczystość, to czysty przypadek, że wracając z Andreapola, zajechałem pod ich dach.

- Ale ja wiem, że ona ciebie lubi – przerwał mi Kostikow – że lubi ciebie słuchać, jak opowiadasz o wielu ciekawych sprawach. Sama mi to mówiła, więc dobrze, że jesteś.

- Ale ja muszę was przeprosić – zaznaczyłem – muszę wracać do Warszawy.

- Nigdzie dzisiaj nie pojedziesz. Jak trzeba to ja zadzwonię do Warszawy i powiem, że zatrzymałem ciebie, dobrze?

- Lepiej nie dzwońcie, jak trzeba to zostanę, towarzyszu Kostikow.

- A co? To ty tak się boisz i nie chcesz, żebym dzwonił?

Bo zaraz uknują tam w Warszawie, że spiskuję za plecami. I tak mam niemałe kłopoty z tego powodu, że się przyjaźnię z Maszerowem, Sorokinem, Kulikowem i wielu innymi. Rakowski wprost mówi, że to ja mu zrobiłem złą opinię w Moskwie i Jaruzelski nie może go powołać, chociaż chce, na premiera. Fakt, że krytykuję go, bo według mnie nieuczciwie traktuje wszystkich związkowców i jako członek partii zachowuje się dwuznacznie. Ale w Moskwie unikam rozmów na temat Rakowskiego i chyba wy o tym wiecie – tłumaczę.

Kostikow podszedł do mnie i powiedział:

- Tak już jest, że jak ktoś jest winny, to szuka sposobu, jakby tą winą obarczyć innego lub innych. Nigdy sam o sobie nie powie, że jest winien. A ten wasz Rakowski dobrze wie, że ma na sumieniu bardzo poważne sprawy. U was w Polsce uchodzi za reformatora, u nas za to samo byłby zdrajcą.

Gospodarz zaprosił nas do domu i w tej sytuacji nie wypadało mi odjeżdżać. Ale w salonie Kostikow usiadł obok mnie i zaczął wypytywać o sytuację w związkach zawodowych.

- Macie chociaż rozeznanie, ile jest już tych związków? - spytał mnie.

Myślę, towarzyszu Kulikow, że nie ma w Polsce takie osoby ani urzędu, który mógłby dokładnie określić liczbę związków. Sami związkowcy nie wiedzą, ile ludzi codziennie odchodzi i tworzy nowy związek. A już najgorzej, że nie wiadomo z kim ten nowy związek trzyma, kto ma na niego polityczny wpływ i w jaki celu te nowe związki kształtuje. Jedne związki powstają, inne przyzwyczajają się do Solidarności, bądź do związków branżowych lub tworzą tak zwane związki niezależne. Jak na razie nikt nie panuje nad tą sytuacją. Są dwie, może trzy, duże centrale i kilkadziesiąt różnych małych formacji związkowych – mówię.

- A ty jak myślisz, co się z tego kotła związkowego wygotuje? - spytał Kostikow.

- Myślę, że procesu umacniania się nowego związku zawodowego już nikt nie powstrzyma – odpowiadam – porównuję ten proces z chorobą w organizmie człowieka. To jak z nowotworem, albo on pokona organizm, w którym powstaje, albo organizm będzie silniejszy i pokona nowotwór. Z mojej wiedzy wynika, że organizm jest za słaby, żeby pokonać ten „nowotwór związkowy", a poza tym nie ma silnej woli, żeby przezwyciężyć chorobę. Wcześniej, przez wiele lat, popełniano zbyt dużo błędów, na przykład dyrygowanie przez partię związkami, stawianie swoich, a przy tym głupich, na czele związków i wiele, wiele innych, które teraz przeciwnik skrupulatnie wykorzystuje.

- Przecież – przerwał mi Kostikow – w waszych związkach byli i są ludzie bardzo doświadczeni. Często, jak mi mówiono, po dziesięć lub piętnaście lat pracują w fabrykach, kopalniach, zakładach. To tysiące doświadczonych działaczy związkowych.

- Ja to inaczej widzę, towarzyszu Kostikow, - mówię – wiem, bo sam przeszedłem wszystkie stopnie awansu społecznego w związkach. Od 1950 roku, do tej pory nie ma funkcji, której nie pełniłbym społecznie przynajmniej jedną kadencję. Przecież jestem obecnie wiceprzewodniczącym zarządu głównego budowlanych i członkiem Światowej Federacji Związków Zawodowych. To

prawda, że nasi działacze pełnili różne funkcje związkowe po 10 – 15 lat. Ale to był straszny błąd, bo w tym czasie ci działacze byli oddelegowani z pracy i zapominali, jak wygląda ciężka praca, więc trzymali się kurczowo tych funkcji robiąc różne machinacje, by być wybranym na kolejną kadencję. A poza tym na te funkcje nie pchali się ludzie w swym zawodzie dobrzy, ci bali się oderwania od zawodu. Z mojej obserwacji i opinii, jakie słyszałem w wielu zakładach i fabrykach wynika, że ci, co przejawiali chęć pełnienia tych funkcji, w zawodzie mieli same kłopoty, a tu były okazje do różnych delegacji, licznych konferencji itd., i ci ludzie kochali taką pracę, a jednocześnie nie czuli już swych towarzyszy pracy. To, co mówię, towarzyszu Kostikow, nie dotyczy wszystkich działaczy związkowych, bo byli i autentycznie zaangażowani, wrażliwi na ludzkie sprawy i robili dużo dobrego dla swoich załóg, ale było ich mniej, niż tych zasiedziałych po piętnaście lat. A teraz na każdym zebraniu nasi przeszkoleni przeciwnicy powyciągali te wszystkie błędy, wyolbrzymiają je i pozyskują dla swojej polityki i dla swoich związków nowych członków. My sami daliśmy im amunicję, żeby mieli teraz czym do nas strzelać. Ale gdy się wcześniej znalazł odważny i o tym mówił, to natychmiast był niszczony, bo nasi towarzysze w partii na kierowniczych stanowiskach uważali ten głos za demagogię i wywoływanie fermentu – wyjaśniam.

Tak się zapaliłem tą swoją teorią, ze zacząłem mówić coraz głośniej i z coraz większym przekonaniem. Patrzyli na mnie całą czwórką, nikt nie przerywał.

- Nieraz nachodzą mnie myśli - mówiłem dalej – że w partii nie potrzeba ludzi mówiących prawdę, wskazujących na zagrożenia, jakie popełniamy przez głupotę wielu działaczy. Ale bo najlepiej wychodzą na tym ci spolegliwi i wykonujący bez uwag polecenia i pomysły swych przełożonych. Nie daj Boże negatywnie ocenić decyzję wyższego od siebie działacza partyjnego, nie tylko nie przyzna ci racji, ale postara się, by cię zniszczyć. Myślę, że sporo tych negatywnych cech nasi partyjni wysocy funkcjonariusze podpatrzyli i przyswoili sobie u was.

Gdy przestałem mówić, na długo zapadła cisza i tylko patrzyli po sobie. Kostikow wstał i zaczął chodzić, widać, że myślał nad tym, co usłyszał.

- Tak, to prawda – powiedział – ale to tylko jedna strona tego medalu. Druga to ludzie, którzy absolutnie nie chcieli słychać tej zdrowej krytyki, ludzie, którzy założyli sobie tak pokierować rozwojem sytuacji, żeby obrzydzić ten system, ale to już inny temat i na później.

Musieliśmy teraz posłuchać gospodyni i przejść do jadalni. Tu już nie było możliwości politykowania, poza tym, teraz przy stole, było nas dużo więcej. Czułem jednak, że Kostikow chciał jeszcze porozmawiać, bo nieco przyspieszył jedzenie i picie. Pierwszy wstał od stołu i podziękował. Zaproponował, żeby usiąść przy kawie w innym pokoju, ale w tym samym składzie jak przed obiadem. Gdy już kawa była na stole, wstał i zamknął drzwi, którymi wychodziło się na taras. Znów zaczął parę minut chodzić i gdy usiadł to zapytał mnie, jak oceniam zjazd Solidarności w Gdańsku.

- A po co wam moja ocena, skoro wasi ludzie tam byli i siedzieli jako delegaci Solidarności? Chyba macie relacje od zaufanych swoich ludzi? - odrzekłem.

Kostikow popatrzył na obu generałów i spytał:

- Mówiliście towarzyszowi Siwakowi, ilu i kogo tam mieliśmy?

Obaj zaprzeczyli, zapewniając, że takiej rozmowy nie było.

- A ty - zwrócił się do Maszerowa – rozmawiałeś na ten temat?

- Też nie, nawet czasu nie było.

- To skąd wiecie o naszych ludziach na tym zjeździe w Gdańsku? - pytanie było konkretnie skierowane do mnie, więc odpowiedzieć trzeba było.

- Towarzysz Kostikow zapomina, bo nie wierzę, żeby nie wiedział, że znam od wielu lat Włodzimierza Ałganowa i nie tylko jego, ale też jego kolegów, którzy mieszkają w jednym bloku. Ałganow i ja bywaliśmy u siebie w domach, jeździmy razem z rodzinami na wycieczki i przyjaźnimy się. Ja od początku wiedziałem, jaką rolę pełni Ałganow i jego koledzy. Nie obawiałem się tej znajomości, gdyż tak wasze Biuro Polityczne, jak i nasze, podjęły podobne uchwały. Że nie wolno wam wciągać nas do współpracy, a naszym służbom was. Tematy, które mogłyby was interesować, były znane w Moskwie lepiej niż w Warszawie, gdyż w Moskwie były ustalane. Więc, kiedy miał się odbyć zjazd Solidarności w Gdańsku, to Ałganow powiedział mi: „Jadę na kilka dni do siebie, do rodziców. Wrócę za tydzień lub trochę później". Byłem wtedy przekonany, że tak właśnie zrobił, ale oglądam transmisję z obrad zjazdu, kamera jeździ po twarzach delegatów i widzę, że wśród działaczy Solidarności siedzi Ałganow, a dalej paru jego towarzyszy pracy. Wołam żonę, żeby zobaczyła, bo sam sobie nie wierzę. „Tak, to Wołodia i Wiktor obok" - mówi żona. Nieco dalej jeszcze dwóch, których znałem. Wszyscy mają zawieszone na szyi emblematy ze swoimi zdjęciami, skąd są delegowani i jaki region Polski reprezentują. Jak wyście to załatwili, do dziś nie wiem, ale to fakt. Jeśli ktoś ma wątpliwości, to jest to nagrane na wideo u moich znajomych, a i oficjalnie można przejrzeć kronikę filmową.

Gdy skończyłem, obaj generałowie potwierdzili, ze na zjeździe Solidarności mieli dwunastu swoich ludzi.

- No, więc po co wam moja ocena, skoro macie własną, wiarygodną? -spytałem.

- Tam mogłoby być dwa razy tyle naszych, ale oni prawdopodobnie nie umieli ocenić tak, jak ty – odpowiedział Kostikow.

– A cóż tam było do oceny? - spytałem – Przecież to nie był zjazd związkowców, a ludzi z góry ukierunkowanych, by zburzyć ustrój Polski Ludowej. Szli nie po to, żeby stworzyć związek zawodowy, który by rozwiązał te problemy, jakie dręczyły ludzi, ale by przejąć władzę. A poza tym było tam dużo takich, którzy przyjechali na Wybrzeże, żeby po plecach ludzi pracy przejąć władzę i dorobek, jaki naród wypracował po wojnie. Ślepota i głupota rządzących doprowadziła do tego, że powstał klimat, żeby na takim zjeździe dołożyć partii i podważyć wszystko, co robi rząd. Ja mogę krótko podsumować to tak – większość naszych porażek była na nasze życzenie. Tym delegatom, którzy nie byli jeszcze pod wpływem KOR-u, nie dziwię się, bo chcieli żyć lepiej, awansować za kompetencje i wiedzę, za uczciwą, dobrze wykonywaną pracę. Ci, którzy przyjechali na Wybrzeże doradzać, dobrze wiedzieli, że jeśli chcą złapać tę rybę, to muszą najpierw zmącić wodę, a po drugie rybie trzeba dać na haczyk przynętę i to taką, jaką lubi. I udało się w tej części oszukać rybę – stwierdziłem.

- Powiedz mi – zaproponował Kostikow jak zareagował Ałganow, jak wrócił po tygodniu niby od rodziców.

- Normalnie, przywiózł nawet suszoną rybę do piwa, którą kupił w Moskwie. Ale był dobrym psychologiem, przez parę minut obserwował mnie i powiedział wreszcie: „Coś cię dręczy. Chyba chcesz mi coś powiedzieć". Więc mu mówię, że

nie wiedziałem, że ma rodziców w Gdańsku i przy okazji wpadł na zjazd Solidarności, zresztą nie sam, bo i kolegów też zaprosił do rodziców. No i wtedy się przyznał. „Ciekawi mnie jak zdobyliście te dokumenty, zaproszenia i emblematy na szyi z fotografią" - mówię mu. Wyjaśnił, że przez Polonię z Zachodu, jako ci, którzy mieli sponsorować w Polsce Solidarność, a na Zachodzie szerzyć jej ideę. Udało się, bo pieniądze Polonii były potrzebne, a znajomość języka polskiego ich uwiarygodniała.

Po kolacji zaproponowałem, żebyśmy się pożegnali dziś, bo jutro wstanę wcześnie rano i ruszymy do Warszawy. Gdy Kostikow podał mi rękę to powiedział:

- Myślimy obaj podobne. Ja też jestem zdania, ze lepiej byłoby wysłuchać ludzi, którzy nas krytykują niż ich niszczyć. I masz rację, wasi przywódcy naśladowali głupotę naszych. Cieszę się, że przyjaźnicie się z Maszerowem. To porządny człowiek i Słowianin. - zaakcentował na koniec.

Rano oficer ochrony, Andrzej Czarny, powiedział mi:

- Dogadaliśmy się z ochroniarzami Kostikowa i wiedząc, że nigdzie nie będziemy jechać, to zdrowo sobie popiliśmy. Już dawno nie było okazji tak popić i tak szczerze pogadać. A toasty były za wasze i Kostikowa zdrowie i na pohybel w tym jego i waszym wrogom. Chyba dobrze, że myśmy na takie intencje popijali – spytał.

- Dobrze, tylko nie mówcie o tym za dużo.

Wiedziałem o tym, że kierowcy i ochroniarze zawsze więcej wiedzieli niż my, wysoko usytuowani w partii. Nawet, jeśli się nie mówiło, kogo lubimy czy szanujemy, to oni bezbłędnie swoim zmysłem i wyczuciem wiedzieli o tym doskonale.

Rozdział XIV

JEŻELI NIE UGNĄ CI SIĘ KOLANA, TO ZNACZY, ŻE NIE JESTEŚ CZŁOWIEKIEM

Jako członek Biura Politycznego i członek Światowej Federacji Związków Zawodowych oraz wiceprzewodniczącym zarządu budowlanych brałem udział w wielu międzynarodowych zjazdach, kongresach czy sympozjach naukowych na różne tematy. Jest to przeżycie, którego nie da się zamienić na żadną walutę. Nie ma ceny za takie spotkania i słuchania nadzwyczajnych ludzi, ale też oglądania zabytków klasy zerowej, które są pod ochroną światowych organizacji, a są cudem świata. Mogłem być w tych miejscach i zobaczyć to wszystko dzięki funkcjom, jakie pełniłem z wyboru ludzi. Jeśli kto myśli, że to wszystko mogło się zdarzyć dzięki temu, że byłem w partii i ona mi to ułatwiła bądź wyznaczyła takie wyjazdy, to jest w błędzie. Moje funkcje w związkach zawodowych zaczęły się w 1950 roku i przeszedłem kadencja po kadencji wszystkie szczeble awansu, aż do wiceprzewodniczącego budowlanych na cały kraj i członka Światowej Federacji Związków Zawodowych.

Dość długo odmawiałem licznym naciskom i próbom wstąpienia do partii, bo aż do roku 1968. Przez osiemnaście lat byłem zatem działaczem wyłącznie związków zawodowych. Ale problemy partii nie były mi obce, brałem udział w zebraniach partyjnych, często zabierałem głos w sprawach ludzi pracy. Niekiedy doprowadzałem zebranych do konsternacji, jak wtedy, gdy w czasie wyborów na funkcję sekretarza zaproponowano moją kandydaturę, a ja wyjaśniałem, że nie należę przecież do partii. Po prostu każdy ludzki problem interesował mnie i próbowałem go rozwikłać.

Po wstąpieniu do partii bardzo szybko przechodziłem poszczególne szczeble partyjnego awansu, od plenum warszawskiego, poprzez komitet dzielnicowy (później warszawski), gdzie jako pierwszy i jedyny robotnik w tym gronie zostałem członkiem egzekutywy warszawskiej. Opisałem swą drogę obszernie w książce „Trwałe ślady", tu przedstawię więc pobieżnie fakty ze swego życiorysu partyjnego.

Najpierw zostałem zastępcą członka Komitetu Centralnego, następnie członkiem KC, a na IX Zjeździe wybrano mnie na już na członka Biura Politycznego. Wszystko to odbywało się w czasie ostrych społecznych konfliktów, napięć i strajków.

Członkowie Komitetu Centralnego znali mój życiorys i cechy charakteru, więc powierzyli mi zaszczytną, ale niezwykle trudną funkcję przewodniczenia komisji skarg i interwencji w skali całego kraju, która, można powiedzieć, zajmowała się wszystkim. Moja droga partyjna wcale nie była łatwa. Po roku członkostwa odebrano mi legitymację i z hukiem wyrzucono z partii. Było to w 1968 roku, za czasów Gomułki, któremu niesłusznie przypisano wyrzucenie mnie.

Potem znów przyjęto mnie do partii. Już po zmianie ustroju, kiedy Miller przewodniczył SLD, na jego polecenie, a prośbę ludzi z otoczenia, których oficjalnie krytykowałem za korupcję, ponownie usunięto mnie z partii. Co prawda, gdy funkcje po Millerze objął Janik, to napisał do mnie pismo, że nastąpiła pomyłka i przywracają mi członkostwo, ale odpisałem wtedy, że dziękuję, ale nie wrócę, bo obecnie to wcale nie jest lewica.

Trochę to przydługi wstęp, ale myślę, że przyda się czytelnikowi, by lepiej zrozumieć to, co pragnę przekazać. Chciałbym w tym rozdziale opisać jak wszystkie stanowiska, które piastowałem, pomogły mi poznać świat, a przede wszystkim wyjątkowo ciekawych i wartościowych ludzi, od których dowiedziałem się o wydarzeniach, których nikt nie tylko nie opisał, ale nawet o nich nie wspomniał, bo groziło to wtedy zniknięciem.

Żeby jednak wyjeżdżać, musiałem wpierw zajmować funkcje i stanowiska, tak w związkach zawodowych, jak i w partii, a więc być przez ludzi na nie wybieranym. Winien jestem wdzięczność tym, którzy mi zaufali i wybierali, bo dzięki ich poparciu mogłem przeżyć doświadczenia, jakie pragnę zapisać w swoich wspomnieniach.

Poprzez te moje wyjazdy i rozmowy z wieloma ludźmi poznałem bardzo poważne wydarzenia, jak i takie, które można nazwać śmiesznymi epizodami, ale i te były przecież dla wielu ludzi poważnym problemem. Ot, chociażby sprawa małego odcinka granicy polsko-radzieckiej.

Był taki klin ziemi radzieckiej, który wchodził w polskie terytorium. Gdy te tereny należały do Polski, zbudowano tam linię kolejową, która teraz na około osiemnastu kilometrach przebiegała po terenie radzieckim. Dwa razy dziennie przyjeżdżał więc po terenie radzieckim polski pociąg z polskimi pasażerami. Kiedy miał wjeżdżać z polskiej ziemi na radziecką, to wsiadali do niego polscy i radzieccy żołnierze, aby pilnować, czy nikt z Polaków w czasie tej jazdy nie wyskoczył. W czasie jazdy musiały być też zamknięte wszystkie okna, a jeśli ktoś, nie daj Boże, wyrzucił coś z pociągu, to zatrzymywano go i dopiero, gdy znaleziono tę paczkę pociąg jechał dalej. W końcu nasze i radzieckie władze porozumiały się w tej sprawie i podjęto decyzję, że należy wyprostować granicę, a więc ten klin Polsce oddać i w zamian tyle ziemi zabrać. Zrobiono pomiary i wytyczono nowy odcinek granicy, tyle, że przebiegała przez dwa zabudowania chłopskie polskich rolników.

Zjechała wysoka komisja ze strony radzieckiej i polskiej i pytają chłopów po której stronie granicy chcą żyć. Obie rodziny, których to dotyczyło, poszły do domu na naradę, a wysoka komisja czekała na podwórzu. Radziecki szef komisji powiada, że powinni oni być na terytorium radzieckim, gdyż obaj gospodarze mają 90 % ziemi po stronie radzieckiej, a tu tylko zabudowania. Ale decyzja rolników była inna. Obaj chcieli, żeby przesunąć granicę tak, by ich ziemia znajdowała się na terytorium Polski.

„Chcemy żyć w Polce, bo w Rosji zawsze były tęgie mrozy, a w Polsce mniejsze" - argumentują. Zrobiła się cisza i wszyscy patrzyli teraz, co powie radziecki szef komisji. A on podszedł do obu rolników i spytał: „To wy uważacie, że jak przesuniemy o sto metrów granicę, to do was mróz nie dojdzie?".

„Tak jest, towarzyszu naczelniku! - krzyknęli obaj chłopi – Od wieków carska Rosja miała wielkie mrozy, a w Polsce było cieplej. Dlatego wybieramy tu, gdzie jest cieplej".

„Ot, liski chytruski" - powiedział naczelnik, ale przystał na ich propozycję.

Inna już sprawa dotyczyła Poznania. Wielu Polaków pamięta, jakie tłumy zjeżdżały się na Targi Poznańskie. Trzeba było milicji, by utrzymać porządek i pchający się tłum wpuszczać do pawilonów stopniowo. Ja i Kaukus mieliśmy wtedy towarzyszyć radzieckim członkom KC. Kaukus, nim wybrano go, tak jak i mnie, do Biura Politycznego, był pracownikiem Cegielskiego i działaczem partii w Poznaniu. A więc to jego miasto i jego ludzie tam żyli. Oczywiście każdy z nas miał

oficera ochrony, a nawet dwóch, bo kierowcy też pełnili taką rolę. Przechodziliśmy całą grupą z pawilonu do pawilonu, a było tu parę osób wysokiej rangi z Moskwy wraz z ochroną.

Kiedy wyszliśmy z jednego pawilonu i należało przejść ulicą do drugiego, Kaukus spotkał na ulicy znajomych. Z Kaukusem szedł radziecki członek KC i obaj sobie gadali, więc gdy ten pierwszy się zatrzymał, to i on również przystanął. Tymczasem cała nasza grupa weszła do pawilonu i zamknięto za nami drzwi, żeby luzie nie wchodzili, póki delegacja zwiedza pawilon. Jak Kaukus i ten radziecki członek KC doszli, to już tłum stał i czekał na otwarcie zamkniętych drzwi, a milicja na zewnątrz pilnowała porządku. Obaj zaczęli kołatać w drzwi, żeby ich wpuszczono. Milicjant kazał im odejść, ale oni dalej walą w drzwi. Zdenerwowany milicjant odepchnął ich obu, ale oni znów doszli i uderzają pięściami w drzwi. Wtedy milicjant wyjął pałkę i obaj dostali lanie.

Ochroniarz Kaukusa i radzieckiego gościa zostali po tym zajściu wyrzuceni z pracy za to, że poszli z całą grupą i zostawili na ulicy swoje obiekty do ochrony. Gdy pytaliśmy Kaukusa, dlaczego nie powiedział milicjantowi, że jest członkiem Biura, to ten odpowiedział: „Właśnie za to dostaliśmy, bo milicjant, bijąc nas krzyczał, że co godzina nowy fałszywy minister, albo członek KC, się objawia". „Ja ci dam członka Biura!" - krzyczał i bił pałą".

To oczywiście są śmieszne epizody, których było niemało w czasie pełnienia tych stanowisk.

Kiedyś towarzyszyłem delegacji radzieckiej, której przewodniczył Piotr Kostikow, z którym od paru lat się znaliśmy, wspólnie przegadaliśmy wiele dni i nocy. Było z nim kilka osób z Kremla, mieliśmy im pokazać dobrze gospodarujący PGR. Kilka samochodów z delegacją i jeszcze więcej wozów ochrony. PGR szczycił się dobrą hodowlą mlecznych krów i przerobem nabiału na sery. No i nasza ochrona i ochrona radziecka rzuciły się na śmietanę, pili nie tylko do woli, ale wyraźnie za dużo. Jednak nikt im nie zwracał uwagi.

Podczas obiadu, po zwiedzaniu, ochroniarze nie chcieli jednak jeść i ciągle gdzieś wychodzili. W drodze powrotnej okazało się, że nie można z nimi jechać, co chwila hamowali kolumnę i spuszczali w rowie spodnie. Doszło do tego, że wyrozumiały Kostikow kazał skręcić do lasu i zarządził godzinny postój. Obie ochrony i kierowcy siedzieli w krzakach. Przejeżdżający milicyjny radiowóz zainteresował się, dlaczego samochody rządowe stoją w lesie, więc przyszli sprawdzać. „Panowie, prosimy o dokumenty" - krzyczeli do krzaków. A ci w krzakach odpowiadali: „Odczepcie się, bo jesteśmy z tej samej firmy, tylko nas choroba zmusza siedzieć w krzakach". „Jaka choroba? - pytali milicjanci - może pogotowie wezwać?". „Odczepcie się do cholery i nie wzywajcie żadnego pogotowia. Mamy po prostu sraczkę, głupi durniu". Po godzinie ruszyliśmy jednak do Warszawy i tylko raz chłopcu wyskoczyli do rowu.

Wyżej opisane sytuacje zaliczam do śmiesznych zdarzeń, być może nie wartych uwagi, ale przecież życie niosło i takie.

Parę tygodni po tym, jak wojska wietnamskie wkroczyły do Kampuczy i przerwały ludobójstwo, jakie swemu narodowi zgotował Pol Pot, miał się tam odbyć zjazd komunistycznej partii Kampuczy. Mnie generał Jaruzelski wyznaczył na przewodniczącego polskiej delegacji i do zabrania głosu podczas zjazdu. Razem z tymi, co lecieli ze mną, przeszliśmy całą serię badań i szczepień, bo tam ameba łazi po każdej szklance czy butelce i jest mnóstwo pasożytów, których w Europie

nie ma. Kampucza jest bardzo daleko, lecieliśmy dwadzieścia trzy godziny samolotem, takim specjalnym, radzieckim, gdyż w Moskwie zabrano delegacje wszystkich krajów socjalistycznych i lecieliśmy zbiorowo.

W Kampuczy, po otwarciu drzwi samolotu, uderzyła nas fala gorąca. Niektórzy się cofnęli, mówiąc, że nie wejdą do tego pieca. Ale to nie była prywatna wycieczka, więc wyjść musieli. Zawieziono nas długą kawalkadą samochodów do budynków byłej chińskiej ambasady, gdyż tylko te budynki miały własne ujęcia wody pitnej i czynną kanalizację. Było to ponad dziesięć bloków obmurowanych wysokim murem z wieżyczkami dla wartowników i masywnymi bramami, które nie przepuszczały kul karabinowych. Dzień i noc bloki były otoczone wietnamskim wojskiem, bo Kampucza jeszcze wtedy nie miała własnej armii. Do pałacu, gdzie się odbywał zjazd, dowożono nas w towarzystwie opancerzonych samochodów i licznego wojska. Taka była konieczność, gdyż bandy Pol Pota nadal ukrywały się w ogromnych dżunglach i lasach. Nie było dnia, żeby nie wybuchała strzelanina.

Z jednej strony dla Europejczyka to inny świat, inna przyroda i inne zwierzęta, inni ludzie. Gdy poszliśmy na targowisko, czego tak naprawdę nie wolno nam było robić, to mężczyźni otoczyli mego oficera ochrony, który warzył 115 kg i fotografowali się z nim, sięgali mu głowami pod pachę. Wystarczy powiedzieć, że do wojska brali mężczyzn, którzy ważyli 45 kg, inne badania były zbędne.

Przewodniczyłem największej delegacji, bo dołączono do nas jeszcze trzy osoby z Pragi czeskiej, gdyż tam mieściła się redakcja i drukarnia znanego wtedy pisma politycznego „Problemy pokoju i socjalizmu", którego redaktorem naczelnym był Polak – Waszczuk. W związku z tym mieliśmy aż dwóch tłumaczy, którzy przekładali z francuskiego na rosyjski, a z tego później na polski. Francuski był tam znany, bo długoletnia wojna z Francuzami o Indochiny zmusiła ludność do nauczenia się tego języka. Zjazd trwał cały tydzień, ale do połowy dnia, drugą cześć dnia gospodarze przeznaczyli na ukazanie tego, co Pol Pot zrobił ze swym narodem.

Pol Pot, właściwie Saloth Sar, ukończył francuską Sorbonę, miał doktorat i tytuł profesora, ale u siebie w kraju wszystkich, którzy umieli czytać i pisać, wymordował. Nie uznawał kolei, więc zniszczono wagony, lokomotywy i torowiska, samochody kazał spalić. Szpitale zburzono, bo uznał, że organizm sam umie się bronić przed chorobą, a jeśli się nie obroni, to musi umrzeć. Radio, prasa i telewizja też były według niego niepotrzebne, więc wszystko to zniszczono. Pieniądze uznał za przeżytek, więc i ich posiadać nie należało. Człowiek, jak przekonywał, powinien żyć na roli i ją uprawiać, a ta ma go nakarmić i odziać. Zresztą dzieci do dziesiątego roku życia biegają tu na golasa bez względu na płeć, a dorosłym wystarcza opaska na biodra.

Jednym słowem tych, co żyli do tej pory w miastach, nazywał pasożytami, bo ktoś na wsi musiał uprawiać dla nich ziemię. Pol Pot to zmienił, teraz wszyscy będą uprawiać ziemię i to w sposób prymitywny.

Szybko zorganizował swoje wojsko, w większości złożone z ludzi z przeszłością kryminalną i bardzo młodych chłopców, często karabin był większy od żołnierza. W samym Phnom Penh, największym mieście Kampuczy, w otoczonym murami kompleksie szkół zorganizował obóz śmierci. Tygodniowo mordowano tam pięć tysięcy ludzi.

My w Europie przeżyliśmy wojnę i faszyzm, znamy metody i sposoby

uśmiercania milionów ludzi, wiemy, co to komory gazowe i krematoria, doświadczenia na więźniach i obozy przymusowej pracy, ale Niemcy nie robili i nie znali tego, czego ludzie tam doświadczali umierając.

Pokazywano nam filmy dokumentalne, które Pol Pot kazał robić dla swoich potrzeb. Na sali było dwieście osób, to byli zaproszeni na zjazd delegaci ze wszystkich krajów socjalistycznych, ale do końca filmu nikt nie wytrzymał, a wielu zemdlało w czasie projekcji.

Pokazano nam fermy, gdzie hodowano, na mięso i skóry, krokodyle i aligatory, czyli tereny z licznymi sadzawkami, ogrodzone siatką. Wjeżdżał samochód ciężarowy pełen dzieci. Żołnierze rzucali tymi dziećmi do krokodyli, które nauczone wyłaziły z tej sadzawki i rozrywały dzieci między sobą i zjadały. Często pięcioletnie czy ośmioletnie dziecko, już raz rzucone, zdołało uciec przed krokodylem, to je powtórnie rzucano do krokodyli, aż do skutku.

Przywożono też ludzi dorosłych i pchano ich tyczkami, na końcu których był podłączony prąd. Na takiego dorosłego człowieka rzucało się kilka krokodyli i szarpały go po kawałku, zjadając. Dziennie dowożono dwieście osób, tak żeby nakarmić czterysta sztuk krokodyli.

W mieście Phnom Penh w zespole szkół w każdym z bloków był stosowany inny rodzaj tortur. Na przykład wieszano człowieka za obie nogi i opuszczano głową w dół do kadzi pełnej wody lub przykuwano ludzi do dna basenu kilkadziesiąt osób i wpuszczano nie wodę, ale żmije i skorpiony. Oglądaliśmy tzw. chińską metodę kropli wody, która polega na tym, ze człowiek mocowany jest bardzo mocno do słupa i z naczynia z wodą, umieszczonego wyżej, puszcza po kropli wodę na jego głowę. Po godzinie każda z kropli miała taki sam skutek, jakby ktoś walił w głowę młotkiem.

Jeszcze inny rodzaj śmierci wymyślono dla dzieci i to małych, bo rzucano je do góry i strzelano do nich lub łapano na bagnet. Tak właśnie likwidowano dzieci inteligencji.

W szkolnych salach rzędami przykuci leżeli ludzie w odchodach, których celowo nie sprzątano i podawano im tylko wodę z wapnem. Skoro pięć tysięcy tygodniowo zabijano tylko w tym zespole szkół, to co zrobiono z ciałami? Ciała wrzucano do kanalizacji, bo ona też nie była potrzebna Pol Potowi. Tak więc zapełniono wszystkie studzienki kanalizacyjne w mieście, a potem, gdy wszystkie były już zapchane, wywożono i wrzucano ciała do sadzawek i jeziorek lub wykorzystywano naturalne zagłębienia w ziemi i naganiano ludność, by łopatami zasypywała taki jar lub dół.

Ogółem wymordowano w najokrutniejszy sposób 53% ludności.

Pol Pot wymyślił też sposób, jak należy łączyć ludzi w pary, czyli coś zamiast ślubu czy zawarcia związku małżeńskiego. Jeśli kobieta posiadała świadków, że jest żoną żołnierza (zapis na papierze nie był ważny), to nie podlegała tym nowym związkom, ale każda inna, choćby była mężatką i miała dzieci, była na nowo przydzielana żołnierzowi.

Odbywało się to tak, iż przywożono lub przypędzano na plac kilkadziesiąt dziewczyn i kobiet, a z koszar wyprowadzono tyleż żołnierzy. Dowódca szedł i po kolei przydzielał każdemu kobietę. Nie mogło być żadnych protestów i żadnych ucieczek kobiet, bo one wiedziały, co za to grozi.

Całą ludność wygnano na wieś w celu uprawiania ziemi i pozyskiwania

pożywienia oraz oddawania jej części dla wojska. Miasta były wymarłe i puste, jedynie żołnierze i ich żony mogli tam przebywać. Kiedy zwiedzaliśmy tereny rolnicze, na których ludzie uprawiali ryż, to wojsko wietnamskie pilnowało ich bezpieczeństwa, gdyż bandy żołnierzy Pol Pota cały czas wychodziły z dżungli i napadały na ludność, zabierając pożywienie.

Świat zachodni i Europa oczywiście bardzo potępiały to, co robił ze swoim narodem Pol Pot, ale dość długo temu cywilizowanemu światu nie przeszkadzało utrzymywać lotniska w dżungli w jednym tylko celu: pokazywano nam dokument, na którym widać baraki ogrodzone drutem kolczastym, w których przetrzymywani byli ludzie, od których pobierano nerki i inne części ciała na przeszczepy.

I wcale nie zajmowali się tym kampuczańczycy, czyli azjaci, ale ludzie z Europy, którzy płacili za to Pol Potowi duże pieniądze.

Znów wielu zemdlało oglądając film

Gdy pobierano narządy, to nie stosowani żadnych znieczuleń czy uśpienia, trzymano siłą, dopóki taki człowiek nie zemdlał z bólu lub krępowano go do stołu i szybko wycinali, co chcieli.

A co robili z takim człowiekiem później? Specjalna ekipa żołnierzy ładowała krzyczących z bólu ludzi na wóz konny i wiozła za obóz. Wrzucano ich do dołu, gdzie setki różnych zwierząt i ptaków czekało, żeby rozerwać te ciała i zjeść. Po takim programie połowa delegatów była chora i nie mogła brać udziału w zjeździe.

Do dziś mój znajomy, który był w mojej delegacji, mówi, że budzi się zlany potem, śni mu się, że go złapali i męczą w tej Kampuczy. Nie można wymyślić gorszej apokalipsy na świecie, niż wymyślił i zrealizował Pol Pot.

Wiele lat po tym, jak byłem tam i oglądałem te straszne historie, nasza telewizja pokazała film, na którym widać było jak już stary Pol Pot dożywał swoich dni w domku w dżungli. Był otoczony wiernymi sobie żołnierzami, którzy nie dopuszczali do niego nikogo. Wietnamczycy wycofali się z Kampuczy, a nowa władza już nie zrobiła nic, żeby zamknąć i ukarać tego okrutnego zbrodniarza.

I wtedy pomyślałem sobie, że świat i narody zachodnie ścigały zbrodniarzy hitlerowskich, osądziły i skazały, dodam – też za ludobójstwo, że wykonano na nich wyroki lub sami się wykończyli, bo i tak też było, że Żydzi ścigali i ścigają do tej pory tych, którzy urządzili im holokaust. Nawet jeździły po świecie specjalne służby, które ścigały zbrodniarzy, przewozili w sprytny sposób do Izraela, osądzały i uśmiercały, jak Eichmanna czy innych.

Ale za narodem kampuczańskim pies z kulawą nogą się nie ujął.

Jak to jest z tą karą Bożą? Przecież włos z głowy Pol Potowi nie spadł i dożył późnych lat bez kary i odpowiedzialności za to, że wymordował kilka milionów ludzi w taki sposób, że pod normalnym człowiekiem, który to oglądał, kolana same się uginały i długo był w szoku.

Rozdział XV

RUSŁANOWA

W 1989 roku pracowałem jako radca ambasady polskiej w Trypolisie w Libii. Mogłem poruszać się po całym obszarze Libii, co zresztą robiłem, odwiedzając licznych rozrzuconych tam Polaków, nie mogłem natomiast przyjeżdżać do Polski wtedy, kiedy chciałem, i samemu wyznaczać sobie termin urlopu. Według specjalnej uchwały Biura Politycznego członkowie Komitetu Centralnego mogli przyjeżdżać na posiedzenia KC wyłącznie z Europy, rzekomo z Afryki były już za duże koszty podróży.

Koledzy mówili mi jednak, że uchwałę tę wymyślono i wprowadzono w życie wyłącznie z mojego powodu. Mimo że byłem w Libii, byłem przecież nadal członkiem Komitetu Centralnego i bano się, że zabierając głos, mogę pokrzyżować plany najwyższej trójce, to jest - Jaruzelskiemu, Siwickiemu i Kiszczakowi. Od paru lat wiedziałem, że nastąpi zmiana ustroju, gdyż informacje, jakie otrzymywałem, zawsze były prawdziwe. Więc i tą, że Polska jako pierwsza w bloku socjalistycznym rozpocznie proces zmiany ustroju traktowałem poważnie i wierzyłem w to.

Do dziś żyją moi koledzy, którzy tuż przed odlotem do Libii przyszli mnie pożegnać. Wtedy bez ogródek powiedziałem im, że wyjeżdżam z Polski socjalistycznej, ale jak wrócę, będzie tu już panował zdziczały, bandycki kapitalizm. Wszyscy wtedy głęboko zaprotestowali.

„Więc Wam powiem, że ta lawina już ruszyła i w Polsce nie ma już ludzi, żeby ją zatrzymać" - powiedziałem. Na te słowa też oznajmili, że się mylę. Następnego dnia odlatywałem. Przechodziłem specjalnym przejściem, a w salonce VIP zebrało się ponad sto odważnych osób, mówię odważnych, bo dokładnie odnotowano kto przyszedł mnie pożegnać. I tu powtórzyłem to samo zdanie:

„Zobaczymy się w kapitalizmie, a nie socjalizmie".

Wcale nie dodałem otuchy znajomym, gdyż wielu z nich wiedziało, że jeśli tak mówię, to w oparciu o dobrą wiedzę. Ja z kolei byłem pewien, że jeszcze dziś ci, co trzeba, otrzymają notatkę z tego, co mówiłem.

Dowodem, że tak się stało jest fakt, że byłem jedynym członkiem KC, dla którego specjalnie wymyślono uchwałę, o której wspomniałem. Owszem, byli przede mną członkowie KC w Libii, ale wtedy mogli się jeszcze swobodnie poruszać do kraju. Równolegle byli też członkowie nieomal we wszystkich krajach naszego bloku, ale do nich ta uchwała się nie stosowała. Szkoda więc, że tylko mnie dotyczyły te obostrzenia, bo byłem zdecydowany również na zmianę tego co było na coś lepszego.

Cały duży zespól ludzi pracował nad tym w końcowej fazie ustroju, ale nasze plany zakładały jako kanon, że kopalnie, huty, koleje, żegluga morska i banki zostaną w rękach państwa, reszta będzie z kolei sprywatyzowana po uprzednim tzw. remanencie całego majątku. Tymczasem wielu moich kolegów dogadało się już z ludźmi Solidarności i ustalili co i jak podzielą między siebie.

Wielu z nich przychodziło już wcześniej do mnie i mówiło: „Albin, czemuś ty taki głupi. Chodź do nas, a nie będziesz żałował. I tak rozdrapią to wszystko, jeśli my nie weźmiemy w porę".

Oficjalnie wieszali psy na działaczach Solidarności, nieoficjalnie - spotykali się, i przy wódce robili plany, jak przejąć konkretne zakłady. Kiedy moi towarzysze i ich koledzy z Solidarności zorientowali się, że ja odmawiam wchodzenia w taki układ, to po roku 1989 uknuli, że wszyscy mądrzy i inteligentni, którzy ze mną trzymali, teraz się mnie wstydzą i unikają.

Dziennikarzom, z powodu mojej wojny z ich szefem St. Bratkowskim było to na rękę, więc umacniano społeczeństwo w przekonaniu, że odcięli się ode mnie i to słusznie, bo byłem najbardziej twardym betonem wśród betonu. Dlaczego taką formę walki ze mną wybrali, opisuję w innych rozdziałach.

Wracam jednak do roku 1989. Moja żona i dzieci otrzymywały urlop co roku, ale nigdy razem ze mną. Z początku nie mogłem zrozumieć dlaczego, dopiero mój przyjaciel z MSW, gdy przyjechał do mnie, wyjaśnił mi dwie sprawy. „Dają ci, Albin co roku służbowy samochód, jak jesteś na urlopie?" - pyta. „Tak, dają". „A zastanawiasz się, co ty wozisz w tym samochodzie i z kim rozmawiasz? Jutro - mówi przyjaciel - przyjadę do ciebie z kolegą i zobaczymy co ty wozisz w tym samochodzie".

Następnego dnia ustawili w mieszkaniu aparaturę i przyjaciel zaproponował, że pojedziemy na spacer. Odjechaliśmy kilka kilometrów i w tym czasie rozmawialiśmy o wielu sprawach. „Myślę, że wystarczy. Jedziemy do domu" - mówi. A tam kolega przyjaciela puścił nam przez głośnik wszystko to, co obaj rozmawialiśmy. „Nie będziemy usuwać z samochodu tego, co tam włożyli. Ale ty musisz wiedzieć z kim rozmawiasz i co mówisz. A przede wszystkim fakty świadczą za tym, że chcą cię złapać z jakąś dziewczyną. Uważają, że skoro jesteś sam, bez żony, a dom stoi pusty, to musi to nastąpić". Poradzili mi co zrobić z tą aparaturą w samochodzie i telefonie w domu. Dali mi magnetofon i wspólnie napisaliśmy piosenkę, nagraliśmy ją i teraz puszczałem ją w samochodzie, a piosenka była wulgarna i określała tych, co podsłuchują takimi epitetami, że sam się dziwiłem, że mogłem coś takiego zaśpiewać. No, ale spędziłem trzydzieści kilka lat na budowie to „łacina" była mi dobrze znana. Pewnego dnia dzwoni ktoś do mnie, kładę słuchawkę na podłodze obok magnetofonu i puszczam swój utwór, wreszcie człowiek po drugiej stronie nie wytrzymuje i krzyczy do mnie: „Panie, wystarczy, że w samochodzie godzinami słucham kto ja jestem i komu służę, a pan w domu to samo. Daj mi pan popracować i żyć. To moja praca i nie obrzydzaj mi pan jej". Od tamtej pory przestałem więc nadawać swój utwór, ale żadnych rozmów też nie było.

I właśnie w 1989 roku, będąc na urlopie w Polsce, spotkałem znajomego. Od pierwszego słowa zaczął mi opowiadać, że jadą z żoną na wycieczkę do Związku Radzieckiego. „A co ty teraz robisz?" - spytał mnie. „Nic, mam jeszcze badania na choroby tropikalne i amebę, a potem wracam do Libii". „To może byś z nami pojechał na tę wycieczkę?" - proponuje. „Nie pojadę, bo nie mam złotówek to raz, a po drugie mam tylko tydzień czasu". „Tydzień to starczy - zaczął się cieszyć mój przyjaciel - a złotówki my mamy i za ciebie zapłacimy". No i prawie że siłą mnie na tę wycieczkę zabrali, ale nie żałuję, bo spotkałem w Moskwie osobę, o której dużo słyszałem, ale nigdy osobiście nie spotkałem.

Pierwszego dnia pobytu w Moskwie zdecydowałem, że nie pójdę ze znajomymi do muzeum na Kremlu, gdyż znam go na pamięć, tylko zostanę w hotelu. „Nigdy tego nie zobaczycie jako wycieczka, gdyż te najważniejsze sale i eksponaty nie są udostępniane i ani Rosjanie, ani wycieczki zagraniczne nie oglądają tego, co

pokazują gościom z bratnich partii. Zobaczyć jednak warto i to, co pokazują, idźcie koniecznie" - mówię im. Gdy po śniadaniu znajomi pojechali na cały dzień, ja zacząłem dzwonić do kilku osób, które przez pięć lat jako członek Biura Politycznego blisko poznałem. Nie miałem żadnego planu ani wybranej osoby, zdając się na to, kto z nich będzie w domu i kto zechce się ze mną spotkać. Gdyby były to lata panowania Berii, dzwonienie z hotelu do np. marszałka Kulikowa czy Kostikowa wywołałoby natychmiast alarm, zaraz miałbym pod drzwiami opiekę, która by już oka ze mnie nie spuściła, dopóki byłem na ich terenie. Ale to był rok 1989, w Polsce następują radykalne zmiany, u nich uciekają Żydzi, wyżsi oficerowie KGB i NKWD, w pośpiechu do Izraela i na zachód. Beria nie żyje, a na Łubiance - mateczniku żydowskiej władzy - popłoch po tym, co zrobił marszałek Żukow.

Więc i telefonami moimi nie było się komu zainteresować.

Okazało się jednak, że marszałek Kulikow jest akurat na Krymie w ośrodku rządowym „Jużny", a Kostikow wyjechał gdzieś na ryby, nie mówiąc nawet żonie gdzie. Kolejnego miałem w notesie zapisanego Aleksego Meresjewa, byłego pilota myśliwca z czasów wojny. Napisano o nim książkę pod tytułem „Opowieść o prawdziwym człowieku". Został strącony poza linią frontu na terenie zajętym przez Niemców, miał zmiażdżone obie nogi do kolan i w takim stanie w zimie czołgał się kilka dni do swoich do linii frontu.

Wyleczył się, ale obie nogi miał amputowane. Mimo to do końca wojny latał ponownie jako pilot myśliwca na specjalnie dla niego skonstruowanym myśliwcu. Poznaliśmy się w wyniku pewnych zdarzeń, co opisałem to już w „Trwałych Śladach".

Przyznam się, że czytając o nim książkę myślałem, że napisano ją w celach propagandy, i że naprawdę tak nie było, ale mogłem sam dotknąć jego protez i sprawdzić. Aleksy okazał się człowiekiem bardzo miłym i przy późniejszych wizytach w Moskwie odwiedziłem go dwa razy. A ponieważ zawsze mnie zapraszał, to spróbowałem i teraz zadzwonić. Okazało się, że jest i prosi mnie, żebym zaraz przyjechał, nawet wysłał po mnie swój samochód. Nie widzieliśmy się parę lat, ponieważ ja byłem w Libii. On już powinien być na emeryturze lub jako inwalida wojenny odpoczywać, ale był człowiekiem-historią, człowiekiem-symbolem, o którym zrobiono dwa filmy fabularne, więc reprezentował weteranów, których po wojnie było bardzo dużo. Przywitał mnie bardzo ciepło i pokazując ręką przedstawił mi starszą panią, mówiąc krótko, bez imienia - Rusłanowa. Z początku nie poznałem tej pani i nie skojarzyłem jej z główną sprawą, jaka miała miejsce za czasów Berii. W Rosji jest wiele takich samych nazwisk i to uśpiło moją uwagę. Kojarzyłem natomiast, że musi być osobą zasłużoną, skoro jest u Meresjewa. Tu pierwszy lepszy weteran nie mógł być i tak swobodnie się zachowywać. Zaczęliśmy rozmawiać i ja opowiadam, że jestem z przyjaciółmi prywatnie na wycieczce, a że znajomi Rosjanie mówili, że jak tylko będę w Moskwie, żebym do nich zadzwonił, więc dzwoniłem, ale marszałek Kulikow odpoczywa na Krymie, a inni się porozjeżdżali. Na dźwięk nazwiska Kulikow starsza pani zareagowała natychmiast: „Wy znacie się z marszałkiem?" - pyta. Mówię że tak. „Dobrze się znacie?" - spytała znów. „Myślę, że dość dobrze, na tyle, że mogę powiedzieć, że jesteśmy przyjaciółmi". „A chcecie z nim rozmawiać?" - spytała ponownie. „Chcę, ale nie mam takich możliwości". „Zaraz będziecie z Wiktorem rozmawiać" - powiedziała. Podeszła do biurka i powiedziała do mikrofonu: „Połączcie nas z Jużnym na Krymie, z marszałkiem Kulikowem". Za

chwilę kobiecy głos mówił: „Marszałek jest na plaży, podajcie swój numer, a my oddzwonimy”. Rzeczywiście, za kilka minut tubalny głos marszałka grzmiał w głośniku.

„Wiktor, tu Rusłanowa, jestem u Aloszy w biurze, a do niego przyjechał Polak, który mówi, że jesteście przyjaciółmi, jego nazwisko - Siwak”.

„Oczywiście, że to mój przyjaciel” - mówił marszałek i zaczął mnie pozdrawiać i witać. „A co ty robisz w Moskwie?” - spytał mnie. Mówię, że jestem przejazdem z przyjaciółmi i jedziemy jutro na Krym. „No to świetnie! - mówił marszałek - bo ja jestem w „Jużnym”, to znany ośrodek rządowy. A kiedy dokładnie i gdzie przyjeżdżasz?” - pyta. „Jutro lądujemy o dziesiątej na lotnisku w Symferopolu”. „Dobrze, będzie mój samochód i zabierze ciebie z przyjaciółmi do mnie do „Jużnego”. „Ale oni mają wykupiony hotel w Jałcie na pięć dni” - mówię. „Nie szkodzi, będą z tobą - zadecydował sam. - Więc do zobaczenia!” - zakończył rozmowę ze mną i poprosił do mikrofonu Rusłanową.

„Ty też przyleć z nimi koniecznie!” - powiedział i wyłączył się, głośno pstrykając wyłącznikiem. „Ot i masz, nie spytał się, czy chcę lub czy mogę, tylko mówi «ty też masz przylecieć», jakbym była jego oficerem do dyspozycji” - mówiła Rusłanowa. Ale od ręki zaczęła załatwiać na ten sam lot dwa miejsca przez telefon. Mówię jej, że mam bilet i przyjaciele też. „Przecież nie polecę bez męża, bo mnie zruga Kulikow” - odpowiedziała.

Następnego dnia na lotnisku w Moskwie Rusłanowa zaczęła mnie szukać na sali odlotów. Słyszę jak obsługa lotniska zwraca się do jej męża, mówią do niego towarzyszu generale, mimo że jest w cywilnym ubraniu. A w Symferopolu tuż przy schodach samolotu stała wojskowa limuzyna, do której wsadzono całą naszą piątkę i pojechaliśmy znanymi mi drogami na „Jużny”. Przed wejściem do administracji stał marszałek i kilku jego oficerów.

Uściskał mnie i mówi: „Twoi przyjaciele są moimi przyjaciółmi i będą z tobą przez te dni, a moi przyjaciele są twoimi przyjaciółmi”. Od tego momentu jedliśmy razem i odbywaliśmy długie spacery nad morzem.

Wieczorem w jego apartamencie przyjął nas troje, to znaczy mnie z Rusłanową i jej mężem. I tu dopiero zorientowałem się, kim jest Rusłanowa.

„Ja opowiem ci, jaką tragiczną ona ma przeszłość – zaczął Kulikow - ona sama nie lubi mówić o tym, przez co przeszła. A przeżyła tak, jak tysiące kobiet rosyjskich piekło na ziemi”.

„Wiktor - zaczęła protestować Rusłanowa - a kogo to interesuje cośmy przeżyli, to już historia i lepiej do niej nie wracać”.

Ale marszałek był innego zdania. „Jego to interesuje. A w ogóle to świat powinien wiedzieć, jakie mieliśmy życie i kto je nam tak ułożył. Nalej po kieliszku! - zwrócił się do męża Rusłanowej.

- Za to, żeby nasze kobiety nie były więcej upadlane i gwałcone”. Szybko wypił i postawił kieliszek. „Ona - pokazuje na Rusłanową - to bohater Związku Radzieckiego. Sam Żukow osobiście dekorował ją medalem zwycięstwa. Nie za to, ilu zabiła faszystów, bo nie zabiła żadnego, ale za to ile wiary i męstwa każdego wieczoru wlewała w serca żołnierzy tuż przy linii frontu.

Ona cudownie śpiewała, śpiewała tak, że zahartowani żołnierze płakali, słuchając jej słów. Napełniała ich wiarą w zwycięstwo i siłą do walki z wrogiem. Co wieczór zwożono tłumy żołnierzy z okopów na jej koncerty. Tak było przez całą

wojnę, że szła za frontem ze swoimi pieśniami i wiele razy była ostrzelana na scenie przez niemieckie samoloty lub artylerię, ale nigdy nie rezygnowała ze śpiewania. Żołnierze zdejmowali ze swoich piersi odznaczenia i dawali jej w dowód podziękowania, gdyż nic innego wtedy nie mieli. Osobiście przyjmował ją sam Stalin i też dziękował. I przez tę znajomość ze Stalinem spotkał ją okrutny los.

Otóż, jeszcze przed wybuchem wojny ona zainteresowała się losem tysięcy dziewcząt z domów arystokracji rosyjskiej i bogatych Rosjan. Minister spraw wewnętrznych wydał oficjalny dekret, który rozplakatowano na ulicach miast w Rosji, mówiący, że córki zgładzonych rodziców mają obowiązek zgłosić się do odpowiednich urzędów w celu „socjalizacji".

Obowiązek ten nałożono na dziewczęta od 16 do 20 roku życia, starsze nie nadawały się na „socjalizację". Całą tę operację Bromsztein powierzył swojej znajomej, Żydówce Aleksandrze Kołłątaj. Ona była prekursorką emancypacji tych dziewcząt, która polegała na uprawianiu orgii seksualnych.

W wielkim, dobrze pilnowanym gmachu Jekaterynburga przebywało kilka tysięcy dziewcząt zwiezionych z całej Rosji.

Ta Żydówka Kołłątaj przydzielała poszczególnym ministrom i dowódcom wojskowym dziewczęta wraz z pismem, ile ich jest i w jakim są wieku. Rusłanowa posiadała te pisma, gdyż do niej zgłaszali się o ratunek krewni tych dziewcząt. Oporne dziewczęta były gwałcone przez żołnierzy - często kilkudziesięciu - na stole, a ich ręce i nogi były przywiązane. Następnie wywożono je i topiono w rzece Kubań i Karasuń.

W Piotrogrodzie taki sam dom prowadziła żona Łunaczarskiego. Rusłanowa posiadała od lekarzy, którzy mogli tam wejść, dokumenty stwierdzające, że na 1100 dziewcząt do szesnastego roku życia, bo takie tam przebywały, 80% było zarażonych chorobami wenerycznymi, a na 500 do piętnastego roku życia wszystkie, według lekarzy, były zdeflorowane.

Ale do napaści Niemiec na Związek Radziecki Rusłanowa nie miała na Kremlu żadnych znajomości lub ludzi będących przy władzy, była jeszcze mało znaną piosenkarką, na którą władza nie zwracała uwagi. Dlatego nie nagłaśniała tragedii tych dziewcząt, potem całą wojnę była pochłonięta śpiewaniem, więc nie zwróciła na siebie uwagi Berii i jego służb.

Natomiast po wojnie była zapraszana m. in. do Stalina i jego otoczenia i tam śpiewała. Po wojnie, dotarli do niej ludzie, którzy mówili jej, że nawet na ulicy tajniacy aresztują ładną dziewczynę i przetrzymują pod Moskwą w celu przygotowania dla Berii i jego przyjaciół. Często z różnych zespołów pieśni i tańca wyciągano dziewczęta, jako wrogów ludu i aresztowano, one też służyły temu samemu celowi.

Kiedy Rusłanowa zebrała wystarczająco dużo dowodów, że łapie się dziewczęta jak zwierzęta i zmusza do seksu, przekazała to wszystko Stalinowi. Stalin miał swój negatywny pogląd do Żydów, ale po tym wydarzeniu zmienił swój stosunek do Żydów i był im wyraźnie nieżyczliwy, likwidował ich ze swego otoczenia bądź awansował, ale daleko od Kremla. Było to też związane z powstaniem państwa Izrael, i oficjalnym podpisaniem umowy o współpracy Izraelskiego Mossadu i amerykańskiej CIA. Stalin przeląkł się poważnie, że ci co są na Kremlu mogą przekazywać Izraelowi, a ten Amerykanom co się u niego dzieje.

Tak więc zginął Zinowiew, Kamieniew, Bucharin, Kirow, Tuchaczewski, Rykow, Rakowski, Piątakow. Nie darował Trockiemu - ludzie Stalina szukali go wiele lat,

aż dopadli i brutalnie zarąbali motyką.

Beria i jego ludzie szybko zorientowali się, co się dzieje i zaczęli energicznie usuwać ludzi, którzy według nich mieli wpływ na Stalina. Oczywiście Rusłanowa jako pierwsza została posądzona o zdradę Związku Radzieckiego i otrzymała dożywocie w łagrach. Nie pomogło to, że jej mąż był generałem, ani że Stalin parę razy pytał się Berii, czy aby się nie pomylili, skazując Rusłanową. Tak więc bohaterka wojny z Niemcami teraz była więźniem, była wrogiem narodu, bo zainteresowała się orgiami Berii i jego ludźmi i rozmawiała o tym ze Stalinem.

- Polej jeszcze - zwrócił się marszałek do męża Rusłanowej - bo jak o tym mówię, to wnętrzności mi się trzęsą.

No i nikt nie mógł wpłynąć na decyzje Berii, nawet Żukow zwracał się do niego z pismem i prośbą, by ponownie przejrzeli sprawę Rusłanowej. Ale Beria odpowiadał, że są niezbite dowody na wrogą działalność Rusłanowej. W tym samym czasie aresztowano i zesłano na katorgę wiele żon działaczy najwyższego szczebla, między innymi żonę Kalinina, który piastował wysoką funkcję na Kremlu.

Żony wielu generałów siedziały w gułagach, a ich mężowie byli bezradni, by je uratować. Przecież Piotrowi Jaroszewiczowi pierwszą żonę też aresztowali w Związku Radzieckim i zmarła w gułagu na Wschodzie. Prośby generała Berlinga nie pomogły, bo uznali, że jest wrogiem ludu. Koniecznie trzeba było coś w tej sprawie zrobić, gdyż nikt nie znał dnia ani godziny, kiedy pod zarzutem wroga narodu mogli zamknąć i zabić albo wsadzić do łagrów na Dalekim Wschodzie.

Żukow miał opinię największego antysemity w Związku Radzieckim. Jego od dawna Żydzi chcieli zlikwidować, ale Żukow miał za sobą całą Armię Czerwoną, a ta była dwunastokrotnie większa od armii Berii. Żukowa wojsko kochało, a Berii jego podwładni się bali. Dlatego też Żukow uchował się długo, bo był przebiegły. Nawet sam Goebbels w swoich pamiętnikach napisał, że gdyby Związek Radziecki nie miał takiego stratega, jak Żukow, to wojna miałaby inny przebieg.

Druga sprawa - mówił marszałek Kulikow - jest to, że Stalin zrozumiał, że nie zna się na strategii wojennej i oddał dowodzenie w ręce Żukowa, co dla armii okazało się sukcesem, a Hitler do ostatniej chwili był zdania, że sam jest wybitnym dowódcą. Ale wracając do Żukowa - kontynuował marszałek, - Żukow słusznie uznał, że najlepszą formą obrony jest atak. I do tego ataku na Berię dobrze się przygotował.

Jeszcze za życia Stalina w 1952 r. na posiedzeniu Biura Politycznego, którego on i jego zastępca byli członkami, podjął niezbędne kroki. Zwrócił się do Stalina z prośbą o zgodę na ćwiczenia kilku dywizji pod Moskwą i częściowo w samej Moskwie. Na co Stalin odpowiedział: «Jesteś przecież głównodowodzącym i nikt nie musi wydawać ci zgody, po prostu zrób, jeżeli uważasz, że trzeba». Ale Żukow i tu był przebiegły.

«Wolę mieć tę zgodę na papierze - poprosił. - To wy towarzyszu Stalin jesteście w Armii Czerwonej najwyższy rangą i macie stopień generalissimusa i ja wam podlegam». I Stalin podpisał tę zgodę w obecności całego Biura Politycznego.

Wywiad Żukowa znał plany i zamiary NKWD, a także osobiste Berii i Kaganowicza. Żukow postanowił uprzedzić atak na siebie swoim atakiem na Berię. Po śmierci Stalina w marcu 1953 r. postanowił wykorzystać wcześniej daną mu zgodę na manewry przez Stalina, w połowie marca 1953 r.

Żukow wezwał do siebie wszystkich dowódców tej grupy armii, którzy mieli brać udział w manewrach w mieście i poza miastem. Wcześniej Żukow przeprowadził potajemnie rozmowy z większością zaufanych członków Biura Politycznego i przygotował ich do wydarzeń, mieli przy sobie jak nigdy dotąd broń osobistą. W dniu posiedzenia Biura Politycznego wezwani dowódcy jednostek pojawili się na godzinę przed posiedzeniem Biura. Gdy wjeżdżaliśmy za bramę ministerstwa obrony to już skóra cierpła, gdyż w bramie leżały worki z piaskiem, a na stanowiskach karabiny maszynowe. Na dachach wszędzie rozmieszczeni byli żołnierze, jak również i na klatce schodowej, i to wszyscy w hełmach i z bagnetem na broni. To wyglądało na coś bardzo poważnego. Do zebranych na sali dowódców przyszedł Żukow i powiedział, wezwałem was bez komisarzy politycznych, ponieważ komisarze to nie Rosjanie. Dziś macie wykonać moje rozkazy, które otrzymacie za chwilę w kopertach. Za niewykonanie każę rozstrzelać! Za złe wykonanie rozstrzela was Beria ze swoimi zbirami, bo jak się operacja nie uda, to nikt nie przeżyje włącznie ze mną. Macie niecałą godzinę do rozpoczęcia. Główny ciężar tego zadania biorę na siebie z marszałkiem Wasilewskim. Ten kto będzie zajmował Łubiankę niech pamięta, że tam Rosjanie nie pracują i musi wiedzieć co zrobić, zajmując ten gmach - opowiadał marszałek Kulikow.

Przyznam się, że mróz chodził mi po plecach jak słuchałem Kulikowa. Od Maszerowa znałem częściowo tę historię, ale teraz dopiero w szczegółach usłyszałem od uczestnika tej akcji jak naprawdę było. Parę lat później po tej rozmowie miałem okazję spotkać na Krymie ludzi, którzy potwierdzili tę sprawę.

I dalej:

Żukow przyszedł na posiedzenie Biura Politycznego razem z Wasilewskim. Beria i Kaganowicz siedzieli dokładnie naprzeciw nich po drugiej stronie stołu. Ale między Berią a Kaganowiczem był mały biały stolik, a na nim biały aparat telefoniczny bez tarczy, wystarczyło podnieść słuchawkę i odzywał się oficer dyżurny na Łubiance. Chodziło o to, żeby żaden z nich nie zdążył podnieść tej słuchawki.

W tym celu Wasilewski podniósł rękę i przeprosił, mówiąc, że zostawił termos po tamtej stronie stołu na szafce i chce go wziąć przed rozpoczęciem Biura. Gdy podszedł do szafki, szarpnął za kabel od tego białego aparatu, ale obaj - tak Beria, jak i Kaganowicz - zorientowali się i chcieli sięgnąć po broń. Żukow trzymał już broń skierowaną wprost na nich, więc obaj podnieśli ręce i rozbrojono ich.

Oczywiście cały czas krzyczeli, że za chwilę będą tu ich ludzie i wszyscy zostaną aresztowani, ale w tej samej chwili wjechały czołgi i piechota wbiegła na dziedziniec w Łubiance. Błyskawicznie zajęto cały gmach, a tych co próbowali użyć broni zabijano na miejscu. Jeszcze w trzech miejscach w Moskwie były rozlokowane oddziały NKWD, ale i te zostały szybko rozbrojone, a ludzie aresztowani.

Natomiast na Kremlu do Berii strzelali wszyscy członkowie Biura, taka była umowa, że nie jeden go likwiduje, ale wszyscy.

Kaganowicz na rozprawie sądowej był autentyczny, a Beria dawno nie żył, tylko dobrano dobrego aktora, który musiał go w sądzie zastąpić.

Od tego momentu Żydzi zrozumieli, że nie tylko nie udało się opanować Rosji, ale trzeba uciekać i ratować życie, bo Rosjanie dojdą do prawdy i ujawnią kto mordował tam miliony.

- No, muszę wypić, bo zaschło mi od tego mówienia w gardle – rzekł marszałek.

Wypił i stawiając kieliszek powiedział:

- Poproś jutro Rusłanową, to ci ona opowie o swoich dziesięciu latach w łagrach. To co ona tam widziała i przeżyła trudno jest zrozumieć i pojąć. Rusłanową ułaskawiono po śmierci Berii, tak jak i inne siedzące tam kobiety - zakończył Kulikow.

Siedzieliśmy na dużym balkonie z widokiem na Morze Czarne. Gwiazdy i księżyc odbijały się w wodzie, która tego wieczoru była spokojna.

- Boże, jaki piękny jest świat, a jakie piekło ludzie potrafią zrobić innym na tym pięknym świecie – powiedziała Rusłanowa – jeśli chcesz, to jutro wieczór przyjdź tu, to opowiem ci, co przeżyłam. Widzę, że marszałek traktuje cię jako dobrego przyjaciela, więc i ja tak samo muszę zrobić.

Następnego dnia wieczorem Kulikow mówi tak:

- My z jej mężem pójdziemy do kolegów generałów. A wiesz dlaczego? Bo to co ci ona opowie, to my po pierwsze znamy, a po drugie ona przy nas kolejny raz będzie się krępować mówić o tych sprawach. To co oni robili naszym kobietom, to ohydne bandyckie metody. Ale niech ona sama opowie ci o tym.

Gdy zjedliśmy kolację Rusłanowa, zwracając się do mnie, powiedziała:

- To straszna historia i nie wiem, czy powinieneś ja znać.

Zauważyłem, że już wczoraj, gdy marszałek Kulikow opowiadał mi jej historię i zlikwidowanie Berii, to ona, zwracając się do mnie, mówiła mi nie na „wy", jak zwyczajowo tu mówią, ale na „ty". Udawałem, że nie zauważyłem tej zmiany. Znam wielu Rosjan i wiedziałem, że bez względu na funkcję, jaką by nie pełnili, lubili do innych mówić na „ty".

- Bardzo bym chciał znać waszą historię i jeśli czujecie się na siłach, to proszę powiedzieć mi wszystko – odparłem.

- Dobrze. Przyjdź za godzinę na nasz balkon.

Ten balkon to była ogromna wnęka jak duży pokój, gdzie mieścił się stół i fotele. Z góry rozciągał się cudowny widok na morze. Na stole stał już samowar i Rusłanowa nalała dwie filiżanki herbaty.

- Ja nie lubię herbaty z elektrycznego czajnika. Samowar ma swój urok i tradycję rosyjską. Zobaczysz, jaką ja zrobię dobrą herbatę – mówi.

Rzeczywiście, długo trwało to parzenie, ale piłem jedną filiżankę za drugą, tak mi smakowała.

Usiadła na fotelu i nakryła sobie nogi kocem.

- Tu dni są gorące, ale noce chłodne i wilgotne, a ja choruję na nogi i ręce. To pamiątka po latach łagrów. Nieraz wrzucano nas do dołu z zimną wodą i nakrywano deskami na całą noc. Teraz wychodzi mi to wszystko.

- Nie będę opowiadać, jak nas sądzono. Bo to nie sąd był, ani obrony nie dopuścili, ani oskarżonym nie dali mówić. Po prostu wprowadzano nas po kilka kobiet na salę. Stojąc słuchaliśmy oskarżenia, które, jak się później zorientowałam, prokurator odczytywał oskarżonym takie samo, że jesteśmy wrogami swej ojczyzny i współpracujemy z wrogami Związku Radzieckiego, za co grozi z paragrafu takiego to a takiego surowa kara, bo dożywocie w łagrach. Żadnej nie dali powiedzieć ani słowa.

Sędzia, stary Żyd, walił młotkiem w blat stołu i krzyczał: „To i tak łagodna kara. Powinnyście być powieszone, ale lituję się nad kobietami i daję dożywocie.

Wyprowadzić – krzyczał - i dawać następne”.

Kolejne pięć kobiet, zapłakanych i przestraszonych, stało już na korytarzu pod opieką funkcjonariuszy NKWD.

Prosto z sądu zabrano nas na pociąg do bydlęcych wagonów i kilka dni jechałyśmy bez sanitariatów i gorącego posiłku. Późnej w gułagu dowiedziałam się, że ten transport kobiet miał wielkie szczęście, bo był w porze letniej. Kobiety, będące tu już wcześniej, mówiły jak to wyglądało w czasie mrozów i ile ich wówczas nie dojechało.

Moja grupę złożoną z kobiet w wieku 40 – 50 lat umieszczono w jednym dużym baraku. Na piętrowych łóżkach umieścili nas czterysta kobiet, pośrodku stał długi stół z desek i trzy paleniska do ogrzewania w czasie zimy. Na terenie dwudziestu hektarów było nas cztery tysiące kobiet. Obóz był podzielony na trzy strefy. Pierwsza to murowane białe domy dla wojska i jego dowódców. Druga to miejsce, gdzie kobiety pracowały i trzecia strefa to baraki, gdzie przebywałyśmy. Wszystko to poprzegradzane wysokim parkanem z drutu kolczastego i wieżyczkami dla wartowników. W pierwszej strefie, gdzie mieszkali żołnierze i oficerowie, był tak zwany hotel z łaźnią i pokojami dla gości.

Przerwałem jej i zapytałem:

- Jaki hotel i jacy goście w łagrach?

- Zaraz ci wszystko wyjaśnię. Otóż w obozie ponad połowa kobiet to były młode dziewczęta, często bardzo ładne. Z tych dziewcząt co sobota oficer wybierał ponad połowę dla gości. One musiały się kąpać i ładnie ubrać, były nakarmione lepiej niż my. Ja zastałam tam taką sytuację, że dziewczęta chętnie szły na te zabawy. Dlaczego? Bo jeśli zaszła w ciążę, zwalniano ją z pracy aż urodziła, wiele z nich miało poskracane wyroki i puszczano je do domu. Tak, że one nie opierały się, a szły chętnie. Tak było trzy lata, aż raz zjechała jakaś komisja i zaczęła sprawdzać, dlaczego tak dużo dziewcząt wypuszcza się na wolność.

„Przecież to nie słonice i nie noszą ciąży przez parę lat” - mówili. Była duża awantura, wskutek czego komendant i jego zastępca zostali zabrani. Nie można już było mówić, że przywożono dziewczęta w ciąży. Zarządzono, że kobietę w ciąży należy zwolnić z pracy, a jak ma mały wyrok, na przykład dziesięć lat, to puszczać na wolność.

Utrzymano to zarządzenie, gdyż cały czas napływały nowe transporty do obozu i przywożono także dziewczyny w ciąży. Nie sposób jest całkowicie wyeliminować seksu tam, gdzie na odludziu jest parę tysięcy kobiet i dziewcząt oraz kilkaset mężczyzn, żołnierzy i oficerów. Oni tu służyli bez żon i możliwości kontaktu z kobietami poza obozem, bo w okolicy w ogóle nie było ludzi.

Mimo zmiany komendanta obozu to w soboty znów zaczęli przyjeżdżać goście, ale teraz po cichu i specjalną bramą, żeby nie rzucało się w oczy. Przeważnie byli to funkcjonariusze NKWD z miast odległych o kilkaset kilometrów i przeważnie Żydzi.

Dziewczyny, które zachodziły z nimi w ciążę, przysięgały, że nie będą chować tych dzieci, bo są żydowskie.

Ilość dziewcząt, które chodziły na te imprezy była w stosunku do przebywających w obozie mała, a na wolność chciało wyjść dużo. Jak zwykle potrzeba jest matką wynalazków. Lekarka, też więźniarka, mówi, że można zajść w ciążę bez stosunku z chłopem, ale potrzebne jest nasienie od mężczyzny.

„Musicie załatwiać żołnierzy ustami i nasienie z ust przekładać do strzykawki. Następnie ta, które jest w okresie zajścia w ciążę wprowadza strzykawką bez igły sama sobie w pochwę to nasienie. Takim nasieniem ze strzykawki można zapłodnić wiele kobiet, trzeba tylko trochę wpuszczać do pochwy.”

Nosiły więc dziewczęta puste strzykawki i spragnionym żołnierzom robiły to ustami, chroniąc spermę do strzykawki. No i minął rok, a tu prawie połowa dziewczyn w ciąży. Nowa afera i znów zmiana kierownictwa obozu, ale dziewczyny z dziećmi trzeba było puścić na wolność – mówiła Rusłanowa.

Te więźniarki, to nie były córki arystokracji czy burżujów, to dzieci zwykłych ludzi, często z robotniczych rodzin.

Wystarczało żeby dziewczyna powiedziała coś nieżyczliwie o władzy lub nie brała udziału w organizacji młodzieżowej, nie stosowała się do zaleceń i nie ujawniała rodziców będących w opozycji do partii, to już brali taką dziewczynę (chłopaka tak samo) i miała wyrok.

Jak już pisałem państwu, potrzebni byli darmowi, pokorni robotnicy, a więzień takim być musi, bo inaczej zginie. Więc każde potknięcie było wyolbrzymiane do rozmiarów zdrady państwa lub pracy dla wroga.

„Pracowałyśmy w baraku, gdzie szyłyśmy futrzane czapki wojskowe i rękawice. Przywieziono nową grupę dziewcząt. Część ich skierowano do naszego baraku w celu nauczenia ich szycia. Jak zwykle w pierwszych dniach praca tym dziewczętom szła źle. A kierownik baraku chciał mieć dużo dobrze uszytych czapek i rękawic. Obejrzał pracę pracującej obok mnie dziewczyny i uderzył ją czapką w twarz. Gdy dziewczyna pochyliła się, by podnieść tę czapkę, to kopnął ja w piersi. Chciałam podnieść dziewczynę, bo nie wstawała, ale jak się nad nią pochyliłam, to mnie też kopnął aż upadłam. Wywleczono nas obie przed barak i wrzucono do dołu z wodą. Nakryto deskami i tak całą noc stałyśmy po kolana w zimnej wodzie.

Rano, bez posiłku, zapędzono nas do pracy. „Jak zepsujesz materiał, to znów pójdziesz do dołu” - krzyczał na dziewczynę kierownik. I zepsuła znów, mimo że jej podpowiadałam jak to robić.

Wyprowadził ją znów przed barak tam, gdzie był dół z wodą i kazał jej się rozebrać do naga. Dziewczyna była ładnie zbudowana. W tych ubraniach więźniarek to nie było widać urody, gdyż drelichy były ohydne. Teraz, gdy stała nago, widać było jaka piękną jest dziewczyną. Obszedł ją dookoła i oglądał, a następnie kazał się jej ubrać, zabrał ją do swojego pomieszczenia i zamknął okno. Było pewne, że chce z nią uprawiać seks, przecież to było na porządku dziennym, że jak naszła któregoś chęć, to brał dziewczynę i robił to ile chciał.

Tym razem było inaczej. Najpierw był rumor i krzyk, potem otworzyły się drzwi i wyleciała z nich naga dziewczyna. Zatrzymała się na chwilę i wypluła coś na ziemię. Za chwilę wybiegł ten kierownik trzymając się jedną ręką za nos i z rewolwerem w drugiej. Strzelił dwa razy w plecy dziewczyny i ta upadła na ziemię. On poleciał do budynku administracji, a po chwili biegiem wezwali naszą lekarkę. Okazało się, że dziewczyna odgryzła mu nos.

Później też były wypadki, że dopiero co przywiezione dziewczyny nie chciały dobrowolnie się poddawać, wybierały opór, mimo że wiedziały, że tej wojny tu nie wygrają. Za parę dni nowy kierownik, chodząc po sali i przyglądając się jak pracujemy, zatrzymał się przy nowej dziewczynie, która zdjęła bluzę i widać jej było prawie całe piersi.

Wsadził rękojeść nahajki, która bił więźniarki, między jej piersi. Dziewczyna wyrwała nahajkę i rzuciła na podłogę. Wtedy złapał ją za włosy i zawlókł do tego samego kantorka, co jego poprzednik tą, którą zabił. Parę minut była cisza, więc myślałyśmy, że dziewczyna się poddała, aż tu nagle wychodzi z tego kantorka i trzyma jego broń w ręku. Odeszła parę kroków i wsadziła lufę rewolweru w swoje usta. Padł głuchy strzał i głowa rozleciała się na kawałki. A kierownik, który zaprowadził ją do swojego kantorku miał wbite w piersi nożyczki i leżał zabity.

Całkiem inaczej więc reagowały dziewczyny dopiero co przywiezione, a inaczej te, które siedziały tu już kilka lat. Znów nowy kierownik. Ale ten jakiś dziwak, interesują go starsze kobiety. Podszedł do mojego stanowiska pracy i pyta: „To ty tak podobno pięknie śpiewałaś na froncie?". Mówię, że ja. „To chodź, zaśpiewasz mi w kantorku". Musiałam iść. „Zdejmij tę bluzę i rozpuść włosy!" - rozkazał. Zrobiłam to. „Teraz coś zaśpiewaj!". Zaśpiewałam piosenkę z frontu „Ciemna jest noc". Gdy skończyłam on mówi tak: „Moi koledzy nie uwierzą, że ciebie pieprzyłem i miałem jak chciałem". Otworzył szufladkę i wyjął aparat fotograficzny. Zadzwonił do kogoś i po chwili wszedł żołnierz, którego zaczął uczyć jak zrobić zdjęcie. „A ty się rozbieraj" - rozkazał. Ale ja nie chciałam, to zaczął mnie bić i zdzierać ze mnie ubranie. Zleciały się koleżanki za całej sali i zaczęły mnie bronić.

„Co to, bunt?" - pyta kierownik. Wyjął broń i zaczął strzelać w sufit. Na odgłos strzałów zlecieli się żołnierze, ale dziewczyny mówią: „On chce zgwałcić Rusłanową, a my ją bronimy. W drugim baraku są te, które siedzą parę lat i one same namawiają, żeby je pokochać".

W ten sposób obroniły mnie przed gwałtem, ale kierownik wsadził mnie do dołu z wodą za nieposłuszeństwo. Rano nie miałam siły, żeby wyjść z tego dołu, musieli mnie wyciągnąć.

Rzeczywiście, pomysł lekarki jak zajść w ciążę zaowocował, bo gołym okiem widać było dziewczyny z brzuchami. Ponownie komisja, ale teraz biorą na przesłuchanie więźniarki. Te umówiły się, że wszystkie są gwałcone, żadna nie przyznała się, że idzie dobrowolnie lub że robi to ustami i wykorzystuje spermę. Nie mogli przeboleć, że taką ilość trzeba wypuścić na wolność. Na pewno były te z upomnienia i nagany za taki stan rzeczy.

Kierownictwo w Moskwie wściekało się, że tyle dziewczyn zamiast pracować idzie za darmo na wolność, bo warunków, żeby tu mogły żyć matki z dziećmi nie było. Przysłano więc grupę funkcjonariuszy, którzy mieli za zadanie przyjrzeć się tej sprawie i zapobiec zachodzeniu w ciążę. Bo to, czy dziewczyny są gwałcone, czy nie, ich nie obchodziło. Im zależało tylko na tym, żeby nie zachodziły w ciążę.

Mój kierownik nie odpuścił mi i znów kazał iść do kantorka, ale nie posłuchałam go. Dołu mi nie dał, tylko napisał raport, że jestem krnąbrna i nie słucham poleceń, więc prosi dyrektora obozu, żeby mnie oddać do innego o zaostrzonym rygorze i ciężkiej pracy.

No i wywieźli mnie kilkaset kilometrów dalej w obszary leśne. Kobiety w tym obozie wycinały młode sosny o grubości dwudziestu centymetrów, cięły je ręczną piłą na stemple do kopalni. Wyprowadzano nas rano z silną eskortą. Wartownicy mieli wyłącznie pepesze i strzelali do każdej jeśli oddaliła się o sto metrów od miejsca pracy. Każda para kobiet musiała zerżnąć i oczyścić siekierą sto sztuk stempli w ciągu dnia. Nadzorujący nas żołnierze NKWD odprowadzali upatrzoną kobietę w krzaki i ta nie miała nic na swoją obronę, bo mógł jej nie zaliczyć

urobku, a od tego było pożywienie – nie wypracowałaś, to masz połowę jedzenia. Tu bogiem i carem był żołnierz, a odwołania od jego decyzji nie było.

„Chodź ze mną, a ty stara obcinaj gałęzie siekierą" - zwrócił się do matki. Popychając pepeszą, wprowadził dziewczynę w krzaki.

Matka zapytała nas, po co on tam ją wziął. „Jak to nie wiesz?" - pytamy. „Nie wiem, dopiero co nas przywieźli tutaj". „On ja tam zgwałci, głupia babo" - powiedziała moja współwięźniarka. Kobieta napluła sobie w dłonie, wzięła siekierę i poszła w krzaki. Zastała ich jak żołnierz leżał na jej córce, a automat wisiał na krzaku.

„Ach, ty łotrze!" - krzyczała i siekierą uderzyła żołnierza w głowę, który nawet nie widział jak go zabija. Rozebraną córkę prowadziła za rękę do stanowiska pracy. Widząc, że biegną do niej żołnierze, zawróciła i wzięła z krzaka pepeszę. Musiała umieć się nią posługiwać, bo naciągnęła sprężynę spustową i położyła się za paroma zwalonymi drzewami. Biegło do niej czterech żołnierzy i pewnie nie przypuszczali, że kobieta ma broń, myśląc zapewne, że ze strachu ukryła się. Gdy byli piętnaście metrów przed nią, ona wystawiła lufę pepeszy i krzyknęła: „Wy sługusy żydowskie, myślicie, że nie ma na was kary?" - i pościła długa serię, którą skosiła cała czwórkę. Inni zrozumieli, że mają kłopot, otoczyli ją i czołgając się zbliżali się do niej. Ona strzelała, ale w pepeszy był tylko jeden magazynek. Kiedy żołnierze zrozumieli, że kobieta nie ma już amunicji, rzucili się na nią i skrępowali jej ręce do tyłu.

Następnego dnia na podwórku odbył się sąd i obie kobiety, matkę i córkę, skazano na powieszenie. Nas ustawiono w czworobok, żebyśmy wiedziały, co czeka te, które się buntują. Córka nie miała siły iść i matka ją prowadziła.

Pod szubienicą starsza kobieta krzyknęła:

„Niech żyje Rosja! Śmierć Żydom!"

Natychmiast wsadzono jej szmatę w usta, żeby nie mogła więcej krzyczeć.

Żołnierz założył im obu sznury, a oficer kopnął ławkę, na której stały.

Ale ten wypadek spowodował, że konwojenci bali się teraz zabierać kobiety w krzaki. Robili to, ale ubezpieczali się bardzo, stawiając zawsze kolegę do pilnowania tych, które zostawały z siekierami w ręku.

Mijał ósmy rok katorgi. Nie doręczano nam listów. Nie było lekarza, a przecież w tych warunkach kobiety chorowały i umierały, powiększał się tylko z każdym rokiem cmentarz obok obozu i malała nadzieja na wolność. Liczyłam, że przyjaciele i mąż uzyskają zgodę na złagodzenie mi kary, ale nic takiego nie następowało.

Najgorsze jest to, że ja i wszystkie dziewczęta, zarówno w pierwszym, jak i drugim obozie, byłyśmy niewinne. Żadna z nas nie zabiła, nie okradła, nie zdradziła partii ani ojczyzny, a miałyśmy każda dożywocie albo kilkadziesiąt lat obozu pracy. Wystarczyło znaleźć się w sytuacji, którą zbiry Berii mogły wykorzystać i już byłaś wrogiem ludu i ustroju. Ponieważ nie mogłam wykonać normy i jeść dawali połowę, mój organizm słabł i czułam, ze już długo nie pociągnę.

Tak minęło mi dziesięć lat katorgi. Aż jednego dnia dziewczyna, która sama chodziła do starszyzny na noce mówi mi:

„Wiesz co, Rusłanowa. W Moskwie to musiało się coś stać, bo starszyzna mówi, że pakują się wszyscy oficerowie NKWD i wyjeżdżają. A nowych nie dają".

I rzeczywiście, już nie przestrzegano, czy ktoś wyrobił normę, ale dawano jeść normalnie. Nie odprowadzali w krzaki na siłę, a wieczorem zapraszali do siebie, dając za usługę lepsze jedzenie.

Jednego dnia pracujemy na polanie leśnej, a tu ląduje helikopter. „Boże, czy ja śnię, czy może już nie żyję?" - zadawałam sobie pytanie, bo widzę jak idzie mój mąż w mundurze generała i ma broń przy pasie. Z nim dwaj wojskowi, ale go nie prowadzą pod bronią, tylko rozmawiają. On mnie nie poznał. Dziesięć lat w tych warunkach to dużo i to ubranie jeszcze. Wszystkie, ile nas było, stanęłyśmy i patrzymy na nich. Oni podeszli do grupy kobiet i pytali: „Rusłanowa żyje między wami?".

Pilnujący nas żołnierz podleciał do nich i salutując krzyczał: „To ta, towarzyszu generale" i pokazał na mnie. A mnie nogi wrosły w ziemię i straciłam głos. Mój mąż szedł do mnie, a ja straciłam przytomność, ocknęłam się dopiero w helikopterze. Tak zakończyła się kara za niewinność moja i moich koleżanek – zakończyła swą historię.

Ja z Rusłanową rozmawiałem w 1989 roku. Minęło wiele lat nim zacząłem pisać te wspomnienia i teraz w 2007 roku, w lipcu, polska telewizja w programie I nadała wieloodcinkowy serial pod tytułem „Moskiewska saga". Widzowie mogli samo zobaczyć, jak o każdej porze dnia i nocy wyprowadzano młode dziewczęta do oficerów w celu zabawiania się z nimi.

Żołnierze, którzy czekali na zewnątrz, aż oficer się zadowoli, gdy odprowadzali dziewczyny do baraków to zmuszali je na śniegu i mrozie do seksu z nimi. Jeśli któraś odmówiła – strzelali i mówili, że była to próba ucieczki.

Teraz str. 241 u góry

Rozdział XVI

PEPESZA

Wśród przyjaciół i ludzi i życzliwych czołowe miejsce zajmuje ksiądz Józef Kluz, proboszcz parafii w Sanktuarium Cudownego Obrazu Matki Boskiej Pocieszycielki Strapionych. Darzę go dużym szacunkiem ponieważ wiele się od niego nauczyłem. Od wielu lat prowadzimy korespondencję. Kiedy mi było ciężko, on dodawał mi wiary w siebie i prawdę. Pisał i zachęcał, by odważnie wskazywać fałsz i zdradę interesów Polski, by piętnować tych, którzy całe swoje życie oparli na kłamstwie i ludzkiej krzywdzie. Przecież ktoś musi Polakom napisać jak naprawdę było i kto kim naprawdę jest. Tak właśnie pisał i pisze do tej pory ksiądz Józef Kluz, obecnie już emerytowany kapłan. Jego obszerne listy, to bardzo ciekawa lektura, z którą zapoznało się wielu moich przyjaciół i wszyscy sobie niezwykle cenią wskazówki oraz uwagi tego człowieka.

Poznaliśmy się w sanatorium w Iwoniczu Zdroju. On stary i chory człowiek, ja po ciężkiej operacji. Ujęła mnie jego skromność i mądrość oraz fakt, iż mimo, że wyjaśniłem mu kim jestem, stwierdził krótko: „Wszędzie i w każdej sytuacji można być dobrym człowiekiem".

Nie wstydził się przyjaźni ze mną, siedział w jadalni przy jednym stole ze mną i jadł ten sam chleb.

- Panie Albinie, ludzie ode mnie jeździli do pana, do KC, i pan im pomógł. I jeszcze wielu innych od nas jeździło i opowiadali mi, jak pan ich przyjął i pozałatwiał ich problemy – mówił mi.

Pochwaliłem się, że napisałem trzy książki, a on poprosił mnie o nie. Po przeczytaniu ich napisał do mnie:

„Bóg dał panu talent i odwagę. Opieraj pan swoje pisanie o fakty, prawdę i dowody. I nie patrz pan, że będą tępić pana pisanie. Boją się prawdy. Modlę się za pana, żeby Bóg dał panu zdrowie i siłę. Polsce i Polakom należy się prawda".

Pojechał z moimi książkami do arcybiskupa Ignacego Tokarczuka, do Przemyśla. Ksiądz arcybiskup napisał mi mądry i piękny list. Ocenił moje pisanie wysoko i napisał: „Nie daj się pan złamać złu. Wybrałeś drogę prawdy, a to droga wiodąca pod górę i ciernista. Bardzo cenię pańskie pisanie i fragmenty pana książek wykorzystuję w swej pracy, gdyż też piszę. Ludzie prędzej uwierzą w kłamstwa. W prawdę uwierzyć jest trudno i ciężko. Odrzucą prawdę, ale pan się tym nie zrażaj i pisz prawdę". On też w wielu listach, które zachowałem, zachęca mnie bym pisał dalej.

„Przyjdzie czas – pisał – że docenią pana dzieło". I tu ksiądz arcybiskup powołał się na księdza Józefa Kluza i napisał: „Czas? Co to takiego? Czas to wielki młyn. Nie ustaje nawet na chwilę. Miele i treść dobra odłącza, żeby ją zachować na zawsze. A tą złą treść odrzuca do plew, by zgniły i żeby nikt nie pamiętał o tej złej treści. Ten młyn nie ma litości. Nie oszuka go żaden przebiegły polityk, ani ten, który ma górę pieniędzy. Śmierć najsprawiedliwsza wśród sprawiedliwych jest jak ten młyn – oddzieli plewy i zachowa przy życiu prawdę. Dobrze żeś pan napisał o śmierci w „Trwałych śladach" o tym, że człowiek umiera dwa razy. Raz fizycznie i cieleśnie, drugi raz, gdy pamięć o nim zaginie. I kto wie, czy nie tragiczniejsza jest ta właśnie druga śmierć. Po tych obłudnikach i kłamcach zostaną plewy. I o nich nikt nie będzie pamiętał. Umrą wraz ze swoim ciałem. Pana książki będą żyły i

zachowają pamięć o panu. Dlatego proszę – pisz pan wszystko co naród nasz przeżył i przeżywa. Prawda musi zwyciężyć, bo tak postanowił Bóg”.

Listy od księdza Józefa Kluza i arcybiskupa Tokarczuka dały mi wiarę w siebie, tak jak setki listów od ludzi, którzy przeczytali moje książki. Z tych listów można by złożyć piękną i mądrą książkę, z której czytelnik wyczytałby jak bardzo ludzie chcą poznać prawdę, w którą tak trudno uwierzyć. „Moi bracia i kuzyni zginęli – pisał - pomordowani”. Przysłał mi zdjęcia, gdzie wśród ofiar mordu figurują nazwiska wielu Tokarczuków.

To drobne paciorki nanizane na sznur zbrodni, który – gdy zaczynamy liczyć [- nie ma końca. Pomny tych słów starałem się pisać tak, by ta książka świadczyła o faktach.

Tak jak olbrzymie liczby ofiar były rzeczywistością od początków rewolucji w Rosji, aż do upadku muru berlińskiego, tak samo faktem jest kto i dlaczego tego dokonał. Żadne odwracanie kota ogonem nie zatrze w ludzkiej pamięci bolesnych faktów, bo one wołają o pomstę do nieba.

Wśród wielu moich przyjaciół, od których dużo dowiedziałem się ciekawych rzeczy, są zwykli ludzie i tacy, którzy zajmowali wysokie funkcje społeczne. Na przykład generałowie Wacław Czyżewski i Jan Wyderkowski oraz Mieczysław Moczar, z którym się nie przyjaźniłem, ale którego dobrze znałem. W Magdalence generał Czyżewski miał drewniany, letni domek, a w nim, zbudowany ze zwykłej cegły, kominek. Naprzeciwko był domek generała Żymierskiego. Obok mieli domki towarzysze broni i walk partyzanckich z Lubelszczyzny. Ileż to przy tym kominku omówiono akcji i walk w czasie wojny. Ileż postaci bohaterskich tych, którzy zginęli w czasie walk z czasów wojny i tych, którzy zdradzili, przewinęło się w tych rozmowach.

Przesiedziałem tam wiele godzin słuchając ich opowieści. Bo ci ludzie wzięli ze sobą do grobu bardzo dużo ciekawych historii, których już nikt nie spisze i nie ocali od zapomnienia. A były to drogi przez mękę. Drogi pełne ofiar i spoczynku. Z ich bohaterstwa i ofiary życia korzystają dziś ludzie podli, którzy nigdy udziału w walkach nie brali, a po wojnie uczynili się bohaterami. Słuchając ich nie przypuszczałem, że kiedyś życie mnie z nimi zetknie. Że będą musiał powiedzieć prawdę i narazić się im lub milczeć i pozwolić złu zwyciężać, a w nagrodę za kłamstwo przyzwalać na awanse tych łotrów.

W okresie okupacji hitlerowskiej na Lubelszczyźnie była silna i dobrze zorganizowana partyzantka. Dowodził ją Moczar, Czyżewski i Wyderkowski. Był jeszcze oddział złożony z Żydów, którym dowodził Kasman. Ale oni nie podejmowali walki z Niemcami. Mieli bardzo dobre uzbrojenie, gdyż podlegali nie Armii Czerwonej, a Berii. I Moskwa organizowała zrzuty dla nich. Moczar, człowiek wybuchowy i nerwowy, wielokrotnie chciał rozbić ten oddział i zabrać broń do walki, gdyż Polacy nie posiadali jej wystarczającej jej ilości. Ale sam Gomułka uspakajał Moczara, ponieważ nie chciał wojny z Moskwą. A oddział Żydów podlegał NKWD. Beria, szef NKWD, miał wszystko w swoim ręku. Oddział Kasmana nie był przewidziany do walki z Niemcami, ale z tymi, którzy organizują inną partyzantkę, jak na przykład AK, a także z tymi, którzy źle się wyrażali o Związku Radzieckim.

W czasie wspominanych wcześniej zebrań przy kominku usłyszałem taką historię:

Nasi wywiadowcy zameldowali, że Niemcy okrążyli Radecznicę i robiąc

dokładną rewizję znaleźli ukrywających się u Polaków Żydów. I że tę dużą grupę Żydów pędzą pieszo do Janowa Lubelskiego. Polskie rodziny zostały rozstrzelane na miejscu za ukrywanie Żydów.

Żeby przeciąć im drogę, oddział cały czas leciał biegiem. Zależało im na ukaraniu Niemców za zamordowanie Polaków i na uwolnieniu Żydów. Ludzie byli potwornie zmęczeni, gdy dobiegli do drogi, którą Niemcy mieli pędzić Żydów. Dobrze, że było trochę czasu na odpoczynek przed bitwą. Niemcy prawdopodobnie nie spodziewali się napadu tuż przed Janowem, gdzie mieli większą jednostkę wojska. Cała akcja przebiega błyskawicznie. Paru Niemców zginęło, inni podnieśli ręce do góry i poddali się. Polacy zabrali im broń i amunicję i musieli uciekać, gdyż strzały mogły być usłyszane w Janowie, a wtedy Niemcy ruszyliby na pomoc. Ale rozbrojeni Niemcy nie chcieli biec szybko. Celowo utrudniali ucieczkę, żeby dać szansę swoim. Polacy mieli w swoich szeregach partyzanta, który znał niemiecki i dostał polecenie, żeby powiedzieć Niemcom, że mają biec szybko, bo kto nie będzie biegł zostanie rozstrzelany. Kawałek pobiegli i przestali. Zaczęli iść powoli oglądając się, czy pościg jest blisko.

Do dużego lasu był jeszcze kilometr, a Niemcy z pościgu już zaczęli strzelać do Polaków. Nie było innego wyjścia jak tylko zabić jeńców, zwłaszcza, że oni kilka godzin temu zabili kilka polskich rodzin. Nie patrzyli na to, że wśród nich były kobiety i dzieci. Wojna to wojna. Dwóch, z własnej woli, na ochotnika wykonało egzekucję. Udało się uciec bez strat własnych.

W lesie poproszono mężczyzn Żydów, żeby wstąpili w szeregi partyzantów i walczyli. Przecież Niemcy prowadzili ich na śmierć. Ale oni nie zgodzili się.

- Kazałem spisać ich dane osobowe – mówił Czyżewski i spytałem co z nimi zrobić?.

- Chcielibyśmy gdzieś dobrze się schować" - odpowiedzieli.

- A kto ma wam dawać jeść?

- Ci, którzy nas schowają

A było ich ośmiu.

- Dobrze, posiedzicie z nami kilka dni w lesie, a my w tym czasie poszukamy wam kryjówki.

Znaleźli im takich ludzi, którzy zgodzili się ich schować w Żuchowie nad Sanem. Były to dwa gospodarstwa położone z dala od wioski gospodarze ukryli ich w lesie, w dobrze zamaskowanym bunkrze.

Wojnę przeżyli i kiedy Rosjanie weszli na te tereny, to oni od razu wstąpili do wojska.

- Gdy skończyłem studia i akademię wojskową – mówił Czyżewski – i już byłem generałem, to pięciu z nich zgłosiło się do mnie z prośbą. Byli w polskich mundurach w stopniach kapitanów.

- My, towarzyszu generale, byliśmy przecież w waszej partyzantce, więc napiszcie nam oświadczenie, ze włączyliśmy w waszych oddziałach.

- Ale przecież nie walczyliście, mimo że my prosiliśmy was o to, a więc w ewidencji was nie ma. Nie mogę poświadczyć nieprawdy.

- Towarzysz generał lepiej niech nam podpisze, to będzie dla nas i dla towarzysza generała najlepsze.

- Nie podpisałem – wspominał Czyżewski – Ku memu zaskoczeniu spotkałem

ich w Rembertowie na uczelni, kiedy byli już podpułkownikami. Tylko, że już mieli czysto polskie nazwiska. Nie te, które spisałem w czasie wojny.

Gdy byłem już członkiem Biura Politycznego cała piątka była nominowana do awansu na stopnie generalskie. Położono przed nami ich papiery i ja zorientowałem się kim są, gdy znałem ich polskie nazwiska od Czyżewskiego. Właśnie przeczytałem wnioski o awans do stopnia generała i patrzę, a w nich pisze wyraźnie, że walczyli w oddziałach Armii Ludowej na Lubelszczyźnie. A na Lubelszczyźnie dowodził Armią Ludową Czyżewski, Moczar i Wyderkowski. Od nich wiedziałem, że cała piątka odmówiła wstąpienia do partyzantki i że resztę wojny spędzili w bunkrze, a Polacy donosili im jedzenie. Moi koledzy w Biurze Politycznym zawsze robili to co ja. Było nas czworo: Kaukus, Romanik, Grzybowa i ja.

Odmówiłem zgody na ich awans, mówiąc, że nieprawdą jest to, co oni napisali w aktach. Są ludzie, którzy cały czas dawali im jeść, gdy oni siedzieli ukryci w bunkrze. Zapada decyzja, że trzeba to sprawdzić i porozmawiać z tymi gospodarzami, którzy ich ukrywali i karmili.

- Towarzysz Siwak ma zawsze uwagi, które się nie potwierdzają – zauważył Czyrek – będzie nieładnie, jeśli okaże się, że jednak byli w Oddziałach Armii Ludowej.

- Jak oni mogli być w oddziałach AL skoro siedzieli całą wojnę ukryci i są ludzie, którzy to potwierdzą. Rozdwoili się lub mieli sobowtórów? - spytałem.

- Jedziemy tam w pięć osób i znajdujemy te dwa gospodarstwa. Ale z tych dwóch rodzin nikt nie żyje. Ludzie, którzy teraz gospodarują na tej ziemi i mieszkają w tych budynkach są obcy tym, którzy tu kiedyś żyli.

Pytamy ich, gdzie są te dwie polskie rodziny, które tu mieszkały w czasie wojny.

- Gdzie oni są?

- O, na cmentarzu. Widzicie ten mur? - słyszymy w odpowiedzi – to cmentarz, tam oni leżą.

- Jaki to? Wszyscy zmarli w jednym czasie?

Nie zmarli, tylko przyjechało tu pięciu uzbrojonych ludzi i wybili obie te rodziny. W biały dzień, nie kryjąc się i nie bojąc się milicji.

Ja nie mogłem mówić, że domyślałem się kto to zrobił. Nie widziałem tego i nie było świadków, ale znałem już takie sytuacje, w których Żydzi ukrywani przez Polaków wracali po wojnie i wybijali wszystkich, którzy ich znali i widzieli. Później pisali sobie piękne, bohaterskie życiorysy i dekorowali się odznaczeniami za walkę z najeźdźcą niemieckim. Byłem jednak pewny, kto to zrobił i dlaczego. Awansu nie było, bo podzieliłem się swoimi podejrzeniami z kolegami robotnikami w Biurze Politycznym.

Ale przechytrzono nas. Kiedy cała nasza robotnicza czwórka była na urlopie na Krymie, piątka pułkowników została generałami. Nie dość tego – za rok dostali kolejną gwiazdkę, a wnioski Polaków o awans nie dostały poparcia. Doskonale wiedzieli, kto im nie dał awansować i miałem tego liczne dowody. Pomijam takie fakty, że na uroczystościach, gdzie oni też bywali, odwracali się ode mnie. Ale gdzie tylko mogli robili ze mnie ciemniaka, nieuka i chama. Opinie, że jestem betonem, powtarzali solidarnie wszyscy bez względu na to, czy pracowali w partii, czy w wojsku, czy w prasie.

Gdy byłem jeszcze członkiem warszawskiej egzekutywy był w niej taki pracownik aparatu partyjnego, który nazywał się Zbigniew Kohan. Oczywiście nisko mi się kłaniał, bo byłem dla niego władzą, ale gdy powstała Solidarność, to potajemnie z nimi współpracował. Ileż on zrobił ludziom krzywdy swoim ulotkami. Część ludzi uwierzyła w to co pisał. Miał rodzonego brata, oficera osławionej Informacji Wojskowej. Gdy zamknęli Gomułkę, to spreparował on większość dokumentów na ludzi z otoczenia Gomułki i upadlał ich jak zwierzęta.

Nie dał im spać przez kilka nocy i nie pozwolił pić. Kazał robić żabki i przysiady. Cały czas mówił: „Podpisz, że Gomułka zdradził Polskę, zostawimy ci stopień generała, ale podpisz".

Gdy generał odmówił, spreparował akt oskarżenia i generał otrzymał wyrok śmierci za zdradę stanu.

Była taka willa pod Otwockiem, gdzie więziono takich, dla których MSW przygotowywało fałszywe akty oskarżenia. Już po 1989 roku w telewizji występowały więźniarki kobiety, które tam przetrzymywano. Kohan robił im badania. Wsadzał całą rękę do pochwy i palcami drapał, żeby wywołać krwawienie i zakażenie. Z tego powodu zmarło tam parę kobiet. O tym mówiły same kobiety.

Pracował z taką nienawiścią do Polaków, spreparował tyle fałszywych oskarżeń oraz uwięził i skazał tylu ludzi, że jeszcze za czasów PRL-u miarka się przebrała i został skazany na pięć lat więzienia, a jego szef Różański otrzymał 15 lat. Ile narobili i jakich krzywd Polakom, że w ustroju, w którym oni rządzili, dostali 5 i 15 lat? Musiało się tego nazbierać tak dużo, że nawet Żydzi przestali ich bronić.

Gdy napisałem o tym książkę i dałem ją do druku Andrzejowi Górskiemu, który w Alejach Jerozolimskich wydawał książki polityczne, to się zorientowałem, że jego zastępcą jest Zbigniew Kohan. Dałem mu jedyny rękopis książki przy dwóch specjalnie poproszonych świadkach. Kiedy przeczytali ten rękopis, to zaprosili mnie na rozmowę, przy której był Kohan. „Piękna książka – mówią – ale w całości jej nie wydamy".

A opisałem w niej zbrodnie jego rodzonego brata. Pytam więc - Czy napisałem nieprawdę? „Nie, napisałeś prawdę, ale tego drukować nie wolno. Wyrzuć z niej wszystkie postacie Żydów, wtedy wydrukujemy".

Chciałem zabrać ten rękopis, ale oni mówią:„My to zrobimy, ty tylko akceptuj".

Nie zgodziłem się i nie zabrałem rękopisu, który zaraz ktoś ukradł i wypłacono mi odszkodowanie. To, że im ktoś go ukradł, to bzdura. Całe to szachrajstwo, jako żywo, przypomina mi rozmowę i propozycję marszałka sejmu w sprawie książki „Trwałe ślady". Ale Żydzi nie tylko w stosunkach do Polaków stosują metody służące temu, żeby zniszczyć to co o nich napisano.

Opisałem w „Trwałych śladach" jak poznałem przez przypadek w Kopenhadze Żyda-literata i malarza, który zaprosił mnie do swego domu. Zaczął mówić, ile i jakie książki napisał i w obecności co najmniej dziesięciu Żydów powiedział:

- Jak ja, ich kuzyn, napiszę nową książkę i w niej zawrę całą prawdę o Żydach, to wiesz jak oni walczą z prawdą? Napisałem, na przykład, że Tomasz Gross o Jedwabnym napisał same kłamstwa. Wiesz co oni zrobili?

Mówię, że nie wiem.

- Oni pojechali wszędzie, gdziekolwiek była sprzedawana moja książka i wykupywali jej cały nakład. Wywozili za miasto i palili wszystkie doszczętnie.

Przecież to jest tak, jak z tym, co piszą izraelskie gazety. Można w nich przeczytać, że Palestyńczycy w każdym domu produkują broń i wobec tego te domy wojsko buldożerami i dynamitem niszczy. Wymyślili też, że Arabowie to nieodpowiedzialni ludzie i nie można im pozwolić wyprodukować broni atomowej. My, Żydzi, jesteśmy za to odpowiedzialni i nasz minister przez gapiostwo wygadał się w telewizji na żywo, że my mamy tę broń. Przecież to chora polityka przysparza nam, Żydom, wrogów. To się musi kiedyś zemścić na nas.

Ale oni tego nie rozumieją.

No tak, ale takich Żydów jak ten Zimerman w Kopenhadze lub Bronek, który w Libii mieszka i paru jeszcze innych jest zbyt mało, żeby prawda ujrzała światło dzienne i żeby zwyciężyła.

Znałem takiego generała - Żyda, który był we Moskwie attaché wojskowym w naszej ambasadzie, ponieważ mieszkając w Polsce nie zgadzał się z brutalną polityką Żydów i dawał to do zrozumienia. Jednego dnia patrzę, jak minister obrony na posiedzeniu Biura Politycznego mówi:

- Mam do towarzyszy prośbę. Zaakceptujcie nominację do Moskwy jednego z generałów. Nich tam posiedzi parę lat, bo tu robi same głupstwa.

- A tam, to co może robić – spytałem.

- Tam on nic nie będzie robił – oparł minister

Myślę sobie – może i lepiej, niech on tam jedzie. I poparliśmy ten wniosek. Był to zatwardziały Żyd, ale w polityce nie zgadzał się ze swoimi braćmi. Był żonaty, ale bezdzietny. Żony do Moskwy nie zabrał i na urlopy do Polski nie przyjeżdżał przez sześć lat. W tym czasie jego żona urodziła dwoje dzieci. Poprosili go na rozmowę do zarządu politycznego wojska polskiego. I generałowie-Żydzi krótko powiedzieli:

- Chcesz być dalej generałem to mów, że to twoje dzieci i kochaj je, a żonę szanuj. Inaczej idziesz w odstawkę.

Wcale się z tym faktem nie krył przed nami. Prowadzili taką politykę, że jeśli był zdolny generał, to proponowali mu rozwód z żoną i podstawiali mu swoją kandydatkę na żonę. Wtedy taki generał awansował i robiono mu opinię wybitnie zdolnego. Takim przykładem był Moczar.

Starsi ludzie pamiętają, że nienawidził on Żydów, mówił i pisał o nich źle. Mając możliwości, dokuczał im wszędzie, gdzie mógł. Nie mogąc go zmienić – zmienili mu żonę. To znaczy wstawili mu do sekretariatu swoją sekretarkę. Widziałem ją kilka razy i rzeczywiście dziewczyna była wyjątkowo piękna i zgrabna. A Moczar był pies na baby i żadnej, która mu się nawinęła pod rękę, nie przepuszczał. A Żydzi znali jego słabą stronę i wykorzystali to doskonale dla swoich celów. Tak się kręciła koło Moczara, że chłop zgłupiał i zgodził się na rozwód z żoną, a potem wziął ślub z tą Żydówką. I jak uciął skończyły się artykuły w prasie o Żydach. Moczar zamknął gębę na kłódkę. Powierzył jej oba sekretariaty, gdyż w tym, czasie był szefem ZBOWiD i Najwyższej Izby Kontroli. Od tej chwili Żydzi robili przekręty jakie chcieli, gdyż ich nikt nie ścigał.

W 2007 roku zmarł generał Władysław Jerzak. Gdy był młody, on i mój brat stryjeczny Józef Siwak spotkali się w Pustelniku na dorocznych odpustach. Tak Jerzak, jak i mój stryjeczny brat, byli kapitanami. Jerzak przywoził na te uroczystości narzeczoną Żydówkę. Ileż mu nagadali członkowie rodziny i koledzy, żeby się z nią nie żenił. Ale on miał inny plan i wiedział, że jego przyszłość i awans

może nastąpić tylko wtedy, jeśli go ktoś bardzo mocny poprze. I nie dlatego, że był niezdolny – był bardzo zdolny, ale dlatego, iż po pierwsze był w AK, co PRL tępiło, a po drugie był synem kułaka.

Tacy synowie szli do kopalni uranu w Kowarach lub do kopalni węgla. Ale tata żony był attaché wojskowym i z awansami nie było kłopotu. Za to był kłopot, że żona w Pustelniku mieszkać nie chciała. A generała sparaliżowało i jeździł na wózku, a później tylko leżał. Kochana żona ziemię po jego ojcu tak kochała, że ją rozsprzedała. A tym kaleką już opiekować się nie chciała. Obca kobieta długie lata opiekowała się leżącym, przy którym trzeba było, jak przy dziecku, wszystko zrobić. Jak widać nie tylko obcych Żydzi traktują jako przedmioty.

Wiele razy opowiadał mi brat stryjeczny Józef Siwak, jak w czasie wojny dostali dowódcę, majora-Żyda. Brat służył w lekkiej artylerii polowej na pierwszej linii frontu. Armaty były ciągnione przez parę koni, a przed armatą znajdowała się dwukółka z amunicją. Taką armatę obsługiwało trzech żołnierzy. Jeden, to woźnica, a dwaj – obsługa armaty. Pod Kołobrzegiem były boje były bardzo ciężkie. Odcinki frontu przechodziły z rąk do rąk. Niemcy zaskakiwali czasem ogniem z tyłu. Był taki bałagan, że ani Polacy, ani Rosjanie, nie mogli się połapać skąd nadchodzą i dlaczego znaleźli się z tyłu frontu. Z Łotwy dywizje niemieckie szły na odsiecz Berlinowi. Rosjanie mieli ich w kotle, ale część się przebiła i robiła zamieszanie.

Była przed działonem Józefa łąka plaska na długości prawie kilometra. Na tej łące leżało dużo zabitych i rannych Polaków. Sanitariusze, którzy poszli ratować rannych, zostali wybici.

Niemcy strzelali z małego wzniesienia z karabinów maszynowych i całą łąkę mieli pod ostrzałem. Polacy nie mieli ciężkiej artylerii, tylko tą polową. A ona musiałaby się zbliżyć do ich stanowisk. Co podjedzie działo pełnym galopem, to najpierw Niemcy strzelają do koni. Te padają i na leżące konie wpada dwukółka z amunicją i działo oraz trzech żołnierzy. A major-Żyd wyciąga rewolwer i krzyczy: „Następny działon galopem".

Sierżant obsługujący jedno z dział podbiegł do majora i melduje:

- Już wybili nam Niemcy trzy zaprzęgi z załogami. Tej łąki nie da się przejechać tak, żeby nie trafili. Trzeba albo ściągnąć większe działo, albo objechać lasem i ich z boku rozbić".

- Macie rozkaz jechać, zrozumiano!? - krzyknął major – Za odmowę rozkazu zastrzelę na miejscu.

Sierżant przeżegnał się i galopem wpadli na łąkę. Padły oba konie, przeraźliwie rżąc z bólu. Po nich przelatuje działo i jaszczyk z amunicją, a wśród tego wszystkiego kolejnych trzech ludzi w tym kłębowisku.

Następny zaprzęg był zaprzęgiem brata i jego kolegi z tej samej wioski, Antka Szuby. Trzymają się z całych sił, żeby nie spaść w czasie galopu, a woźnica puścił konie z całych sił. Lecą, ledwie dotykając kołami ziemi. Boże, może uda się – modlą się obaj. Ale nie. Pierwsze padają konie i cały zaprzęg rozpędzony przelatuje po koniach, a ludzie tracą przytomność padając. To już pięć dział, dziesięć koni i piętnastu żołnierzy straconych przez upór tego majora.

Są jeszcze trzy zaprzęgi i żołnierze czekają na rozkaz i pewną śmierć. Scenę tę obserwował rosyjski pułkownik i kazał zawołać tego majora do siebie. Ale on odpowiedział, że podlega polskiemu dowództwo i nie poszedł do pułkownika.

Pułkownik wobec tego sam przyszedł z żołnierzami do majora i spytał:

- Co ty robisz? Chcesz żeby Niemcy wybili cały oddział?

A para koni już stała gotowa do galopu przez łąkę.

Major krzyczy: „Galopem przez łąkę!". Pułkownik krzyczy: „Nie! Rozbroić tego majora!". I żołnierze pułkownika szybko odebrali majorowi broń i pas.

- Cofnijcie te konie! - zwrócił się do Polaków.

- Podajcie przez radio – zwrócił się do łączności – żeby koniecznie przysłali tu czołg albo haubicę.

Za parę minut wytoczył się z lasu T-34. Pułkownik zawołał dowódcę czołgu i dając mu lornetkę powiedział:

- Widzisz te wzniesienia? Tam są gniazda karabinów maszynowych. Patrz ile ludzi i koni wybili.

Czołgista zasalutował i wskoczył do czołgu. Popędził przez łąkę omijając zabitych i rannych.

Pułkownik obserwował akcję przez lornetkę i coraz bardziej nerwowo krzyczał:

- Dlaczego on nie strzela!

A czołg podjeżdżał do wzniesień. Karabiny maszynowe biły ciągłymi seriami, ale to nie czyniło na czołgu wrażenia. Na wzniesieniu czołg zaczął tańczyć w koło. Paru Niemców rzuciło się do ucieczki ale skosili ich z czołgowej broni maszynowej.

- On po prostu ich rozgniótł – powiedział pułkownik - ale załoga czołgu miała szczęście, że Niemcy nie mieli działka czy pancerfausta, bo by zginęli – zakończył swoje uwagi.

Na majora wpłynął raport od radzieckiego pułkownika, ale koledzy Żydzi czuwali, żeby krzywda się nie stała ich ziomkowi.

Mój brat i jego kolega wyszli ze szpitala i wrócili do swojej jednostki, ale 70% ich działonu było wybite przez głupotę majora i jego nienawiść do Polaków.

W 1982 roku, gdy przyjmowałem ludzi w Komitecie Centralnym, wprowadzono do mnie starszego człowieka, który długo stał przede mną i przyglądał mi się uważnie.

- Proszę usiąść i słucham, jaki pan ma problem – pytam go.

- Tylko jeden nietypowy problem mam. Chcę zobaczyć się i porozmawiać z generałem Obiedzińskim.

W tym czasie generał Obiedziński był głównym kwatermistrzem wojska polskiego i sprawy mieszkań oficerów szły dwutorowo – przez moje biuro w KC i o kwatermistrza. Dlatego znaliśmy się dobrze obaj z generałem, gdyż co tydzień omawiałem z nim problemy mieszkaniowe oficerów.

- Nie mogę pana, tak od ręki, wprowadzić do generała, bo może zechce pan mu zrobić coś złego. Takie rzeczy się zdarzają i muszę wiedzieć kim pan jest i czego pan chce od generała.

Wtedy ten człowiek wyjął kilka zdjęć i pokazując je mówił do mnie:

- Tu jesteśmy nad Oką, gdy tworzono pierwszą dywizję wojska polskiego. Obiedziński stoi przy mnie. A tu w kolumnie, w defiladzie po przysiędze, kiedy generał Berling przyjmował defiladę. No i jeszcze parę zdjęć z terenu Polski. Czyli widzi pan, że to mój przyjaciel i nie chcę mu robić krzywdy, a tylko spotkać się z nim i pogadać.

W tej sytuacji zadzwoniłem do generała i mówię, że chcę przyjechać z niespodzianką. „Dobrze, czekam” - odpowiedział Obiedziński.

Gdy siedliśmy w fotelach w gabinecie generała, to generał oczu nie spuszczał z gościa. W końcu mówi tak:

- Do cholery, czego mnie męczycie, jego gęba kogoś mi przypomina, ale nie wiem kogo.

Wtedy gość powiedział:

- A kościół pod Kołobrzegiem, gdzie esesmani wybili nam cały pluton, a właściwie cały spalili, to pamiętasz?

Wtedy generał wstał i powiedział:

- Uratował się tylko plutonowy i ja, bo wleźliśmy w miechy organowe i Niemcy nas tam nie odnaleźli. To ty jesteś Albin Wyszomirski, plutonowy.

No i rzucili się sobie w ramiona, traktując mnie jakbym był nieobecny. Zaciekawiła mnie ta opowieść o tym kościele i organach, więc pytam:

- Jak mogło dojść, że Niemcy wam wybili cały pluton?

I wtedy usłyszałem taką opowieść:

O Kołobrzeg toczyły się krwawe boje. Rzeczka Parsęta była czerwona od krwi naszych i Niemców. Niemcy odrzucili nas od Kołobrzegu na kilka kilometrów, kiedy doszły do nich nowe siły z Łotwy. W wiosce stał murowany kościół, z którego Niemcy strzelali do nas. Wtedy Jaroszewicz był już generałem i przyjechał na nasz odcinek frontu. Mówimy mu, że próbowaliśmy zdobyć kościół, ale Niemcy mają w nim dużo dobrej broni. Zginęło już sporo naszych.

- To nie wyrywajcie się, bo szkoda ludzi – mówił Jaroszewicz – Jutro podciągną z artylerią i czołgami, to weźmiemy ten kościół.

Kilka murowanych domów obok też zajmowali Niemcy i też byli tam dobrze uzbrojeni. Ja byłem wtedy tylko plutonowym, a ty byłeś już kapitanem – mówił Wyszomirski – a nad nami był komisarz ludowy, major, którego dali z NKWD. Jeden żołnierz nawet rozpoznał w nim Żyda ze swojego miasteczka pod Lwowem. Mówił po polsku, ale tak jak na Wschodzie mówili, ze specyficznym akcentem. Kiedy Jaroszewicz odjechał, to major powiedział: „Nie będziemy czekać do jutra tylko ten kościół dziś weźmiemy”.

- Ja pamiętam jak ty mówiłeś do tego majora – mówił Wyszomirski – że nie mamy tyle amunicji i granatów, żeby atakować. Ale on swoje: „Zdobędziemy ten kościół dziś”. No i rozkazał nam atakować. Niemcy chyba też liczyli, że dziś nie będziemy atakować, bo dali się zaskoczyć. Parę minut strzelaniny, zginęło kilku naszych i kilku Niemców. I Niemcy wycofali się poza wieś. Myśleliśmy, że tak zostanie, więc zajęliśmy domy i kościół. Nie mieliśmy już po tym ataku amunicji i wiem, że chodziłeś do majora, żeby podrzucili nam amunicję. Ale dostawy nie było. Wtedy zaproponowałeś, by wycofać nas na pozycję w polu i w lesie, okopać się i czekać na zaopatrzenie. Major się jednak nie zgodził i rozkazał trwać w tym kościele.

Nad ranem Niemcy zaatakowali z ogromną furią. Było ich dużo i nie żałowali amunicji. A my po krótkiej obronie byliśmy bezbronni. Zaczęła się bijatyka kolbami i czym się dało. Ale długo tak nie dało się walczyć. Cały pluton wpadł w ręce esesmanów. Byli pijani, rękawy zawinęli po łokcie. Bili kolbami w twarz. I wtedy ja zauważyłem na górze te organy. Szturchnąłem cię w tym zamieszaniu,

obaj skoczyliśmy na schody do góry. Miechy były rozcięte i my w te miechy wskoczyliśmy. Niemcy przeszukali kościół, ale w organy nie zaglądali. Widzieliśmy dziurą jak drutem wiązali naszych żołnierzy. Prowadzili też paru naszych sanitariuszy i też ich wiązali. Przynieśli parę kanistrów z benzyną i oblali nią żołnierzy. Potem podpalili i odsunęli się na bok.

Obaj oglądaliśmy jak żywcem palą się nasi koledzy. Kiedy dym zaczął ulatniać się oknami, nasi zaatakowali, ale Niemców już nie było. Zaczęli lać wodę na żołnierzy, ale żaden się nie uratował. Zginęli w męczarniach.

- Następnego dnia złożyłem pułkownikowi raport – mówił Obiedziński – że nie mieliśmy amunicji i chcieliśmy zostawić ten kościół i wrócić na pozycję w pole, ale major się nie zgodził. Ludzie zginęli przez majora. Następnego dnia Jaroszewicz zwymyślał majora i zabrał go do sztabu. Wiem, że nie ukarali go, tylko przenieśli do innego pułku. Ale najważniejsze wydarzenie związane z tym kościołem miało miejsce nad Odrą, w Siekierkach. Forsowaliśmy Odrę w paru miejscach. Niemcy bronili się tu zaciekle. Byli dobrze przygotowani do obrony i zdeterminowani by bronić się do ostatka. Nasi ginęli na Odrze, ciała płynęły gęsto. Zdobyliśmy jednak przyczółek, co pozwoliło zbudować przeprawę i przerzucić ciężką broń. Mimo to dobrze okopani Niemcy zadawali nam duże straty i sanitariusze nie nadążali zbierać rannych i udzielać pomocy. Tak minęły nam w ciężkich bojach dwa dni.

Po dwóch dniach wezwali ciebie – wspominał Wyszomirski – do generała, a ty wróciłeś i mówisz do mnie, że jest rozkaz odprowadzić na tyły dużą grupę Niemców wziętych do niewoli. Wyznaczyłeś mój pluton do tego zadania. Poszliśmy odebrać Niemców od naszych żołnierzy i wtedy powiedziałeś mi: „Albin, przyjrzyj się dobrze tym Niemcom. To ci sami esesmani, którzy spalili nasz pluton w kościele. Takich scen się nie zapomina. One do śmierci będą tkwiły nam w głowie. Mnie się śnią żołnierze, którzy krzyczeli o ratunek, a ci Niemcy stali, przyglądali się i śmieli. Te ich twarze zapamiętałem do dziś – mówił Wyszomirski – Tak to oni! Potwierdziłem wtedy Obiedzińskiemu. Nie mówiłeś nic więcej, a ja rozumiałem o co chodzi. Wystarczyło twoje spojrzenie i mina, a chłopcy, ci nowi w plutonie, już wiedzieli, co się stało z ich poprzednikami w kościele. Im tez nie musiałem mówić jak należy tych esesmanów odprowadzić. Prawo jest takie w czasie wojny, ze jeśli konwojowany zacznie uciekać, to należy go zabić. Później składa się raport dowódcy, że nastąpiła próba ucieczki i to masowa. Więc konwojenci musieli strzelać.

Ale moi chłopcy - mówił Wyszomirski - chcieli żeby Niemcy wiedzieli, że muszą zginąć. Przypomnieli mi kościół i palących się żywych kolegów. Raport był krótki – jeńcy podjęli masową próbę ucieczki i wybiliśmy ich wszystkich. Zostali zakopani w lesie i koniec.

- To nieludzkie – mówił Wyszomirski – ale nieludzka jest wojna i nieludzkie były zbrodnie niemieckie, a nas rozsadzała złość i żal. Żal, bo nie należało atakować nie mając amunicji, ale w polskim wojsku większość oficerów w czasie wojny, to byli Rosjanie lub Żydzi. A Żydzi nie liczyli się z ofiarami Polaków.

Ot, jeszcze jedna historia, która nie poszła do grobu wraz z tymi ludźmi. Oni mi dziękowali, że umożliwiłem im spotkanie, a ja dziękowałem im, że usłyszałem bezpośrednio od nich tę historię.

- A pamiętasz jak w dwa tygodnie po podpisaniu kapitulacji zginął nasz oficer polityczny?

- Słyszałem – odpowiedział generał Obiedziński – że zastrzelił go żołnierz z

twojego plutonu, ale nie udowodnili mu tego i nie skazali. Podobno poszło o Niemkę, bardzo ładną dziewczynę.

- Tak, ja wiem dokładnie jak to było – odpowiedział Wyszomirski – Jak zdobyliśmy Berlin, to zaczęły się gwałty i to masowe. Żołnierze, szczególnie czerwonoarmiści, robili to w biały dzień, w każdym miejscu, w którym dopadli kobietę. My, Polacy, zajęliśmy ocalały budynek i rozłożyły się w nim nasze trzy plutony. Rosjanie omijali taki budynek, jeśli przed wejściem stała warta polska. I wtedy przyszła kobieta z córką panną. Na parterze była duża sala, w której jedliśmy. Było to w porze posiłku, więc dano im jeść. Paru żołnierzy zaczęło głośno mówić, że obie nadają się do łóżka. A ta młodsza, to szczególny okaz. Dziewczyna rzeczywiście była bardzo ładna.

- Chłopcy – powiedział chorąży – nie jesteśmy zbójami i nie będziemy ich gwałcić. Wybijcie to sobie z głowy i portek. Jeśli one zechcą po dobrej woli, to co innego.

I wtedy matka tej ładnej dziewczyny przeszła się po jadalni parę razy i zatrzymała się naprzeciw Janka Pierzchały. Janek do wojska wstąpił tak jak inni na terenie Związku Radzieckiego. Wstąpili do armii razem z ojcem, ale ojciec zginął pod Warszawą. Janek za odwagę dostał wiele odznaczeń. Był kilka razy ranny, ale niegroźnie. Odznaczał się ogromną odwagą i był lubiany przez kolegów. Dobrze zbudowany, wysoki blondyn, zwracał uwagę dziewcząt, gdy kwaterowaliśmy w polskich domach. Teraz matka tej dziewczyny stała naprzeciw Janka i uważnie go oglądała.

- Czy ktoś z was rozumie po niemiecku? - spytała.

Zgłosił się jeden żołnierz i mówi, że zna niemiecki.

- To powiedz temu żołnierzowi, że ja oddaję pod jego opiekę swoja córkę. Wolę, żeby z nim spała, niżby mieli ją zgwałcić Rosjanie.

To mówiąc, wzięła za rękę Janka i podała mu rękę swej córki. Następnie wyszła z domu.

Czy Janek spał z tą dziewczyną? Nikt tego nie widział, ale miała obok jego pokoju swój i Janek nosił jej posiłki. Gdy pełnił służbę na mieście i dziewczyna zostawała sama, nasi żołnierze nie wykorzystywali tego, bo mówili, że to dziewczyna Janka.

W tym czasie oficerowie polityczni byli z reguły Żydami. Polakom bardzo rzadko powierzano taką funkcję. Nasz oficer polityczny był typowym Żydem i komunistą – jak sam o sobie mówił. Jego zadaniem było uświadamianie wszystkich żołnierzy i wyjaśnianie im, dlaczego komunizm jest lepszy od kapitalizmu. I że warto walczyć o to, by kapitalizm został pokonany. Oczywiście interesowali go żołnierze, którzy nie wierzyli w to, co mówił. Nad nimi pracował szczególne. Ze wszystkich sił starał się ich przekonać o wyższości ustroju, który przyszedł z nimi ze Wschodu. Taki oficer o każdej porze dnia i nocy mógł pracować i uświadamiać tych, którzy nie dowierzali, że nasz ustrój jest dobry, toteż chodził po domu, gdzie kwaterowaliśmy i pracował nad żołnierzami. Natknął się na Niemkę na korytarzu i zainteresował się nią.

- Co ona tu robi? - spytał.

- Nic nie robi – mówią żołnierze – matka ją sama przyprowadziła i poprosiła Janka o opiekę.

- A wy pewnie w kolejce do niej?

- Nie. My uważamy, że to dziewczyna naszego kolegi Janka i nie ruszamy jej.

Janek był na służbie, kiedy to się działo, więc polityczny zostawił mu kartkę, ze ma się natychmiast stawić z dziewczyną u niego. Janek poszedł po służbie, ale sam. Kapitan go zrugał i kazał przyprowadzić natychmiast tę Niemkę. Janek nie posłuchał i nie zaprowadził jej do kapitana. Poszedł natomiast do swego liniowego dowódcy. Ten wysłuchał i mówi:

- Przecież i tak wojsko karmi ludność cywilną, bo by pomarli z głodu, tak ich Hitler zaopatrzył. To nie ma różnicy, gdzie ona mieszka. W dodatku matka oddała ją pod twoją opiekę i nie widzę w tym nic złego. Wszyscy prawie tu mają Niemki. Albo mieszkają z żołnierzami, albo żołnierze noszą im jeść i żyją z nimi.

Ale polityczny był ważniejszy od kapitana liniowego. Żandarmi zabrali dziewczynę siłą. No i zrobiła się wielka draka, bo Janek z kolegami pobiegł odebrać dziewczynę. Wszyscy z bronią. Dziewczyna chyba opierała się kapitanowi, bo znaleźli ją pobitą i posiniaczoną. Zabrali ją do siebie.

Ten polityczny miał żołnierza Polaka jako pomoc, coś w rodzaju ordynansa, tylko że ten żołnierz musiał pisać na maszynie wszystko to, co kazał kapitan. Jak zabierali tę Niemkę, to żołnierz mówi, że go pogryzła i pokopała. „Całą gębę miał w plastrach" - śmiał się żołnierz.

Następnego dnia Janek i dwóch żołnierzy mieli nocną służbę. Szli środkiem ulicy, bo chodniki były pełne gruzu. Gdy przeszli bramę jednej ruiny, to padły z tej bramy dwa strzały. Janek upadł, a żołnierze pobiegli w bramę. Nikogo już tam nie było. Leżały tylko dwie łuski z krótkiej broni. Janek niestety zginął. Z początku była wersja, że to Niemcy strzelają z ukrycia.

Faktycznie miały miejsce takie wypadki, że młodzi chłopcy z Hitlerjugend, fanatycy Hitlera, strzelali do żołnierzy tak polskich, jak i radzieckich. Ale ci dwaj polscy żołnierze spotkali tego ordynansa. Spytali, jaką jego kapitan ma broń osobistą. Mieli te łuski po wypadku i pokazali temu żołnierzowi.

- Tak. On z tej amunicji strzelał – mówił żołnierz – Tego wieczora do północy go nie było. A jak usnął, to sprawdzałem jego broń. Nie było dwóch naboi w magazynku. Musiał się ukryć gdzie w gruzach, bo czyściłem mu mundur z brudu.

- To skurwysyn – mówił żołnierz – Zabił chłopaka, który całą wojnę przeżył, ale świadków na to nie ma.

I oficjalnie raportu napisać żołnierze nie mogli.

- Ja - mówił Wyszomirski – dobrze żyłem z tymi dwoma żołnierzami, którzy byli kolegami Janka. Gdy szliśmy rok później do cywila, to spytałem ich: „Sprzątnęliście tego Żyda polityka?". „A jak ty byś zrobił na naszym miejscu?" - spytali. „To samo, co wy" - odpowiedziałem – a co było z tą dziewczyną?". „Oddaliśmy ją matce, która przyszła po nią".

Po trzech tygodniach od kapitulacji gwałty ustały, bo sądy już działały. Owszem, robiło się to dalej, ale za zgodą kobiet.

- A pamiętasz Albin – pytał generał Wyszomirskiego – tego kierowcę, co w biegu wyskoczył i zostawił pułkownika w samochodzie? I o mało co pułkownik się nie zabił.

- Pewnie, że pamiętam. To był model, jak o nim mówili koledzy, godny, żeby o nim książkę napisać. Takiego ani przed nim, ani po nim już nie było. Wszystkie jego odznaczenia i awanse miały jedno źródło, tę samą motywację. On był człowiekiem bez dna. Zjadał takie ilości, że ciągle były awantury z kucharzem.

Nawet dowódca zainteresował się jego apetytem i skierował do lekarza. Ale lekarz stwierdził, że na jego apetyt nie ma lekarstwa. To zła przemiana materii i wymagało to leczenia w szpitalu przez co najmniej trzy miesiące. Wcale nie był tłusty i gruby. I ten ciągły głód nasuwał mu sposób na zdobywanie jedzenia.

Pochodził spod Poznania, a tam uczyli w szkole po niemiecku za jego dzieciństwa i młodości. Znal niemiecki jak rodowity Niemiec. Więc poszedł na stronę niemiecką za szpekiem, jak mówił. Miał spodnie i buty po zabitym Niemcu i je założył. Przeczołgał się na stronę Niemców, a tam wstał, szedł i szukał wszystkiego, co by nadawało się do jedzenia. Zauważył światełko z bunkra i postanowił zobaczyć co tam jest. A tam siedziało dwóch żołnierzy telefonistów z aparaturą łączności. Na stole stały konserwy i chleb, a na podłodze skrzynka z konserwami. Gdyby mu dali jedzenie, to na pewno nie byłoby draki. Ale oni mówią, że won stąd, bo zawołają żandarmerię. To on jednego bagnetem, a drugiego na podłogę i mówi mu, że jak piśnie choć jedno słowo, to dostanie też bagnetem. Zapytał, czy ma zamiar krzyczeć, a on mówi, że nie będzie krzyczał, tylko żeby go nie zabijać.

No to bierz na plecy tę skrzynkę z konserwami i idziemy na bal do kolegów. Ty się nie odzywaj, ja będę mówił, gdzie idziemy – rozkazał Kacper.

Mijali w okopach żołnierzy i tylko Kacper mówił głośno – „Przepuścić, idziemy z prowiantem do dowódcy". Ustępowali z drogi i tylko ostrzegali, żeby się nie wychylać, bo Polacy mają snajperów. Jak weszli już w krzaki, to Kacper mówi Niemcowi, że teraz ma się czołgać przed nim i skrzynkę ciągnąc po ziemi. Ale on wolał ją pchać przed sobą, co uratowało mu życie. Gdyby idąc na stronę niemiecką uprzedził swoich, że idzie i będzie wracał, to by nie strzelali. A oni wystrzelili rakietę oświetlającą i zobaczyli tego Niemca. Więc rąbnęli całą serią, tylko że trafili w konserwy. Kacprowi zrobiło się szkoda takiego jedzenia więc krzyknął: „Nie strzelajcie, to ja Kacper Szanajca". Usłyszeli, ale krzyczą, że widzą Niemca. „Pojmałem, go i prowadzę do nas". Wreszcie znalazł się u swoich. Niemca zabrali do sztabu, a Kacper wyciągnął kule z puszek i zjadł konserwy. Za Niemca dostał pochwałę w rozkazie. Następnym razem Kacper poszedł w niemieckich spodniach i koszuli i przyprowadził Niemca w mundurze i to oficera. Oddał go tylko w bieliźnie, bo powiedział, że munduru za nic nie odda. Znów pochwała w rozkazie. A był Kacper zawodowym kierowcą, tylko pułkownik go wyrzucił z tej funkcji. Otóż Kacper woził pułkownika i miał dobrze, bo gdzie nie zajechali, to Kacper się najadł. Przypadek sprawił, że stracił tę funkcję, gdyż przeląkł się zaskrońca. Postawił gazika pod stogiem zboża. Dopiero co chłopi skosili i zebrali żyto, stodoły były spalone, więc układano zboże w duże stogi. I na to zboże wchodziły zaskrońce, żeby się wygrzewać na słońcu.

Kacper postawił odkrytego gazika pod samym stogiem, zaskrońce wyczuły ciepło silnika i parę ich wpełzło do środka. Pułkownik chciał jechać do sztabu, więc Kacper podjechał pod dom, zabrał pułkownika i pojechał. W czasie jazdy Kacper poczuł, że mu coś łazi po nodze, ale nie mógł tego czegoś zegnać z nogi, bo na drodze szły kolumny wojska i trzeba było uważać, żeby nie potracić jakiegoś żołnierza. A pułkownik poganiał, bo mu się spieszyło. Poczuł, że mu to coś łazi po rozporku. I gdy spojrzał, to ryknął jak dziki zwierz i wyskoczył z gazika. A gazik przeleciał przez rów i uderzył w drzewo tak, że pułkownik wypadł jak piłka w pole.

Okazało się, że kilka zaskrońców pełzało pod siedzeniami, ale dla Kacpra były to jadowite żmije lub węże. Niemców się nie bał, a zaskrońce uznał za najgorsze

gady na świecie. No i pułkownik Kacpra przeniósł do piechoty. Kacper poza tym, że był ciągle głodny, był też najlepszym mechanikiem i ciągle przychodzili do niego kierowcy prosząc o pomoc. Gdy kucharz nie dał mu tyle jedzenia, ile Kacper chciał, to on wziął garnek, wlał w niego wodę i włożył kilka granatów. Garnek postawił na kuchni w domu, gdzie mieli kwaterę i podkładał ogień. Gospodyni pyta go:

- Co pan tam gotuje?"

A w mieszkaniu było z dziesięć osób, w tym połowa żołnierzy.

- Co gotuje? - powtórzył Kacper – Granaty na miękko.

Nikt nie wierzył, ale jeden z żołnierzy zajrzał i krzyknął

- Chłopaki chodu, bo zaraz wybuchnie.

No i wszyscy uciekli z chałupy.

Zawołano dowódcę, a ten z daleka krzyczy:

- Kacper wyjdź na podwórko.

Więc Kacper wyszedł

- Co tam gotujesz?

- Granaty, obywatelu kapitanie.

- Kacper wynieś ten garnek zaraz na dwór.

Więc Kacper wyniósł.

- Zasypać go ziemią! - rozkazał kapitan.

Garnek zasypali, ale minerzy powiedzieli, że od gotowania granaty by nie wybuchły.

- Kacper, czyś ty nie zwariował? - spytał kapitan.

- Nie obywatelu kapitanie, jestem tylko głodny.

Od tej pory kazano Kacprowi dawać drugie tyle co normalnie, ale i to było za mało.

Żołnierze przywieźli niemiecki motocykl z koszem i Kacper go doprowadził do funkcjonowania. Mundur oficera niemieckiego Kacper miał, więc się przebrał i pojechał w las. Nie było go pół dnia. Chłopaki mówią, że chyba Kacper wpadł. A Kacper jedzie i tylko z kosza wystają nogi Niemca. Wsadził go głową tam, gdzie powinny być nogi. Okazało się, że tym razem upolował oficera wysokiej rangi i otrzymał medal za ten wyczyn. Ale jak zapytano Kacpra jak go zagarnął, to trudno było uwierzyć w jego opowieść.

- Jechałem małym zagajnikiem, oczywiście po stronie frontu niemieckiego. Taka przecinka i leśna droga. Widzę, że wystaje z okopu lorneta nożycowa, więc zatrzymałem się i idę do tej lornety. A tam stoi przy tej lornecie ten co go przywiozłem i patrzy na naszą stronę. Obok niego czterech żołnierzy z telefonami. Mapa rozłożona przed nimi i coś na nią nanoszą. W ogóle mnie nie zauważyli, więc chrząknąłem, żeby zorientowali się, że obok stoję. Byli zaskoczeni i zapytali co ja tu robię. A na piersi miałem blachę na łańcuchu. To emblemat i znak żandarmerii.

- Szukam dwóch uciekinierów z naszej piechoty. Należy ich rozstrzelać za dezercję jeśli wpadną nam w ręce.

Zasalutowali mi, a oficer spytał:

- Nie strzelali do pana Polacy na tej drodze?

- Nie, bo tam ich nie ma, są w tamtym lesie – pokazałem oficerowi.

Wiem pan co mi powiedział oficer?

- Pojadę z panem tą drogą i pan mi pokaż gdzie są, bo szykujemy natarcie i chciałbym dokładnie znać sytuację.

- Weź pan te mapy i żołnierza, to pokażę panu ten las, gdzie stoją Polacy.

Oficer usiadł do kosza, a żołnierz na siodełko i pojechaliśmy tą przecinką. Jak już byliśmy w zagajniku, to odwróciłem się i rewolwerem rąbnąłem żołnierza, no bo z dwoma żywymi sobie nie poradzę. Ale oficer złapał za kaburę i wyciągnął swój rewolwer. Dostał w głowę na odlew i przewrócił się na kosz. Ponieważ ten odcinek musiałem ostro jechać, bałem się, że on mi wypadnie. Zatrzymałem się i usadziłem go głową w dół. Nawet Niemcy nie zorientowali się i nie strzelali. Ot i cała historia – zakończył Kacper.

W taki to sposób Kacper dostał dwie belki i następny medal. Przyszedł jednak dzień, ze Kacpra opuściło szczęście. Wyszykował się i mówi do żołnierzy:

- Będę wracał tą drogą przez las, albo na styku naszego wojska z radziecką piechotą. Podajcie po linii, żeby do mnie nie strzelali jak będę wracał.

Gdzie jeździł i co robił nie wiadomo, bo już tego nie opowiedział. Po czterech godzinach w zagajniku, gdzie była droga, którą miał wracać, wybuchła strzelanina. Niemieckie karabiny maszynowe i ręczna broń. Żołnierze bezbłędnie rozpoznali po strzałach każdy rodzaj broni. Zobaczyli Kacpra jak wyjechał z lasu, ale jechał nie do swoich, a do Niemców.

- Dlaczego on zawrócił i jedzie znów do Niemców? - zastanawiali się żołnierze.

Kacper wpadł do wioski na główną drogę i od czasu do czasu widać go było jak jechał między domami. Zawiadomiono dowódcę i ten zlecił obserwatorowi, schowanemu na drzewie, podpatrywać co tam się dzieje. Za chwilę, przez telefon, obserwator nadawał, że motocykl jeździ i szuka drogi na naszą stronę. Ale Niemcy chyba się zorientowali, że to nie żandarm, bo strzelają do Kacpra. Przejechał całą wieś, która zajmowali Niemcy i wyjechał na polną drogę w naszą stronę, ale naprzeciw niego byli Rosjanie, a nie Polacy. Tu właśnie był styk polskiej armii i radzieckiej. Ziemia bryzgała spod napędowego koła, motocykl z koszem wyskakiwał co chwila w górę na nierównościach. Kacper znalazł się już na ziemi niczyjej i była nadzieja, że ucieknie Niemcom żywy. Dojeżdżał już do radzieckiej piechoty, kiedy z okopu wyskoczył żołnierz i trzymając erkaem w ręku, krzyczał do Kacpra, żeby się zatrzymał, ale Kacper jechał dalej tylko ręką machnął. Żołnierz puścił długą serię. Kacper wyrzucił obie ręce do góry i upadł na motor. Motocykl wpadł do rowu i wywrócił się. Niemiec, którego pojmał Kacper przeżył dlatego, że leżał głową w dół. Kacper dostał serię po piersi i zginął na miejscu. Jak nasi żołnierze dobiegli do miejsca, gdzie leżał motor, Kacper już nie dawał żadnych znaków życia.

- No i co zrobiłeś zasrany kacapie! - krzyczał Polak do Rosjanina – To nasz człowiek, on bohater tak jak u was gieroje sawietskowo sajuza. On wziął oficera Niemca jako jeńca.

Zrobiła się wielka awantura, bo zlecieli się Polacy i Rosjanie. Zabieramy Kacpra na gazik i Niemca do niewoli, a oni mówią, że Niemiec należy do nich, bo go ujęli. Wystawili żołnierzy z bronią gotową do strzału i może być masakra. Nasi zaczęli przybywać i też broń skierowali na ruskich. Dopiero jak dojechał nasz kapitan gazikiem i za chwile dołączył do niego radziecki major, to uciszyli zwaśnione

strony.

- Przecież my jesteśmy sojusznikami i nie będziemy strzelać do siebie – krzyczał nasz kapitan.

- Jacy to sojusznicy jak zabili Polaka – krzyczał żołnierz.

Ale Kacper był w mundurze oficera niemieckiego i żołnierz radziecki miał obowiązek strzelać do niego skoro Kacper się nie zatrzymał. Wreszcie obie strony ucichły i żołnierze podali sobie ręce. Radziecki major powiedział:

- To wasza wina, że on zginął, bo gdybyście nas uprzedzili, że macie takiego co jeździ na niemiecką stronę i wraca, to na pewno byśmy nie strzelali. Zabezpieczylibyśmy mu powrót pokrywając ogniem niemieckie stanowiska, żeby nie mogli strzelać.

Tu aż się prosi powiedzieć: „Mądry Polak po szkodzie". Kacpra pochowaliśmy nie gdzieś w polu, ale w Kołobrzegu, na cmentarzu. I to ja, Siwak, sprawdziłem, będąc w sanatorium w Kołobrzegu.

Z Wyszomirskim, po spotkaniu u generała Obiedzińskiego, spotykałem się często. Mieszkał w Krotoszynie i był zakochany w tej okolicy. Polował i miał dużo różnej broni.

Po 1989 roku, kiedy władzę przejęła Solidarność, chcieli mu zabrać broń, a miał on z czasów wojny ponad dwadzieścia sztuk broni z tabliczkami wygrawerowanymi głoszącymi, że to prezenty od różnych generałów. Na początku transformacji ustrojowej przez parę lat lewica miała mocną pozycję dopóki nie sprowadzili ją na psy skorumpowani działacze i przywódcy. Udało mi się przy pomocy znajomych uchronić jego pamiątki z wojny, ale po paru latach, kiedy lewica straciła pozycję i lekceważono jej polityków Wyszomirski musiał wszystkim egzemplarzom broni poprzewiercać komory zamkowe, żeby nie można było z niej strzelać. Prawica woli być bezpieczna.

Wyszomirski w Warszawie miał biuro, gdyż był prezesem ceramików w Polsce. Żegnając się u generała Obiedzińskiego, powiedziałem, że z cmentarzem, a raczej z jedną mogiłą, mamy, jako Biuro Polityczne, pewien kłopot.

- Ciekawe jaki - spytali obaj.

- Ano taki, że w czasie wojny i bitwy o Kołobrzeg przelatywał wzdłuż linii brzegowej morza niemiecki lotnik. Pilot tego myśliwca zabrał z polowego lotniska kolegę pilota, gdyż jego samolot nie miał benzyny. Obaj chcieli uciec do swoich. Lecieli tuż nad wodą i tu dopadł ich radziecki myśliwiec. Zaczął dawać Niemcom znaki skrzydłami, żeby lecieli, jak on im pokazuje, na radzieckie lotnisko. Ale Niemiec nie posłuchał i uciekał dalej. Wtedy radziecki myśliwiec zaleciał ich od tyłu i zaczął strzelać. Niemcy spadli do morza i leżeli w tym wraku. Wreszcie nasze władze kazały wydobyć wrak, a ciała niemieckich żołnierzy pochowano na cmentarzu w Kołobrzegu.

Jeszcze za Polski Ludowej nasze władze wysłały pismo do władz NRD, żeby ekshumowały zwłoki swoich żołnierzy. I wiecie, co Niemcy odpisali? Że dezerterów nie ekshumują, bo są tego niegodni. I leżą tam do tej pory, bo oglądając grób Kacpra Szanajcy odnalazłem też grób Niemców. A zestrzelony myśliwiec niemiecki leży w Muzeum Wojska polskiego w Kołobrzegu i każdy może go obejrzeć.

Generał Obiedziński kiedy ściskał i żegnał się z Wyszomirskim spytał go:

- Co ja mogę teraz dla ciebie zrobić?

Wtedy Wyszomirski wyjął zdjęcie, na którym obaj stoją w szeregu ramię w ramię, a na piersiach im wiszą ruskie pepesze

- Chciałbym mieć taką pepeszę na pamiątkę – powiedział.

- Za tydzień przyjedź i dostaniesz ją z moich rąk z pamiątkową tabliczką.

- A wpuszczą mnie do ciebie? Bo do tej pory nie chcieli, musiałem Siwaka prosić, żeby mnie tu wprowadził.

- Teraz już cię wpuszczą.

Generał odprowadził nas aż na ulicę, czego nigdy nie robił.

Rozdział XVII

BRONEK

W 1988 roku, gdy pełniłem funkcję radcy ambasady w Trypolisie w Libii, niespodziewanie napisał do nas list Tony Halik. Pisał, że pragnąłby zobaczyć się z dwoma Polakami, którzy pracują na pograniczu Libii i Czadu, z którymi od kilku lat prowadzi korespondencję. Poznał ich w Polsce tuż po drugiej wojnie światowej. Przypomnę tu czytelnikom, że pan Tony Halik w czasie wojny był korespondentem wojennym i opisywał w angielskiej prasie przebieg wojny w Afryce. Pisał między innymi o działaniach Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich, która wchodziła w skład armii angielskiej dowodzonej przez generała Montgomery, późniejszego marszałka.

Ucieszyliśmy się w ambasadzie z takiej wizyty, gdyż Tony Halik to nieprzeciętny człowiek. Wcześniej sami pisaliśmy, żeby nas odwiedził i spotkał się z pracującymi w Libii Polakami. Mieliśmy duży i dobrze prowadzony dom kultury i Klub Polski. Zależało nam na wizycie takiego światowca. Ale pan Halik ciągle odpisywał, że nie starcza mu czasu i odmawiał. A tu nagle sam prosi o zgodę na przyjazd.

Problem był w tym, że pan Halik chciał odwiedzić tych Polaków w mieście Ozi, na samej granicy Czadu. Jakby nie jechać, to niemal trzy tysiące kilometrów w jedną stronę, czyli dwa dni jazdy. Na miejscu rozmowy też mogą zająć dwa dni. Czyli na cala podroż trzeba zarezerwować cały tydzień, a na to nie mógł sobie pozwolić ambasador Kudryka. Poza tym był to środek lata i tu, w Trypolisie, temperatury dochodziły do 50° C w cieniu. A na południu było jeszcze goręcej. Tego tusza Kudryki by nie wytrzymała. W sumie wyszło na to, że to ja powinienem zawieźć tam pana Halika. Byłem przygotowany do takich długich jazd, gdyż budowaliśmy na cmentarzu w Tobruku pomnik poległym w czasie wojny Polakom. I ja przewodniczyłem komitetowi budowy pomnika i samej budowie, więc jeździłem tam co dwa tygodnie, a to też dwa tysiące kilometrów w jedną stronę. Miałem wtedy mercedesa po generale Sawczuku, który był tu ambasadorem przed Kudryką. Dobra to była maszyna, mimo że jeździła już trzy lata i zgodnie z przepisami ambasadorowi już w niej jeździć nie było wolno. Ale radcę takie przepisy nie obowiązywały. Odebraliśmy pana Halika z lotniska. Przyleciał z panią Dzikowską, która z góry zapowiedziała, że absolutnie nie pojedzie gdzieś pod granicę z dzikim Czadem. Wybraliśmy się tylko we dwóch, bo ja kierowcy nie miałem, ponieważ tylko ambasador miał prawo do kierowcy. Dwa dni jazdy od świtu do zmierzchu, to dużo czasu. Uprzedzałem pana Halika, żeby nie dał mi usnąć, gdyż trasa jest pusta i tylko co parę godzin mija się inny samochód.

Monotonna jazda po pustyni usypia kierowców. Mieliśmy liczne przykłady tego, że Polacy zabijali się na takiej drodze. Świadczyły o tym kupki kamieni pozostawiane przy drodze, w miejscach ich śmierci. Był taki zwyczaj, że jadąc tą drogą brało się kilka kamieni z pobocza i kładło się je, na pamiątkę tych zabitych, w miejscach ich śmierci. Zdziwiony pan Halik pytał mnie, po co biorę do samochodu tyle kamieni.

Podczas jazdy zadawałem panu Halikowi pytania i wiele na tym skorzystałem.

- Mów pan – prosiłem – bo jak usnę, to będą musieli na naszą pamiątkę zwozić tu kamienie.

- Panie Halik, po co pan właściwie jedzie do tego Oz? Czego ważnego chce się pan dowiedzieć od tych dwóch Polaków? I kim oni są?

- To skomplikowana sprawa, panie Albinie. Ale ja postaram się opowiedzieć ją panu w prosty sposób.

Ci dwaj Polacy być może są nielicznymi żyjącymi, którym udało się ujść śmierci z rąk katów z obozu radzieckiego Miednoje czy Katynia. Sprawą zainteresowane są redakcje angielskie i amerykańskie. One zwróciły się do mnie z tej racji, że w czasie wojny byłem

ich korespondentem. Są zainteresowane, czy rzeczywiście jest to prawda i czy tacy ludzie jeszcze żyją. Bo że żyją świadkowie tych zbrodni, to oficjalnie wiadomo. Jest to zaledwie kilka osób.

Cała ta historia ma początek w Polsce, w mieście Kraśnik. Tam przed wojną obaj Polacy uczęszczali do gimnazjum i ukończyli je w 1937 roku. W tym gimnazjum więcej uczniów było pochodzenia żydowskiego niż polskiego, gdyż Kraśnik, jak i inne miasta na południu Polski, były często w większości żydowskie.

W tym gimnazjum trzy czwarte to byli uczniowie pochodzący z rodzin żydowskich. Mimo delegalizacji partii komunistycznej Żydzi potajemnie organizowali tę partię i robili zebrania. Wciągali w to Polaków i tych dwóch naszych zostało członkami partii.

Pracy nie było, więc młodzi ludzie słuchali, jakie to perspektywy otworzą się prze nimi, kiedy władzę przejmą w swoje ręce ludzie pracy. Tak zeszło im do wybuchu wojny. Czasami dorywczo łapali robotę na budowach, bo ich koledzy, Żydzi, byli zatrudniani przez swych rodziców w handlu. Kiedy Niemcy zaczęli zajmować Polskę, to głośno się zrobiło, że najpierw zamykali i likwidowali Żydów i komunistów. Więc pięciu kolegów z tego liceum, Żydów, doszło do wniosku, że należy uciekać za Bug, do komunistów radzieckich. W tym czasie Armia Czerwona zajęła wschodnie tereny Polski na podstawie traktatu Ribbentrop- Mołotow. Uciekło ich w nocy przez Bug siedmiu. Dwóch Polaków i pięciu Żydów. Zaraz po przepłynięciu rzeki zostali złapani przez czerwonoarmistów, ale o to im właśnie chodziło. Uciekli, jak przypuszczali, do swych partyjnych towarzyszy, gdzie nic złego ich spotkać nie może. Trzymano ich parę dni w baraku, z którego wartownicy nie pozwalali im wyjść. W tych dniach Niemcy doszli do Bugu i tym samym zajęta została cała Polska.

Na pierwszym przesłuchaniu NKWD oddzieliło Polaków od Żydów i następnego dnia oni, Żydzi, byli już umundurowani i uzbrojeni jako funkcjonariusze bezpieki. Na prośby Polaków nie zareagowali.

W czasie przesłuchania oglądano im ręce, które według nich świadczyły, że nie są ludźmi pracy, a inteligencją, czyli panami. Zaczęła się segregacja i wywożenie do Miednoje i Katynia. Obu Polaków zakwalifikowano do inteligencji i mieli też być wywiezieni do Katynia.

Często widzieli jak ich koledzy, Żydzi, pełnili już służbę jako funkcjonariusze NKWD, jak kolbami bili Polaków podczas apeli lub wywózki.

Wśród tych pięciu Żydów był jeden, który chodził z siostrą jednego z uwięzionych Polaków. Starał się po kryjomu dawać im chleb i nie bił Polaków, a nawet nie pozwalał na to innym. Jednego razu razem z chlebem podał karteczkę, na której napisał: „Uciekajcie do Polski". Tu czeka was śmierć. Jak was wywiozą, to już nie uciekniecie".

W tej sytuacji postanowili uciekać w nocy. Udało im się wyjść z obozu i nikt ich nie zauważył. Kilka dni szli w kierunku Polski, unikali dróg i otwartych przestrzeni.

Już byli pewni, że im się udało, gdy usłyszeli szczekanie psów i zauważyli, że za nimi biegną żołnierze. Okazało się, że tą pościgową grupa dowodził ich kolega Adam. Gdy zbliżył się do nich, uderzył ich kolbą karabinu tak mocno, że dość długo nie mogli się podnieść. Ale to była dopiero zapowiedź tego, co miało nastąpić. Wrzucili ich do samochodu ciężarowego, w obozie zaczęli się nad nimi znęcać. Byli tak pobici, iż obaj już myśleli, że to koniec. Po tygodniu leżenia na podłodze przyszli po nich i związali im ręce drutem. Zaczęli ich prowadzić do czterech samochodów ciężarowych i kazali do nich wchodzić. Grupą żołnierzy kierował ten kolega, który wcześniej przekazał im kartkę z ostrzeniem. Krzyczał, wydawał rozkazy, czasami uderzał kogoś idącego zbyt wolno. I gdy przyszła na nich kolej by wychodzić do samochodu, to wyciągnął z kieszeni jakiś papier i krzyknął : „Stać! Tych dwóch miało być przesłuchanych. Z powrotem do baraków, szybko!".

Popędzono ich znów do baraków, a wszyscy inni odjechali. Wieczorem przyszedł z żołnierzami i mówi, że ci dwaj są potrzebni na stacji kolejowej do rozładunku pociągu

towarowego. W nocy wsadzili ich do samochodu, na którym byli już polscy żołnierze wzięci do niewoli radzieckiej. Po dwóch godzinach jazdy podjechali pod towarowy pociąg, z którego rozładowywano skrzynie z pociskami do czołgów. Żyd oddał Polaków do pracy pilnującym żołnierzom, a znaną sobie dwójkę zabrał do innej roboty. Zaprowadził ich na koniec pociągu, gdzie stały puste wagony czekające na odjazd w głąb Rosji.

- Włazić w tę słomę -powiedział – Do Polski już wam się nie uda uciec. Za dużo stoi wojska na granicy. Żeby ratować życie uciekajcie w głąb Rosji. Te wagony jadą po sprzęt wojskowy daleko za Moskwę. Musicie sami sobie poradzić, kiedy opuścicie ten pociąg.

Wyjął z raportówki chleb ze słoniną i dał im na drogę. Nie podał ręki na pożegnanie, tylko odwrócił się i odszedł.

Jechali trzy doby. Gdyby nie chleb i słonina, umarliby z głodu. Czwartego dnia pociąg wjechał na rampę fabryczną i stanął. Zaczęto otwierać drzwi i ładować skrzynie do wagonów. Stąd uciec nie było można. Wszystko ogrodzone murem, a na wieżyczkach stali wartownicy. Nie było czasu na myślenie, bo ich wagon był następnym w kolejce do załadunku. Postanowili się ujawnić i powiedzieć, że usnęli na słomie po rozładunku, a kiedy się obudzili, to pociąg już jechał. Wyszli z wagonu, ale nikt nie zwracał na nich uwagi i nie pytał kim są i co tu robią. Szli po rampie obok wagonów i gdy mijali kolejny wagon, to wojskowy krzyknął na nich, żeby się wzięli za robotę i pokazał skrzynie, które mają wnosić i układać w wagonie. Załadowali wagon i przyznali się, że są Polakami, ale z terenu, który zajął Związek Radziecki. Wytłumaczyli, że byli zatrudnieni przy rozładunkach i po pracy, zmęczeni usnęli w wagonie. Żołnierz zaprowadził ich do dowódcy, któremu powtórzyli to samo.

- Chcemy wrócić tym pociągiem do swoich i do pracy – podkreślali.

Ale dowódca widział to inaczej

- Tam oni znajdą ludzi do rozładunku. A my tu nie mamy. Zostaniecie tutaj - zadecydował – U nas chłopów zabrano do wojska i nie ma komu ciężarów dźwigać. Dobrze, że przyjechaliście.

Odbyło się bez bólu. Nie przesłuchiwali i nie chcieli papierów. Chcieli tylko, żeby pracowali. No i zostali w tej fabryce. Nawet nie wiedzieli, gdzie dokładnie są. Dano im ubranie i jedzenie z kuchni fabrycznej. Nie pozwalano im wyjść za mury, ale pozwolono im żyć.

Gdy Niemcy napadli na Związek Radziecki, do wojska zabrano większość mężczyzn. Wtedy skierowano ich w tej samej fabryce do produkcji amunicji ciężkiej. Po napisach na skrzyniach i na wagonach zorientowali się, gdzie są. Okazało się, że znajdują się w Kazaniu nad Wołgą. Wkrótce zaczęto tu zwozić ludzi z różnych republik radzieckich. Trafili się też Polacy z terenów wschodnich Polski. Fabryki rozbudowywano dzień i noc, za każdym razem zwiększając produkcję broni i amunicji. Jednego dnia pociąg, którym wysyłano amunicję na front nie wrócił pusty. Był pełen ludzi i to Polaków.

- Moi Polacy – opowiadał Halik – od tej pory mieli rodaków wokół siebie i w takiej grupie było im lżej żyć i pracować.

Polacy żyli w barakach zbudowanych tu specjalnie dla przywiezionych ludzi do pracy. Jakimś cudem ludzie ci zdobyli radio. Ale nie dawało ono nadziei, że coś się zmieni na lepsze. Każdego dnia komunikaty donosiły, że Niemcy posuwają się w głąb Związku Radzieckiego. Przyszedł czas, że Niemcy byli blisko Moskwy. Żywności coraz mniej. Ludzie pracują po 10 godzin na dobę. Nawet dzieci piętnastoletnie, tak polskie, jaki i rosyjskie pracowały przy maszynach. Któregoś dnia Polacy wrócili po pracy do baraku, a tu radość. Armia Czerwona odrzuciła wojska niemieckie od Moskwy na sto dwadzieścia kilometrów. Nareszcie się nie cofają, krzyczeli ludzie.

- A my i tak jesteśmy w niewoli - mówili Polacy

Ktoś usłyszał, że formuje się wojsko polskie w Związku Radzieckim i Polacy będą mogli do niego wstąpić. Ale gdzie, tego już nie usłyszeli.

Kazań to było duże miasto wtedy przepełnione uciekinierami z terenów zajętych przez Niemców. Polacy zaczęli prosić Rosjan, żeby spytali się czy w Kazaniu nie ma punktów poboru do tego polskiego wojska. Okazało się, że taki urząd poborowy działa w Kazaniu. Ale terenu fabryki Polacy nie mogli opuścić. Duża grupa Polaków napisała list do biura poborowego i jedna z kobiet rosyjskich zaniosła go do tego biura. Za parę dni w fabryce zjawili się oficerowie polski i radziecki. Oświadczyli, że zdrowi mężczyźni będą mogli wstąpić do tego wojska. Ale najpierw Rosjanie przywiozą tu ludzi do pracy, żeby produkcja amunicji nie zmniejszyła się. Teraz zaczął się okres oczekiwania na tych, którzy mają zastąpić Polaków w pracy i na możliwość wstąpienia do tego upragnionego polskiego wojska.

I w tych właśnie dniach, jak zwykle, wrócił z frontu pociąg. Był pełen ludzi do pracy. Byli to Polacy i Litwini. Wszyscy z dawnej Polski – tak mówili o sobie. Pociąg ten, nadzorowany przez żołnierzy NKWD, wyładowywano na jednej z bocznic obok fabryki i dwaj, znani nam już Polacy, poszli popatrzeć na tych ludzi. Ku ich zdumieniu naprzeciw im idzie Żyd, który uratował ich w obozie i dał żywność na drogę. Ale teraz to już jest towarzysz kapitan. Przywitał się z Polakami i pyta, jak żyją.

- Ciężko jest, ale trzeba żyć - odpowiadają Polacy – idziemy do polskiego wojska – pochwalili się.

I to go bardzo zainteresowało

- A kiedy idziecie i jakie to wojsko?

- Kiedy, to nie wiemy, ale już niedługo.

- Ale jakie to wojsko?

- Polskie, to najważniejsze dla nas.

Wieczorem przyszedł do nich i znowu pyta o polskie wojsko.

- Co on kombinuje? - myśleli obaj Polacy i zaczęli się obawiać, że może się stać coś złego - No, ale przecież uratował nas - dodawali sobie otuchy.

- On chyba kochał się w twojej siostrze i dlatego to dla nas zrobił – mówił jeden z nich.

Wieczorem Bronek, bo tak miał na imię Żyd, mówi do Polaków:

- Chodźcie na powietrze pogadać.

Wyszli we trzech w nocy na ulicę między barakami.

- Ja, chłopaki, chcę iść razem z wami do wojska polskiego. Mogę wyjść z terenu fabryki na miasto i dowiem się, czy przyjmują już Polaków do wojska – wyznał im .

- Czyś ty Bronek zgłupiał? Pójdziesz w mundurze kapitana NKWD i mają cię przyjąć do wojska polskiego?

- O nie. Ja pójdę po cywilnemu. A wrócę tu w mundurze, bo inaczej mnie tu nie wpuszczą.

Następnego dnia tak zrobił. I rzeczywiście wrócił w mundurze. Zaraz też przyszedł do baraku i wyszli na ulicę pogadać

- Możemy jutro iść i przyjmą nas. Ja załatwię papier, że fabryka ma zastępstwo za was i wszystko będzie zgodne z prawem.

- A ty jakie papiery będziesz miał?

- Ja mam dokumenty Polaka, który zginął w obozie. Wy poświadczycie, że mnie znacie i wszystko będzie w porządku.

Tak też zrobili. W urzędzie sprawdzali ich żołnierze radzieccy. Polacy, którzy dokonywali poboru, niewiele mieli do powiedzenia. Wszystko odbyło się tak, jak Bronek przewidział.

Dostali zaświadczenia i już wieczorem byli w pociągu do Kujbyszewa nad Wołgą. Tu w Kujbyszewie formowała się duża polska jednostka. Umówili się, że są Polakami z Kraśnika po gimnazjum. Papierów nikt poza Bronkiem nie miał. A i te Bronek wyrzucił z

okna pociągu. Prosił tylko, żeby nie mówili, że służył w NKWD, bo go wyrzucą.

Tu w Kujbyszewie musieli złożyć oświadczenie na piśmie o stanie wykształcenia i miejscu zamieszkania w Polsce. Zostali wcieleni do piechoty jako podoficerowie. I po miesiącu zapadła decyzja, że wyjeżdżają ze Związku Radzieckiego do Iranu. Na Bliskim Wschodzie sformowano II Korpus, do którego cała ich trójka została wcielona. Brali udział w walkach o Monte Cassino, Ankonę i Bolonię. Po zakończeniu wojny znaleźli się we Francji. Zaczęli studiować i obaj Polacy ożenili się z Francuzkami. A Bronek wrócił do Polski i zaraz go zamknęli.

- I teraz uważnie mnie pan słuchaj, panie Albinie – mówił Tony Halik – Jak Bronka zamknęli, to okazało się, że dwaj jego towarzysze z Kraśnika, a później z NKWD, to dwaj bracia Humerowie, dobrze znani z działalności w MSW. Starszy, po wojnie, był osobistym lekarzem Bieruta, a młodszy, Adam, dyrektorem departa-mentu w MSW.

Ten osobisty lekarz podobno podał truciznę Bierutowi w Moskwie i Bierut wrócił w trumnie. Ale jeszcze było dwóch poza tymi braćmi Humerami. I oni też pracowali w polskim MSW. No i zakochany w Polce Bronek wpadł w ręce swoich rodaków. Ale krzywdy mu nie zrobili. Postanowili go wykorzystać. Zrobili z Bronka szpiega i wypuścili go z Polką do Francji. A tam Bronek zaraz zgłosił się do władz i ujawniając się poprosił o ochronę.

Od siebie dodam, że Adam Humer przypomniał się polskiemu społeczeństwu w latach 1998 – 2001, kiedy polski sąd wymierzył mu karę wieloletniego więzienia za znęcanie się nad akowcami, ale i członkami PZPR, którzy wpadli w jego łapy. Miał 84 lata kiedy otrzymał wyrok, a potem zmarł w więzieniu.

Obaj Polacy, którzy ożenili się z Francuzkami, skończyli studia i zostali inżynierami w przemyśle cementowym. A Bronek skończył kartografię i geodezję.

- Wiem, że obaj Polacy są w tym libijskim mieście na pograniczu z Czadem, czyli w Ozi – skończył opowieść Halik.

- Chcę zakończyć wywiad sprzed lat, kiedy to obaj Polacy byli w Polsce na francuskich paszportach i polska władza nie mogła ich zamknąć. A są niewyjaśnione problemy, które zna Bronek i jeśli zechce, to może mi powie.

- Ale przecież tego Bronka tam nie ma – przerwałem Halikowi – musiałby go pan szukać we Francji.

- Tak. to prawda, panie Albinie. Ale ja czuję, że on nie jest właśnie we Francji, ale w Libii.

- Panie Halik, co pan mówi? Libijczycy Żyda by zagryźli.

- A skąd mogą wiedzieć, że Bronek to Żyd? On od czasu wstąpienia do polskiego wojska ma czysto polskie nazwisko. A twarz ma niepodobną do Żyda.

Dość długo po tej rozmowie jechaliśmy w milczeniu.

- Panie Albinie, a nie usypia pan czasem? - spytał mnie Halik.

- Nie, nie usypiam, tylko myślę, że muszą być jakieś ważne sprawy, które sprawiły, że pan zdecydował się jechać tak daleko, żeby coś wyjaśnić.

- Ma pan rację – odpowiedział – to są bardzo ważne sprawy i wymagają wyjaśnienia.

Przespaliśmy całą noc w tym czymś, co tu nazywają hotelem. U nas byłby to nędzny, letni domek na działce, ale u nich to hotel z personelem i dyrektorem. Następnego dnia przejechaliśmy prawie tysiąc kilometrów. Drogi luksusowe i puste. Żadnych ograniczeń prędkości, jedynie czasami stado wielbłądów wygrzewało się na czarnym asfalcie, jakby im było mało tych 60^{0}C w powietrzu. Pod wieczór wjechaliśmy do miasta, które znajdowało się na zboczu gór. Uliczki stare i wąskie. Niektóre tak wąskie, że samochód nie mógł nimi przejechać.

Zrobiliśmy na samym początku błąd. Zaczęliśmy pytać o dwóch inżynierów Polaków. A Bulanda? Bulanda mafisz la – czyli „A Polacy, Polaków tu nie ma”.

- Cholera, panie Albinie, przecież oni nie są tu Polakami, a Francuzami – połapał się Halik.

I wtedy dopiero wskazali na domek, gdzie obaj inżynierowie mieszkali. Halika poznali od razu, gdyż jak mówili, oglądali filmy, jakie nakręcił po całym świecie i były one często we Francji pokazywane. Ale z mojej obecności nie byli zbyt zadowoleni. Rozpoznali mnie i nie chcieli się nawet przywitać.

- Panu załatwimy inne mieszkanie, nie chcemy być pod jednym dachem z panem.

Cóż było robić, musiałem zgodzić się na taką propozycję. Ale pan Halik się nie zgodził i zagroził, że wobec tego i on idzie do tego nowego mieszkania. Słysząc to, zmienili zdanie i zgodzili się bym został z nimi.

- Ale rozmowy będziemy prowadzić bez pana Siwaka – zaznaczyli obaj – Pan Siwak jest przedstawicielem tej władzy, która strzelała do naszych kolegów w Katyniu. Po wojnie ta władza mordowała Polaków i sądziła skazując ich na długie lata więzienia. Niech zostanie, skoro pan, panie Halik, nalega. Ale rozmawiać z nim nie będziemy. Przy nim nie powiemy panu tego, czego chce pan się od nas dowiedzieć.

Zdecydowałem więc sam, że lepiej będzie jak wyprowadzę się do innego mieszkania, a rozmowy niech Halik sam z nimi prowadzi.

- Panowie, macie rację, ja nie chcę być przy rozmowie i nie chcę z wami mieszkać, skoro o mnie macie takie zdanie – powiedziałem – proszę pokażcie mi ten domek czy pokój, gdzie mam mieszkać, bo myślę, że spędzę tam tylko jedną noc.

Stało się jednak inaczej. Ktoś zapukał do drzwi, a następnie weszła blada kobieta z dwojgiem dzieci i mężczyzną. Halik stał jak słup soli i patrzył na tego mężczyznę

- Przecież to Bronek – powiedział głośno.

- Tak, to ja – odparł ten człowiek – a to moja żona i dzieci.

- Czemu się pan tak dziwi? - zwróciłem się do Halika – Przecież po drodze mówił pan, że Bronek na pewno jest tutaj.

- Tak, mówiłem, ale sam w to nie wierzyłem.

Nastąpiło przywitanie i żona Bronka nowi do mnie.

- Pana to znam z telewizji, bo do Polski jeżdżę. Była u pana, w KC, moja siostra w sprawie mieszkania i bardzo pana chwaliła za uczciwość i pomoc. Ale ludzie w Polsce mówią, że naraził się pan Żydom i wygnali pana na taką placówkę, że sam pan nie może wrócić do Polski bez ich zgody

Nie pytając się gospodarzy poszła do kuchni i zaczęła przygotowywać coś do zjedzenia.

- Oni tu – mówiła głośno, żebyśmy w pokoju słyszeli – żyją jak wilki. Żony i dzieci mają w Paryżu, a sami zgarniają dolary. Pomagam im trochę na tyle, na ile mogę, bo przecież mam rodzinę i obowiązki. Zależy mi też, by nasze dzieci z nami rozmawiały po polsku i uczyły się języka polskiego.

Przyniosła kanapki i herbatę. Widząc, że ja nie jem i nie piję, spytała dlaczego. Mówię więc, że obaj panowie nawet nie podali mi ręki na powitanie i nie chcą przebywać ze mną pod jednym dachem. Podobno odpowiadam za mordowanie Polaków w Katyniu i w Polsce, po wojnie.

- Panie – zapytała mnie – a ile ma pan lat?

- Skończyłem pięćdziesiąt.

- To ile miał pan w czasie wojny?

- Dziewięć, jedenaście – odpowiedziałem jej.

- To jak pan mógł mordować tych w Katyniu?

- Niech pani się spyta swoich przyjaciół, oni to podobno wiedzą.

- Panie, ja nie muszę ich pytać. Bronek tam był ze swoimi rodakami i widział, kto strzelał w tył głowy Polakom. Wy, panowie, mówicie głupstwa. Ten pan ma opinię

wystawioną przez Żydów i ich przyjaciół. Ja to wiem, bo moja rodzina dobrze obserwowała działalność pana Siwaka.

- Skoro już mówimy na ten temat – przerwał jej Halik - to ja też swoje wiem. Pisałem dwa artykuły o panu Siwaku do gazet. Jeden, kiedy jeszcze nie był w partii, a był już znanym działaczem w związkach zawodowych i brygadzistą na budowie. I drugi, kiedy już był członkiem Biura Politycznego. I tego drugiego artykułu cenzura mi nie pościła, gdyż pan Siwak mówił, że awansuje się ludzi w Polsce nie za wiedzę i kompetencję, a za narodowość. Jako dowód na to przedstawiał fakty ostatnich nominacji na generałów i ambasadorów. Wyobraźcie sobie jaką wściekłość wywołał w Polsce, ale i na świecie, kiedy generał Jaruzelski był w Anglii i w Ameryce tuż przed X zjazdem partii w Polsce i robił tam wszystko, żeby zyskać dobrą opinię o sobie i o Polsce.

Wtedy Żydzi bez skrupułów postawili mu warunek: takich ludzi jak Siwak nie może mieć pan wokół siebie. Już tam w Stanach ustalono, że nie może zostać w Biurze w następnej kadencji, jeśli Jaruzelski chce, żeby Żydzi byli inaczej ustosunkowani do Polski. Ja przecież obsługiwałem tę wizytę, ale napisać o tym nie mogłem. Tak właśnie walczy się z ludźmi, którzy stoją na drodze żydowskim życzeniom i wysiłkom do opanowania całej władzy w Polsce.

Przyjechałem tu, gdyż liczyłem na szczere rozmowy i nie widzę powodu bym coś ukrywał przed panem Siwakiem. Ale jeśli stawiacie sprawę tak, że przy nim nie będziecie mówić, to traktuję tę wizytę jako pomyłkę i co najwyżej wyprawę turystyczną, bo mogłem po drodze oglądać piękne tereny i porobić zdjęcia.

Dołożył też swoje zdanie Bronek.

- Ja wiem, że jak moi rodacy, Żydzi, kogoś tak napiętnują, to oni takiego człowieka się boją. A boją się ujawnienia prawdy o swojej działalności i mają się czego bać. Zrobią wszystko, żeby zniszczyć rożnymi sposobami takiego człowieka. Dla mnie to dziwne, że moi dobrzy przyjaciele, z którymi przecież tyle przeżyłem, obrzucają błotem ludzi, których Żydzi niszczą. A rozsądek i instynkt samozachowawczy nakazuje bronić takich ludzi jak pan Siwak.

- No, ale sam widziałeś jak w Paryżu, w telewizji, jak pan Siwak i Kiszczak dekorowali wysokimi odznaczeniami państwowymi Adama Humera i trzech twoich rodaków. A wiesz sam, co oni robili Polakom w Katyniu – zaprotestował jeden z gospodarzy domu.

- A co miał robić, skoro pełnił funkcję członka Biura i kazano mu to robić? Nie byłby pan Siwak, to byłby ktoś inny - zauważył pan Halik.

Ponieważ dalej nie jadłem i nie piłem, to kobieta zaproponowała, żebym poszedł z nią do jej domu, gdzie mnie nakarmi i napoi.

- Siostra ucieszy się, jak jej napiszę, że podziękowałam panu za jej sprawę – powiedziała.

W tym momencie obaj polscy gospodarze domu wstali, podeszli do mnie i powiedzieli:

- Panie Siwak, człowiek jest tylko człowiekiem i robi głupstwa. My obaj, wygląda na to, zrobiliśmy właśnie takie głupstwo, ale to dlatego, że władzy, którą pan reprezentuje, nienawidzimy za krzywdy wyrządzone Polakom.

Ale tu pan Bronek przerwał.

- Znów nie macie racji. Gdybyście dobrze wiedzieli, kto w Polsce naprawdę ma władzę w rękach i rządzi, to tak byście nie mówili. Oczywiście, że i Polaków do tej władzy poszło dużo dla kariery i lepszego życia. Ale trzon stanowili Żydzi i oni kształtowali politykę. Przy każdej władzy znajdą się zdrajcy i dobrze ludzie. Jak ja pomyślę, że w Łodzi Niemcy w getcie dali władzę Żydom i przypominam sobie, co ci Żydzi robili, żeby lepiej żyć od tych w getcie, to mnie krew zalewa. Oni byli gorsi od esesmanów! A ci, którzy ocaleli z tej żydowskiej policji, byli później w polskim MSW, zamiast wisieć za swe zbrodnie.

Nie mogłem dalej trwać w uporze i gniewać się na gospodarzy. Oni zrobili pierwszy krok i przeprosili mnie. Pan Bronek im chyba wszystko wyjaśnił, a oni my wierzyli i ufali.

Spaliśmy razem z Halikiem w jednym pokoju i nie omieszkałem mu podziękować za jego obronę mojej osoby.

- Panie Albinie, ten Bronek dobrze i mądrze wyjaśnił sytuację w Polsce i pana rolę w życiu politycznym oraz sposoby, jakimi walczą z takimi jak pan jego rodacy.

- Nie mogę wprost uwierzyć, panie Halik, że ten Bronek odciął się od tego, co robili jego koledzy Żydzi w NKWD. Trudno uwierzyć, że tak się narażał, żeby pomoc kolegom Polakom.

- Panie Albinie, jak Pan Bóg chce kogoś uratować, to da mu Anioła Stróża. Bronek był właśnie takim dobrym aniołem, który wyprowadził obu Polaków z sytuacji, jak pan wie, strasznej i bez wyjścia. Ale to niezmiernie rzadki przypadek. Właściwie to pierwszy przypadek, jaki znam, żeby Żyd odciął się od swych rodaków i wybrał drogę prawdy. A pan, panie Albinie, zna podobne zdarzenia?

- Jeśli idzie o Żydów, to nie znam. Bo w innych nacjach znam i to sporo.

- A więc tym bardziej taki fakt jest godny odnotowania – zauważył pan Halik.

Następnego dnia była dżuma, czyli święto i ludzie nie pracowali. Pan Halik zaproponował, żebym z nim poszedł do Bronka. Mieszkali blisko w jednopiętrowym wynajętym domku. Ich dom otoczony był wysokim murem. Szczelna żelazna brama i furtka. Gospodyni, wyraźnie ucieszona z naszej wizyty, szybko nakryła stół i zaprosiła nas do jedzenia.

- Panowie- prosiła – pijcie dużo, bo tak trzeba. Tu organizm oddaje wodę w postaci potu i nie można dopuścić do odwodnienia.

Po zjedzeni pan Bronek zaprowadził nas do źródełka, z którego brano wodę do picia i znalazł blisko wody powalony pień palmy.

- O tu sobie posiedzimy – zaproponował.

- Panie Bronku! Gdzie i kiedy stwierdził pan, że pana koledzy Żydzi robią źle i trzeba się od nich odwrócić.

Wie pan, to nasunęło mi się zaraz po przepłynięciu Bugu, gdy trafiliśmy w ręce czerwonoarmistów. W NKWD byli przeważnie Żydzi.

- Kiedy zorientowali się, że jesteśmy Żydami, to zaproponowali nam służbę w tej formacji. Zgodziliśmy się całą piątką. Polaków zabrali do obozu, a nas umundurowali i uzbroili. Z racji wykształcenia zrobili z nas nawet dowódców oddziałów. Ja pełniłem służbę w obozie, w którym byli polscy żołnierze i mężczyźni z tego terenu. Ale obozów było tam więcej

Moi koledzy wywozili Polaków do Katynia i innych obozów. Opowiadali mi, jak biją polskich panów i oficerów. Mówili, że z tych obozów nie będzie już powrotu. Dlatego uprzedziłem obu Polaków, kolegów ze szkoły.

Wiedziałem, że Humerowie i dwaj pozostali robili to z satysfakcją. Cieszyli się, że mogą bić i znęcać się nad Polakami. Wiedziałem, że złapali obu Polaków i ich zbili. Przecież moja żona jest siostrą jednego z nich. Postanowiłem im pomóc i dlatego zaprowadziłem ich do pociągu, który przywoził amunicję z Kazania. W raporcie napisałem, że uciekli przez rzekę i ich zastrzeliłem. Powinny być ciała, więc wymyśliłem, że woda zabrała ich po śmierci. No a później dwa razy jeździłem do Kazania. W jedną stronę zwoziliśmy ludzi do pracy, a w drugą wieźliśmy amunicję. Tam, w Kazaniu, okazało się, że obaj Polacy żyją. Więc kiedy nadarzyła się okazja, by dołączyć do tego polskiego wojska, to pomogłem im i sam też z nimi wciekłem. Po wojnie skończyliśmy studia we Francji.

Ponieważ ja się balem, że moi rodacy zabiją mnie za zdradę, to wyjechałem do obu kolegów, którzy tu kierują produkcją cementu. Wszyscy mamy paszporty francuskie i polskiej władzy się nie obawiamy, bo chroni nas francuskie prawo. Ja mam tu dobrą pracę jako geograf i kartograf. Zarabiam dobrze. Do Polski nie wrócę, chociażby się ustrój zmienił. Moi rodacy bez względu, kto będzie rządził, będą przy władzy. I nie darują zdrady interesów. Nasza rozmowę przerwał syn pana Bronka:

- Chodźcie do domu , bo pieczemy pół barana i trzeba go zjeść.

Mięso z barana w ogóle nie pachniało baraniną, a to wskutek tego, ze przed zabiciem karmiono go specjalną paszą i to pieczenie w beczce wkopanej w ziemi tez zrobiło swoje. Po dobrym posiłku pana Halik powiedział do gospodarzy:

- Chodźmy do domu, żeby pogadać

- Ja zostanę na powietrzu – zaproponowałem – pójdę obejrzeć miasto, a wy rozmawiajcie.

Upierali się, żeby iść całą trójką, ale widząc, że nie ustąpię, poszli do domu.

Miasto oglądałem ponad cztery godziny. Następnie poszedłem do domu pana Bronka i tam siedziałem ponad dwie godziny. Żona pana Bronka była niezwykle miłą kobietą. Opowiedziała mi, jak już przed wojną zakochała się w Bronku i jakie miała w rodzinie z tego powodu kłopoty. Czekała całą wojnę na niego, nie mając pewności, czy on żyje. A jeśli żyje, czy do niej wróci. Ale on zaraz po wojnie wrócił i oświadczył się jej. Rodzice przepędzili go z domu i musieli ślub cywilny brać po cichu, żeby rodzice się o nim nie dowiedzieli. Zaraz po ślubie Bronka aresztowali, ale za dwa tygodnie wypuścili i nawet dali paszport na wyjazd do Francji.

- Nie wiedziałem, że podpisał zgodę na służbę w wywiadzie. Dopiero w Paryżu mi o tym powiedział. Ujawnił się władzom francuskim, ale ciągle się obawiał o mnie i o siebie. Bał się, że mogą przyjechać i zabić nas. Dlatego po skończeniu studiów załatwił sobie wyjazd do kolegów, którzy tu w Libii kierowali produkcją cementu. Ma dobrze płatną pracę. Dzieci chodzą do arabskiej szkoły i dobrze opanowały język arabski. Mamy tu szczególne prawa, gdyż rząd francuski ma umowę z ONZ. Ta międzynarodowa organizacja buduje tu przemysł i uczy miejscową ludność produkcji. Brat i jego kolega nie tylko nadzorują produkcję cementu, ale też uczą ludzi pracy w tym przemyśle. Wszyscy posiadamy po dwa paszporty. Jeden francuski, a drugi oenzetowski. Ale za Polską tęsknię. Za rodziną też – dodała.

- Niech pan powie, czy moje dzieci bardzo kaleczą język polski? Ja, jako matka, być może nie widzę tych błędów

- Myślę, że nie kaleczą. Nawet zdziwiłem się, że tak ładnie i czysto mówią po polsku.

- A bo widzi pan, ja ich gonię do czytania polskiej literatury. Proszę, pan popatrzy, ile mamy polskich książek.

Otworzyła drzwi do pokoju i pokazała mi rzeczywiście duży zbiór książek

- Czytają i piszą po francusku i po arabsku – chwaliła dzieci.

Dzień przeleciał szybko i po kolacji wyszliśmy oglądać niebo. Tu gwiazdy wyglądają całkiem inaczej niż u nas. Zdawałoby się, że można po nie sięgnąć ręką. To dzięki niesłychanie czystemu powietrzu. Cementownie są daleko za miastem i to jedyny przemysł, jaki tu występuje. Następnego dnia pan Halik mówi:

- Wyobraź sobie, panie Albinie, że ten bardzo wartościowy materiał, jaki wczoraj zebrałem prawdopodobnie pozostawię u siebie.

- A to dlaczego? - spytałem.

- Bo ani w Polsce nie ma warunków do jego publikacji, ani też tym bardziej za granicą. Mam zamiar spokojnie już dożyć swoich lat i nie będę wywoływał wojny.

- Jakiej wojny, panie Halik?

- A no takiej, jaką sam pan doświadczył. Myślę, że za pana życia już nikt nie zdejmie z pana tego, co Żydzi panu przypisali. A usłużni i głupi Polacy pomogli i pomagają utrwalić w społeczeństwie tę opinię o panu.

- Nie wiem, co powiedzieli panu ci dwaj Polacy, ale wiem, że głośno było za moich czasów, gdy byłem w Biurze Politycznym, że niemałą ilość Żydów radziecki wywiad wcisnął w ramach bratersko-partyjnej współpracy do MSW na najwyższe stanowiska. Nie było siły, żeby pozbyć się Humera i jego otoczenia, bo radzieccy zaraz protestowali.

Uważali ich za gwaranta wiarygodności tego, co robi polskie MSW.

-O właśnie. I tu pan trafił w samo sedno, panie Albinie. Wracajmy do Trypolisu, bo jak zbiorę jeszcze więcej informacji od Bronka, to nie daruję sobie, że nie można będzie tego opublikować.

- I nie widzi pan, panie Halik, możliwości, że coś się zmieni i będą warunki do publikacji?

- Owszem. Zamienić się kiedyś zmieni. Ale nie szybko. Musi się jeszcze dużo na świecie wydarzyć, żeby ludziom spadły klapki z oczu.

Na świecie nie było i nie ma nic stałego. I nie będzie. Co jeden człowiek wymyśli i wprowadzi w życie, inny człowiek zmieni. To jest wpisane w życie na Ziemi i od tego ludzkość nie ucieknie.

Tak więc zaprzestał pan Halik dalszych rozmów i wróciliśmy do Trypolisu. I rzeczywiście do samej śmierci, mimo różnych publikacji, tego tematu pan Halik nie poruszył. Ja jednak dużo skorzystałem z tej skarbnicy wiedzy. I jestem mu za to bardzo wdzięczny.

Teraz str. 272

Rozdział XVIII

UZDROWIENIE DZIESIĘCIU TRĘDOWATYCH

Jezus i uczniowie, idąc do Jerozolimy, przechodzili przez wieś leżącą na pograniczu Samarii i Galilei. Gdy wchodzili do niej wyszło im naprzeciw dziesięciu trędowatych. Przestrzegając nakazów prawa, zatrzymali się i z daleka poprosili o pomoc. Jezus kazał im pokazać się kapłanom. Gdy szli zostali oczyszczeni. Wtedy jeden z nich, który był Samarytaninem, wrócił, chwaląc Boga. Jezus zapytał go i apostołów o pozostałych dziewięciu, a potem rzekł: „Twoja wiara cię uzdrowiła (Łuk. 17, 11-191).

Jakże piękna i mądra przypowieść. Właściwie nieomal cały Nowy Testament to przykłady i przypowieści. Ta mądra przypowieść od dwóch tysięcy lat pasuje do milionów ludzi, ich problemów i ich życia. I będzie pasowała do końca świata, dopóki będą na nim żyli ludzie. Często się słyszy, jak wiele osób mówi, że tyle dla kogoś zrobili, lub że poświęcili wszystko dla kogoś, napracowali się przez wiele lat dla kogoś, ubliżano im za obronę kogoś, że stracili swoją cześć – a on nawet nie podziękował. Skoro za czasów Jezusa tylko jeden na dziesięciu zdobył się na podziękowanie, to i dziś nie jest inaczej.

Dziedziczymy wszystko, i dobro i zło, jakie było udziałem naszych przodków. Ten wstęp piszę nie bez przyczyny. Moje życie to również pomaganie ludziom. Najpierw jako brygadzista na budowie zostałem wybrany przez ludzi na przewodniczącego komisji mieszkaniowej w kombinacie budowlanym „Wschód". Kilka dużych przedsiębiorstw tworzyło ten olbrzymi kombinat, a posiadanie, wtedy po wojnie, własnego mieszkania, to było szczęście ogromne. Nic dziwnego, że co jakiś czas wybuchała afera, że ktoś wpływowy naciągał sprawę i załatwił znajomemu mieszkanie szybciej niżby to wynikało z przepisów i z zasług. To temat drażliwy i wybuchowy - wielu to poczuło na własnej skórze uciekając z firmy przed wstydem i hańbą.

Padło więc na mnie jako na uczciwego, który dobrze pokieruje pracami Komisji. Powadziłem, czyli przewodniczyłem komisji przez kilka kadencji, aż do wyboru mnie na członka Biura Politycznego. Do Biura przyszła za mną moja opinia. Utworzono po raz pierwszy Komisję Skarg i Zażaleń o bardzo dużych kompetencjach i uprawnieniach. To miała być komisja centralna w Warszawie z filiami w każdym Komitecie Wojewódzkim i Miejskim. Komisja miała prawo do wglądu w akta każdej sprawy na terenie całej Polski. Takie uprawnienia nadał jej Komitet Centralny specjalną uchwałą. Gdy rozpoczęło się szukanie kandydata na przewodniczącego tej komisji, to warszawscy członkowie KC jednogłośnie wysunęli moja kandydaturę. Nawet moi mściwi przeciwnicy zagłosowali za mną. Dziś mogę śmiało powiedzieć, że jeśli partia głosiła służebną rolę partii dla narodu, to według mnie i wielu moich przyjaciół ta służebna rola przewijała się w mojej komisji. Co do innych sfer życia mam wątpliwości.

Nie będę pisał o roli i pracy tej komisji, gdy z opisałem to w „Trwałych śladach". Teraz chcę napisać i dać świadectwo, że czynione komuś dobro potrafi wrócić do tego, kto je czyni. Również zło wyzwala u ludzi zło i wraca do tego, który je komuś wyrządził.

Gdy przyjmowałem osobiście ludzi w gmachu KC przyszedł do mnie stary i schorowany człowiek. Czekał trzy miesiące, żeby dostać się do mnie. Usiadł i

mówi:

- Przyszedłem do ciebie, gdyż innego ratunku już nie mam. Nie mam środków do życia (wtedy jeszcze nie było emerytur i rent dla rolników), a ziemię i gospodarkę oddałem synowi. On mnie wygnał z domu, pod kościołem milicja nie daje mi żebrać, sądu syn nie słucha. Ty, Albin, znasz wieś i życie. Pomóż mi, proszę.

Moje otoczenie zareagowało nerwowo:

- Dlaczego pan mówi do przewodniczącego po imieniu?

Chłop spojrzał na nich i powiedział:

Przecież Albin, to syn Józka, mojego kolegi i sąsiada jego rodziców.

Rzeczywiście chłop był sąsiadem moich dziadków, czego i ja nie wiedziałem. Pomóc oczywiście należało i to zostało zrobione. Ale minęło od tego czasu dwadzieścia sześć lat, pojechałem na wieś do rodziny i siedząc z nimi w ogródku słyszę, jak za parkanem młody mężczyzna przeklina swego ojca i wypycha go z podwórka na drogę.

- Won dziadu z mego domu, bo obiję cię kijem, jak jeszcze raz wejdziesz – krzyczy.

Kuzyni mi mówią:

- Pamiętasz jak jego ojciec, tego wyganianego i bitego, jeździł do ciebie, do KC?

Mówię, że tak,

- No to popatrz. Ten bity teraz, to syn tego, który jeździł do ciebie prosząc o pomoc i ty ją dałeś, a teraz sam jest bity tak, jak bił i wyganiał swego ojca. A dzieci tego, który bije swego ojca, patrzą na to i uczą się tej samej nienawiści.

Nie będę ujawniał nazwiska tych ludzi. Kocham tę piękną wieś nad rzeczką Czarną. Jeżdżę tam do żyjących potomków Siwaków i nie chcę, żeby wybili mi szyby w samochodzie.

I w tej samej wiosce mam inny, dobry przykład. Kilka lat temu zmarł szanowany senior rodu Stanisław Wróbel. Przemawiałem nad jego trumną, bo człowiek był bardzo zasłużony dla rolników. Całe życie w spółdzielczości, wznosił budynki niezbędne dla życia i funkcjonowania polskiej wsi. Otrzymał za swą prace order Wincentego Witosa. Ludzie pamiętali go jednak przede wszystkim jako kawalerzystę sprzed wojny. Cudownego, kolorowego polskiego wojska z szablą i lancą na koniu. Umarł otoczony miłością i opieką swych dzieci i licznych wnuków, dożywając dziewięćdziesięciu pięciu lat.

Piękny wiek i piękna starość w otoczeniu tych, którzy go kochali i szanowali. Pozostawił żonę, która obecnie dożywa swych lat i tak samo jest otoczona miłością dzieci i wnuków. To piękny widok, gdy przyjeżdżają z Warszawy, bo wszyscy, poza babcia, tam żyją. Biegną wtedy do domu babci i pytają o zdrowie i o to w czym mogą jej pomóc. Zastanawiałem się skąd bierze się nienawiść do własnych rodziców w jednej rodzinie, a w drugiej, nad tą samą rzeczką, w tej samej Goździówce, wielki szacunek i miłość do rodziców. Czy z tym człowiek się rodzi? Czy też widząc poniewieranie dziadków przez rodziców robi to samo, nie zdając sobie sprawy z tego co czyni?

A wracając do Goździówki, to zapamiętałem ją z jeszcze przedwojennych czasów, gdy ojciec mój wysyłał mnie na każde wakacje do swych braci. Wieś ciągnie się ponad kilometr wzdłuż rzeczki Czarnej. Między rzeczką, a drogą

wiejską są łąki. Ale jakie łąki! Na tych łąkach były wszystkie kwiaty i zioła. Kiedy kwitły, urzekały pięknem kolorów. A siano z tych łąk pachniało tak, że ci, którzy szli latem spać na siano mówili, że cudownie się śpi na takim sianie. Każda gospodyni hodowała wtedy stado gęsi, bo córki trzeba było wyposażyć w pierzyny i poduchy, gdy będą szły za mąż.

Teraz sobie państwo wyobraźcie taka scenę, która za każdym razem urzekała mnie i nie mogłem napatrzeć się na nią do syta. Oto z rzeczki, pod wieczór, wracają do domu gęsi. Idą oczywiście gęsiego, to znaczy jak po sznurku, jedna za drugą. Przechylają gęsi do ziemi ciężarem zdobytego pokarmu gardziele pełne pożywienia. Nie idą po cichu, gęgają między sobą. Starsze gęsi pierwsze, a młodzież na końcu. Z chat pokrytych słomą snują się pachnące dymy. To gospodynie gotują kolację, a dym pachnie, bo podkłada się na ogień gałązki sosnowe i drewno. Okapy nad każdą kuchnią pochłaniają opary z gotujących się potraw. Z kominów idzie nie tylko pachnący dym z gałązek, ale pachnie też szczaw z łąki, kasza jaglana z zacierkami, a z rynki, czyli głębokiej patelni, pachnie boczek smażony do kartofli i zsiadłego mleka. Idąc tą drogą przez wieś można się było nawąchać zapachów i bezbłędnie powiedzieć, co zaraz gospodyni postawi na ławę. Na ławę, bo stołów nie było.

Na temat tego, w jaki sposób należy spożywać posiłek, dostałem dobrą lekcję. Otóż ojciec mój, gdy pierwszy raz zawiózł mnie do swego brata Michała, to nie uprzedził, jak się na wsi jada. A chłopak z Grochowa, wiecznie głodny i nauczony, że matka podaje na talerze, czekałem, podczas gdy stryjenka wysypała na jedną miedniczkę ziemniaki, a na drugą wlała gar zsiadłego mleka, pokrasiła je z rynienki skwarkami i położyła kilka łyżek na ławę. Ludzie wkoło szybko jedli, a ja czekałem, aż mi podadzą. Nie zrobili tego i w końcu nie było co jeść, a ja głodny poszedłem spać na siano. Żeby było jeszcze gorzej, to mówią mi, że jutro będę pasł krowy.

Dla mnie rano, to była siódma godzina, bo na ósmą trzeba iść do szkoły, a tu ściągnęli mnie z tego siana za nogi o wschodzie słońca, przed czwartą. Na wsi to właśnie oznacza rano. A najgorsze przyszło wraz ze stryjenką niosące dla mnie i dla koszącego łąkę stryjowi śniadanie. Postawiła gliniane dwojaki i pyta:

- Albin, będziesz jadł, czy nie?

Ja bym wraz ze skorupą to zjadł, tak byłem głodny, a ona mówi dalej:

- Nie, to nie.

I poszła do stryjka, a ja gapa nie zdążyłem zjeść, ale już od obiadu wiedziałem, jak tu się jada i nikt mi nie musiał niczego tłumaczyć.

A w rzece były raki, które gołą ręka wyciągałem ze skarp i korzeni. Zwykłym, dużym koszem wiklinowym łapaliśmy płotki, sumy. Ryb było dużo w każdym zagłębieniu, a woda czysta, tak czysta, że mało kto we wsi miał studnię. Gotowano i pito tę wodę z rzeczki. W nocy na drzewach, rosnących wzdłuż rzeczki, śpiewały słowiki. Siadaliśmy wtedy w pobliżu i słuchaliśmy ich śpiewu. To była całkiem inna wieś i inni ludzie. Pola obsiane gryką biało kwitnącą i ściągająca swym zapachem pszczoły. Łubiny niebiesko i żółto kwitnące, których dziś już nie ma. Ciężkie kiście prosa zwisające do ziemi, no i len, len cudownie kwitnący, z którego stroje szyto dla wszystkich. A jesienią klekotały warsztaty, bo kobiety oddzielały paździerze od czystego lnu, który później całą zimę przędły do późna w nocy. Opowiadano wtedy przy tym bajdy o duchach i strachach.

Dziś tego wszystkiego już nie ma. Chłop wstydzi się chodzić w zdrowej, lnianej

koszuli. Nic mu się nie opłaci obsiewać. Opłaca mu się ugorować pola, bo za ugór dostanie pieniądze z Unii Europejskiej. Nie o tym jednak chciałem napisać, a o ludzkiej wdzięczności lub jej braku.

Otóż, jak wcześniej napisałem, przewodniczyłem tej ważnej komisji i osobiście w gmachu KC przyjmowałem ludzi. W zależności od sprawy, jaką mieli interesanci, przyjmowałem do pięćdziesięciu osób w ciągu dnia i wieczora. To był nadzwyczajny uniwersytet wiedzy o ludzkich losach i problemach. Myślę, że żadna uczelnia tak nie kształci, jak mnie wykształciło zajmowanie się ludzkimi problemami. Z tej uczelni życia wyniosłem dużą satysfakcję, że los pozwolił mi pomagać słabszym i pokrzywdzonym.

Zdobyłem dużą wiedzę o życiu i o ludzkich zachowaniach, o ich wdzięczności lub odwróceniu się, udawaniu, że się nic nie wydarzyło i nikt im nie pomógł. Przecież nikt od nich nie żądał, żeby dziękowali. Powiem więcej, jeśliby na przykład doszło do członków KC lub członków Biura Politycznego, że członkowie tej komisji lub jej przewodniczący spodziewają się podziękowań lub, nie daj Boże, dają interesantowi do zrozumienia, że byłoby im miło, jeśli takie podziękowanie by było z ich strony, to – żegnaj komisjo!

Już w pierwszych słowach statutu było to zapisane, jako najważniejsza reguła. Ale życie przynosiło przypadki, które pod tę regułę trudno podciągnąć. Było dużo spraw, w których państwo, a konkretnie urząd miasta lub województwa zabierał duży dom na żłobek lub przedszkole. Niby dla dobra powszechnego, ale z krzywdą dla właściciela. To samo z terenem pod szkołę czy boisko sportowe - też społecznie potrzebna sprawa, ale również z czyjąś krzywdą. Ludzie wyczerpywali wszystkie możliwe instytucje i sądy. Przychodzili wtedy do mojej komisji, do mnie i dużo tych spraw udało się załatwić dla ludzi pozytywnie.

Mijają lata i jestem już emerytem. Na ulicy poznaję człowieka, któremu osobiście, jeżdżąc do urzędów, sprawę załatwiłem. Z daleka mówię mu „dzień dobry", a on odwraca się, udaje, że mnie nie zna. Odzyskał duży majątek i przyzwoitość, zarówno wtedy, jak i dziś, powinna nakazywać mu uścisnąć mi rękę i powiedzieć: „dziękuję". I takich ludzi jest więcej. Z reguły dotyczy to ludzi, którym i za czasów PRL żyło się dobrze, a dziś powodzi im się jeszcze lepiej. Ale są i odwrotne przypadki – ludzie nie zapominają kto im pomógł w życiu.

Jestem rodem z Wołomina. Tam urodziłem się w domu, który mój ojciec własnoręcznie zbudował. A wszystkim tym, którzy Wołomin mają za miasto mafii i bandytów powiem tak: Gdybyście pokusili się o sprawdzenie, ilu ludzi z Wołomina jest znanych z tej dobrej strony w Polsce i na świecie, to czysty rachunek wykaże, że i literaci, i malarze, i wojskowi oraz działacze spółdzielczości i znani politycy pochodzą z Wołomina.

Jeździłem do tego Wołomina za czasów PRL-u do huty szkła, do stolarni i do innych zakładów pracy. Dekorowałem zasłużonych ludzi i sztandary ich zakładów za pracę, pomagałem w wielu budowlach. Chcieli na pamiątkę czołg T34, to go dostali i stoi tam do dziś. I z tego mojego Wołomina wyniosłem historię, która jako jedyna w moim życiu spowodowała, że płakałem ze wzruszenia.

Już pod koniec mojej pięcioletniej kadencji szefowania komisji przyjechała ze skargą do mnie kobieta. Na pierwszy rzut oka – nędza, czworo dzieci z nią. Nie pytając się o zgodę złapała moje kanapki z biurka i połknęła w mig.

Nie miała wykształcenia i żadnych kwalifikacji. Jej mieszkanie to szopa, w zimie na kuchni garnki zamarzają, a przewodniczący rady miejskiej znajomym

zamiany mieszkań załatwia, jej nie. Miałem sporo uwag do pracy tegoż przewodniczącego i sporo zażaleń od ludzi. Również członkowie mojej komisji mieli o nim bardzo złą opinię, a ja byłem ostatnie dni członkiem Biura i szefem komisji. Byłem też bardzo zdenerwowany od kilku dni, gdyż znałem swój los, wiedziałem, że muszę wyjechać z kraju i nie przeszkadzać.

W ogóle wyjazd na placówkę nie był miły. Chciałem tu zostać i mieć wpływ na rozwój spraw. Musiało jednak być inaczej i ja, taki roztrzęsiony, przyjąłem tę kobietę z dziećmi z Wołomina. Wiedza moja, że w Wołominie źle się dzieje i wszystko to, co wyżej opisałem, miało wpływ na moje zachowanie i moje decyzje. Więc, gdy mnie połączono z przewodniczącym, w Wołominie, to mu wygarnąłem całą moją żółć i złość.

- Jutro rano przyjadę do was z komisją i zdejmę was z tej funkcji – krzyczałem do słuchawki.

Ale rano, gdy zajechałem z komisją, okazało się, że kobietę z czwórką dzieci przewieziono do dobrego, suchego i ciepłego mieszkania. Zawieziono mnie do tego miejsca, bym sam je obejrzał. Rzeczywiście mieszkanie było dobre i kobieta płakała ze szczęścia. Minęła mnie złość i nie ukarałem przewodniczącego.

Wyjechałem do Libii na pełne cztery lata, a w Wołominie na cmentarzu mam babkę i dziadka oraz wujka. I ja byłem jedyną osobą z żyjących, która dbała o te groby. Gdy przyjechałem na pierwszy urlop do Polski i pojechałem na cmentarz w Wołominie, to lampki na grobach moich bliskich paliły się. Kto je stawia? – pytałem sam siebie.

Następnego roku to samo, lampki się palą, a znajomi mi mówią, że na Dzień Zmarłych były kwiaty i myśleli, że to ja przyjechałem. Tak było przez cztery lata. Gdy wróciłem na stałe do Polski, jeździłem znacznie częściej na cmentarz. Lampki też się paliły.

Wziąłem kilka wypalonych lampek i poszedłem przed bramę cmentarza, gdzie je sprzedają. Pokazałem sprzedawcy lampki i pytam go, czy to on je sprzedał, a jeśli tak, to kto je kupuje. Wszyscy po obejrzeniu wypalonych lampek powiedzieli, ze tymi lampkami handluje staruszka pod furtką cmentarza. Poszedłem więc do niej i pytam, czy to ona sprzedaje te lampki. Obejrzała i mówi, że tak, że to jej lampki.

- Ale kto je kupuje u pani?

- Jeśli idzie o te, które trzyma pan w ręku, to moja córka.

- A dlaczego je stawia na grobach moich krewnych?

Wtedy staruszka mówi:

- Pan musi się nazywać Siwak, ten z KC.

- Tak, i co z tego? - mówię.

- Ano to, że jak pojechała do pana, to w nocy jeszcze ją przewieźli do nowego mieszkania. I ona pojechała do KC panu podziękować, ale pan był już w Libii. Wtedy ona powiedziała mi, że będzie panu miło, jak w czasie, gdy nie ma pana w kraju, ona będzie palić te świeczki. Ona w ten sposób chciała panu podziękować, bo i pracę dał jej przewodniczący lepiej płatną.

Muszę się przyznać, że chociaż jestem człowiekiem twardym, to rozpłakałem się jak dziecko.

- Dlaczego pan płacze? - zapytała mnie staruszka.

- Bo spotkała mnie najmilsza i najlepsza nagroda za moją pracę. Córce niech pani podziękuje i niech już nie stawia tych lampek, bo już wróciłem do domu.

I to spotkało mnie od biednej, porzuconej przez męża kobiety.

Uniknąłem też wielu kar za jazdę niezgodną z przepisami ruchu. Zdarzało mi się, że policjant zaczął pisać i w czasie tego pisania orientował się kim jestem.

- Panie, toż pan jest ten, co nam załatwił mieszkanie. Żona do pana jeździła. E... nie będę pana karał, tylko już nie jedź pan tak szybko.

To służenie ludziom całym sercem tak, jak ja to robiłem, wróciło do mnie też w chwili sytuacji najtrudniejszej dla mnie.

Zaczęło się od diagnozy, że mam nowotwór jednej nerki, ale już taki, że oddaję mocz z krwią. Liczne prywatne badania mówiły, że sytuacja jest bardzo zła, są przerzuty na pęcherz moczowy, że raczej trudno będzie z tego wyjść, gdyż pęcherz to wyjątkowo wredna sprawa. Więc ziemia usuwa się spod nóg i człowiek traci nadzieję na życie. Po licznych próbach znajomym udaje się umieścić mnie na onkologii w Centralnym Szpitalu na Ursynowie. I tu w pojedynce, jaką dostałem, pochyla się nad łóżkiem ordynator z tabliczką z nazwiskiem W. Rogowski. Pytam go, czy jego ojciec to dyrektor kombinatu „Wschód", bo tak nazywał się mój dyrektor. Doktor mówi że nie, ale że jest synem człowieka, któremu bardzo pomogłem. Nie pamiętam tego, więc mówię, że nie wiem, o co chodzi. Wtedy on mi wyjaśnił:

- Mój ojciec za czasów, kiedy pan przewodniczył Komisji w KC, był redaktorem naczelnym pisma „Życie partii". Nazywał się Wiesław Rogowski. No i raz wprosił się do samochodu, kiedy pan jechał na konferencję do Rzeszowa. Chciał opisać w „Życiu Partii" jak działa pana komisja i jakie ma efekty. Siedząc z tyłu, z oficerem ochrony, odważył się prosić pana o pomoc. Zabiegał o nią u wielu sekretarzy i członków Biura Politycznego przez wiele lat. Ale jego praca przysparzała mu wrogów, a nie przyjaciół, bo często pisał krytycznie o ich działalności, a oni tego nie darowali. No i pan kazał mu umówić się z oficerem ochrony, który miał wprowadzić mego ojca do pana bez kolejki.

- No tak – przerwałem doktorowi – Teraz sobie przypominam, bo załatwiając tę sprawę naraziłem się Kurtyce, który wtedy był przewodniczącym rady krajowej spółdzielczości. Po prostu zadzwoniłem do Kurtyki i poleciłem mu natychmiast sprawę załatwić. A on bał się sprawdzać, czy mam na to zgodę Jaruzelskiego, bo Jaruzelski miał uwagi do jego pracy.

I ja, taki załamany i pozbawiony nadziei, znalazłem się w rękach syna tego człowieka.

Poświęcił wiele godzin na to, żeby mi wybić strach z głowy. Otoczył dobrą pomocą i powiedział, że jego ojciec go zobowiązał, aby za dobroć z mej strony zapłacić teraz, kiedy jest okazja, gdyż wielokroć zasłużyłem na tę zapłatę. Sam z kolegami mnie operował i doglądał, a gdy wychodziłem ze szpitala i powiedziałem, że nie będę przyjeżdżał na badania, bo boję się tej scytoskopii i rury, wtedy on zobowiązał się, że w gabinecie zabiegowym sam będzie robił mi te badania i faktycznie, robił je aż do końca. Po paru latach stwierdził:

- Ma pan czysto wszędzie, żadnych przerzutów nie ma

A mógł tego nie robić. Dobro wróciło do mnie po latach. Jest wiele przykładów innych ludzi, którym załatwiłem różne sprawy, a oni sami mi zaświadczyli, że podobne sytuacje zdarzały się i w ich życiu.

Uczyć życia można się wszędzie i na każdym kroku. Trzeba tylko być wrażliwym na ludzkie losy i przypadki. Najlepszym przykładem tego jest sam papież Polak. Gdy był w Polsce, w sierpniu 2002 roku, to na ten temat powiedział tak:

„Praca wśród klasy robotniczej dała mi więcej niż doktorat naukowy. Naukę oczywiście cenię i jest ona niezbędna, by poruszać się wśród problemów świata pewniej".

Tak, to prawda, że praca wśród ludzi to nauka.

Ja na budowach pracowałem trzydzieści jeden lat i nie zawsze po osiem godzin. Pięć lat pracowałem w komisji jako jej szef i cztery lata w dyplomacji. Dało to mi i wiedzę, i pewność, że jeśli czegoś się podejmuję, to mam rację. Pochopnie niczego nie robiłem i ta pewność, że mam rację i odwaga, jaką zawsze miałem, przyczyniły się do tego, że zamiast czerpać z mego doświadczenia, to partia, do której należałem i w której miałem dużo kolegów i znajomych, wyrzuciła mnie ze swych szeregów.

Miller i jego otoczenie nie mogło słuchać słów krytyki. Otoczyli się ludźmi, przeciw którym moja komisja prowadziła sprawy za czasów PRL. I gdyby nie zmiana ustroju, oni wszyscy mieliby sprawy karne. Teraz, kiedy już jest po wyborach do Sejmu i lewica osiągnęła marne rezultaty, to z całą odpowiedzialnością powiem, że boleję nad sytuacją lewicy.

Byłem i jestem człowiekiem lewicy, taki też umrę. Nie uległem jednak przeprosinom SLD i nie wróciłem do nich, bo nie są prawdziwą lewicą. Polska lewica zanika. Jesteśmy jedynym państwem w Europie, a może i na świecie, gdzie nie ma prawdziwej lewicy. Każde kolejne kierownictwo podejmuje decyzje niszczące polską lewicę.

Wygląda to tak, jakby była grupa ludzi w kierownictwie lewicy, która ma za cel rozbijanie lewicy od środka. Lewicy nie niszczy wróg usadowiony na prawicy.

Te najboleśniejsze ciosy zadają jej przywódcy, a Leszek Miller szczególnie. I tu znów powtórzę: zło, które Miller wyrządził ludziom, wróciło do niego, bo gdy tylko chciał zaistnieć, to go wyrzucono, a w wyborach sami ludzie dali dowód tego, jak go cenią. A dla człowieka z przerostem ambicji, takiego jak Miller, to bolesna sprawa.

Z podziwem i zazdrością oglądam telewizję rosyjską. Oni przywrócili całkowicie prawa żołnierza i kombatanta dla tych, którzy musieli poddać się Niemcom w czasie wojny, a Stalin kazał ich rozstrzeliwać jako tchórzy.

Oni zrozumieli, że to nie wina żołnierzy, którzy nie mieli czym walczyć. Nielicznym żyjącym przywrócili dziś prawa, szanują i cenią weteranów pracy, na rocznicowych akademiach nagradzają i zapewniają godne warunki życia.

Że byli stachanowcami i bili normy? Co w tym złego, że dla kraju więcej niż przeciętnie pracowali?

U nas kpi się i szydzi z tych, którzy po wojnie odbudowywali Polskę. Ilu ludzi straciło zdrowie, żeby wykonać pracę po wojnie!

Czy ktoś dzisiaj zapyta stojącego nad grobem starego człowieka, czy starcza mu na lekarstwa lub opał na zimę?

A w Rosji, ośmieszanej przez nasze media, państwo znajduje dla tych ludzi czas. Nie tylko widzę to w telewizji, ale rozmawiam z ludźmi z Rosji i oni to potwierdzają.

U nas kaczo-prawicowa nienawiść do wszystkiego, co wiąże się z Polską Ludową, każdy ślad po tej ludowej wypaliłaby gorącym żelazem. Nawet słów papieża Polaka nie biorą sobie do serca. Papież mówił przecież:

„Nie wszystko w Polsce Ludowej było złe. Były liczne ziarna prawdy".

I wymienia ile i jakie. Można by tu postawić pytanie: skoro liczne dowody na świecie świadczą o tym, że dobro rodzi dobro, a zło rodzi zło, to skąd kaczo-prawicowa formacja wie, że po nich nie przyjdą inni, którzy za cel sobie wezmą usunąć każdy ślad ich formacji politycznej?

I nie musi to być lewica! A zaślepienie i chytrość kaczej formacji nasuwa mi na myśl autentyczny przykład, jaki widziałem na wsi, w kuźni.

Żona kowala hodowała kaczki i one chodziły obok kuźni, gdzie kowal pracował. Kaczka to taki ptak, że nie pozwoli innemu zwierzęciu i ptakowi, żeby coś zjadł. Ona musi być pierwsza i ona musi zjeść wszystko, co pojawi się na ziemi. Kowal właśnie na kowadle odcinał za długi kawałek podkowy. Oczywiście, że rozgrzana ona była do białości, żeby można ją przeciąć.

- Podtrzymaj – mówi do mnie - w szczypcach, a ja odetnę tę niepotrzebną część.

Uderzył młotkiem w przecinak i biały kawałek żelaza upadł na ziemię.

Kaczor oczywiście musiał być pierwszy i łyknął to rozpalone żelazo. Za chwilę ono sycząc przepaliło mu gardło i kaczor padł martwy.

Rozdział XIX

W SEJMIE I W ŻYCIU

Zadzwonił telefon i miły głos kobiecy zapytał: Czy pan Albin Siwak?

- A kto pyta? - Jestem sekretarką marszałka Sejmu. Pan marszałek zaprasza pana do siebie na rozmowę. Przyślemy po pana samochód, tylko kiedy pan może do nas przyjechać? - Czyżby pan marszałek chciał dostosować swój drogocenny czas do czasu emeryta? - spytałem. - Tak to bardzo ważne dla pana marszałka i dostosuje się do pana możliwości - odparła miła pani z kancelarii.

- W takim razie jutro proszę przyjechać. Chętnie spotkam się z pani szefem - odpowiedziałem. Następnego dnia był 9 października 2004 r. Kierowca i ochroniarz stawili się punktualnie z gotową już przepustką nr 49666.

Przeprowadzono mnie przez wszystkie bramki i kontrole, aż do sekretariatu marszałka. Ten sam miły głos poprosił mnie, żebym usiadł i poczekał parę minut, gdyż pan marszałek jeszcze prowadzi obrady Sejmu, ale zaraz się one kończą i pan marszałek przyjdzie. Rzeczywiście za parę minut marszałek wszedł i z daleka wyciągnął rękę na powitanie: - Tyle lat, panie Albinie, nie widziałem pana.

- Ja również. Pan marszałek z młokosa wyrósł na poważnego człowieka i w dodatku na marszałka.

- Nim usiądziemy u mnie na rozmowę to pragnę panu coś pokazać - oświadczył marszałek. Wyszliśmy na korytarz i na końcu korytarza otworzył drzwi, mówiąc: - Proszę spojrzeć, to setki książek pisarzy lewicowych, a pana książek, panie Albinie, tutaj nie ma.

- Dlaczego? - spytałem.

- Właśnie o tym chciałem z panem rozmawiać. Wróciliśmy do jego gabinetu i z szuflady biurka wyjął moje trzy książki. Zauważyłem, że jedna z nich ma zakładki, To ***„Trwałe ślady"***. Trzymał ją w ręku i mówił:

- Myśmy się spodziewali, że któryś z profesorów byłego Biura Politycznego napisze taką właśnie książkę, ale oni milczą. Okazało się, że nie profesor a robotnik napisał, i to pięknie, o odbudowie Warszawy i Polski. Wiernie oddał pan atmosferę tamtych lat i ofiarność ludzi oraz zapał budowlanych. Piękna to książka, ale po co na Boga powywlekał pan ludzi pochodzenia żydowskiego i to w negatywnych opisach i sytuacjach. Ta bardzo dobra książka została spaskudzona historiami o Żydach.

Otworzył książkę w miejscu, gdzie była zakładka i mówi: - Do tego miejsca jest to piękna książka, ale dalej mija się pan z faktami i prawdą. I ja chcę uratować pana książkę, bo podkreślam, że to piękna historia. Ile pan już egzemplarzy wydał?

- Nie muszę panie marszałku mówić ile, to wyłącznie moja sprawa.

- Myśmy dzwonili do wydawcy, ale oni też nie chcą mówić ile pan wydał.

- Ja jestem pewien, że dzwoniliście do kilku wydawców, gdyż rezygnowali z wydania mojej książki, a nawet byli wystraszeni. Do tej pory tylko się domyślałem, teraz już jestem pewien komu to zawdzięczam.

- Nie, nie, panie Albinie, pan jest w błędzie. Żadnych trudności panu nie robiliśmy, tylko chcieliśmy wiedzieć jak dużo pan wydaje tych książek. I ja mam dla pana konkretną propozycję. Bo domyślam się, że wydał pan ją za własne

pieniądze, których na pewno panu brakuje. Otóż ja panu daję taką szansę i możliwość: możemy wydać tę pana książkę. My zrobimy tylko korektę, odrzucimy te wątki związane z Polakami pochodzenia żydowskiego. Damy panu dwa złote od egzemplarza i wydrukujemy pięćdziesiąt tysięcy sztuk. Ja podpiszę czek na sto tysięcy, a pan dla mnie upoważnienie do korekty. My wydrukujemy i rozprowadzimy ją po kraju. No co jest zgoda?

- Nie ma zgody i nie będzie. Pan chce zrobić ze mnie kurwę, która się sprzedaje. Przecież ludzie czytają tę książkę. Nawet Polacy żyjący w Ameryce i Kanadzie kupili ją do swoich bibliotek.

- A w Polsce? - W Polsce też rozeszła się po kraju. I pan teraz chce, żebym się z tego co napisałem wycofał? To niemożliwe i ja tego nie zrobię. Całe dziesięciolecia pracowałem na swoje nazwisko i nie będę go plugawił. Powiedział pan, panie marszałku, że minąłem się z prawdą i faktami. Proszę mi tu i teraz pokazać z którymi. Długo się zastanawiał i wreszcie mówi tak:

- Musiałbym usiąść i wynotować fakty i nazwiska. Tak od ręki tego nie powiem, ale moi znajomi czytali pana książkę i mówią, że to nie prawda co pan o Żydach napisał.

- Więc jestem gotów ponownie do pana przyjechać, jak pan sam przeczyta i zapisze, o jakie sprawy i o jakich ludzi chodzi. A pana rodacy, panie marszałku, do niczego się nie przyznają. Czy pan na przykład poczuje się odpowiedzialny chociaż moralnie za swego stryja Jakuba Bermana? Za to wszystko co zrobił Polsce? A za ojca? Powie pan, że dzieci nie mogą odpowiadać za czyny swoich rodziców, bo taką wersję uknuliście i puściliście w obieg.

- To co pan myśli, panie Albinie, to są kłamstwa! To polityczni przeciwnicy wymyślają takie wersje, żeby zaszkodzić nam. Zaręczam panu, że nasłuchał się pan kłamstw, panie Albinie.

- Panie marszałku! Ja znałem Gierka jak był pierwszym sekretarzem w Katowicach. I Zientka jak był wojewodą. Pana stryj Jakub Berman po śmierci Stalina przyjechał do Katowic i mówi:

– Macie nazwać Katowice Stalinogrodem.

A jednak odmówili. Tak Gierek, jak i Zientek powiedzieli „nie", a wtedy pana stryj nakazał im wszystkim, a chodziło o egzekutywę wojewódzką i radę przy wojewodzie: „Macie się podać do dymisji". To był partyjny rozkaz.

A województwo katowickie dobrze wtedy gospodarzyło. Budowali więcej mieszkań niż wynosiła w Polsce przeciętna. I o wiele więcej dróg. Gdyby ci ludzie oddali te pieniądze w inne ręce, to Katowice by tego nie miały. Nie miałoby województwo tylu pięknych parków kultury, takich nowoczesnych i dobrze wyposażonych szpitali i przychodni zdrowia. I wielu, wielu pięknych budowli użyteczności publicznej, których brakowało w całej Polsce. I był problem, czy z honorem się podać do dymisji, czy też schować honor do kieszeni i robić swoje.

Nazwali Katowice tak, jak pański stryj zażądał. A jakie uprawnienia dał bratu Michnika, Stefanowi to pan na pewno wie. Dziś dorabia się do tych zbrodni opinię, że to komuchy robiły...

W tym momencie mi przerwał:

- Widzę, że się nie dogadamy, a szkoda, żeby taka dobra książka nie mogła być wydana w większej liczbie.

- Skąd pan wie, panie marszałku, że nie będzie więcej egzemplarzy? Skąd?

- Rozpoczyna pan wojnę z Polakami żydowskiego pochodzenia, a to na dobre panu nie wyjdzie.

- Czyli pan mi grozi?

- O nie, broń Boże. Ja tylko jestem pragmatykiem i wiem jakie jest życie.

- I tu, panie marszałku, zgadzam się z panem. Doświadczyłem tego nieraz na sobie i nadal czuję tę wojnę, ta wojna dla Polaków jest bardzo trudna, bo na normalnej wojnie przeciwnik jest naprzeciw nas, a w tej - przeciwnicy są za plecami i z boku lub posługują się rękoma Polaków.

- Panie Albinie, obaj jesteśmy ludźmi lewicy i powinniśmy się dogadać.

- Owszem, czuję się panie marszałku, człowiekiem lewicy, ale nie tej, o której pan mówi i myśli. Jeśli pan SLD nazywa lewicą, to bardzo źle. Parę osób tam może i jest z lewicy, ale reszta to karierowicze. Przecież ja w czasach PRL jako członek Biura Politycznego i szef Komisji Skarg i Interwencji prowadziłem kilka dochodzeń ludzi, którzy teraz są w kierownictwie SLD i gdyby nie zmiana ustroju, to oni siedzieliby dzisiaj w więzieniu. W moim odczuciu, panie marszałku - kierownictwo SLD nie prowadzi partii drogą lewicy tylko wepchnęło partię, nie pytając się nikogo o zgodę, na drogę libertynizacji. I z tą lewicą nie chcę mieć nic wspólnego. Na tej płaszczyźnie nie znajdziemy wspólnego języka.

- Czyli co? Nie wyrazi pan zgody na korektę i propozycję?

- Nie, nie wyrażę i oczekuję, że pan znajdzie w mojej książce te fakty, przy których minąłem się z prawdą i zaprosi mnie, by mnie przekonać, iż napisałem nieprawdę.

Ale więcej już mnie nie zaprosił.

Natomiast miał rację, że rozpoczynam wojnę z Polakami żydowskiego pochodzenia. Ilekroć zaproszono mnie na spotkania z ludźmi i jeśli tylko dowiedzieli się z Gazety Wyborczej, że takie spotkanie ma się odbyć, to zjawiali się dziennikarze, żeby jak tylko można skompromitować mnie i opisać w jak najgorszym świetle. Wtedy wszystkie chwyty są dozwolone.

W styczniu 2007 r. w Domu Kultury przy Działdowskiej odbyło się takie spotkanie. Pełna sala, ludzie ciekawi wielu spraw zadają pytania. Co parę minut słyszę oklaski świadczące, że trafnie oceniam sytuację. Ale przed spotkaniem podszedł do mnie starszy człowiek i mówi:

- Panie Siwak, mam syna kalekę, który ma ataki i wtedy dziwnie się zachowuje, wypręża się, ściska ręce i zamyka oczy na chwilę, ale bardzo chciał pana posłuchać. Czy może usiąść bliżej pana? Mówię, że tak i człowiek siada obok z synem. Rzeczywiście w ciągu dwóch godzin raz go ten atak złapał, a reporter z aparatem cały czas czekał obok. Gdy człowiek wyprężył się i zamykał oczy dziennikarz zrobił zdjęcie i na drugi dzień w Gazecie Wyborczej znalazłem zdjęcie podpisane: „Towarzysz Siwak mówił byle co i ludzie spali na jego spotkaniu".

A jak starali się zakłócić spotkanie! Doprowadzili do tego, że ludzie zagrozili, iż jeśli się nie uspokoją, to wyrzucą ich siłą z sali. Najgorsze jest to, że to Polacy wysługują się polskojęzycznym redakcjom.

Ewa Drzyzga zaprosiła mnie do Krakowa na program. Program zdecydowano się nagrać i puścić, gdyż badanie opinii społecznej wykazało, że siedemdziesiąt dwa procent Polaków tęskni za czasami PRL-u. I o tym pani Ewa na samym początku mówiła. Ja byłem w roli tzw. eksperta. Zawsze w takim programie muszą być też ludzie, którzy mają inny punkt widzenia w tej sprawie. W studiu

siedzieli - pan profesor historyk i pani profesor socjolog. Ich zadaniem było obrzydzenie okresu PRL. I gdy pani Ewa zaczęła wyliczać te fakty, które świadczyły o tym, że w tym czasie miliony młodych Polaków, ludzi z wiosek zdobyły wyższe wykształcenie, że biedni otrzymywali mieszkania, że wczasy i sanatoria były za darmo i to co roku, - pan profesor przerwał i powiedział:

- Owszem tak było, ale jako człowiek z wyższym wykształceniem wstydzę się tego okresu, gdyż tacy ludzie jak pan Siwak, nie posiadający wykształcenia nie tylko sprawowali władzę, ale byli nawet w dyplomacji. Byli członkami światowej federacji związków zawodowych. Reprezentowali Polskę ludzie ciemni i bez wykształcenia. I ja sobie nie życzę żyć w takim kraju, gdzie ludzie na takim poziomie rządzą i reprezentują Polskę.

Wszystkie oczy zwrócono na mnie, bo to co mówił było czytelne i dokładnie przeciw mnie wymierzone. Przerywam mu i pytam:

- Czy pana wrażliwość człowieka wykształconego i inteligenta nie nasunęła panu pytania, że prezydentem może być elektryk (Wałęsa), ministrem stanu kierowca (Wachowski), prezesem NFZ stolarz, a też za dyplomację wzięli się ludzie, którzy przespali się na styropianie i to sprawia, że na pewno się do tego nadają? Ale to ludzie z pana opcji politycznej, więc oni oczywiście wstydu Polsce nie przynoszą. A czy pan profesor wie, że nim wybrano mnie na członka Światowej Federacji Związków Zawodowych, to od 1950 do 1980 roku przeszedłem wszystkie funkcje społecznie - w związkach, aż do wiceprzewodniczącego zarządu głównego? I wszystkie wybory były tajne, a w tym czasie nie byłem członkiem partii. Jak pan myśli durnia wybierali?

Owszem, pytanie pana profesora poszło w telewizji, ale już mojej odpowiedzi nie puścili. Pan profesor poczuł się urażony i jak mówią, walnął w odwecie z grubej rury:

- Przecież nie wyprze się pan, że pana partia odpowiada za liczne zbrodnie w Polsce?

- Tak, ma pan profesor rację. Zbrodnie były straszne i dużo ich było. Ale kto je robił? W Niemczech 3 października 2003 roku odbył się zjazd historyków niemieckich w miejscowości Newhoof koło Fuldy. Profesor Martin Hofman, zabierając głos na tym zjeździe, powiedział:

- Uznaję Żydów za sprawców komunistycznych zbrodni. Są liczne na to dowody, że wymordowali od czasu rewolucji do upadku muru berlińskiego miliony ludzi. Tak w czasie rewolucji, jak i w całym okresie sprawowania władzy.

Profesor Hofman przypomniał, że w 1919 roku prezydent Stanów Zjednoczonych Woodrow Wilson powiedział, że rewolucja w Rosji to czysto żydowska rewolucja. Mówił to profesor Hofman na zjeździe zjednoczeniowym Niemiec i może pan to sobie sprawdzić.

A w Polsce MSW było całkowicie opanowane przez Żydów i też może pan profesor to sprawdzić. Więc kto mordował i przelewał polską krew?

I tu też majstersztyk polskiej telewizji. Bo idą moje słowa:

„Tak ma pan profesor rację. Zbrodnie były straszne i dużo ich było". **I na tym koniec! Dalszej wypowiedzi nie puścili.**

Czyli przyznałem rację profesorowi. Pada niespodziewane pytanie pani Ewy do mnie: „Pan był przecież w najwyższych władzach. Czy chciałby pan powrotu PRL-u?"

Odpowiadam, że nie chciałbym. Nie chciałbym żeby znów mordowano ludzi za to, że są Polakami. Nie chciałbym żeby wszystkie stanowiska najważniejsze obsadzone były przez Żydów.

Ale chciałbym powrotu do czasu, kiedy szanowano i ceniono ludzi pracy. Chciałbym dojść do polskiego jeziora po polskiej ziemi, a nie godzić się z sytuacją, że nowobogaccy wykupili i zagrodzili dostęp do wody.

I tu też piękna techniczna manipulacja. „Czy chciałby pan powrotu PRL-u?" Odpowiedź: „Nie chciałbym".

Tego co mówiłem dalej już nie puścili. A podobno komuna miała straszną cenzurę. Owszem przyznaję, teraz więcej wolno, ale wyłącznie dobrze o Żydach.

10 kwietnia 2007 roku o godzinie 9.25 w TVN 24 redaktor Miecugow rozmawia ze znanym działaczem i politykiem Romaszewskim. Temat: lustracja dziennikarzy. Dlaczego tak się upierają dziennikarze, ubolewa pan Romaszewski, i dodaje:

- No nie można być świnią. Jeśli się było za czasów komuny współpracownikiem MSW to teraz należy się przyznać i ponieść tego konsekwencje. I podaje taki przykład:

W Ameryce też był czas lustracji i ludzie popierający komunistów musieli ponieść konsekwencje. Ale była też wtedy część ludzi, która nie dała się zlustrować. I jakie były tego skutki? A no takie, że komuniści rosyjscy mieli dostęp do tych, którzy nie dali się zlustrować i to oni przekazali tajemnice bomby atomowej ruskim.

I tu Romaszewski świadomie kłamie, gdyż na ten temat kto i komu przekazał tą tajemnicę było setki artykułów w prasie, dziesiątki audycji w telewizji oraz wiele było i jest książek, które to szczegółowo opisują. I taki rozgarnięty polityk musiał to słyszeć i czytać. Ale woli uniknąć prawdy. Fakty historyczne nie są takie, jak próbuje gojom wmówić Romaszewski.

Tajemnicę bomby atomowej przekazało Żydom radzieckim małżeństwo żydowskie Rozenbergów. I to nie Rosjanom, a Berii i jego ludziom. Chcieli tak umocnić radzieckich Żydów, żeby Beria był najważniejszą osobą w państwie. Wielokrotnie telewizja pokazywała Rozenbergów i gdy dostali oboje karę śmierci, to chciano im zamienić i zmniejszyć karę, ale pod warunkiem, że powiedzą komu i jak konkretnie przekazali tą tajemnicę. Byli już skazani na komorę gazową i oczekiwali na wykonanie wyroku śmierci. W celi więziennej mieli aparat telefoniczny specjalnie dla nich tam zainstalowany. Wystarczyło tylko podnieść słuchawkę i powiedzieć, że chcą mówić. Gdyby powiedzieli - komu konkretnie dali plany bomby atomowej, to zostaliby ułaskawieni. Chciano zmienić im wyrok śmierci na wieloletnie więzienie. Dobrowolnie oboje wybrali jednak śmierć. Interes Żydów na świecie był ważniejszy niż ich życie. A pan Romaszewski wmawia nam, że z powodu nie dokończonej lustracji w Ameryce ujawniono tę tajemnicę. Poseł Jan Lityński też całe lata mówił prawdę. Mówił, że oczywiście jest Polakiem i wszyscy, którzy mówią inaczej to kłamcy. Aż tu naraz w telewizji na forum siedzi ośmiu polityków, a wśród nich jest pan Lityński. Temat rozmowy to antysemityzm Polaków. I nagle pan Komorowski mówi:

- Nie jest tak jak staracie się wmówić, jacy to Polacy są źli dla Żydów, bo żywym i namacalnym przykładem jesteś ty, Janek. Gomułka cię zdegradował ze stopnia oficera, a teraz przywrócono ci ten stopień i jesteś nawet posłem pomimo, że jesteś Żydem. - A ile lat przysięgał, że nie jest Żydem?!

Drugi przypadek to Ludwik Dorn. Też z krwi i kości Polak. A w „Angorze" i paru innych gazetach w marcu 2007 r. pokazują zdjęcia jak Dorn dał się ochrzcić i teraz to on jest stuprocentowym Polakiem.

Nie słyszałem, żeby pani Waltz, obecna prezydent Warszawy, wniosła do sądu sprawę przeciwko Wałęsie. A Wałęsa zdenerwowany, że wyrosła mu przeciwniczka do prezydentury, publicznie powiedział: - Dopiero co przeszła na naszą wiarę i jeździ na każdą mszę świętą. Myśli, że Polacy nie wiedzą kim ona jest.

Można by nie setkami, a tysiącami podawać takie przykłady.

Te bezczelne kłamstwa są groźne, bo Żydzi liczą na to, że młode pokolenie Polaków nie znające historii ostatniego wieku uwierzy w to, co oni wciskają im do głowy. Mimo że jeszcze żyją ludzie, którzy sami widzieli okres przed 1939 rokiem i okupację hitlerowską oraz obozy zagłady. Widzieli kto kogo mordował.

Mamy liczne dowody na to, że Żydzi na Zachodzie, szczególnie w Ameryce, starają się historię napisać po swojemu. I wynika z niej, że Polacy byli mordercami Żydów. Ile to razy władze w Polsce biły na alarm, gdy prasa amerykańska pisała artykuły o tym, że w Polsce - Polacy mordowali Żydów.

W archiwach są jeszcze dostępne materiały z okresu drugiej wojny światowej. W kwietniu 1942 roku organ polskich Żydów w getcie warszawskim „Żagiew" napisał:

„Po wojnie stanie się koniecznością pociągnięcie do odpowiedzialności wszystkich Żydów z Kresów Wschodnich splamionych prosowiecką kolaboracją, w wyniku której Sowieci wymordowali dziesiątki tysięcy Polaków".

A Hugo Steinhaus, słynny matematyk, pisze:

„W Wilnie Żydzi całowali wjeżdżające czołgi radzieckie i wydawali Polaków NKWD na pewną śmierć".

We Lwowie Żydzi nosili trumnę z napisem: ***„Polska umarła"*** i tańczyli, i śpiewali.

Adolf Kołodziej opisał taką oto scenę:

Przez miasteczko Białozorze pędzono polskich jeńców. Miasteczko w trzech czwartych żydowskie znajdowało się tuż przy Krzemieńcu. Kolumna polskich jeńców była opluwana i obrzucana kamieniami, a Żydzi idący obok jeńców krzyczeli: „Wy, polskie świnie, chcieliście Polski od morza do morza, teraz od rzeki do rzeki nawet jej nie macie. Zdejmijcie te koguty z czapek". Wyciągnięto z kolumny oficerów i generała. Deptano i pluto na czapki z polskim orłem. Konwojenci śmieli się i nie bronili jeńców.

Gdzie o tym można przeczytać? - „Dzieje prawdziwe" autorstwa Adolfa Kołodzieja. Autor pisze dalej, że po zdobyciu Lwowa przez Armię Czerwoną Żyd podpułkownik Jusimow wraz z innymi Żydami wymordował ponad czterdziestu polskich studentów.

Cała Polska oglądała w telewizji, jak papież Jan Paweł II modlił się na cmentarzu radzymińskim. Słuchaliśmy co mówił o poległych. Obok stali i czuli się dobrze ludzie władzy - Żydzi. Nawet jak trzeba to robili znak krzyża. A co zrobili ich bracia, gdy Polacy walczyli pod Ossowem i w Radzyminie?

Jest w Bibliotece Narodowej książka „Dzieje Polski" autorstwa Wacława Sobieskiego, dotyczy właśnie walk o Radzymin i Ossów. Możemy w niej przeczytać: „Generał Szeptycki napisał raport do naczelnego wodza Piłsudskiego

tej treści:

„Żydzi pod Radzyminem unikają walki. Mieliśmy wczoraj akt zdrady. Cały batalion z uzbrojeniem poszedł do bolszewików. Namawiają Polaków, żeby nie strzelali do czerwonoarmistów, a gen. Sosnkowski napisał długi raport, że w pierwszych dniach walk pod Radzyminem do 12 sierpnia 1920 r. uciekło do ruskich 202 żołnierzy Żydów. A w następnych dniach 411 kolejnych Żydów uciekło".

Obaj generałowie pisali o tym w raportach, a autor „Dziejów Polskich" Wacław Sobieski podsumował, że razem uciekło 1,585 żołnierzy żydowskich. Oto jak bronili kraju, który przygarnął ich, gdy inne kraje wyrzucały ich od siebie. Obecnie podnoszą lament i wrzask na świecie, ale i w Polsce też, że Polacy to antysemici i nienawidzą Żydów.

Profesor Richard C. Lukas pisze, że współpraca Żydów z radziecką bezpieką, w czasie zajęcia ziem polskich na wschodzie, spowodowała - że Polacy znienawidzili Żydów. Profesor Lukas podkreśla, że Żydzi sami sobie są winni, bo organizowali antypolskie dywersje we wrześniu 1939 roku.

Atakowali wojsko polskie w wielu miejscowościach - w miejscowościach ***Grodno, Brzostowica, Indora, Jeziora, Izbica, Uściląg, Kołomyja, Bożyszcze, Zborów Wołkowyjsk, Dzięcioł, Ostryna*** i wielu innych. Strzelano nie tylko do żołnierzy, ale i do ludności cywilnej.

Profesor Richard C. Lukas, historyk i świadek tych wydarzeń opisuje wstrząsające sceny: „**Ofiary liczono w tysiącach,** a kogo Żydzi nie zastrzelili, to zaraz po wkroczeniu Armii Czerwonej odnajdywali go i oddawali w ręce NKWD". Tenże historyk opisuje ohydne sceny mordowania polskich duchownych w wyżej wymienionych miejscowościach. Bezczeszczenie krzyża i monstrancji z hostią.

Przecież to jest nasza polska martyrologia i historia. Ale kto o tej historii będzie pamiętał? Gdzie młodzież dostanie książki o tej tematyce? Zrobienie obecnie filmu lub napisanie i wydanie książki napotyka na ogromne trudności i przeszkody. Chyba nie zrobi tego Agnieszka Holland - Polka żydowskiego pochodzenia. Ona owszem robi filmy w których gloryfikuje Żydów, bohatersko walczących z faszyzmem. Jeszcze trochę to młodym wmówią, że to oni byli zwycięzcami wojny.

17 listopada 2006 roku w programie pierwszym telewizji był wywiad z autorką wielu wartościowych książek panią Anną Bojarską. Oto co powiedziała:

„Jestem na czarnej liście i nie wolno o mnie pisać recenzji. Na tej liście jestem obok Albina Siwaka, o którym tylko źle można pisać. Na tej liście są ludzie, którzy mieli odwagę napisać prawdę o Żydach".

W tej samej audycji udział brał Ryszard Filipski, znany aktor. Znany też z tego, że miał odwagę mówić o Żydach prawdę. Nie będę przytaczał dlaczego wiele lat był na banicji w Bieszczadach jako rolnik.

Jeszcze za Polski Ludowej znałem go i często z nim rozmawiałem. I w tej audycji w telewizji powiedział, że obecnie w Polsce nie można zrobić żadnego filmu patriotycznego, gdyż nikt na to nie pozwoli. Nie dadzą pożyczki w banku na film, a bez pożyczki nikt nie zrobi filmu. Ale Polański, Holland i paru innych reżyserów, otrzymuje bez trudu każdą sumę, jaka jest im potrzebna na realizację filmu. Owszem - mówi Filipski, w telewizji podpowiadali mi:

„Zrób pan film o żydowskiej kulturze, o Holocauście, to otrzymasz pan na to pieniądze. Ale polski patriotyzm to prawie jak nacjonalizm i na to pieniędzy pan

nie dostanie".

Jest taka fundacja, która sponsoruje produkcję filmu. To Fundacja Batorego. Ale głos decydujący komu i na jaki film przyznać fundusze - należy do Bieleckiego, Suchockiej, Geremka i Bartoszewskiego. Ta fundacja daje olbrzymie pieniądze, ale na filmy antypolskie, takie które ośmieszą polską kulturę, a szczególnie religię rzymskokatolicką i duchowieństwo. Filipski kończy występ w telewizji słowami:

„Trzeba by najpierw tych co rządzą i decydują ewangelizować, ale i tak wyszedłby z tego Żyd". Dorn dał się ewangelizować, zobaczymy co z farbowanego lisa wyjdzie.

Teresa Torańska robiła parę razy ze mną reportaże, niektóre dość obszerne. Ale i ona, i jej ekipa dwoiła się i troiła, jakby mnie przygwoździć i skompromitować. Widziałem ile trudu wkładają w to, aby przyłapać mnie na czymś, co by mnie w oczach ludzi ośmieszyło i skompromitowało. Jakby filmu było mało, to pisała też do prasy artykuły o mnie. Zawsze wychodziłem w jej artykułach jako człowiek prymitywny, niedouczony i tępy.

Widzi pan - mówiła - o Wałęsie jest film „Człowiek z żelaza", a o panu można nakręcić film „Człowiek z pustaków". - Pani Tereso, po mojej trzydziestoparoletniej pracy w budownictwie zostały trwałe i liczne ślady. To tysiące mieszkań, gdzie mieszkają nie tylko moi przyjaciele i Polacy, ale i moi przeciwnicy i Żydzi. To jest moja duma i chluba tak jak i moich kolegów. Po takich dziennikarzach, jakimi wy jesteście, zostanie pusty śmiech pokoleń. A czy miałem rację oceniając źle poszczególne ekipy i formacje polityczne? Świadczy o tym dzisiejszy stan Polski i jest to uczciwa ocena.

Mnie, ciemniakowi nie zdarzyło się nigdy to, co zademonstrowali bracia Kaczyńscy. Oto polski prezydent, składając wizytę w innym kraju, marynarkę zapiął o dwa guziki wyżej. Jak wyglądał? Polacy mieli okazję zobaczyć to sami. Albo scena, kiedy podaje papieżowi kwiaty korzeniami do góry.

A podczas jego wizyty w Izraelu, gdy oficjalnie przemawia i cała sala ludzi słucha i patrzy, a telewizje transmitują to na cały świat, dzwoni mu w kieszeni komórka. Prezydent wyciąga ją i przez długi czas nie potrafi wyłączyć. Dopiero jego żona podbiega, odbiera aparat z jego rąk i wyłącza go. A w Polsce za parę minut w „Wiadomościach mówią: „Czy nie ma w otoczeniu ludzi, którzy by go nauczyli obsługi telefonu?".

Na jednej z uroczystości Prezydent idzie wraz z generałem przed Kompanią Reprezentacyjną i co? Ano to, że gdyby go nie zatrzymał idący obok generał to poszedłby hen daleko, być może w pole.

Nawet takie problemy jak nadanie statusu miejscu, gdzie ginęli Polacy w czasie okupacji jest trudne, a może i nieosiągalne. Na przykład, pod Łodzią w Konstantynowie zginęło z wyczerpania bardzo dużo Polaków, ale nie było tam Żydów. Gdyby tam zginęli Żydzi to byłby to obóz koncentracyjny. Ale nie było ich tam i satysfakcji Polakom nie damy. Pani Marianna Grynia walczy od lat, żeby uznano miejsce za obóz koncentracyjny, gdyż w latach okupacji siedziała w tym obozie i widziała jak ginęli tam ludzie. Ginęli z głodu, zimna i brudu. Mężczyźni, ale i kobiety z dziećmi oraz starcy. Dziś wielu urzędników, od których zależy przyznanie statusu obozu zagłady mówi, że za mało tam ofiar, jak na obóz zagłady. Ale ci sami urzędnicy, gdy Żydzi załatwiają to, by upamiętnić miejsce, gdzie zginęło paru z nich, na wyścigi robią tak, jak Żydzi chcą. Ale w

Konstantynowie byli tylko Polacy.

Obecnie kolejne rządy wcale się nie kryją, że przyznają duże pieniądze na renowację żydowskich cmentarzy. Na odbudowę synagog i bożnic. W miejscach, gdzie Żydzi ginęli muszą być tablice i kwiaty. Są już ogłoszone projekty, że w Warszawie wybuduje się wielki kompleks muzealno-pomnikowy i zajmie on duży teren. Czy będzie zbudowany za polskie pieniądze? Oczywiście, że tak. Tysiące cmentarzy polskich patriotów różnych formacji, które toczyły walkę na śmierć i życie, zarastają krzaki i trawa. Setki miejsc kaźni Polaków zarosła trawa.

Zatracamy tożsamość narodową, pozwalamy pisać historię naszym katom. W dodatku godzimy się na to za judaszowe pieniądze i awanse. Żydzi, zrobią to rękoma Polaków. Ja często podziwiam spryt i przewrotność Żydów. Potrafią tak odwrócić kota ogonem, że ludzie w to wierzą.

W latach 1980-88 powstał w MSW zespół ludzi do sprawdzenia pochodzenia narodowego około 1700 osób. Ten zespół był oczywiście nielegalny, powołany bez wiedzy i akceptacji ze strony Kiszczaka i Jaruzelskiego. Wybrano i zaprzysiężono grupę ludzi sprawdzonych i wiernych idei, jaka przyświecała inspiratorom tego pomysłu. Przez dwa lata grupa pracowała dobrze i miała już dużą ilość materiału. Sięgano nie o jedną zmianę nazwiska do tyłu, lecz o dwie, gdyż np. wałbrzyski komitet centralny Żydów zalecił dwa razy zmieniać nazwiska. Praca była mozolna i trudna, ale wykonalna.

I jak to w życiu bywa, czasami zwykły przypadek może pokrzyżować plany. Praca była prawie na ukończeniu, ale grupa oficerów postanowiła sprawdzić również Jaruzelskiego. Wiadomo przecież, gdzie żyli Jaruzelscy przed wojną i tam też pojechali sprawdzić. Trzech oficerów pokazało oficjalnie proboszczowi swoje legitymacje służbowe i poprosili go o księgi gdzie odnotowano wszystkie chrzty. Ksiądz od pierwszej chwili okazał się bardzo usłużny i przyjazny. Na dowód powiedział: - Ja panowie pomagam już wiele lat waszej firmie i wymienił nazwisko oficera prowadzącego. Mam do panów dużą prośbę. Otóż ja przewodniczę tu paru różnym komitetom. Od budowy wodociągów do budowy drogi. A ostatnio gazyfikujemy gminę, ale nie możemy kupić rur. Skoro ja panom pomagam to i wy pomóżcie mnie. Załatwcie mi te rury do gazu. I tu wpadł jeden z oficerów na pomysł, jak księdzu pomóc, samemu się nie dotykając do tej sprawy.

Jest w Komitecie Centralnym taka komisja co to załatwia i podał moje nazwisko i funkcję. - Jak ten ksiądz przeszedł tych co pilnują wejścia - nie wiem. Fakt, że znalazł się w środku gmachu KC. Traf chciał, że szedł korytarzem Czyrek, który nie mógł wyjść z podziwu, że ksiądz chodzi po gmachu i zagląda do gabinetów. Zatrzymał go i pyta co tu robi. Ksiądz szczerze powiedział, że szuka Siwaka, bo ten podobno może załatwić rury. - A kto to księdzu powiedział? - spytał Czyrek? A trzej oficerowie co sprawdzali akta urodzeń u mnie w parafii. I tak sprawa się wydała. Dobrze, że ksiądz nie spisał sobie legitymacji, a nazwisk oficerów nie pamiętał.

No i przyszedł do mnie, ja nie byłem nigdy sam. A ksiądz już od progu powiada, że popiera ustrój i że współpracuje z MSW. Przerwałem mu i mówię, żeby wyszedł na korytarz. Na korytarzu mówię mu, że nie wolno mu nikomu o tym mówić, że współpracuje z MSW. - A ja myślałem, że panowie to jakby jedna wielka firma i wszystko o sobie wiecie – usprawiedliwiał się ksiądz. - To nieprawda, są różne formacje polityczne, które zaraz to wykorzystają. Rury mu załatwiłem, bo to przecież dla ludzi robił, a nie dla siebie.

Grupa oficerów musiała na tym zakończyć, gdyż Czyrek spowodował trzęsienie ziemi w MSW. Teraz jeden drugiego śledził. Ale duży dokument w formie książeczki zrobili. Było w tym dokumencie 1700 nazwisk z rodowodem dokładnie sprawdzonym.

I tu Żydzi zadziałali bardzo chytrze. Wydali taką samą książeczkę. Taki sam papier i czcionkę. Te same symbole w tytule. Ale zawierał już nie 1700 nazwisk, a 2500. Wsadzili między Żydów - rdzennych Polaków.

Osobiście znałem wielu z tych nowo umieszczonych w tej broszurze. Słusznie wykombinowali, że ludzie tam umieszczeni wściekną się i będą chcieli to wyjaśnić. I o to właśnie chodziło. Druga sprawa to fakt, że wielu posiadaczy tej żydowskiej broszury zareagowało w taki sposób: „To niewiarygodna książka, bo są tu Polacy też zapisani". Czyli suma summarum, jak mówią, zrobili tak, że ludzie nie wierzyli w ten spis i przestali się interesować sprawą uważając, że jest to kłamstwo i oszczerstwo. Kto by na to wpadł, że właśnie tak trzeba zrobić. Nawet sam H. Pająk, autor wielu książek, korzystał z tej fałszywej broszury. [...]

[...] Norman Davies w swojej książce „Orzeł biały i czerwona gwiazda" pisze: „Zbierając materiał do książki musiałem rozmawiać z dużą ilością świadków zdarzeń, które opisuję. Prawdą jest, że Żydzi kolaborowali z NKWD. Prawdą jest, że masowo wstępowali do tej organizacji, która dokonała największego ludobójstwa w Rosji i w Polsce. Prawdą jest również, że każdy Żyd, z którym o tym rozmawiałem przekręcał fakty i wybielał Żydów".

W swojej przedmowie Norman Davies opisuje, jak odszukał dwóch Żydów w Izraelu, którzy zostali sfotografowani przy egzekucji Polaków na Kresach. Mówi im, że to niepodważalne, że to właśnie oni są na zdjęciu.

Ale oni idą w zaparte. A nazwiska i imiona nie są wasze? Nasze, ale ktoś na złość nam mógł podać nasze nazwiska. - No, ale na zdjęciach widać, że to wy. - A bo to nie ma podobnych ludzi do siebie na świecie - mówili. - No dobrze, a co powiecie na to, i wyciągnął kserokopię ich podpisów na listach do wywózki ludzi na Wschód i porównał z ich aktualnymi podpisami. Pierwsza ich reakcja to pytanie, kto pozwolił sprawdzić ich podpisy w Izraelu. Potem stwierdzili, że to są oczywiście podrobione podpisy i więcej rozmawiać nie będą.

Norman Davies opisuje również wojnę 1920 r. Pisze, że oficer nadzorujący zakładanie drutu kolczastego przez oddział złożony z Żydów zauważył, że utopili oni w stawie parę ton tego drutu, a zasieki, które zbudowali, dziecko mogłoby gołymi rękoma zdjąć. Złożył oficjalny raport, że Żydzi sabotują pracę, jaką im rozkazem się nakazuje. Walczyć na pierwszej linii też nie chcą. Oni robią wszystko, żeby bolszewicy zdobyli Warszawę - zakończył swój raport.

Inny oficer złożył meldunek do generała Szeptyckiego, że w nocy Żydzi uszkodzili kilka działek i parę wozów z taboru zaopatrzenia. Złapani na gorącym uczynku mieli być przewiezieni do Warszawy do sądu. Ale inni Żydzi otworzyli areszt i wypuścili, po czym wszyscy uciekli do bolszewików. Chyba autora „Orła białego i czerwonej gwiazdy" nie można posądzać o fałsz i kłamstwo. Ale tych faktów i wielu innych epizodów z obrony Warszawy nasi przywódcy nie przytoczą. Wybiorą wyłącznie te, które im pasują do ich wersji obrony Warszawy.

Rozdział XX

DRUSKIENNIKI

Często na wiele decyzji, które w życiu człowieka są bardzo ważne mają wpływ różne zdarzenia i przypadki. Tak też było z moim wyjazdem do sanatorium w Druskiennikach na Litwie. Znajomi, którzy jeździli tam każdego roku, bardzo chwalili tam niskie ceny usług leczniczych i pobytu. „No, i jak pięknie jest nad Niemnem, jakie powietrze i jak mili ludzie" - zachęcali mnie do wyjazdu. Doczytałem się w przewodniku, że Druskienniki już przed wojną były znanym na skalę światową kurortem, a ich borowiny są jednymi z najlepszych. Tak więc namówiłem żonę i pojechaliśmy.

Rzeczywiście miejsce było urokliwe, dokoła czyste powietrze, bo nawet piekarnie poza miasto wyprowadzono, żadnego dymu, żadnych smrodów. Litewskie Druskienniki w czasach Związku Radzieckiego stały się z małego, drewnianego miasteczka olbrzymim kurortem o nowoczesnej, wysokiej zabudowie; nowe ośrodki przeważnie powstawały w lesie. Kompleksowe sanatoria, te w mieście i te poza miastem, mogły przyjąć od dwunastu do trzynastu tysięcy kuracjuszy. Aby wygodnie dojechać tam z każdego miejsca w Związku Radzieckim wybudowano w Druskiennikach nowoczesne lotnisko (obecnie jest ono zamknięte, ale za rok ma być ponownie uruchomione z uwagi na rosnące zainteresowanie tym miejscem turystów zagranicznych). Na rozbudowę lotniska, jak i na budowę najnowocześniejszego w Europie aquaparku, pozyskano fundusze z organizacji międzynarodowych. Stare Druskienniki z ich pensjonatami i sanatoriami to perełka architektury drewnianej, bo przed wojną Litwini posiadali zdolności ciesielskie i stolarskie na poziomie artystycznym. Nic dziwnego, że widzi się tu grupy turystów spacerujących po starych uliczkach i fotografujących te cuda architektury drewnianej.

Dziś niestety nie ma już rzemieślników, którzy potrafiliby naprawić ozdobne elewacje budynków. Także tutaj wielka płyta i budownictwo przemysłowe wymusiły naukę rzemiosła, ale w betonie i cegle. Mimo to jeszcze przez wiele lat, dopóki to przedwojenne drewno nie zbutwieje, będzie ozdobą starych Druskiennik.

Mieszkaliśmy z żoną w najładniejszej części miasta, na najwyższej skarpie nad Niemnem. Jest tam ławeczka, na której podobno siadywał i rozmyślał Piłsudski. Obok jest też bardzo stary dąb, przy którym stał kiedyś drewniany domek, w którym on mieszkał. Litwini, gdy uznali Piłsudskiego za zdrajcę ojczyzny, spalili ten domek; podpalali też kilka razy dąb, który obecnie jest leczony i chroniony. Także ławeczka na której siadywał Piłsudski była wielokrotnie niszczona i wrzucana do rzeki. O tym wszystkim można dowiedzieć się od przewodników wycieczek, które obowiązkowo odwiedzają te miejsce.

Za czasów Związku Radzieckiego wybudowano w tym rejonie ponad 250 km ścieżek rowerowych, dziesiątki restauracji i barów w lesie i nad jeziorem. Obiekty te nie są wykorzystywane nawet w połowie. Wygląda na to, że Litwini dopiero teraz zrozumieli, że turystyka to dochodowa gałąź gospodarki narodowej, dlatego zaczynają dbać o infrastrukturę i zabiegać o klientów.

Podczas naszego pobytu do południa mieliśmy czas wypełniony zabiegami, ale po południu sam zapuszczałem się daleko poza miasto. Interesowały mnie duże miasta-satelity Druskiennik, sanatoria zbudowane wraz ze wszystkim, co jest

niezbędne dla rozrywki. Okazuje się, że świat jest mały i wszędzie można spotkać znajomych. Tu też zaczepiano mnie i pytano czy ja to ten Siwak z końcowej fazy Polski Ludowej, ale nie obawiałem się ze strony tych ludzi nieprzyjemności.

Do sanatoriów w Druskiennikach przyjeżdża też wielu kuracjuszy z Rosji. Na ulicach i w miejscach publicznych słyszy się język rosyjski równie często jak litewski i polski. Pewnego razu, zmęczony wielokilometrowym marszem, usiadłem przy stoliku obok lokalu, gdzie serwowano miejscowe napoje i przysmaki. Większość gości siedziała na zewnątrz, gdyż dzień był pogodny i ciepły. Obok mnie usiadło dwoje starszych ludzi, którzy rozmawiali po rosyjsku. Starszy pan z uporem mi się przyglądał. Odwróciłem się od nich plecami i usłyszałem wtedy, że kobieta mówi do tego natręta, który mi się przyglądał: „Mnóstwo ludzi jest podobnych do siebie. Daj spokój, nie zaczepiaj człowieka". Wstali i wyszli już na ulicę, w końcu starszy pan mówi: „Jeśli to ten, o którym myślę to łatwo go rozpoznać. Nie miał palców u prawej ręki. Pójdę i zapytam". Mimo, że kobieta szarpała go za rękaw, on zostawił ją na chodniku i szedł z powrotem w moim kierunku. Siedziałem nadal, czekając aż wyminie kilka stolików i podejdzie do mnie. Nikogo ze znajomych Rosjan mi nie przypominał. Stanął przy mnie i po rosyjsku powiedział, że bardzo mnie przeprasza, ale wydaje mu się, ze spotkaliśmy się dwukrotnie w Mińsku, u pierwszego sekretarza na Białorusi i członka Biura Politycznego Maszerowa, gdzie prowadziliśmy długie i ciekawe rozmowy. Mówił mi o faktach, które rzeczywiście miały miejsce. Wstałem więc i podając mu rękę powiedziałem:

- Tak, bywałem u Maszerowa, ale pana nie pamiętam.

On, trzymając przez chwilę moją rękę, stwierdził:

- Teraz, widząc pana rękę, mam pewność. Nazywa się pan Siwak. Często rozmawiamy o panu ze znajomymi, byliśmy ciekawi pańskich losów. Jestem jednym z tych generałów, którzy przyjechali na imieniny żony Maszerowa.

Współpracowaliśmy z Piotrem Kostikowem na Kremlu. To były lata 1981-1985, jakby nie liczyć, to upłynęło ponad dwadzieścia lat. Widywałem go jedynie w mundurze, a teraz stał przede mną starszy pan w ubraniu cywilnym. Obaj zmieniliśmy się bardzo i ja nigdy bym go nie rozpoznał. Zapytał mnie, gdzie mieszkam w Druskiennikach i jak długo jeszcze tam będę. Obaj mieliśmy jeszcze przed sobą dwa tygodnie pobytu, więc umówiliśmy się, że on przyjedzie do mnie do sanatorium. Przypominałem sobie, że za czasów Gorbaczowa obaj generałowie, którzy gościli u Maszerowa, reprezentowali poglądy narodowe i pracowali w wywiadzie oraz w kontrwywiadzie. Rzeczywiście wtedy prowadziliśmy nie tylko ciekawe rozmowy, ale i rozmowy niebezpieczne. Myślę, że obecnie jest za stary – to raz, a drugie, to podsumowano już tych z czasów Związku Radzieckiego i obecnie młode pokolenie Rosjan pełni funkcje, które kiedyś pełnili obaj generałowie.

Następnego dnia po obiedzie odnalazł mnie i poszliśmy na długi spacer wzdłuż Niemna. Przypomniał mi, że zwracaliśmy się kiedyś do siebie po imieniu i zaproponował, żeby znów tak o siebie mówić. Tyle, że ja nie wiedziałem do tej pory, który z tych dwóch generałów jest teraz moim rozmówcą. On uśmiechnął się i powiedział: „Alosza, tak do mnie mówiłeś jak Maszerow i Kostikow nas zapoznali". Po krótkiej rozmowie wyjaśniliśmy sobie, że obaj jesteśmy od kilku lat emerytami, a to, co się dzieje na świecie, a w szczególności w naszych krajach, żywo nas interesuje.

„Popatrz i zastanów się w jakich czasach żyjemy – zwrócił się do mnie – największe, najpotężniejsze państwo świata bez ważkich powodów atakuje mniejsze i dużo słabsze państwa. Robi to w myśl ubzduranej racji stanu. Mam tu na myśli republiki jugosłowiańskie. Jest to wyraźny gwałt jednego państwa nad innym. Rozpętali tam taką nienawiść jednych wobec drugich, że teraz tylko dostarczają im broń, a oni się nawzajem mordują. Żeby było dziwniej to Ameryka żąda poszanowania praw człowieka, tego który jest im bliższy, a innych można mordować".

Jako przykład przypomniał mi Alosza, że świat obiegła wiadomość o tym, jak Amerykanie w obozach jenieckich w Iraku w perfidny sposób znęcali się nad więźniami. „Doszło do tego, że wszczęto procesy sądowe i ukarano winnych tych zbrodni. W telewizji pokazano, jak żołnierze amerykańscy w meczecie dobijali rannych i tych, którzy błagali o życie".

„Tak to prawda – mówię Aloszy. Jednak i wy, Rosjanie, nie zapisaliście się chwalebnie w Afganistanie. I świat także obiegły te wiadomości – dodaję. On na to:

„Pamiętasz jak u nas i u was nagradzano ludzi za dobrą pracę i dobre wyniki? - spytał mnie. A popatrz co się dzieje obecnie. Globalna polityka prowadzona jest tak, że np. w Polsce, ale też i w innych krajach, płaci się rolnikom za nieobsiewanie ziemi albo za zalesienie. Tymczasem na świecie ludzie milionami umierają z głodu. I apele waszego rodaka, papieża, nie trafiają do rządzących, żeby podzielić się z głodującymi. Telewizja pokazuje, że w samej Etiopii rocznie umiera z głodu 130 tysięcy dzieci. Ale są w Afryce kraje, gdzie roczne zgony liczy się w milionach. I co? Nic! Bo rządzi światowa masoneria i liczy się pieniądz, a nie miłosierdzie, o które prosi papież".

Za chwilę ciągnie:

„Powiem ci, że dawniej wojny i polityka były skutecznymi narzędziami w rękach polityków, ale dziś, kiedy broń jądrowa czyni wojny nieprawdopodobnymi na wielką skalę, zinstytucjonalizowana religia jest w odwrocie. To ekonomia, władza pieniądza stała się metodą kontrolowania mas preferowaną przez wewnętrzne kręgi tajemniczych stowarzyszeń. Cóż więc robić w naszej erze duchowego ubóstwa i materialnego bogactwa? Wiedz, mój przyjacielu – mówi Alosza – wiedza jest rzeczywistą potęgą. Myślę, że kiedyś, i to niedługo, ta wiedza zwycięży z siłami, które dążą do dominacji, siejąc strach i niezgodę. Tej wiedzy w ostatnim stuleciu boją się wszyscy z tajnych stowarzyszeń masonerii i żydostwa. Musi przyjść czas prawdy o naszej rosyjskiej przeszłości i o naszych sąsiadach, o tym, kto naprawdę rządził i mordował, kto obecnie czuwa nad całym światem, by nie pisano i nie mówiono o tym, kto starannie zaciera ślady i przekręca historię pod swoją politykę. Dziś obok wiedzy niezbędnej dla ludzi, by nie błądzili po omacku, potrzebna jest też miłość do swojej ojczyzny. Trzeba kochać swój kraj, być czujnym na przejawy kłamstwa i obłudy. Nie dać się manipulować zręcznym politykom, którzy zrobią wszystko, żebyśmy wyraźnie nie widzieli ich podłości. Trzeba korzystać z superkomputera, jakim obdarzył na Bóg, czyli z własnego rozumu, własnego serca i duszy" - mówił.

Gdy skończył, ja zwracam się do niego:

„Słuchaj Alosza, mam do ciebie prośbę. Przecież ty należałeś do ludzi, którzy wiedzą najwięcej o strasznych zbrodniach u was, w Rosji i w Związku Radzieckim. Ile jest prawdy w tym, że Żydzi uśmiercili Stalina i nie tylko jego, ale i setki osób z

kręgu władzy? I że Stalin miał zamiar dokonać radykalnej czystki i odsunąć Żydów od władzy? Te wszystkie wiadomości były, między innymi, w twoich rękach. Powiedz więc, proszę, co jest prawdą, a co kłamstwem lub plotką".

Spojrzał na zegarek i stwierdził: „Dziś jest za późno, żeby ci wszystko wyjaśnić. To wymaga kilku dobrych godzin. W niedzielę nie mam zabiegów, to umówmy się z samego rana".

Na tym stanęło. W niedzielę tuż po śniadaniu poszedłem do lasu nad Niemnem. Piękna, wielokilometrowa aleja z ławkami do odpoczynku. Alosza z daleka mnie zauważył i machał ręka .

„Pytałeś – zaczął od razu Alosza – o zamiary Stalina wobec Żydów. On ich nigdy nie lubił, musiał ich jednak tolerować i robić dobrą minę do złej gry, gdyż NKWD i wszystkie organizacje śledcze były ogromna siłą. Od samego początku systemu Żydzi w niezwykle mądry sposób wzięli niemal całą władzę partyjną i służby bezpieczeństwa w swoje ręce. Nawet jeśli w strukturach władzy byli Rosjanie, to oni musieli się cieszyć zaufaniem Żydów. Tuż po II Wojnie Światowej, gdy Gomułka u was tworzył nowy rząd, kiedy przyjechał do Moskwy z pierwszą wizytą, przestraszył się Żydów w Związku Patriotów Polskich. Jak wiadomo uformowali oni, na czele z Wandą Wasilewską, nowy polski rząd w Moskwie. Ten rząd miał jechać tuż za frontem i gdy znaczna część Polski zostanie wyzwolona, miał zacząć rządzić. Pewnie wiesz, że tylko trzech Polaków było w tym rządzie, a reszta to Żydzi. Stalin widząc strach w oczach Gomułki powiedział, że rozwiąże ten problem. Chciał zebrać parę tysięcy polskich Żydów, którzy byli w Związku Radzieckim i wywieźć ich na Wyspy Sołowieckie. Gomułka się nie zgodził, za co po poru latach zapłacił więzieniem i odsunięciem od władzy. Chodziło tu jednak o Żydów polskich. A nasi Żydzi byli niezwykle dobrze usadowieni wszędzie tam, gdzie zapadały ważne decyzje. Nie było takiej instytucji, gdzie by oni nie byli na kierowniczych stanowiskach. Śmierć Stalina została przyspieszona za sprawą Żydów, kiedy Stalin zaczął ich podejrzewać o dostarczanie wiadomości Mossadowi izraelskiemu. Mossad zaś miał umowę o współpracy z CIA, największą amerykańską centralą wywiadu.

Był też dowód – mówił Alosza – na przekazanie tajemnicy o bombie atomowej, ale nie Armii Czerwonej, ale Berii. Żydzi chcieli jeszcze bardziej Berię umocnić, nosili się bowiem z zamiarem wyeliminowania Stalina i Rosjan z Kremla, a następnie do całkowitego przejęcia władzy. Stalin zaczął więc stopniowo usuwać Żydów ze swego otoczenia. Pomógł mu zresztą w tym przypadek, a ściślej mówiąc seria przypadków. Dostojnicy partyjni i wojskowi leczeni przez lekarzy Żydów zaczęli nagle masowo umierać. Stalin doszedł do wniosku, że to musi być plan, który Żydzi konsekwentnie realizują, a przecież też sam miał lekarzy Żydów.

I tu muszę ci powiedzieć – mówił Alosza – że Stalin się nie mylił. Był to arcymistrzowski, chytry plan, ale nasz wywiad wojskowy go rozpracował i dobrze wiedział, co on miał na celu. Ale i oni nie spali. Upewnili się, że Stalin ma wobec nich złe zamiary, bo jednocześnie rozpoczęła się wywózka Żydów na Daleki Wschód. Pierwszych 1300 osób zostało wywiezionych na dziewicze tereny, które, jak utrzymywano, rzekomo wymagają ich pomocy w zagospodarowaniu. Nie wieziono ich w bydlęcych wagonach, jak to oni robili z nami, pociągi były osobowe i z bufetem. Jednak decyzja o przesiedleniu przelała czarę goryczy Żydów. Jednocześnie w Biurze Politycznym zapadła decyzja, iż dozwala się na wjazd na daczę Stalina tylko tym osobom, które mają przepustki podpisane osobiście przez Berię. Było to motywowane potrzebą skutecznej ochrony Stalina. Plan był

mistrzowski, bo wystarczało nie udzielić pomocy Stalinowi, a i bez tego by umarł. Jak zapewne wiesz nie udzielono mu pomocy, bo Beria ukrył się w Moskwie i nie mógł podpisać przepustki. Liczono, że po śmierci Stalina, władze obejmie właśnie Beria. Wraz z członkami Komitetu Centralnego dokonywano podstępnego planu, by Beria w wyborach uzyskał zdecydowaną większość głosów. Jednak strona rosyjska także była czujna. Znając plan Berii nasze służby dzień i noc pracowały nad tym, aby Beria nie zrealizował swych zamiarów. I jak wiesz nie udało się Berii zrealizować celu. Co zasmuciło Żydów w Ameryce i w Izraelu. Nie ukrywali swojej irytacji i teraz również tego nie potrafią.

Marszałek Żukow na Posiedzeniu Biura Politycznego wcielił w życie swój dobrze opracowany plan i Berię zabito, a jego resort oczyszczono z Żydów" – powiedział Alosza.

- Tak, to wiem od samego marszałka Kulikowa, który brał udział w tym przedsięwzięciu. Czyli ty, Alosza, twierdzisz, bo ja to tak zrozumiałem, że gdyby Stalin żył jeszcze kilka lat, to zrobiłby niejako rewolucję i oczyścił całą Rosję z Żydów? - spytałem – jeśli się mylę to powiedz.

„Nie, nie mylisz się – odpowiedział Alosza – nastąpiłoby to pod koniec 1953 roku, a jeśli nie, to już na początku 1954 roku na pewno. Wiem – ciągnął – jakie były nastroje i atmosfera w armii. Wiedzieliśmy, że ludzie to poprą, jeśli powie się dokładnie o co chodzi. Społeczeństwo miało już dosyć represji i panoszenia się Żydów. Wybrano jednak inną drogę, żeby rozwiązać ten bolesny problem. Ponieważ sami Żydzi doszli do wniosku, że zaczną się śledztwa i że w ich toku wyjdzie na światło dzienne potworna ilość ofiar i zbrodni jakich dokonali, postanowili czym prędzej uciekać z Rosji. I wtedy wycofano się z planu rozliczania Żydów za ich zbrodnie. Pozwalano im uciekać na wszelkie sposoby, nawet pomagając im w tzw. powietrznym moście do Izraela. Wy, Polacy, przejęliście ponad 300 tysięcy naszych Żydów. Niemałe znaczenie przy podejmowaniu tej decyzji miał fakt, że nasze nowe władze nie chciały zaogniać sytuacji na Zachodzie, gdzie jak wiemy Żydzi odgrywają bardzo ważną rolę w polityce. Wszystko więc odbyło się bezboleśnie dla Żydów. Teraz zaś musimy im uważnie patrzeć na ręce, żeby nie sięgnęli po naszą ropę i gaz. Sam widzisz, jak urabiają opinię o Białorusi, gdzie Łukaszenka nie pozwoli niczego Żydom sprzedać. U was, w Polsce, telewizja i prasa robią z tego Łukaszenki łotra, a ludzie na Białorusi oceniają go całkiem inaczej. Protestujących zawsze się znajdzie, tym bardziej, że są na Zachodzie i w Polsce instytucje, tzw. „żony Balcerowicza", które finansują tych, co protestują. Zawsze znajdą się ludzie, którzy zamiast pracy wybiorą dobrze opłaconą opozycję. Zachodowi jest na rękę dawać pieniądze za opozycję, żeby móc krzyczeć na cały świat, że łamie się prawo. Ale jak faktycznie oni sami je łamią, to ludzie mogą od czasu do czasu zobaczyć na filmach" - wyjaśnią Alosza.

Pamiętam w jakich służbach pracował Alosza. Maszerow nieraz mi mówił: „Masz okazję, to ją wykorzystaj. Pytaj go – jeśli może, to opowie". Teraz tu nad Niemnem, po dwudziestu paru latach od tych dni u Maszerowa, zadałem Aloszy pytanie:

- Co możesz teraz powiedzieć mi o wymordowaniu polskich oficerów w Katyniu?

- Mogę, i to dużo, ale ty i twoi rodacy możecie w to nie uwierzyć

- Mimo, że tak myślisz, to jednak powiedz mi – poprosiłem.

- „Katyń miał odegrać i na pewno by odegrał swoją rolę, gdyby nie atak

Żukowa na NKWD. Katyń to był mistrzowski plan Berii i jego ludzi. Po pierwsze, to w Katyniu nie zginął ani jeden Żyd z polskiego wojska. Za kadencji Chruszczowa kontrwywiad otrzymał pilne zadanie przesłuchania wszystkich funkcjonariuszy NKWD, którzy wykonywali [*egzekucje - ZRK*] polskich oficerów. Oni pod groźbą prawnych i karnych sankcji zeznawali nam prawdę. Ja przecież nadzorowałem te przesłuchania i wszystkie protokoły czytałem. Gdy wzięliśmy do niewoli wasze wojsko, to wśród Polaków byli też i Żydzi. Ale w Ostaszkowie, Kozielsku i Starobielsku, zgodnie z dyrektywą Berii, przeprowadzono selekcje i każdy Żyd natychmiast był zabrany, umundurowany i wcielony do NKWD.

Teraz posłuchaj mnie uważnie – poprosił Alosza – Przecież były w pobliżu inne obozy z polskimi oficerami. Podlegali oni pod to samo dowództwo NKWD, które w pobliżu, w domach wypoczynkowych, miało swój sztab. Ten sam komendant NKWD, który miał nadzór nad oficerami i miał ich ewidencję, dostał polecenie, żeby wypuścić i dać prowiant na drogę dziewięciu tysiącom oficerów, którzy zasilili armię generała Sikorskiego tworzoną w 1942 roku. Wśród wypuszczonych i ocalałych był gen. Władysław Anders. Dlaczego te 9000 oficerów ocalało? Uzbrojono ich i dano możliwość wyjścia z ZSRR? Bo do planów Berii potrzebna była konkretna ilość osób do konkretnego celu. Obecnie masowe ekshumacje potwierdzają, że wszyscy oficerowie mieli na sobie pełne kompletne umundurowanie, dystynkcje oficerskie i medale. Pozostawiono wszystkim pomordowanym ich zdjęcia rodzinne, listy i nawet pamiętniki. W okresie, gdy Armia Czerwona chodziła prawie boso, nie zdjęto ani jednej pary butów. Bo Beria i jego ludzie zakładali, że może być taka sytuacja, że państwa zachodnie odnajdą pomordowanych, że zidentyfikowani będą stanowić dowód zbrodni Stalina i w tej sytuacji będzie musiał odejść od władzy.

- Usiądź – poprosił mnie Alosza - jestem roztrzęsiony tym, co mówię.

- Powiedz mi – zwróciłem się do Aloszy - mówisz, że w Katyniu nie zginął ani jeden Żyd. A obecnie wśród krzyży są też gwiazdy Dawida.

- „W tej sprawie była bardzo konkretna dyrektywa z Moskwy do komendantów obozów. W czasie egzekucji polskich oficerów enkawudziści Żydzi wkładali do ubrań zabitych swoje stare dokumenty, a zabierali polskie i komisyjnie niszczyli. Otrzymywali zaraz inne papiery na inne niż ich nazwiska. Takie operacje zostały potwierdzone w czasie przesłuchań w Moskwie i są udokumentowane w naszych archiwach".

- Powiedz mi Alosza, czy ci, co przeprowadzali egzekucje to byli wyłącznie Żydzi?

- „Nie, byli też Rosjanie. A więc wasi oficerowie byli elementem walki o władzę na Kremlu, tylko że Żukow w 1953 roku zastrzelił Berię na posiedzeniu Biura Politycznego".

Milczeliśmy obaj długo patrząc jak Niemen wije się w lesie i płynie.

- „Co, nie wierzysz mi? - spytał Alosza – Wszystko, co powiedziałeś mi dwadzieścia siedem lat temu u Maszerowa sprawdziło się. Myślę, że musi nadejść taki czas, że uczciwi i obiektywni historycy napiszą prawdę bez strachu o życie. Obecnie ta prawda jest dobrze ukrywana i jeślibyś z nią wyszedł do ludzi, to zrobią z ciebie wariata. Ironią losu był fakt, że pierwsza bitwa pierwszej polskiej dywizji pod Lenino miała miejsce, w prostej linii przez las, 20-30 km od miejsca, gdzie spoczywają pomordowani Polacy".

Nasi żołnierze nawet nie wiedzieli, że idąc do ataku na Niemców, idąc bojem do

Polski przeszli po mogiłach swoich kolegów.

Spotkaliśmy się z Aloszą jeszcze kilka razy. Wiedział, co Brzeziński napisał w swoich książkach, o tym jak rozczłonkować Rosję na małe regiony, znał wypowiedzi amerykańskiego sekretarza stanu Madeleine Albright.

„To się nie uda – mówił Alosza - bo oni nie znają narodu rosyjskiego, tego do jakich ofiar jest zdolny, gdy coś mu zagraża. A i z nowymi typami broni jest u nas dobrze. Jest teraz u nas podobnie jak za czasów Związku Radzieckiego, to znaczy, że może brakować pieniędzy na wiele rzeczy, ale nie na nowoczesną broń. U nas Żydzi, oczywiście, mogą żyć, będą jednak obserwowani i już nigdy nie osiągną tego co zamierzali".

„Natomiast, wy w Polsce – powiedział wtedy Alosza - macie ich u siebie sporo i to w każdej partii politycznej. Ktokolwiek nie wygrałby w Polsce wyborów, Żydzi i tak będą mieli ogromny wpływ na wasza politykę".

Dowiedziałem się od Aloszy wielu bardzo ciekawych historii. Kilka miesięcy później obejrzałem w telewizji film dokumentalny, w który radzieccy Żydzi mówili o tym samym, co Alosza, tylko że oni robili to ze swego punktu widzenia. Opowiadali, że to Stalin dokonywał zbrodni na Żydach, a nie oni na Rosjanach.

Rozdział XXI

KTO MIECZEM WOJUJE OD MIECZA GINIE

Mądre przysłowie: „Kto mieczem wojuje od miecza ginie” sprawdziło się setki razy w polskiej historii, odkąd ją spisano. Możemy je odnieść także do ostatniej dekady polskich problemów i będzie pasowało jak ulał. Choćby głośne odejście z SLD Leszka Millera, który 18 września 2007 roku oficjalnie oddał legitymację partyjną. Powód? Urażona duma i wielka ambicja. Kierownictwo SLD i osobiście Kwaśniewski zadecydowali, że nie może on figurować zarówno na liście wyborczej do Sejmu, jak i do Senatu. I słusznie! Zwłaszcza, że to właśnie Miller zadał niemal śmiertelny cios polskiej lewicy. To on, sprawując niepodzielną władzę, przymykał oczy na niewłaściwych ludzi w swoim otoczeniu. Na swoje nieszczęście dobrał sobie prawie samych łotrów, którzy bez skrupułów realizowali swoje prywatne cele, nie licząc się w ogóle ze statutem partii i z prawem.

W jego najbliższym otoczeniu byli tacy ludzie jak Wiatrowie, ojciec i syn, którzy mieli za sobą liczne nieuczciwe interesy i łamanie prawa. Tacy jak Piłat, który był specjalistą od wyborów. Wieteska, który uratował się od sądu, gdy nastąpiło załamanie się ustroju, a jako prawnik na zebraniu wyborczym przy Rozbrat publicznie stwierdził: „W dupie mam prawo”. I cała banda bufoniarzy i kolesi, których stać było na wszystko, byleby utrzymać się na stanowiskach.

Opisałem w „Trwałych śladach” jak Piłat kierował wyborami, żeby wybrać Wieteskę na sekretarza warszawskiego. Wręczano delegatom kartki, kogo należy skreślić, a komu dać głos. Nie dopuszczono do zabrania głosu tych, którzy chcieli skrytykować takie obyczaje. Głos mogli zabrać wyłącznie koledzy życzliwi tej grupie. Tępiono z całych sił tych, którzy mieli inny pogląd i chcieli mówić, że dzieje się źle. Wpływ na decyzje Millera miała wąska grupa kolesi, którzy dbali i los swój i los swoich bliskich.

Miller dobrze wiedział, co robili Wieteska i Piłat. Ja z przyjaciółmi nieraz chodziłem do niego i prosto w oczy mówiłem, że źle skończy i on i cała lewica, jeśli nie oddali od siebie ludzi, którzy już po wielekroć pokazali, że są nieuczciwi. To nie docierało do Millera i powierzył Piłatowi zorganizowanie wyborów w Płońsku. Cała Polska dowiedziała się, jak sfałszowano wybory i ile głosów dopisano, a wybory trzeba było ponownie przeprowadzać. To, co się stało 18 września, kiedy oświadczono mu, że nigdzie nie może kandydować, to ułamek tego, co on zrobił wielu uczciwym działaczom lewicy.

Z jego polecenia skreślano ludzi wartościowych i kompetentnych, a umieszczano na listach tzw. swoich. Licznymi decyzjami kadrowymi i typowaniem swoich Miller spowodował to, że w lewicy znaleźli się ludzie, którzy nigdy tam nie powinni być. Upokarzał tych, którzy mieli odwagę mieć inne zdanie niż on czy jego kolesie. W ten sposób nie docierało do Millera to, co naprawdę przeżywali szeregowi członkowie i o czym chcieli mówić. Taka negatywna selekcja doprowadziła do tego, że szefowi można było tylko kadzić, żeby miał dobre samopoczucie.

Ja bez obawy stwierdzam, że Miller zadał straszny cios w plecy polskiej lewicy. I taki człowiek ma śmiałość kandydować ponownie. Wszystko jedno z jaką partią, byleby wejść wyżej i coś sobą znaczyć. Kandydowałby nawet z partią pedałów, czy innych odszczepieńców, byleby wejść do Sejmu. Jak bardzo trzeba mieć wytarte

czoło, żeby mówić, iż kandyduje, bo chce wyjaśnić śmierć posłanki Blidy. Może ludzie dadzą się na to nabrać, ale nie ja. Znam go i wiem, że los innych interesuje go tylko wtedy, gdy ma wpływ na jego karierę. Nie dociera do niego, że w Łodzi otrzymał tylko 1% głosów. W każdym społeczeństwie znajdą się ludzie chorzy na władzę.

Ja widziałem za czasów PRL takich, którzy nie umieli się wyleczyć z takiej choroby i taki też jest Miller. Bardzo szkodliwą decyzję podjęło kierownictwo SLD, przed wyborami do Sejmu, przyjmując Borowskiego i jego ludzi pod swoje sztandary, żeby razem iść do wyborów. Społeczeństwo pamięta kim jest Borowski i zna przeszłość jego ludzi z różnych ugrupowań. SLD miało szansę osiągnąć lepszy wynik, ale przejęciem pod swe skrzydła działaczy różnej maści przestraszyło tych, którzy w lewicy upatrywali swych kandydatów i chcieli na nich glosować.

Spotykam wielu ludzi, którzy mówią: „Myślałem, że lewica zaczyna dobrą politykę i obiera właściwą drogę, bo przecież sytuacja przedstawia się tak, że mamy dwie prawicowe partie do wyboru, które niewiele różnią się programem, a zdrowa i odradzająca się lewica będzie dla wielu Polaków dobrą alternatywą". Gdy tymczasem lewica przyjęła do siebie ludzi o poglądach i działaniach nie mających nic wspólnego z lewicą. Wybierając mniejsze zło wielu Polaków poszło i oddało swój głos na Platformę Obywatelską.

Za to, że lewica ma obecnie niskie notowania, wini są nie tylko ludzie z kierownictwa SLD, ale również zwykli szeregowi zaangażowani w działalność SLD, choć trzeba dodać, że bardzo uczciwi ludzie. Co zrobili widząc i słysząc przed wyborami, że kierownictwo przyjmuje ludzi, którzy znowu nie tak dawno odeszli od lewicy wieszając na niej psy.

Przecież Polacy dobrze znali tych, którzy tworzyli Unię Demokratyczną, a później partię Geremka, która chcąc oszukać Polaków zmieniała co chwila nazwę, ale mimo tych kombinacji Polacy poznali się na farbowanym lisie i w sumie partia o niepolskim rodowodzie znikła ze sceny. Jej resztki przygarnął Borowski, z kolei jego Olejniczak. Sam słyszałem, jak ludzie idący do wyborów mówili: „na Leppera i Giertycha nie, bo to bagno i idioci, ale też nie na Żydów, których przyjęła lewica. Wolę na Tuska - mniejsze zło".

Myślę, że dobrze się stało, że Platforma zrobiła koalicję z Pawlakiem. Tak Pawlak, jak ludzie z kierownictwa PSL pokazali, że można mówić normalnym językiem, że kampania nie musi być wulgarna i oparta na kłamstwie. A po wyborach chyba wszyscy zauważyli, że mówi się innym językiem. Tusk miał odwagę i powiedział, że głównym konstruktorem polityki będzie Pawlak. Wiele zjawisk rokuje obecnie inną, spokojniejszą politykę. Może władza ich nie zaślepi i nie zgłupieją jak wielu działaczy w PiSie, a szczególnie obaj Kaczyńscy. Czas pokaże. I tu można powiedzieć, że „kto mieczem wojuje, od miecza ginie".

Zginął system PRL, bo tą bronią też władał, ale przez ostatnie dwa lata pobito rekordy. Wojowali kłamstwem, przekręceniem faktów, dlatego też ludzie się od nich odwrócili - uznali, że ich rządzenie opiera się na rządzeniu strachem. Najpierw trzeba było postraszyć społeczeństwo tym, że ci co wezmą władzę zrobią samo zło i przekonać, że PiS ma receptę i wie jak tego zła uniknąć. Mimo to Polacy sięgnęli po własny rozum, może jeszcze nie wszyscy, ale trzeba wierzyć, że za nimi pójdą inni i będą używać własnej głowy, a nie słuchać nawiedzonych i oszołomów.

Należy wziąć pod uwagę, że obecny elektorat i elektorat sprzed 1989 roku, to dwa różne elektoraty. Inaczej, innym językiem trzeba do niego mówić, używać innych argumentów. To co trafiało do ludzi kiedyś, dziś w ogóle nie zwraca ich uwagi. A PiS nie budował zgody narodowej, która jest nam niezbędna jak powietrze, tylko dzielił ludzi, żeby móc łatwiej rządzić skłóconymi. I zginął od własnej broni.

Wiele osób mówiło mi, że źle się dzieje za PiS-u, bo ten rząd nie bierze się za najważniejsze sprawy dla kraju i narodu, że nie realizuje tego, co obiecał ludziom przed wyborami, a cały swój wysiłek skierował na to, jak zabrać emerytury generałom z MSW, że do nowej wojny z opozycją używa niemal całej pary. I ja zirytuję chyba czytelników, ale powiem tak:

Może to i dobrze, że nie zajął się tymi najważniejszymi sprawami, że utknął w rozliczeniach i teczkach oraz degradacjach, bo gdyby rzeczywiście ten rząd zaczął zajmować się problemami najważniejszymi dla Polski, to przy tej ekipie, jaką miał – a szczególnie przy kwalifikacjach premiera i prezydenta, którzy mniemają o sobie, że są najmądrzejsi - to dopiero gospodarka polska by wyglądała. Nie starczyło im czasu na zapowiadane drogi i mieszkania, dali światu i Polsce dowody, jak przez panią Fotygę prowadzili politykę zagraniczną. Gdyby tak prowadzili problemy gospodarcze, to bylibyśmy dziś biedni, a tak gospodarka szła bez ich ingerencji, rządziła się swoimi prawami i ma się dobrze. To tak jak z lekarzem, który nie rozpoznał choroby u chorego - gdyby leczył, to wykończyłby pacjenta, ale nie leczył, więc nie zaszkodził i pacjent przeżył i ma się dobrze.

Jestem człowiekiem schorowanym i cierpiącym na wiele chorób, no i nie pierwszej młodości. Z obawą i trwogą patrzę na rozwój spraw na świecie, a szczególnie w Polsce. Światowe żydostwo, obok swej ojczyzny Izraela i Stanów Zjednoczonych konsekwentnie stara się, żeby Polska była trzecią ich ojczyzną. Ściągają swych bliskich na siłę i sami tworzą zamknięte, luksusowe getto w Warszawie.

Nie używając swego kapitału, otrzymują miliardowe pożyczki w polskich bankach za poręczeniem banków światowych, które są w ich rękach. Czyli innymi słowy, to oni nie muszą mieć własnego wkładu, a mogą rozpocząć budowę nowego osiedla. Aktualnie są budowane cztery takie osiedla, każde bez grosza wkładu własnego, czyli za pieniądze Polaków.

W wielu dziedzinach naszego życia decydują ONI i za każdym rokiem zakres ich władzy się powiększa. Jak Polska sobie poradzi z coraz większa falą Żydów, z coraz bardziej zaciskającą się na polskiej szyi pętlą założoną przez nich. Przeciętni ludzie walczący o byt, o utrzymanie rodziny, nawet nie mają pojęcia o tym, jak sprytnie tracimy tożsamość narodową i samostanowienie o sobie i o losie Polski. Nasz los i naszej ojczyzny coraz bardziej uzależniony jest od Brukseli i Stanów Zjednoczonych. Coraz większy mają wpływ sądy i trybunał z Brukseli. W każdej sferze życia i gospodarki obowiązywać będą ustawy sądów zachodnich, które już obejmują spory wachlarz problemów.

Mają swoich w Kościele, którzy podciągną ich decyzje pod sferę grzechu, żeby zrobić naród uległym do swoich ustaw. A nasze polskie społeczeństwo?

Nasze społeczeństwo nie jest już zdolne powiedzieć „NIE" całej tej obłudzie i fałszowi. Po pierwsze nie ma już w Polsce klasy robotniczej, a z nią liczyła się każda władza. Celowo rozbito tę klasę, żeby im nie przeszkadzała. Po to pojechali doradcy żydowscy na Wybrzeże, żeby rozpocząć zniszczenie dużych ośrodków

pracy i dużych skupisk klasy robotniczej.

Konsekwentnie niszczono klasę robotniczą wiedząc, że ona jedynie, gdy przejrzy na oczy, może stawić opór. Inteligencja polska nie jest również do zorganizowania, bo w dużej części siedzi na łasce pracodawcy – Żyda.

Młodzi, którzy byli zawsze pierwszą falą uderzeniową, gdy rządzący zawodzili, dziś w znacznej swej części wyjechali za pracą w świat. Kiedyś młodzi ludzie w wieku dwudziestu kilku lat zakładali rodziny i mieli dzieci, i to tacy właśnie ludzie, mający już dzieci, byli zdeterminowani by walczyć o poziom swego życia. Obecnie, rozejrzyjcie się wokół siebie, rzadko która kobieta do trzydziestego roku życia ma dziecko, a prawie przeważnie nie ma rodziny.

A w Kościele, który zawsze stał na straży i bił na alarm, gdy coś w ojczyźnie działo się źle, to obecnie część jego hierarchów w widoczny sposób służy innemu panu, a pozostali nie chcą mówić, że jest źle i tolerują działalność wilków w owczej skórze.

Radio Maryja i Telewizja Trwam to jedyne polskie ośrodki, których do tej pory nie udało się Żydom sobie podporządkować, ale nie jest wykluczone, że i na to znajdą sposób. A ojciec Rydzyk? Wspaniale daje sobie radę w finansach, a całkowicie chodzi po omacku w polityce. Gdyby na jego miejscu był inny człowiek, mający takie możliwości dotarcia do ludzi, to świadomość społeczeństwa byłaby wyższa. Społeczeństwo reagowałoby bardziej zdecydowanie.

Na tzw. „polską" prasę, radio i telewizję liczyć dzisiaj nie można, to są tylko polskojęzyczne media, a nie polskie.

Kiedyś, gdy szedłem w Warszawie ulicą z przyjacielem, on wskazał mi grupę idących Żydów. Byli ubrani na czarno, z pejsami, w czarnych kapeluszach.

- To najgorsi Żydzi, ci ortodoksyjni – przekonywał mnie.

Zatrzymałem się i mówię do przyjaciele:

- Dla nas Polaków oni są mało groźni, albo wcale niegroźni. Mogą coś napisać lub powiedzieć o nas źle. Zostali tak wychowani i żyją, jak religia im nakazuje i bardzo jej przestrzegają. Stokroć groźniejsi są dla nas ci wszyscy, którzy noszą się jak my i nie można ich rozpoznać lub przyodzieli szaty przeznaczone dla osób szanowanych. Są wśród nas, mówią naszym językiem, nawet chodzą do kościoła, udając wiernych katolików. Są duchownymi i sędziami, politykami mającymi wpływ na wszystkie sprawy. I oni są dla nas niebezpieczni i groźni. Noszą w sercu nienawiść do Słowian i nigdy nie wiesz, kiedy i z której strony spotka cię cios od nich.

Przyjaciel zareagował nerwowo mówiąc:

- Widzę, że jesteś pesymistą i widzisz wszystko w czarnych barwach. Nie wierzę, żeby ta misternie robiona pajęczyna zwyciężyła, to niemożliwe.

Masz rację, mój przyjacielu. To niemożliwe, by Żydzi zwyciężyli.

Bo ilekroć robili chytre i przewrotne plany zapanowania nad światem, a robili je wiele razy w przeciągu tysięcy lat, i już wydawało się im, ze trzymają Pana Boga za nogi i wygrali swój bój o panowanie nad światem, to otrzymywali kopniaka i była klęska, i był holokaust. Sami sobie wypracowali bunt wśród ludzi i teraz, wojując z ludźmi na całym świecie, używają broni, od której zginą i to w najmniej oczekiwanym miejscu na świecie.

Na potwierdzenie tego, co napisałem wyżej, niech posłuży ten przykład:

13 lutego 2008 roku o godzinie 8^{00} w wiadomościach TWN w24 podano:

„Minister obrony wyciągnie surowe konsekwencje wobec pana Majdzika, który publicznie powiedział, że „Żydzi powinni startować z listy mniejszości narodowej, tak jak inne mniejszości, a nie ukrywać się wśród rodowitych Polaków".

I tu minister dał dowód, jak każdy kolejny rząd jest uległy i boi się Żydów. Każda odważna próba uporządkowania tego bolesnego dla Polaków tematu kończy się zniszczeniem człowieka, który odważył się to powiedzieć.

Społeczeństwo polskie nie może wiedzieć, ilu Żydów i na jakich stanowiskach jest ustawionych i chronionych .Dlatego też budujemy państwo „Obywatelskie" - na razie.

Mają dobitny przykład, że Unia Wolności założona i kierowana przez Żydów w wyborach przepadła, więc nie dopuszczą do tego, by były listy mniejszości narodowych, bo wiedzą, że Polacy są przeciwni budowy Judeopolonii, a to już raz w historii Polski Żydzi próbowali zrobić.

Na zakończenie pragnę przytoczyć depesze generała Berlinga do Stalina:

„Umolaju was, tawariszcz Stalin, spasajtie Polszu dla Sawietskowo Sajuza iz ruk trockistowskoj szajki mieżdunarodnowo banditizma. Paka ani imiejut wsju włast ani wyrierzut wsiech Palakow"

„Błagam was, towarzyszu Stalin, ratujcie Polskę dla Związku Radzieckiego z rąk trockistowskiej szajki międzynarodowego bandytyzmu. Dopóki oni mają całą władzę, to wyrżną wszystkich Polaków".